

RED RISING

TOM III

GWIAZDA ZARANNA



PIERCE BROWN

PIERCE BROWN

RED RISING

GWIAZDA ZARANNA

Przekład Małgorzata Koczańska



Warszawa 2016

Dotychczas ukazały się:

Red Rising: Złota krew

Red Rising: Złoty syn

Red Rising: Gwiazda zaranna

Tytuł oryginału:
RED RISING TRILOGY #3: Morning Star
Copyright © 2016 by Pierce Brown

Projekt okładki: Design Partners
Redakcja: Rafał Dębski
Korekta: Agnieszka Pawlikowska
Skład i łamanie: Ewa Jurecka

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora.
Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:
Drageus Publishing House Sp. z o.o.
ul. Kopernika 5/L6
00-367 Warszawa
e-mail: drageus@drageus.com
www.drageus.com



Release:
POLiSH.eBook-BiRD
2016

Spis treści:

W poprzednich tomach:

ZŁOTA KREW

ZŁOTY SYN

DRAMATIS PERSONAE

ZŁOCI

ŚREDNIE I NIŻSZE KOLORY

SYNOWIE ARESA

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy.

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty.

Rozdział piąty.

Rozdział szósty.

Rozdział siódmy.

Rozdział ósmy.

Rozdział dziewiąty.

Rozdział dziesiąty.

Rozdział jedenasty.

Rozdział dwunasty.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział trzynasty.

Rozdział czternasty.

Rozdział piętnasty.

Rozdział szesnasty.

Rozdział siedemnasty.

Rozdział osiemnasty.

Rozdział dziewiętnasty.

Rozdział dwudziesty.

Rozdział dwudziesty pierwszy.

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty.

Rozdział dwudziesty piąty.

Rozdział dwudziesty szósty.

Rozdział dwudziesty siódmy.

Rozdział dwudziesty ósmy.
Rozdział dwudziesty dziewiąty.
Rozdział trzydziesty.
Rozdział trzydziesty pierwszy.
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział trzydziesty piąty.
Rozdział trzydziesty szósty.
Rozdział trzydziesty siódmy.
Rozdział trzydziesty ósmy.
Rozdział trzydziesty dziewiąty.
Rozdział czterdziesty.
Rozdział czterdziesty pierwszy.
Rozdział czterdziesty drugi
Rozdział czterdziesty trzeci
Rozdział czterdziesty czwarty.
Rozdział czterdziesty piąty.
Rozdział czterdziesty szósty.
Rozdział czterdziesty siódmy.
Rozdział czterdziesty ósmy.
Rozdział czterdziesty dziewiąty.

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział pięćdziesiąty.
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy.
Rozdział pięćdziesiąty drugi
Rozdział pięćdziesiąty trzeci
Rozdział pięćdziesiąty czwarty.
Rozdział pięćdziesiąty piąty.
Rozdział pięćdziesiąty szósty.
Rozdział pięćdziesiąty siódmy.
Rozdział pięćdziesiąty ósmy.
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty.
Rozdział sześćdziesiąty.
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy.
Rozdział sześćdziesiąty drugi
Rozdział sześćdziesiąty trzeci
Rozdział sześćdziesiąty czwarty.

Rozdział sześćdziesiąty piąty.

EPILOG

Podziękowania

W poprzednich tomach:

ZŁOTA KREW

Darrow to Czerwony, górnik pracujący pod powierzchnią Marsa. Jego lud trudzi się, aby przystosować planetę do zasiedlenia. Jednak ludzie ci zostali zdradzeni – Mars od dawna jest zamieszkały i rządzony przez pozbawionych skrupułów Złotych. Kiedy ArcyGubernator planety skazuje żonę Darrowa na śmierć za głoszenie buntowniczych idei, górnik przyłącza się do organizacji Synów Aresa, którzy dążą do rewolucji. Aby pomóc Synom, Darrow zostaje fizycznie przemieniony w Złotego i wysłany, aby od wewnętrz wprowadził chaos do rządzącej Elity.

Zaczyna od Instytutu, szkoły, która z rozpieszczonej Złotej młodzieży tworzy najlepszych wojowników w społeczeństwie. Darrow uczy się nie tylko walki, lecz także sposobów na przetrwanie wśród uczniów, którzy bez wahania potrafią uciec się do zdrady, byle osiągnąć swoje cele, poznaje też politykę Złotych. Okazuje się, że będzie musiał zaufać i polegać na przyjaciołach, jeżeli ma skończyć Instytut i uniknąć jego największych zagrożeń.

ZŁOTY SYN

Po zakończeniu nauki w Instytucie Darrow otrzymuje prestiżowe stanowisko w świecie ArcyGubernatora Marsa, Nero au Augustusa. Okazuje się jednak, że niełatwo sprostać własnej reputacji. W Akademii, gdzie Złoci uczą się walk w kosmosie, Darrow przegrywa pojedynek flot. Po klęsce traci w oczach ArcyGubernatora – przegrał przecież z przedstawicielem rodu, który rywalizuje z Augustusem. Darrow może jednak zapewnić żądnemu władzy Złotemu spełnienie marzeń – wywołać wojnę domową.

Darrow zaczyna siać niezgodę i chaos w Elicie, wykorzystując wrogość między rodami Augustus i Bellona. Zbiera też imponującą armię Złotych oraz paru wątpliwych sojuszników, a potem przeprowadza natarcie, które pozbawia ród Bellona władzy nad Marsem. Jednak podczas Triumfu, gdy świętowane jest

zwycięstwo, Darrow ponownie pada ofiarą zdrady i traci wszystko, co osiągnął. Przyjaciele i sprzymierzeńcy znikają lub giną, a Darrow trafia do niewoli. Na dodatek jego prawdziwa tożsamość wychodzi na jaw. Los Synów Aresa i rewolucji wisi na włosku...

DRAMATIS PERSONAE

ZŁOCI

Octavia au Lune – Władczyni Elity

Lysander au Lune – wnuk Octavii, dziedzic rodu Lune

Adrius au Augustus/Szakal – ArcyGubernator Marsa, brat bliźniak Virginii

Virginia au Augustus/Mustang – siostra bliźniaczka Adriusa

Magnus au Grimmus/Pan Popiółów – ArcyImperator floty Władczyni, ojciec Ai

Aja au Grimmus – Pani Przemian, komendantka ochrony Władczyni

Cassius au Bellona – Rycerz Świtu, strażnik Władczyni

Roque au Fabii – Imperator Armady Mieczu

Antonia au Severus-Julii – siostra przyrodnia Victry, córka Agrippiny

Victra au Julii – siostra przyrodnia Antonii, córka Agrippiny

Kavax au Telemanus – główna rodu Telemanusów, ojciec Daxa i Paxa

Daxo au Telemanus – dziedzic Kavaxa, brat Paxa

Romulus au Raa – główna rodu Raa, ArcyGubernator Io

Chwast – dawniej jedna z Wyjców, obecnie porucznik Jeźdźców Kości

Lilath au Faran – prawa ręka Szakala, dowódca Jeźdźców Kości

Vixus au Sarna – dawniej z Domu Mars, porucznik Jeźdźców Kości

ŚREDNIE I NIŻSZE KOLORY

Trigg ti Nakamura – legionista, brat Holiday, Szary

Holiday ti Nakamura – legionistka, siostra Trigga, Szara

Regulus ag Sun/Żywe Srebro – najbogatszy człowiek na świecie, Srebrny

Alia Śnieżna Jaskółka – królowa Walkirii, matka Ragnara i Sefi, Obsydianka

Sefi Milcząca – przywódczyni Walkirii, córka Alii, siostra Ragnara, Obsydianka

Orion xe Aquarii – kapitan okrętu, Niebieska

SYNOWIE ARESA

Darrow z Lykos/Kosiarz – dawniej Lansjer rodu Augustus, Czerwony

Sevro au Barca/Goblin – dowódca Wyjców, Złoty

Ragnar Volarus – jeden z nowych Wyjców, Obsydian

Tancerz – adiutant Aresa, Czerwony

Mickey – Snycerz, Fioletowy

Dla siostry, która nauczyła mnie słuchać

PROLOG

Budzę się w ciemności, daleko od ogrodu, który spłynął krwią moich przyjaciół. Złoty, który zabił mi żonę, leży obok na zimnym, metalowym stole. Stracił życie z ręki własnego syna.

Jesienny wiatr mierzwi mi włosy. Pod podłogą łomocze silnik okrętu. Niebo w oddali spowija pomarańczowa luna. Telemanusowie schodzą z orbity, aby mnie uratować. Lepiej by było, gdyby tego nie robili. Lepiej niech mnie pochłonie mrok, a sępy rozszarpią moje sparaliżowane ciało.

Za plecami słyszę głosy wrogów. Potężnych demonów o anielskich twarzach. Najniższy z nich pochyla się i głaszcze mnie po głowie, a potem spogląda na swojego martwego ojca.

– Koniec zawsze jest taki sam – mówi. – Nie ma krzyku. Nie ma gniewu. Tylko cisza.

Roque, który mnie zdradził, siedzi w kącie. Był moim przyjacielem. Ma zbyt dobre serce, jak na swój Kolor. Kiedy odwraca głowę, dostrzegam jego łzy. Jednak Roque nie płacze nade mną. Płacze nad sobą. Płacze za tym, co stracone. Za tymi, których mu odebrano.

– Nie ma Aresa, który by cię obronił. Ani Mustang, która cię kochała. Zostałeś sam, Darrow. – Szakal beznamiętnie spogląda w dal. – Jak ja.

Podnosi maskę bez otworów na oczy, ale za to z kagańcem, i zakłada mi na twarz. Znowu nic nie widzę.

– Właśnie taki jest koniec.

Aby mnie złamać, zamordował tych, których kocham.

Jednak nadzieję pozostaje w sercach żyjących. W Sevrze. W Ragnarze i Tancerzu. Myślę o moich ludziach skrywających się w ciemności, myślę o wszystkich Kolorach na każdym ze światów, zniewolonych i upodlonych we władzy Złotych. I wtedy na dnie mojej duszy, gdzie Szakal zostawił mroczną, głęboką wyrwę, rodzi się palący gniew. Nie jestem sam. Nie jestem jego ofiarą.

Niech Szakal spróbuje mnie złamać. Jestem Kosiarzem.

Znam cierpieńie.

Znam ciemność.

To wcale nie koniec.

CZĘŚĆ PIERWSZA

CIERNIE

Per aspera ad astra

Rozdział pierwszy

TYLKO MROK

W głębokiej ciemności, z dala od słońca i księżyca, z dala od ciepła, leżę nieruchomo jak kamień – jeden z tych, które spoczywają wokół mnie, więżą moje skulone ciało w przerząjącej macicy. Nie mogę wstać. Nie mogę się wyprostować. Mogę tylko kulić się i upodabniać do zwiniętej skamielinie człowieka, jakim kiedyś byłem. Ręce mam skute na plecach. Naga skóra dotyka zimnej skały.

Samotny w mroku.

Wydaje się, jakby od czasu, gdy mogłem wyprostować kolana lub kręgosłup, minęły miesiące, lata, milenia. Ból doprowadza mnie do szaleństwa. Stawy trzeszczą jak zardzewiałe łożyska. Ile czasu minęło od tamtego dnia, gdy patrzyłem, jak moi Złoci przyjaciele wykrwawiają się na trawie? Jak dawno temu Roque złożył pocałunek na moim czole i złamał mi serce?

Czas to nie rzeka, nie płynie.

Nie tutaj.

W tym grobowcu czas skamieniał. Jest mrokiem, absolutnym i nieprzeniknionym, mierzącym tylko przez bliźniacze wahadła życia – oddech i bicie serca.

Wdech. Hy... bum. Hy... bum.

Wydech. Hy... bum. Hy... bum.

Wdech. Hy... bum. Hy... bum.

Wieczna powtarzalność. Dopóki... Dopóki co? Dopóki nie umrę ze starości? Dopóki nie rozbiję sobie czaszki o kamienną ścianę? Dopóki nie przegryzę rurek, które Żółci wbili mi w brzuch, aby wmuszać w moje ciało pożywienie oraz wyprowadzać odchody?

A może dopóki nie popadnę w obłęd?

– Nie. – Zaciskamzęby.

O ta-ak...

– To tylko ciemność – szepczę. Uspokajam się. Dotykam ścian w kojącej kolejności. Plecami, końcami palców, kością ogonową, piętami, kolanami, głową. I jeszcze raz. Dziesiątki razy. Setki. Dlaczego nie powiedzieć tego jasno? Tysiące.

Tak. Jestem sam.

Na pozór mogłoby być gorzej, ale teraz wiem, że nie ma nic gorszego. Człowiek nie jest samotną wyspą. Potrzebuje tych, którzy go kochają. Potrzebuje też tych, którzy go nienawidzą. Potrzebujemy innych, aby wiązali nas z życiem, dawali nam powód do życia, powód do uczuć. A ja mam tylko mrok. Czasami śmieję się wśród

nocy albo za dnia, kto wie o jakiej porze? Śmieję się, aby zająć czas, spalić trochę kalorii dostarczanych mi na rozkaz Szakala i przez ten wysiłek skłonić ciało do snu.

Czasami też szlocham. Nucę. Gwiźdzę.

Słucham głosów nade mną. Dochodzą z bezkresnego morza ciemności. Są jak szaleńczy brzęk łańcuchów i klekot kości, wibrują w ścianach mojego więzienia. Tak blisko, a jednak oddalone o tysiące kilometrów, jakby za granicą mroku istniał świat, którego nie mogę ani dotknąć, ani posmakować, ani zobaczyć. Nie mogę przebić się przez tę zaslonę i znaleźć się znowu w realnym świecie. Jestem więźniem samotności.

I słyszę głosy. Łańcuchy i kości rezonujące echem w mojej celi.

Czy to mój głos?

Śmieję się z tej myśli.

Przeklinam.

Spiskuję. Zabić. Zaszlachtować. Udusić. Rozszarpać. Spalić.

Błagam. Mam omamy. Targuję się.

Szepczę błogosławieństwa dla Eo, szczęśliwy, że ominął ją los podobny do mojego.

Ona nie słucha.

Śpiewam dziecięce piosenki i recytuję „Umierającą Ziemię”, „Latarników”, „Ramajanę”, „Odyseję” – najpierw po grecku, potem po łacinie, wreszcie w martwych językach: arabskim, angielskim, mandaryńskim i niemieckim. Korzystam z pamięci, wszczepionej mi przez Mattea, gdy byłem ledwie dojrzałym chłopcem. Próbuje czerpać siłę z wędrowek króla Itaki, który pragnął tylko odnaleźć drogę do domu.

Zapominasz, co uczynił.

Odyseusz był bohaterem. Rozbił niezdobyte mury Troi przy pomocy drewnianego konia. Tak jak ja rozbiłem armie Bellony w Stalowym Deszczu nad Marsem.

I wtedy...

– Nie – warczę. – Cisza.

...wojownicy wdarli się do Troi. Znaleźli matki. Znaleźli dzieci. Zgadnij, co zrobili?

– Milcz!

Wiesz, co zrobili. Pot. Szkielet. Ciało. Popiół. Lament. Krew.

Ciemność chichocze z uciechy.

Kosiarzu, Kosiarzu, Kosiarzu... Każda śmierć znaczona jest krwią.

Czy ja śnię? Czy się obudziłem? Straciłem poczucie własnych wartości. Wszystko spłynęło krwią, utopiło mnie w złudzeniach, szeptach i głosach. Znowu szarpię Eo za delikatne, drobne stopy. Uderzam Juliana pięścią w twarz. Słyszę ostatnie tchnienie Paxa, Quinn, Tactusa, Lorna i Victry. Tak wiele bólu. I po co? Zawiódłem swoją żonę. Zawiódłem moich ludzi.

I zawiodłem Aresa. I przyjaciół.

Ilu ich jeszcze zostało?

Sevro? Ragnar?

Mustang?

Mustang. A jeżeli ona wie, że tu jesteś?... A jeżeli nie przyjdzie... Czemu by miała przychodzić? Przecież ją zdradziłeś. Okłamałeś. Wykorzystałeś jej wiedzę. Jej ciało. Jej krew. Ukazałeś prawdziwe oblicze, a Mustang uciekła. A jeżeli to była jej twarz? Jeżeli to ona cię zdradziła? Czy mógłbyś ją wciąż kochać?

– Zamknij się! – wrzeszcza na siebie w ciemności.

Nie chcę myśleć o Mustang. Nie chcę o niej myśleć.

Dlaczego? Przecież za nią tęsknisz.

Przed oczyma duszy pojawia się obraz wśród mroku – dziewczyna pędząca na koniu przez zieleń łąki. Obraca się w siodle i ze śmiechem każe mi się pośpieszyć. Jej włosy, niczym siano latem nad wozem rolnika, unoszą się na wietrze.

Pragniesz jej. Kochasz. Złotą dziewczynę. Zapomnij o tej Czerwonej suce.

– Nie. – Uderzam głową w kamienną ścianę i szepczę: – To tylko mrok.

To tylko ciemność zwodzi mój umysł. A jednak wciąż próbuję zapomnieć o Eo. I o Mustang. Nie ma żadnego świata poza granicą mroku. Nie mogę tęsknić za czymś, co nie istnieje.

Ciepła krew kapie mi z czoła na rozjastrzone ponownie strupy, spływa po nosie. Wysuwam język, dotykam zimnego kamienia, nim wreszcie odnajduję ciepłą kroplę. Smakuję sól i marsjańskie żelazo. Powoli. Powoli. Niech to nowe doznanie trwa jak najdłużej. Niech ten smak przypomni mi, że jestem człowiekiem. Czerwonym z Lykos. Helldiverem.

Nie, wcale nie. Jesteś nikim. Twoja żona opuściła cię i zabrała dziecko. Twoja dziwka też się od ciebie odwróciła. Byłeś zbyt dumny. Zbyt głupi. Zbyt przebiegły. Teraz jesteś zapomniany.

Doprawdy?

Kiedy ostatni raz widziałem Złotą dziewczynę, klęczałem obok Ragnara w szybie górniczym przy Lykos i prosiłem Mustang, aby zdradziła swój lud i żyła dla czegoś więcej. Wiedziałem, że gdyby zgodziła się do nas przyłączyć, marzenie Eo by rozkwitło. Lepszy świat był na wyciągnięcie ręki. Mustang jednak wolała odejść. Czy zdołała o mnie zapomnieć? Czy jej miłość do mnie przepadła?

Kochała tylko twoją maskę.

– To tylko mrok. Tylko mrok. Tylko mrok – mamroczę coraz szybciej.

Nie powinienem tu być.

Powinienem umrzeć. Po śmierci Lorna powinni mnie wydać Octavii, żeby jej Snycerze rozkawałkowali mnie i dowiedzieli się, w jaki sposób stałem się Złotym. Żeby sprawdzili, czy takich jak ja może pojawić się więcej. Lecz Szakal zawał

umowę, zatrzymał mnie dla siebie. Tortuował mnie w swojej posiadłości, Attyce, wypytywał o Synów Aresa, o Lykos, o moją rodzinę. Nigdy nie zdradził, jak poznał moją tajemnicę. Błagałem, aby zakończył moje życie.

Wtedy dał mi kamień.

– Kiedy wszystko jest stracone, honor wymaga śmierci – powiedział mi kiedyś Roque. – To szlachetny koniec.

Co jednak bogaty poeta mógł wiedzieć o śmierci? Nędzarze znają śmierć. Niewolnicy znają śmierć. Jednak, mimo że jej pragnę, równie mocno się boję. Ponieważ im dłużej patrzę na okrucieństwa tego świata, tym mniej wierzę, że po końcu zaznam przyjemności.

Dolina nie istnieje.

To kłamstwo, wmawiane nam przez rodziców, aby swoim głodującym dzieciom dać wyjaśnienie dla tej grozy. A przecież nie ma wyjaśnienia. Eo zginęła. Nigdy nie ujrzała, jak walczę za jej marzenie. Nie przejmowała się tym, co się ze mną działo w Instytucie ani moją miłością do Mustang, ponieważ w dniu, w którym umarła, zmieniła się w nicość. Nie istnieje nic poza tym światem. To nasz początek i koniec. Nasza okazja do zaznania radości przed śmiercią.

Tak. Lecz tobie koniec nie jest dany. Mimo to możesz stąd uciec – szepcze do mnie mrok. Wystarczy, że wypowiesz odpowiednie słowa. Śmiało. Powiedz. Wiesz, że to prawda.

Tak, to prawda.

– Musisz tylko powiedzieć: „Złamałeś mnie”, a to wszystko się skończy – powiedział Szakal dawno temu, gdy zamykał mnie w tym piekle. – Potem znajdziesz się w pięknej posiadłości do końca swoich dni, dostaniesz ciepłe, piękne Różowe i tyle jedzenia, że roztyjesz się bardziej niż Pan Popiółów. Jednak te słowa mają swoją cenę.

Warto ją zapłacić. Ocal się. Nikt inny ci nie pomoże.

– Tą ceną, drogi Kosiarzu, jest twoja rodzina.

Rodzina, którą porwał z Lykos przy pomocy swoich agentów i którą więzi w podziemiach Attyki, swojej fortecy. Nigdy nie pozwolił mi jej zobaczyć. Nigdy nie pozwolił mi powiedzieć, jak bardzo ją kocham i jak mi przykro, że nie okazałem się dość silny, aby ochronić bliskich.

– Nakarmię twoją rodzinę więźniów fortecy – wyjaśnił Szakal. – Tych ludzi, którzy według ciebie powinni rządzić światem zamiast Złotych. Gdy tylko ujrzesz w ludziach zwierzęta, zrozumiesz, że to nie ty, lecz ja miałem rację. Złoci muszą rządzić.

Zostaw ich – namawia mrok. Poświęcić ich to praktyczne posunięcie. Rozsądne.

– Nie... Nie będę...

Twoja matka chciałaby, żebyś przeżył.

Nie za taką cenę.

Jaki człowiek pojmie matczyną miłość? Żyj. Dla niej. Dla Eo.

Czy Eo by tego chciała? Czy mrok ma rację? Przecież jestem ważny. Eo tak powiedziała. Ares też tak powiedział. Wybrał mnie. Mnie ze wszystkich innych Czerwonych. Mogę zerwać pęta, może żyć dla czegoś więcej. Ucieczka z tego więzienia to nie egoizm. W wielkiej pajęczynie zdarzeń to altruizm.

Altruizm, naprawdę...

Matka błagałaby mnie, abym złożył tę ofiarę. Kieran zrozumiałby. Moja siostra także. Przecież mogę ocalić nasz lud. Marzenie Eo musi się spełnić, nieważne, za jaką cenę. Mam je ocalić, to mój obowiązek. To moje prawo.

Wypowiedz słowa.

Uderzam czołem w kamień i z wrzaskiem nakazuję, aby mrok mnie opuścił. Nie może mnie zwieść. Nie może mnie złamać.

Nie wiedziałeś? Każdego człowieka można złamać.

Jego piskliwy śmiech drwi ze mnie, niesie się echem w nieskończoność.

I wiem, że to prawda. Każdego człowieka można złamać. Sam się załamałem podczas tych tortur. Powiedziałem, że pochodzę z Lykos i gdzie mieszkają moi najbliżsi. Istnieje jednak sposób, żeby się stąd wydostać i uhonorować to, kim jestem. To, co kochała Eo. Uciszyć głosy.

– Miałeś rację, Roque – szepczę. – Miałeś rację.

Chcę tylko wrócić do domu. Wydostać się stąd. Ale nie mogę. Wszystko, co mi pozostało, jedyne honorowe wyjście, to śmierć. Zanim zdradzę siebie jeszcze bardziej.

Śmierć to jedyne wyjście.

Nie bądź głupcem. Przestań. Przeestań!

Uderzam czołem w kamień mocniej niż poprzednio. Nie po to, żeby się ukarać, lecz żeby się zabić. Skończyć ze sobą. Skoro potem, po egzystencji na tym świecie, nie czeka mnie żadna przyjemność, niccość będzie musiała wystarczyć. Jeżeli jednak istnieje poza tym światem Dolina, znajdę ją. Nadchodzę, Eo. Nareszcie krocę własną drogą.

– Kocham cię.

Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Uderzam ponownie czołem w kamień. Gorąco spływa mi po twarzy. Iskry bólu tańczą wśród czerni. Mrok skamle, ale to mnie nie powstrzymuje.

Jeżeli taki jest koniec, przyjmę go z wściekłością.

Kiedy jednak odchylam głowę, żeby zadać sobie ostatni cios, rzeczywistość skrzeczy. Dudni jak trzęsienie ziemi. Nie mrok. Coś poza nim. Coś w samym kamieniu, narastające coraz głośniej i głębiej nade mną, aż ciemność pęka i przebijają ją oślepiające klingi światła.

Rozdział drugi

WIĘZIEŃ NR L17L6363

Sufit się rozsuwa, światło wypala mi oczy. Zaciskam powieki, a wtedy podłoga zaczyna się podnosić, żeby zatrzymać się z cichym trzaskiem, i oto leżę nagi na płaskim kamiennym blacie. Prostuję nogi, z ust wyrywa mi się jęk. Ból jest tak straszny, że omal nie mdleję. Stawy trzeszczą, zastałe ściegna nie chcą się rozciągnąć. Walczę, aby otworzyć oczy pomimo oślepiającego światła. Spod powiek płyną łzy. Jest tak jasno, że udaje mi się wychwycić tylko rozmyte plamy otaczającego mnie świata.

Słyszę urywki rozmów, obce głosy.

- Adriusie, co to jest?
- ...był tutaj przez cały czas?
- Ten smród...

Leżę na kamieniu. Rozciąga się wokół mnie z każdej strony. Czarny, poprzecinany błękitem i fioletem, niczym pancerzyk walijskiego żuka. Podłoga? Nie – dostrzegam kubki i talerzyki. Wózek z kawą. To stół. Moim więzieniem był stół, nie jakaś niesamowita otchłań. Po prostu kawał marmuru pusty w środku, szeroki na metr i długi na dwanaście. Co wieczór na nim jadano, parę cali nadaje mną. Głosy, te odległe szepty, które słyszałem w ciemności, dochodziły właśnie stąd. Brzęk sztućców i zastawy towarzyszyły mojej samotności.

– Co za barbarzyństwo...

Właśnie sobie przypomniałem. To stół, za którym siedział Szakal, gdy odwiedziłem go po wyleczeniu się z ran odniesionych podczas Stalowego Deszczu.

Czy już wtedy planował, że mnie tutaj uwięzi? Miałem na głowie worek, gdy mnie tutaj przyprowadzono. Myślałem, że znalazłem się w lochach pod fortą. Ale nie. Gości zapraszanych na kolacje dzieliło od mojego piekła tylko trzydzieści centymetrów kamienia.

Patrzę na tacę obok mojej głowy. Ktoś mi się przygląda. Kilku ktosiów. Nie mogę ich dostrzec przez łzy w przekrwionych oczach. Odwracam się i kulę jak ślepy kret, wyciągnięty po raz pierwszy w życiu na powierzchnię ziemi, jestem zbyt oszołomiony i przerażony, aby pamiętać o dumie lub nienawiści. Ale wiem, że on też mi się przygląda. Szakal. Szczupły, z dziecienną twarzą i zaczesanymi na bok włosami barwy piasku. Chrząka.

– Szacowni goście. Oto więzień L17L6363.

Jego twarz przypomina mi i anioła, i diabła.

Ujrzeć innego człowieka...

Wiedzieć, że nie jest się samotnym...

Ale zaraz przypominam sobie, co mi zrobił... I to wspomnienie rozdziera mi duszę.

Inne głosy niosą się i huczą ogłuszająco. Chociaż skuliłem się w kłębek i otacza mnie hałas, czuję coś jeszcze. Coś naturalnego, delikatnego i przyjemnego. Mrok przekonał mnie, że już nigdy tego nie poczuję.

A jednak chłodny, orzeźwiający podmuch z otwartego okna przedziera się przez smród zgnilizny i muska mi skórę. Przywołuje myśl, że gdzieś tam dziecko biega po śniegu między drzewami, przesuwa dlonią po chropowatej korze i sosnowych gałęziach, a na włosy spadają mu białe płatki. Wydaje się, że to wspomnienie, ale wiem, że nigdy czegoś takiego nie przeżyłem w dzieciństwie, choć czuję, że powiniensem. Takiego życia pragnąłem. Mógłbym mieć takie dziecko.

Płaczę. Mniej nad sobą, bardziej nad tym chłopcem, przekonanym, że żyje w świecie, w którym ojciec i matka są wielcy i silni jak góry. Gdybym tylko mógł stać się znowu tak niewinny. Gdybym tylko wiedział, że ta chwila to nie złudzenie. Ale jest złudzeniem. Szakal nie daje niczego, czego nie chce odebrać. Wkrótce światło stanie się tylko wspomnieniem, a mrok powróci. Zaciskam mocno oczy i słucham, jak krew z mojej twarzy kapie na kamień. Czekam na przełom.

– Cholera jasna, Augustusie. Czy to naprawdę było konieczne? – mruczy kocia zabójczyni. Ma chrupliwy akcent, złagodzony tym przeciągniętym zaśpiewem Księżyca, wyuczonym na dworach Wzgórza Palatyńskiego, gdzie wszystko na wszystkich robi mniejsze wrażenie niż gdzie indziej. – Cuchnie jak śmierć.

– Skwaśniały pot i martwy naskórek pod magnetycznymi kajdanami. Widzisz tę żółkniętą skorupę na jego przedramionach, Ajo? – rzuca Szakal. – A jednak, wziawszy wszystko pod uwagę, wciąż jest całkiem zdrowy i gotowy do badań przez twoich Snycerzy.

– Znasz tego człowieka lepiej niż ja. – Aja zwraca się do kogoś jeszcze. – Upewnij się, że to on, nie jakiś oszust.

– Wątpisz w moje słowa? – Szakal udaje oburzenie. – Łamiesz mi serce.

Wyczuwam, że ktoś się zbliża. Wzdrygam się.

– Ależ, ArcyGubernatorze, musiałbyś mieć serce, żeby mogła je złamać. Chociaż jesteś człowiekiem o wielu zaletach, obawiam się, że wrażliwe serce do nich nie należy.

– Schlebiasz mi.

Łyżeczki brzęczą na porcelanie. Chrząknięcia rozlegają się wokół. Marzę, aby zasłonić sobie uszy. Tak wiele dźwięków. Tak wiele informacji.

– Naprawdę można dostrzec w nim Czerwonego. – Zimny, kulturalny głos kobiety z północnego Marsa. Bardziej ostry akcent niż ten z Księżyca.

– Właśnie, Antonio! – odpowiada Szakal. – Byłem ciekaw, co z tego wyniknie. Ktoś z genomem Aureatów nigdy nie upadłby tak nisko, jak to stworzenie. Wiecie, że prosił mnie o śmierć, zanim go tutaj zamknąłem? Zaczął błagać. Co za ironia, bo przecież mógł się zabić, kiedy tylko chciał. Nie zrobił tego jednak, ponieważ tak naprawdę chyba polubił tę norę. Widzicie, Czerwoni już dawno przystosowali się do ciemności. Jak robaki. W ich Zardzewiałej rasie nie ma dumy. Ten osobnik poczuł się w mroku jak w domu. O wiele lepiej niż wśród nas.

Wreszcie przypomina mi się nienawiść.

Otwieram oczy, żeby zebrani wokół stołu wiedzieli, że ich widzę. Słyszę ich. Jednak gdy podnoszę powieki, mojego wzroku nie przyciągają wrogowie, lecz zimowy pejzaż za oknem, za plecami Złotych. Sześć lub siedem szczytów Attyki Iśni w promieniach porannego słońca. Chrom i szkło budynków wyrastają ze śniegu i skał na tle błękitnego nieba. Mosty spinają zbocza. Pada biały puch. Dla moich oczu ten widok to zamglony cud.

– Darrow? – Znam ten głos. Odwracam nieco głowę i przyglądam się poznaczonym odciskami rękom opartym na krawędzi stołu. Kulę się znowu w oczekiwaniu uderzenia. Ale cios nie pada. Na środkowym palcu jednej dłoni preży się orzeł Bellony. Rodu, który zniszczyłem. Drugą dłoń odciąłem na Księżycu, podczas naszego ostatniego pojedynku – tę nową odtworzył Snycerz Zanzibar. Na jej palcach widzę dwa pierścienie z głowami wilków – pierścienie Domu Mars. Jeden należy do mnie. Jeden do niego. Każdy z nas dostał taki za cenę życia młodego Złotego.

– Poznajesz mnie? – pada pytanie.

Unoszę głowę, żeby przyjrzeć się twarzy mężczyzny. Ja jestem pobity i złamany, ale Cassiusa au Bellony nie tknęła ani wojna, ani czas. Wygląda piękniej, niż pamiętam, emanuje życiem. Ponad dwa metry wzrostu, otulony peleryną bieli i złota Rycerza Świtu. Falujące włosy opadają niczym warkocz komety. Świeżo ogolone policzki, lekko skrzywiony po niedawnym złamaniu nos. Kiedy napotykam jego spojrzenie, z całych sił powstrzymuję szloch. W oczach tego mężczyzny dostrzegam smutek, niemal czułość. Jak bardzo stałem się cieniem dawnego siebie, skoro zasłużyłem na współczucie kogoś, kogo zraniłem tak głęboko?

– Cassius... – szepczę bez żadnego powodu, byle tylko wymówić to imię. Byle odezwać się do innego człowieka. By zostać usłyszany.

– No i? – Aja au Grimmus odzywa się niecierpliwie zza pleców Rycerza Świtu. Najbardziej okrutna z Furii Władczyni nosi tę samą zbroję, w której widziałem ją, gdy pierwszy raz spotkaliśmy się w iglicy Cytadeli na Księżycu. Mustang uratowała mnie wtedy, a Aja zatłukła Quinn na śmierć. Pancerz jest powyginany, nosi ślady walki. Moją nienawiść tłumi strach, odwracam wzrok od ciemnoskórej kobiety.

– Przynajmniej żyje – stwierdza Cassius cicho. Patrzy na Szakala. – Co mu zrobiłeś? Te blizny...

– Sędziłem, że to oczywiste – prycha Szakal. – Odwróciłem produkcję Kosiarza.

Wreszcie mogę spojrzeć na swoje ciało przez rozwichrzoną brodę, żeby sprawdzić, o co mu chodziło. Przypominam zwłoki. Blady szkielet. Żebra niemal przebijające skórę, bladą i cieńską niż kożuch na mleku. Kolana wystające z chudych nóg. Długie, zakrzywione paznokcie u stóp przypominają szpony. Blizny po torturach znaczą moje ciało. Mięśnie uwiedły. A z brzucha wystają rurki, które trzymały mnie przy życiu w mroku, czarne i giętkie jak pępowina łącząca mnie wciąż z podłogą mojej celi.

– Jak długo tu był? – pyta Cassius.

– Trzy miesiące przesłuchań, a potem dziewięć w samotności.

– Dziewięć...

– Stosownie do potrzeb. Wojna nie powinna zwalniać nas od metafor. Przecież nie jesteśmy dzikusami, co, Bellono?

– Obrażasz wrażliwość Cassiusa, Adriusie – wtrąca Antonia, która stoi obok Szakala. Ta kobieta to zatrute jabłko. Olśniewająca i inteligentna, obiecująca, lecz do szpiku kości przegniła i zrakowaciała. Zamordowała mi przyjaciółkę, Lee, w Instytucie. Własnej matce strzeliła w głowę, a potem Victrze, swojej siostrze, przestrzeliła kręgosłup. A teraz sprzymierzyła się z Szakalem, mężczyzną, który w Instytucie ją Ukrzyżował. Co za świat. Za Antonią stoi smagła Chwast, kiedyś jedna z Wyjców, teraz sojuszniczka Szakala, sądząc po medalionie z ptasią czaszką, który nosi na piersi. Nie patrzy na mnie, lecz na czubki swoich butów. Podlega łysej kapitan Lilath, która siedzi po prawicy Szakala. Lilath, ulubiona zabójczyni mojego oprawcy jeszcze z czasów Instytutu.

– Przebacz, jeśli nie pojmuje, po co torturować pokonanego wroga – stwierdza Cassius. – Zwłaszcza że podał wszystkie informacje, które znał.

– Po co? – Szakal podnosi na niego spokojne spojrzenie, gdy wyjaśnia beznamiętnie. – To kara, do licha. To... stworzenie sądziło, że wolno mu należeć do nas. Jakby był nam równy, Cassiusie. A nawet stał wyżej. Zadrwił z nas. Spał z moją siostrą. Wyśmiewał i zrobił z nas głupców, dopóki nie odkryliśmy, kim jest naprawdę. Musi wiedzieć, że jego porażka to nie przypadek że jego klęska była nieuchronna. Czerwoni to przebiegłe małe dranie. A on, przyjacielu, stanowi uosobienie tego, czym pragną się stać i czym by się stali, gdybyśmy im pozwolili. Zatem niech czas i mrok odtworzą go takim, jakim jest naprawdę. *Homo flammeus*, gdyby użyć nowego systemu taksonomii, jaki zaproponowałem w Zarządzie. Odmiana człowieka nieznacznie odbiegająca od *Homo sapiens* na ewolucyjnej osi czasu. Reszta to tylko maska.

– Chcesz powiedzieć, że zrobił głupca z ciebie – prycha Cassius. – Bo twój ojciec wolał wyrzeźbionego Czerwonego niż następcę z własnej krwi, nieprawdaż? Tylko o to chodzi, Szakalu. O rozdrażnienie i wstyd niekochanego i niechcianego chłopca.

Szakal krzywi się na te słowa. Ai również nie podoba się zachowanie młodszeego towarzysza.

– Darrow odebrał życie Julianowi – odzywa się Antonia. – A potem zmasakrował twoją rodzinę. Wysłał zabójców, aby zarżnęli dzieci z twojej krwi, gdy ukrywały się na zboczach Olympus Mons. Ciekawe, co by powiedziała twoja matka, Cassiusie, o współczuciu, które okazujesz wrogowi?

Cassius ich ignoruje. Skinieniem głowy przywołuje Różowe czekające pod ścianą.

– Przynieście więźniowi koc.

Ani drgną.

– Co za brak manier. Nawet u ciebie, Chwast?

Chwast milczy. Z parsknięciem pogardy Cassius zdejmuje swoją białą pelerynę i okrywa moje drżące ciało. Przez chwilę wszyscy milczą, jakby ten czyn zaskoczył ich równie mocno, jak mnie.

– Dziękuję ci – udaje mi się wychrypieć. Ale Cassius odwraca wzrok od mojej zapadniętej twarzy. Współczucie to nie wybaczenie, a wdzięczność nie oznacza zadośćuczynienia.

Lilath wybucha śmiechem, nie podniósłszy nawet głowy znad misy z gotowanymi na miękko jajami kolibrów. Siorbie je jak cukierki.

– Jest granica, za którą honor staje się wadą charakteru, Rycerzu Świtu. – Łysa kobieta zerka na Aję, jej oczy przypominają ślebia węgorzy w jaskiniach Wenus. Połyka z mlaśnieściem kolejne jaja. – Stary Arcos doświadczył tego na własnej skórze.

Aja nie odpowiada, maniery ma nienaganne. Jednak emanuje od niej śmiertelna cisza, cisza, jaką zapamiętałem, zanim ta Furia zabiła Quinn. Lorn uczył Aję szermierki. Z pewnością nie życzyłaby sobie, aby drwiono z jej nauczyciela. Lilath łakomie połyka kolejne jaja – poświęca dobre maniery dla obelgi.

Między tymi sprzymierzeńcami panują animozje. Jak zwykle. Jednak wyraźnie rysuje się nowy podział – rozłam między starymi Złotymi a tymi bardziej nowoczesnymi, do których należy Szakal.

– Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi – zapewnia Szakal beztroskim tonem. – Zważaj na maniery, Lilath. Lorn był Żelaznym Złotym, który po prostu stanął po niewłaściwej stronie.

Nawet nie spojrzy na swoją podwładną. Przygląda się Ai.

– Przyznam, że jestem ciekaw, Ajo. Teraz, gdy już nie będę miał Kosiarza, jakie masz wobec niego plany? Nadal zamierzasz go rozłożyć na części pierwsze?

– Owszem – potwierdza Aja ze spokojem. Niepotrzebnie dziękowałem Cassiusowi, wcale nie chodziło mu o honor, tylko o higienę. – Zanzibar jest ciekaw, jak Darrow został zrobiony. Ma parę teorii, ale brakuje mu materiału do badań. Mieliśmy nadzieję, że złapiemy Snycerza, który dokonał dzieła, ale chyba zginął w bombardowaniu Kato w prowincji Alcidalia.

– Albo ktoś chce, żebyś tak myślała – zauważa Antonia.

– Ten Snycerz był tutaj kiedyś, prawda? – wytyka Aja.

Szakal kiwa głową.

– Miał na imię Mickey. Stracił licencję po tym, jak wyrzeźbił wbrew prawu Aureata. Rodzina chciała uchronić swoje dziecko przed Zarządem Kontroli Jakości. W każdym razie potem Mickey wyspecjalizował się w tworzeniu latających i podwodnych odmian do sprzedaży na czarnym rynku. Miał nawet warsztat w Yorkton, zanim Synowie Aresa nie zwerbowali go do wykonania ich zamówienia. Darrow pomógł mu uciec z mojego więzienia. I jeżeli mogę wyrazić swoje zdanie, uważam, że Mickey nadal żyje. Moi agenci wskazali, że zaszył się w Tinos.

Aja i Cassius spoglądają na siebie porozumiewawczo.

– Jeżeli masz ślad, który wiedzie do Tinos, powinieneś nam o nim powiedzieć – rzuca Cassius.

– Jeszcze nie wiadomo na pewno. Tinos... dobrze się maskuje. Jak dotąd nie udało się nam pojmać żadnego z kapitanów ich okrętów... żywego. – Szakal popija kawę. – Ale żelazo już jest gorące, a wy pierwsi dowiecie się, co się z tego wykuje. O ile w ogóle cokolwiek. Ale muszę przyznać, że moi Jeźdźcy Kości chętnie dopadliby Wyjców jako pierwsi. Prawda, Lilath?

Próbuje nie drgnąć, gdy słyszę tę nazwę, ale to trudne. Żyją. Przynajmniej niektórzy. I wybrali Synów Aresa zamiast Złotych...

– Tak, panie – przyznaje Lilath i wbija we mnie wzrok. – Zorganizujemy prawdziwe polowanie. Zwalczanie Czerwonego Legionu i innych powstańców staje się nudne, nawet dla Szarych.

– Zresztą Władczyni potrzebuje nas w domu, Cassiusie – dodaje Aja, a potem odwraca się do Szakala. – Odlecimy, gdy tylko mój Trzynasty opuści kotlinę Golan. Zapewne rankiem.

– Zabierasz swoje legiony z powrotem na Księżyce?

– Tylko Trzynasty. Reszta pozostanie pod twoim nadzorem.

Szakal wygląda na zaskoczonego.

– Pod moim nadzorem?

– Pod twoimi rozkazami, dopóki to... powstanie nie zostanie stłumione. – Aja praktycznie wypluwa każde słowo. Wszystkie wieści to dla mnie nowość. – To dar Władczyni na znak zaufania. Wiesz, że jest zadowolona z postępów, jakie tutaj osiągnąłeś.

– Pomimo twoich metod – dorzuca Cassius, czym prowokuje niezadowolony grymas Ai.

– No, to skoro odlatujecie rano, powinniście rzecz jasna zjeść dziś ze mną kolację. Czekałem na okazję, żeby przedyskutować pewne... kwestie związane z rebelią na Obrzeżach. – Szakal unika konkretów, bo słucham go uważnie. Informacja to jego broń. Wmawiał mi, że przyjaciele mnie zdradzili. Nie wyjawił jednak którzy. Podrzucał sugestie i wskazówki podczas tortur, zanim zamknął mnie w mroku.

Szary podchodzi i mówi mu, że jego siostra czeka w salonie. Palce pachną mu jak spieniony czaj, ulubiony napój wspomnianej siostry. Czy ona wie, że tu jestem? Czy siedzi czasem przy tym stole? Szakal wciąż mówi. Trudno śledzić wszystkie głosy. Tak wiele do zrozumienia. Zbyt wiele.

– ...każę moim ludziom umyć Darrowa przed podróżą, a po naszej dyskusji możemy wydać ucztę jak u Lukullusa. Wiem, że Voloxowie i Corialusowie nie mogą się doczekać, aby znowu się z wami spotkać. Sam od dawna nie miałem tak szacownych gości jak dwoje Rycerzy Olimpijskich. Tak często wychodzicie w pole, patrolujecie granice prowincji, walczycie w tunelach, na morzach i w gettach. Kiedy ostatnio jedliście porządkowy posiłek i nie martwiliście się o nocny atak czy zamachowców-samobójców?

– Dawno – przyznaje Aja. – Przyjęliśmy gościnę u braci Rath, kiedy mijaliśmy Tessaloniki. Bardzo gorliwie starali się nam pokazać swoją lojalność po swoim... zachowaniu podczas Deszczu Lwa. Było to... niepokojące.

Szakal parska śmiechem.

– Obawiam się, że moje przyjęcie będzie nędzne w porównaniu z tamtym. Ostatnio przyjmowałem tylko polityków albo żołnierzy. Możecie sobie wyobrazić, jak ta przeklęta wojna zakłóca mój kalendarz towarzyski.

– Zapewne nie chodzi bynajmniej o twoją reputację ani sławetną gościnność? – pyta Cassius. – Ani o twoją dietę?

Aja wzducha, starając się opanować rozbawienie.

– Zważaj na maniery, Bellono.

– Bez obaw... Trudno zapomnieć o wrogości między naszymi rodami, Cassiusie. Jednak w tak trudnych czasach musimy szukać porozumienia. Ze względu na Złotych. – Szakal uśmiecha się, lecz wiem, że w głębi duszy wyobraża sobie, jak podcina obojgu gardła tępym nożem. – Zresztą wszyscy mamy zaszłości ze szkoły. I bynajmniej nie jestem zawstydzony.

– A jednak jest sprawa, którą chcielibyśmy omówić – oznajmia Aja.

Tym razem wzducha Antonia.

– Mówiłam, że będzie. Czego tym razem życzy sobie Władczyni?

– Cassius już o tym wspomniał.

– Moje metody – upewnia się Szakal.

- Właśnie.
 - Myślałem, że Władczyni jest zadowolona z moich wysiłków pacyfikacyjnych.
 - Owszem, ale...
 - Prosiła o zaprowadzenie porządku. Zaprowadziłem. Helium-3 dostarczane jest nieustannie, a jego wydobycie spadło jedynie o trzy i dwie dziesiąte procent. Powstanie się dusi, wkrótce Ares zostanie znaleziony, a Tinos i wszystko inne zniknie z naszej pamięci. Tylko Fabii zbiera swój...
 - Chodzi o szwadron śmierci – przerywa Aja.
 - Ach.
 - A także o procedury likwidacji, które wprowadziłeś do zbuntowanych kopalń. Władczyni martwi się, że surowość twoich metod skierowanych przeciwko PodKolorom uderzy w nas z porównywalną siłą, jak wcześniej propaganda. Na Wzgórzu Palatyńskim zdarzyły się zamachy bombowe. Objęły także latyfundia na Ziemi. Odbyły się nawet protesty pod bramą Cytadeli. Bunt wciąż ma siłę ducha. Ale jest podzielony. I tak musi pozostać.
 - Wątpię, czy zobaczymy więcej protestów, gdy wyśle się Obsydianów – uśmiecha się chytrze Antonia.
 - Mimo to...
 - Nie ma zagrożenia, że opinia publiczna dowie się o moich posunięciach. Propagowanie wiadomości przez Synów Aresa zostało zneutralizowane – zapewnia Szakal. – Teraz ja kontroluję informacje, Ajo. Ludzie wiedzą, że ta wojna jest już przegrana. Nigdy nie zobaczą zdjęć trupów. Nigdy nie dowiedzą się o zlikwidowanych kopalniach. Nieustannie widzą tylko Czerwonych atakujących cele cywilne. Dzieci ŚródKolorów i NadKolorów zabite w szkołach. Opinia publiczna stoi po naszej stronie...
 - A jeżeli dowie się, co naprawdę robisz? – pyta Cassius.
- Szakal nie odpowiada od razu, tylko wzywa skinieniem ledwie okrytą Różową, czekającą na sofie w przyległym pomieszczeniu. Dziewczyna, niewiele starsza od Eo, podchodzi do boku Szakala ze wzrokiem wbitym pokorne w ziemię. Jej oczy przypominają różowy kwarc, srebrzysto-różowe warkocze opadają na nagie plecy. Ta dziewczyna została wychowana do dostarczania przyjemności tym potworom i ogarnia mnie strach na myśl, co rozgrywało się na tych jej łagodnych oczach. Mój ból wydaje się nagle mały. Szaleństwo w moim umyśle – spokojne. Szakal głoścze dziewczynę po policzku, a potem – wciąż patrząc na mnie – wsuwa palce do jej ust i rozwierazęby. Kikutem popycha Różową, aby odchyliła głowę, i wtedy widzę, podobnie jak Aja i Cassius.

Dziewczyna nie ma języka.

- Zrobiłem to własnoręcznie po tym, jak ją pojmaliśmy osiem miesięcy temu. Próbowała zabić jednego z moich Jeźdźców Kości w klubie Pereł w Agei. Nienawidzi

mnie. Niczego na świecie nie pragnie bardziej, niż ujrzeć moje gnijące zwłoki. – Szakal puszcza dziewczynę, wyciąga broń z kabury przy pasie, a potem podaje Różowej. – Strzel mi w głowę, Kaliope. Za wszystkie poniżenia, jakich doznaliście ode mnie ty i twój rodzaj. Śmiało. Wyrwałem ci język. A pamiętasz, co ci zrobiłem w bibliotece? Zrobię to znowu, a potem jeszcze raz i jeszcze... – Ścisła jej drobny podbródek. – I jeszcze raz. Pociągnij za spust, ty mała dziwko. Strzelaj!

Różowa trzęsie się ze strachu, wypuszcza broń z drżących rąk, opada na kolana i czołem dotyka stóp swojego oprawcy. Szakal prostuje się z zadowoleniem i niemal z miłością dotyka jej głowy.

– No, już dobrze, Kaliope. Dobrze się spisałaś. Naprawdę dobrze. – Odwraca się do Ai. – Dla tłuszczyc zawsze lepszy jest miód niż dzegieć. Ale jedynym sposobem na tych, którzy walczą podstępem, trucizną, akcjami sabotażowymi w kanałach oraz terroryzują ulice, jest strach.

Spogląda mi w oczy.

– Strach i eksterminacja.

Rozdział trzeci

UKĄSZENIE WĘŻA

Krew kapie, gdy wibrujący metal ścina mi włosy. Brudne jasne kosmyki opadają na beton, gdy Szary goli mi głowę elektryczną golarką. Jego towarzysze nazywają tego mężczyznę Danto. Szary obraca mi głowę, żeby sprawdzić, czy wykonał dokładnie zadanie, po czym mocno uderza mnie w kark.

– Co powiesz na kąpiel, domine? – pyta. – Grimmus lubi, gdy jej więźniowie ładnie i cywilizowanie pachną, rozumiesz?

Poklepuje kaganiec. Musieli mi go nałożyć po tym, jak próbowałem ugryźć Szarego, który ściągał mnie ze stołu Szakala. Zapięli mi też na szyi obrożę elektryczną, spętali ręce na plecach, a oddział dwunastu ciężkozbrojnych wyjadaczy powłóknął mnie przez korytarze jak worek śmieci.

Drugi Szary szarpnięciem za obrożę podnosi mnie ze stołka, podczas gdy Danto pochyla się, żeby rozwinąć wąż. Obaj moi strażnicy czy też oprawcy są o głowę ode mnie niżsi, ale muskularni i silni. Życie, jakie tutaj prowadzą, nie należy do łatwych – ścigają uciekinierów, śledzą zabójców z Syndykatu w głębiach Księżyca, polują na Synów Aresa w kopalniach...

Nienawidzę, gdy mnie dotykają. Nienawidzę ich widoku i odgłosów, które wydają. To za wiele. Za mocno. Za głośno. Wszystko, co robią, rani. Szarpią mnie. Biją obojętnie. Staram się, jak mogę, aby powstrzymać łzy, ale nie umiem sobie z tym poradzić.

Dwunastu żołnierzy zbija się w gromadę i przygląda, jak Danto wyciąga wąż w moją stronę. Wśród Szarych stoi trzech Obsydianów. Jak w większości oddziałów zwiadowczych.

Woda uderza mnie w pierś niby końskie kopyto. Zdziera skórę. Przetaczam się po betonowej podłodze, ślizgam po pomieszczeniu, aż strumień wody wciska mnie w kąt. Głowa odbija mi się od ściany, przed oczyma tańczą gwiazdy. Połykam wodę. Dławię się i kulę, aby osłonić twarz, ponieważ ręce wciąż mam spętane za plecami.

Kiedy „kąpiel” jest skończona, kaszlę i charczę pod kagańcem. Nie mogę nabrać tchu. Wreszcie jeden z Szarych zdejmuje mi kajdanki. Wsuwam nogi i ręce w czarny kombinezon więzienny, a potem znowu zostaję skuty. Czeka jeszcze kaptur, który założą mi na głowę, aby pozabawić mnie resztek człowieczeństwa. Potem zostaję przywiązanego do krzesła. Nic nie pozostawia się przypadkowi, każdy mój ruch jest obserwowany. Szarzy pilnują mnie jak kogoś, kim byłem, nie tego, kim jestem. Mrużę oczy, wzrok mi się rozmywa. Woda kapie z rzęs, próbuję pociągnąć nosem,

ale wewnątrz mam zakrzepłą krew – po złamaniu przegrody przy zakładaniu kagańca.

Czekam w pokoju przed salą Zarządu Kontroli Jakości, który nadzoruje administracyjnie więzienie pod fortę Szakala. Budynek to betonowe pudło, jak każda siedziba rządowa. Blade oświetlenie sprawia, że każdy wygląda tutaj jak zombie, a pory na jego skórze wydają się kraterami po meteorytach. Oprócz Szarych, Obsydianów i Żółtego lekarza w pomieszczeniu znajduje się stół do badań i wąż. Jednak to smugi na metalowej podłodze i ślady paznokci na metalowym krześle świadczą o przeznaczeniu tego pokoju. Właśnie tutaj zaczyna się koniec życia.

Cassius nigdy by nie wszedł do tej nory. Niewielu Złotych musiało lub chciało tu przebywać, chyba że uczynili sobie wrogów z nieodpowiednich ludzi. To wnętrze zegara, gdzie kręcą się i przesuwają zębinki. Jak ktokolwiek może wykazać się odwagą w tak nieludzkim miejscu?

– Obłęd, nie? – rzuca Danto do Szarych za swoimi plecami, a potem zerka na mnie wymownie. – W życiu nie widziałem niczego tak dziwacznego.

– Snycerz musiał mu dodać ze sto kilo – komentuje inny Szary.

– Więcej. Widzieliście go w zbroi? Potwór jak cholera.

Danto szarpie mnie za kaganiec wytatuowanym palcem.

– Założę się, że drugie narodziny bolą. Szacunek za to. Ból to uniwersalny język. Co nie, Rdzewiaku?

Kiedy nie odpowiadam, pochyla się i staje mi na nagich stopach. Ma buty wzmocnione stalą. Mój paluch pęka. Ból i krew buchają spod rozerwanego paznokcia. Głowa mi opada, rozpaczliwie nabieram tchu.

– Co nie? – powtarza Danto.

Z oczu płyną mi łzy, nie przez ból, lecz obojętność tego okrucieństwa. Czuję się przez to mały. Dlaczego tak niewiele mu potrzeba, aby zranić mnie tak mocno? Prawie zaczynam tęsknić za swoją kamienną celą.

– To tylko małpa przebrana za człowieka – mówi inny Szary. – Zostaw go. Nawet nie rozumie, o co ci chodzi.

– Nie rozumie? – prycha Danto. – Gówno prawda. Lubił stroić się w szaty pana. Lubił nam rozkazywać.

Przykuca, żeby popatrzeć mi w oczy. Próbuje odwrócić wzrok, bo ogarnia mnie strach, że znowu mnie zrani, ale Danto tylko przytrzymuje mi głowę i rozwiera powieki kciukami.

– Moje dwie siostry zginęły w tym twoim Deszczu, Rdzewiaku. Straciłem też wielu przyjaciół, słyszysz? – Uderza mnie w skroń czymś metalowym. Przed oczyma latają mi świetliste plamy, czuję krew spływającą po twarzy. Za plecami Danta centurion sprawdza swój tablet. – Chcesz tego samego dla moich dzieci, co?

Danto wbija wzrok w moje oczy, szukając odpowiedzi. Nie znam żadnej, którą chciałby usłyszeć.

Podobnie jak inni, Danto to legionista weteran, brytan, twardy i wysłużony jak pordzewiała krata zamykająca kanał ściekowy. Na jego czarnym kombinezonie bojowym technicy umieścili purpurowe, mgliste smoki zwijające się w kunsztowny symbol. W oczy Szarego wszczepiono implanty do widzenia w podczerwieni i odczytu map bojowych. Pod skórą ma jeszcze więcej technicznych nowinek, które wspomagają Danta przy ściganiu Złotych i Obsydianów. Wszyscy pilnujący mnie Szarzy mają na szyi wytatuowany numer XIII opleciony przez poruszającego się smoka morskiego, a poniżej kupkę popiołu. Można po tym poznać, że to członkowie Legio XIII Dracones, ulubionego legionu Pretorianów Pana Popiółów, a teraz także jego córki, Ai. Cywile pewnie przezwali by tych Szarych „dragonami”. Mustang nienawidziła tych fanatyków. To niezależna, trzydziestotysięczna armia wybrana przez Aję, aby stała się zbrojnym ramieniem Władczyni z dala od Księżyca.

Nienawidzą mnie.

Nienawidzą PodKolorów do szpiku kości, a w swoim rasizmie górują nawet nad Złotymi.

– Jak chcesz, żeby kwiczał, weź się za jego uszy, Danto – proponuje wysoka Szara. Stoi przy drzwiach, a jej kwadratowa szczeka porusza się rytmicznie przy żuciu gumy. Kobieta ma popielate włosy przycięte w krótkiego irokeza, a w jej głosie pobrzmięwa akcent ziemsiego dialekту. Opiera się o framugę obok ziewającego żołnierza z nosem delikatnym i wąskim jak u Różowego. – Uderz stulonymi dłońmi, ciśnienie zerwie bębenki.

– Dziękuję, Holi.

– Służę pomocą.

Danto zwija dłoń.

– Tak? – Uderza mnie w głowę.

– Musisz trochę bardziej zgiąć...

Centurion przerywa pstryknieniem tę rozmowę.

– Danto, Grimmus chce go w jednym kawałku. Cofnij się, niech doktor mu się przyjrzy.

Oddychem z ulgą, że tortury zostały przerwane.

Żółty lekarz pochyla się nade mną i przygląda paciorkowatymi oczami o tęczówkach w barwie ciemnej ochry. Światło z góry sprawia, że pas łysiny lśni niczym woskowata skóra jabłka. Mężczyzna przesuwa bioskopem nad moją piersią i przygląda się moim wskaźnikom życiowym przez implanty w oczach.

– No i, doktorze?

– Nadzwyczajne – szepcze Żółty po chwili. – Gęstość kości i organów wewnętrznych jest bardzo dobra, pomimo niskokalorycznej diety. Mięśnie uległy

atrofii, jak wykazały badania laboratoryjne, ale nie tak bardzo, jak u naturalnych Aureatów.

– Chcesz powiedzieć, że jest lepszy od Złotego? – pyta centurion.

– Nic podobnego nie powiedziałem – obrusza się lekarz.

– Spokojnie, tu nie ma kamer. To poczekalnia. Jaki werdykt?

– Można to transportować.

– To? – udaje mi się warknąć groźnie zza kagańca.

Doktor cofa się zaskoczony, że mogę mówić.

– Długoterminowa sedacja? Podróż na Książyc z tej orbity potrwa trzy tygodnie.

– Jak najbardziej. – Lekarz zerka na mnie z przestrachem. – Ale podniósłbym dawkę do dziesięciu miligramów na dzień, kapitanie, tak na wszelki wypadek. To ma nienormalnie wytrzymały układ krążenia.

– Świetnie. – Centurion skinieniem głowy przywołuje Szarą. – Zajmij się tym, Holi.

Połów go na pryczy, potem znajdź wózek i przewieź. Jesteś wolny, doktorze, możesz wracać do swojego świata mocnego espresso i jedwabiu. Zajmiemy się...

Pyk. Pół czoła centuriona znika. Rozlega się metaliczne uderzenie w ścianę.

Patrzę na dowódcę Szarych, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie ma twarzy.

Mózg odmawia mi współpracy. Pyk. Pyk. Pyk. Pyk. Jak trzask stawów. Czerwona

mgła bucha z głów najbliższych dragonów. Pryska mi w oczy, pochylam się niepewnie. Z tyłu kobieta z kwadratową szczęką przechodzi obojętnie za swoich towarzyszy, po czym strzela im w kark. Reszta wyciąga niezdarnie broń, ale nie ma już czasu nawet na przekleństwa, gdy drugi Szary spod drzwi zabija pięciu starościeckim rewolwerem. Tłumik na lufie tak cudnie wycisza huk wystrzałów. Obsydiani padają w kałużach krwi.

– Czysto – oznajmia Szara.

– Zostało dwóch – burczy Szary. Zabija Żółtego lekarza, gdy ten czołga się do drzwi w nędznej próbie ucieczki. Potem żołnierz przyciska stopą tors Danta. Mój oprawca spogląda na towarzysza broni, po podbródku spływa mu krew.

– Trigg... Czemu...

– Ares przesyła pozdrowienia, skurwielu. – Szary przykłada broń tuż pod bojowym hełmem Danta i strzela mu między oczy, a potem prostuje się, dmuchnięciem rozwiewa dym unoszący się z lufy i chowa rewolwer do kabury przy udzie. – Czysto.

Poruszam ustami pod kagańcem i usiłuję wydusić choć jedno zrozumiałe słowo.

– Kto... wy?

Szara kopniakiem odsuwa sobie ciało z drogi.

– Nazywam się Holiday ti Nakamura. A to Trigg, mój najmłodszy brat. – Unosi brew przeciętą blizną. Na szerokiej twarzy ma mnóstwo piegów, do tego płaski od złamań nos i ciemnoszare, wąskie oczy. – Pytanie tylko, kim ty jesteś?

– Kim ja jestem? – mamroczę.
– Przyszliśmy po Kosiarza. Ale jeżeli to ty, chyba powinniśmy dostać zwrot kasy. – Nieoczekiwanie mruga do mnie porozumiewawczo. – Żartuję, proszę pana.
– Przestań, Holiday. – Trigg odsuwa ją na wszelki wypadek. – Nie widzisz, że ten człowiek jest w szoku?

A potem podchodzi do mnie czujnie, z uniesionymi rękami.
– Jest pan naszym celem – wyjaśnia uspokajającym tonem. – Przyszliśmy panu na ratunek.

Jego głos jest bardziej chrapliwy i mniej wyszkolony niż Holiday. Kulę się, gdy robi następny krok. Przyglądam się jego dloniom, szukam broni. Na pewno chce mnie skrzywdzić.

– Rozkuję pana. Nic więcej. Przecież pan tego chce, tak?
To kłamstwo. Sztuczka Szakala. Ten Szary ma tatuaż „XIII”. Ci dwoje to Pretorianie, nie Synowie Aresa. Kłamcy. Zabójcy.

– Bez pana zgody nie rozepnę kajdanek.
Nie. Nie – przecież zabił strażników. Przyszedł mi pomóc. Musi być tutaj, żeby mi pomóc. Kiwam głową, a Trigg staje za moimi plecami. Nie ufam mu. Niemal czekam na ukłucie igły. Przekrąć. Ale zaraz jestem wolny i czuję, że ryzyko się opłacało. Kajdanki spadają. Stawy ramion mi trzaskają, gdy z jękiem przenoszę dlonie na kolana. Po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy. Ból sprawia, że drżą. Paznokcie wyrosły mi długie i obrzydliwe. Ale to znowu moje ręce. Zmuszam nogi do ucieczki i walę się na podłogę.

– No, no... – Holiday podsadza mnie z powrotem na krzesło. – Spokojnie, bohaterze. Masz straszną atrofię mięśni. Będziesz musiał się podtuczyć.

Trigg staje przede mną, uśmiecha się krzywo – szczerze, chłopięco, o wiele mniej przerażająco niż jego siostra, pomimo dwóch złotych kropel wytatuowanych tak, jakby spływały mu z prawego oka. Trigg wygląda jak wierny pies. Ostrożnie ściąga mi kaganiec, a potem nagle sobie coś przypomina.

– Mam coś dla pana.
– Nie teraz, Trigg. – Holiday zerka na drzwi. – Nie mamy czasu.
– Ale on tego potrzebuje – szepcze Trigg, jednak czeka, aż Holiday skinie głową, zanim wyciąga skórzane zawiniątko z plecaka w swoim pancerzu. Podaje mi. – Należy do pana. Proszę. – Wyczuwa jednak moją niechęć. – Hej, przecież pana nie okłamałem i rozkułem, nie?

– No...
Wyciągam ręce, a Trigg kładzie na nich skórzane zawiniątko. Palce mi się trzęsą, ale rozwiążuję rzemień. Wyczuwam moc, zanim jeszcze dostrzegam śmiercionośny błysk. Niemal upuszczam zawiniątko, przerażony nim tak samo, jak światłem.

To moje ostrze. To, które dostałem od Mustang. To, które odebrano mi dwukrotnie – za pierwszym razem zrobił to Karnus, drugi raz Szakal podczas Triumfu. Białe ostrze, gładkie niby dziecięcy mleczny żąb. Przesuwam dlonią po zimnym metalu i poplamionej solą skórzanej rękojeści. Dotyk budzi melancholijne wspomnienia siły dawno utracone i długo zapomianego ciepła.

Zapach orzechów przywołuje obrazy sali ćwiczeń u Lorna, gdzie uczył mnie fechtunku, podczas gdy jego wnuczka piekła swoje pierwsze ciasto w przyległej kuchni.

Ostrze przecina powietrze, tak piękne, tak złudne w swojej obietnicy mocy. Ta broń przekonała mnie, że jestem bogiem, tak jak wmaiała to pokoleniom ludzi przede mną. Lecz teraz już wiem, że to kłamstwo. Straszliwą cenę trzeba zapłacić za dumę.

Przeraża mnie, że miałbym ująć tę broń ponownie.

Z sykiem niczym zew godowy żmii jaskiniowej, ostrze rozciąga się w zakrzywiony kształt slinga. Było puste i gładkie, gdy ostatnio je widziałem, jednak teraz migocze obrazami wytrawionymi w metalu. Obracam sling, żeby lepiej się przyjrzeć temu, co znajduje się tuż przy rękojeści. Patrzę z niedowierzaniem. A Eo patrzy na mnie. Jej wizerunek wygrawerowany na ostrzu. Artysta nie uchwycił jej na szubienicy, nie w tamtej chwili, która na zawsze ją utrwała w pamięci innych, lecz jako dziewczynę, którą kochałem. Z rozwianymi włosami do ramion, pochyloną, by zerwać kwiat haemanthusa, z ustami rozchylonymi do uśmiechu. A nad Eo mój ojciec całuje matkę w progu naszego domu. A dalej, ku końcówce ostrza, Leanna, Loran i ja ścigamy Kierana w głąb tunelu – na twarzach mamy maski ze Święta Nocy Sierpiowej. To moje dzieciństwo.

Ten, kto wykonał te grawerunki, dobrze mnie zna.

– Złoci zamieszczają swoje uczynki na mieczach. Wielkie, pełne przemocy gówno, którego się dopuścili. Ares uznał jednak, że wolałbyś zobaczyć ludzi, których kochasz – wyjaśnia cicho Holiday zza pleców brata. Zerka przez ramię na drzwi.

– Ares nie żyje.

Obserwuję ich twarze, żeby wychwycić oszustwo, złośliwy błysk w oku.

– Szakal was przysłał. To podstęp. Pułapka. Żebym doprowadził was do bazy Synów Aresa. – Zaciskam dłoń na slingu. – Chcecie mnie wykorzystać. Kłamicie.

Holiday cofa się, czujnie wpatrzona w broń, ale Trigga rani bardziej oskarżenie.

– Kłamać? Tobie? Oddalibyśmy za pana życie! Oddalibyśmy życie dla Persefony... dla Eo. – Krzywi się, próbując znaleźć odpowiednie słowa, a ja odnoszę wrażenie, że zwykle to siostrze pozwala mówić w swoim imieniu. – Za tymi murami czeka armia... Czy to się nie liczy? Armia, która czeka na powrót... swojego ducha. – Pochyla się do mnie znacząco, aż Holiday zerka spod drzwi. – Pochodzimy z Południowej Pacyfiki, zapadłej dziury na Ziemi. Myślałem, że umrę tam, strzegąc silosów zbożowych. Ale

znalazłem się tutaj. Na Marsie. I moim jedynym zadaniem jest zabrać pana do domu...

– Spotkałem już lepszych kłamców niż ty – syczę.

– Walić to. – Holiday wyciąga swój unipad.

Trigg próbuje ją powstrzymać.

– Ares powiedział, że tylko w ostateczności. Jeżeli sygnał zostanie zhakowany...

– Popatrz na niego. To jest ostateczność. – Odpina unipad i rzuca go mnie.

Połączenie z innym aparatem. Ekran migra błękitem, oczekuje, aż odbiorę. A kiedy to robię, pojawia się holograficzny obraz nie większy niż moja pięść – hełm z kolcami.

Czerwone oczy błyszczą złowrogo pod przykryciem.

– Fitchner?

– Zgaduj po raz drugi, kretynie – dobiera się warkot spod hełmu.

Niemogliwe.

– Sevro? – To imię wyrywa mi się niemal jak jęk.

– O, chłopie, wyglądasz, jakbyś wyczołał się z własnego grobu.

– Żyjesz... – Gdy to mówię, holograficzny hełm znika i ukazuje się wykrzywiona twarz mojego przyjaciela. Sevro szczerzy w uśmiechu ostre zęby. Obraz migocze.

– Nie ma takiego Pixie na świecie, który mógłby mnie zabić. – Śmieje się złośliwie.

– Ale czas, abyś wrócił do domu, Kosiarzu. Nie mogę przyjść do ciebie, więc ty musisz pofatygować się do mnie. Rozumiesz?

– Jak? – Ocieram łzy z oczu.

– Zaufaj moim Synom. Możesz?

Zerkam na Szare rodzeństwo i kiwam głową.

– Szakal... Więzi moją rodzinę.

– Ten zasrany kanibal głównie ma. Twoja rodzina jest ze mną. Zabrałem ich z Lykos, gdy cię złapano. Matka na ciebie czeka. – Znowu zaczynam płakać. Ulga jest zbyt wielka, abym mógł to znieść. – Ale musisz się wziąć w garść, chłopie. Rusz się.

Potem zerka w bok.

– Daj mi Holiday.

Robię, jak każe.

– Postaraj się zrobić to czysto, jeżeli się uda. Ale nie cofaj się przed niczym, jeżeli będzie trzeba. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Zerwij pęta.

– Zerwij pęta – powtarza Szara, a obraz Sevra znika.

– Nie patrz na nasz Kolor – mówi mi Holiday. Wyciąga wytatuowaną rękę. Patrzę na Szare Sigile wytrawione w jej skórze, potem unoszę wzrok na piegowatą, twardą twarz. Jedno z oczu Holiday jest bioniczne, nie mruga jak drugie. Słowa Eo brzmią dziwnie w jej ustach. A jednak chyba właśnie wtedy odzyskuję duszę. Nie umysł.

Wciąż czuję w nim pęknięcia i podstępnie wkradający się tam mrok zwątpienia. Ale powraca nadzieję. Rozpaczliwie zaciskam palce na dłoni Szarej.

– Zerwij pęta – powtarzam ochryple. A potem wskazuję na swoje bezwartościowe nogi. – Będziecie musieli mnie nieść. Nie mogę ustać.

– Właśnie dlatego mamy dla ciebie specjalny koktajl. – Holiday wyjmuje z plecaka strzykawkę.

– Co to takiego? – pytam podejrzliwie.

Trigg tylko parska śmiechem.

– Coś, co cię wzmacni, przyjacielu. Serio. I naprawdę nie chcesz wiedzieć, co w tym jest. – Szczerzy się. – Draństwo ożywiłoby trupa.

– No to dawaj. – Wyciągam rękę.

– Będzie bolało – ostrzega Trigg.

– To duży chłopiec. – Holiday podchodzi bliżej.

– Proszę... – Trigg podaje mi swoją rękawicę. – Włóż międzyzęby.

Chociaż pewność siebie znowu mnie opuszcza, zaciskam zęby na skórze i kiwam głową do Holiday. Pochyla się, ale nie nad moim ramieniem, lecz do piersi, aby wbić igłę prosto w serce. Metal przebiją ciało, tłok uwalnia zawartość.

– Jasna kurwa! – próbuję wrzasnąć, ale wyrywa mi się tylko nieartykułowany gulgot. Pożar rozprzestrzenia się w żyłach, serce galopuje, jakby miało mi się wyrwać z piersi. Spoglądam na siebie w przekonaniu, że zaraz wybuchnę. Czuję każdy mięsień. Każda moja komórka eksploduje, pulsuje energią. Dostaję mdłości. Zwalam się na podłogę, przyciskając pięści do piersi. Oddycham płytko. Spluwam. Uderzam w podłogę. Szarzy odskakują od mojego wijącego się w konwulsjach ciała. Przewracam krzesło, wyrywam je z miejsca, gdzie było przykręcane. A potem puszcza wiązankę przekleństw, przy których Sevro by się zarumienił. Kiedy już tylko się trzęsem, podnoszę głowę.

– C-co... to... było? – pytam Szarych.

Holiday z trudem powstrzymuje śmiech.

– Mama nazywa to „Ukąszenie Węża”. Z twoim metabolizmem podziała najwyżej pół godziny.

– Twoja matka to zrobiła?

Trigg wzrusza ramionami.

– Jesteśmy z Ziemi.

Rozdział czwarty

CELA NR 2187

Holiday i Trigg eskortują mnie jak więźnia przez korytarze. Z workiem na głowie i niezatrzaśniętymi kajdankami na rękach za plecami. Brat po prawej, siostra po lewej – muszą mnie podtrzymywać. Ukaşzenie Węża pozwala mi iść, ale niezbyt sprawnie. Moje ciało, choć naćpane po dziurki w nosie, nadal wydaje się ciężkie i bezwładne jak mokra ścierka. Ledwie czuję zmiażdżony paluch i niepewne stopy. Cienkie więzienne buty skrzypią na posadzce. Głowa mi się kiwa, ale myśli mkną z hiperprędkością. I są maniakalnie skoncentrowane. Przygryzam język, żeby nie szeptać, i muszę się napominać, że nie otacza mnie mrok. Szarzy ciągną mnie przez betonowy korytarz. To marsz do wolności. Do moich bliskich. Do Sevra.

Nikt nie ośmieli się zatrzymać dwóch dragonów z Trzynastki, nie wtedy, gdy mają przepustki, a Aja we własnej osobie przebywa w fortacy. Wątpię, aby wielu z armii Szakala zdawało sobie nawet sprawę, że żyję. Popatrzyliby co najwyżej na mój wzrost i bladą skórę, a potem uznaliby mnie za jakiegoś pechowego Obsydiana. A jednak czuję obce spojrzenia. Ogarnia mnie paranoja.

Wiedzą. Wiedzą o pozostawionych ciałach. Ile minie czasu, zanim ktoś otworzy drzwi? Ile potrwa, zanim zostaniemy przyłapani?

Myśli kłębią się, gdy rozważam mnóstwo możliwych zakończeń. Gdy wszystko pójdzie źle. To narkotyki. To tylko narkotyki.

– Nie powinniśmy jechać w górę? – pytam, gdy opadamy w windzie grawitacyjnej głębiej w czeluści lochów górskiej fortacy. – Czy na dole jest hangar?

– Słuszny domysł – przyznaje Trigg, na którym chyba zrobiłem wrażenie. – Czeka tam na nas statek.

Holiday zaczyna żuć kolejną gumę.

– Masz coś na nosie, Trigg. O... tu.

– Przymknij się. To nie ja się rumieniem, gdy on był nagi.

– Jesteś pewien, młody? Cisza. – Winda zwalnia, a rodzeństwo nieruchomieje w napięciu. Słyszę, jak oboje odbezpieczają broń. Drzwi się otwierają, ktoś wchodzi do kabiny.

– Domine – Holiday wita nowo przybyłego i odsuwa mnie w kąt, żeby zrobić miejsce. Buty, które słyszę, są ciężkie, w sam raz dla Obsydiana albo Złotego. Ale do Obsydianów Szarzy nie zwracają się per domine. Zresztą żaden Obsidian nie pachniałby cynamonem i koniczyną.

– Sierżancie. – Głos zgrzyta mi w uszach. Należy do człowieka, który kiedyś zrobił sobie naszyjnik z uszu. Vixus. Jeden ze starej bandy Titusa. Brał udział w masakrze podczas mojego Triumfu. Wciskam się bardziej w kąt windy, która znowu jedzie w dół. Vixus mógłby mnie rozpoznać. Wyczuje mnie. Pewnie już to robi, bo patrzy w moją stronę. Słyszę szelest jego kołnierza.

– Legion Trzynasty? – pyta po chwili. Pewnie zauważył tatuaże na szyjach rodzeństwa. – Od Ai czy jej ojca?

– W tej turze u Furii, *domine* – odpowiada chłodno Holiday. – Ale służymy Panu Popiołów.

– Ach, zatem walczyliście w bitwie o Deimosa w zeszłym roku?

– Tak, *domine*. Byliśmy z Furią w pierwszym szeregu promów bojowych posłanych na Telemanusów, zanim au Fabii i okręty Arcosa tam dotarły. Ten tutaj, mój brat, postrzelił starego Kavaxa w ramię. Prawie go powalił, zanim Augustus i żona Kavaxa rozbili nasz oddział uderzeniowy.

– No, no – w głosie Vixusa brzmi aprobaty. – To by dopiero był wyczyn godny nagrody. Ale i tak powinieneś sobie wytatuować kolejną łzę na twarzy, legionisto. A ja ścigałem z Siódemką tego Obsydianowego psa. Pan Popiołów wyznaczył całkiem niezłą nagrodę za odzyskanie swojego niewolnika.

Prycha pod nosem. Przypomina to odgłos upuszczanej pary.

– A to kto?

Pyta o mnie.

Serce podchodzi mi do gardła.

– Podarunek dla Pretor Grimmus w zamian za... paczkę, którą zabiera do domu – wyjaśnia Holiday. – Sam rozumiesz, panie.

– Paczkę. Ale dość Przerdzewiałą – śmieje się z własnego żartu Vixus. – Znam go? Dotyka skraju kaptura, który mam na głowie. Cofam się bardziej w kąt.

– Wyjec sprawiłby przyjemność. Kamyk? Klaun? Nie, za wysoki...

– Obsydian – wyjaśnia szybko Trigg. – Szkoda, że nie Wyjec.

– Fuj. – Vixus cofa dłoń jak oparzony. – Zaraz, zaraz...

Ma pomysł.

– Wsadźmy go do celi z tą suką Julii. Niech walczą o kolację. Co myślicie, trzynastki? Zabawimy się?

– Trigg, wyłącz kamerę – rozkazuję ostro spod kaptura.

– Co? – Vixus odwraca się zaskoczony.

Pyk. Właśnie włączyło się pole zakłócające.

Ruszam, niezdarnie, ale szybko. Wyrywam ręce z kajdanków, wyszarpuję ukryty nóż jedną ręką, drugą zdzieram kaptur. Przybijam Vixusowi ramię do ściany i z głowy uderzam go w twarz. Nie jestem jednak taki, jak byłem, nawet na

dopalaczach. Wzrok mi się rozmywa. Potykam się. A Vixus trzyma się prosto i zanim udaje mi się zareagować, zanim skupię wzrok, wyciąga miecz.

Holiday zasłania mnie własnym ciałem, odpycha na bezpieczny dystans. Upadam. Trigg jest jeszcze szybszy, gdy wyszarpuje rewolwer i wbija lufę w otwarte usta Vixusa. Złoty zamiera, gdy widzi broń. Jego ostrze zatrzymuje się o milimetry od gardła Holiday.

– Ciii... – szepcze Trigg. – Opuść miecz.

Vixus puszcza.

– Co ty sobie myślisz, do cholery? – pyta mnie Holiday gniewnie. Ciężko dyszy, ale pomaga mi wstać. Wciąż kręci mi się w głowie. Przepraszam. To było głupie z mojej strony. Opieram się o ścianę i przyglądam Vixusowi uważnie. A on patrzy na mnie ze zgrozą. Nogi mi się trzęsą, muszę podtrzymywać się poręczy. Serce mi łomocze od narkotyków w krwiobiegu. Głupi pomysł tak rwać się do walki. Jeszcze głupszym było użycie zakłócacza. Zieloni, którzy monitorują systemy więzienia, na pewno szybko poskładają elementy układanki w całość. I wyśłą Szarych, żeby sprawdzili pomieszczenie przy Zarządzie Kontroli Jakości. A wtedy znajdą ciała.

Staram się opanować kłębiące się myśli. Skupić się.

– Czy Victra żyje? – udaje mi się wychrypieć.

Trigg cofa nieco broń, żeby Vixus mógł odpowiedzieć. Ale Złoty milczy. Na razie.

– Wiesz, co mi zrobił Szakal? – pytam. Po chwili Vixus przytakuje ruchem głowy. Śmieję się. Ten śmiech przypomina pękający lód, rozszerza się, rozciąga się i rozprasza, ale w porę przygryzam sobie język, aby nie trwał za długo. – I... I nadal masz odwagę zmuszać mnie, abym zapytał cię po raz drugi?

– Victra żyje.

– Kosiarzu... zaraz po nas przyjdą. Wiedzą, że kamera jest zakłócana. – Holiday zerka na kamerę pod sufitem windy. – Nie możemy zmienić planów.

– Gdzie ona jest? – Obracam ostrze. – Gdzie?

Vixus syczy z bólu.

– Poziom dwudziesty trzeci, cela dwadzieścia jeden-osiemdziesiąt siedem. Mądrze by było, gdybyś mnie nie zabił. Możesz mnie zostawić w jej celi. Uciec. Podam ci, jak tam dotrzeć, Darrow. – Muskuły i żyły wiją się pod jego skórą na szyi jak węże pod piaskiem. Ani grama tłuszczu. – Z dwojgiem zdradzieckich Pretorianów nie zajdziesz daleko. W tej górze kryje się armia. Legiony stacjonują w mieście i na orbicie.

Trzydziestu Niezrównanych Naznaczonych. Jeźdźcy Kości na południu Attyki. – Ruchem głowy wskazuje małą czaszkę ptaka w klapie marynarki swojego munduru.

– Pamiętasz ich?

– Nie potrzebujemy go – wtrąca Trigg z palcem na spuście.

– Czyżby? – śmieje się Vixus. Wraca mu pewność siebie, gdy widzi moją słabość. – A co zamierzacie zrobić w obliczu Rycerza Olimpijskiego, zakute łyby? Och, zaraz.

Przeciwko dwojgu Rycerzom.

Holiday tylko prycha.

– To samo, co ty, złotowłosy. Uciekniemy.

– Poziom dwudziesty trzeci – mówię Triggowi.

Trigg wbija guziki na panelu windy i zmienia naszą trasę ucieczki. Włącza mapę na swoim unipadzie, przygląda się jej krótko wraz z siostrą.

– Cela dwadzieścia jeden-osiemdziesiąt siedem jest... tutaj. Zamek z kodem.

Kamery.

– Za daleko od punktu ewakuacyjnego. – Holiday zaciska wargi. – Jeżeli odejdziemy tak daleko, już po nas.

– Victra to moja przyjaciółka – upieram się. Na dodatek myślałem, że zginęła, a jednak udało się jej przeżyć postrzał. – Nie zostawię jej.

– Nie mamy wyboru – protestuje Holiday.

– Zawsze jest wybór. – Nawet w moich własnych ustach te słowa brzmią jak brednie.

– Spójrz na siebie, człowieku. Jesteś wrakiem!

– Odczep się od niego, Holi – warczy Trigg.

– Ta Złota suka nie jest jedną z nas! Nie zaryzykuję dla niej życia.

Ale Victra poświęciłaby dla mnie życie. W mroku myślałem o niej często.

Wspominałem dzieciętą radość w jej oczach, gdy u Szakala podarowałem jej fiolkę z zapachem kamieni po deszczu. „Nie wiedziałam, Darrow, nie wiedziałam...” – to były jej ostatnie słowa, które powiedziała do mnie po zdradzie Roque'a. Wokół panowała śmierć, w plecach miała dwie kule, a chciała tylko, żebybym nie myślał o niej źle w tej ostatniej godzinie.

– Nie zostawię jej – powtórzyłem z uporem.

– Pójdę z tobą – zapewnia Trigg. – Cokolwiek rozkażesz, Kosiarzu. Jestem z tobą.

– Trigg – szepcze Holiday. – Ares powiedział...

– Ares nie odwrócił przeznaczenia. – Trigg ruchem głowy wskazuje na mnie. – On może. Idziemy z nim.

– A jeżeli nasze okno do ucieczki się zamknie?

– Zrobimy sobie nowe. Mamy sporo materiałów wybuchowych.

Spojrzenie Holiday staje się nieobecne, Szara w zamyśleniu żuje gumę. Znam ten wyraz twarzy. Ona nie dostrzega w swoim bracie tego, co ja. Dla niej to nie brytan ani zabójca, lecz tylko chłopiec, z którym się wychowała.

– No dobra. Wchodzę w to – zgadza się niechętnie.

– Co z Naznaczonym? – pyta Trigg.

– Jeżeli wpisze kod, przeżyje – mówię cicho. – Zastrzel go, jeżeli spróbuje czegoś głupiego.

* * *

Wychodzimy z windy na poziomie dwudziestym trzecim. Znowu mam na głowie kaptur, a Holiday prowadzi mnie korytarzami. Vixus idzie przodem, jakby odprowadzał nas do celi, Trigg z bronią gotową do strzału niemal depcze mu po piętach. W korytarzach panuje cisza. Nasze kroki odbijają się echem od ścian. Nic nie widzę przez kaptur.

- To tutaj – mówi Vixus, gdy docieramy do drzwi.
- Wpisz kod, dupku – rozkazuje Holiday.

Vixus wpisuje i drzwi z sykiem się odsuwają. Otacza nas ryczący hałas. Straszliwe trzaski z głośników. W celi panuje przejmujący mróz, wszystko spowija biel. Światło z sufitu jest tak oslepiające, że odwracam wzrok. W kącie celi leży wygłodzony więzień – nogi podciągnięte pod brodę w pozycji embrionalnej, plecami do mnie. Na skórze widać ślady oparzeń i smugi po uderzeniach. Przed przenikliwym światłem kobietę chronią tylko skołtunione białe włosy, które spadają na oczy. Nie rozpoznałbym jej, gdyby nie dwie blizny po kulach na wysokości kręgosłupa między łopatkami.

- Victro! – próbuję przekrzyczeć hałas. Nie słyszy mnie. – Victro!

Tym razem mój głos się przebija, bo hałas cichnie, zastąpiony łomotem serca z głośników. Victra torturowana jest światłem i dźwiękiem. Doznaniami. Dokładnie odwrotnie niż mężczyzna, jakie Szakal zgotował mnie. Wreszcie Victra może mnie usłyszeć. Odwraca głowę w moją stronę. Złote oczy spoglądają dziko spod kołtuna włosów. Nawet nie wiem, czy mnie rozpoznała. Śmiałość, z jaką ta dziewczyna obosiła się kiedyś ze swoją nagością, znikła. Zasłania się, wystawiona na ciosy. Przerażona.

- Podnieś ją – rozkazuje Holiday i uderza Vixusa w brzuch. – Musimy iść.
- Jest sparaliżowana... – wtrąca niepewnie Trigg. – Prawda?
- Cholera. No to ją zaniesiemy.

Trigg chce podejść do Victry. Powstrzymuję go, kładąc otwartą dłoń na jego torsie. Nawet w takim stanie Victra mogłaby wyszarpnąć mu ramię i oderwać od reszty ciała. A ponieważ znam przerażenie, jakie odczuwałem, gdy zostałem wyciągnięty ze swojego więzienia, zbliżam się powoli. Mój strach cofa się w głąb umysłu, wyparty przez gniew na widok tego, co własna siostra zrobiła tej dziewczynie. I wiem dobrze, że to moja wina.

- Victro, to ja, Darrow. – Nie daje żadnego znaku, że mnie rozpoznaje czy choćby słyszy. Kucam przy niej. – Zabieramy cię stąd. Możemy podnieść...

Rzuca się na mnie. Atakuje tylko rękami.

- *Zdejmij swoją twarz!* – wrzeszczy. – *Zdejmij swoją twarz!*

Holiday doskakuje i wbija paralizator w krzyż więźniarki. Impuls elektryczny nie wystarcza.

– Przestań! – krzyczy Holiday. Victra uderza pięścią w napierśnik z durostali, cios posyła Szarą na ścianę kilka metrów dalej. Trigg z wielofunkcyjnego karabinu strzela strzałkami ze środkiem uspokajającym, dwie trafiają Victrę w udo.

Medykamenty szybko zaczynają działać, ale dziewczyna wciąż dyszy i obserwuje mnie, mrużąc oczy. Wreszcie traci przytomność.

– Holiday... – zaczynam.

– Pozłociła mnie – burczy Szara, gdy się podnosi. Na napierśniku ma wgniecenie wielkości pięści. Przygląda mu się z podziwem. – Ma siłę ta Pixie. Ten pancerz podobno wytrzymuje serię z automatu.

– Geny rodu Julii – mamrocze Trigg. – Dobrze, że pilnowała kalorii.

Unosi Victrę na ramieniu i rusza za Holiday na korytarz. Szara warczy na mnie, żebym się pośpieszył. Zostawiamy Vixusa na podłodze celi, zgiętego po ciosie Holiday. Ale żywego, jak obiecałem.

– Znajdziemy cię. – Vixus podnosi się, gdy właśnie zamierzam zamknąć drzwi. – Wiesz, że tak będzie. Przekaż małemu Sevrowi, że już idziemy. Jeden Barca mniej. Jeden pozostał.

– Co powiedziałeś? – syczę.

Wracam do celi, a w jego oczach błyska strach. Ten sam, który wiele lat temu odczuwała zapewne Lea, gdy ukrywałem się w mroku, a Antonia i Vixus torturowali ją, żeby mnie wywabić. Śmiały się, gdy krew Lei wsiąkała w mech. Śmiały się, gdy w ogrodzie na triumfalnej uczcie umierali moi przyjaciele. Mam go oszczędzić, żeby mógł znowu zabijać. Zło żywii się miłosierdziem.

Moje ostrze zmienia się w sling.

– Proszę... – Vixus błaga teraz, a wąskie wargi mu drżą i dostrzegam w nim chłopca, którym był kiedyś, chłopca, który uświadamia sobie, że popełnił błąd. Ktoś gdzieś wciąż go kocha. Pamięta go jako małego psotnika albo niemowlę śpiące w kołysce. Gdyby tylko pozostał tym dzieckiem. Gdybyśmy tylko wszyscy tacy pozostali. – Okaż serce, Darrow, przecież nie jesteś mordercą. Nie jesteś taki jak Titus.

Uderzenia serca w celi stają się gębsze. Ciemna postać Vixusa odcina się od bieli.

Próbuje we mnie wzbudzić współczucie.

Ale moje współczucie umarło w mroku.

Bohaterowie pieśni Czerwonych mają honor i okazują łaskę. Potrafią darować życie, jak i ja darowałem życie Szakalowi, a grzech ich nie plami. Niech czarny charakter pozostałe tym złym. Niech spróbuje zaatakować, gdy tylko odwrócię się plecami, a wtedy będę mógł się obrócić i zabić go z satysfakcją, lecz bez poczucia winy. Ale to nie pieśń. To wojna.

– Darrow...
– Musisz przekazać wiadomość Szakalowi.
I rozcinam mu gardło. A kiedy Vixus opada na kolanach, a życie uchodzi z niego w rytmie serca, wiem, że ten Złoty się boi, ponieważ nic go nie czeka po drugiej stronie. Charczy. Umiera z jękiem.
A ja nie czuję nic.
Przez łomot serca w celi przebijają się wycie syren.

Rozdział piąty

PLAN C

- Szlag – krzywi się Holiday. – Mówiąc, że nie mamy czasu.
- Nie szkodzi – zapewnia Trigg.

Znowu jedziemy windą. Victra leży na podłodze. Trigg próbuje założyć jej swoją kurtkę przeciwdeszczową, aby pozwolić mojej przyjaciółce zachować choć odrobinę godności. Kłykcie mi pobielały. Krew Vixusa splamiła wygrawerowany wizerunek dzieci bawiących się w sztolniach. Spłynęła po moich rodzicach i zabarwiła włosy Eo na czerwono. Wycieram ostrze o mój więzienny kombinezon. Zapomniałem, jak łatwo odbiera się życie.

– Żyj dla siebie, umieraj samotnie – mówi cicho Trigg. – Można by pomyśleć, że przy takich mózgach Złoci powinni mieć dość rozsądku, żeby nie być takimi dupkami.

Odgarnia włosy z czoła i zerka na mnie niepewnie.

– Przepraszam za złośliwość. Jeżeli był twoim przyjacielem...

– Przyjacielem? – Kręci głową. – On nie miał przyjaciół.

Pochylam się, żeby odgarnąć włosy z twarzy Victry. Śpi spokojnie, oparta o ścianę. Policzki ma zapadnięte z głodu, usta skrzywione w smutnym grymasie. Nawet w takim stanie jej twarz zachowała tragiczne piękno. Zastanawiam się, co jej zrobiono. Biedaczka, zawsze tak silna, tak śmiała, ale skrywająca dobroć w głębi serca. Ciekawe, czy jeszcze została choć odrobina...

– Dobrze się czujesz? – pyta Trigg. Nie odpowiadam. – To twoja dziewczyna?

– Nie. – Dotykam brody, która mi wyrosła. Nienawidzę jej, drapie i cuchnie.

Szkoda, że Danto mi jej nie zgolił. – Nie czuję się dobrze.

Nie czuję nadziei. Nie czuję miłości.

Zwłaszcza gdy patrzę, co uczyniono Victrze. I mnie.

Przepełnia mnie nienawiść.

Nienawiść również dla tego, czym się stałem.

Czuję na skórze spojrzenie Trigga. Wiem, że jest rozzarowany. Chciał uwolnić Kosiarza. A widzi tylko wykończoną ludzką skorupę. Przesuwam palcami po wystających żebach. Tyle małych, kruchych kości. Zbyt wiele obiecałem tym Szarym. Zbyt wiele obiecałem innym, zwłaszcza Victrze. Była wobec mnie uczciwa. A kim ja okazałem się dla niej? Kolejną osobą, która chciała ją wykorzystać? Victra została wyszkolona przez matkę przeciwko takim jak ja.

– Wiecie, czego nam trzeba? – Trigg przerywa ciszę.

Podnoszę na niego przenikliwe spojrzenie.

– Sprawiedliwości?

– Zimnego piwa.

Parskam śmiechem. Zbyt głośnym. Przerażającym nawet dla mnie.

– Szlag – mamrocze Holiday, gdy jej palce przemykają nad przyciskami. – Szlag, szlag, szlag...

– Co? – niepokoję się.

Utknęliśmy między dwudziestym czwartym i dwudziestym piątym piętrem.

Holiday wbija przycisk pięcią, ale winda z szarpnięciem rusza w górę.

– Przejęli sterowanie. Nie dostaniemy się do hangaru. Zostaniemy podwiezieni na... – Wzdycha i spogląda na mnie. – Na poziom pierwszy. Szlag. Szlag. Szlag. Tam będą na nas czekać brytani, może też Obsydiani... może Złoci.

Szara przymyka oczy.

– Wiedzą, że tu jesteś.

Staram się stłumić rozpacz, która we mnie rośnie. Nie wróczę tam. Nieważne, co się stanie. Zabiję Victrę i siebie, jeśli będzie potrzeba, ale nie pozwolę nas pojmać.

Trigg pochyla się do siostry.

– Możesz zhakować system?

– Myślisz, że kiedy miałam się tego nauczyć?

– Szkoda, że nie poszedł z nami Efraim. On by umiał to zrobić.

– Nie jestem Efraimem.

– To może wyjdziemy szybem?

– Mokra plama z nas nie zostanie.

– Czyli chyba nie mamy już wyjścia, co? – Trigg sięga do kieszeni. – Plan C.

– Nienawidzę planu C.

– No tak. Trudno. Czas stawić czoła rzeczywistości, laleczko. Wypakuj fajerwerki.

– Co to za plan C? – pytam z niepokojem.

– Eskalacja. – Trigg włącza swój komunikator. Kody przemykają po ekranie, gdy urządzenie dostraja się do bezpiecznej częstotliwości. – Tragarz do Upiora, odbiór. Tragarz do...

– Tu Upiór, odbiór – rozlega się cichy głos. – Wymagane hasło dostępu Echo.

Koniec.

Trigg zerka na swój unipad.

– Jeden-trzy-cztery-trzy-dziewięć-dwa-osiem-trzy. Odbiór.

– Hasło przyjęte.

– Potrzebne nam drugie przejście za pięć minut. Znaleźliśmy księżniczkę i jeszcze jedną.

Po drugiej stronie połączenia następuje pauza, ale potem w głosie, który odpowiada, słyszać nieskrywaną ulgę pomimo zakłóceń.

- Macie opóźnienie.
- Mordercy nie są punktualni.
- *Będziemy za dziesięć minut. Utrzymajcie go przy życiu.* – I rozmówca się rozłącza.
- Przeklęci amatorzy – mruczy Trigg.
- Dziesięć minut – powtarza Holiday.
- Byliśmy już w gorszym gównie.
- Kiedy? – pyta Holiday. Trigg jej nie odpowiada. – Trzeba było od razu iść do tego przeklętego hangaru.
- Co mogę zrobić? – wtrącam, bo wyczuwam jej strach. – Jak mogę pomóc?
- Nie umieraj. – Holiday zdejmuję plecak. – Inaczej cały wysiłek będzie gówno wart.
- Pociągniesz swoją przyjaciółkę – dodaje Trigg, po czym zaczyna zdejmować z siebie urządzenia, pozostawia tylko pancerz. Wyjmuje dwa antyczne pistolety z plecaka. Jeden wręcza mnie. Ręce mi drżą. Nie miałem w dłoni broni na proch od czasów, gdy skończyłem szesnaście lat i szkoliłem się u Synów Aresa. Taka broń jest mało efektywna i strasznie ciężka, na dodatek ma duży odrzut, co utrudnia jej używanie.

Holiday wyciąga z plecaka duży plastikowy pojemnik. Unosi palce do zamków. A potem otwiera opakowanie. Widzę metalowy walec z kulą rtęci w środku. Wytrzeszczam oczy. Gdyby ktoś ze Złotych przyłapał z tym Szarą, nie ujrzałaby już światła dziennego. Nielegalne to mało powiedziane.

Zerkam na panel windy na ścianie. Jeszcze dziesięć poziomów. Holiday zaciska dłoń na detonatorze walca. Osiem poziomów.

Czy Cassius będzie tam czekał? Aja? Szakal? Nie. Pewnie już siedzą na swoich okrągach i szykują się do posiłku. Szakal nadal będzie żył jak wcześniej. Nie dowiedzą się, że alarm ogłoszono przeze mnie. A nawet jeżeli się dowiedzą, będzie za późno. Ale i bez nich mam się czego bać. Jeden Obsydian rozedrze rodzeństwo Szarych gołymi rękami. Trigg zdaje sobie z tego sprawę. Przymyka oczy, przesuwa dlonią po torsie, wykonując znak krzyża. Holiday zauważa gest, lecz go nie powtarza.

– To nasz zawód – zwraca się cicho do mnie. – Więc przełknij dumę i trzymaj się za nami. Pozwól Triggowi i mnie wykonać robotę.

Trigg przekrzywia głowę i całuje się w palec serdeczny lewej ręki.

– Trzymaj się blisko naszych tyłków, nie ma się czego wstydzić.
Jeszcze trzy kondygmacje.

Holiday szykuje karabin gazowy i coraz mocniej żuje gumę. Palec trzyma na detonatorze. Ostatni poziom. Winda zwalnia. Zerkam na rozsuwane drzwi, po czym zarzucam sobie Victrę na plecy.

- Kocham cię, mały – mówi Holiday.
- Ja ciebie też, laleczko – szepcze w odpowiedzi Trigg, a jego głos brzmi cicho i beznamiętnie.

Ogarnia mnie większy strach niż wtedy, gdy zamknięty w kapsuле czekałem na uruchomienie wyrzutni przed Deszczem. Strach nie o siebie, lecz o Victrę i tych dwoje. Chcę, żeby żyli. Chcę się dowiedzieć więcej o Południowej Pacyfice. Chcę poznać psoty, jakie robili matce. Czy mieli psa, dom w mieście, na wsi...

Winda zatrzymuje się ze świstem.

Błyska lampka, a pancerne drzwi, które dzielą nas od plutonu najlepszych ludzi Szakala, otwierają się z sykiem. Świecące granaty ogłuszające wpadają do kabiny i przywierają do ścian. Pik. Pik. A Holiday włącza detonator. Głęboka implozja dźwięku rozrywa ciszę windy, gdy niewidzialne impulsy elektromagnetyczne rozchodzą się sferycznie z generatora EMP u naszych stóp. Pięknie granatów milknie. A Szarzy czekają pod drzwiami w swoich zaawansowanych technicznie kombinezonach z bronią impulsową. Towarzyszący im Obsydiani w ciężkich pancerzach z elektronicznym wspomaganiem stawów i filtrami powietrza w hełmach nieruchomieją, pokonani przez średniowiecze.

Ponieważ antyczna broń Holiday i Trigga nadal działa. Oboje przemykają z windy na kamienny korytarz i unoszą pistolety jak złośliwe monstra. To rzeźnia. Dwoje wyszkolonych żołnierzy strzela archaicznymi nabojami w Szare oddziały obrony. Nie mają się gdzie ukryć. Rozbłyski wśród ścian. Niski huk naładowanych karabinów. Aż szczećkają mizęby. Zamieram w windzie, dopóki Holiday na mnie nie krzyknie. Ruszam za Triggiem, ciągnąc za sobą Victrę.

Trzech Obsydianów pada, gdy Holiday rzuca staroświecki granat. Łubu-dub! W suficie zieje dziura, osypuje się tynk. Kurz. Krzesła i naczynia spadają z pokoju powyżej i rozbijają się w drobny mak. Hiperwentyluję. Jakiś mężczyzna odchyla głowę w tył, w półobrocie uderza w podłogę. Szara umyka korytarzem w poszukiwaniu kryjówki. Holiday strzela jej w plecy. Przeciwniczka rozkłada ramiona jak dziecko, które poślizgneło się na lodzie. Wokół mnie panuje gorączkowy ruch. Z boku naciera Obsidian.

Strzelam z pistoletu. Kula odbija się od pancerza. Dwustukilogramowy olbrzym unosi jonowy topór – bateria broni padła, ale samo ostrze wystarczy. Z gardła Obsydiana dobywa się wojenna, gardłowa pieśń jego rasy. A potem z hełmu tryska mu gejzer krwi. Pocisk przebił oczodół hełmu w kształcie czaszki. Ciało olbrzyma zgina się i wali na podłogę. Omal nie zbiją mnie z nóg.

Trigg już rusza na następnego przeciwnika. Strzela do każdego cierpliwie jak rzemieślnik, który wbija gwoździe. Nie ma w tym żadnych uczuć. Żadnej sztuki. Tylko szkolenie i czysta fizyka.

– Kosiarzu, rusz dupę! – krzyczy Holiday. Szarpnięciem popycha mnie w głąb korytarza, z dala od chaosu. Trigg dołączza, ale wcześniej przyciska granat do uda nieopancerzonego Złotego, który próbował uniknąć strzałów na czworaka. Łup! Mięso i kości zmieniają się w krwawą mgłę.

Rodzeństwo przeładuje broń w biegu. Trigg zarzuca sobie Victrę na ramię, gdy tylko mijamy pokonany oddział. A ja próbuję po prostu nie zemdleć ani nie upaść.

– W prawo za pięćdziesiąt kroków, potem na schody! – warczy Holiday. – Zostało nam siedem minut.

Korytarz jest dziwnie cichy. Żadnych syren. Żadnych świąteł. Nawet rozgrzane powietrze nie świszcze w wentylacji. Tylko odgłos naszych pośpiesznych kroków odbija się od ścian, odległe krzyki, trzeszczenie moich stawów i ochrypły oddech. Mijamy okno. Na zewnątrz spoczywają okręty, czarne i martwe po upadku z nieba. Niektóre zaczynają płonąć. Jedyne światła błyszczą na dwóch odległych szczytach. Wkrótce pojawi się techniczne wsparcie, ale nie będzie wiedzieć, co spowodowało awarię. Gdzie szukać przyczyny. A bez systemu monitoringu i skanerów biometrycznych Aja i Cassius nie zdołają nas znaleźć. I dzięki temu może uda się nam ocalić życie.

Pędzimy po schodach w górę. Mam skurcz w prawej łydce. Omal nie upadam, ale tylko jęczę. Holiday podtrzymuje mnie w biegu. Jej umięśniony kark drga pod moim ramieniem. Trzech Szarych pojawia się u stóp marmurowych stopni. Holiday odsuwa mnie i strzela. Dwóch pada, ale trzeci przeciwnik odpowiada ogniem. Pociiski odłupują odłamki kamienia ze ścian.

– Udało im się uruchomić karabiny gazowe – warczy Holiday. – Musimy się spieszyć. Szybciej.

Dwa zakręty w prawo, potem mijamy kilka osób z niższych Kolorów, które patrzą na mnie z rozdziawionymi ustami, i wypadamy do holu z wysokim sklepieniem i greckimi posągami. Przebiegamy przez galerię, gdzie Szakal trzyma skradzione dzieła sztuki. Kiedyś pokazał mi deklarację Hancocka i zakonserwowaną głowę ostatniego władcy Amerykańskiego Imperium.

Mięśnie mnie palą. Oczy łzawią.

– Tutaj! – wskazuje wreszcie Holiday.

Dopadamy drzwi dla personelu w bocznym korytarzu i wydostajemy się na światło dzienne. Wiatr omal mnie nie przewraca, mróz kąsa przez cienki kombinezon. Przedzieramy się po metalowej kładce wzdłuż ściany fortecy Szakala. Po prawej ze skały wyrasta nowoczesna konstrukcja z chromu i szkła. Po lewej zieje przepaść na tysiące metrów w dół. Wokół wirują płatki śniegu i wyje wiatr. Przemy do zakrętu kładki. Tam łączy się z szerokim pomostem, wystającym ze zbocza i prowadzącym na opuszczone lądowisko, oparte na szkieletowym ramieniu niczym okrągła taca okryta śniegiem.

– Cztery minuty – Holiday przekrzykuje wicher, po czym pomaga mi wdrapać się na pomost. Na płycie lądowiska po prostu rzuca mnie na ziemię jak worek kamieni. Trigg układa Victrę u mojego boku. Pokrywa lodowa pod warstwą śniegu sprawia, że płyta jest śliska i szara jak dym. Pod betonowym murkiem, który sięgałby mi co najwyżej do pasa, piętrzą się białe zaspy. Niżej jest tylko otchłań.

– Mam osiemdziesiąt naboi z dużych magazynków i sześć kompletów kul do pistoletów – mówi Trigg do siostry. – Potem nic.

– Mnie zostało dwanaście. – Holiday rzuca na płytę niewielki kanister. Po uderzeniu unosi się z niego zielony dym. – Trzeba zablokować most.

– Mam sześć min.

– Podłącz je.

Trigg przez pomost podbiega do zamkniętych, pancernych drzwi, o wiele większych niż kładka dla obsługi, po której przeszliśmy. Oślepiony śniegiem i drżący z zimna przyciągam bliżej Victrę, aby ją osłonić. Białe płatki osiadają na czarnej, wodoodpornej tkaninie kombinezonu, który założył jej Trigg. Wirują jak popiół wtedy, gdy Cassius, Sevro i ja spaliliśmy cytadelę Minerwy i porwaliśmy stamtąd kucharkę.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszam Victrę. – Uda się.

Wyglądam za betonowy murek, patrzę na miasto w dole. Jest dziwnie spokojne. Wszelkie hałasy i krzątaninę uciszyły impulsy EMP. Płatek śniegu większy niż inne opada mi na grzbiet dłoni.

Jak się tutaj znalazłem? Chłopak z kopalni, a teraz upadły przywódca buntu patrzy na ciemne miasto i wbrew wszystkiemu ma jeszcze nadzieję, że wróci do domu. Zamykam oczy. Szkoda, że nie ma tutaj moich przyjaciół ani rodziny.

– Trzy minuty – oznajmia Holiday za moimi plecami. Jej dłoń w rękawicy dotyka mojego ramienia, gdy Szara podnosi głowę, żeby wypatrzyć naszych wrogów. – Jeszcze tylko trzy minuty i nas tu nie będzie. Tylko trzy minuty.

Chciałbym jej wierzyć, ale śnieg właśnie przestał padać.

Rozdział szósty

OFIARY

Mrużę oczy. Nad nami włącza się migotliwa tarcza obronna, która rozpinia się nad siedmioma szczytami Attyki. Odcina nas od nieba. Zasilanie tarczy zapewne znajduje się poza zasięgiem generatora impulsów elektromagnetycznych. Z góry zatem nie możemy liczyć na żadną pomoc.

– Trigg, wracaj tutaj! – woła Holiday. Jej brat stawia ostatnią minę na pomoście.

Strzał rozdziera zimny poranek. Odbija się echem wśród chłodu zboczy. A potem kolejne strzały. Trzask. Trzask. Trzask. Wokół Tringga wybucha śnieg. Szary zrywa się i pędzi do siostry. Holiday wymierza broń, żeby zapewnić mu osłonę. Wychylam się zza murku. Oczy mnie bolą od słonecznego światła. Beton eksploduje mi przy twarzy. Cofam się, drżąc ze strachu. Ludzie Szakala wyciągnęli broń awaryjną.

Znowu się wychylam. Przez półprzymknięte powieki widzę Tringga leżącego w połowie pomostu i odpowiadającego ogniem na ostrzał. Oddział Szarych mierzy do niego z karabinów na gaz. Kolejni zbrojni wybiegają przez pancerne drzwi fortecy otwierające się na pomost. Dwaj przeciwnicy padają. Dwaj podchodzą bliżej i znikają w kłębach dymu, gdy Trigg strzela im w stopy. Holiday eliminuje kolejnego, podczas gdy jej brat cofa się pod osłonę. Dostał w ramię. Wsuwa broń w kaburę przy udzie i biegnie do nas. Pociski uderzają w beton przed mną, jeden trafia Holiday – z mięsistym plaśnięciem przechodzi przez szczelinę w pancerzu pod pachą.

Szara obraca się. Ostrzał przyciska nas do ziemi. Beton pryska. Holiday pluje krwią, w jej oddechu słychać charczenie.

– Pocisk w płucach – dyszy Szara, próbując wymacać pakiet medyczny przy udzie. Gdyby obwody w jej kombinezonie działały, lekarstwa zostałyby wstrzyknięte automatycznie. Teraz jednak trzeba je wyjąć z kasetki i zaaplikować ręcznie. Pomagam jej. Wyciągam mikrostrzykawkę i dawuję środki przeciwbólowe prosto w szyję towarzyszki. Źrenice Holiday rozszerzają się, a jej oddech zwalnia, gdy medykamenty dostają się do krwiobiegu. Oczy Victry obok mnie pozostają zamknięte.

Strzały milkną. Ostrożnie wychylam głowę. Szarzy Szakala ukrywają się za betonowymi ścianami i pylonami wzdłuż pomostu, jakieś sześćdziesiąt metrów od nas. Trigg przeładowuje broń. Słyszać tylko wiatr. Coś jest nie tak. Rozglądam się po niebie. Boję się ciszy. Nadchodzi Złoty. Wyczuwam to w rytmie bitwy.

– Trigg! – wrzeszcze, aż ciało wygina mi się konwulsyjnie. – Wiej!

Holiday dostrzega wyraz mojej twarzy. Podnosi się, dysząc z bólu. Trigg porzuca kryjkę, jego podeszwy mlaszczą na pokrytym lodem podłożu. Ślizga się, odzyskuje równowagę, zatacza się do nas przerażony. Za późno. Za jego plecami Aja au Grimmus wypada zza drzwi fortacy, mija Szarych i Obsydianów ukrytych w cieniach. Aja nadal ma na sobie czarny, oficjalny mundur. Długimi krokami dogania Tringga. To jeden z najsmutniejszych widoków, jakie w życiu widziałem.

Strzelam ze swojego pistoletu. Holiday przeładowuje broń. Trafiamy tylko powietrze. Aja unika kul, uchyla się, a kiedy Trigg znajduje się o dziesięć kroków od nas, przebija go ostrzem slinga. Metal lśni od krwi, gdy wystaje z brzucha Szarego. Trigg zaskoczony wciąga powietrze. A potem krzyczy, gdy zostaje uniesiony niczym szarpiąca się żaba na dziecięcej włóczni zrobionej z patyka.

– Trigg... – szepcze Holiday.

Wstaję, zataczając się, i wyciągam własne ostrze, ale zanim ruszę do Ai, Holiday ściąga mnie za murek. W beton znowu uderzają kule, gdy Szarzy z oddali otwierają ogień. Krew Holiday tężrzy w śniegu.

– Nie bądź głupi – warczy Szara, przytrzymuje mnie przy ziemi reszkami sił. – Nie możemy mu pomóc.

– To twój brat!

– Nie jest moim celem. Ty jesteś.

– Darrow! – woła Aja z pomostu. Holiday wygląda, twarz ma bladą. Aja stoi z Triggiem nadzianym na ostrze. Unosi je jedną ręką. Szary szarpie się, opada coraz niżej ku rękojeści. – Czas chowania się za plecami innych dobiegły końca, dobry człowiek. Wyjdź.

– Ani się waż – mamrocze Holiday.

– Wyjdź – powtarza Aja. A potem zrzuca Tringga machnięciem ostrza. Szary spada dwieście metrów za pomostem, po czym jego ciało odbija się od granitowego zbocza.

Z ust Holiday wyrywa się zduszony jęk. Szara unosi broń, mierzy w Aję i pociąga za spust chyba z tuzin razy. Złota uchyla się, zanim sobie uświadamia brak pocisków. Odciągam Holiday. Strzał snajpera wymierzony w pierś wytrąca kobiecie tylko broń z ręki i łamie palec, gdy zniszczone odłamki odbijają się od betonu. Kulimy się z drżeniem, osłaniamy Victrę.

– Wybacz – udaje mi się wydusić. Holiday nie słyszy. Dlonie jej się trzęsą bardziej niż mnie. Ani jednej łzy w pustych oczach. Nawet nie ma rumieńców na policzkach.

– Przyjdą – odzywa się jednak po chwili. Śledzi wzrokiem zielony dym. – Muszą.

Krew spływa jej z kącika ust, zamarza w połowie szyi. Wilgoć przesiąka Szarej przez pancerz. Holiday sięga po nóż w cholewie buta, ale nie ma siły wstać, ciało odmawia jej posłuszeństwa. Oddech ma wilgotny, czuję w nim żelazistą woń.

– Jaki jest plan? – pytam. Oczy Holiday są zamknięte. Potrzasam nią. – Któredy przyjdą?

Skinieniem głowy wskazuje skraj okrągłej płyty lądowiska.

– Słuchaj.

– Darrow! – głos Cassiusa przebija się przez wycie wichru. Właśnie dołączył do Ai.

– Darrow z Lykos! Wyjdź!

Ten głos, tak dźwięczny, nie pasuje do nastroju tej chwili. Zbyt wyniosły i władczy, nietknięty smutkiem, który mnie otacza. Wycieram łzy grzbietem dłoni.

– Zdecyduj, jaki przyjmiesz koniec, Darrow. Wyjdziesz jak człowiek czy będziemy cię musieli wykopać jak szczura z nory?

Gniew ściska mi pierś, ale nie próbuję wstać. Kiedyś, gdy nosiłem zbroję Złotego, myślałem, że stanę nad zabójcą Eo i ujawnię, kim jestem, a jego miasta będą płonąć po upadku władzy Złotych. Jednak nie mam już tej zbroi. A maskę Kosiarza pochłonęły zwątpienie i mrok. Pozostał tylko chłopiec. Drżę i kulę się przed swoim wrogiem, ponieważ znam cenę porażki i bardzo się boję.

Nie pozwolę jednak, żeby Aja i Cassius mnie dopadli. Nie będę ich ofiarą, nie dam też Victrze wpaść znowu w ich łapska.

– Ołać to – szepczę. A potem chwytam Holiday za kołnierz i Victrę za rękę. Oczy mi żzawią z wysiłku i od słońca odbitego od śniegu, twarz mam wykrzywioną. Ciągnę obie bezwładne kobiety z całych sił, coraz dalej od swojej kryjówki, przez płytę lądowiska do najdalszej krawędzi, gdzie ryczy wiatr.

Moi wrogowie milczą.

Pewnie na mój żałosny widok – wychudzona, czarna postać z twarzą jak wygłodzony, pomarszczony demon, z brudną brodą. Dwadzieścia metrów za mną dwoje Rycerzy Olimpijskich góruje nad pomostem tuż przed lądowiskiem, w otoczeniu ponad pięćdziesięciu Szarych i Obsydianów, którzy przybiegli za nimi. Ze srebrzystej klingi Ai kapie krew. Lecz to nie jest ostrze Ai, lecz Lorna – wyrwała je z jego ciała. Palce mi drętwieją w mokrych butach.

Zbrojni wydają się tacy mali na tle górskiej fortecy. Ich metalowa broń wygląda śmiesznie i prostacko. Spoglądam w prawo za krawędź płyty. W oddali ze szczytu unoszą się oddziały żołnierzy. Generator EMP miał pewnie zasięg tylko paru kilometrów, więc uniknęli skutków impulsu. Zbliżają się do nas jak ciemny obłok. Za nimi rusza prom.

– Darrow – woła Cassius, a potem wkracza na lądowisko. – Nie możesz uciec.

Patrzy na mnie, ale i tak nie mogę nic wyczytać w jego oczach.

– Tarcza jest włączona. Niebo zamknięte. Nie przyleci po ciebie żaden statek.

Zerka na zielony dym płożący się po lądowisku i wirujący na wietrze.

– Przyjmij swój los.

Podmuch od zbocza niesie płatki śniegu.

– Wiwisekcję? – pytam. – Myślisz, że właśnie na to zasłużęłem?
– Jesteś terrorystą. Straciłeś wszelkie prawa.
– Prawa? – prycham nad Victry i Holiday. – Jakie prawa? Żeby pociągnąć za nogi powieszoną żonę? Żeby patrzeć na śmierć ojca?
Próbuje splunąć, ale nie mam czym.
– Myślisz, że masz prawo cokolwiek mi odebrać? – pytam.
– Nie ma dyskusji. Jesteś terrorystą i musi cię spotkać sprawiedliwość.
– Więc czemu ze mną rozmawiasz, przeklęty hipokryto?
– Bo honor wciąż ma znaczenie. „Tylko honor odbija się echem w historii” – cytuje słowa swojego ojca. Lecz w jego ustach brzmią pusto. Wojna odebrała mu wszystko. Puste oczy zdradzają, jak bardzo złamało go to, co się wydarzyło. I jak bardzo Cassius pragnie dorównać ojcu. Gdyby mógł, wolałby wrócić do ogniska, które rozpaliliśmy na wyżynach Instytutu. Wrócić do dni chwały, gdy życie było proste, a przyjaciele wydawali się prawdziwi. Jednak pragnienie powrotu do przeszłości nie zmaże krwi z jego rąk. Ani z moich.

Słucham jęczącego wichru z przepaści. Piętami dotykam krawędzi płyty lądowiska. Za plecami mam tylko powietrze. Powietrze i kanciątą topografię miasta na dnie kotliny, dwa tysiące metrów niżej.

– On skoczy – ostrzega cicho Aja Cassiusa. – Potrzebne nam jego ciało.
– Darrow... Nie rób tego – mówi Cassius, ale w jego oczach widzę zachętą, żebym skoczył. W ten sposób się nie oddam, nie powróczę na Księżyc, aby mnie tam żywcem poćwiartowano. To honorowe rozwiązanie. Cassius znowu okrywa mnie peleryną.

Nienawidzę go za to.

– Myślisz, że jesteś honorowy? – syczę. – Myślisz, że jesteś dobry? Kto pozostał z tych, których kochasz? Dla kogo walczysz?

Gniew wkrada się w wypowiadane słowa.

– Zostałeś sam, Cassiusie. A ja nie. Nie wtedy, gdy stawiłem czoła twojemu bratu podczas Chrztu. Nie wtedy, gdy ukrywałem się między wami. Nie wtedy, gdy byłem uwięziony w ciemności. Nawet teraz nie jestem sam. – Mocniej zaciskam palce na kołnierzu pancerza nieprzytomnej Holiday, wplątuję palce w łączące strój wiązania. Ściskam dłoń Victry. Przesuwam się nieco bardziej na skraj betonowej płyty. – Słuchaj wiatru, Cassiusie. Posłuchaj przeklętego wiatru.

Dwoje Rycerzy Olimpijskich przekrzywia głowy. A jednak nadal nie pojmują, czym jest ten jęk, który niesie się na wietrze z dna przepaści. Bo niby skąd syn i córka Złotych mieliby znać odgłos wiertła przedzierającego się przez skałę? Jak mieliby się domyślić, że moi ludzie nie przybędą z nieba, lecz z wnętrza naszej planety?

– Żegnaj, Cassiusie. – Uśmiecham się szyderczo. – Jeszcze się spotkamy.

A potem odbijam się od krawędzi i plecami rzucam na wiatr, ciągnąc za sobą w przepaść Victrę i Holiday.

Rozdział siódmy

LOT TRZMIELA

Spadamy w okryte śniegiem miasto. Tam, pomiędzy rzędami hal fabrycznych, kołyszą się budynki, a ziemia rozdyma mi się nad głową. Rury trzeszczą i wyciągają się w niebo. Para przebija się przez spękany asfalt. Gaz wybuchu raz po raz, linie ognia znaczą jego drogę przez ulice. Mars napina się i kurczy, rozciąga na sześć pięter w górę, jakby miał urodzić zaraz starożytnego Lewiatana. A potem, gdy ziemia i miasto nie mogą się już bardziej rozciągnąć, na zimowe powietrze wyrywa się wiertło – tytanowa dłoń o stopionych palcach, które parują w mrozie, po czym cofają się i znikają pod powierzchnią Marsa. Zabierają ze sobą połowę dzielnicy.

Spadamy za szybko.

Skoczyłem za wcześnie.

Ziemia zbliża się coraz bardziej.

I wtedy powietrze przecina soniczny huk.

I następny.

I kolejny.

Z ciemności wyrytego przez wiertło tunelu wynurza się niewielka armia. Dwóch, dwudziestu, pięćdziesięciu opancerzonych wojowników w butach grawitacyjnych ze świstem mknie mi na spotkanie. Z prawej. Z lewej. Pomalowane na czerwono pancerze, mknące w niebo pociski impulsowe. Włosy mi się jeżą, czuję zapach ozonu. Podręczne działka na plecach przybyszów rzygają śmiercią.

Spośród wznoszących się Synów Aresa postać w ojcowskim hełmie ze szpicem wysuwa się naprzód i łapie Victrę. Wilcze wycie niesie się z głośników w jego kombinezonie. Ares we własnej osobie. Przyjaciel, jakiego nie znajdzie się na wszystkich światach, nie zapomniał o mnie. Przybył ze swoim legionem wyrzutków społecznych, terrorystów i renegatów, którzy uwielbiają łamać zasady – z Wyjcami. Tuziny zakutych w pancerze ludzi w czarnych pelerynach z wilczej skóry mknie na wietrze za nim. Największy z tej watahy nosi śnieżnobiałą zbroję z niebieskimi odciskami dłoni na torsie i ramionach. Jego czarną pelerynę znaczy na środku pasmo krwi. Przez chwilę mam wrażenie, że oto zmartwychwstał dla mnie Pax, kiedy jednak mężczyzna chwyta mnie i Holiday, dostrzegam wzór w odciskach rąk na pancerzu. Glif z południowego bieguna Marsa. To Ragnar Volarus, Księże Iglic Walkirii. Przekazuje Holiday innemu Wyjcowi i przyciąga mnie bliżej. Obejmuję go za szyję, wbijam palce między płyty zbroi. Ragnar mknie nad dymami z miasta w kotlinie, kierując się do tunelu.

– TRZYMAJ SIĘ MOCNO, MAŁY BRACIE – woła do mnie.

A potem nurkuje w głąb ziemi. Po lewej Sevro tuli Victré, z każdej strony wataha Wyjców unosi się na świszących butach grawitacyjnych. Ciemność zamyka się wokół nas. Wróg już prowadzi pogoń. Hałas jest potworny. Wycie wichru. Trzask skał, gdy ostrzał impulsowy odbija się od ścian za nami, terkot broni maszynowej. Zęby mi szczećają, gdy podbródkiem obijam się o opancerzone ramię Ragnara. Jego buty grawitacyjne wibrują na pełnej mocy. Krawędzie płyt zbroi wbijają mi się w żebra. Ogniwo zasilające u pasa uderza mnie w podbrzusze za każdym razem, gdy meandrujemy w nieprzeniknionej ciemności. Płynę na tym metalowym rekinie w coraz większą głębię wściekłego, mrocznego morza. W uszach mi trzaska. Świszcze wiatr. Kamyk odbija mi się od czoła. Krew spływa po twarzy, piecze w oczy. Źródłem światła są tylko buty grawitacyjne oraz błyski wystrzałów.

Skóra na moim prawym ramieniu piecze. Pocisk impulsowy minął mnie o włos. Pościg jest blisko. Po draśnięciu od wystrzału czuję puchnące bąble i swąd spalenizny, ale pęd dusi płomień na rękawie mojego kombinezonu. Jednak ostrzał trwa, świszące obok mnie pociski trafiają w but jednego z Synów Aresa tuż nad mną. Z nogi mężczyzny zostaje tylko kikut stopionego metalu. Ciało z szarpnięciem zmienia trajektorię lotu i zderza się ze ścianą, zerwany hełm, wirując, spada prosto na mnie.

* * *

Czerwone światło pulsuje mi pod powiekami. W powietrzu czuć swąd palonej skóry. W gardle szarpie kłęjący ból. Płuca mi płoną. Wokół słyszę urywane wrzaski, wezwania matki, wycie i jęki. I coś jeszcze. Jakby brzęczenie trzmieli. Postać nade mną przyciska mi maskę do twarzy. Wilgotna skóra zwisa z opancerzonego ramienia, łaskocze mnie w szyję. Obce dlonie dotykają mojej ręki. Świat wibruje.

– Sterburta! Sterburta! – słyszę krzyk jak spod wody.

Jestem otoczony przez umierających. Spalone, powyginane pancerze. Mniejsze postacie pochylają się nad nimi jak sępy i rozcinają zbroje świecącymi ostrzami, próbując uwolnić uwięzionych wewnątrz, płonących i ginących. Jednak pancerze topią się i zaciskają. Dłoń dotyka mojej. Obok mnie leży chłopak. Oczy ma szeroko otwarte. Pancerz poczerniał. Policzki ma gładkie pod smugami popiołu i krwi. Usta zdają się rozchylać w uśmiechu. Oddech staje się krótszy, płystszy. Chłopak wymawia moje imię.

I umiera.

Rozdział ósmy

W DOMU

Jestem sam, daleko od koszmaru. Nieważki i czysty stoję na drodze pachnącej mchem. Stopami dotykam ziemi, ale nic nie czuję. Po obu stronach rozciągają się wrzosowiska. Niebo w oddali przecina błyskawica. Dlonie mam nagie, bez Sigili. Przesuwam palcami po ceglanym murze ciągnącym się po obu stronach drogi. Kiedy zacząłem iść? W oddali unosi się dym. Poruszam się wzduż szlaku, ale zdaje mi się, że nie mam wyboru. Zza wzgórza niesie się głos.

Grobie, ty mojej łóżnico miłości,
Mieszkanie wieczne, ciemnico sklepiona!
Idę do moich, których tylu gości
W pozgonnych domach boska Persefona.
Za wami idę ja, co w życia wiośnie
Zginęłam, prawie nie zaznawszy świata.
A tuszę, że mnie tam przyjmą radośnie,
Ty, ojcie, matko, i miła dłoń brata,
Bom tu z miłosną służbą wasze ciała
Własną obmyła, namaściła ręką;
Żem bratnie zwłoki uczciwie grzebała,
Taką mnie darzą podzięką!

To głos mojego wuja. Czy to Dolina? Czy to droga, którą kroczy się po śmierci? Niemożliwe. W Dolinie nie ma bólu, a mnie wszystko boli. Kluje mnie w nogach. A jednak wciąż słyszę głos wiodący mnie przez mgłę. Głos człowieka, który uczył mnie tańczyć po śmierci ojca, a potem strzegł mnie i posłał do Aresa. Człowieka, który sam zginął w szybie i błąka się teraz po Dolinie.

Myślałem, że powita mnie Eo. Albo ojciec. Nie Narol.
– Czytaj dalej – szepcze inny głos. – Podobno nas słyszy, musi tylko znaleźć drogę powrotną. Przynajmniej tak mówi doktor Virany.

Nawet gdy idę, czuję pod sobą posłanie. Powietrze wokół jest chłodne i orzeźwiające. Pościerel miękka i czysta. Mięśnie nóg kurczą mi się i rozluźniają. Mam wrażenie, że żądli je tysiąc maleńkich pszczół. A z każdym ukłuciem świat snu blednie, wracam do swojego ciała.

– Skoro już mamy czytać temu ochłapowi, równie dobrze możemy wziąć coś dla Czerwonych, nie to nadęte gówno od Fioletowego.

– Tancerz twierdzi, że to jego ulubione.

Otwieram oczy. Leżę w łóżku. Biała pościel, kroplówka w ramieniu. Pod okrywającym mnie prześcieradłem udaje mi się wymacać węzły wielkości mrówek przyczepione do skóry, aby przekazywać elektryczne impulsy domięśni i zapobiegać atrofii. Pokój przypomina wnętrze maszyny – wszędzie urządzenia, wyposażenie naukowe i podgrzewane zbiorniki.

Rzeczywiście słyszałem we śnie głos wuja Narola. Tyle że wuj nie przebywa w Dolinie. Żyje. Siedzi obok łóżka i mruży oczy nad starą książką od Mickeya. Narol jest żylasty i chudy, nawet jak na Czerwonego. Stara się ostrożnie dotykać kruchych, papierowych kart zgrubiałymi od odcisków palcami. Wyłysiał zupełnie, a skórę na karku i przedramionach ma poparzoną od słońca. Wciąż przypomina pognieciony stary pergamin. Skończył chyba czterdzieści jeden lat, ale wygląda starzej. I bardziej dziko. Emanuje od niego ponura groza, szczerzyzęby broni maszynowej w kaburze przy udzie. Ostrze slinga zostało wyszyte na czarnej wojskowej bluzie w miejscu, gdzie wypruto logo Elity. Czerwona klinga w górze, złota rękojeść w dole.

Ten człowiek był na wojnie.

Obok niego siedzi moja matka. Przygarbiona, krucha kobieta po wylewie. Ile razy wyobrażałem sobie, że stoi nad nią Szakal z uniesionymi szczycami? Jej wykrzywione palce przeciągają igłę z nitką przy cerowaniu skarpety. Nie poruszają się tak zwinnie jak kiedyś. Wiek i szpital spowolniły tę kobietę. Jej zniszczone ciało nie oddaje tego, co kryje wnętrze. W nim moja matka stoi wysoka jak Złota i potężna jak Obsydianka.

Widok skupionej, przygarbionej nad robótką matki budzi we mnie odruchy opiekuńcze – pragnę tylko ją chronić, najbardziej na świecie. Chcę ją uzdrowić, dać jej wszystko, czego nigdy nie miała. Tak bardzo ją kocham, że brak mi słów. Nie wiem, co robić, żeby okazać jej miłość.

– Matko... – szepczę.

Oboje podnoszą wzrok. Narol zamiera na krześle. Matka kładzie mu dłoń na ręce, po czym powoli podnosi się i podchodzi do łóżka. Ostrożnie, czujnie.

– Witaj, dziecko.

Stoi nade mną, a miłość w jej oczach jest oszałamiająca. Rękę mam większą od głowy tej kobiety, a jednak leciutko dotykam jej policzka, jakbym chciał się upewnić, że jest prawdziwa. Przesuwam palcem po kurzach łapkach w kącikach oczu matki, po siwych włosach na skroni. W dzieciństwie bardziej lubiłem ojca niż ją. Matka czasami mnie biła. Ale teraz chciałbym znowu słyszeć, jak nuci przygotowaniu. Chciałbym znowu przeżywać te ciche noce, gdy mieliśmy spokój, a ja byłem dzieckiem.

Chcę wrócić do tamtych czasów.

– Tak mi przykro... – szepczę urywanie. – Tak mi przykro...

Matka całuje mnie w czoło i przytula. Pachnie rdzą, potem i smarem. Domem.

Mówi mi, że jestem jej synem i nie muszę za nic przepraszać, że mnie kocha i jestem bezpieczny. Rodzina tu jest, Kieran, Leanna i ich dzieci. Czekają, żeby mnie zobaczyć. Wyrywa mi się nieopanowany szloch, bo mogę dzielić swój ból i już nie muszę cierpieć w samotności. Łzy to o wiele głębszy język niż wszystko, co wyrażają słowa. Gdy matka znowu mnie całuje i odsuwa się łagodnie, czuję się wyczerpany. Narol staje u jej boku i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Narolu...

– Witaj, mały draniu – mówi ochryple. – Wciąż syn swojego ojca, jak widać, hę?

– Myślałem, że nie żyjesz – szepczę.

– Ha. Śmierć trochę mnie pożuła, a potem wypluła mój zapchlon tyłek.

Powiedziała, że muszę ocalić trochę własnej krwi i zabić kilku nieudaczników. – Uśmiecha się do mnie zawadiacko. Do starej blizny na wargach dołączyły dwie nowe.

– Czekaliśmy, aż się obudzisz – wtrąca matka. – Minęły dwa dni, odkąd cię przyniesiono tutaj z promu.

Wciąż czuję na języku dym spalonych ciał.

– Gdzie jestem?

– W Tinos, mieście Aresa.

– Tinos... – powtarzam, ale zaraz zrywam się przerażony. – Sevro... Ragnar...

– Żyją – zapewnia mnie Narol i zmusza, żeby się położył. – Uważaj, żebyś nie wyrwał sobie przewodów od regeneracji tkanki. Doktor Virany przez wiele godzin latała cię po tej krwawej ucieczce. Jeźdzcy Kości powinni byli znaleźć się w zasięgu generatora EMP. Ale tak się nie stało. W tunelu rozbili nas. Żyjesz tylko dzięki Ragnarowi.

– Byliście tam?

– A myślisz, że kto prowadził grupę wiertniczą, która przebiła się do Attyki?

Spłynęła krwią z Lykos – Lambd i Omikronów.

– A co z Victrą?

– Spokojnie, chłopcze. – Narol znowu mnie powstrzymuje, gdy próbuję się podnieść. – Zajmuje się nią lekarz. Szarą też. Obie żyją. Trzeba je było połatać.

– Trzeba mnie sprawdzić, Narolu. Powiedz lekarzom, żeby poszukali znaczników promieniowania. Implantów. Może mi coś wszczepliono, żeby mnie wyśledzić i znaleźć Tinos... I muszę się widzieć z Sevrem.

– Oj, powiedziałem, spokojnie! – powtarza Narol. – Sprawdziliśmy. Miałeś dwa implanty. Aleoba zniszczył impuls elektromagnetyczny. Nie byłs śledzony. Aresa

tu nie ma, wciąż prowadzi Wyjców. Wrócił tylko, żeby zostawić rannych, a potem zaraz się zwinął.

Naliczyłem tuzin wilczych skór, więc Sevro prowadził rekrutację. Chwast nas zdradziła, ale Vixus wspomniał o Kamyk i Klaunie. Ciekawe, czy Śrubokręt też był z nimi.

– Ares zawsze pozostaje w ruchu – wyjaśnia mi matka.

– Jest wiele do zrobienia i tylko jeden Ares – krzywi się Narol. – Wyjce szukają ocalałych. Wkrótce wrócą. Rano, jeśli im dopisze szczęście.

Opadam na posłanie, oszołomiony rozmową. I spotkaniem. Ledwie udaje mi się sklecić zdanie. A tak wiele mam do powiedzenia. Tak wiele przepływa we mnie uczuć, do których nie przywykłem. A kończy się na tym, że leżę tylko i oddycham szybko. Miłość matki wypełnia pokój, wciąż jednak czuję, że w pobliżu czai się mrok. Podkrada się do moich bliskich, których uważałem za straconych, a teraz nie mogę chronić. Moi wrogowie są zbyt potężni. A ja zbyt słaby. Kręczę głową i przesuwam palce po dloni matki.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę.

– A jednak tu jesteś. – Wydaje się, że brzmi to chłodno. Typowe dla mojej matki, która zawsze umiała zachować beznamiętność, gdy obaj jej mężczyźni ledwie mogli mówić. Zawsze zastanawiałem się, jak udało mi się przeżyć Instytut. Z pewnością nie dzięki temu, co odziedziczyłem po ojcu. Był miękki. Twardość i hart ducha mam po matce. Żelazną wolę. Zaciskam dłoń na jej ręce, jakby ten gest miał wyrazić to, co chciałbym powiedzieć.

Przerywa nam ciche pukanie do drzwi. Zagląda Tancerz. Jak zawsze diabelnie przystojny – jedyny żywy Czerwony, który ładnie się starzeje. Już w korytarzu słyszałem, jak lekko powłóczy nogą. Moja matka i Narol kiwają mu głowami. Narol odsuwa się z szacunkiem, gdy Tancerz podchodzi do łóżka, ale matka ani drgnie.

– Zdaje się, że ten Helldiver jeszcze nie doszedł do siebie. – Tancerz ujmuje mnie za rękę. – Przeraziłeś nas na śmierć.

– Cholernie się cieszę, że cię widzę, Tancerzu.

– Ja też, chłopcze. Ja też.

– Dziękuję, że się nimi zająłeś. – Wskazuję na matkę i wuja. – I za to, że pomogłeś Sevrowi...

– Od tego jest rodzina – odpowiada cicho. – Jak się czujesz?

– Boli mnie w piersi. I wszędzie.

Tancerz parska śmiechem.

– I powinno. Ten koktajl od Nakamury omal cię nie zabił. Miałeś atak serca.

– Tancerzu, jak Szakal się dowiedział? Codziennie się nad tym zastanawiałem.

Dręczyło mnie to. Gdzie popełniłem błąd? Co mnie zdradziło?

– To nie ty – odpowiada Tancerz ze smutkiem. – To Harmony.

– Harmony... – powtarzam zaskoczony. – Ale przecież nie mogłaby... Nienawidzi Złotych...

Jednak nawet gdy to mówię, pamiętam, jak bezmyślna jest jej nienawiść. I jak wielkie pragnienie zemsty musiało ją ogarnąć, gdy nie zdetonowałem bomby, którą mi dała, żebym zabił Władczynię i innych na Księzycu.

– Harmony uważa, że sprzedaliśmy rebelię – wyjaśnia Tancerz. – I że za bardzo idziemy na kompromis. Powiedziała Szakalowi, kim jesteś.

– Więc wiedział, gdy przyszedłem do jego gabinetu. I kiedy dałem mu prezent... Tancerz ze znużeniem kiwa głową.

– Twoja obecność potwierdziła jej słowa. Dlatego Szakal pozwolił nam uratować ją i pozostałych. Zabraliśmy Harmony do bazy, a na godzinę przed pojawiением się jego szwadronów śmierci zniknęła.

– Przez nią zginął Fitchner. Dał jej cel... Rozumiem, dlaczego zdradziła mnie, ale jego? Aresa?

– Odkryła, że to Złoty. A potem go wydała. Musiała też podać Szakalowi współrzędne bazy.

Ares był jej bohaterem. Jej bogiem. Po śmierci dzieci dał jej powód do życia i siłę do walki. A potem odkryła, że to wróg, więc wydała na niego wyrok śmierci. Myśl, że zginął przez swoje pochodzenie, jest dla mnie miażdżąca.

Tancerz przygląda mi się uważnie. Jest jasne, że nie tego się spodziewał. Matka i Narol równie uważnie obserwują jego, jak wcześniej przyglądali się mnie. Pewnie też nie takiego mnie oczekiwali.

– Wiem, że nie jestem już taki, jak wcześniej – mówię powoli.

– Nie, chłopcze. Przeszedłeś przez piekło. Nie o to jednak chodzi.

– A o co?

Obaj mężczyźni spoglądają na moją matkę.

– Na pewno?

– Musi wiedzieć. Powiedz mu – nakazuje matka. Narol przytakuje skinieniem głowy.

Tancerz nadal się wahaj. Zerka na krzesło. Narol pośpiesznie podsuwa je blisko łóżka. Tancerz dziękuje skinieniem głowy, po czym siada, pochyla się do mnie i splata palce pod brodą.

– Darrow, ludzie wciąż przed tobą coś ukrywali i trwało to zbyt długo. Dlatego od tej pory będę z tobą całkowicie szczerzy. Jeszcze pięć dni temu uważaliśmy, że nie żyjesz.

– Prawie byłem martwy.

– Nie, nie to chcę powiedzieć. Przystaliśmy cię szukać dziewięć miesięcy temu.

Dłoń matki zaciska się na mojej.

– Trzy miesiące po twoim pojmaniu Złoci przeprowadzili twoją egzekucję za zdradę. Pokazali to we wszystkich wiadomościach. Przywlekli chłopaka, który wyglądał identycznie jak ty, na stopnie Cytadeli w Agei i odczytali mu listę jego zbrodni. Udawali, że wciąż jesteś Złotym. Próbowaliśmy cię odbić, ale zastawili pułapkę. Straciliśmy tysiące ludzi. – Tancerz przesuwa spojrzeniem po moich włosach i ustach. – Miał twoje oczy, twoje blizny, swoją przeklętą twarz. A my musieliśmy patrzeć, jak Szakal ścina ci głowę, a potem niszczy twój obelisk na Polu Marsa.

Przyglądam mu się bez zrozumienia.

– Opłakiwaliśmy cię, dziecko – wyjaśnia matka z napięciem. – Cały klan, całe miasto. Zaintonowałam pieśń pogrzebową i pochowaliśmy twoje buty na dnie szybu za Tinos.

Narol obejmuje się ramionami, jakby próbował się odciąć od tych wspomnień.

– Wyglądał jak ty. Chodził jak ty. Myślałem, że znowu patrzę, jak umierasz.

– Pewnie to była genetyczna maska albo chłopak został wyrzeźbiony. Złoci mogli też użyć jakiegoś urządzenia holograficznego – wyjaśnia Tancerz. – To bez znaczenia. Szakal zabił cię jako Aureata. Nie jako Czerwonego. Złoci nie byli tak głupi, żeby ujawnić swoją prawdziwą tożsamość. Dostarczyliby nam tylko argumentów do walki. Dlatego zginąłeś jako kolejny Złoty, któremu zamarzyło się zostać królem. Egzekucja miała służyć za ostrzeżenie.

Szakal obiecał, że skrzywdzi tych, których kocham. Nie sądziłem, że może uderzyć tak mocno. Matka traci opanowanie, smutek i rozpacz, które w sobie dusiła, odbijają się w jej oczach, a gdy na mnie patrzy, nie kryje poczucia winy.

– Poddałam się – przyznaje cicho, a głos się jej załamuje. – Poddałam się i przestałam cię szukać.

– To nie twoja wina – zapewniam. – Nie mogłaś wiedzieć.

– Sevro wiedział – zaprzecza.

– Nigdy nie zaprzestał poszukiwań – podejmuje wyjaśnienia Tancerz. – Myślałem, że oszalał. Twierdził, że żyjesz. I że to czuje. I wie. Prosiłem go nawet, żeby oddał hełm komuś innemu. Zrobił się lekkomyślny, tak bardzo chciał cię znaleźć.

– I drań cię znalazła – wtrąca Narol.

– Właśnie. Myliłem się – przyznaje Tancerz. – Powiniensem w ciebie wierzyć. I w niego.

– Jak mnie znaleźliście?

– Teodora rozpuściła wici.

– Teodora tu jest?

– Pracuje dla nas, dowodzi wywiadem. Kobieta ma kontakty. Paru jej informatorów z klubu Pereł usłyszało, że Rycerze Olimpijscy zabierają paczkę z

Attyki na Księżyce. Przesyłkę dla Władczyni. Sevro uznał, że to ty jesteś tą przesyłką, a potem zaangażował sporo naszych rezerw w ten atak, stracił dwa nasze atuty i...

Gdy mówi, obserwuję matkę, która wbija wzrok w żarówkę zwisającą z sufitu. Co musiała czuć, gdy widziała, jak Złoci zabijają jej dziecko? Na pewno dostrzegła blizny, nieme świadectwo jego cierpienia... Ile matek modliły się, aby ich synowie i córki wrócili z wojny, lecz dowiadowały się jedynie, że ta wojna już odebrała im dzieci, a ten świat je zatrącił i nigdy już nie będą takie same...?

Przez dziewięć miesięcy matka mnie opłakiwała. A teraz pograżała się w poczuciu winy, bo poddała się rozpacz i uwierzyła, że wojna znowu mnie pochłonęła. Matka wiedziała, że nie może tego powstrzymać. Przez lata wspinałem się po plecach tak wielu ludzi, aby osiągnąć to, czego – jak mi się zdawało – pragnąłem. Jeżeli to moja ostatnia szansa w życiu, chcę zrobić to jak należy. Muszę.

- ...jednak naszym problemem nie są surowce, lecz siła robocza, potrzebna...
- Tancerzu... dość – przerywam.
- Dość? – Marszczy brwi zaskoczony, zerka na Narola. – O co chodzi?
- O nic. Ale o tym porozmawiam z tobą rano.
- Rano? Darrow, świat usuwa się nam spod nóg. Straciliśmy kontrolę nad innymi odłamami Czerwonych. Synowie nie przetrzymają roku. Muszę ci opisać sytuację. Musimy wrócić...
- Tancerzu, żyję. – W głowie kłębią mi się pytania, które chcę zadać. O wojnę. O moich przyjaciół. O swój stan. O Mustang. Ale to może poczekać. – Wiesz, jakie mam szczęście? Spotkaliśmy się znowu na tym świecie. Ale przez sześć lat nie widziałem matki, brata i siostry. Dlatego jutro wysłucham twojego opisu sytuacji. Jutro znowu oddam się wojnie. Ale dzisiaj spędzę czas z rodziną.

* * *

Słyszę dzieci, zanim docieramy do drzwi. Mam wrażenie, że wkraczam do snu kogoś innego. Nie pasuję do świata dzieci. Moje zdanie się jednak nie liczy, bo matka pcha mój wózek prosto do zagraconego pomieszczenia z metalowymi ławkami, wypełnionego zapachem szamponu i harmidrem. Pięcioro spokrewnionych ze mną dzieci, świeża po kąpieli, sądząc po mokrych jeszcze włosach i małych sandałach na podłodze, siedzi na ławce, dwoje wyższych dziewcząt flankuje dwoje sześcioletków i maleńką jak cherubinek dziewczynkę, która wyzywająco spogląda na największego chłopca. Jeszcze jej nie zauważa. Szóste dziecko pamiętam z odwiedzin u matki w Lykos, dziewczynka, która nie mogła spać. Córka Kieran. Zerka na inne dzieci znad kolorowej książki z bajkami. Siedzi w ławce obok i pierwsza mnie dostrzega.

- Ta! – Odwraca się do pozostałych. – Ta...

Kieran zrywa się od gry w kości z Leanną, gdy mnie widzi. Oboje podchodzą, ale Leanna trzyma się w tyle. Brat zatrzymuje się tuż przed moim wózkiem. Też ma brodę. Jest starszy, bliżej mu do trzydziestki. Nie garbi się jak kiedyś. Z oczu bije mu zadowolenie, które chyba go trochę ogłupiało, a przynajmniej tak sądziłem, bo teraz wydaje mi się, że to raczej śmiałość. Opanowuje się, machnięciem ręki przywołuje dzieci.

– Reagan, Iro. Poznajcie mojego młodszego brata. To wasz stryjek.

Dzieci stają skrępowane obok niego. Z tyłu pokoju rozlega się dziecienny śmiech, a młoda matka wstaje z ławki, na której karmiła piersią dziecko.

– Eo? – szepczę. Kobieta wygląda jak z przeszłości. Drobna, z twarzą w kształcie serca i wijącymi się, długimi włosami. Tak samo wyglądały włosy Eo w wilgotne dni. A jednak to nie Eo. Oczy ma mniejsze, nos dłuższy. Więcej w niej delikatności niż ognia. To już kobieta, a moja żona była jeszcze dziewczyną. Ma teraz chyba dwadzieścia lat, o ile dobrze pamiętam.

Wszyscy patrzą na mnie dziwnie.

Pewnie się zastanawiają, czy oszalałem.

Z wyjątkiem Dio, siostry Eo. Jej twarz, która przypomniała mi żonę, rozpromienia się w uśmiechu.

– Wybacz, Dio – mówię szybko. – Wyglądasz... zupełnie jak ona.

Dio nie pozwala, żeby zapadło między nami niezręczne milczenie. Ucisza moje przeprosiny. Mówi, że to najmilszy komplement, jaki mogłaby usłyszeć.

– No to powiedz mi, kto to jest. – Wskazuję na niemowlę, które trzyma w ramionach. Mała dziewczynka z absurdalnie spiętymi włosami – zebranymi na czubku głowy w miotełkę. Albo antenkę. Dziewczynka spogląda na mnie z podnieceniem, wytrzeszcza ciemnoczerwone oczy.

– Ta mała? – Dio podchodzi bliżej do mojego wózka. – Och, to ktoś, kogo chciałam ci przedstawić, gdy tylko Deanna powiedziała nam, że przeżyjesz.

Zerka na mojego brata z miłością. Czuję ukłucie zazdrości.

– To nasza pierwsza. Chcesz ją potrzymać?

– Potrzymać? Nie... Ja...

Mała wyciąga pulchnie rączki, a Dio sadza mi ją na kolanach, zanim zdążę zaprotestować bardziej stanowczo. Dziewczynka zaciska piąstki na moim swetrze, wierci się, wreszcie sadowi się wygodnie. Wtedy klaszcze w małe rączki ze śmiechem. Nie ma pojęcia, kim jestem. I dlaczego na moich rękach widnieje tyle blizn. Podoba jej się ich wielkość i Złote Sigile, więc łapie mnie za kciuk i zaczyna go gryźć dziąsłami.

Światu tej małej obce są koszmary i groza, które poznałem. Wszystkie dzieci dostrzegają tylko miłość. Skóra dziewczynki jest blada i delikatna – wydaje się ulotna jak mgła przy mojej, chropowatej jak kamień. Dziewczynka ma wielkie oczy

swojej matki, ale usta Kieran, zachowanie chyba też. W innym życiu mogłaby być moją córką, urodzoną przez Eo. Moja żona wyśmiałaby pomysł, że to dziecko urodziłaby jej siostra mojemu bratu, że tych dwoje będzie razem, a my nie. Przemknęliśmy jak mała burza, która nigdy nie trwa długo. Może Kieran i Dio będą mieli więcej szczęścia.

* * *

Długo po ściemnieniu oświetlenia w całym budynku siedzę z wujem i bratem przy stole na tyłach sali. Słucham, jak Kieran opowiada o swoich nowych obowiązkach. Uczy się obsługi promów i myśliwców od Pomarańczowych. Dio dawno poszła do łóżka, ale zostawiła mi dziecko, które teraz śpi w moich ramionach i porusza się od czasu do czasu, wiedzione swoimi snami, jakiekolwiek by one były.

– Nie jest tu tak źle – zapewnia mnie Kieran. – Lepiej niż w barakach kopalni. Mamy jedzenie i prysznice z wodą, nie trzeba się płukać. Podobno nad nami jest jezioro. Cholernie mi się to podoba. A szkraby uwielbiają kąpiele. – Zerka na swoje dzieci w przyciemnionym świetle. Po dwoje w łóżkach, wiercą się we śnie. – Najtrudniej znieść, że nie wiadomo, co je czeka. Czy zostaną górnikami? Będą pracować przy maszynach? Miałem taką nadzieję. Chciałem, żeby coś po mnie zostało, przesłanie, dzieło. Rozumiesz? – Kiwam głową. – Kiedyś pragnąłem, żeby moi synowie obsługiwieli wiertło, jak ty. Jak tata. Ale... – Kieran wzrusza ramionami.

– Nie ma tu nic, na czym można się oprzeć – dodaje Narol. – To puste życie, gdy się wie, że zostaliśmy wdeptani w ziemię.

– Właśnie – przyznaje Kieran. – Umrzeć po trzydziestce, żeby Złoci mogli dożyć setki. To cholernie niesprawiedliwe. Chcę, żeby moje dzieci czekało coś więcej niż to, bracie.

Wbiją we mnie wzrok, a ja przypominam sobie, o co zapytała mnie matka, gdy ją odwiedziłem. Co będzie po rewolucji? Jaki świat tworzymy? O to pytała Mustang. Coś, nad czym Eo nigdy się nie zastanawiała.

– Muszą mieć więcej niż to. I kocham Aresa jak każdy. Zawdzięczam mu życie. I życie moich dzieci. Ale... – Kieran kręci głową. Chciałby powiedzieć więcej, ale czuje ciężar spojrzenia Narola.

– Mów – zachęcam.

– Nie wiem, czy on wie, co będzie potem. Dlatego cieszę się, że przeżyłeś, młodszy bracie. Wiem, że ty masz plan. Wiem, że możesz nas ocalić.

Mówi to z taką ufnością, z taką wiarą.

– Oczywiście, że mam plan – zapewniam, ponieważ rozumiem, że właśnie to Kieran chce usłyszeć. Ale gdy brat z zadowoleniem napełnia sobie kubek, wuj

podchwytuje moje spojrzenie i wiem, że przejrzał moje kłamstwo. Obaj czujemy ciemność, która czai się i napiera.

Rozdział dziewiąty

MIASTO ARESA

Rano piję kawę po zjedzeniu miski płatków zbożowych, które matka przyniosła ze wspólnej jadalni. Nie jestem jeszcze gotów stawić czoła tłumom. Kieran i Leanna poszli do pracy, więc siedzę z Dio i matką, która pilnuje, aby dzieci przygotowały się do wyjścia do szkoły. Dobry znak. Wiadomo, kiedy ludzie się poddają – gdy przestają uczyć swoje dzieci. Kończę kawę. Matka mi dolewa.

– Przyniosłaś cały dzbanek? – dziwię się.

– Kucharz nalegał. Próbował dać mi dwa.

Popijam kolejną porcję.

– Smakuje prawie jak prawdziwa.

– Jest prawdziwa – zapewnia mnie Dio. – Jeden pirat wysyła nam przemycone towary. Kawa pochodzi z Ziemi, jak mi się zdaje. Nazywa się „Jamaka”.

Nie poprawiam jej.

– Oj! – rozlega się okrzyk na korytarzu. Matka zrywa się od stołu. – Kosiarzu! Kosiarzu! Wyjdź się pobawić, co?

Zza drzwi dochodzi łomot ciężkich butów.

– PAMIĘTAJ, DEANNA KAZAŁA NAM ZAPUKAĆ – słyszać grzmiące napomnienie.

– Jesteś nieznośny. No dobra. – Rozlega się uprzejme pukanie. – Ti-ding! Tu stryjek Sevro i Zasadniczo Przyjazny Olbrzym.

Matka wskazuje na jedną z moich podekscytowanych bratanic.

– Ello, otwórz, proszę.

Ella zrywa się i jak strzała pędzi do drzwi. Sevro wpada, chwyta małą w ramiona i podnosi. Dziewczynka piszczy z radości. Sevro nosi tylko kombinezon z czarnej, pochłaniającej pot tkaniny, który zakłada się pod pancerz. Pod pachami widać wilgotne plamy. Oczy Sevra błyszczą, gdy na mnie patrzy, a potem rzuca Ellę na najbliższe łóżko i rusza na mnie z wyciągniętymi rękami. Z ust wyrywa mu się dziki śmiech, toporną twarz rozciąga krzywy, zębaty wyszczerz. Mój przyjaciel ma tłuste, brudne włosy przycięte na irokeza. Bardzo przepoconego irokeza.

– Ostrożnie, Sevro! – ostrzega matka.

– Kosiarz! – Sevro łapie mnie, obraca wózek z takim impetem, że zęby mi dzwonią, a potem obejmuję mnie wpół i unosi z wózka. Zrobił się silniejszy, roztacza zapach tytoniu, paliwa rakietowego i potu. Śmieje się i skamle mi w tors jak podniecony pies. – Wiedziałem, że żyjesz. Wiedziałem, do jasnej cholery. Te suki Pixie nie mogły mnie zwieść.

Odsuwa mnie trochę i posyła swój zębaty uśmiech.

– Ty przeklęty draniu.

– Nie klnij przy dzieciach! – warczy na niego moja matka.

Krzywię się.

– Moje żebra.

– O szlag, wybacz, bracie. – Opuszcza mnie na wózek i klęka, żebyśmy mogli patrzeć sobie w oczy. – Raz już to mówiłem. A teraz powtórzę. Nie da się zabić grzybów pod moimi jądrami i Kosiarza na cholernym Marsie! Ha!

– Sevro!

– Przepraszam, Deanno, przepraszam.

Odsuwam się od niego.

– Sevro... Strasznie cuchniesz.

– Nie myłem się od pięciu dni. – Preży się, położywszy rękę na swoim podbrzuszu.

– To zapach Sevra, chłopcze. – A potem bierze się pod boki. – Wiesz, wyglądasz... ych... – Zerka na moją matkę i łagodzi język. – Cholernie koszmarnie.

W pokoju robi się ciemniej, gdy wchodzi drugi mężczyzna, a jego postać przesłania światło padające przez okno przy drzwiach. Dzieci tłoczą się wokół niego radośnie, więc Ragnar ledwie może iść.

– WITAJ, KOSIARZU – jego głos grzmi wśród dziecięcych pisków.

Uśmiecham się do tego olbrzyma. Jego twarz pozostaje jak zawsze beznamiętna. Blada, osmagana wichrami jego arktycznej ojczyzny, o skórze grubej jak u nosorożca. Teraz z tatuażami. Białą brodę Ragnar ma splecioną w cztery warkoczyki, długie warkocz na lysej głowie związany jest czerwoną wstążką. Dzieci pytają, czy przyniósł im prezenty.

– Sevro... – Pochylam się. – Twoje oczy...

Przyjaciel przysuwa się bliżej.

– Podobaję ci się? – Płonące w tej niesymetrycznej, kanciatej twarzy oczy Sevra nie mają już brudnożółtej barwy Złotych, lecz są czerwone jak piaski Marsa.

Przyjaciel podnosi wysoko powieki, żeby mógł się dobrze przyjrzeć. To nie szkła kontaktowe. I prawe już nie jest bioniczne.

– Cholera jasna. Zrobiłeś sobie rzeźbienie?

– U najlepszego speca w branży. Podobaję ci się?

– Są cholernie cudowne. Pasują ci.

Sevro uderza pięścią w pięść.

– Cieszę się, że to mówisz. Bo są twoje.

Nie rozumiem.

– Co?

– Są twoje.

– Co moje?

– To twoje oczy!

– Moje... oczy...

– Czy ten Przyjazny Olbrzym upuścił cię na głowę podczas akcji ratunkowej?

Mickey miał twoje oczy w krioskrzynce. Trzymał je w swojej pracowni w Yorkton.

Miejsce przyprawia o dreszcze, mówię ci. Wybraliśmy się tam po zapasy dla Tinos i wsparcie dla powstania. Założyłem, że tych oczu nie będziesz już używał, więc...

no... – Sevro niepewnie wzrusza ramionami. – Więc zapytałem, czy mogę je dostać. No wiesz. Żebyś mógł widzieć po śmierci. Żebyśmy byli bliżej, razem. Chciałem mieć coś, co będzie cię przypominać. To nie takie dziwne, prawda?

– MÓWIĘ MU, ŻE TO DZIWNE – wtrąca Ragnar. Jedna z dziewczynek wspina się po nodze.

– Chcesz te oczy z powrotem? – pyta Sevro z nieskrywanym niepokojem. – Mogę ci oddać...

– Nie! – wzdragam się. – Po prostu zapomniałem, jak bardzo jesteś pokręcony.

– Och! – Sevro ze śmiechem klepie mnie w ramię. – To dobrze. Myślałem, że to coś poważnego. Więc mogę je zatrzymać?

– Znalezione należy do znalazcy. – Wzruszam ramionami.

– DEANNO Z LYKOS, MOŻEMY POŻYCZYĆ TWOJEGO SYNA NA NARADĘ WOJENNĄ? – pyta Ragnar moją matkę. – MA WIELE DO ZROBIENIA. I WIELE SPRAW DO POZNANIA.

– Tylko jeżeli zwrócicie go w jednym kawałku. I weźcie kawę. I oddajcie po drodze te skarpetki do prania. – Matka wręcza Ragnarowi termos i kosz z pocerowanymi skarpetkami.

– TAK JEST.

– Co z prezentami? – dopytuje się jeden z moich bratanków. – Nic nam nie przyniosłeś?

– Mam dla ciebie prezent...

– Sevro, nie! – wykrzykuję chorem Dio i moja matka.

– No co? – Wyciąga torbkę. – Tym razem to tylko cukierki.

* * *

– ...i wtedy Ragnar potknął się o Kamyk i wypadł z transportu – rechocze Sevro. – Jak głupek.

Je czekoladowy baton nad moją głową i pcha niedbale mój wózek kamiennym korytarzem. Znowu zaczyna biec i podskakuje za moimi plecami, aż uderzamy w ścianę. Krzywię się z bólu.

– No i Ragnar wpadł do morza. Zrobiło się nieprzyjemnie, mówię ci, człowiek. Fale wielkie jak krążowniki. Zanurkowałem, bo co miałem robić? Myślałem, że

wielkolud potrzebuje mojej pomocy. I wtedy zobaczyłem to wielkie... Nie wiem, jak, cholera, to się nazywa. Jakaś wyrzeźbiona bestia...

– DEMON – wyjaśnia Ragnar z tyłu. Nie wiedziałem, że idzie z nami. – TO BYŁ DEMON MORSKI Z TRZECIEGO KRĘGU HEL.

– Jasne. – Sevro pcha mnie za zakręt, bok wózka zgrzyta o ścianę tak głośno, że muszę się ugryźć w język. Grupa pilotów, Synów Aresa, uskakuje nam z drogi. Patrzę za nami, gdy brniemy dalej. – W tym morzu... – Sevro zerka na Ragnara. – Demon chyba uznał Ragnara za wyjątkowo smaczny kąsek, więc od razu go połknął. Widzę to i ryczymy ze śmiechu, ja i Śrubokręt. Każdy by padł, bo to był naprawdę zabawny widok, a wiesz, że Śrubokręt uwielbia dobre żarty. Wtedy jednak bestia zaczęła schodzić głębiej. No to ruszyłem za nią. I podczas pościgu strzelam z pulsRękawicy w tego cholernego... – Znowu zerka na Ragnara. – W cholernego morskiego demona, a stwór zmyka na dno Morza Ciepła. Ciśnienie rośnie. Pancerz mi trzeszczy. I gdy już myślałem, że zaraz zginę, Ragnar wycina sobie drogę z tej jaszczurczej bestii. – Pochyla się nisko. – Ale zgadnij, ktorędy się wydostał! No zgadnij, zgadnij!

– Sevro, czy wydostał się z demona per rectum? – wzdycham.

Sevro piszczy ze śmiechu.

– Tak! Właśnie. Wylazł mu z tyłka. Wyleciał jak gów...

Mój wózek się zatrzymuje. Głos Sevra urywa się, potem następuje łupnięcie i ślizg. Wózek znowu rusza. Odwracam się. Ragnar pcha go z miną niewinnego anioła. Sevra nie ma w korytarzu. Marszęcę brwi, zastanawiając się, gdzie go poniosło, ale wtedy wyskakuje z bocznego korytarza.

– Ty trollu! – wrzeszczy. – Jestem przywódcą terrorystów! Przestań mnie ciskać na prawo i lewo! Przez ciebie wypadł mi batonik!

Sevro rozgląda się po ziemi.

– Czekaj, gdzie jest ten baton? Szlag, Ragnar! Gdzie mój baton z orzechami? Wiesz, ilu ludzi musiałem zabić, żeby go dostać? Sześciu! Sześciu!

Ragnar przejuwa nieśpiesznie nad моją głową i – chociaż zapewne się mylę – wydaje mi się, że się uśmiecha.

– Ragnarze, wyczyściłeś sobie zęby? Wyglądają wspaniale.

– DZIĘKUJĘ. – Ragnar wdzięczy się, o ile można to powiedzieć o mężczyźnie wysokim na osiem stóp i żującym baton z orzechami. – CZARODZIEJ USUNĄŁ MOJE STARE ZĘBY, BO BARDZO MNIE BOLAŁY. TE SĄ NOWE. CZYŻ NIE SĄ DOBRE?

– Czarodziej Mickey? – upewniam się.

– W RZECZY SAMEJ. ZANIM OPUŚCIŁ TINOS, NAUCZYŁ MNIE TEŻ CZYTAĆ. – Ragnar udowadnia to, czytając każdy znak i ostrzeżenie, które mijamy w korytarzu, dopóki nie docieramy do hangaru jakieś dziesięć minut później.

Sevro idzie za nami i nieprzerwanie lamentuje nad utraconym batonikiem. Jak na standardy Elity, hangar jest mały i ciasny, jednak nadal ma prawie trzydzieści metrów wysokości i sześćdziesiąt szerokości. Został wydrążony w skale laserowym wiertłem. Kamienną podłogę pokrywa spalenizna od wyziewów silników. Kilka poobijanych promów spoczywa na stanowiskach startowych obok trzech lśniących od nowości myśliwców. Czerwoni nadzorowani przez dwóch Pomarańczowych sprawdzają je, ale gdy ich mijam, wbijają we mnie wzrok. Czuję się tutaj jak wyrzutek.

Pstrukata grupa żołnierzy wychodzi z poobijanego promu bojowego. Niektórzy nadal noszą pancerze, z ramion zwisają im wilcze skóry. Inni zdjęli już zbroje i pozostali tylko w kombinezonach, niektórzy odsłonili też torsy.

– Wodzu! – woła Kamyk spod ramienia Klauna. Nadal jest pulchna i szczerzy się do mnie, gdy ciągnie Klauna, żeby szedł szybciej. Jego loki są zmatowiałe od potu, chłopak wspiera się na niższej dziewczynie. Oboje uśmiechają się, gdy podchodzą bliżej, jakbym nic się nie zmienił. Kamyk puszcza Klauna, żeby mnie uścisnąć. Klaun natomiast kłania mi się niezdarnie.

- Wyjce meldują się na rozkazy, Prymusie – mówi. – Wybacz to zamieszanie.
 - Zrobiło się gównianie – wyjaśnia Kamyk i nie daje mi dojść do słowa.
 - Wyjątkowo gównianie. Zmieniłeś się trochę, Kosiarzu. – Klaun bierze się pod boki. – Wyglądasz... szczuplej. Zgoliłeś sobie włosy? Nie mów, że zapuszczasz brodę... Strasznie rzadka.
 - Miło, że zauważłeś – odpowiadam uprzejmie. – I że zostałeś, biorąc wszystko pod uwagę.
 - Chodzi ci o to, że okłamywałeś nas przez pięć lat?
 - Właśnie – przyznaję.
 - No cóż... – Klaun już ma powiedzieć coś dosadnego, ale Kamyk klepie go w ramię.
 - Oczywiście, że zostaliśmy, Kosiarzu! – rzuca słodko. – To nasza rodzina...
 - Ale mamy warunki. – Klaun grozi mi palcem. – O ile życzysz sobie naszych pełnych usług. Ale... na razie musimy iść. Obawiam się, że mam szrapnel w tyłku. Dlatego lepiej się pożegnam. Chodź, Kamyk. Do chirurga.
 - Na razie, wodzu! – macha mi Kamyk. – Cieszę się, że jednak żyjesz!
 - Kolacja Wyjców o ósmej – woła za nią i Klaunem Sevro. – Nie spóźnijcie się.
- Szrapnel w tyłku to żadna wymówka, Klaun!
- Tak jest, szefie!
- Sevro odwraca się do mnie z uśmiechem.
- Gnojki nawet nie mrugnęły, gdy im powiedziałem, że jesteś Rdzawy. Poszły ze mną i Ragnarem, żeby pomóc uciec twojej rodzinie. Chociaż niełatwo przyszło im wyjaśnić, co i jak. Tędy.

Gdy mijamy prom, z którego zeszła Kamyk z Klaunem, widzę opuszczoną rampę. W ładowni pracuje dwóch chłopców, zmywają podłogę szlauchami. Z wodą po rampie spływa brązowawa krew, prosto na kamienną podłogę, po czym płynie wąskim kanalikiem na skraj skalnej półki i tam znika.

– Niektórzy ojcowie zostawiają swoim dzieciom okręty lub posiadłości. Mnie dupkowaty tatuś zostawił ten ul nędzy i rozpacz.

– O jasna cholera... – szepczę, gdy uświadamiam sobie, na co dokładnie patrzę.

Poniżej hangaru rozciąga się odwrócony las stalaktytów. Lśni i migocze w podziemnym świcie. Nie tylko od spływającej po ich powierzchni wody, lecz także od świąteł doków, baraków i czujników, które chronią wielki bastion Aresa. Statki zaopatrzeniowe lądują i startują z mnóstwa stanowisk.

Znajdujemy się w stalaktycie – wybucham śmiechem z zachwytu. Zaraz jednak poważniej, gdy mój wzrok opada niżej, a brzemię przygniata mi ramiona. Sto metrów poniżej naszego stalaktytu rozciąga się obozowisko uchodźców. Ongiś było miasteczkiem wykutym w skałach Marsa. Ulice między budynkami są tak głębokie, że przypominają miniaturowe kaniony. Miasto leży na dnie ogromnej jaskini i ciągnie się do jej ścian oddalonych o wiele kilometrów. A tam wznosi się coraz więcej domów przylepionych do skały jak ule. Schody wykuto w granicie. Wyżej powstaje kolejne miasto, bez dachów – wznoszone przez uchodźców. Brudne twarze i ubrania, rozczochrane włosy. Morze ludzkich głów. Ludzie śpią na dachach i na ulicach. Nawet na stopniach przy skalnej ścianie. Dostrzegam metalowy symbol Gamm, Omikronów i Ypsilonów. Dwanaście klanów, na które Złoci podzielili mój lud.

Widok przesywa mnie do głębi.

– Ilu ich tam jest?

– Szlag wie. Obsługa przynajmniej dwunastu kopalń. Lykos było małe w porównaniu z niektórymi osadami bliżej większych złóż helium-3.

– CZTERYSTA SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ TYSIĘCY. WEDŁUG BAZY DANYCH – informuje mnie Ragnar.

– Tylko pół miliona? – szepczę.

– Wydaje się, jakby ich było w choręwięcej, co?

Kiwam głową.

– Dlaczego się tutaj znaleźli?

– Musiałem dać im schronienie. Biedni dranie pochodzą z kopalń, które oczyścił Szakal. Wpompowuje achlys-9 prosto do systemu wentylacji, jeśli tylko pojawi się cień podejrzenia, że Synowie tam byli. To niewidzialne ludobójstwo.

Po plecach przebiega mi zimny dreszcz.

– Procedura likwidacji. Ostatnia deska ratunku dla Zarządu Kontroli Jakości w przypadku zbuntowanych kopalń. Jak utrzymujesz to w sekrecie? Zakłócanie

sygnałów?

– Właśnie tak. No i jesteśmy ponad dwa kliki pod powierzchnią. Ojciec podmienił dane topograficzne na mapach Elity i w jej bazach danych. Dla Złotych to tylko skalne podłoże, wyeksploatowane z helium-3 ponad trzy wieki temu. Sprytnie. Na razie wystarcza.

– A jak karmicie tych ludzi?

– Nie karmimy. To znaczy próbujemy, ale w Tinos nie widziano szczura od miesięcy. Ludzie śpią prawie jedni na drugich. Zaczeliśmy przenosić uchodźców do stalaktytów. Jednak wybuchają wśród nich choroby. Nie mamy dość lekarstw. A nie mogę ryzykować, że moi Synowie się pozarażają. Wtedy stracimyzęby i będziemy jak chora krowa czekająca na rzeź.

– **WYBUCHAJĄ ZAMIESZKI** – dodaje Ragnar.

– Zamieszki?

– No, prawie o tym zapomniałem. Musiałem im obciąć o połowę racje żywieniowe. A i tak były małe. Tym niewdzięcznym gnojkom tam na dole bardzo się to nie spodobało.

– **WIELU ZGINĘŁO, ZANIM TAM ZSZEDŁEM.**

– Obrońca Tinos – dodaje Sevro. – Jest bardziej popularny niż ja, to pewne jak cholera. Nie winią go za gówniane racje. Ale i tak jestem bardziej popularny niż Tancerz, ponieważ mam hełm drania ze szpikulcem. A Tancerz zajmuje się wszystkimi gównianymi sprawami, na które nie ma czasu. Ludzie są tacy durni. Człowiek dla nich haruje jak wół, a im się wydaje, że to tylko wredny dusigrosz.

– Wydaje się, jakbyśmy cofnęli się w rozwoju o tysiąclecia – wzdycham bezradnie.

– Prawie. Tylko prądu nie brakuje. Mamy generatory. Pod skałami płynie rzeka, więc nie brakuje wody, mamy sanitariaty i łazienki. I moc. Czasami. Ale... nie brakuje też obrzydliwości. Morderstwa. Zbrodnie. Gwałty. Kradzieże. Musimy trzymać Gammy osobno, z dala od innych. Paru Omikronów powiesiło chłopka z Gamm w zeszłym tygodniu i wycięło mu Złoty Sigil na piersi, a potem wyrwało Sigile Czerwonych z ramion. Powiedzieli, że młody był lojalistą, złotofilem. Miał czternaście lat.

Robi mi się niedobrze.

– **PALIMY ŚWIATŁA. NAWET W NOCY.**

– Tak. Bez świąteł na dole... byłoby nieciekawie. – Sevro wygląda na zmęczonego, gdy patrzy na miasto. Mój przyjaciel wprawdzie wie, jak walczyć, ale to zupełnie innego rodzaju konfrontacja.

Patrzę na miasto, niezdolny wydobyć słów, które powinienem powiedzieć. Czuję się jak więzień, który spędził całe życie, kopiąc tunel pod murem, tylko po to, aby przekopać się do kolejnej celi. Tyle że zawsze będzie kolejna cela. I jeszcze jedna. I następna. Ci ludzie nie żyją. Wszyscy po prostu starają się odwlec koniec.

- Nie tego chciała Eo – mówię.
- Jasne... Cóż. – Sevro wzrusza ramionami. – Łatwo jest marzyć. Walczyć trudniej. Przygryza wargi w zamyśleniu.
- Widziałeś w ogóle Cassiusa?
- Raz, pod koniec. Dlaczego pytasz?
Sevro wbija we mnie gorejące oczy.
- To on zabił mi ojca.

Rozdział dziesiąty

WOJNA

– Nasza Elita prowadzi wojnę... – mówi mi Tancerz w sali narad Synów Aresa. Pomieszczenie jest opuszczone, odarte do nagiej skały i rozświetlone sinymi lampami na suficie oraz półkolem terminali komputerowych wokół wyświetlacza holograficznego na środku. Tancerz stoi obok trójwymiarowego obrazu, skąpany w błękitnej poświacie Morza Ciepła na Marsie. Jest z nami Ragnar, kilku starszych Synów Aresa, których nie znam, oraz Teodora, która wita mnie wdzięcznym pocałunkiem w usta, popularnym w kręgach księżycowych NadKolorów. Elegancka nawet w roboczych czarnych spodniach, emanuje autorytetem. Podobnie jak moje Wyjce, nie została zaproszona przez Augustusa do ogrodu na przyjęcie po Triumfie. Nie wydawała się ważna, Jupiterowi niech będą dzięki. Sevro posłał Kamyk, żeby zabrała Teodorę z Cytadeli, gdy tylko wszystko się posypało. Od tamtej pory pracuje dla Synów Aresa, pomaga Tancerzowi w propagandzie i kieruje wywiadem.

– ...nie tylko powstanie przeciw Złotym tu oraz w innych naszych komórkach w całym Układzie Słonecznym. Jednak wojna wybuchła też wśród Złotych. Po zabiciu Arcosa i Augustusa, a także po wyeliminowaniu twoich najzagorzalszych zwolenników podczas Triumfu Roque i Szakal odegrali dokładnie przygotowaną grę, aby przejąć flotę na orbicie. Obawiali się, że Virginia lub Telemanusowie zajmą okręty Złotych zamordowanych w ogrodzie. Virginia tak właśnie zrobiła, przejęła komendę nie tylko nad flotą swojego ojca, lecz także Arcosa, którą prowadziły trzy jego synowe. Doszło do bitwy wokół Deimosa. A flota Roque'a, choć przeciwnik przewyższał ją liczebnie, zmiażdżyła siły Mustang i zmusiła je do ucieczki.

– Więc Mustang żyje – stwierdzam spokojnie, bo wiem, że wszyscy obserwują mnie czujnie, niepewni, jak przyjmę wieści.

– Tak. – Sevro nie spuszcza ze mnie oka, podobnie jak reszta. – O ile nam wiadomo, żyje.

Ragnar ma zamiar się wtrącić, ale Sevro nie daje mu dojść do głosu.

– Tancerzu, pokaż Jowisza.

Zerkam na Ragnara, gdy Tancerz machnięciem ręki zmienia trójwymiarowy obraz. Pojawia się gazowy olbrzym, znaczony pasmami pastelowych barw. Otaczają go sześćdziesiąt trzy satelity wielkości niemal asteroid i cztery ogromne Księżyce Galileuszowe – Europa, Io, Ganimedes i Kallisto.

– Czystki rozpoczęte przez Szakala i Władczynię okazały się działaniami na szerszą skalę. Nie skończyły się na trzydziestu zabójstwach w ogrodzie, lecz

rozciągnęły na prawie trzysta morderstw w całym Układzie Słonecznym. Większości dokonali Rycerze Olimpijscy albo Pretorianie. Zaproponował je i przygotował Szakal, aby pozbyć się głównych wrogów Władczyni nie tylko na Marsie, lecz także na Księżyku i w całej Elicie. I tak się stało. Jednak popełniono jeden ogromny błąd. W ogrodach zabito też Revusa au Raa i jego dziewięcioletnią wnuczkę.

– ArcyGubernatora Io – mówię. – Jako wiadomość do Władców Księżyków?

– Tak, ale to się zemściło. Tydzień po Triumfie dzieci Władców Księżyków, które Władczyni przetrzymywała na Księżyku jako zakładników gwarantujących lojalność ich rodziców, uciekły. Dwa dni później dziedzic Raa ukradł Classis Saturni. Cały garnizon Ósmej Floty z doków na Kallisto. Raa dokonał tego ze wsparciem Kurdybanów z Ganimedesu.

Tancerz nabiera tchu.

– Raa ogłosił niepodległość Io oraz pozostałych księżyków Jowisza, sojusz z Virginią au Augustus oraz spadkobierczyniami Arcosa. Wypowiedział też wojnę Władczyni.

– Drugi bunt księżykowy. Sześćdziesiąt lat po spaleniu Rei. – Uśmiecham się lekko. Myślę o Mustang na czele całego systemu planetarnego. Nawet jeżeli mnie zostawiła, nawet jeżeli w sercu czuję pustkę, gdy ją wspominam, to dobre wieści dla powstania. Nie jesteśmy jedynymi wrogami Władczyni. – Czy Uran i Saturn się przyłączyły? Bo Neptun na pewno.

– Wszystkie.

– Wszystkie? Zatem jest nadzieja...

– Kto by pomyślał, co? – mamrocze Sevro.

Tancerz wyjaśnia.

– Władcy Księżyków również popełnili błąd. Spodziewali się, że Władczyni będzie zajęta Marsem i powstaniem niższych Kolorów, które obejmie wewnętrzne planety Układu Słonecznego. Dlatego założyli, że nie zdoła wysłać odpowiednio dużej floty na odległość sześciuset milionów kilometrów, żeby zdusić bunt. Uważali, że mają co najmniej trzy lata.

– I śmiertelnie się pomyliły – mamrocze znowu Sevro. – Głupcy. Dali się złapać z ręką w nocniku.

– Ile czasu potrzebowała Władczyni, żeby wysłać flotę? – pytam. – Pół roku?

– Sześćdziesiąt trzy dni.

– To niemożliwe, logistyka i paliwo wymagałyby... – Cichnę, gdy przypominam sobie, że Pan Popiółów był w drodze z odsieczą dla rodu Bellona. Zmierzał na orbitę Marsa, jeszcze zanim go przejęliśmy. Wtedy dzieliły go od planety tygodnie lotu. Musiał zapewne ruszyć dalej na Obrzeża. I ścigał cały czas Mustang.

– Powinieneś najlepiej znać skuteczność Floty Elity. To maszyna wojenna – wyjaśnia Tancerz. – Doskonałe systemy operacyjne i dopracowana logistyka. Im więcej czasu miałyby Obrzeża na przygotowania, tym trudniej Władczyni byłoby zwyciężyć w tej kampanii. Octavia au Lune o tym wiedziała. Dlatego Armada Mieczu odcumowała i ruszyła prosto na Jowisza. Dotarła tam w dziesięć miesięcy.

– Roque poprowadził wredny atak – dodaje Sevro. – Przekradł się na czele głównych sił i użył tej strasznej broni, niszczyciela światów, którą próbował ukraść stary Nero w zeszłym roku.

– Ukradł tę broń.

– Wiem. Nazwał ją „Colossus” i zmienił w swój okręt flagowy. Fircyk. To wstętny okręt. „Pax” wydaje się przy nim malutki.

Obraz holograficzny ukazuje nadlatującą flotę Roque'a, która zbliża się do orbity Jowisza. A tam czeka już niszczyciel światów. Dni, tygodnie i miesiące wojny oglądam na przyśpieszeniu.

– Zakres tego jest... szaleństwem – mówi Sevro. – Tysiące jednostek zaopatrzeniowych, setki okrętów wojennych. Każda z flot dwa razy większa od koalicji, którą udało ci się zwołać przeciw Bellonie...

Mówi dalej, ale nie słucham, pochłaniają mnie przemykające miesiące walk. Dociera do mnie, że świat się kręci beze mnie.

– Octavia nie wykorzystałaby Pana Popiołów – komentuję w zamyśleniu. – Gdyby przekroczył pas asteroid, nie byłoby litości. Obrzeża nigdy by się nie poddały. Kto prowadził flotę? Aja?

– Lizus Roque au Fabii – krzywi się Sevro.

– Prowadził całą flotę? – upewniam się z niedowierzeniem.

– Wiem, dobra? Po oblężeniu Marsa i bitwie pod Deimosem to cholerny dar boży dla planet wewnętrznych. Prawdziwy Żelazny Złoty, jak z obrazka w dawnych czasach. Nikogo nie obchodzi, że wodziłeś go za nos. Albo że w Instytucie był beznadziejny. Jest dobry w trzech dziedzinach: lamentach, wbijaniu ludziom noża w plecy i niszczeniu flot.

– NAZWANO GO POETĄ DEIMOSA – dodaje Ragnar. – NIEPOKONANY W WALCE. NAWET PRZECIW MUSTANG I JEJ TYTANOM. BARDZO NIEBEZPIECZNY CZŁOWIEK.

– Walka flot to nie jej gra – przyznaję. Mustang potrafi walczyć, ale zawsze była bardziej stworzeniem politycznym niż wojskowym. Umiała łączyć ludzi. Jednak czysta taktyka? To pole do popisu dla Roque'a.

Wypadłem z gry na zbyt długi czas. Ominęło mnie widowisko, jakim niewątpliwie był drugi bunt księżykowy. Sześćdziesiąt siedem satelitów, większość zmilitaryzowana, cztery zamieszkane przez populację liczącą ponad sto milionów. Starcia flot. Bombardowania z orbity. Manewry przejmowania asteroid z armiami w mechanopancerzach. Byłaby to moja piaskownica. Jednak mężczyzna we mnie wie,

że gdyby mnie nie było w kamiennej celi, w tej sali obrad brakowałoby niektórych ludzi.

Dociera do mnie, że popadłem w zbyt głębokie zamysłenie. Zmuszam się do rozmowy.

– Brakuje nam czasu. Prawda?

Tancerz przytakuje.

– W zeszłym tygodniu Roque zajął Kallisto. Tylko Ganimedes i Io jeszcze się trzymają. Jeżeli Władcy Księżyków skapitulują, ta flota i jej legiony powrócą tutaj, aby wesprzeć Szakala przeciwko nam. Będziemy jednym celem zjednoczonych sił zbrojnych Elity. Zostaniemy zniszczeni.

Właśnie dlatego Fitchner tak nienawidził bomb. Przyciągają uwagę, budzą upiory.

– A co z Marsem? Co z wojną? Do diabła, która wojna jest nasza?

– Właśnie w tym problem, zrobił się pieprzony bałagan – odpowiada Sevro. – Przerodził się w otwartą wojnę jakieś osiem miesięcy temu. Synowie Aresa zwarli szeregi. Nie wiem, gdzie jest Orion. Podobno zginęła „Pax” i twoje okręty przepadły. A teraz mamy paramilitarne oddziały, które nie należą do sprzymierzeńców Synów Aresa. Tworzą się na północy, masakrują cywili i zwykle są niszczone przez lotnictwo. Rozpoczęły się także masowe strajki i protesty w dziesiątkach miast. Więzienia są przepełnione więźniami politycznymi, których przenosi się do prowizorycznych obozów. Wiemy na pewno, że przeprowadza się tam masowe egzekucje.

Tancerz włącza nagrania, na których można zobaczyć, jak wyglądają wielkie więzienia w lesie i na pustyni. Zbliżenie ukazuje niższe Kolory wysiadające z transportów i pod groźbą broni wchodzące do betonowych baraków. Potem obraz zmienia się na zrujnowane ulice. Ludzie w maskach i z czerwonymi opaskami strzelają nad dymiącymi wrakami tramwajów. Złoci lądują wśród nich. Obraz znika.

– Uderzaliśmy najsilniej jak można – mówi Sevro. – Wykonaliśmy kawał ciężkiej, ekstremalnej roboty. Ukradliśmy tuzin okrętów, w tym dwa niszczyciele.

Zniszczyliśmy Sztab Główny w Termach...

– Ale Złoci właśnie go odbudowują – wtrąca Tancerz.

– No to zniszczymy go znowu – warczy Sevro.

– Przecież nie potrafimy nawet utrzymać miasta.

– CI CZERWONI TO NIE WOJOWNICY – przerywa im Ragnar. – POTRAFIĄ PILOTOWAĆ STATKI. STRZELAĆ. PODKŁADAĆ BOMBY. WALCZYĆ Z SZARYMI. ALE KIEDY PRZYBYWA ZŁOTY, ROZPRASZAJĄ SIĘ.

Po jego słowach zapada głęboka cisza. Synowie Aresa to partyzanci. Sabotażyści. Szpiedzy. Jednak ta wojna jest inna. Przypominam sobie słowa Lorna: „Jak owca może zabić lwa? Utopić go we krwi”.

– Obwinia się nas o śmierć każdego cywila na Marsie – przerywa milczenie Teodora. – Gdy zabijemy dwóch podczas zniszczenia fabryki amunicji, mówi się, że zaszłachtowaliśmy tysiąc osób. W każdej demonstracji lub strajku agenci Elity udający uczestników strzelają do Szarych lub detonują ładunki wybuchowe i przeprowadzają samobójcze zamachy. A potem nagrania z takich działań pojawiają się w mediach. Z dala od kamer Szarzy włamują się do domów, po czym zwolennicy powstania znikają. Średnie Kolory, niższe Kolory... bez różnicy. Chodzi o to, aby wywołać rozłam. Na północy, jak wspomniał Sevro, trwa otwarty bunt.

– Frakcja, która nazwała się Czerwonym Legionem, zabija każdego z wyższych Kolorów, jakiego znajdzie – wyjaśnia ponuro Tancerz. – Nasi starzy znajomi dołączyli do przywódców. Harmony.

– Stosownie.

– Obróciła ich przeciwko nam. Czerwony Legion nie przyjmuje naszych rozkazów, więc przestaliśmy zaopatrywać go w broń. Tracimy jednak morale i naszą moralną wyższość.

– Człowiek zdolny do słowa i przemocy może zawładnąć światem – szepczę.

– Arcos? – pyta Teodora. Potwierdzam skinieniem głowy. – Gdyby tylko tu był.

– Nie sądzę, aby chciał nam pomóc.

– Na nieszczęście wygląda na to, że słowo nie może istnieć bez przemocy – zauważa Różowa. Zakłada nogę na nogę. – Najpotężniejszą bronią powstania jest jego *spiritus*. Duch zmian. To małe nasienie, które w umyśle czepia się nadziei, a potem rozwija się i rozprzestrzenia. Ale możliwość zaszczepienia idei, nawet sama idea została nam odebrana. Skradziono nam przesłanie. Szakal obciążał nam język. Staliśmy się niemi.

Kiedy mówi, inni słuchają. Nie ze względu na uprzejmość, jak to by było w przypadku Złotych, lecz jakby ta kobieta miała pozycję niemal równą Tancerzowi.

– Nic z tego nie ma sensu – stwierdzam. – Co roznieciło otwartą wojnę? Szakal nie nagłośnił zabójstwa Fitchnera, wolał załatwić to po cichu, tak samo jak pozbycie się Synów Aresa. Co było katalizatorem? I jeszcze twierdzisz, że staliśmy się niemi. Jednak Fitchner miał sieć łączności, którą wykorzystywał do rozpowszechniania informacji w kopalniach i gdzie indziej. To on nagłośnił śmierć Eo wśród tłumów. Uczynił ją twarzą powstania. Czy Szakal również i to odebrał? – Rozglądam się po zmieszanych twarzach. – Czego mi nie mówicie?

– Jeszcze mu nie powiedziałeś? – dziwi się Sevro. – Co, do cholery, robiłeś, kiedy mnie nie było, bo ratowałem was tyłki?

– Darrow chciał pobyć z rodziną – odpowiada ostro Tancerz, po czym zwraca się do mnie z westchnieniem. – Większość naszej sieci została zniszczona miesiąc po zabiciu Aresa i twoim pojmaniu. Szakal zaraz potem wziął się za Synów. Sevro zdążył nas ostrzec, zanim ludzie Szakala zaatakowali naszą bazę w Agei. Zeszliśmy

do podziemia, ocaliliśmy większość zasobów, ale straciliśmy ludzi. Tysiące Synów. Wyszkołonych operatorów. Przez następne trzy miesiące próbowałyśmy cię odnaleźć. Atakowaliśmy transportowce lecące na Księżyc, ale w żadnym cię nie było. Przeszukaliśmy więzienia. Rozdawaliśmy łapówki. Lecz ty zniknąłś, jakbyś nie istniał. A potem Szakal przeprowadził twoją egzekucję na schodach Cytadeli w Agei.

- Wiem o tym.
- Nie wiesz jednak, co potem zrobił Sevro.
Spojrzałem na przyjaciela.
- Co zrobiłeś?
 - To, co musiałem. – Przejmuje sterowanie nad obrazem z wyświetlacza holograficznego i wyłącza obraz Jowisza. Zastępuje go mój wizerunek. Gdy miałem szesnaście lat. Chudy i blady wrostek, nagi na stole Mickeya, który stoi nade mną z piłą chirurgiczną. Po plecach przebiega mi dreszcz. A przecież to nawet nie jest mój kręgosłup. Niezupełnie. Należy do tych ludzi. Do rewolucji. Czuję się... wykorzystany, gdy uświadadam sobie, co zrobił Sevro.
 - Rozpowszechniłeś te zapisy.
 - Jasne, cholera. – Sevro krzywi się ponuro, a ja wyczuwam spojrzenia zgromadzonych na karku. Teraz rozumiem, dlaczego moje ostrze ozdobiono, gdy stało się symbolem dla uchodźców z Tinos. Wszyscy oni wiedzą, że kiedyś byłem Czerwonym. I wiedzą, że jeden z nich podbił Marsa Stalowym Deszczem.
- To ja roznieciłem wojnę.
- Rozpowszechniłem nagrania twojej przemiany w każdej kopalni, na każdej holostronie. W każdym zakamarku cholernej Elity. Złoci myśleli, że mogą cię zabić i wymazać z pamięci. Myśleli, że mogą cię pokonać i sprawić, że twoja śmierć będzie bez znaczenia. Byłbym przeklęty, gdybym na to pozwolił. – Uderza pięścią w stół. – Byłbym przeklęty na wieki, gdybym pozwolił ci zniknąć anonimowo w tej Złotej maszynie propagandy, jak to się stało z moją matką. Nie ma na Marsie Czerwonego, który nie zna twojego imienia, Kosiarzu. A wszyscy w świecie wirtualnym wiedzą, że Czerwony został księciem wśród Złotych, aby podbić Marsa. Stworzyłem z ciebie mit. A teraz wróciłeś z martwych. I nie jesteś po prostu męczennikiem. Jesteś cholernym mesjaszem, na którego Czerwoni czekali całe swoje życie.

Rozdział jedenasty

MÓJ LUD

Siedzę z nogami zwieszonymi przez krawędź hangaru i obserwuję miasto w dole. Harmider tysiący stłumionych głosów niesie się do mnie jak szmer poruszanych wiatrem liści. Uchodźcy wiedzą, że żyję. Sling wymalowano na ścianach i na dachach. To milczący krzyk rozpaczny zagubionych ludzi. Przez sześć lat chciałem do nich wrócić. Ale gdy patrzę w dół i nasłuchuję ich błagań, gdy przypominam sobie, co powiedział mi Kieran, czuję, że ich nadzieja mnie przytłacza.

Zbyt wiele ode mnie oczekują.

Nie rozumieją, że nie możemy wygrać tej wojny. Nawet Ares wiedział, że nie zdołamy zmierzyć się ze Złotym jak równy z równym. Jak więc sam miałbym ich podnieść na duchu? Wskazać im drogę?

Obawiam się nie tylko tego, że nie mogę dać tym ludziom, czego pragną. Obawiam się, że przez ujawnienie prawdy Sevro spalił za nami wszystkie mosty. Nie ma już dla nas powrotu.

A co to oznacza dla rodziny? Dla moich przyjaciół i dla tych ludzi? Poczułem się tak przytłoczony tymi pytaniami i świadomością, że Sevro wykorzystał moje rzeźbienie, że wyszedłem bez słowa. Zachowałem się jak niegrzeczny dzieciak.

Za moimi plecami Ragnar mija mój wózek i siada obok. Spuszcza nogi w przepaść jak ja. Jego buty są komicznie wielkie. Podmuch przelatującego promu porusza kokardkami w jego brodzie. Ragnar milczy, nie przeszkadza mu cisza. Jego obecność sprawia, że czuję się bezpiecznie. Świadomość, że ten olbrzym jest ze mną. Myślałem, że poczuję się tak przy Sevrze. Ale Sevro się zmienił. Hełm Aresa to wielkie brzemię.

– W dzieciństwie zawsze chcieliśmy wiedzieć, kto jest z nas najodważniejszy – przerywam milczenie. – Wykradaliśmy się z domów nocą i wchodziliśmy do najgłębszych szybów. Stawaliśmy twarzą w twarz z mrokiem. Jeżeli zachowało się ciszę, można było usłyszeć pełzającą żmiję jaskiniową. Nigdy jednak nie dało się określić, jak jest blisko. Większość chłopców załamywała się i uciekała po minucie, najwyżej po pięciu. Ja zawsze zostawałem najdłużej. Dopóki Eo nie dowiedziała się o naszej zabawie. – Kręczę głową. – A teraz nie sądzę, żebym wytrzymał nawet minutę.

– PONIEWAŻ WIESZ JUŻ, JAK WIELE MASZ DO STRACENIA.

Ciemne oczy Ragnara kryją cienie długiej historii. Ten mężczyzna ma prawie czterdzieści lat i został wychowany wśród lodu i magii. Sprzedany Złotym, aby

zapewnić życie swoim ludziom, służył w niewoli dłużej, niż przebywam na tym świecie. O ile lepiej ode mnie ten Obsydian rozumie życie?

– Nadal tęsknisz za domem? Za siostrą? – pytam.

– TAK. TĘSKNIĘ ZA WCZESNYM ŚNIEGIEM NA POCZĄTKU LATA, KTÓRY PRZYKLEJAŁ SIĘ DO FUTRA NA BUTACH SEFI, GDY JĄ NIOSŁEM NA PLECACH, ABYŚMY ZOBACZYLI, JAK NÍDHÓGGR PRZEBIJA SIĘ PRZEZ WIOSENNĄ KRĘ.

Nídhöggr to smok, który żyje pod drzewem świata i podgryza korzenie Yggdrasila według legend Starych Nordów. Wiele plemion Obsydianów wierzy, że smok wynurza się z głębin morza, aby przełamać lody, które zamykają porty, i otworzyć bieguno we szlaki dla bojowych łodzi wyruszających na wiosenne wyprawy. Na cześć tego smoka Obsydiani wrzucają ciała swoich przestępów do morza podczas święta nazywanego Ostara, pierwszego dnia wiosennego światła.

– POSŁAŁEM PRZYJACIÓŁ DO IGLIC I NA LÓD, ABY NIEŚĆ O TOBIE WIEŚĆ. PRZEKAZAĆ MOJEMU LUDOWI, ŻE JEGO BOGOWIE TO FAŁSZ. MOI LUDZIE CZEKAJĄ W NIEWOLI, ALE WKRÓTCIE PRZYBĘDZIEMY ICH UWOLNIĆ. POZNAJĄ PIEŚŃ Eo.

Pieśń Eo. Wydaje się teraz tak krucha i niemądra.

– Już jej nie czuję, Ragnarze. – Zerkam przez ramię na Pomarańczowych i Czerwonych, którzy spoglądają na nas od czasu do czasu podczas pracy przy myśliwcach. – Wiem, co myślą... że jestem jedynym ogniwem, które łączy ich z Eo. Lecz straciłem ją w ciemności. Przywykłem do myśli, że na mnie patrzy. Przywykłem do niej mówić. Ale teraz... jest obca.

Spuszczam głowę.

– Tak wiele z tego, co się stało, to moja wina, Ragnarze. Gdybym nie był tak dumny, mógłbym dostrzec oznaki. Fitchner by żył. Lorn by żył.

– MYŚLISZ, ŻE ZNASZ NICI LOSU? – śmieje się Ragnar z mojej arogancji. – NIE WIESZ, CO BY SIĘ STAŁO, GDYBY ŻYLI.

– Wiem, że nie mógłbym stać się tym, czego pragną ci ludzie.

Obrzym marszczy brwi.

– A SKĄD BYŚ WIEDZIAŁ, CZEGO PRAGNAŁ, SKORO SIĘ ICH OBAWIASZ? I SKORO NAWET NIE POTRAFISZ NA NICH SPOJRZĘĆ?

Nie wiem, co na to odpowiedzieć. Ragnar zrywa się i wyciąga do mnie rękę.

– PÓJDŹ ZE MNĄ.

* * *

Szpital był wcześniej stołówką. Rzędy prycz i prowizorycznych łóżek wypełniają pomieszczenie wśród kaszlu i poważnych szeptów, gdy pielęgniarki: Czerwone, Różowe i Żółte w żółtych uniformach, przechodzą między chorymi i sprawdzają ich stan. Na tyłach znajduje się oddział oparzeń, oddzielony od reszty ścianą z folii

izolującej. Po drugiej stronie krzyczy jakaś kobieta, walczy z pielęgniarzem, który próbuje zrobić jej zastrzyk. Inne pielęgniarki starają się uspokoić pacjentkę.

Przygniąta mnie sterylny smutek tego miejsca. Nie ma tu szczątków, nie ma krwi spływającej po ścianach. Jednak to właśnie skutki mojej ucieczki z Attyki. Nawet z tak utalentowanym Snycerzem jak Mickey nie ma dość zasobów, aby wyleczyć tych ludzi. Ranni patrzą w kamienny sufit i zastanawiają się, co ich czeka. Właśnie to wyczuwa się w tej sali. Urazy. Nie ciała, lecz przerwanych marzeń i życia.

Chcę się cofnąć, ale Ragnar pcha wózek naprzód do posłania młodego mężczyzny. Pacjent przygląda się, gdy się zbliżam. Ma krótkie włosy. Jego pulchna twarz wygląda dziwnie z dużą raną na podbródku. Brakuje mu nogi.

– Co to było? – w moim głosie mimowolnie powraca nalot akcentu z kopalni.

Młodzieńiec wzrusza ramionami.

– Udało mi się wykaraskać, pojmujesz?

– Pojmuję. – Wyciągam rękę. – Jestem Darrow... z Lykos.

– Wiemy. – Dlonie ma tak małe, że nawet nie może objąć mojej ręki. Śmieje się z komiczności tej sytuacji. – Vanno z Karos.

– Noc czy dzień?

– Dzienna szchita, tłuku. Wyglądams jak długogęby kopacz z nocnej szchity?

– W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo...

– Racja. Jestem z Omikronów. Trzeci świdrowy w drugiej linii.

– Znaczy ja się przewiercałem przez twoją sieczkę?

Uśmiecha się.

– Helldiverzy zawsze patrzą sobie w oczy. – Wykonuje wulgarny gest. – Ktoś powinien nauczyć was patrzeć niżej.

Parskamy śmiechem.

– Bardzo bolało? – pyta mnie potem. Początkowo myślę, że chodzi mu o tortury Szakala. A potem dociera do mnie, że pyta o Sigile na moich rękach. Te, które próbowałem zasłonić rękawami swetra. Odsłaniam je. – Pewnie jak cholera.

Vanno muska palcem wzory.

Rozglądam się, bo nieoczekiwanie dociera do mnie, że jestem obserwowany. Nawet w najdalszych kątach sali, na oddziale oparzeń, Czerwoni unoszą się na łokciach, żeby na mnie spojrzeć. Nie widzą skrywanego strachu. Widzą, co chcą zobaczyć. Zerkam na Ragnara, ale olbrzym zajęty jest rozmową z ranną kobietą. Z Holiday. Szara kiwa mi głową. W jej twarzy widać smutek i żałobę po stracie brata. Jego pistolet leży na szafce obok łóżka, karabin oparty został o ścianę. Synowie odnaleźli ciało Trigga podczas misji ratunkowej, więc można go było pochować.

– Jak bardzo bolało? – powtarzam. – Wyobraź sobie, że wpadasz pod wiertło, Vanno. Centymetr po centymetrze. Najpierw skóra, potemmięśnie, na końcu kości. Łatwizna.

Vanno gwiździe i spogląda na swój kikut ze znużoną, niemal znudzoną miną.

– A ja tego nawet nie poczułem. Skafander wstrzyknął mi tyle hydrofinu, że dawka zwaliłaby z nóg jednego z nich. – Ruchem głowy wskazuje na Ragnarą i nabiera tchu przezzęby. – Przynajmniej nie obcięło mi jaj.

– Zapytaj go – ponagla pacjent na łóżku obok. – Vanno...

– Przymknij się – wzdycha Vanno. – Chłopaki się zastanawiali. Zachowałeś swojego?

– Swojego?

– No wiesz. – Wymownie opuszcza wzrok na moje podbrzusze. – Czy... no wiesz, zmieniono ci go, żeby był proporcjonalny?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Znaczy... to nic osobistego. Ale założyłem się o sporą stawkę.

– No cóż... – Pochylam się z powagą. Vanno robi to samo, podobnie jak reszta pacjentów na sąsiednich łóżkach. – Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, musisz zapytać swoją matkę.

Vanno wytrzeszcza na mnie oczy, a potem wybucha śmiechem. Jego sąsiedzi też się śmieją i powtarzają żart, aż dotrze do najdalszych zakamarków sali. I na tę jedną chwilę nastrój się zmienia. Dławiąca sterilityzm zostaje przesyta atakami wesołości i grubiańskimi dowcipami. Szepty nieoczekiwane stają się absurdalne. A mnie wypełnia energia, gdy widzę zmianę i uświadamiam sobie, że wystarczy odrobina śmiechu. Zamiast kulić się przed spojrzeniami, odjeżdżam od Ragnarą przejściem między łóżkami, aby zbliżyć się bardziej do rannych, podziękować im, zapytać o imiona i pochodzenie. I w duchu dziękuję Jupiterowi, że mam tak dobrą pamięć. Imię człowieka można zapomnieć, będzie to wybaczone. Ale jeżeli się je zapamięta, ten człowiek będzie na zawsze sprzymierzeńcem.

Większość tytułu mnie „sir” lub „Kosiarz”. Chciałbym ich poprawić, poprosić, aby mówili mi po imieniu, ale znam wartość szacunku i konieczność zachowania dystansu między przywódcą i jego ludźmi. Bo choć śmieję się z nimi, chociaż pozwalam, aby pomogli mi uzdrowić to, co we mnie zdeformowane, to nie są moi przyjaciele. To nie moja rodzina. Jeszcze nie. Nie, dopóki nie będzie można sobie pozwolić na taki luksus. Na razie to moi żołnierze. I potrzebują mnie równie mocno jak ja ich. Jestem ich Kosiarzem. Potrzeba było Ragnarą, żeby mi o tym przypomnieć. Olbrzym nagradza mnie niezgrabnym uśmiechem, zadowolony, że widzi mnie znowu w dobrym nastroju, gdy żartuję z żołnierzami. Nigdy nie byłem człowiekiem radosnym ani człowiekiem wojny, ani też wyspą podczas burzy. Nigdy nie byłem równie absolutny jak Lorn. Tylko takiego udawałem. Ale byłem i zawsze będę człowiekiem, który czuje się kompletny i dopełniany przez tych, którzy go otaczają. Czuję rosnącą w sobie siłę. Siłę, jakiej dawno nie miałem. Nie maskę, którą pokazywałem swoim żołnierzom podczas walki w Instytucie. Nie jestem fałszywym

bóstwem, które stworzyłem na potrzeby służby u Augustusa. Jestem sobą. Może Lykos zostało zniszczone. Eo zamilkła. Mustang przebywa na innym świecie. Synowie Aresa znajdują się na krawędzi zagłady. Ale czuję, że duch we mnie rośnie, gdy uświadamiam sobie, że nareszcie wróciłem do domu.

* * *

Z Ragnarem u boku wracam do sali obrad, gdzie Sevro i Tancerz pochylają się nad planami. Teodora siedzi w kącie i odpowiada na wiadomości. Wszyscy odwracają się na mój widok, zaskoczeni moim uśmiechem. I jeszcze bardziej zaskoczeni, że stoję. Nie sam, z pomocą Ragnara. Wózek inwalidzki zostawiłem w szpitalu i pozwoliłem, żeby Obsydian podtrzymały mnie w drodze. Uciekłem zaledwie godzinę temu. Ale czuję się jak nowo narodzony. I może nie jestem taki, jak przed ciemnością, ale chyba lepszy. Mam w sobie pokorę, jakiej wcześniej mi brakowało.

– Wybaczcie moje zachowanie – mówię przyjaciołom. – Trochę mnie to... oszołomiło. Wiem, że postąpiliście najlepiej, jak mogliście. Lepiej niż ktokolwiek, wziawszy pod uwagę okoliczności. Udało wam się podtrzymać nadzieję. I uratowaliście mnie. I moją rodzinę.

Milknę, żeby pojęli, ile to dla mnie znaczy.

– Nie spodziewaliście się, że wrócę zmieniony. Wiem o tym. Oczekiwaliście, że powróć z gniewem i ogniem. Ale już taki nie jestem. Po prostu nie jestem. – Podkreślam, bo Sevro próbuje zaprzeczyć. – Ufam wam. Ufam waszym planom. I chcę pomóc najlepiej, jak zdołam. Ale nie mogę tego zrobić w takim stanie. – Unoszę chude ramiona. – Więc potrzebna mi wasza pomoc w trzech kwestiach.

– Jak zawsze dramat układasz – prycha Sevro. – Jakkie masz życzenia, księżniczko?

– Po pierwsze, trzeba wysłać emisariusza do Mustang. Myślicie, że mnie zdradziła, ale chcę, żeby wiedziała o moim ocaleniu. Może istnieje szansa, że to ją przekona. I wtedy Mustang może zechce nam pomóc.

Sevro krzywi się z niechęcią.

– Dostała już od nas szansę. I omal nie zabiła ciebie i Ragnara.

– ALE NIE ZABIŁA – wtrąca Ragnar. – WARTO ZARYZYKOWAĆ, JEŻELI JEST SZANSA, ABY ZYSKAĆ JEJ POMOC. UDAM SIĘ JAKO EMISARIUSZ, ŻEBY NIE WĄTPIŁA W NASZE SZCZERE INTENCJE.

– Akurat – prycha Sevro. – Jesteś jednym z najbardziej poszukiwanych przestępcołów w Układzie Słonecznym. A Złoci pilnują, żeby nie odbywały się żadne nieautoryzowane loty. Zresztą nie przeżyjesz minuty w kosmoporcie, nawet gdybyś nosił maskę.

– Wyślemy jedną z moich agentek – wtrąca Teodora. – Wiem którą. Jest dobra i o sto kilogramów mniej podejrzana niż ty, Książę Iglic. Dziewczyna już jest na

kosmodromie.

– Evey? – upewnia się Tancerz.

– Właśnie. – Teodora podnosi na mnie wzrok. – Evey postarała się odkupić swoje grzechy z przeszłości. Nawet te, których nie popełniła. Okazała się bardzo pomocna.

A potem znowu zwraca się do Tancerza:

– Zajmę się przygotowaniami do lotu i przykrywką, jeżeli pozwolisz, Tancerzu.

– Jasne – zgadza się szybko Sevro, ale Teodora czeka na skinienie głowy Tancerza.

– Dziękuję – mówi. – Po drugie, musicie sprowadzić do Tinos Mickeya.

– Dlaczego? – dziwi się Tancerz.

– Żeby znowu uczynił ze mnie broń.

Sevro paska śmiechem.

– No, nareszcie ludzka rozmowa. Musisz nabrać trochę zabójczych mięśni na kościach. Koniec z tym anorektycznym, szkieletowatym image'em.

Tancerz kręci głową.

– Mickey jest pół tysiąca kilometrów stąd, w Varos, pracuje nad swoim małym projektem. Jest tam potrzebny. A tobie trzeba tylko kalorii, nie Snycerza. W twoim stanie rzeźba może być niebezpieczna.

– Kosiarz da radę. A my ściągniemy Mickeya i jego sprzęt do czwartku – zapewnia Sevro. – Zresztą Virany konsultowała się w tej sprawie z Mickeyem. Dałby się pokroić, byle cię znowu zobaczyć.

Tancerz przygląda się Sevrowi z wymuszoną cierpliwością.

– A trzeci warunek?

Krzywię się i wzdycham ciężko.

– Mam przeczucie, że ci się to nie spodoba.

Rozdział dwunasty

JULII

Victra leży w izolatce, pilnowanej przez kilku Synów Aresa pod drzwiami. Ledwie się mieści na szpitalnej kozetce. Ogląda holo przy nogach łóżka – wiadomości z kanałów Elity o śmiałym ataku legionu na terrorystów, którzy zniszczyli tamę w dolnym biegu rzeki Mystos. Powódź zmusiła dwóch Brązowych farmerów do opuszczenia swoich pól i domów. Szarzy dostarczają leki i paczki żywnościowe, znoszą je z ciężarówek. Równie dobrze tamę mogli wysadzić Czerwoni. Albo nawet Szakal. Trudno powiedzieć w obecnej sytuacji.

Białożłote włosy Victry związane są w prosty koński ogon. Kończyny, nawet sparaliżowane nogi, ma przykute do łóżka. Jej rodzaj nie cieszy się tutaj zaufaniem. Dziewczyna nie podnosi głowy, nawet gdy reportaż się kończy i pojawia się twarz Roque'a au Fabii, Poety Deimosa i najpopularniejszego obiektu plotek w wyższych kręgach. Zaczyna się materiał opowiadający o jego dzieciństwie, przeplatany wywiadem z jego matką, Senator, jego nauczycielami przed Instytutu, a także wspominkami z dzieciństwa i obrazami posiadłości, w której się wychował.

– Roque zawsze uważał naturę za piękniejszą od miast – mówi właśnie jego matka do kamery. – Podziwiał doskonały porządek natury. I jak bez trudu ustala się w niej hierarchia. Sądzę, że właśnie dlatego tak ukochał Elitę, nawet gdy...

– Ta kobieta wyglądałaby lepiej, gdyby jej wsadzić lufę w usta – warczy Victra, a potem ścisza dźwięk.

– Pewnie w ostatnim miesiącu wymówiła imię Roque'a częściej niż przez całe jego dzieciństwo – przyznaję.

– No, Politycy nigdy nie pozwalają, żeby znany członek rodziny się zmarnował. Co powiedział kiedyś Roque podczas przyjęcia u Augustusa? „O, jak wiele sępów zlatuje się do potężnych ludzi, żeby ucztować na trupach, które tamci po sobie zostawiają”. – Victra zwraca na mnie błyszczące, wyzywające oczy. Szaleństwo, które w nich widziałem wcześniej, wycofało się, ale nie zniknęło całkowicie. – Równie dobrze te słowa mógłby powiedzieć o tobie.

– Pasowałyby – zgadzam się potulnie.

– Przewodzisz temu stadku terrorystów?

– Miałem szansę na przywództwo, ale spieprzyłem. Teraz dowodzi Sevro.

– Sevro. – Victra układa się wygodniej. – Doprawdy?

– To zabawne?

– Nie. Nawet nie jestem tym zaskoczona. Zawsze najpierw gryzła, potem szczekała. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, kopał Tactusa w tyłek.

Podchodzę bliżej.

– Chyba jestem ci winien wyjaśnienie.

– O, do diabła. Możemy sobie darować? – krzywi się Victra. – To nudne.

– Darować?

Wzdycha ciężko.

– Przeprosiny. Zadośćuczynienie. Całe to gówno, w którym ludzie się babrzą, bo czują się niepewnie. Nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

– Jak się domyślałaś?

– Każdy ma kontakty towarzyskie, gdy żyje wśród Elity. Moi ludzi gnębią twój drobniutki rodzaj. Żyjemy z pracy waszych rąk. Udajemy, że nie istniejecie. A wy walczycie z nami. Zwykle bardzo słabo. Osobiście uważam, że takie macie prawo. To nie kwestia dobra i zła. Ale tak jest uczciwie. Kibicuje się myszy, która zdołała zabić orła, prawda? I dobrze.

Spogląda mi w oczy.

– To absurd i hipokryzja ze strony Złotych, że narzekają teraz tylko dlatego, że Czerwoni nareszcie zaczęli dobrze walczyć. – Parska śmiechem, widząc moją zaskoczoną minę. – Co, skarbie? Spodziewałaś się, że będę wrzeszczeć, pluć i biadolić o honorze i zdradzie jak te chodzące płaczki, Cassius i Roque?

– Trochę – przyznaję szczerze. – Pewnie bym się właśnie tego spodziewał.

– Bo jesteś bardziej uczuciowy ode mnie. Ja pochodzę z rodu Julii. W moich żyłach płynie lód. – Victra przewraca oczami, gdy próbuję zaprzeczyć. – Nie proś, żebym była inna tylko dlatego, że potrzebujesz usprawiedliwienia. To poniżej i twojej, i mojej godności.

– Nigdy nie byłaś tak zimna, jak próbowałaś udawać.

– Żyłam na długo przed tym, gdy wkroczyłeś w moje życie. Co właściwie o mnie wiesz? Jestem podobna do matki.

– Jesteś kimś więcej.

– Skoro tak mówisz.

Nie ma w niej sztuczności. Nie ma nawet śladu próby manipulacji. Nie to, co subtelne gry Mustang. Victra to dywersantka. Nieco złagodniała przed Triumfem. Pozwoliła sobie opuścić tarczę. Ale teraz mechanizmy obronne wróciły i Victra kryje się za nimi tak samo, jak podczas naszego pierwszego spotkania. Jednak im dłużej rozmawiamy, tym dokładniej dostrzegam w jej włosach siwiznę, nie tylko Złoto. Policzki ma zapadnięte, prawą rękę, tę po drugiej stronie posłania, zaciska na prześcieradle.

– Wiem, dlaczego mnie okłamywałeś, Darrow. I mogę to uszanować. Ale nie rozumiem, dlaczego uratowałeś mnie z Attyki. Z litości? Dla taktyki?

- Bo jesteś moją przyjaciółką – mówię szczerze.
- Och, błągam!
- Wolałbym zginąć, niż zostawić cię w tej celi i pozwolić, żebyś tam zgniała. Trigg zresztą zginął, gdy cię uwalnialiśmy.
- Trigg?
- Jeden z Szarych, który stał za mną, gdy weszliśmy do twojej celi. Był tam z siostrą.
- Nie prosiłam o ratunek. – Victra krzywi się z goryczą. W ten sposób daje mi do zrozumienia, że umywa ręce w sprawie śmierci Tringga. Odwraca wzrok. – Wiesz, Antonia myślała, że jesteśmy kochankami, ty i ja. Pokazała mi, jak cię wyrzeźbiono, żeby mnie dręczyć. Jakbym mogła poczuć odrazę, gdybym wiedziała, kim jesteś naprawdę. I gdybym wiedziała o twoim pochodzeniu. Chciała, żebyem poznała, jak bardzo zostałam oszukana.
- I udało się jej?
- Victra wykrzywia się gniewnie.
- Dlaczego miałyby mnie obchodzić twoje pochodzenie? Obchodzą mnie uczynki. Zależy mi na prawdzie. Gdybyś mi powiedział, kim jesteś, niczego by to nie zmieniło, postępowałabym za każdym razem tak samo. Mogłabym cię nawet chronić.
- Wierzę jej. I wierzę w cierpienie, jakie dostrzegam w spojrzeniu Victry.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bałem się.
- Założę się jednak, że powiedziałeś Mustang.
- Tak.
- Dlaczego jej, a nie mnie? Ja przynajmniej na to zasłużyłam.
- Nie wiem.
- Dlatego że jesteś kłamcą. Powiedziałeś, że nie jestem podstępną. Ale w głębi duszy tak właśnie myślałeś. Nigdy mi nie ufałeś.
- Nie, nie ufałem – wzduchem. – Popełniłem błąd. A moi przyjaciele zapłacili za to życiem. Tylko... poczucie winy towarzyszyło mi w celi, gdzie trzymał mnie Szakal przez dziewięć miesięcy. – Po jej minie domyślam się, że nie wiedziała, co mnie spotkało. – Ale teraz dostałem drugą szansę. Nie chcę jej zmarnować. Chcę ci wynagrodzić moje błędy. Zawdzięczam ci życie. I jestem ci winien sprawiedliwość. I chcę, żebyś się do nas przyłączyła.
- Do was? – prycha ze śmiechem. – Czyli do Synów Aresa?
- Tak.
- Mówisz poważnie? – Śmieje się ze mnie otwarcie. Kolejny mechanizm obronny.
- Nie mam skłonności samobójczych, skarbie.
- Świata, który знаłaś, już nie ma, Victro. Twoja siostra ci go ukradła. Matka i jej przyjaciele starli go z oblicza wszechświata. Twój ród jest ci wrogiem. I stałaś się

wyrzutkiem dla swoich ludzi. Na tym właśnie polega problem z Elitą – pożera swoje dzieci. Szczuje nas na siebie nawzajem. Nie masz dokąd iść...

– Muszę przyznać, że wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo.

– ...chcę ci dać rodzinę, która nie wbije ci noża w plecy. Chcę nadać twojemu życiu znaczenie. Wiem, że jesteś dobrą osobą, nawet jeżeli wyśmiejesz mnie za te słowa. Ale wierzę w ciebie. Jednak... to bez znaczenia, czego chcesz i w co wierzę. Liczy się tylko to, czego ty chcesz.

Victra spogląda mi w oczy.

– Czego ja chcę?

– Jeżeli chcesz stąd odejść, wolno ci. Jeżeli chcesz zostać w tym łóżku, niech tak będzie. Rzeknij słowo, a spełnię każde życzenie. Jestem ci to winien.

Zastanawia się przez chwilę.

– Nie obchodzi mnie twoje powstanie. Ani twoja zabita żona. Ani znalezienie rodziny czy nadanie mojemu życiu znaczenia. Ale chcę spać bez wstrzykiwania mi chemikaliów, Darrow. I chcę znowu śnić. Chcę zapomnieć o rozpłatanej głowie mojej matki, jej pustych oczach i drżących palcach. Chcę zapomnieć śmiech Adriusa. I chcę odpłacić Antonii i Adriusowi za ich gościnność. Pragnę stanąć nad nimi i tą kupą gówna, Rokiem, gdy błagają o śmierć. Chcę wydłubać im oczy i wlać w rany roztopione złoto, żeby krzyczeli i szarpali się w więzach, sikali pod siebie i błagali o wybaczanie za to, że choćby pomyśleli o zamknięciu Victry au Julii w klatce. – Posyła mi dziki uśmiech. – Chcę zemsty.

– Zemsta w ostatecznym rachunku przynosi tylko pustkę.

– Jestem teraz pustą dziewczyną.

Wiem, że nie jest. Wiem, że kryje w sobie więcej niż mściwość. Ale mam też świadomość, że rany nie goją się w jeden dzień. Sam ledwie się pozbierałem, a przecież otacza mnie rodzina.

– Jeżeli tego chcesz, właśnie to dostaniesz. Za trzy dni Snycerz, który zmienił mnie w Złotego, będzie tutaj. Przywróci nas do dawnego stanu. Naprawi twój kręgosłup. Odzyskasz władzę w nogach, jeżeli tylko zechcesz.

Victra mruży oczy podejrzliwie.

– Ufasz mi po tym, ile cię kosztowało zaufanie?

Wyciągam klucz magnetyczny, który dostałem od strażników przy drzwiach, po czym przykładam go do pęt na kostkach i rękach Victry.

– Jesteś głupszy, niż myślałam – prycha.

– Możesz nie wierzyć w nasze powstanie. Widziałem jednak, jak Tactus się zmienił, zanim obrabowano go z przeszłości. Widziałem, jak Ragnar zapomniał o swoich kajdanach i sięgnął po to, czego pragnie na tym świecie. Widziałem, jak Sevro stał się mężczyzną. Pamiętam, jak sam się zmieniłem. Naprawdę wierzę, że sami wybieramy, kim chcemy być w tym życiu. To nie jest przesądzone. Nauczyłaś

mnie lojalności bardziej niż Mustang, bardziej niż Roque. I dlatego w ciebie wierzę, Victro. Na tyle, na ile w ogóle wierzę w kogokolwiek. – Wyciągam rękę. – Bądź moją rodziną, a nigdy cię nie odtrączę. Nigdy już cię nie okłamię. Będę ci bratem do końca życia.

Zaskoczona uczuciami w moim głosie, ta oziebła kobieta mierzy mnie wzrokiem. Zapomniała o swoich mechanizmach obronnych. W innym życiu moglibyśmy zostać parą. Między nami mógłby rozgorzeć płomień, jaki czułem z Mustang i z Eo. Lecz nie teraz.

Victra nie łagodnieje. Nie tonie we łzach. Nosi wciąż w sobie gniew. Wciąż ma w duszy czystą nienawiść po tak wielu zdradach, rozczarowaniach i stratach uderzających w jej skute lodem serce. Ale w tej chwili jest od tego wolna. W tej jednej chwili sięga z powagą do mojej ręki. A we mnie budzi się nadzieja.

– Witaj wśród Synów Aresa.

CZĘŚĆ DRUGA

WŚCIEKŁOŚĆ

Gówno eskaluje.
– Sevro au Barca

Rozdział trzynasty

WYJCE

– Trzymanie mnie w ukryciu jest cholernie irytujące – mamrocze Victra, gdy pomaga mi nałożyć ciężarki przy ławce do wyciskania. Jej głos odbija się echem od ścian siłowni. Tutaj też panuje surowość wystroju – metalowe obciążniki, opony, liny. I miesiące mojego potu.

– Nie wiedzą, kim jesteś? – Siadam zdziwiony.

– Och, przymknij się. Nie spotkałeś Wyjców? Nie masz pojęcia, jak nas traktują? – Trąca mnie łykiem, żebym zwolnił miejsce, po czym układa się na twardej desce ławy i unosi ręce, aby ująć sztangę z obciążnikami. Zdejmuję kilka ciężarków, ale Victra rzuca mi groźne spojrzenie, a potem zakłada je na powrót i ponownie chwyta poprzeczkę.

– Praktycznie nie – wzdycham.

– Och, ale tak na poważnie, co trzeba zrobić, żeby dostać wilczą skórę? – Napręża potężne muskuły na ramionach, gdy unosi ciężar, a potem opuszcza. Ćwiczy w rytmie wypowiadanych słów. Wyciska więcej niż trzysta kilogramów. – Zastrzeliałam Legata dwie misje temu. Legata! Widziałam te twoje Wyjce. Oprócz... Ragnara są drobne. Potrzeba im... więcej osiłków, jeżeli chcą... załatwić Jeźdźców Kości Adriusa albo Pretorianów... Władczyni.

Zaciska zęby, gdy kończy ostatnie podniesienie, po czym odstawia ciężar bez mojej pomocy i wstaje, aby wskazać swoje odbicie w lustrze. Ma prostą, atletyczną sylwetkę. Szerokie ramiona i sprężyste biodra.

– Jestem osobnikiem w doskonałej kondycji fizycznej, nieważne, czy stoję na własnych nogach, czy leżę. Sevro podważa własną inteligencję, skoro nie chce mnie wykorzystać.

Przewracam oczami.

– Zapewne martwi się, że brakuje ci pewności siebie.

Victra ciska we mnie ręcznikiem.

– Jesteś tak samo nieznośny jak on. Przysięgam na Jupitera, że jeżeli jeszcze raz wspomni chociaż o moim „wrodzonym ubóstwie”, odetnę mu głowę przeklętą łyżeczką do herbaty. – Obserwuję ją, starając się stłumić śmiech. – Co? Też chcesz mi coś takiego powiedzieć?

– Nic podobnego, pani moja. – Unoszę ręce. Victra zerka na nie odruchowo. – Przysiady czy pompki?

Prowizoryczna siłownia stała się naszym drugim domem po tym, jak Mickey nas wyrzebił. Spędziliśmy tygodnie rekonwalescencji na jego oddziale. Victra uczyła się znowu chodzić, oboje musieliszy nabrac masy pod nadzorem doktor Virany.

Grupa Czerwonych i Zielonych podgląda nas z kąta siłowni. Nawet po dwóch miesiącach to, ile mogą unieść chemicznie i genetycznie zmodyfikowani Niezrównani Naznaczeni wciąż budzi zainteresowanie.

Ze dwa tygodnie temu przyszedł Ragnar i upokorzył nas oboje. Brutal słowem nie uprzedził. Po prostu zaczął nakładać na sztangę ciężarki, aż nie można było zamocować więcej, podniósł nad głowę, opuścił, a następnie zaprosił nas gestem, abyśmy powtórzyli wyczyn. Victrze nie udało się nawet dźwignąć sztangi z ziemi, sam zdołałem unieść ją do kolan. A potem godzinami musieliszy słuchać, jak setki idiotów, tłoczących się wokół Obsydiana, skandują jego imię. Później dowiedziałem się jeszcze, że wuj Narol prowadził zakłady, o ile więcej podniesie Ragnar niż ja. Rodzony wuj stawał przeciwko mnie. Ale to dobry znak, nawet jeżeli inni tak nie uważają. Złoci nie mogą zawsze wygrywać.

Dzięki Mickeyowi i pomocy doktor Virany ja i Victra odzyskaliśmy władzę nad ciałami. Jednak odzyskanie sprawności bojowej pochłonęło równie dużo czasu. Zaczeliśmy od podstaw. Nasza pierwsza misja polegała na pilnowaniu zaopatrzenia z Holiday do pomocy i tuzinem ochroniarzy, nie dla transportu, lecz dla mnie. Nie było przy nas Wyjców.

– Musisz najpierw popracować w podstawowych oddziałach, Kosiarzu. Upewnić się, że dotrzymasz nam tempa. – Sevro poklepał mnie po policzku. – A Julii musi dowieść swojej wartości.

Victra uderzyła go w rękę, gdy próbował ją także poklepać.

Trzy misje z zaopatrzeniem, dwa sabotaże i trzy zlecone zabójstwa później Sevro wreszcie dał się przekonać, że Holiday, Victra i ja jesteśmy gotowi do działań bardziej zaawansowanych, więc przeniósł nas do Żmij Jaskiniowych, dowodzonych przez wuja Narola. Narol stał się bohaterem i cieszy się całkiem sporą sławą wśród Czerwonych z Tinos. Ragnar czczony jest niemal jak bóg. Jednak mój wuj to tylko stary, złośliwy mężczyzna, który pije za często, pali za dużo i nadspodziewanie dobrze radzi sobie w wojnie. Jego Żmije Jaskiniowe to zbieranina twardzieli wyspecjalizowanych w sabotażu i kradzieżach, niemal połowa to Helldiverzy, a reszta to utalentowane wyrzutki z różnych niższych Kolorów. Poszliśmy z nimi na trzy misje – zniszczyliśmy baraki i parę węzłów łączności zainstalowanych przez Legion. Wciąż jednak nie mogę się pozbyć wrażenia, że przypominamy węża pożerającego własny ogon. Każdy zamach bombowy, wszystkie wyrządzone przez naszą dywersję szkody i straty są przekręcane przez media Elity. Wydaje się, że kolejne akcje przyciągają tylko coraz więcej legionów z Agei do kopalń lub mniejszych miast Marsa.

Wyczuwam nagonkę.

Co gorsza, czuję się jak terrorysta. Wcześniej podobne uczucie miałem tylko raz, gdy na piersi wisiała mi bomba podczas gali na Księżyku.

Tancerz i Teodora naciskali na Sevra, aby znalazł więcej sojuszników, spróbował zasypać przepaść między Synami i innymi frakcjami buntowników. Zgodził się, chociaż niechętnie. Dlatego na początku tego tygodnia Żmije Jaskiniowe i ja wyszliśmy ze sztolni i polecieliśmy na północny kontynent – Arabia Terra – gdzie Czerwony Legion wzniósł fortę w portowym mieście Ismenia. Tancerz miał nadzieję, że uda mi się to, co nie wyszło Sevrowi. Sklonię Legion do współpracy, może nawet odciągnę ich ludzi spod wpływów Harmony. Jednak zamiast znaleźć sojuszników, natrafiłyśmy na masowy grób. Poszarzałe, zbombardowane z orbity miasto. Wciąż mam przed oczami tę bladą, napuchniętą masę ciał kołyszących się przy nabrzeżu. Kraby biegały po zwłokach i ucztowały, samotne pasma dymu wiły się w rozgwieżdżone niebo – stare jak świat, nieme echa wojny.

Tamten widok wciąż mnie dręczy, ale Victrze udało się chyba przejść nad tym do porządku dziennego. Ukryła to wspomnienie głęboko w pamięci, w najciemniejszym zakamarku, gdzie przechowuje całe зло tego świata, z jakim miała do czynienia, i wszelkie cierpienie, jakie odczuwała. Szkoda, że sam tak nie potrafię. Jednak gdy przypominam sobie tamto pasmo dymu, ogarnia mnie przeczucie, że to tylko zapowiedź czegoś jeszcze gorszego. Jakby wszechświat ujawniał przebłyski końca, ku któremu zmierzamy.

Dopiero późno w nocy, gdy lustra okrywa para, kończymy trening. Idziemy pod prysznic przedzielone tylko plastиковymi zasłonami.

– Potraktuj to jako oznakę postępu – mówię do Victry. – Moja matka przynajmniej z tobą rozmawia.

– Nie. Twoja matka mnie nienawidzi. Zawsze mnie nienawidziła. I absolutnie nic nie mogę na to poradzić.

– Możesz być bardziej uprzejma.

– Jestem skrajnie uprzejma – oburza się Victra, po czym zakręca prysznic i wychodzi z kabiny.

Z zamkniętymi oczami wcieram sobie szampon we włosy i czekam na ciąg dalszy. Ale Victra nic więcej nie mówi, więc kończę płukanie i również wychodzę spod prysznica. Wiem, że coś jest nie tak, gdy dostrzegam nagą Victrę ze spętanymi z tyłu rękami i nogami oraz czarnym workiem na głowie. Za plecami wyczuwam ruch. Obracam się w porę, by wychwycić wzrokiem pół tuzina niewyraźnych zjaw – ludzi w pelerynach Niewidkach zbliżających się przez kłęby pary. A potem ktoś nieludzko silny uderza mnie od tyłu, przyciska mi ramiona do boków. Czuję tchnienie napastnika na karku. Ogarnia mnie panika. Szakal nas znalazł. Wkradł się do miasta. Jak?

– Złoci! – krzyczę, by ostrzec kogokolwiek. – Złoci!

Skórę mam śliską po myciu. Podłoga też jest mokra i śliska. Wykorzystuję tę przewagę i wymykam się napastnikowi jak węgorz, po czym uderzam łokciem w twarz ledwie widzialnego człowieka. Słyszę jęk. Obracam się, ale stopy mi się ślizgają i upadam. Rozdzieram sobie kolana na betonie. Przetaczam się i zrywam na równe nogi. Wyczuwam dwóch napastników z lewej, też w pelerynach Niewidkach. Unikam chwytu pierwszego, podcinam mu barkiem kolano. Wyskakuje mi nad głowę i przebija plastikowe zasłony dzielące prysznic. Drugiego napastnika łapię za gardło, blokuję cios pięści, po czym podrzucam drania pod sufit. Kolejny atakuje z boku, próbuje podciąć mi nogę, żeby wytrącić mnie z równowagi. Chwytam atakującego, wyskakuję wysoko w półobrocie, którym zakłócę środek ciężkości przeciwnika. Upadamy razem, jego szyja jest ściśnięta między moimi udami. Wystarczy tylko skręcić mu kark. Wtedy jednak następne dwie pary rąk starają się mnie unieruchomić, na twarz spadają mi kolejne ciosy, jeszcze więcej na nogi. Peleryny Niewidki iskrzą w oparach wilgoci. Krzyczę, szarpię się i pluję, ale napastników jest zbyt wielu, do tego podstępnie zadają mi ciosy w ścięgna pod kolanami, żeby nie mógł kopać, i naciskają na nerwy w ramionach, żeby spowolnić moje ciosy. Wreszcie udaje im się założyć mi na głowę worek i skrępować kończyny za plecami. Leżę nieruchomo i dyszę ciężko z przerżenia.

– Podnieście ich na kolana – warczy elektronicznie zmieniony głos. – Na cholerne kolana!

„Cholerne”? Ach, szlag. Gdy dociera do mnie, z kim mam do czynienia, pozwalam się podnieść bez oporu. Worek zostaje zdjęty. Światła są zgaszone. Na podłodze ustawiono kilka zapalonych świec, które rzucają cienie na ściany i odbijają się w lustrach. Po lewej widzę Victrę, jej twarz wykrzywia grymas wściekłości. Z przekrzywionego nosa cieknie krew. Holiday pojawia się po prawej stronie, niesiona przez dwóch ludzi w czarnych kombinezonach. Zmuszają ją, żeby ukłekała. Szara jest ubrana, ale spętana tak samo jak ja i Victra. Uśmiecha się szeroko.

Wokół w łazience dziesięć demonów z pomalowanymi na czarno twarzami typie na nas groźnie spod wilczych skór, zarzuconych na głowy i zwisających do połowy łydekk. Dwoje opiera się o ścianę, cierpiąc z bólu po mojej dzikiej obronie. Ragnar w niedźwiedzim futrze góruje za plecami Sevra. Wyjce przyszły po rekrutów i wyglądają naprawdę przerążająco.

– Witajcie, wy wstretne małe dranie – warczy Sevro, po czym ściąga elektroniczne urządzenie do maskowania głosu i zbliża się do nas wśród cieni. – Doszły do mnie słuchy, że jesteście nieludzko przebiegłąmi, dzikimi i ogólnie wrednymi stworzeniami z talentem do mordowania, siania zamętu i chaosu. Wyprowadźcie mnie z błędu, jeżeli się myłe.

– Sevro, przeraziłeś nas na śmierć – prycha Victra. – Co z tobą, do diabła?

- NIE PROFANUJ TEJ CHWILI – ostrzega złowrogim tonem Ragnar.
- Victra spluwa.
- Złamałeś mi nos.
- Właściwie to ja – przyznaje się Sevro. Skinieniem głowy wskazuje szczupłego Wyjca z Sigilami Czerwonych na dloniach. – Śpioch pomógł.
- Ty wredny karzełku...
- Za bardzo się wierciłaś, kochana – wyjaśnia Kamyk gdzieś z tyłu, nie umiem dokładnie jej umiejscowić, bo głos rezonuje na ścianach.
- A jeżeli nie przestaniesz paplać, zakneblujemy cię i będziemy łaskotać – dodaje Klaun złośliwie. – Więc lepiej... ciii!
- Victra kręci głową, ale posłusznie trzyma język za zębami. Sam staram się nie parskać śmiechem z powagi tej uroczystości. Sevro podejmuje przemowę, spacerując przed nami w tę i z powrotem.
- Obserwowaliśmy was, a teraz chcemy, byście do nas przystali. Jeżeli przyjmiecie zaproszenie, aby przyłączyć się do naszego bractwa, będącie musieli złożyć przysięgę wierności swoim braciom i siostrom. Przyrzec, że nigdy nie skłamiecie i nigdy nie zdradzicie tych, którzy noszą wilcze skóry. Wszystkie wasze grzechy, wszystkie blizny, wszyscy wrogowie staną się naszymi. Naszym wspólnym brzemiением. Wasi kochankowie i wasze rodziny staną się nam bliskie, będą waszą drugą rodziną. My staniemy się pierwszą. Jeżeli nie możecie się na to zgodzić, jeżeli nie potrafficie dotrzymać tej przysięgi, powiedziecie teraz, a będącie mogli odejść.
- Czeka. Nawet Victra milczy.
- Dobrze. A teraz, jak zapisane zostało w naszej świętej księdze... – Sevro unosi niewielki czarny wolumin z białym pyskiem wyjającego wilka na okładce i pozaginanymi rogami kartek – musicie najpierw zostać oczyszczeni z wcześniejszych przysiąg, a potem dowieść swojej wartości, nim wolno wam będzie złożyć naszą przysięgę. – Unosi ręce. – Niechaj się rozpoczęcie Oczyszczenia.
- Wyjce unoszą głowy i zaczynają wyć jak opętane. Potem następuje rozmyty kalejdoskop dziwnych zdarzeń. Zaczyna łomotać muzyka. Wciąż klęczymy, ręce mamy związane. Wyjce dopadają nas, przystawiają nam butelki do ust, więc pijemy, a oni powtarzają jakąś melodię. Sevro prowadzi ten nierówny chór i sam koszmarnie fałszuje. Ragnar ryczy z satysfakcją, gdy połykam resztki płynu z butelki. Z trudem udaje mi się powstrzymać wymioty. Bimber pali przełyk i rozlewa się w brzuchu. Victra obok krztusi się i kaszle. Holiday po prostu pije do dna, a Wyjce wiwatują, gdy kończy swoją butelkę. Czekamy, a Wyjce otaczają Victrę i skandują, gdy z trudem łapie powietrze i próbuje pić. Bimber rozchlapuje się jej po twarzy. Znowu słyszę jej kaszel.
- TYLKO NA TYLE CIĘ STAĆ, CÓRKO SŁOŃCA? – grzmi Ragnar. – PIJ!

Ryk Obsydiana przepięnia radość, gdy Victrze wreszcie udaje się wypić alkohol. Dziewczyna kaszle i mamrocze przekleństwa.

– Przynieście węża i karaluchy! – rozkazuje Ragnar.

Ze śpiewem, niczym kapłanka, Kamyk, kulejąc, niesie wiadro. Inni przysuwają nas, żebyśmy znaleźli się blisko, i uwalniają nam ręce. W migotliwym świetle na dnie wiadra widzę ruch. Grube, lśniące skrzydlate karaluchy z owłosionymi odnóżami roją się wokół żmii jaskiniowej. Cofam się, przerażony i pijany, ale Holiday sięga do wiadra, chwyta węża i uderza jego łbem o podłogę, dopóki gad nie przestaje się wić.

Victra tylko patrzy na Szarą.

– Co, do...

– Skończcie wiadro albo dostaniecie pudło! – mówi Sevro.

– Co to w ogóle znaczy?

– Skończcie wiadro albo dostaniecie pudło – powtarzają Wyjce. Holiday odgryza kawałek zabitego węża.

– Tak! – cieszy się Ragnar. – Ona ma duszę Wyjca. Tak!

Jestem tak pijany, że ledwie widzę na oczy. Siegam do wiadra, wzdragam się, gdy czuję karaluchy wspinające się na dłoń. Łapię jednego i wkładam sobie do ust. Wciąż się rusza. Zmuszam się do przeżucia. Chce mi się płakać. Victra dlawi się na mój widok. Połykam karalucha i chwytam ją za rękę. Zmuszam, żeby sięgnęła do wiadra. Wyrywa się, ale za późno orientuję się, co to oznacza. Jej wymiociny rozpryskują mi się na przedramieniu. Smród wywołuje u mnie mdłości i tym razem nie udaje mi się powstrzymać. Holiday przeżuwa ze spokojem. Ragnar wykrzykuje pochwały.

Kiedy opróżniamy wiadro, przypominamy skuloną, żałosną trójkę pijaków usmarowaną własnymi wymiocinami i reszkami karaluchów. Sevro przemawia. Kołysze się. A może to ja się chwieję. Mówią coś? Ktoś potrząsa mnie za ramię. Czyżbym zasypiał?

– Oto nasza święta księga – mówi właśnie mój mały przyjaciel. – Przeczytacie ją. Wkrótce poznacie jej treść od deski do deski. Jednak dzisiaj musicie poznać tylko Pierwszą Zasadę Wyjców.

– Nigdy nie ulegać – grzmi Ragnar.

– Nigdy nie ulegać – powtarza reszta, a Klaun występuje naprzód, trzymając trzy wilcze skóry. Są takie, jak te zdarte z wilków w Instytucie, ich sierść pasuje do otoczenia, a w blasku świec ma ciemniejszy odcień. Klaun wyciąga jedną do Victry. Dziewczyna próbuje wstać, ale nie może. Kamyk wyciąga pomocną dłoń, ale Victra to ignoruje. Próbuje raz jeszcze i udaje się jej dźwignąć na kolana. Wtedy Sevro klęka obok i podaje jej rękę. Victra przygląda się jej przez kosmyki zlepionych od potu włosów, po czym wybucha śmiechem, gdy dociera do niej, co się właśnie

dzieje, przyjmuje pomoc i tylko dzięki Sevrowi jakoś idzie, choć bardzo chwiejnie. Mój przyjaciel bierze futro od Klauna i otula Victrze ramiona. Ich spojrzenia się krzyżują, patrzą na siebie, wreszcie cofają się, żeby Holiday, podtrzymywana przez Kamyk, mogła przyjąć swoją skórę. Ragnar chwyta mnie pod pachy i podnosi, po czym zarzuca mi wilcze futro na plecy.

– Witajcie wśród Wyjców.

Wyjce znowu odchylają głowy i wydają głośne wycie. Dołączam do nich i ku mojemu zaskoczeniu Victra również. W migotliwym półmroku wcześnie nie krępuje. A potem nieoczekiwane zapala się ostre światło. Wycie się urywa, rozglądamy się zaskoczeni. Tancerz zagląda do umywaliń z wujem Narolem u boku.

– Co tu się, cholera, dzieje? – pyta wuj, zerkaając na karaluchy i resztki węża oraz puste butelki. Wyjce spoglądają na siebie, zmieszane tym niezbyt pięknym widokiem.

– Przeprowadzamy tajemny rytuał okultystyczny – wyjaśnia Sevro. – I właśnie nam przerwaliście.

– Racja. – Narol kiwa głową z zakłopotaniem. – Przepraszamy.

– Jedna z naszych Różowych w Agei ukradła unipad Jeźdźcowi Kości – informuje Tancerz. Nie wydaje się rozbawiony tym, co widzi. – Odkryliśmy, kto to.

– Bez jaj? – Sevro unosi brwi. – Miałem rację?

– Kto to? – pytam z pijackim zainteresowaniem. – O kim mowa?

– O cichym wspólniku Szakala – wyjaśnia Tancerz. – To Żywe Srebro. Miałeś rację, Sevro. Nasi agenci twierdzą, że przebywa w swoim korporacyjnym sztabie na Fobosie, ale nie pozostanie tam długo. Wykupił lot na Książyc za dwa dni. Tam go nie dosięgnimy.

– Zatem rozpoczęamy operację „Czarny Rynek” – stwierdza Sevro.

– Jak najszybciej – przyznaje niechętnie Tancerz.

Sevro unosi pięść.

– Tak, cholera. Słyszeliście go, Wyjce. Umyjcie się, wytrzeźwicie, najedzcie się. Musimy porwać Srebrnego i wywołać wielki kryzys ekonomiczny. – Spogląda mi w oczy z dzikim uśmiechem. – Czeka nas piekielny dzień. Naprawdę piekielny dzień.

Rozdział czternasty

WAMPIRZY KSIĘŻYC

Fobos znaczy strach. W mitologii Fobos to syn Afrodyty i Aresa, dziecko miłości i wojny. Odpowiednie imię dla większego z naturalnych satelitów Marsa.

Uformował się na długo przed powstaniem człowieka, gdy w ojca-Marsa uderzyły meteory i wzbiły gruz, który trafił na orbitę. Ovalny księżyc unosił się jak rozwlecone zwłoki, martwy i opuszczony przez miliard lat. Obecnie skaziły go pasożyty, które pompują jego krew w żyły Złotego Imperium. Roje małych frachtowców o rozdętych brzuchach startują z powierzchni Marsa i gromadzą się w dwóch wielkich, szarych dokach otaczających Fobosa. Stamądż zabierają łupy na Marsa – do długich, kilometrowych transportowców latających po szlakach handlowych Julii – Agos na Obrzeża, albo – o wiele częściej – do Wnętrza Układu Słonecznego, gdzie wygłodniały Księżyca czeka, by go nakarmić.

Nagi, skalisty Fobos został wydrążony przez ludzi i pozbawiony złóż metali. Najdłuższy promień tego księżyca ma zaledwie dwanaście kilometrów, dlatego łatwo można go było otoczyć prostopadłymi względem siebie pierścieniami doków. Ciemne, metaliczne konstrukcje oznakowane białymi symbolami migoczą czerwonymi światłami cumujących statków. W pierścieniach ślizgają się magnetyczne pociągi, dźwigi i pojazdy załadunkowe. Pod dokami z czasem wzniósły się w kosmos iglice. To UI, miasto-składanka, którego nie zbudowano zgodnie z neoklasyczną myślą architektoniczną Złotych, lecz wedle zasad czystej ekonomii i bez ograniczeń grawitacji. Sześć wieków drążono Fobosa. To największa stworzona przez człowieka poduszczka na igły. A przepaść między bogactwem tych, którzy mieszkają na szczytach budynków, Igłach, a tymi, którzy gnieżdżą się na Dnie, pod powierzchnią marsjańskiego księżyca, oscyluje na granicy absurdzu.

– Wygląda na większy, gdy nie stoi się na mostku kutra rakietowego – cedzi Victra zza moich pleców. – Gdy się nie ma prawa głosu, robi się naprawdę nudno.

Podzielam jej ból. Ostatni raz byłem na Fobosie przed Lwim Deszczem. Potem miałem na głowie armadę, a u boku Mustang i Szakala oraz tysiące Niezrównanych Naznaczonych pod rozkazami. I wystarczająco dużo broni, aby wstrząsnąć planetą. A teraz kryzę się w cieniach na rozklekotanej barce towarowej, tak starej, że nawet nie ma generatora sztucznej grawitacji. Towarzyszy mi tylko Victra i trzech Synów Aresa z transportowca rudy oraz niewielki oddział Wyjców w ładowni. Na dodatek tym razem nie wydaję rozkazów, tylko je wykonuję... Przesuwam językiem po sztucznym zębicie wmontowanym w miejsce prawego trzonowca po przyjęciu mnie

do Wyjców. Wszystkie Wyjce dostały takie zęby z trucizną. Lepsze to niż pojmanie żywcem, jak twierdzi Sevro. I muszę się z nim zgodzić. Chociaż dziwnie się czuję.

Po mojej ucieczce Szakal wprowadził natychmiastowy zakaz lotów dla wszystkich jednostek opuszczających orbitę Marsa. Podejrzawał, że Synowie Aresa spróbowią rozpaczliwej próby zabrania mnie z planety. Na szczęście Sevro nie jest głupcem. Gdyby był, z pewnością nadal siedziałbym w kamiennej norze więzienia Szakala. Ostatecznie jednak nawet ArcyGubernator Marsa nie może uziemić handlu, więc zakaz lotów nie trwał długo. Mimo to rezultaty zakazu wstrząsnęły rynkiem. Miliardowe straty notowano w każdej minucie, gdy nie płynął stały strumień helium-3. Sevro uznał to za dość inspirujące.

– Ille z tego posiada Żywe Srebro? – pyta.

Victra przysuwa się do mnie bliżej. W stanie nieważkości nierówno przyjęte włosy unoszą się wokół jej twarzy jak biała korona. Victra je rozjaśniła, założyła też ciemne soczewki kontaktowe. Lepiej udawać Obsydiankę, bo wtedy łatwiej zniknąć w tłumie, zwłaszcza w półświatku Ula, niż poruszać się bez przebrania. Na dodatek Victra należy do największych Wyjców, więc raczej trudno by było znaleźć jej inny kamuflaż.

– Trudno określić – odpowiada. – Żywe Srebro bardzo dobrze ukrywa swój majątek. Ma mnóstwo korporacji-słupów i ukrytych rachunków bankowych. Wątpię, czy nawet Władczyni zdaje sobie sprawę, jaki to ma zasięg.

– Albo kto w tym siedzi. Jeżeli plotki, że ma Złotych w kieszeni, są choć częściowo prawdziwe...

– Jak najbardziej. – Victra wzrusza ramionami, przez co zaczyna odlatywać do tyłu. – Żywe Srebro macza we wszystkim palce. Według mojej matki to człowiek zbyt bogaty, by go zabić.

– Bogatszy od niej? I od ciebie?

– W każdym razie był. – Victra kręci głową dla podkreślenia swoich słów. – Ale wie dobrze, że nie należy się z tym afiszować...

Odszukuję wzrokiem uskrzydloną ikonę Żywego Srebra, umieszczoną na największej z wież Fobosa, wysokiej na trzy kilometry podwójnej helisie chromu i szkła, zwieńczonej srebrnym półksiężycem. Ilu Złotych spogląda na nią z zazdrością? Ilu jeszcze Żywe Srebro chce posiąść lub przekupić, aby chronić siebie przed resztą? Może tylko jednego. Kiedy Szakal rósł w siłę, kluczowy element stanowiło wsparcie cielego partnera. Człowieka, który pomógł mu w tajemnicy uzyskać władzę nad mediami i przedsiębiorstwami komunikacyjnymi. Przez długi czas uważałem, że tym cichym wspólnikiem jest Victra albo jej matka. Wtedy jednak Szakal zamknął pętlę w ogrodzie po Triumfie. Zdaje się, że najważniejszy partner Szakala żyje i ma się dobrze, a nawet świetnie prosperuje. Na razie.

– Trzydzieści milionów ludzi – szepczę. – Niesamowite.

Czuję spojrzenie Victry na karku.

– Nie zgadzasz się z planem Sevra, prawda?

Kciukiem zdrapuję różową gumę przyklejoną do rdzewiejącej ramy iluminatora. Porwanie Żywego Srebra zapewni nam informacje i dostęp do ogromnych fabryk zbrojeniowych, ale bardziej mnie martwi, że Sevro igra z ekonomicą.

– Sevro utrzymał Synów Aresa przy życiu. Mnie się to nie udało. Dlatego słucham jego rozkazów.

– Aha. – Victra zerka na mnie sceptycznie. – Zastanawiam się, kiedy zacząłeś wierzyć, że władza i wizja są tym samym.

– Oj, gnojki – skrzeczy Sevro przez komunikator w moim uchu. – *Jak już skończycie podziwiać widoki czy co tam, do cholery, robicie, czas ruszać.*

Pół godziny później Victra i ja kulimy się z Wyjcami w jednym z kontenerów do transportu helium-3 na tyłach ładowni. Czujemy wibracje frachtowca, gdy łączy się magnetycznymi cumami ze stanowiskiem w doku na powierzchni pierścienia. Po drugiej stronie kadłuba Pomarańczowi podleciają w zmechanizowanych skafandrach i zaczekają, aż będzie można podholować ładunek do magnetycznych pociągów, które przeniosą go do transportowców dalekiego zasięgu, przygotowujących się do lotu na Jowisza. Mają uzupełnić zaopatrzenie floty Roque'a w walce przeciwko Mustang i Władcom Księżycom.

Zanim jednak kontenery zostaną przetransportowane, Miedziaki i Szarzy inspektorzy przyjdą je sprawdzić. Zostaną przekupieni przez naszych Niebieskich, żeby doliczyli się nie pięćdziesięciu, lecz tylko czterdziestu dziewięciu pojemników. Potem Pomarańczowi, przekupieni przez naszego człowieka w Ulu, upuszczą kontener, w którym się znajdujemy – codzienna praktyka przy przemyścinnie nielegalnych narkotyków albo dla uniknięcia podatków. Nasz kontener zostanie wtedy zdeponowany na niższym poziomie jako zestaw części zamiennych, skąd zabiorą nas powiadomieni wcześniej Synowie Aresa. Z nimi udamy się do bezpiecznych kwater. Przynajmniej taki jest plan. Na razie jednak czekamy.

Wreszcie grawitacja powraca, co znaczy, że znaleźliśmy się w hangarze. Nasz kontener opada na podłogę z głośnym łomotem. Udaje nam się utrzymać równowagę w dużym bębnie. Transporter pika, gdy oddala się od nas i wraca za tarczę pola siłowego w otwartą przestrzeń kosmiczną. Zapada cisza. Nie podoba mi się ta cisza. Dłoń odruchowo zaciska się na skórzanej rękojeści ostrza ukrytego w rękawie. Ruszam do włazu, Victra za mną. Sevro chwyta mnie za ramię.

– Czekamy na kontakt.

– Nawet nie znamy człowieka – protestuję.

– Tancerz za niego poświadczony. – Sevro pstryknięciem palców nakazuje mi wrócić na miejsce. – Czekamy.

Dostrzegam, że inni przyglądają się nam i słuchają rozmowy, więc zamykam usta i kiwam głową. Dziesięć minut później słychać kroki na zewnątrz doku. Zamek we włazie kontenera puszcza, do wnętrza przesącza się przyćmione światło. W otworze stoi umyty, schludny Czerwony z bródką. Żuje wykałaczkę. Jest o pół głowy niższy od Sevra, ale śmiało przygląda się nam po kolej. Unosi brew, gdy natrafia na Ragnara. Potem unosi drugą brew, gdy napotyka lufę blastera Sevra. Mimo to wcale się nie cofa. Facet ma charakter.

– Co nigdy nie umiera? – warczy Sevro ze swoim najlepszym Obsydianowym akcentem.

– Grzybica na jądrach Aresa. – Przybyły uśmiecha się, po czym zerka przez ramię.
– Można prosić o opuszczenie broni? Musimy iść, natychmiast. Pożyczyłem ten dok od Syndykatu, ale tak naprawdę nic mu nie wspomniałem, więc jeżeli nie chcecie szarpać się z jakimiś zawodowymi osiłkami, lepiej zamknijcie pudło i wynoście się stąd. – Klaszcze niecierpliwie. – Już znaczy już.

* * *

Nasz kontakt nazywa się Rollo. Chudy i żylasty, o jasnych, błyszczących oczach i z podejściem do kobiet, pomimo że wspomina o żonie, najpiękniejszej kobiecie, jaką kiedykolwiek stąpała po Marsie, przynajmniej co dwie minuty. Ale, jak dodaje, nie widział jej od ośmiu lat. Spędził ten czas w Ulu – jako spawacz przy budowie kosmicznych wież. Technicznie nie jest niewolnikiem jak Czerwoni w kopalniach. Rollo i jego ludzie są pracownikami kontraktowymi. A jednak wypłaty dostają nędzne, pracują czternaście godzin na dobę przez sześć dni w tygodniu, a zleceniodawca przenosi ich z jednej megalitycznej iglicy, którymi najeżony jest Ul, na kolejną według własnego widzimisię. Czerwoni tutaj modlą się, żeby nie odnieść żadnych ran ani kontuzji na placu budowy. Ranni nie pracują, więc nie zarabiają. Kto nie zarabia, ten nie je.

– Pewny siebie gnojek – słyszę, jak Sevro mamrocze pod nosem do Victry. Idą w środku grupy z Rollem na czele.

– Mnie się podoba jego bródka – uśmiecha się Victra.
– Niebescy nazywają to miejsce Ulem – mówi Rollo, gdy skręcamy do pobazgranego graffiti wagonu na jednym z niższych i starszych poziomów naprawczych. Cuchnie tutaj smarem, rdzą i moczem. Bezdomni ucztują na podłodze pogrążonych w półmroku, metalowych korytarzy. Drżące sterty koców i szmat Rollo omija odruchowo, choć nie zdejmuje dłoni z broni w poobijanej, plastikowej kaburze u pasa. – Może dla nich to Ul. Mają tu szkoły i domy. Komuny z głowami w chmurach, a tak naprawdę sekty, gdzie uczą się, jak latać i synchronizować z komputerami. Ale w istocie rzeczy to tylko maszyna do mielenia.

Wkłada się do niej ludzi. Wychodzą wieże. – Skinieniem głowy wskazuje podłogę. – Mięso spada.

Jedyną oznaką, że nędzarze w stertach szmat żyją, są obłoczki z ich oddechów. Przywodzi to na myśl parę unoszącą się z pęknięć na polach lawy. Wzdrygam się pod swoją szarą kurtką i poprawiam plecak z wyposażeniem, który niosę na ramieniu. Na tym poziomie panuje przenikliwe zimno. Zapewne przez marną izolację termiczną. Kamyk wydmuchuje obłoczek pary przez nos. Pchanym przez siebie wózkiem ze sprzętem stara się manewrować tak, aby nie potrącić żadnego z włóczęgów. Mniej współczująca Victra ciągnie drugi wózek, a kiedy na drodze natrafia na bezdomnego, trąca go butem. Mężczyzna syczy, ale kiedy podnosi oczy, coraz wyżej i wyżej, aż napotyka twarz zirytowanej, ponad dwumetrowej zabójczyni, wycofuje się pośpiesznie i dopiero wtedy oddycha z ulgą. Ani Ragnar, ani Rollo chyba nawet nie zauważają zimna.

Synowie Aresa czekają na nas na peronie, przy jadącym w dół pociągu, oraz w wagonach. Większość to Czerwoni, ale też sporo Pomarańczowych, Zielonych i Niebieskich. Ze starymi blasterami w gotowości do strzału rozpraszają się przy korytarzach prowadzących na peron. Zerkają na nas z napięciem, jakby się zastanawiali, kim, do cholery, jesteśmy. Jak nigdy cieszę się z przebrania za Obsydiana.

– Spodziewacie się kłopotów? – pyta Sevro, zerkając na broń Synów Aresa.
– W ostatnich miesiącach często pojawiają się tutaj patrole Szarych. Nie te zakute łyby z miejscowych posterunków, tylko mięśniaki. Legioniści. Nawet paru z Trzynastki razem z Dziesiątką i Piątką. – Rollo ścisza głos. – Mieliśmy ciężki miesiąc, gdy tropili nas cholernie zajadle. Znaleźli na Dnie nasz sztab, napuścili też na nas osiłków z Syndykatu. Płacili im, żeby polowali na swoich. Większość z nas musiała zejść na powierzchnię i zamelinować się w bezpiecznych kryjówkach. Główna grupa pomaga w powstaniu Czerwonym na stacji, rzecz jasna, ale nasze oddziały specjalne nie ruszyły się na krok do dziś. Lepiej nie ryzykować, nie? Ares powiedział, że macie bardzo ważną misję...

– Ares jest mądry – zapewnia Sevro.
– I lubi dramatyzować – dodaje usłużnie Victra.

Przy drzwiach wagonu Ragnar się wahając, patrzy na plakat antyterrorystyczny przyklejony na betonowym słupie przy peronie. Slogan zachęca: „Widziałeś coś – zgłoś”, a na obrazie blady Czerwony ze złowrogo purpurowymi oczami w typowym, brudnym kombinezonie górnika podkrada się do drzwi z tabliczką „Wstęp wzbroniony”. Więcej nie widać, zasłania graffiti. Wtedy jednak dociera do mnie, że Ragnar nie patrzy wcale na plakat, lecz na mężczyznę, którego nawet nie zdołałem wypatrzyć. Twarz skryta pod kapturem, owinięta brązowymi, brudnymi bandażami, zamiast lewej nogi staroświecka, mechaniczna proteza. Słyszać syk –

uwolnienie gazu pod ciśnieniem. Mężczyzna prostuje się lekko, choć drży, po czym uśmiecha się i szczerzy całkowicie czarne, ale zdrowezęby. Plastikowy inhalator spada na podłogę. Smolny pył.

– DLACZEGO NIE POMAGACIE TYM LUDZIOM? – pyta Ragnar.
– A niby jak mamy pomóc? – dziwi się Rollo. Dostrzega współczucie Ragnara i nie wie, co właściwie powiedzieć. – Bracie, ledwie mamy dla siebie i najbliższych.

Zresztą nic dobrego nie wynika z dzielenia się z takimi jak ten, wiesz?

– ALE TO Czerwony. To WASZ BLISKI...

Rollo marszczy brwi na tę nagą prawdę.

– Oszczędź sobie, Ragnarze – wtrąca się Victra. – On ćpał prochy od Syndykatu. Większość jemu podobnych poderżnęłaby ci gardło za działkę na popołudnie. To już tylko pustaki.

– Pustaki? – powtarzam i obracam głowę, żeby spojrzeć na Victrę.

Zaskakuje ją mój ostry ton, ale ani myśli ustąpić. Dlatego odruchowo atakuje.

– Puste ciała, mój drogi – prycha. – Częścią człowieczeństwa jest posiadanie godności. Oni jej nie mają. Wydarli ją sobie. To był ich wybór, nie Złotych, chociaż Złotych łatwo winić za wszystko. Niby dlaczego ci nędznicy mieliby zasłużyć na moje współczucie?

– Ponieważ nie wszyscy są tacy jak ty. I nie każdy ma twoje pochodzenie.

Nie odpowiada. Rollo chrząka, chyba nasze przebrania nie maskują nas jak należy. Krzywi się sceptycznie.

– Pani ma rację, jeśli chodzi o tę część z podrzynaniem gardeł. Większość z tych ludzi przybyła tu kiedyś do pracy. Jak ja. Nie licząc żony, mam jeszcze trzy osoby na utrzymaniu w Nowych Tebach i tam wysyłam pieniądze. Nie mogę jednak wrócić do domu, dopóki nie wygaśnie mi kontrakt. Zostały jeszcze cztery lata. Ci włóczęźdy oddali się i już nie próbują wrócić.

– Cztery lata? – powtarza Victra z powątpiewaniem. – Powiedziałeś, że pracujesz tu już osiem.

– Muszę zapłacić za przelot.

Dziewczyna patrzy na Rolla bez zrozumienia.

– Firma za to nie płaci. Trzeba było czytać drobny druk w umowie. Pewnie, sam zdecydowałem, że tu przyleczę. – Rollo wskazuje ruchem głowy na bezdomnych. – Oni również. Ale kiedy do wyboru ma się tylko głód... – Wzrusza ramionami, jakbyśmy doskonale wiedzieli, o co chodzi. – Ci biedacy po prostu nie mieli szczęścia w pracy. Stracili nogę. Albo rękę. Firma nie płaci za protezy, przynajmniej nie za te porządne...

– A co ze Snycerzami? – pytam.

Rollo prycha.

– Jak myślisz, kto, do cholery, może sobie pozwolić na robotę w tkance?

Nie pomyślałem nawet o kosztach. Co mi przypomina, jak oddaliłem się od ludzi, za których podobno walczę. A oto Czerwony, jeden z moich, mniej lub bardziej, a nie wiem nawet, jaką kuchnię ceni sobie jego społeczność.

- Dla jakiej firmy pracujesz? – pyta Victra.
- Interesuje cię to? Dla Korporacji Przemysłowej Julii, rzecz jasna.

* * *

Przyglądam się metalowej dżungli przemykającej za brudnym oknem z duroszkła, gdy pociąg opuszcza stację. Victra siedzi obok, na jej twarzy maluje się zamyślenie i zmartwienie. Ja jednak przebywam w innym świecie, z dala od niej i moich przyjaciół. Gubię się we wspomnieniach. Byłem w Ulu wcześniej z ArcyGubernatorem i Mustang. Nero au Augustus zabrał Lansjerów na spotkanie z Elitą ekonomiczną i prezesami, żeby przedyskutować modernizację infrastruktury Fobosa. Potem Mustang i ja wymknęliśmy się do sławnego tutaj akwarium. Wynająłem całą placówkę, zamówiłem posiłek oraz wino, serwowane przed zbiornikiem orki. Mustang zawsze wolała naturalne stworzenia od tych wyrzeźbionych.

Zamieniłem pięćdziesięcioletnie wino i Różowych lokajów na bardziej ponury świat przerdzewiających fundamentów i zbuntowanych robotników. Na ten prawdziwy świat. Nie sen, w którym żyją Złoci. Słyszę niemy krzyk cywilizacji, którą deptano przez setki lat.

Nasza droga wiedzie wokół skraju Dna, do środka księżyca, gdzie w koronkowym labiryncie skalistych tuneli rosną slumsy pozbawione nawet dobrodziejstwa grawitacji. Ryzykujemy tutaj wejściem w środek krwawej ulicznej wojny między Syndykatem i Synami Aresa. A przejście na wyższe poziomy, gdzie mieszkają średnie Kolory, grozi spotkaniem z oddziałami Elity i siecią jej kamer ochrony oraz monitoringiem przez skanery holograficzne.

Dlatego przemykamy się przez ziemie niczyje poziomów naprawczych między Dnem i Igłami. To właśnie tutaj Pomarańczowi i Czerwoni pilnują, aby cały księżyc działał. Nasz pociąg, prowadzony przez zwolennika Synów Aresa, pędzi bez zatrzymywania się na stacjach. Twarze czekających robotników rozmywają się za oknami. Pastisz oczu, lecz twarze poszarzałe. Nie w odcieniu metalu, lecz starego popiołu w ognisku. Spopielane twarze. Spopielane ubrania. Spopielane życie.

Kiedy pociąg wjeżdża do tunelu, wokół wybucha feeria barw. Graffiti i lata gniewu spływają z obryzganych i popękanych, niegdyś szarych ścian. Wulgaryzmy w piętnastu slangach, metaforeycznie rozwlekające Złotym flaki na dziesiątki mrocznych sposobów. A po prawej od zgrubnego szkicu ścięcia kosa głowy Octavii au Lune pojawia się wizerunek Eo na szubienicy, wykonany cyfrowo. Włosy płoną

jej jak żywe. „Zerwij pęta!” – napisane po przekątnej. Obraz jest jak cudowny kwiat wśród chwastów nienawiści. Czuję ucisk w gardle.

Po półgodzinnej jeździe pociąg zatrzymuje się tuż za opuszczonym osiedlem przemysłowym PodKolorów, po którym powinny przetaczać się tłumy robotników wychodzące wcześnie rano ze swoich mieszkań w Półkach i ruszające do pracy. Jednak nadal to cmentarzysko. Śmieci walają się po metalowych podłogach. Na ekranach holo wciąż nadawane są wiadomości Elity. W kafejce na stoliku widzę kubek, z którego jeszcze unosi się para. Synowie Aresa oczyściili nam drogę ledwie przed paroma minutami. Po takich drobiazgach można się zorientować, jak wielkie mają tutaj wpływy.

Kiedy odejdziemy, życie wróci do codziennego rytmu. Ale co się stanie, gdy podłożymy nasze bomby? Czy po zniszczeniu zakładów uzbrojenia ci wszyscy ludzie, którym podobno zamierzamy pomóc, nie zostaną bez pracy i nie dołączą do nieszczęśników na stacji? Praca to jedyny sens ich życia, co się stanie, gdy im ją odbierzemy? Podzieliłbym się tymi obawami z Sevrem, jednak jest już pochłonięty misją. Stał się równie dogmatyczny jak ja kiedyś. I zadawanie mu takich pytań wydaje się zdradą naszej przyjaźni. Sevro zawsze ślepo mi ufał. Czy jestem gorszym przyjacielem, ponieważ wątpię w jego rację?

Mijamy kilka wind antygrawitacyjnych, przenoszących odpady do garażu śmieciarek, również należących do Korporacji Julii. Dostrzegam, jak Victra ściera brud z herbu swojego rodu na pobliskich drzwiach. Włócznia na tle słońca jest wytarta i wyblakła. Kilkudziesięciu robotników przy garażach, Czerwonych i Pomarańczowych, udaje, że nas nie widzi, gdy znikamy w jednym ze stanowisk. Tam, pod dwiema wielkimi śmieciarkami, zastajemy małą armię Synów Aresa. Ponad sześciuset.

To nie żołnierze. Nie jak my. Większość stanowią mężczyźni, ale zauważam też nieliczne kobiety, a wszyscy to głównie młodzi Czerwoni i Pomarańczowi, zmuszeni do przeniesienia się tutaj za pracą, aby wyżywić rodziny na Marsie. Mają tylko prowizoryczną broń. Niektórzy stoją. Inni siedzą, ale przerywają rozmowy i odwracają się do nas, dwunastu zabójców Obsydianów kroczących bezszelestnie niemal po metalowej posadzce, z plecakami i wózkami z tajemniczym wyposażeniem. Budzi się we mnie smutek. Cokolwiek uczynią, dokądkolwiek pójdą, ich życie dzisiaj zostanie skalane. Gdyby moim obowiązkiem było do nich przemówić, ostrzegłbym, że biorą sobie na barki brzemię, зло, które na nich sprowadzę. Powiedziałbym, że łatwiej jest opowiadać o zwycięstwach w wojnie, niż je oglądać na własne oczy. I znosić poczucie nerealności, gdy co rano po przebudzeniu wraca świadomość, że zabiło się człowieka i że przyjaciel zginął.

Milczę jednak. Moje miejsce jest teraz u boku Ragnara i Victry, za plecami Sevra, który wypluwa gumę i występuje przed szeregi Synów Aresa. Po drodze mruga do

mnie porozumiewawczo i szturcha mnie łokciem. A potem staje przed armią. Jego armią. Jest drobny, jak na Obsydiana, którego udaje, ale ma tatuaże i blizny, wygląda więc odpowiednio przerażająco dla śmieciarzy o drobnych dloniach i przygarbionych spawaczy. Przekrzywia głowę, oczy tlą mu się czerwienią pod czarnymi szkłami kontaktowymi. W sztucznym, przemysłowym świetle tatuaż wilka wygląda złowrogo na bladej skórze Sevra.

– Witajcie, tłuste małpy. – Jego głos grzmi, niski i drapieżny. – Pewnie się zastanawiacie, dlaczego Ares przysłał stado hardkorowych zbirów do tej metalowej konserwy z gównem? – Synowie Aresa zerkają na siebie nerwowo. – Nie przybyliśmy, aby was rozpieszczać. Nie jesteśmy tutaj, aby was natchnąć albo wygłosić długą, rzewną orację, jak cholerny Kosiarz.

Pstryka palcami. Kamyk i Klaun przyciągają wózki i otwierają skrzynie. Zawiasy skrzypią, gdy unoszą się wieka, a w środku ukazują się materiały wybuchowe.

– Przybyliśmy, aby wysadzić tę zabitą dechami dziurę. – Sevro rozkłada ramiona.
– Jakieś pytania?

Rozdział piętnasty

ŁOWY

Unoszę się z tyłu śmieciarki wraz z Wyjcami. Panuje ciemność. Noktowizja ukazuje orbitujące śmieci jako zielonkawy cień. Skórki bananów, opakowania po zabawkach, fusy z kawy. Słyszę przez komunikator, jak Victra dławi się od mdłości, gdy kawałek papieru toaletowego przykleja się jej do twarzy. Dziewczyna nosi hełm z maską demona. Podobnie jak moja, też ma nieprzenikliwie czarne oczy, a rysy równie subtelne jak potworny grymas. Fitchnerowi udało się wykraść te pancerze z arsenału na Księżycu ponad rok temu. Dzięki nim możemy widzieć w każdym spektrum, wyostrzać dźwięk, śledzić swoje współrzędne, mieć dostęp do map i komunikować się bezgłośnie. Moi przyjaciele również noszą czerń. Nie mamy żadnego wspomagania mechanicznego, tylko cienkie, chitynowe pancerze, które powstrzymają ostrze lub pojedynczy pocisk. Nie mamy ani butów grawitacyjnych, ani tarcz impulsowych. Nic, co by mogło nas spowolnić, zdradzić odgłosem lub zaalarmować czujniki monitoringu. Mamy za to butle tlenowe, które wystarczą na czterdzieści minut. Kończę dopinać pasy Ragnarowi i sprawdzam swój unipad. Dwaj Czerwoni prowadzący śmieciarkę właśnie odliczają czas. Gdy dochodzą do dziesięciu, Sevra ozajmia:

– Wrzucajcie bagaże i włączcie pelerynki.

Aktywuję swoją i świat się wykrzywia, gdy peleryna Niewidka zaczyna działać. Ma się wyrażenie oglądania otoczenia przez migotliwą, brudną wodę. Przy pasie już czuję, jak nagrzewa się zasilacz. Peleryny są doskonałe, ale na krótko. Spalają ogniwa energetyczne, jak te, które zabraliśmy, a potem trzeba odczekać, żeby ostygły, nim można je naładować ponownie. Macam, żeby ująć za rękę Sevra, Victrze udaje się odnaleźć moją dłoń. Reszta również się chwytą. Nie pamiętam, żebyem czuł się bardziej przerzązony, nawet przed Stalowym Deszczem. Czy wtedy byłem odważniejszy? Może tylko bardziej naiwny.

– Trzymajcie się mocno. Zaraz skaczemy – ozajmia Sevra. – Wyskakujemy za... trzy... dwa... – Zaciskam mocniej palce na jego dłoni. – Jeden.

Klapy śmieciarki otwierają się cicho, przez powiększającą się szczelinę z tyłu pojazdu pada na nas bursztynowy blask holoekranu reklamowego na pobliskim wieżowcu. Potem podmuch i mój świat zaczyna wirować, gdy śmieciarka wyrzuca zawartość. A my jak confetti spadamy na miasto. Kręcimy się z odpadkami w kaleidoskopie świata wież i reklam. Setki statków przesuwają się wzduż ulic.

Wszystko w błyszczącym, rozmytym błękcie. Wirujemy, aby zamaskować swoje cechy rozpoznawcze.

Przez radio słyszę narzekającego Niebieskiego kontrolera ruchu, którego rozzłościły spadające śmieci. Zaraz potem na linii zgłasza się Miedziany i grozi, że spali niekompetentnych pilotów. Ale mój uśmiech wywołuje nie to, co słyszę, lecz czego brak. Policyjny kanał jak zwykle rozbrzmiewa nieustannymi kryptonimami i melduje Syndykatowi o zakłóceniach w powietrzu Ula spowodowanych przez spadające śmieci, zabójstwach w Muzeum Sztuki Starożytnej przy Park Plaza i kradzieży danych w Zgromadzeniu Banków. Nas nikt nie dostrzegł wśród odpadów.

Spowalniamy nasz upadek przy pomocy niewielkich silniczków w hełmach. Podmuchy sprężonego powietrza zapewniają nam stały dryf. Cichy w próżni. Prosto do celu. Wraz ze śmieciami mamy uderzyć w bok stalowej wieży. Lądownie powinno być czyste. Victra przeklina, gdy szybujemy coraz bliżej. Palce mi się trzęsą. Byle się nie odbić. Byle się nie odbić.

– Puścić – nakazuje Sevro.

Puszczałam jego rękę, zaraz potem Victry. Nasza trójka nierówno uderza w ściany. Śmieci wokół odbijają się pod dziwnymi kątami. Sevro i Victra przyciskają się do wieży – magnesy w rękawicach utrzymują ich na pozycjach, jednak mnie uderza w udo jakiś śmieć, moja trajektoria się zmienia. Odrzuca mnie w bok. Macham rękami, aby znaleźć chwyt, przez co zaczynam wirować.

Uderzam w wieżę najpierw stopami, odbijam się w przestrzeń, przeklinam.

– Sevro! – krzczę.

– Victro, łap go.

Czuję uścisk na nodze, zatrzymuję się z szarpnięciem. Dostrzegam ledwie widoczny pod peleryną kształt. Victra. Przyciąga mnie ostrożnie, abym mógł przytknąć magnetyczne rękawice do ściany. Przed oczyma latają mi ciemne plamy. Wokół rozciąga się miasto. Przerząjące w swojej ciszy, barwach, w tym nieludzkim, metalowym pejzażu. Wygląda bardziej jak starożytny relikt obcych niż miejsce dla ludzi.

– Zwolnij – głos Victry trzeszczy w moim hełmie. – Darrow. Hiperwentylujesz. Oddychaj ze mną. Wdech. Wydech. Wdech...

Zmuszam się, żeby zrównać oddech z Victrą. Ciemne plamy znikają. Otwieram oczy, twarz mam o cał od metalowej ściany.

– Zesrałeś się w kombinezon czy coś? – pyta Sevro.

– Nic mi nie jest – zapewniam. – Trochę zardzewiałem.

– Uch. Oby.

Ragnar i reszta Wyjców lądują trzydzieści metrów poniżej nas. Kamyk do mnie macha.

– Mamy trzysta metrów wspinaczki. Ruszać się, Pixie.

Za szkłem wieży Żywego Srebra jarzy się światło. Za podwójną helisą znajdują się biura, prawie dwieście kondygnacji. Dostrzegam nawet postacie poruszające się przy stanowiskach komputerów. Robię zoom w swoim hełmie, żeby przyjrzeć się brokerom przy biurkach, kursującym między nimi asystentom, a także analitykom, którzy na wyświetlaczkach holograficznych sygnalizują nerwowo zmiany na rynkach z Księżyca. Wszyscy Srebrni. Przypominają przemysłowe pszczoły robotnice.

– Prawie zatęskniłam do chłopaków – mówi Victra. Nie od razu do mnie dociera, że nie ma na myśli Srebrnych. Ostatnim razem, gdy próbowaliśmy tej taktyki, byli z nami Tactus i Roque. Przekradaliśmy się w próżni na okrąg flagowy Karnusa, który właśnie uzupełniał paliwo w bazie na asteroidzie. Było to podczas pozorowanej wojny w Akademii. Przecięliśmy kadłub okrętu – zamierzaliśmy porwać lub zabić załogę. Okazało się jednak, że to pułapka, i ledwie udało się nam uciec. Jedyne, co osiągnąłem, to złamana ręka.

Pięć minut zajmuje nam wspięcie się od miejsca lądowania na szczyt wieży – wielki półksiężyc. Nie chwytamy się występów, więc nie do końca można powiedzieć, że się wspinamy. Przez magnesy w naszych rękawicach przechodzą zmienne ładunki, raz ujemne, raz dodatnie, przez co przemykamy po ścianie wieży, jakbyśmy mieli rolki na dloniach. Najtrudniejszym dla wszystkich odcinkiem w tym wejściu lub zejściu, czy jak to nazwać, jest pokonanie ogromnego zbocza półksiężyca w warunkach zerowej grawitacji. Musimy trzymać się wąskiego pasa metalu, który wspiera konstrukcję ze szkła niczym główne naczynie liścia. Pod naszymi brzuchami przez szkło możemy podziwiać sławne muzeum Żywego Srebra. A wyżej nad szczytem wieży świeci czerwienią Mars.

Moja rodzima planeta zdaje się przesłaniać wszechświat. Wydaje się większa od niego. Świat miliardów dusz, zaprojektowanych oceanów, gór i irygowanych akrów suchej ziemi, jakiej nigdy nie było na Ziemi. Po tej stronie planety panuje noc. Nikt by się nie domyślił, że miliony kilometrów tuneli przenikają przez trzewia tego świata i że chociaż jej powierzchnia migocze światłami Tysiąca Miast Marsa, pod nimi tępni niewidoczny puls powstania. Stąd jednak mój świat wydaje się spokojny. Odległy, nierealny. Ciekawe, jak opisałby ten widok poeta? Co wyszeptałby Roque na wiatr? Pewnie coś o ciszy przed burzą. Albo o pulsie w głębinie. I wtedy widzę błysk. Mrugam zaskoczony. Spazm oślepiającej bieli, która zmienia się w złowrogi neon, po czym na powierzchni Marsa wyrasta grzyb. Znowu na planecie zapada noc.

– Widzieliście to? – pytam przez komunikator. Mrugam, żeby jak najszybciej pozbyć się powidoków, jakie eksplozja pozostawiła mi pod powiekami. Na paśmie łączności trzeszczą przekleństwa, gdy inni odwracają się, żeby popatrzeć.

– Szlag – mamrocze Sevro. – Nowe Teby?

– Nie – odpowiada Kamyk. – Dalej na północ. To przylądek Awentynu, więc pewnie Cyprion. Wywiad donosił, że Czerwony Legion wkroczył do miasta.

Kolejny rozbłysk. Nasza siódemka zastyga na półksiężycowym zwieńczeniu wieży i patrzy, jak bomba jądrowa eksploduje w niedużej odległości od pierwszej.

- Jasna cholera. To my czy oni? – pytam. – Sevro?
- Nie mam pojęcia – odpowiada Sevro niecierpliwie.
- Nie wiesz? – powtarza zdumiona Victra.

Jak może nie wiedzieć? Chce mi się krzyczeć. Ale biorę się w garść, bo wracają do mnie słowa Tancerza. „Sevro nie prowadzi tej wojny” – powiedział mi parę tygodni temu po kolejnej nieudanej misji Wyjców. „On tylko dolewa oliwy do ognia”. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak daleko zaszła ta wojna, jak wielki chaos się rozpiętał.

Czy, ufając mu ślepo, popełniłem błąd? Zerkam na jego beznamiętną maskę. Czarny skafander pochłania kolorowe światła miasta, ale nic nie odbija. Czarna dziura. Sevro odwraca się powoli od wybuchów i zaczyna znowu wspinaczkę. Ruszamy dalej.

– Wszystko już jest w wiadomościach w holosieci – mówi Kamyk. – Szybko. Podobno Czerwony Legion użył bomb jądrowych przeciw oddziałom Złotych pod Cypriонem. A przynajmniej taka jest oficjalna wersja.

- Przeklęci kłamcy – warczy Klaun. – Kolejna prowokacja.
- Skąd Czerwony Legion miałby atomówki? – pyta Victra. – Harmony użyłaby ich wcześniej, gdyby tylko zdobyła choć jedną. Założę się, że to Złoci zrzucili ładunki jądrowe na Czerwony Legion.

– Dla nas nie ma to żadnego cholernego znaczenia. Zostawmy to – rzuca Sevro stanowczo. – Wciąż mamy zadanie do wykonania. Ruszajcie tyłki.

Odruchowo wykonujemy polecenie. Kiedy docieramy do półksiężyca wieńczącego wieżę, zaczynamy działać rutynowo. Wyciągam buteleczkę kwasu z plecaka Victry. Sevro wypuszcza kamerę nie większą od mojego paznokcia, która zawisa nad szkłem i zaczyna skanować pomieszczenie poniżej, sprawdzając, czy ktoś jest w muzeum. Nikogo. Nic dziwnego – jest trzecia nad ranem. Sevro wyjmuje generator impulsowy i czeka, aż Kamyk skończy wpisywać komendy na swoim unipadzie.

- No i co? – dopytuje się niecierpliwie.
- Kody zadziałyły, weszłam do systemu – melduje Kamyk. – Muszę tylko znaleźć odpowiednią strefę. O, tutaj. Lasery... wyłączone. Gratulacje dla wszystkich, oficjalnie zmieniliśmy się w duchy! Przynajmniej tak długo, dopóki ktoś ręcznie nie włączy alarmu.

Sevro uruchamia generator. Wokół nas powstaje migotliwa, nieprzepuszczalna bańka. Dzięki temu próżnia nie będzie się wdzięrać razem z nami do budynku. I dobrze, bo wtedy bez trudu by nas wykryto. Przylepiam na środku szyby ssawkę, po czym mocuję tam pojemnik z kwasem, otwieram i aplikuję pianę po okręgu o

średnicy dwa metry. Kwas przeżera szkło, powstaje dziura. Powietrze z budynku wypycha kawał szyby i wypełnia bańkę pola impulsowego, a Victra szybko chwyta wytrawioną taflę szyby za przyssawkę.

– Najpierw Ragnar – rozkazuje Sevro. Podłoga muzeum znajduje się sto metrów poniżej.

Ragnar przyczepia linię z bloczkiem na krawędzi okna i przypina swoją uprząż do magnetycznego przewodu. Wyciąga ostrze, włącza pelerynę Niewidkę i przeciska się przez otwór. Widok ledwie widocznej postaci opadającej na podłogę jest niepokojący – Ragnara już złapała sztuczna grawitacja, podczas gdy ja wciąż unoszę się w nieważkości. Olbrzym wygląda jak dżin polatujący nad pustynią w drżącym powietrzu.

– Czysto.

Następny rusza Sevro.

– Złamania karku – życzy mi Victra, po czym popycha mnie za nim. Lecę, a gdy chwyci mnie grawitacja, zaczynam spadać. Ześlizguję się po linie, nabieram prędkości. Czuję ciężar w żołądku, przelewa się we mnie jedzenie. Ląduję ciężko, omal nie skręcam sobie kostki. Czym przedzej wyjmuję blaster i rozglądam się. Reszta Wyjców ląduje wokół mnie. Kucamy plecy w plecy w wielkiej sali. Posadzkę wyłożono szarym marmurem. Nie sposób określić rozmiarów pomieszczenia, ponieważ zakrzywia się wzdłuż grzbietu półksiężyca i niknie poza zasięgiem wzroku. Można od tego dostać zawrotów głowy. Nad nami wznoszą się metalowe eksponaty. Stare rakiety z Pionierskiego Wieku. Znak Kompanii Lunarnej ozdabia kadłub szarego próbnika tuż obok Ragnara. Logo przypomina herb rodu Octavii au Lune.

– Nareszcie wiem, co to znaczy czuć się grubym. – Sevro podskakuje w wysokiej grawitacji. – Obrzydliwość.

– Żywe Srebro pochodzi z Ziemi – wyjaśnia Victra. – A ciążenie podnosi jeszcze bardziej, gdy prowadzi negocjacje z ludźmi, którzy urodzili się na światach z mniejszą grawitacją.

Ciążenie jest pięć razy większe niż to, do którego przywykłem na Marsie, osiem razy wyższe do preferowanego na Io lub Europie, jednak w odbudowanym ciele Mickey zastosował symulację podwójnego ciążenia ziemskiego. Czuję się nieprzyjemnie, gdy ważę prawie osiemset funtów, ale mięśnie mnie utrzymują, choć nie bez wysiłku.

Zdejmujemy butle tlenowe i ustawiamy je rzędem pod starym wahadłowcem z wymalowaną na burcie flagą przedimperialnej Ameryki. Mamy tylko niewielkie plecaki, wzmacnione chityną kombinezony, hełmy i broń. Sevro rozkłada zgrubne szkice Victry, opisujące wnętrze wieży, i pyta Kamyk, czy już znalazła Żywe Srebro.

– Nie mogę. Kamery na dwóch ostatnich kondygnacjach są wyłączone. Tak samo część czytników biometrycznych. Nie mogę go namierzyć tak, jak planowaliśmy.

– Wyłączone? – powtarzam.

– Może Żywe Srebro właśnie orgiastycznie się masturbuje i nie chce, żeby ochrona to zobaczyła – wzrusza ramionami Sevro. – Tak czy inaczej, ukrywa coś, więc pójdziemy go poszukać.

Przełączam się na prywatną linię, żeby inni nas nie słyszeli.

– Nie możemy wałęsać się, żeby go znaleźć. Jeżeli ktoś nas złapie w korytarzu...

– Nie będziemy się wałęsać – odpowiada mi Sevro, po czym przełącza się znowu na kanał ogólny i zwraca do wszystkich Wyjców.

– Pelerynki włącz, panienki. Tylko ostrza i blastery z tłumikiem. PulsRękawice tylko w naprawdę głównianej sytuacji. – Znika. – Wyjce za mną.

Wyślizgujemy się z muzeum w labirynt korytarzy i ruszamy za Sevrem. Posadzki z czarnego marmuru. Ściany ze szkła. Dziesięciometrowe sufity z tarcz pola siłowego, za którymi rozciągają się akwaria z rafami koralowymi rozrastającymi się jak ośmiornice. Gadzie syreny długie na stopę, z ludzkimi twarzami, szarą cerą i głowami zwieńczonymi koroną wyrostków, przepływają przez to królestwo błękitu i pstrokatego oranżu. Nienawistne, czarne ślebia obserwują nasze przejście.

Ściany wykonano z nastrojowego szkła i pola siłowego, które subtelnie zmienia kolory. W tej chwili pulsują błękitem, zaraz jednak przebiegają przez nie kobaltowo-srebrzyste pasma. Jak we śnie. W labiryncie skrywają się niewielkie nisze.

Miniaturowe galerie sztuki prezentują współczesne dzieła holograficzne oraz ostentacyjne malarstwo z dwudziestego pierwszego wieku, zamiast rzymskiego neoklasycyzmu tak modnego wśród Niezrównanych Naznaczonych.

Ładujemy ponownie zasilanie naszych peleryn i wymykamy się do galerii, w której pręży się czerwony, metaliczny pies, bardziej przypominający figurkę z balonów.

Victra wzducha ciężko.

– Jasna cholera. Ten facet zasmakował w popkulturze społeczeństwa tabloidów.

Ragnar przekrzywia głowę i przygląda się psu.

– CO TO JEST?

– Sztuka – odpowiada mu Victra. – Chyba.

Zaskakuje mnie protekcyjny ton jej głosu, podobnie jak wystrój budynku. Tętni sztucznością. Sztuka, ściany, syreny i reszta – wszystko to, czego Niezrównani Naznaczeni mogliby się spodziewać po nowobogackim Srebrnym. Żywe Srebro na pewno poznał psychologię Złotych, inaczej nie dorobiłby się takiego majątku.

Dlatego zadaję sobie pytanie, czy to tylko ekstrawagancja, czy coś o wiele bardziej przebiegłego? Maska tak oczywista i łatwa do akceptacji, że nikt nie zastanawia się, co kryje się pod nią? Wiele można by powiedzieć o Żywym Srebrze, ale nigdy nie

nazywano go głupim. Należy zatem założyć, że ten ostentacyjny wystrój został przygotowany dla gości, nie dla niego.

Dlatego uważam, że coś tutaj jest nie tak, gdy docieramy do nieoświetlonego atrium i podkradamy się w formacji klinu do dwuskrzydłowych drzwi wiodących do sypialni Żywego Srebra. Peleryny Niewidki się wyłączły, więc widzimy lepiej otoczenie. Ostrza mamy uniesione tuż nad kamienną podłogą.

To nie dom. To scena. Zaprojektowana dla manipulacji. Złowroga w wyrachowaniu, dla jakiego została stworzona. Nie podoba mi się. Znowu przełączam się na częstotliwość Sevra.

- Coś tu nie gra. Gdzie służba? Gdzie strażnicy?
- Może ceni sobie prywatność?
- Myślę, że to pułapka.
- Pułapka? Masz pewność czy przeczucie?
- Przeczucie.

Sevro milknie i zastanawiam się, czy rozmawia z kimś jeszcze. Może ze wszystkimi.

- Jakie masz propozycje?
- Wycofać się, jeszcze raz ocenić sytuację...
- Wycofać? – prycha Sevro. – Z tego, co wiemy, Złoci właśnie spuścili na naszych atomówki. Musimy to zrobić.

Próbuję się wtrącić, ale Sevro nie daje mi dojść do słowa.

– Szlag, przeprowadziłem trzynaście akcji, żeby dorwać informacje o tym Srebrnym gnojku. Jeżeli się teraz wycofamy, wszystko pójdzie na marne. Wyjdzie na jaw, że tu myszkowaliśmy. Drugiej okazji nie będzie. A Żywe Srebro jest kluczowy, żeby dorwać Szakala. Musisz mi zaufać, Kosiarzu. Zaufasz?

Gryzę się w język, żeby nie zakląć, i wyłączam się szybko. Nie wiem, czy jestem zły na niego, czy na siebie, ponieważ wiem, że to przez Szakala straciłem iskrę, która sprawiała, że czułem się inaczej. W głębi duszy czuję, że pod wzmacnionym skafandrem i za maską demona kryje się mały, zapłakany chłopczyk, który boi się zostać sam w ciemności.

Czerwone światło wypełnia galerię, gdy za szklaną ścianą przelatuje luksusowy krążownik. Pośpiesznie przyciskamy się do drzwi sypialni Żywego Srebra i szykujemy się do ich wyważenia. Przyglądam się statkowi przez soczewki swojej maski. Na jednym z jego pokładów błyskają światła, a kilkuset Pixie tańczy do księżyckowej muzyki, etruskiego rytmu, jakże odległego od tego, co się dzieje. Dla tych ludzi wojna nie istnieje, choć przetacza się przez świat pod tym satelitą. Wydawać by się mogło, że nic nie zagraża ich stylowi życia. Piją szampana z Ziemi, chwalą się ubraniami usztytymi na Wenus, wędrują po statku napędzanym paliwem z Marsa.

Śmieją się, konsumują i piją. Nie przejmuję się konsekwencjami. Chmara szarańczy. Czuję, jak wzbiera we mnie gniew, ten sam, który tak dobrze zna Sevro.

Cierpienie dla tych ludzi nie jest rzeczywiste. Wojna także. To tylko pięcioliterowe słowo powtarzane w holosieci, powracające w strumieniu niepokojących obrazów. Ci ludzie nie zwracają na nie uwagi. Nie obchodzi ich broń, walka, okręty, hierarchia, czyli wszystko, co chroni tych głupców od agonii, jaka związana jest z losem człowieka. Wkrótce jednak ją poznają.

I na łóżu śmierci przypomną sobie dzisiejszy wieczór. Z kim go spędzili. Co robili, zanim to pięcioliterowe słowo utknęło im w gardle. Ten luksusowy krążownik i ta absurdalna dekadencja to ostatnie podrygi Złotego Wieku.

Jakie to żałosne.

– Oczywiście, że ci ufam – zapewniam i zaciskam palce na rękojeści slinga. Ragnar obserwuje nas, chociaż nie może słyszeć tej rozmowy. Victra już czeka, żeby wyłamać drzwi.

Światła przygasają, statek znika wśród iglic miasta. Z zaskoczeniem zdaję sobie sprawę, że wcale nie odczuwam satysfakcji, choć wiem, co się stanie. Wiem, że czas Złotych przeminał, ale wcale mnie to nie cieszy. Nie cieszy mnie myśl, że światła we wszystkich miastach imperium człowieka zbledną, statki zwolnią, a błyszczące Złoto zniknie wśród rdzy i ruin. Jakbym słyszał Mustang, która o tym mówi.

Wcześniej tępkniałem za jej ustami i zapachem, ale teraz brakuje mi wsparcia jej umysłu. Gdy z nią byłem, nie czułem się samotny. Mustang zapewne by nas skarciła, że skupiamy się na świecie, który zamierzamy zniszczyć, zamiast na tym, który zamierzamy zbudować.

Dlaczego właśnie teraz ogarniają mnie takie uczucia? Otaczają mnie przyjaciele, na dodatek uderzam w Złotych, czego zawsze pragnąłem. A jednak niepokój ściiska mi serce. Mam wrażenie, że jestem obserwowany. Nieważne, co mówi Sevro, coś jest nie tak. Nie tylko z tym budynkiem, lecz także z naszym planem. Czy sam wymyśliłem podobny? Jak zaplanowałby tę akcję Fitchner? I co się stanie, gdy ten plan się powiedzie? Co będzie, gdy pył opadnie, a strumień helium-3 przestanie płynąć? Powróci średniowiecze? Sevro jest jak żywioł. Siłą swojego gniewu mógłby przenosić góry.

Kiedyś byłem taki sam. I proszę, dokąd mnie to zaprowadziło...

– *Zabijcie jego strażników, ogłuszcie Różowych. Bijcie, łapcie i uciekajcie* – mówi właśnie Sevro do Wyjców. Zaciskam dłoń na broni. Sevro daje sygnał, a Ragnar z Victrą prześlizgają się za drzwi. Reszta rusza za nimi w mrok.

Rozdział szesnasty

KOCHANEK

Światła są wyłączone. Panuje grobowa cisza. Frontowa sala okazuje się pusta. Jasnozielona, elektryczna meduza unosi się w zbiorniku na stole i roztacza wokół migotliwe cienie. Wyłamujemy rzeźbione, złote drzwi i wdzieramy się do sypialni. Zostaję na czatach z Kamyk, czaimy się z bronią automatyczną w gotowości. Ostrze mam owinięte wokół przedramienia. W pokoju na wielkim łóżu z baldachimem śpi mężczyzna. Ragnar chwyta go za nogi i ściąga z posłania. Mężczyzna spada na podłogę. Jest zupełnie nagi. Dopiero wtedy się budzi i zaczyna krzyczeć w dłoń Ragnara.

– Szlag, to nie on – odzywa się Victra za moimi plecami. Zerkam przez ramię. Ragnar klęczy nad Różowym i zasłania mi widok.

Sevro jednym ciosem rozbija łóżko.

– Jest trzecia nad ranem. Gdzie, do cholery, może być ten gnojek?

– Jest czwarta rano, pora otwarcia giełdy na Księżycu – zauważa Victra. – Może poszedł do biura? Zapytaj jego niewolnika.

– Gdzie twój pan? – Przez maskę głos Sevra wibruje jak przewód uderzający w metalowy pręt. Nie spuszczam wzroku z otoczenia, dopiero jęk za plecami sprawia, że się odwracam. Sevro wbił Różowemu kolano w krocze. – Ładna pidżamka, chłopaku. Chcesz się przekonać, jak będzie się prezentować w czerwieni?

Wzdragam się na chłód w jego głosie. Znam aż za dobrze ten ton. Tak samo mówił Szakal, gdy mnie torturował w Attycie.

– Gdzie jest twój pan? – Sevro mocniej naciska kolanem. Różowy wyje z bólu, ale nie odpowiada. Wyjce przyglądają się torturom w milczeniu, pochylone postacie bez twarzy w ciemnym pokoju. Nie ma dyskusji. Nie ma pytań o etykę, nie po tym, jak na miasto spadły bomby jądrowe. Wiem jednak, że działało się to także wcześniej. Czuję się zbrukany tym, że słucham biernie Różowego płaczącego w podłogę. Tortury to część wojny prawdziwsza niż triumfalne fanfary lub okręty. Tyle że tego cichego okrucieństwa nigdy się nie pamięta.

– Nie wiem – jęczy Różowy. – Nie wiem.

Ten głos. Pamiętam ten głos z przeszłości. Nieruchomieję z zaskoczenia, a potem zrywam się i pędzę do sypialni. Szarpnięciem odciągam Sevra od Różowego. Znam tego mężczyznę, znam jego łagodność. Jego długi, zakrzywiony nos, Różowe jak kryształy kwarcu oczy, skórę w karnacji ciemnego miodu. Ten człowiek stworzył mnie w takim samym stopniu jak Mickey. To Matteo. Piękny i kruchy Matteo, który

teraz dyszy na podłodze ze złamany ramieniem, krew z ust i trzyma się za podbrzusze, gdzie kopnął go Sevro.

– Cholera, co ci odbiło? – warczy na mnie Sevro.

– Znam go.

– Co?

Korzystając z zamieszania, Matteo, który widzi tylko otaczające go demoniczne postacie, zrywa się i chwytia unipada leżącego na ławie przy łóżku. Sevro jest szybszy. Z mięsistym łomotem gęstsze kości zderzają się z bardziej delikatnymi. Pięść Sevra łamie kruchą szczękę Mattea. Różowy konwulsyjnie zwija się na posadzce, dławia się, wytrzeszcza oczy. Patrzę oszołomiony. Przemoc wydaje się taka nierealna, tak zimna, prymitywna i tak przerażająco łatwa. Po prostu kości i mięśnie poruszające się w sposób, w jaki nie powinny. Mimowolnie sięgam do Mattea, osłaniam go własnym ciałem i odpycham Sevra.

– Nie dotykaj go!

Matteo na szczęście traci przytomność. Nie mam pojęcia, czy ma złamany kark, czy tylko wstrząs mózgu. Przesuwam palcami po falistych włosach, teraz nieco wyblakłych, z synim połyskiem. Matteo ma dlonie zaciśnięte w dziecinne niemal piąstki, drobna srebrna obrączka otacza smukły serdeczny palec. Gdzie ten mężczyzna był przez minione lata? Dlaczego znalazłem się tutaj?

– Znam go – szepczę.

Ragnar pochyla się z troską nad rannym, choć nic dla Mattea nie możemy zrobić. Klaun rzuca unipad do Sevra.

– Przycisk alarmowy.

– Co to znaczy, że go znasz? – pyta Sevro.

– To Syn Aresa – wyjaśniam wciąż oszołomiony. – A przynajmniej był Synem Aresa. To on uczył mnie przed Instytutem. Wykładał mi kulturę Aureatów.

– Jasna cholera... – mamrocze Klaun.

Victra trąca stopą nadgarstek Mattea, gdzie drobne, wytatuowane kwiatki otaczają Sigile.

– Był Różą z Ogrodów, jak Teodora. – Zerka na Ragnarą. – Kosztuje więcej niż ty, Skalany.

– Jesteś pewien, że to on? – upewnia się Sevro.

– Cholernie pewien. Ten człowiek to Matteo.

– Więc dlaczego jest tutaj? – dziwi się Ragnar.

– Nie wygląda na niewolnika – dodaje Victra. – To droga pidżama. Pewnie to kochanek, Żywe Srebro nie żyje przecież w celibacie.

– Musiał zostać przekabacony – rzuca Sevro ochryple.

– Albo wykonuje zadanie powierzone mu przez twojego ojca – zauważam.

– Więc dlaczego się z nami nie skontaktował? Jest spalony. A to znaczy, że Żywego Srebro zinfiltrował Synów Aresa. – Sevro odwraca się do drzwi. – Szlag. Mógł wiedzieć o Tinos. Mógł wiedzieć o naszym dzisiejszym ataku.

Myśli przemykają mi przez głowę. Czy to Ares posłał tutaj Mattea? Czy Matteo po prostu uciekł z tonącego okrętu? Może to właśnie Matteo ujawnił Złotym, kim naprawdę jestem... Myślenie o tym jest jak obracanie noża w ranie. Nie znałem długo tego Różowego, ale obchodził mnie jego los. Matteo był wyjątkowo życzliwy. I proszę, co mu zrobiliśmy.

– Musimy stąd uciekać – mówi Klaun.

– Nie bez Żywego Srebra – oponuje Sevro.

– Nie wiemy, gdzie jest Żywego Srebro – wtrącam. – Tu chodzi o coś więcej. Musimy zaczekać, aż Matteo się ocknie. Ma ktoś leki wzmacniające?

– Jedna dawka go zabije – prycha Victra. – Krwiobieg Różowych nie poradzi sobie z wojskowymi dopalaczami.

– Nie pora na dyskusje – warczy Sevro. – Nie zamierzam ryzykować, że ktoś nas tu przyłapie. Ruszamy.

Próbuję zaprotestować, ale Sevro odwraca się do Klauna zajętego unipadem.

– Co masz?

– Znalazłem zamówienie na wewnętrznym serwerze w sekcji kuchennej. Ktoś zamówił całkiem sporo kanapek i kawy do sali C19.

– Co MYŚLISZ, KOSIARZU?

– To może być pułapka. Powinniśmy przygotować...

Przerywa mi pogardliwy śmiech Victry.

– Nawet jeżeli to pułapka, popatrz, kto jest z nami. Przebijemy się przez takie gówno.

– Racja jak cholera, Julii. – Sevro rusza do drzwi. – Śrubokręt, przenieś Różowego i połów. Kły wyszczerzone. Ragnar, Victra do przodu. Czeka nas przelew krwi.

* * *

Poziom niżej spotykamy pierwszą grupę strażników. Pół tuzina brytanów stoi przed dużymi, szklanymi drzwiami migoczącymi jak fale na jeziorze. Strażnicy noszą czarne kombinezony zamiast pancerzy bojowych. Implanty w kształcie srebrzystych półksiężyców lśnią na skórze za lewym uchem. Na tej kondygnacji natykamy się również na inne patrole, ale nie na służących. Parę minut temu dwóch Szarych w podobnych garniturach wprowadziło wózek z dzbankami kawy do pomieszczenia. Dziwne, że to nie Różowy lub Brązowy podawał kawę. Ochrona jest tutaj mocna i czujna. Ktokolwiek znajduje się w biurze Żywego Srebra, jest ważny. Albo bogacz ma paranoję.

– Wdzieramy się szybko. – Sevro wychyla się zza węgła, gdzie się czaimy. Od Szarych dzieli nas najwyżej trzydzieści metrów. – Załatwić tych gnojków, potem włam.

– Nie wiemy, kto tam jest – rzuca Klaun.

– Istnieje tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – warczy Sevro. – Ruszać.

Ragnar i Victra pierwsi wychodzą zza węgła. Peleryny Niewidki zakrzywiają światło. Reszta z nas podąża za nimi truchtem. Jeden z Szarych mruży oczy, gdy się zbliżamy. Wszczepione czujniki optyczne rozbłyskują na czerwono przy aktywacji. Wykrywają ciepło naszych zasilaczy.

– Peleryny Niewidki! – woła Szary.

Sześć par rąk wyszkolonym odruchem chwyta za broń. Za późno. Ragnar i Victra wdzierają się w oddział. Ragnar macha swoim ostrzem – jednemu z Szarych odrąbuje ramię, drugiemu podcina gardło. Krew bryzga na szklane ściany. Victra strzela z wyciszonego blastera. Dwa magnetycznie wystrzelone pociski trafiają w dwie głowy. Przeslizguję się wśród upadających ciał. Przebijam ostrzem pięść napastnika. Wyczuwam drgnięcie, gdy klinga dosięga serca. Zmieniam ostrze w bicz, wyrywam z rany i znowu usztywniam, zanim jeszcze bezwładne ciało upadnie na marmurową posadzkę.

Szarzy nie zdążyli wystrzelić choćby raz. Jednemu udało się za to naciągnąć guzik na swoim unipadzie i po korytarzach wieży niesie się niski, huczący ryk alarmu, a ściany pulsują czerwienią. Sevro dobija ostatniego Szarego.

– Wchodzimy do sali! Już! – krzyczy.

Coś jest nie tak. Czuję to, ale Victra i Sevro ani myślą się zatrzymać. A Ragnar kopniakiem rozbija drzwi. Odruchowo wpadam za nim.

Sala konferencyjna Żywego Srebra nie ocieka takim luksusem, jak pokoje piętro wyżej. Sufit znajduje się na wysokości dziesięciu metrów, na ścianach przesłoniętych wirtualnym szkłem wirują jak dym srebrzyste smugi. Dwa rzędy marmurowych kolumn otaczają czarny stół negocjacyjny, z którego blatu na środku wyrasta martwe białe drzewo. Za wielkim panoramicznym oknem roztacza się widok na zakłady przemysłowe Ula. Regulus ag Sun, znany od Merkurego po Pluton jako Żywe Srebro, najbogatszy człowiek pod Słońcem, stoi przy oknie z lampką czerwonego wina w mięsistej dłoni.

Jest łysy. Czoło ma pomarszczone jak pergamin, usta opadłe jak u mopsa. Garbi się, a małpie, długie ręce kryje w rękawach wenusjańskiej, turkusowej szaty z wysokim kołnierzem. Na plecach wyszyto jabłoń. Mała kozia bródka i wąsik odcinają się od nalanej twarzy w próżnej próbie nadania jej szlachetniejszych rysów. Zdaje się, że prawie nie korzystał z usług Snycerzy. Żywe Srebro stoi boso, jednak to jego trzecie oko przyciąga uwagę. Dwoje oczu wygląda normalnie – półprzymknięte i Srebrne. Typowy, wyblakły odcień. Trzecie jest Złote, wszczepione

w prosty srebrny pierścienie, który ten mężczyzna nosi na grubym środkowym palcu prawej ręki.

Przerwaliśmy mu spotkanie.

W sali znajduje się ponad trzydziestu Miedzianych i Srebrnych. Siedzą naprzeciw siebie za onyksowym stołem z filiżankami kawy, karafkami wina i unipadami. Błękitny dokument wyświetlony na holo unosi się między dwiema frakcjami. Najwyraźniej naszym atakiem przerwaliśmy dyskusję nad treścią tego tekstu. Teraz zgromadzeni cofają się od stołu, większość zbyt zaskoczona, aby odczuwać strach, inni zupełnie nieświadomi, co się dzieje, ponieważ nie widzą Wyjców pod pelerynami. Jednak przy stole siedzą nie tylko Miedziani i Srebrni.

– O kurwa – wyrywa się Victrze.

Spomiędzy zawodowców-cywilów wstaje sześciu Złotych rycerzy w pancerzach bojowych, z tarczami impulsowymi. Znam ich wszystkich. Po lewej starszy mężczyzna o smagłą twarzy w czerni Pana Śmierci, obok pulchna Moira, Furia, siostra Ai, a także stary dobry Cassius au Bellona. Po prawej Kavax au Telemanus, Daxo au Telemanus i dziewczyna, która zostawiła mnie na kolanach w mrocznej sztolni Marsa ponad rok temu.

Mustang.

Rozdział siedemnasty

ZABIĆ ZŁOTYCH

– Wstrzymać ogień! – wołam, po czym odpycham rękę Victry, jednak Sevro już wywarkuje rozkazy i dziewczyna znowu unosi broń. Formujemy nierówną tyralierę i mierzymy w Złotych z pulsRękawic oraz z blasterów. Wstrzymujemy ogień, ponieważ chcemy pojmać Regulusa żywcem. Wiem też, że Sevro jest tak samo jak ja zaskoczony widokiem Mustang, Cassiusa i Telemanusów.

– *Na ziemię albo już po was!* – wrzeszczy Sevro. Jego głos brzmi nieludzko, wzmocniony przez system demonicznego hełmu. Wyjce dołączają do niego, powietrze wypełnia ostry wizg rozkazów. Serce skuwa mi lód. Wycie syren zagłusza krzyki. Nie wiem, co robić, więc wymierzam rękawicę w najbardziej niebezpiecznego ze Złotych, Cassiusa. Domyślamsię, co musi się dziać w głowie Sevra na widok mordercy ojca. Hełm synchronizuje się z bronią, podświetla słabe punkty zbroi, moje spojrzenie jednak umyka do Mustang, która z wdziękiem odstawia filiżankę kawy, po czym cofa się od stołu. Działko impulsowe wmontowane w lewą rękawicę jej pancerza wysuwa się powoli. Rozsądek walczy we mnie z uczuciami. Co, u diabła, robi tutaj Mustang? Powinna być na Obrzeżach! Pozostali Złoci, podobnie jak ona, nie słuchają naszych rozkazów. Przez demonie hełmy nie mogą nas rozpoznać. Żaden nie ma peleryny. Cofają się czujnie, oceniają sytuację, Cassius zsuwa ostrze z prawego ramienia. Kavax powoli podnosi się z krzesła wraz z Daxem. Żywe Srebro macha rękami.

– Przestańcie! – Jego głos niemal tonie w hałasie. – Nie strzelać! To spotkanie dyplomatyczne! Przedstawcie się!

Dopiero teraz do mnie dociera, że wpadliśmy w sam środek negocjacji. Kapitulacji sił Mustang? Sojuszu? Znacząca jest nieobecność Szakala. Czy Żywe Srebro go zdradził? Zapewne. Władczyni również. Dlatego właśnie to piętro było takie puste. Żadnej służby, minimum ochrony. Żywe Srebro pozwolił tylko zaufanym ludziom znaleźć się w pobliżu sali konferencyjnej, gdzie spiskował pod nosem swojego sprzymierzeńca.

Ściska mnie w gardle, ponieważ uświadamiam sobie, że zgromadzeni tutaj Złoci na pewno uważają, że przysłał nas Szakal. A zatem sądzą, że przyszliśmy ich zabić, a to oznacza tylko jedno.

- *Na ziemię, cholera!* – wrzeszczy Victra.
- *Co robimy?* – pyta Kamyk. – Kosiarzu?
- *Bellona jest mój* – ozajmia Sevro.

- Użyjcie ogłuszania. Tam jest Mustang...
- Ogłuszanie jest bezużyteczne, te zbroje ich osłonią – przerywa mi Sevro. – Jeżeli ktoś podniesie broń, zabić drania. Pełna moc impulsowa. Nie zamierzam ryzykować utraty mojej rodziny.
- Sevro, posłuchaj mnie. Musimy porozmawiać z... – moje słowa się urywają, bo Sevro wykorzystuje moduł dowodzenia w swoim hełmie, żeby mnie odciąć. Mogę słyszeć wszystkich, ale oni mnie nie. Przeklinam z bezsilności.
- Nie ruszaj się, Bellona – woła Klaun. – Powiedziałem, nie ruszaj się!

Po przeciwniej stronie niż Mustang przez tłumek przekrada się Cassius. Używa Srebrnych jak zasłony, żeby znaleźć się jak najbliżej nas. Jest już tylko o dziesięć metrów i wciąż się zbliża. Wyczuwam, że Victra napina się obok mnie. Tylko czeka, aby rzucić się na człowieka, którego wini za śmierć swojej matki, ale między nami są cywile, nie możemy też pozwolić, żeby Żywe Srebro, nasz cel, wymknął się.

Przyglądam się uważniej pulchnym twarzom Srebrnych i Miedzianych. Nie ma wśród nich zniewolonej duszy. Te opasłe brzuchy nigdy nie zaznały głodu. To kolaboranci. Sevro oskalpowałby jednego po drugim, gdyby miał zardzewiały nóż i parę wolnych chwil do dyspozycji.

- KOŚIARZU... – odzywa się cicho Ragnar i spogląda na mnie, czekając na rozkazy.
- Cofnij rękę od ostrza! – krzyczy Victra na Cassiusa. Ten nie odpowiada. Napiera bezwzględnie jak lodowiec. Moira i Pan Śmierci ruszają za nim. Hełm Kavaxa wysuwa się, aby osłonić mu twarz. Mustang już zamknęła przyłbicę, jej działało impulsowe na razie jeszcze wymierzone jest w podłogę, ale już naładowane.

Znam śmierć tak dobrze, że niemal słyszę, jak nabiera tchu.

Włączam swoje głośniki zewnętrzne.

- Kavaxie, Mustang, przestańcie. To ja...
- Stój, ty kupo głównej! – warczy Victra. Cassius uśmiecha się uprzejmie i atakuje. Ragnar wykonuje dziwaczny wykrok z lewej i jedno z jego ostrzy przecina powietrze, po czym wbija się w czoło Pana Śmierci. Srebrni cofają się zaskoczeni, gdy Rycerz Olimpijski wali się na podłogę.

– KAVAX AU TELEMANUS! – Złoty olbrzym z rykiem rzuca się naprzód razem z Daxem. Mustang odskakuje w bok. Moira naciera z uniesioną pulsRękawicą.

– Załatwić ich! – syczy Sevro.

W sali wybucha walka. W powietrzu mkną supergorące cząsteczki, gdy Wyjce otwierają ogień w zatłoczonym pomieszczeniu. Marmur rozpada się w pył. Stopione krzesła przekształcają się w galimatias powyginanego metalu, toczącego się po posadzce. Rozerwane mięśnie i kości tryskają w krwawą mgłę, gdy Srebrni i Miedziani zostają złapani w krzyżowy ogień. Sevro chybia i Cassius umyka za jedną z kolumn. Kavaxa trafiono już z dziesięć razy, ale nawet się nie zachwiał pod przeciążoną tarczą. Zamierza już uderzyć w Sevra i Victrę mieczem, ale z boku

naciera na niego Ragnar. Uderza w Kavaxa ramieniem tak mocno, że mniejszy od niego Złoty przetacza się bezradnie w powietrzu. Daxo atakuje Ragnara od tyłu i trzej giganci przepychają się w kąt sali, miażdżąc po drodze dwóch Miedziaków o połowę od nich mniejszych. Miedziani z połamanyimi nogami wyją bezradnie na ziemi.

Nieco dalej Mustang przyjęła dwa strzały w pierś, ale jej tarcza wytrzymała. Dziewczyna zatacza się, strzela do nas, trafia Kamik w udo – impet rzuca mniejszą Złotą na ścianę. Kamik nie może wstać, nogę ma strzaskaną strzałem. Krzyczy tylko, ściskając ranę. Klaun i Victra śpieszą ją osłonić. Strzelają do Mustang, przeciągają ranną towarzyszkę za kolumnę. Śrubokręt i czworo Wyjców, którzy z korytarza pilnowali drzwi i Mattea, teraz wbiegają do sali i strzelają.

Zataczam się, zagubiony w tym chaosie. Marmur w miejscu, gdzie stałem, pęka. Srebrni wpełzają pod stół. Inni, zrzuceni z krzesel, czołgają się do złudnego bezpieczeństwa pod osłoną kolumn. Między nimi i nad ich głowami powietrze rozrywa wizg hipersonicznych strzałów impulsowych. Pęka rozbita kolumna. Żywe Srebro przyciska się do dwóch Miedzianych, wykorzystuje ich jak żywe tarcze, lecz wtedy odłamek marmuru przygniaata ich do podłogi w płatannie nóg, rąk i krwi.

Moira, Furia Władczyni, rusza na Sevra. Próbuje przebić mojego przyjaciela ostrzem, nie może jednak minąć Ragnara, który walczy z oboma Telemanusami i próbuje dotrzeć do Cassiusa. Strzelam na oślep z pulsRękawicy i trafiam Furię w bok, przerywając jej atak. Tarcza absorbuje parę uderzeń, otacza Moirę Iśniącym na niebiesko kokonem. Kobieta zatacza się, ale gdybym teraz przerwał ogień, Furia rano miałaby tylko parę siniaków. Jednak mój palec nie puszcza spustu. Moira steruje systemem opresji i należy do najlepszych umysłów wśród Złotych. Na dodatek próbowała zabić Sevra. Złe posunięcie.

Strzelam, aż jej tarcza wreszcie się zapada. Moira klęka na jedno na kolano, a potem zaczyna się szarpać i krzyczeć, gdy cząsteczki jej skóry zaczynają się rozgrzewać. Wkrótce gorąco dociera do organów wewnętrznych, wrząca krew wypływa z oczu i uszu. Pancerz i ciało stapią się w jedno, a we mnie rośnie tylko dzika wściekłość, która przesłania resztki strachu, rozsądek i współczucie. Oto Kosiarz, który pokonał w pojedynku Cassiusa. I który zabił Karnusa. I którego Złoci nie mogą zabić.

Moira strzela na oślep, gdy ścięgna jej palców kurczą się z gorąca. Odruchowo posyła serię w sufit. Konwulsyjnie wygina rękę i sieje śmierć wokół siebie. Dwóch Srebrnych, próbujących się ukryć, eksploduje. Okno z tyłu, za którym roztacza się panorama kosmicznego miasta, trzeszczy niebezpiecznie. Wyjce kryją się czym przedzej, dopóki pulsRękawica Moiry nie zaczyna się topić, pozostawiając jedynie spalony, dymiący kikut lewej ręki. W ostatnim podrygu gniewu najmądrzejsza z Furii Władczyni zmienia się w popiół.

Żałuję tylko, że to nie Aja.

Odwracam się. Prowadzi mnie zimna ręka gniewu, wyciągająca się po więcej krwi. Jednak tam stoją tylko moi przyjaciele. Albo ci, którzy kiedyś nimi byli. Wzdrygam się na pustkę – pozostałość po gniewie, który pojawił się równie szybko, jak znikł. Ogarnia mnie panika, gdy widzę, że przyjaciele próbują pozbijać się nawzajem. Uporządkowany szyk załamał się w chaosie starcia. Stopy ślizgają się po szkle. Plecy odbijają się od ścian. Ładunki z pulsRękawic przemykają wśród kolumn. Ręce i nogi toczą się po posadzce, a ostrza świszczą wśród wizgu broni.

I właśnie w tym momencie, w tej chwili przerażającej jasności myśli, uświadamiam sobie, że tylko jedno łączy tych ludzi. Nie idea. Nie marzenie mojej żony. Nie zaufanie, przymierze lub Kolor.

Ja.

Beze mnie będą się zabijać. Beze mnie właśnie to robi Sevro. Jaka to nieodwracalna strata. Śmierć pociąga za sobą śmierć, która pociąga śmierć.

Muszę to powstrzymać.

Na środku sali Cassius potyka się w pogoni za Victrą między powyginanymi gorącym krzesłami, wśród rozbitego szkła. Za nimi krew rozlewa się po posadzce. Uszkodzona peleryna Niewidka iskrzy, to włącza się, to wyłącza, przez co Victra zmienia się – raz w cień, potem w ducha... jak niezdecydowany demon. Cassius tniesią w udo i kręgosłup, a Klaun strzela do niego. Cassius, muśnięty tylko w skroń, musi się cofnąć przed serią wystrzeloną przez Kamyk, siedzącą pod ścianą po drugiej stronie sali. Victra przetacza się pod stołem i tnie Rycerza Olimpijskiego w kostki. Cassius skacze na stół i zaczyna strzelać z pulsRękawicy, aż udaje mu się wybić dziurę w onyksowym blacie i złapać Victrę w pułapkę. Już ma ją zabić, ale Sevro strzela mu w plecy. Tarcza Cassiusa pochłania pocisk, ale impet odrzuca Rycerza daleko od stołu.

Po prawej Ragnar, Daxo i Kavax toczą pojedynek tytanów. Ragnar przyszpila Kavaxowi ramię do ściany ostrzem, robi unik, strzela z pulsRękawicy w Daxa praktycznie na wyciągnięcie ręki. Tarcza chroni Daxa, ale jego ostrze chybia o włos Ragnara i odłupuje tylko kawałek marmuru. Ragnar chwyta Daxa i już ma zamiar złamać mu kark, gdy Kavax tnie go w ramię ostrzem, wykrzykując swoje imię i ród. Zrywam się na ratunek mojemu Skalanemu przyjacielowi, ale wtedy wyczuwam atak po lewej.

Odwracam się w samą porę, aby zasłonić się przed skaczącą na mnie Mustang. Jej twarz zasłania hełm, ostrze ma uniesione do ciosu, który rozpłatałby mnie na pół. W ostatniej chwili zasłaniam się slingiem. Ostrza się krzyżują. Wibracje przebiegają mi po ramieniu. Jestem wolniejszy niż kiedyś, mięśnie w ciemności więzienia Szakala utraciły odruchy, pomimo starań Mickeya w laboratorium i treningów z Victrą. A Mustang stała się szybsza.

Cofam się pod naporem jej ataku. Próbuję ją obejść, ale Mustang macha ostrzem, jakby przez ostatni rok nic innego nie robiła. Staram się umknąć bokiem, jak nauczył mnie Lorn, ale nie ma ucieczki, Mustang jest bystra, używa gruzowiska i kolumn, aby mnie przyprzeć do muru. Uginam się pod ciosami, otoczony błyskającym metalem. Moja obrona działa, ale słabnie na granicy zasięgu, gdy bronię środka swojej strefy.

Ostrze rozcina mi lewe ramię, tnie głęboko na cal. Kąsa jak żmija jaskiniowa. Klnę, a Mustang tnie po raz drugi. Krzyczę, żeby przestała. Wykrzykuję swoje imię. Chciałbym więcej, ale brakuje mi tchu, muszę się poruszać, jeżeli mam ocalić ramiona przed odcięciem. Robię krok w tył, w samą porę, aby uniknąć kolejnego cięcia, ostrze rozrywa mi tylko płytko skafander na szyi. Potem następują trzy uderzenia w stawy mojego prawego ramienia, chybione o włos. Rytm narasta. Plecami opieram się o ścianę. Cięcie. Cięcie. Cięcie. Pchnięcie. Ogień rozlewa mi się po skórze. Umrę w tym pojedynku. Wzywam pomoc przez komunikator, ale łączność mam wciąż wyłączoną przez Sevra.

Ugryźliśmy więcej, niż możemy przełknąć.

Krzyczę bezradnie, gdy ostrze Mustang przemyka przez trzy moje żebra. Dziewczyna obraca ostrze w dłoni, cofa się, żeby z rozmachem ściąć mi głowę. Udaje mi się sparować ten cios i przycisnąć własną bronią ostrze Mustang do ściany tuż nad moją głową. Jej hełm znajduje się tuż przed moją maską. Uderzam ją czołem. Jednak hełm okazuje się twardszy niż duroplastyczny kompozyt mojej osłony. Mustang odchyla głowę i wykorzystuje tę samą taktykę, moją taktykę, przeciwko mnie. Twarz rozrywa mi ból, niemal mdleję. Z trudem odzyskuję ostrość widzenia. Wciąż stoję. Znowu mam złamany nos. Przed oczyma latają mi ciemne plamy. Resztki maski opadają i oto mam przed sobą hełm w kształcie głowy konia z pustymi oczami.

Mustang cofa ostrze przed zadaniem ostatecznego ciosu. I zamiera. Broń drży jej w dłoni, gdy widzi moją nieosłoniętą twarz. Hełm zsuwa się, ukazując twarz dziewczyny. Mokre od potu kosmyki włosów przylepiły się do policzków i skroni, ich Złoto pociemniało od wilgoci. W oczach Mustang płonie dzikość. Chciałbym ujrzeć w nich miłość lub radość, ale nic takiego nie dostrzegam. Jeżeli już, to strach, może zgrozę, która sprawia, że krew odpływa dziewczynie z twarzy. Cofa się, unosi lewą rękę, w której nie trzyma ostrza.

– Darrow...?

Zerka przez ramię na chaos wypełniający salę, a potem znowu patrzy na mnie w tej krótkiej chwili ciszy w oku cyklonu. Cassius ucieka przez boczne drzwi, na podłodze pozostają ciała Pana Śmierci i Moiry. Cassius rzuca mi spojrzenie, zanim znika za progiem. Victra rzuca się w pogon, ale Sevro przywołuje ją z powrotem.

Reszta Wyjców wpatruje się w Mustang. Robię krok w jej stronę, ale zatrzymuję się, gdy ostrze dotyka mojego obojczyka.

– Widziałam twoją śmierć.

Mustang cofa się do głównych drzwi, buty ślizgają się jej na odłamkach marmuru i miażdżą resztki rozbitego szkła.

– Kavaxie, Daxo! – woła, a na szyi pulsuje jej nerwowo żyłka. – Odwrót!

Telemanusowie zrywają się i omijają szerokim łukiem Ragnarą, zmieszani i niepewni, kim jest zamaskowany przeciwnik, z którym walczą, i dlaczego krwawią z tyłu ran. Próbuję dołączyć do Mustang jak najszybciej, lecz gdy już mają mnie minąć, wiem, że nie mogę po prostu patrzeć na jej odejście. Dlatego z trzaskiem owijam ostrze wokół szyi Kavaxa. Olbrzym dlawi się i szarpie, ale nie puszcza. Mógłbym ściąć mu głowę, gdybym nacisnął guzik i szarpnął ostrze, ale nie mam zamiaru zabijać Telemanusa. Upada dopiero, gdy Ragnar podcina mu nogi i kolanem przyciska tors. Śrubokręt i reszta rzucają się na Kavaxa i przyszpilają go do ziemi.

– Nie zabijać go! – krzyczę. Śrubokręt znał Paxę, spotkał też innych Telemanusów, więc cofa ostrze i nakazuje młodszym Wyjcom zrobić to samo. Daxo chce pośpieszyć ojcu na pomoc, ale Ragnar i ja zastępujemy mu drogę, a Sevra i Victra już śpieszą nam z odsieczą. Jasne oczy młodszego z olbrzymów wbijają się w moją twarz z niezrozumieniem.

– Uciekaj, Virginio! – ryczy Kavax z podlogi. – Już!

– Orion żyje. Mam ją. Poza tym chroniłem twoją rodzinę – mówi Mustang. Zerka na zakrwawione Wyjce za moimi plecami, które ruszyły już na nią i Daxę. – Nie zabijaj go. Proszę.

A potem ze smutkiem patrzy na Kavaxa, odwraca się i ucieka.

Rozdział osiemnasty

OTCHŁAŃ

– O czym ona mówiła? Co to znaczy, że Orion żyje? – pytam Kavaxa. Jest również wstrząśnięty jak ja, zerka nerwowo na Wyjce w czarnych kombinezonach, stojące wokół. Nikogo nie straciliśmy, ale nikt nie wyszedł z tej walki bez szwanku. – Kavaxie! Co to znaczy?

– To, co powiedziała – odpowiada olbrzym. – Dokładnie to, co powiedziała. „Pax” jest bezpieczny.

– Darrow! – woła Sevro, gdy wraca do sali wraz z Victrą. Ścigali Cassiusa przez spalone drzwi, ale wrócili z pustymi rękami, na dodatek kulejąc. – Do mnie!

Chciałbym zadać Kavaxowi więcej pytań, ale Victra jest ranna, wspiera się o strzaskany onyksowy stół. Zrywam się i pędzę do niej. Z głębokiej rany na ramieniu płynie jej krew, twarzy nie kryje maska. Dziewczyna krzywi się, gdy wstrzykuje sobie środki przeciwbólowe i koagulant, żeby powstrzymać krwotok. Na dnie rozcięcia połykuje kość.

– Victro...

– Szlag – śmieje się ponuro. – Twój chłopak jest szybszy, niż pamiętam. Prawie dorwałam go w korytarzu, ale Aja chyba nauczyła go paru sztuczek z Drogi Wierzby.

– Na to wygląda – przyznaję. – Dajesz radę?

– Nie martw się o mnie, skarbie. – Mruga do mnie porozumiewawczo, gdy Sevro znowu mnie woła. Wraz z Klaunem pochylają się nad spalonymi szczątkami Moiry. Przywódca terrorystów nie wydaje się przejęty rzeźnią wokół.

– Jedna z Furii – stwierdza Klaun. – Spopielona.

– Świecznie upieczona, Kosiarzu – dodaje Sevro. – Krucha z wierzchu, krwista w środku. Tak jak lubię. Aja będzie wściekła...

– Odciążłeś mi łączność – przerywam mu gniewnie.

– Zachowywałeś się jak wariat. Denerwowałeś moich ludzi.

– Jak wariat? Co jest z tobą nie tak, do cholery? Użyłem głowy, zamiast strzelać do wszystkiego w zasięgu wzroku. Mogliśmy to załatwić bez mordowania połowy ludzi w tej sali.

Oczy Sevra są znacznie ciemniejsze i bardziej okrutne niż te, które pamiętam.

– To jest wojna, chłopczyku. Mordowanie to część gry. Nie smuć się, jesteśmy w tym dobrzy.

– To była Mustang! – Podchodzę bliżej. – A gdybyśmy ją zabili?

Sevro wzrusza ramionami. Wbijam mu palec w pierś.

– Wiedziałeś, że tu będzie? Powiedz mi prawdę.

– Nie-e... – odpowiada z namysłem. – Nie wiedziałem. A teraz cofnij się, chłopaku.

Spogląda na mnie bez zmieszania, jakby nie przejmował się kłótnią. Nie cofam się.

– Co tutaj robiła?

– A niby skąd mam wiedzieć, do cholery? – Sevro podnosi wzrok na przechodzącego za moimi plecami Ragnara, który wraz z grupką Wyjców prowadzi Kavaxa w róg sali. – Trzeba się przygotować do odwrotu. Będziemy musieli przebić się przez armię, żeby opuścić tę gównianą wieżę. Punkt ewakuacyjny znajduje się dziesięć pięter wyżej, po ciemnej stronie.

– Gdzie nasza zdobycz? – Victra rozgląda się po jatce. Rozrzucone ciała leżą na zniszczonej podłodze. Srebrni drżą z bólu. Miedziani czołgają się, ciągnąc zmiażdżone nogi.

– Pewnie spłonął. – Wzruszam ramionami.

– Pewnie – zgadza się Klaun. Patrzy na mnie uważnie, gdy kluczamy wśród ciał, żeby się upewnić. – Cholerny bałagan.

– Wiedziałeś, że będzie tu Mustang? – pytam.

– Nie miałem pojęcia. Naprawdę, szefie. – Zerka na Sevra. – O co chodziło z tym wyłączeniem łączności?

– Przestań kłapać jadaczką i znajdź tego przeklętego Srebrnego – warczy Sevro ze środka pomieszczenia. – I niech ktoś zabierze tego Różowego z korytarza.

Klaun odnajduje Żywe Srebro daleko od głównych drzwi, pod wielkim oknem z widokiem na Fobosa. Srebrny leży w bezruchu, przygnieciony kolumną, która pękła u podstawy i uderzyła o ścianę. Turkusową tunikę znaczy krew innych zabitych. Kawałki szkła wystają z poranionych kłykci. Wyczuwam puls. Żywe Srebro – nomen omen – żyje. Zatem misja nie skończyła się zupełną porażką. Jednak mężczyzna ma wgniecenie na czole od uderzenia odłamkiem. Wzywam Ragnara i Victrę, dwoje najsilniejszych członków oddziału, żeby pomogli mi podnieść kolumnę.

Ragnar wsuwa ostrze, którym przebił czaszkę Panu Śmierci, żeby użyć broni jak dźwigni i już ma to zrobić razem ze mną, ale Victra każe zaczekać.

– Patrzcie. – Wskazuje.

Tam, gdzie kolumna uderzyła w ścianę, widać słaby niebieski pobłask ze szczeliną tworzącej kształt prostokąta. Ukryte drzwi. Żywe Srebro biegł do nich, kiedy zwaliła się na niego kolumna. Victra przykłada tam ucho i mruży oczy.

– Działają impulsowe – oznajmia. – Och... – Parska śmiechem. – To ochroniarze Żywego Srebra. Pewnie ich tu ukrył na wypadek, gdyby sprawy przybrały nieprzewidziany obrót. Mówią w nagalu. – Język Obsydianów. Pewnie już się przebijają przez ścianę. Bylibyśmy martwi, gdyby spadająca kolumna nie zablokowała drzwi.

Nasze tyłki ocalił czysty przypadek. Wszyscy troje zdajemy sobie sprawę, jakie mamy szczęście. Mój gniew na Sevra rośnie, udziela mi się nieco dzikości w spojrzeniu Victry. Ona również pojmuję, jak bardzo lekkomyślna była ta akcja. Nigdy nie powinniśmy byli wdzięcać się do tej wieży bez dokładnych planów pomieszczeń. Sevro zrobił to, co sam bym uczynił rok temu. Z identycznym rezultatem. Nasz trójka myśli to samo, gdy zerkamy na główne drzwi sali. Nie mamy wiele czasu.

Ragnar i Victra pomagają mi wyciągnąć Żywe Srebro. Nieprzytomny mężczyzna ma połamane nogi, które wloką się bezwładnie, gdy Victra ciągnie go na środek pomieszczenia. Tam Sevro nakazuje Klaunowi i Kamyk ruszać z naszymi jeńcami, Kavaxem i Matteem, do punktu ewakuacyjnego. Ale Kamyk ledwie może ustać. Wszyscy jesteśmy w beznadziejnym stanie.

– Mamy zbyt wielu jeńców – mówię. – Nie będziemy mogli poruszać się szybko. No i nie mamy ani jednego generatora impulsów elektromagnetycznych.

Nie żeby taki generator do czegokolwiek się przydał na stacji, gdzie od próżni dzieli nas tylko cienka na cal ściana i filtry powietrza.

– Więc zrzucimy zbędny balast. – Sevro podchodzi do Kavaxa, który siedzi na podłodze ranny, z rękoma skrępowanymi za plecami. Sevro wymierza broń w głowę Złotego. – To nic osobistego, wielkoludzie.

Naciska spust. Odpycham jego rękę. Impuls mija o włos głowę Kavaxa i trafia w podłogę tuż obok nieprzytomnego Mattea. Omal nie trafia go w nogę. Sevro odwraca się do mnie i wymierza broń w moją głowę.

– Zabierz mi to z twarzy – mówię prosto w lufę. Gorąco bije mi w oczy, szczypie tak, że muszę odwrócić wzrok.

– Myślisz, że kto to jest – cedzi gniewnie Sevro. – Twój przyjaciel? On nie jest twoim przyjacielem.

– Potrzebujemy go żywego. To nasza karta przetargowa. I może Orion żyje.

– Karta przetargowa? – prycha Sevro. – Co powiesz o Moirze? Jakoś nie miałeś problemu ze spaleniem jej na popiół, ale jego chcesz ocalić?

Mruży oczy, potem opuszcza broń. Wreszcie odsłania zęby w krzywym grymasie.

– Och, chodzi o Mustang. Oczywiście.

– To ojciec Paxa – przypominam mu.

– A Pax nie żyje. Dlaczego? Ponieważ darował życie wrogowi. To nie Instytut, chłopaku. To wojna. – Mierzy we mnie wyprostowanym palcem. – A wojna jest naprawdę cholernie prosta. Zabijasz wroga, kiedy możesz, gdzie możesz i najszybciej jak możesz. Albo wróg zabija ciebie i twoich ludzi.

Sevro odwraca się ode mnie i dopiero teraz uświadamia sobie, że wszyscy patrzą na naszą kłótnię z rosnącym niepokojem.

– Mylisz się – mówię.

– Nie możemy ich wszystkich ciągnąć ze sobą.

– W korytarzach roi się od zbrojnych, szefie – melduje Śrubokręt, który właśnie wrócił zza głównych drzwi. – Ponad stu ludzi z ochrony. Mamy przesiane.

– Możemy się przebić, jeżeli nie będziemy mieli obciążenia – mówi Sevro.

– Przez stu ludzi? – oponuje Klaun. – Szefie...

– Sprawdźcie zasilanie. – Sevro unosi swoją pulsRękawicę.

Nie. Nie pozwolę, żeby krótkowzroczność Sevra doprowadziła do klęski.

– Walić to – mówię. – Kamyk, wezwij Holiday. Przekaż jej, że nie dotrzemy do punktu ewakuacyjnego. Podaj jej nasze współrzędne. Niech zaparkuje kilometr za szkłem, tyłem do nas.

Kamyk nie sięga po swój unipad. Zerka niepewnie na Sevra. Jest rozdarta, nie wie, którego z nas posłuchać.

– Wróciłem – zapewniam. – Zrób to.

– Tak, Kamyk, zrób to – popiera mnie Ragnar.

Victra kiwa głową. Kamyk krzywi się przepraszająco.

– Wybacz, Sevro. – A potem skinieniem głowy potwierdza mój rozkaz, włącza unipad i wywołuje Holiday. Reszta Wyjców patrzy na mnie. Świadomość, że zmuszam ich do takiego wyboru, jest bolesna.

– Klaun, znajdź unipad Moiry, o ile nie spłonął, i skopiuj dane z konsoli, jeśli zdołasz. Chcę wiedzieć, czego dotyczyły te negocjacje – rozkazuję pośpiesznie. – Śrubokręt, weź Śpiocha i pilnujcie drzwi. Ragnarze, Kavax jest twój. Jeżeli spróbuje uciec, obetnij mu stopy. Victra, zostało ci trochę liny wspinaczkowej?

Victra sprawdza pas i potwierdza skinieniem głowy.

– Zwiążesz nas. Wszystkich na środku sali. Mocno. – Odwracam się do Sevra. – Trzeba załatwić tych za ukrytymi drzwiami. Mieliśmy towarzystwo.

Sevro nic nie odpowiada. W jego oczach nie ma gniewu. Dojrzewa w nich ukryte nasienie zwątpienia w siebie i strachu oraz nienawiści. Znam to spojrzenie. Czułem je na własnej skórze zbyt wiele razy, abym mógł zliczyć. Pozbawiam go jedynego, na czym mu zależy. Jego Wyjców. Po wszystkim, co zrobił, sprawiłem, że wybrali mnie zamiast jego, chociaż Sevro nie ufa, że jestem na to gotowy. Podważyłem jego przywództwo, poświadczylem głębię jego niepewności, którą musiał czuć po śmierci ojca. Wiem o tym.

Nie powinno się to odbyć w ten sposób. Powiedziałem, że będę słuchał rozkazów Sevra, lecz tego nie zrobiłem. To spada tylko na mnie. Ale nie ma już czasu na rozmyślania. Próbowałem przemówić Sevrowi do rozsądku, powołałem się na naszą przyjaźń, ale odkąd trzymałem się z tyłu, każda akcja kończyła się przemocą i przelewem krwi. Więc teraz nie pozostało mi nic innego, jak przemówić w jego cholernym języku. Występuję o krok naprzód.

– Jeżeli nie chcecie tutaj zginąć, zbierajcie się i do roboty.

Sevro krzywi się lekko, a potem rysy mu twardnieją, gdy Wyjce śpieszą wykonać moje rozkazy.

- Jeżeli zginą, nigdy ci tego nie daruję.
- No to będzie nas dwóch. A teraz ruszaj.

Sevro odwraca się, biegnie do drzwi, żeby podłożyć pod nie resztę ładunków wybuchowych, które ma u pasa. Rozglądam się po zniszczonej sali. Wreszcie w tym chaosie tworzy się porządek, gdy moi przyjaciele pracują razem. Domyślili się już mojego planu. Wiedzą, jak bardzo jest szalony. Jednak pewność, z jaką wykonują zadania, budzi we mnie otuchę. Obdarzyli mnie zaufaniem, jakiego Sevro nie wzbudzał. Przyłapuję jednak Ragnara na zerkaniu w panoramiczne okno. Już po raz trzeci. Nasze skafandry są uszkodzone. Żaden z nas nie przetrwa w próżni. A ja nawet nie mam maski. Nasze życie i śmierć zależy teraz tylko od Holiday. Szkoda, że nie ma sposobu, abym kontrolował wszystkie zmienne, jednak jeżeli czegoś się nauczyłem w mroku, to właśnie tego, że świat jest wielki i nie zdołam zamknąć go w dłoni. Dlatego muszę zaufać innym.

– Niech każdy włączy zakłócanie – rozkazuję i uruchamiam urządzenie przy pasie. Lepiej, żeby żadna kamera zewnętrzna nie uchwyciła naszych twarzy.

– Holiday na pozycji – zgłasza Kamyk. Za panoramicznym oknem widzę transportowiec. Z odległości kilometra wydaje się nie większy niż paznokieć.

– Na mój znak strzelamy wszyscy w środek okna – wyjaśniam przyjaciołom. Staram się, aby w moim głosie nie zabrzmiał strach. – Śrubokręt, Śpioch! Wracajcie tu. Nałożcie maski tlenowe nieprzytomnym jeńcom.

– Och, jasna cholera – mamrocze Victra. – Miałam nadzieję, że wymyślisz lepszy plan.

– Jeżeli będziecie wstrzymywać oddech, rozerwie wam płuca. Dlatego zróbcie wydech, gdy tylko rozbijemy okno. Lepiej, żebyście stracili przytomność. Słodkich snów. I módlcie się, żeby Holiday była tak szybka z orczykiem, jak Klaun w sypialni.

Wyjce wybuchają śmiechem, zbijają się w ciasną gromadę. Victra przeciąga linę przez nasze pasy z amunicją, zmienia nas w ludzką kiść. Sevro kończy zakładanie ładunków pod drzwiami, Śpioch i Śrubokręt dołączają do nas i machają na Sevra, żeby się pośpieszył.

– Uwaga! – rozlega się głos z ukrytych w ścianie głośników, gdy Victra pochyla się, żeby związać mnie i Ragnara. – Mówią Alec ti Yamato, szef ochrony korporacji Sun. Jesteście otoczeni. Złożcie broń. Uwolnijcie zakładników. Albo będziemy zmuszeni do was strzelać. Macie pięć sekund na wykonanie rozkazów.

W sali nie ma nikogo oprócz nas. Główne drzwi są zamknięte. Sevro biegnie do nas po podłożeniu ładunków.

– Szybciej, Sevro! – wołam. Jest w połowie drogi, gdy pada jak pusta puszka zmiażdżona butem. Mnie również miażdży ta sama siła. Przygniata mi kolana do

podłogi. Kości, płuca, gardło – wszystko ścisza potężna grawitacja. Wzrok mi się rozmywa. Krew z trudem dopływa do mózgu. Próbuje unieść ramiona. Ważę pewnie z trzysta funtów. Ochrona podniosła sztuczną grawitację w tym pomieszczeniu i tylko Ragnar jej nie uległ. Opada na kolana i napina zgarbione ramiona jak Atlas dźwigający świat na barkach.

– Co to, u diabła... – udaje się wydusić Victrze, która leży obok mnie na podłodze i patrzy na drzwi. Są otwarte, ale nie pojawiają się w nich Szary, Obsydian ani nawet Złoty, lecz wielkie czarne jajo, wielkości może małego człowieka. Kołysze się w ruchu, Iśniące i gładkie, z białym numerem na boku. Robot. Nielegalny jak generator impulsów elektromagnetycznych lub głowice jądrowe. Spełniły się największe obawy Augustusa. Jak kropla oleju na ścianie robot płynie do Sevra, rozsuwa klapkę w swoim pancerzu i mierzy w przywódcę Wyjców. Próbuje się podnieść, wymierzyć broń w automat. Jednak okowy grawitacji trzymają mocno. Victrze również się nie udaje, choć jest silniejsza. Sevro z pomrukiem wysiłku próbuje odpełznać od maszyny.

– Okno! – rzucam z trudem. – Ragnar... strzel w okno.

Obsydian ma opuszczone ręce. Z wysiłkiem zaczyna podnosić tą z pulsRękawicą. Mięśnie mu drżą, gdy walczą z potężną grawitacją. Z gardła wyrywa mu się chrapliwa pieśń wojenna, która przypomina odległy łoskot lawiny. Pieśń staje się coraz głośniejsza, jak ryk z innego świata, aż ciało Ragnara napina się w konwulsyjnym zrywie, jego ramię unosi się do poziomu, a z pięści rodzi się małeńska gwiazda, gdy w pulsRękawicy zbiera się ładunek.

Mój przyjaciel drży, gdy jego palce zwalniają spust. Ramię cofa się od odrzutu. Plazmowy ładunek z wizgiem mknie w środek szyby. Gwiazdy pierzchają po szkle tysiącem iskier.

– KADIR NJAR LAGA... – grzmi Ragnar.

I szyba pęka na tysiące kawałków. Próżnia wysysa powietrze z sali. Wciąga wszystko. Miedziana prześliszguje się obok nas z krzykiem. Cichnie, gdy trafia w całkowitą próżnię. Inni, którzy ukryli się podczas walki, chwytają się resztek stołu na środku pomieszczenia lub kolumn. Palce krwawią, paznokcie się łamią. Potem tylko bezradne machanie nogami, gdy chwyt puszcza. Zwłoki mkną do otworu, za którym zieje mroczna otchłań, gotowa wyssać wszystko z budynku. Sevro zaczyna się ślizgać po podłodze, coraz dalej od robota. Jest lżejszy niż nasza powiązana grupka. Sięgam po niego i łapię za grzebień przyciętych w krótkiego irokeza włosów. Victra owija wokół mojego przyjaciela nogi i przyciska go mocniej.

Jestem przerzązony, gdy zaczynamy się przesuwać w stronę stłuczonego okna. Ręce mi się trzęsą. Zaczynam wątpić w swój pomysł, gdy już go realizuję. Sevro miał rację. Powinniśmy przebijać się przez wieżę, zabić Kavaxa i Żywe Srebro lub

wykorzystać ich jak żywe tarcze. Wszystko, byle nie trafić w ten bezmierny chłód. Byle nie trafić w ciemność Szakala, z której tak niedawno się uwolniłem.

To tylko strach, powtarzam sobie w duchu. To tylko strach, który zabija duszę. Udziela się moim przyjaciołom. Dostrzegam przeróżenie w ich oczach. Patrzę na mnie i widzę, jak w moim spojrzeniu odbija się ich lęk. Nie mogę się bać. Zbyt dużo czasu spędziłem w strachu. Zbyt wiele dni przygniało mnie poczucie straty. Zbyt długo byłem dokładnym przeciwnieństwem kogoś, kim powiniensem się stać. Nieważne, czy Kosiarz to naprawdę ja, czy tylko kolejna maska, muszę ją włożyć – nie ze względu na moich ludzi, lecz na siebie.

– *Omnis vir lupus!* – krzyczę. Odchylam głowę i wyję, uwalniając powietrze ze swoich płuc. Obok mnie Ragnar otwiera szeroko oczy w dzikiej ekstazie. Gdy otwiera wielkie usta, dobywa się z nich dudniące wycie, które obudziłoby jego przodków w ich lodowych kryptach. Potem piskliwie dołącza Kamyk, za nią Klaun, nawet wyniosła Victra. Wyrzucamy z siebie wściekłość i przeróżenie, chociaż próżnia wsysa nas w swoje mroczne objęcia, chociaż śmierć może już na nas czeka za rozbitym oknem. Czuję się sobą wśród tej wrzeszczącej ludzkiej masy. Choć najpierw udajemy, wreszcie nasza odwaga staje się prawdziwa. Tylko Sevro milczy, gdy mkniemy w przestrzeń.

Rozdział dziewiętnasty

CIŚNIENIE

Wypadamy w próżnię przez rozbite okno. Pędzimy z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Cisza przestrzeni pożera nasze wycie. Czuję wstrząs jak po gwałtownym zanurzeniu w zimną wodę. Całkiem targają mi konwulsje. Tlen rozpreża się we krwi, usta odruchowo otwierają się do zaczerpnięcia powietrza, choć wokół jest tylko pustka. Płuca się nie wypełniają, zapadają się. Miotam się rozpaczliwie, potrzebuję tlenu. Jednak sekundy mijają. Widzę tylko nieludzkie kształty metalowych iglic Fobosa i moich przyjaciół związanych w kiść, trzymających się za ręce i linę. Wokół panuje ciemność. Sztywnieję. Ta sama sztywność opadła na mnie, gdy Wyjce i ja kuliliśmy się w zaspach Instytutu, piekliśmy na ognisku kozie mięso i słuchaliśmy opowieści Quinn. Zapadam się w kolejne wspomnienia. Nie o Lykos, nie o Eo czy Mustang. Wspominam chód hangaru w Akademii, gdzie Victra, Tactus, Roque i ja dowiedzieliśmy się od bladego Niebieskiego profesora, co próżnia kosmiczna robi z ludzkim ciałem.

„Ebulizm, czyli tworzenie się pęcherzyków gazu w płynach ustrojowych pod wpływem znaczącej redukcji ciśnienia w otoczeniu, to najbardziej dotkliwy skutek wystawienia ciała na warunki próżni kosmicznej. Woda w tkankach wyparuje, co spowoduje spory obrzęk...”

„Ach, mój drogi przyjacielu z głową w chmurach, zwykle mam właśnie taki spory obrzęk. Zapytaj swoją matkę. I ojca. I siostrę” – z pamięci wypływa głos Tactusa. Pamiętam też śmiech Roque'a i jego zarumienione policzki. Zastanawiam się, dlaczego Roque trzymał się tak blisko Tactusa. Dlaczego martwił się tak bardzo, że nasz śmiały przyjaciel zażywa narkotyki, i dlaczego płakał po jego śmierci. A nauczyciel mówił dalej:

„...wielokrotne powiększenie się objętości ciała w dziesięć sekund, a następnie zatrzymanie krwiobiegu...”.

Ogarnia mnie senność, gdy od ciśnienia puchną oczy – zawęża się pole widzenia przy deformacji tkanek. Ciśnienie wzrasta w moich zamarzających palcach i bolących, wzdętych bębenkach. Język mam ogromny i zimny, jakby wąż wślizgnął mi się w trzewia, gdy paruje wilgoć. Naciąga się skóra. Moje palce przypominają banany. Gazy w żołądku nadymają mi wnętrza jak balon. Ciemność skrada się, aby mnie pochłonąć. Dostrzegam obok siebie Sevra. Jego opuchnięta twarz wygląda dziwacznie, jest dwa razy większa niż normalnie. Victra, która wciąż opłata go nogami, przypomina monstrum. Jest przytomna. Zakrwawione oczy wytrzeszcza

jak postać z kreskówki, a przy tym konwulsyjnie próbuje nabrać tchu jak ryba wyrzucona z wody. Ich dlonie zaciskają się odruchowo.

„Woda i uwolnione do krwi gazy tworzą w głównych naczyniach krewionośnych pęcherzyki, które przenoszone są przez krwiobieg, zakłócają przepływ krwi. Utrata przytomności następuje po piętnastu sekundach...”

Przestaję czuć swoje ciało. Sekundy ciągną się w wiecznym zmierzchu, rzeczywistość zwalnia, wszystko staje się bezcelowe i bezsensowne. Pojmuję już, że w ostatecznym rozrachunku ludzka siła jest po prostu śmieszna. Wystarczy wyjąć nas z bańki życia i czym się stajemy? Metalowe iglice wokół nas wydają się jak wyrzeźbione w lodzie. Światła i tablice reklamowe, które tam migoczą, wyglądają jak łuski zamrożonego smoka.

Mars unosi się nad naszymi głowami, wszechpotężny i wszechogarniający. Jednak szybki ruch po orbicie Fobosa sprawia, że zbliżamy się do miejsca, skąd widać terminator planety, linię nadchodzącego świtu, na której światło odcina się półksiężycem na tle mroku. Stopione rany po uderzeniu bomb jądrowych wciąż się żarzą, a ja w ostatnich chwilach zastanawiam się, czy planeta nie ma nam za złe, że rozrywamy jej powierzchnię i wydzieramy bogactwa naturalne. Te głupie, ciepłe robaki, którymi jesteśmy, nie żyją nawet w ułamku tak dugo, jak ciało niebieskie. Rośniemy, dojrzewamy, rozprzestrzeniamy się, wpadamy w gniew i umieramy. Wszystko, co po nas zostanie, to te stalowe iglice i plastikowe rzeźby, podczas gdy wiatr na Marsie nadal będzie szeptał, piasek wciąż się będzie przesypywał, a ruch obrotowy planety nie ustanie. Zniknie za to pamięć o bezwłosych małpach, którym wydawało się, że zasłużyły na nieśmiertelność.

* * *

Jestem ślepy.

Odzyskuję przytomność. Na policzku czuję plastik. Słyszę westchnienia, poruszające się ciała. Napęd łomocze pod pokładem statku. Wzdragam się i drżę. Nabieram głęboko powietrza. Mam wrażenie, jakby czaszka mi się zapadała. Wszystko mnie boli, ale z każdym uderzeniem serca robi się mnie jakby mniej. Palce odzyskały normalne rozmiary. Pocieram je o siebie, żeby się upewnić. Trzęsę się, ale okrywa mnie koc termiczny, a beznamietne ręce rozcierają, żeby polepszyć obieg krwi. Po lewej słyszę Kamyk wzywającą Klauna. Wszyscy będziemy jeszcze przez chwilę ślepi, zanim nasze nerwy oczne odzyskają sprawność. Klaun odpowiada ochryple, a Kamyk omal nie zaczyna płakać.

– Victra! – mamrocze niewyraźnie Sevro. – Ocknij się. No już.

Słyszę, jak potrząsa dziewczyną.

– Ocknij się! – Uderza ją w twarz.

Victra budzi się, łapiąc oddech z głośnym świstem.

– ...cholera. Uderzyłeś mnie?

– Myślałem...

Victra bez wahania wymierza Sevrowi policzek.

– Kim jesteś? – pytam beznamietne ręce, które masują mi ramiona przez pled.

– Holiday. Zebraliśmy was wszystkich cztery minuty temu.

– Jak długo... Jak długo byliśmy... tam?

– Około dwóch i pół minuty. Nie poszło łatwo. Musieliśmy opróżnić ładownię, potem pilot podleciał do was tyłem, trzeba też było wyrównać ciśnienie. Te marchewy to nie żołnierze, ale na sterowaniu statkiem-śmieciarką znają się cholernie dobrze. Gdybyście jednak się nie związały, większość pewnie by nie przeżyła. W sektorze lata teraz mnóstwo śmieci i ciał, a promy mediów kręcą się wokół jak muchy nad gównem.

– Ragnar? – pytam z przestrachem, ponieważ jego głosu dotąd nie usłyszałem.

– TU JESTEM, PRZYJACIELU. OTCHŁAŃ NAS JESZCZE NIE ZABRAŁA. – Parska śmiechem.

– JESZCZE NIE.

Rozdział dwudziesty

ROZŁAM

Mamy kłopoty, a Sevro doskonale o tym wie. Przejmuje dowództwo zaraz po wylądowaniu w zaśmieconym doku, w bezpiecznej kryjówce Synów Aresa, głęboko w sektorze przemysłowym. Rozkazuje przenieść wciąż nieprzytomnych Mattea i Żywe Srebro do izby chorych, żeby tam się ocknęli, a Kavaxa zamknąć. Potem Rollo i Synowie Aresa mają przygotować się do natarcia. Ludzie patrzą na nas w osłupieniu. Nasze przebrania Obsydianów zostały zniszczone. Zwłaszcza moje. Protezy na twarzy odpadły podczas walki. Szkła kontaktowe wessała próżnia. Ciemna farba zeszła trochę z włosów pod wpływem potu. Za to wciąż mam swoje rękawice. Jednak tutejsi Synowie Aresa nie patrzą już na grupę Obsydianów. Widzą przed sobą kadrę Złotych i przynajmniej jednego ducha.

– To Kosiarz... – szepcze ktoś.

– Zamknij się – warczy Klaun. – Nikomu ani słowa.

Jednak to, co mówi, nie ma znaczenia. Plotki rozchodzą się szybko. Kosiarz żyje. Zdecydowanie ta wieść pojawia się zupełnie nie w porę. Może udało nam się uniknąć pościgu policji, ale tak dobrze zorganizowane porwanie, a na dodatek zabicie dwóch wysoko postawionych Niezrównanych Naznaczonych, z pewnością zmusi do pracy na pełnych obrotach wszystkich analityków z komórek antyterrorystycznych Szakala. Będą szukać śladów i dowodów. Antyterrorystyczne oddziały techniczne Pretorianów i Bezpieka już przeszukują nagrania z ataku. W końcu odkryją, jak dostaliśmy się do wieży, jak z niej uciekliśmy i kto prawdopodobnie nam pomagał. Każda broń, każda część wyposażenia i wykorzystany statek zostaną wyśledzone i sprawdzone. Odwet Elity na PodKolorach na całej stacji będzie szybki i brutalny.

Zegar tyka.

Jednak policja i służby podejrzewają, że porwany został jedynie Żywe Srebro. Nie wiem, po co Mustang spotkała się z Cassiusem, mogę natomiast śmiałko założyć, że Szakal nie miał o tym pojęcia. Właśnie dlatego kazałem włączyć zakłócanie. Dzięki temu kamery na zewnątrz ośrodka ochrony w wieży Żywego Srebra nie zidentyfikują Kavaxa. Gdyby Szakal go tam zobaczył, domyśliłby się, że coś niedobrego dzieje się z jego sojuszem z Władczynią i Żywym Srebrem. Wolę również zatrzymać ten atut dla siebie, dopóki nie dowiem się, jak najlepiej go wykorzystać. A wcześniej muszę porozmawiać z Mustang.

Lecz co pomyśli Władczyńi, gdy Cassius skontaktuje się i powie jej o śmierci Moiry? I jaka rola przypadła w tym Mustang? Zbyt wiele niewiadomych. Zbyt wiele pytań. Najbardziej jednak dręczą mnie jej słowa, które przypominam sobie, gdy biegnimy przez metalowe korytarze, zatrzymujemy się tylko, żeby opatrzyć rany, a potem mijamy zbrojownię, gdzie dziesiątki Czerwonych, Pomarańczowych i Brązowych ładują broń i zakładają pancerze.

„Chronię twoją rodzinę”.

Może się w tych słowach kryć wiele znaczeń, a prawdę zna tylko Kavax. Muszę go zapytać, ale Ragnar już go odprowadził do celi, a Sevro kończy wydawać innym rozkazy i zwraca się do mnie.

– Kosiarzu, zaraz nastąpi atak, i to ciężki – oznajmia. – Znasz lepiej niż ja procedury Legionu. Wejdź do centrum danych jak najszybciej. Daj mi czasowy rozkład działań i ich plan ataku. Możemy powstrzymać natarcie, ale musimy zyskać na czasie.

– Po co nam czas? – pytam.

– Żeby detonować bomby i znaleźć drogę ucieczki z tej skały. – Sevro kładzie mi rękę na ramieniu. Zdaje sobie sprawę, że Synowie Aresa uważnie go obserwują.

– Proszę, ruszaj się. – Kieruje się w głąb korytarza z resztą Wyjców. Zostaję sam z Holiday. Podnoszę wzrok na Szarą.

– Holiday, znasz procedury Legionu. Ty wejdź do bazy danych i przekaż Synom informacje taktyczne, jakich potrzebują. – Szara zerka w stronę, gdzie Sevro właśnie znika za rogiem. – Możesz to zrobić? – upewniam się szybko.

– Tak. A gdzie ty idziesz?

Naciągam rękawice.

– Znaleźć odpowiedzi.

* * *

– Zaraz po tym, jak cię zostawiła, Virginia powiedziała nam, że jesteś Czerwonym. Właśnie dlatego nie przyszliśmy na twój Triumf – wyjaśnia mi Kavax. Jest przywiązanego do stalowej rury, nogi opiera na podłodze. Pozostawiono mu zbroję, złotoruda broda wydaje się ciemniejsza w słabym świetle. Wygląda złowrogo, ale zaskakuje mnie otwartość w jego twarzy. Brak nienawiści. I wyraźna ekscytacja, jaką zdradzają rozszerzone nozdrza, gdy Kavax opowiada mnie i Ragnarowi, co się stało. Sevro nakazał Synom Aresa nie zauważać Ragnara, ale ta zasada najwyraźniej nie odnosi się do Kosiarza. I dobrze. Nie mam jeszcze planu, ale wiem, że ten Sevra nie działa. Nie mam też czasu na łagodzenie albo szarpanie się z emocjami przyjaciela. Machina ruszyła i potrzebuję informacji.

– Nie wiedziała, co zrobić, dlatego przyjęła naszą gościnę i radę, jak wtedy, gdy była dzieckiem – mówi Kavax. – Byliśmy na moim okręcie, na „Reynardzie”, i jedliśmy pieczeń w sosie rybnym ponzu, chociaż ten sos nie smakował Sofoklesowi, gdy odezwał się Sztab w Agei. Przekazano nam, że lojalści Władczyni zaatakowali podczas Triumfu. Virginia nie mogła się skontaktować ani z tobą, ani z ojcem, a obawiała się zamachu, więc odesłała Daxa i mnie z orbity wraz z naszymi wojownikami.

Kavax wzducha.

– Sama została na orbicie z okrętami i wreszcie udało jej się nawiązać łączność z Rokiem. Daxo i ja schodziliśmy już wtedy w atmosferę. Roque powiedział, że Władczyni zaatakowała uczestników Triumfu, a ty i Augustus odnieśliście poważne rany. Radził, żeby Virginia jak najszybciej przyleciała na jego okręt, na który zabrał też ciebie, bo powierzchnia Marsa przestała być bezpieczna.

Pamiętam, że Roque rozmawiał na promie, gdy Szakal pochyłał się nadem mną, ale nic nie mogłem usłyszeć. Wylądowaliśmy na okręcie. Władczyni tam była. Wcale nie opuściła Marsa. Ukrywała się we flocie Roque'a. Tuż pod moim nosem.

– Ale Virginia nie pośpieszyła do twojego łoża boleści. – Kavax uśmiecha się jowialnie. – Zapewne miłość odbiera rozum, ale Virginia okazała się mądrzejsza. Przejrzała podstęp Roque'a. Wiedziała, że Władczyni nie mogła tak po prostu zaatakować Triumfatorów. Musiały istnieć plany ukryte w planach. Dlatego skontaktowała się z Orion i synowymi z rodu Arcos, ostrzegła przed zamachem i przed spiskiem Roque'a. Kiedy pojawiły się nasłani zabójcy, którzy mieli zamordować Orion i lojalnych dowódców we flocie, wszyscy byli na to przygotowani. Na mostkach doszło do walk, również w salach obrad. Orion została ciężko ranna w ramię, ale przeżyła. Wtedy okręty Roque'a otworzyły ogień i zaatakowały nasze siły, flota się rozproszyła...

Wszystko to działo się, gdy Sevro i Ragnar dowiedzieli się, że Fitchner został zamordowany, a baza Synów Aresa zniszczona. Ja natomiast leżałem sparaliżowany na podłodze w ładowni promu Ai. Właśnie wtedy wszystko się posypało. Nie. Nie wszystko...

– Virginia ocaliła życie załogi – mówię. – Właśnie to miała na myśli, gdy mówiła o „rodzinie”.

– Tak – przyznaje Kavax. – Twoja załoga żyje. Ta, którą uwolniłeś razem z Sevrem. Nawet wielu z twojego Legionu, do których dotarliśmy i zdołaliśmy ewakuować z Marsa, zanim dopadły ich siły Szakala i Władczyni.

– Gdzie są uwięzieni moi przyjaciele? – pytam. – Na Ganimedesie? Na Io?

– Uwięzieni? – Kavax mruży oczy, gdy mierzy mnie wzrokiem, a potem wybucha śmiechem. – Nie, młodzieńcze. Nie. Żaden mężczyzna ani kobieta nie opuścili

swoich stanowisk. „Pax” jest taki, jakim go pozostawiłeś. Orion dowodzi, reszta wykonuje jej rozkazy.

- Nie rozumiem. Mustang pozwoliła dowodzić Niebieskiej?
 - Myślisz, że Virginia darowałaby ci życie w tej sztolni, gdy klęczałeś przed nią z Ragnarem, gdyby nie wierzyła w twój nowy świat?
- Potrząsam bezmyślnie głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.
- Zabiłaby cię bez wahania, gdyby tylko uznała cię za wroga. Kiedy jako dziecko siedziała u mnie przy kominku z Paxem i moimi dziećmi, myślisz, że co im czytałem? Mity Greków? Opowieści o silnych ludziach, którzy własnymi rękami zdobywali chwałę? Nie. Opowiadałem im baśnie o Arturze, o Nazarejczyku, o Wisznu. O silnych bohaterach, którzy pragnęli tylko chronić słabszych.

I Mustang właśnie to robiła. I o wiele więcej. Dowiodła, że Eo miała rację. I uczyniła to nie ze względu na mnie. Nie ze względu na miłość. Uczyniła tak, ponieważ to było słuszne i tak należało postąpić. I dlatego, że potężny Kavax bardziej był dla niej ojcem niż ten rodzony. Czuję, że łzy napływają mi do oczu.

- MIAŁEŚ RACJĘ, DARROW – odzywa się Ragnar. Jego dłoń opada mi na ramię. – PRZYPŁYW NADCHODZI.

– Więc po co dzisiaj tu przyleciałeś, Kavaxie?

– Ponieważ przegrywamy – odpowiada ponuro wielkolud. – Władcy Księzyców nie przetrwają dwóch miesięcy. Virginia wie, co dzieje się na Marsie. Eksterminacja. Barbarzyńska tyrania jej brata. Synowie Aresa są zbyt słabi, aby walczyć wszędzie.

W jego wielkich oczach skrywa się cierpienie człowieka, który widział, jak spłonął mu dom. Mars jest tak samo jego dziedzictwem, jak i moim.

- Za wojnę płaci się zbyt wielką cenę, dotyczy to zwłaszcza pokonanych. Dlatego kiedy Żywe Srebro zaproponował pokój, postanowiliśmy go wysłuchać.

– I jakie były warunki?

– Virginia i wszyscy jej sprzymierzeńcy mieli otrzymać wolność i przebaczenie Władczyni. Córka Augustusa została ArcyGubernatorem Marsa, a Adrius i jego frakcja trafliby do więzienia na resztę życia. Miałyby też zostać wprowadzone pewne reformy.

- Ale hierarchia by pozostała?
- Tak.
- JEŻELI TO PRAWDA, MUSIMY POROZMAWIAĆ z MUSTANG – wtrąca poruszony Ragnar.

– To może być pułapka – ostrzegam. Przyglądam się uważnie Kavaxowi. Wiem, że jego umysł pracuje intensywnie pod nieprzeniknioną maską twarzy. Chcę ufać temu wielkoludowi. Chcę wierzyć, że jego poczucie sprawiedliwości jest równie wielkie, jak moja miłość do niego, ale to niebezpieczne wody, a przyjaciele potrafią kłamać tak samo jak wrogowie. Jeżeli Mustang nie stoi po mojej stronie, Kavax tylko gra.

Pragnie, abym się odsłonił. Bez wątpienia również Mustang nie przybyła do tej wieży bez potężnej eskorty.

– Jedno tylko nie ma sensu, Kavaxie. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, dlaczego nie skontaktowaliście się z Sevrem?

Kavax mruga zaskoczony.

– Skontaktowaliśmy się. Wiele miesięcy temu. Sevro ci o tym nie powiedział?

* * *

Wyjce przygotowują się do ucieczki, gdy wraz z Ragnarem dołączam do nich w pomieszczeniu, gdzie się kryją.

– Wszystko to gówno – mówi właśnie Sevro, gdy Victra opatruje mu rozcięcie na plecach przy pomocy kauteryzatora. Kwaśny dym z sykiem unosi się z zamkanej rany. Sevro rzuca na podłogę swój unipad. Urządzenie ślizga się w kąt, skąd podnosi je Śrubokręt i oddaje właścicielowi. – Wszystko uziemione, nawet zwykłe loty rejsowe.

– W porządku, szefie, znajdziemy sposób, żeby się stąd wydostać – zapewnia Klaun.

Po wejściu skinąłem głową na Sevra, żeby dać mu znak, że chcę porozmawiać. Zignorował mnie. Jego plan się posypał. Mieliśmy się ukryć w jednym z kontenerów do transportu helium-3 i w ten sposób wrócić na Marsa. Bylibyśmy daleko, zanim ktokolwiek by się zorientował, że Żywe Srebro został porwany, a potem detonowalibyśmy bomby podłożone pod stację. Teraz, jak powiedział Sevro, wszystko to gówno.

– Nie możemy tutaj zostać, to oczywiste. – Victra chowa kauteryzator do pakietu medycznego. – Zostawiliśmy tyle śladów DNA, że wystarczyłoby na tysiąc miejsc zbrodni. A nasze twarze są wszędzie. Gdy tylko wyjdzie na jaw, że tutaj jesteśmy, Adrius pośle na nas legion albo dwa.

– Albo zniszczy Fobosa – mruczy pod nosem Holiday. Siedzi w kącie na skrzyni z lekarstwami i przegląda z Klaunem mapy na unipadzie. Kamyk obserwuje ich ze stołu, na którym leży. Nogę ma usztywnioną żellem, ale kości nadal są strzaskane. Potrzebujemy Żółtego i porządnie wyposażonej sali operacyjnej, żeby naprawić to, co zrobił jeden strzał Mustang. Kamyk miała szczęście, że nosiła wzmacniony kombinezon – przynajmniej ochronił ją od oparzeń. Jednak dziewczyna cierpi. Rozszerzone źrenice świadczą o dużej dawce leków przeciwbólowych, a to obniża wewnętrzne hamulce. Dostrzegam, że Victra też zdaje sobie z tego sprawę, bo przygląda się pulchnej Złotej i Klaunowi, pochylonemu z Holiday nad mapą.

– Helium-3 to krew i życie Adriusa – wtrąca Victra. – Szakal nie zaryzykuje zniszczenia tej stacji.

- Sevro... poświęć mi chwilę – proszę.
 - Jestem zajęty – odpowiada Sevro, po czym odwraca się do Rolla. – Można się jakoś inaczej wydostać z tej cholernej skały?
- Czerwony opiera się o szarą ścianę pomieszczenia, tuż obok lśniącego plakatu Różowej modelki na białym piasku jednej z plaż Wenus.
- Tutaj są tylko tragarze i śmieciarze. – W zamyśleniu przygląda się zniszczeniom w naszych przebraniach za Obsydianów. Jeżeli zaskoczyło go, jak wielu z nas to Złoci, nie daje po sobie tego poznać. Zapewne domyślał się już wcześniej. Najdłużej patrzy na mnie. – Ale wszyscy są uziemieni. W Igłach można wsiąść na luksusowy liniowiec lub wynająć prywatny jacht, ale jeżeli tam pójdziecie, w minutę będzie po was. No, może w dwie minuty. W drzwiach każdego pociągu są kamery z programem rozpoznawania twarzy. Czytniki siatkówki w ekranach reklamowych. A jeśli nawet uda się wam dostać na statek, będziecie musieli przejść jeszcze przez kontrolę celną. Szkoda, że nie możecie się po prostu teleportować w bezpieczne miejsce.
 - Przydałoby się – wzducha Klaun.
 - Ukradniemy prom i uciekniemy celnikom – mówi Sevro. – Robiliśmy to już wcześniej.
 - Zestrzelą nas – oponuję z napięciem. Wkurza mnie, że Sevro ignoruje wszystkie moje próby, żeby się z nim rozmówić.
 - Ostatnim razem się udało.
 - Ostatnim razem mieliśmy Lysandra – przypominam.
 - A teraz mamy Żywe Srebro.
 - Szakal poświęci Żywe Srebro, jeżeli dzięki temu zdoła nas zabić – zapewniam. – Możesz na to liczyć.
 - Nie, jeżeli wbijemy się prosto pod powierzchnię – odgryza się Sevro. – Synowie mają ukryte przejścia do tuneli. Opadniemy z orbity i znikniemy pod ziemią.
 - NIE PRÓBOWAŁBYM TEGO ROBIĆ – protestuje Ragnar. – To NIEROZWAŻNE. I OZNACZA, ŻE ZOSTAWILIBYŚMY TYCH SZLACHETNYCH LUDZI NA ŚMIERĆ.
 - Zgadzam się z Ragnarem – wtrąca Holiday. Odsunęła się od Klauna, ale nadal patrzy w swój unipad, żeby śledzić komunikaty na częstotliwościach policji.
 - Przymijmy, że odleciecie. Co stanie się z nami? – dodaje Rollo. – Szakal dowie się, że Kosiarz i Ares byli tutaj, a wtedy rozdrze stację na strzępy. Jeżeli jakiś Syn tu zostanie, zginie w tydzień. Pomyślałeś o tym? – Krzywi się z niechęcią. – Wiem, kim jesteście. Wiedzieliśmy, gdy tylko Ragnar wszedł do hangaru. Nie sądziłem jednak, że Wyce uciekną. I nie spodziewałem się, że Kosiarz przyjmuje rozkazy.

Sevro postępuje krok naprzód.

- Masz inną propozycję, gnojku? Czy po prostu lubisz kłapać jadaczką?

– No, mam propozycję – odpowiada Rollo śmiało. – Zostańcie. Pomóżcie nam przejść stację.

Wyjce parskają śmiechem.

– Przejąć stację? A masz armię? – pyta drwiąco Klaun.

– On ma. – Rollo patrzy na mnie. – Nie wiem, jakim cudem żyjesz, Kosiarzu. Ale... Jadłem w knajpie makaron, gdy o północy Synowie Aresa wypuścili do holosieci nagranie z twojego rzeźbienia. Cyberpolicja Elity zamknęła stronę w dwie minuty. Jednak gdy już materiał znalazł się w sieci... można go było odtworzyć z miliona stron, zanim skończyłem jeść. Nie dało się tego zatrzymać. A potem serwery Fobosa padły. Wiesz dlaczego?

– Informatycy Bezpieki wyciągnęli wtyczkę – odpowiada Victra. – To standardowa procedura.

Rollo kręci głową.

– Serwery padły, ponieważ trzydzieści milionów ludzi próbowało w tym samym czasie wejść do holosieci. Maszyny nie wytrzymały takiego ruchu. Złoci wyciągnęli wtyczkę dopiero potem. Chcę powiedzieć, że jeżeli jezdzasz do Ula i powiesz PodKolorom, że żyjesz, możemy przejść ten księżyca.

– I takie to proste? – krzywi się Victra sceptycznie.

– Owszem. Tłoczy się tutaj jakieś trzydzieści pięć milionów PodKolorów, które walczą o każdy metr kwadratowy mieszkania, paczki proteinowe, użytki Syndykatu, o cokolwiek. Wystarczy, że Kosiarz się pokaże, a wszystko to wyparuje. Zwłaszcza bijatyki i życie na reszkach. Ci ludzie czekają na przywódcę, a jeżeli Kosiarz z Marsa postanowi zmartwychwstać właśnie tutaj... nie będziecie mieć armii, lecz przypływ u waszych stóp. Pojmujecie? To zmieni losy wojny.

Jego słowa wywołują u mnie zimne dreszcze. A Victra pozostaje sceptyczna. Sevro milczy. Jest zraniony.

– Wiesz, co może zrobić oddział legionistów Elity ze zbuntowanym tłumem? – pyta Victra. – Widziałeś naszą broń? Służy do zabijania ludzi w pancerzach bojowych. PulsRękawice. Slingi. A można też zacząć strzelać do tłumu z broni automatycznej albo z karabinów. Jeden żołnierz wystrzeli wtedy tysiąc naboi na minutę. To, co się wtedy słyszy, przypomina darcie papieru. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że powinni się bać takiego odgłosu. Żołnierze mogą też przy pomocy mikrofal doprowadzić do wrzenia wodę w komórkach. A mówię tu tylko o oddziałach Szarych do poskramiania zamieszek. Pomyśl, co mogą zrobić Obsydiani. A jeżeli przybędą Złoci w swoich zbrojach? Co się stanie, jeżeli odetną was powietrze? Albo wodę?

– A co się stanie, jeżeli to my im odetniemy wodę i tlen? – ripostuje Rollo.

Marszczę brwi.

– To możliwe?

– Podaj tylko powód. – Rollo patrzy na Victrę, a po tonie jego głosu domyślamsię, że ten Czerwony doskonale wie, z jakiego rodu pochodzi ta kobieta. – Mogą przyjść żołnierze, domina. Mogą mnie postrzelić tak, że się wykrwawię na śmierć. Jednak zanim skończyłem dziewięć lat, umiałem rozłożyć buty grawitacyjne i złożyć jeczęść po części w czasie poniżej czterech minut. Dzisiaj, gdy skończyłem trzydzieści osiem lat, potrafię zepsuć większość urządzeń na dziesięć różnych sposobów przy pomocy tylko śrubokręta i zestawu narzędzi elektrycznych. I mam już dość rozłały z rodziną. Mam dość ucisku, przymusu płacenia za tlen, za wodę, za życie. – Pochyla się, w oczach ma łzy. – Za tymi drzwiami jest trzydzieści pięć milionów takich jak ja.

Victra przewraca oczami na tę brawurę.

– Jesteś spawaczem z megalomanią.

Rollo podchodzi do stołu i zrzaca z niego narzędzia. Klucze i wkrętaki z brzkiem toczą się po metalowej posadzce. Zaskoczony Klaun rozgląda się, Holiday podnosi głowę znad unipada. Rollo z urażoną dumą patrzy Victrze w oczy. Kobieta jest od niego wyższa co najmniej o stopę, a jednak Czerwony nie odwraca wzroku.

– Jestem inżynierem, nie spawaczem.

– Dość – warczy Sevro. – To nie cholerna debata w sieci. Żywe Srebro zabierze nas z tej skały. Albo zacznę obcinać mu palce. Potem detonujemy bomby...

– Sevro... – chce go ostrzec Ragnar.

– To ja jestem Aresem! – Sevro krzywi usta w gniewnym grymasie. – Nie ty! – Wbijapalec w tors Obsydiana, po czym wskazuje na mnie. – Ani ty! Skończcie pakować ten cholerny sprzęt. Już.

Wybiega z pomieszczenia, pozostawiając nas w krępującej ciszy.

– NIE ZOSTAWIĘ TYCH LUDZI – oznajmia Ragnar. – POMOGLI NAM. TO NASI.

– Ares oszalał – prycha Rollo. – Stracił głowę. Musicie...

Doskakuję do tego dziewczka, podnoszę jedną ręką i uderzam nim o sufit.

– Nie waż się mówić słowa przeciw Sevrowi.

Rollo przeprasza, więc stawiam go znowu na ziemi. Upewniam się, że Wyjcesłyszą.

– Wszyscy czekać w gotowości. Zaraz wracam.

* * *

Dopadam Sevra, gdy zamierza otworzyć drzwi do celi Żywego Srebra w starym garażu, wykorzystywanym przez Synów Aresa do przechowywania generatora. Sevro i strażnicy odwracają się na odgłos moich kroków.

– Nie ufasz, że mogę zostać z nim sam? – cedzi Sevro. – Jak milutko.

– Musimy porozmawiać.

– Jasne. Jak z nim skończę. – Otwiera drzwi. Przeklinam i idę za nim.

W pomieszczeniu wszędzie widać rdzę. Rozpanoszyła się na maszynach starszych niż część sprzętu w Lykos. Jedno z urządzeń za plecami otyłego Srebrnego trzeszczy i konwulsyjnie kaszle prądem, który zasila żarówkę rzucającą krąg ostrego światła na więźnia i oślepiającą go tak, aby nie mógł widzieć otoczenia. Żywe Srebro siedzi na metalowym krześle pośrodku celi, ręce ma związane z tyłu, pogniecioną, turkusową szatę plami krew. Ten człowiek ma spojrzenie buldoga – cierpliwe i oceniające sytuację. Szerokie czoło znaczą smugi potu i brudu.

– Kto tu? – syczy z irytacją, nie ze strachem. Drzwi za nami się zatrzaszają. Żywe Srebro nadal wydaje się tylko zirybowany. Nie okazuje braku szacunku czy gniewu, lecz jak profesjonalista szacuje naszą raczej marną gościnę i niewygodę, którą nam zawdzięcza. Nie może zobaczyć naszych twarzy, ponieważ lampa świeci mu w oczy.

– Oprawcy Syndykatu? Rozpylacze od Władców Księżyków?

Gdy milczymy, Żywe Srebro przełyka nerwowo.

– Adriusie, to ty?

Po plecach przechodzą mnie ciarki. Nic nie mówię, Sevro również. Dopiero teraz, gdy ten mężczyzna zaczął podejrzewać, że przyszliśmy od Szakala, okazał strach. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy wykorzystać jego obawy, ale informacje są nam potrzebne w tej chwili.

– Musimy uciec z tego księżyca – oznajmia Sevro ochryple. – Załatwisz nam to, chłopaku. Albo zacznę ci wyrywać palce. Jeden po drugim.

– Chłopaku? – powtarza Żywe Srebro.

– Wiem, że masz awaryjną jednostkę, na wypadek...

– Barca, to ty? – Sevro najwyraźniej nie był przygotowany na takie pytanie. – To ty. Niech to szlag, chłopcze. Przeraziłeś mnie na śmierć. Myślałem, że to pieprzony Szakal.

– Masz dziesięć sekund, żeby powiedzieć coś, co mi się przyda, albo zrobię sobie gorset z twoich żeber – grozi Sevro, wytrącony z równowagi przyjaznym tonem więźnia. Nie powiem, żeby to była najlepsza z gróźb mojego przyjaciela.

Żywe Srebro potrząsa głową.

– Musisz mnie wysuchać, panie Barca. Uważnie wysuchać. To nieporozumienie. Ogromne nieporozumienie. Wiem, że wydaje się to niewiarygodne, a pewnie nawet szalone. Ale musisz mnie wysuchać. Jestem po waszej stronie. Jestem jednym z was, panie Barca.

Sevro marszczy brwi.

– Jednym z nas? Niby co to ma znaczyć?

– Co to ma znaczyć? – Żywe Srebro parska ponurym śmiechem. – Dokładnie to, co mówię, młodzieńcze. Ja, Regulus ag Sun, kawaler Orderu Monety, prezes zarządu korporacji Sun, jestem również członkiem i fundatorem Synów Aresa.

Rozdział dwudziesty pierwszy

ŻYWE SREBRO

– Syn Aresa? – prycha Sevro z niedowierzaniem, po czym wkracza w krąg światła, dzięki czemu Żywe Srebro może zobaczyć jego twarz. Ja trzymam się z tyłu. To, co powiedział ten człowiek, jest absurdalne.

– Tak lepiej. Udało mi się rozpoznać twój głos. Przypomina głos twojego ojca. Chyba nawet bardziej, niżbyś chciał... Ale wracając do meritum, tak, jestem Synem Aresa. Właściwie to nawet pierwszym Synem Aresa.

– No, niech mnie, mózg mi się zaciął od tych rewelacji. To tylko nieporozumienie! – Sevro podchodzi do więźnia, pochyla się i wygładza mu szatę na torsie. – Zaraz cię umyjemy. A potem będziesz mógł wezwać swoich ludzi. Pasuje?

– Świetnie, bo udało ci się zepsuć coś ważnego...

Sevro uderza Srebrnego pięścią prosto w mięsiste usta. Znajomy i jakże intymny przejaw brutalności, przed którym instynktownie się wzdragam. Głowa Żywego Srebra odbija się od oparcia. Mężczyzna próbuje się cofnąć, ale Sevro bez trudu go unieruchamia.

– Twoje sztuczki tutaj nie działają, grubasie.

– To nie sztuczki...

Sevro uderza po raz drugi. Żywe Srebro krztusi się, krew kapie mu z rozbitych warg. Próbuje zamrugać, żeby odpędzić ból. Pewnie przed oczyma latają mu ciemne plamy.

Sevro uderza go po raz trzeci, obojętnie i precyzyjnie. Ten cios chyba był przeznaczony dla mnie, ponieważ przyjaciel spogląda przez ramię w ciemność, gdzie stoję. Uśmiecha się bezczelnie. Jakby chciał mnie sprowokować do moralnych poczeń i wywołać kolejną kłótnię. Jego credo zawsze było proste: chronić przyjaciół i do diabła z całą resztą.

A potem Sevro wsuwa nóż w usta Żywego Srebra.

– Pewnie ci się wydaje, że jesteś bardzo przebiegły, chłopaku – warczy. – Myślisz, że się wykręcisz, jeśli powiesz, że jesteś Synem Aresa. Wydaje ci się, że przebiegłą gadką uwolnisz się od nas, tępich osiłków. Ale grałem w to ze sprytniejszymi od ciebie. I sporo się nauczyłem. Na własnej skórze. Łapiesz?

Przesuwa ostrze w ustach Żywego Srebra w prawo i w lewo, zmuszając więźnia, aby poruszał głową zgodnie z ruchem noża. Mimo to mężczyznie nie udaje się uniknąć rozcięcia kącika ust. Niewielkiego, ale jednak.

– Nieważne, co gadasz, nie uda ci się wywinąć, bezmózgu. Jesteś szczurem. Kolaborantem. I pora zebrać plony z tego, co zasiałeś. Dlatego powiesz nam, jak się stąd wydostać. Czy masz ukryty statek. Czy możesz nas przeprowadzić przez kontrolę celną. A potem opowiesz mi o planach Szakala, o jego infrastrukturze. Na koniec załawiś sprzęt do wyposażenia naszej armii.

Żywe Srebro zerka to na twarz Sevra, to na nóż.

– Zacznię myśleć, mały dzikusie – syczy Srebrny, gdy tylko ostrze cofa się z jego ust. – Jak ci się zdaje, skąd Fitchner brał pieniądze...

– Nie wypowiadaj jego imienia. – Sevro wymierza palec w twarz Żywego Srebra. – Nie waż się wymawiać jego imienia.

– Znałem twojego ojca...

– Więc dlaczego ani razu o tobie nie wspomniał? Dlaczego Tancerz o tobie nie wie? Bo kłamiesz.

– Dlaczego ktoś miał o mnie wiedzieć? – odgryza się Żywe Srebro. – Podczas burzy nie związuje się ze sobą dwóch łodzi.

Te słowa są jak cios w brzuchu. Fitchner użył tego samego przysłowia, gdy wyjaśniał, dlaczego nie powiedział mi o Titusie. Synowie Aresa stracili sporo ze swojego zaplecza technicznego po śmierci Fitchnera. A jeżeli w organizacji znajdują się dwie grupy? Niższe Kolory i te wyższe? Rozdzielone na wypadek, gdyby jedna została odkryta? Sam tak bym właśnie zrobił. Fitchner obiecał mi lepszych sojuszników, jeżeli udam się na Książyc. Sojuszników, którzy pomogą mi osiągnąć pozycję Suwerena. Ten mężczyzna mógłby być jednym z nich. Po zamordowaniu Fitchnera ukryli się i odcięli od skażonej części Synów Aresa.

– Dlaczego Matteo był w twojej sypialni? – pytam ostrożnie.

Żywe Srebro spogląda w mrok. Zapewne zastanawia się, kto do niego mówi, tym razem jednak w jego oczach pojawia się nie tylko gniew, lecz także strach.

– Skąd... skąd wiesz, że był w mojej sypialni?

– Odpowiadaj. – Sevro podkreśla rozkaz kopnięciem.

– Skrzywdziliście go? – pyta gniewnie Żywe Srebro. – Skrzywdziliście. Go?

– Odpowiadaj. – Sevro tym razem uderza go w twarz.

Żywe Srebro trzęsie się z gniewu.

– Był w mojej sypialni, ponieważ to mój mąż. Wy skurwiele. To jeden z nas! Jeżeli go skrzywdziliście...

– Jak długo jest twoim mężem? – pytam.

– Dziesięć lat.

– Gdzie był sześć lat temu? Kiedy pracował z Tancerzem?

– Był w Yorkton. To właśnie on wyszkolił twojego przyjaciela, Sevra. Wyszkolił Darrowa. Snycerz stworzył mu ciało. Matteo wyrzeźbił umysł.

- Mówią prawdę. – Wchodzę w krąg światła, żeby Żywe Srebro mógł zobaczyć moją twarz. Ten widok jest dla niego wstrząsający.
- Darrow. Żyjesz. Myślałem... Niemożliwe.
- Patrzę Sevrowi w oczy.
- On naprawdę jest Synem Aresa.
- Bo zna parę faktów? – warczy Sevro. – Chyba nie mówisz poważnie. Mówisz poważnie, prawda?
- Darrow żyje... – Żywe Srebro mamrocze do siebie, chyba próbuje uwierzyć w to, co widzi. – Ale jak? Przecież został zabity...
- Mówią prawdę – powtarzam.
- Prawdę? – Sevro krzywi się, jakby miał w ustach karalucha. – Jaką prawdę, do cholery? I niby skąd to wiesz? Wydaje ci się, że tak po prostu wyciągniesz prawdę z rekina, który na co dzień działa zza kulis... Sypiał z połową Niezrównanych Naznaczonych w Elicie. Nie był tak po prostu ich narzędziem. To ich przyjaciel. A teraz bawi się tobą jak wcześniej Szakal. Skoro należy do Synów, dlaczego nas opuścił? Dlaczego nie skontaktował się, gdy ojciec zginął?
- Ponieważ twój statek tonął – odpowiada Żywe Srebro, ale wciąż patrzy na mnie z niedowierzeniem. – Twoje komórki zostały ujawnione. Nie wiedziałem, ile udało się odkryć Elicie, jak głęboko dotarły służby. Nie wiem nawet, jak Szakal poznał prawdę o tobie, Darrow. Moim jedynym kontaktem z komórkami PodKolorów był Fitchner. Tak samo, jak ja byłem jego kontaktem z komórkami NadKolorów. Jak mógłbym szukać kontaktu, skoro nie wiedziałem nawet, czy to nie Tancerz doniósł na ciebie, Darrow, i czy nie on uknuł podstęp, żeby się pozbyć Fitchnera?
- Tancerz nigdy by tego nie zrobił – krzywi się Sevro.
- Skąd miałbym to wiedzieć? – denerwuje się Żywe Srebro. – Nie znam go. Sevro kręci głową, oszołomiony absurdem tej sytuacji.
- Mam nagrania. Rozmowy między mną i twoim ojcem – podsufitka więzień.
- Nie zamierzam pozwolić, żebyś znalazłeś się nawet w pobliżu swojego unipada – prycha Sevro.
- Sprawdź go – proponuję. – Niech dowiedzie, że mówi prawdę.
- Spotkałem kiedyś twoją matkę, Sevro – zaczyna natychmiast Żywe Srebro. – Miała na imię Bryn. Była Czerwoną. Gdybym nie należał do Synów, skąd bym się tego dowiedział?
- Moglibyś się tego dokopać na dziesiątki sposobów. Gówno dowiodłeś, nie prawdę – oburza się Sevro.
- Mam pytanie, które dowiedzie, że mówisz prawdę – wracam, zanim przyjaciel znowu wpadnie w gniew. – Jeżeli jesteś Synem, będziesz znał odpowiedź. Gdybyś należał do ludzi Szakala, już byś wykorzystał tę wiedzę. Gdzie znajduje się Tinos?
- Żywe Srebro uśmiecha się szeroko.

– Pięćset kilometrów na południe od Morza Ciepła. Trzy kilometry pod starą stacją przeładunkową Vengo. W opuszczonej kolonii górniczej, której dane zostały wymazane i usunięte z wewnętrznych serwerów Elity przez moich hakerów. Stalaktyty zostały wydrążone od wewnątrz przy pomocy Acharona-19, laserowego wiertła z moich zakładów. Wiertło poruszało się spiralnie, żeby nie naruszyć stabilności skały. Hydrogenerator został zbudowany według planów konstrukcyjnych moich inżynierów. Tinos może być miastem Aresa, ale to ja je zaprojektowałem. I zapłaciłem za nie. Zbudowałem je.

Sevro chwieje się, zaskoczony. Milczy.

– Twój ojciec pracował dla mnie, Sevro – mówi spokojniej Żywe Srebro. – Najpierw dla konsorcjum, które zajmowało się terraformowaniem Trytona. Tam właśnie spotkał twoją matkę. Potem przy... mniej legalnych przedsięwzięciach. Wtedy jeszcze nie byłem tym, kim jestem teraz. Potrzebowałem Złotego. Zadzierającego nosa Niezrównanego Naznaczonego wraz z ochroną prawną, jaką to zapewnia. Takiego, który byłby mi coś winien, chętnego także do bezpardonowej walki z moimi rywalami. Nieoficjalnie, rzecz jasna.

– Chcesz powiedzieć, że mój ojciec pracował jako najemnik? Dla ciebie?

– Mówię, że pracował jako zabójca. Rosłem w siłę. Na rynku rodził się opór wobec mnie i moich wpływów. A przecież musiało się tam znaleźć dla mnie miejsce. Wydaje ci się, że Srebrni zawsze działają bezpiecznie i legalnie? – Śmieje się złośliwie. – Może niektórzy. Ale interesy w społeczności kapitalistów to przeprawa z rekinami. Ten, kto przestaje pływać, staje się posiłkiem dla pozostałych. Dałem twojemu ojcu pieniądze. Onnął druzynę. Pracował na granicy prawa. Wywiązywał się ze wszystkich moich zleceń. Dopóki nie odkryłem, że wykorzystuje moje zasoby, żeby prowadzić na boku własny projekt. Synów Aresa.

W ostatnich słowach brzmi drwina.

– I nie doniosłeś na niego? – Nie kryję sceptyczyzmu.

– Złoci traktują bunt jak nowotwór. Zostałbym wycięty, tak samo jak Fitchner. Dlatego znalazłem się w pułapce. Ale Fitchner nie chciał mnie pętać. Pragnął, żebyem dołączył do jego spisku. I stopniowo mnie przekonał do swojej sprawy. A oto, do czego to doprowadziło.

Sevro zaczyna spacerować po celi. Próbuje zrozumieć to, czego się właśnie dowiedział.

– Ale... przecież... padaliśmy jak muchy. A ty siedziałeś tam na górze... gziłeś się z Różowymi. Bratałeś z wrogiem. Gdybyś był jednym z nas...

Żywe Srebro prostuje się. Odzyskuje pewność siebie, którą stracił po biciu.

– To co bym zrobił, panie Barca? No, proszę powiedzieć. Na podstawie tego ogromnego doświadczenia w konspiracji.

– Mógłbyś walczyć razem z nami.

– Czym? Hę? – Żywe Srebro czeka na odpowiedź, ale żadnej nie otrzymuje. Sevro oniemiał. – Mam prywatne siły zbrojne, prawie trzydzieści tysięcy ludzi do ochrony mnie i moich firm, ale są rozproszone od Merkurego po Pluto. Ci ludzie nie są jednak moją własnością, to Szarzy na kontraktach. Nieliczni wśród nich to Obsydiani. Mam też broń, lecz brakuje mięśni, które ją uniosą, brak mi Niezrównanych Naznaczonych. Oszalałeś? Stosuję miękkie metody, nie brutalną przemoc. Przemoc stanowiła działkę twojego ojca. Nawet najsłabszy ród Złotych mógłby mnie zetrzeć z oblicza ziemi w otwartym konflikcie.

– Masz największą firmę software’ową w Układzie Słonecznym – zauważa Sevro.

– Co znaczy, że masz hakerów. Masz też broń, zakłady zbrojeniowe. Mogłeś szpiegować Szakala. Dać nam broń. Mógłbyś zrobić tysiące innych rzeczy.

– Mogę mówić wprost?

Krzywię się.

– To chyba najlepsza pora...

Żywe Srebro pochyla się, a potem zadziera złamany przez Sevra nos.

– Byłem Synem Aresa przez ponad dwadzieścia lat. Wymaga to cierpliwości. Dalekowzroczności. Ty jesteś Synem przez mniej niż rok. I spójrz, co się dzieje. Pan, panie Barca, to marna inwestycja.

– Marna... inwestycja?

Brzmi to absurdalnie w ustach człowieka przykutego do metalowego krzesła i z pokrwawioną twarzą. Jednak Żywe Srebro patrzy z powagą i przekonaniem. Nie jest ofiarą, lecz tytanem z innego świata. Panem swojej domeny. Dorównującym, jak się zdaje, wrodzonym talentem Fitchnerowi. I o wiele silniejszą osobowością, o wiele bardziej subtelną, niż się spodziewałem. Jednak powstrzymuję się od sympatii dla tego człowieka. Przeżył dwadzieścia lat dzięki kłamstwom. Wszystko to gra. Nawet to, co robi teraz.

Jaki jest prawdziwy człowiek pod tą twarzą buldoga?

Co nim kieruje? Jakie ma pragnienia?

– Obserwowałem i czekałem, co zrobisz – wyjaśnia Żywe Srebro synowi Fitchnera. – Chciałem sprawdzić, czy jesteś podobny do ojca. Ale wtedy Złoci ścięli Darrowa. – Zerka na mnie, nadal zaskoczony moją obecnością. – A przynajmniej udali, że go zabili, a ty zachowałeś się jak mały chłopczyk. Zacząłeś wojnę, której nie możesz wygrać bez odpowiedniego zaplecza, zasobów, systemu koordynacji, łączności, zapasów. Rozpowszechniłeś propagandowe nagranie z rzeźbienia Darrowa na wszystkich światach, zwłaszcza w kopalniach. Miałeś nadzieję... na co? Chwalebną rewolucję proletariatu? – Srebrny prycha z pogardą. – A myślałem, że rozumiesz, co to jest wojna.

Kręci głową.

– Pomimo wielu wad twój ojciec był wizjonerem. Obiecał mi coś lepszego. A co dał nam jego syn? Czystki etniczne. Wojnę jądrową. Ścinanie głów. Pogromy. Miasta niszczone przez grupy Czerwonych buntowników oraz okrutne odwety Złotych. Rozłam. Innymi słowy, chaos. A ja, panie Barca, nie inwestowałem w chaos. Chaos nie sprzyja interesom, a co nie sprzyja interesom, nie sprzyja też ludzkości.

Sevro przełyka powoli. Zdaje sobie sprawę z ciężaru oskarżeń.

– Zrobiłem, co musiałem – odpowiada. Jego głos brzmi cicho i słabo. – To, co każdy by zrobił.

– Doprawdy? – Żywe Srebro przygląda mu się złośliwie. – Czy po prostu zrobiłeś to, co chciałeś? Ponieważ czułeś się zraniony? Ponieważ chciałeś dać upust złości?

Oczy Sevra Iśnią. Jego milczenie mnie rani. Chciałbym go bronić, ale Sevro musi tego wysuchać.

– Myślisz, że nie walczyłem? A jednak – podejmuje Żywe Srebro. – Opinia Władczyni o Szakalu po tym, jak Darrow uciekł, wydawała się utwierdzać.

– Dlaczego? – pytam.

– Nie wiem. Ale dostrzegłem okazję. Sprowadziłem Virginię au Augustus i przedstawicieli Władczyni na spotkanie, aby wynegocjować pokój, który zapewniłby młodej córce Augustusa stanowisko ArcyGubernatora Marsa oraz odsunąłby od władzy Szakala. Raz na zawsze. Nie takiego końca pragnąłem. Jednak po tym, co widziałem na Marsie za rządów Szakala, wszystko wskazuje na to, że to on jest największym zagrożeniem dla ludzkości oraz naszych dalekosiążnych celów.

– A jednak pomogłeś mu zdobyć więcej władzy – mówię.

Żywe Srebro wzducha.

– Wtedy, gdy jeszcze nie uważałem, że stanie się większym zagrożeniem niż jego ojciec. Myliłem się. Tak samo jak wy. Szakala trzeba się pozbyć.

Zatem Szakala zdradzili już dwaj sojusznicy.

– Ale twoje plany zawarcia pokoju nie wyszły.

– W rzeczy samej. Ale nie lamentuję nad każdą straconą okazją. Żyjesz, Darrow, a to znaczy, że powstanie także przetrwało. To znaczy, że marzenia Fitchnera, marzenia twojej żony jeszcze nie zostały stracone dla świata.

– Dlaczego? – wtrąca Sevro. – Dlaczego, do cholery, miałbyś pragnąć wojny? Jesteś najbogatszym człowiekiem w Układzie Słonecznym. Nie jesteś anarchistą.

– Nie, nie jestem anarchistą. Ani komunistą, faszystą, plutokratą czy nawet demokratą, jeżeli o to chodzi. Drodzy chłopcy, nie wierzcie temu, czego uczyono was w szkole. Rząd nigdy nie jest rozwiązaniem problemów, za to prawie zawsze sam stanowi problem. Jestem kapitalistą. I wierzę w siłę, rozwój i kreatywność naszego gatunku. W nieustanną ewolucję i postęp człowieka oparty na uczciwej rywalizacji. Rzecz w tym, że Złoci nie chcą, aby człowiek ewoluował. Od Podboju regularnie

tłumili i powstrzymywali rozwój, byle utrzymać swój raj. Wystroili się w szatki mitologii. Wypełnili oceany potworami, na które mogliby polować. Wyhodowali sobie prywatne lasy Śródziemia i Olimpu. Skonstruowali sobie zbroje, które czynią z nich latających bogów. I utrzymują ten bajkowy świat dzięki temu, że zatrzymali ludzkość w czasie. Stłamsili wynalazcość, ciekawość, dynamikę społeczną. Zmiany zagrażają rajskiej egzystencji Złotych.

Żywe Srebro znowu się prostuje, oczy mu błyszczą.

– Patrzcie, gdzie jesteśmy. W kosmosie. Nad planetą, którą ukształtowaliśmy. A jednak żyjemy w społeczeństwie uformowanym w oparciu o pomysły pedofilów z epoki brązu. Otaczamy się mitologią, jakbyśmy wierzyli, że tych bredni nie wymyślił jakiś chłop z Attyki, bo rozpaczliwie pragnął, aby jego życie nie było tak marne, brutalne i krótkie. – Krzywi się. – Obsydiani uważają Złotych za bogów, dali sobie to wmówić. Ale to nie bogowie. Bogowie tworzą. Złoci podobni są do władców-wampirów. Są pasożytami, które wysysają nam krew. Pragnę społeczeństwa wolnego od tej hierarchicznej, faszystowskiej piramidy. Chcę wolnego rynku, wolnego przepływu bogactw i pomysłów. Dlaczego ludzie mieliby ryć pod ziemią, skoro można skonstruować roboty, aby to robiły? Dlaczego mielibyśmy w ogóle ograniczać się tylko do tego układu gwiezdnego? Zasługujemy na więcej niż to, co zostało nam dane. Jednak najpierw Złoci muszą upaść, a Władczyni i Szakal umrzeć. I wierzę, że jesteś zwiastunem tego, na co tak długo czekamy, panie Andromedus.

Skinieniem głowy wskazuje na moje ręce.

– Zapłaciłem za twoje Sigile. Zapłaciłem za twoje kości, twoje oczy, twojemięśnie. Jesteś dzieckiem umysłu mojego przyjaciela. I uczniem mojego męża. Sumą wszystkich Synów Aresa. Dlatego moje imperium jest do twojej dyspozycji. Moi hakerzy. Moje oddziały ochrony. Mój transport. Firmy. Wszystko na twoje usługi. Bez żadnych ograniczeń. Bez zobowiązań. Bez zabezpieczeń. – Zerka na Sevra. – Krótko mówiąc, panowie, macie wolną rękę.

– Ślicznie. – Sevro klaszcze z drwiną. – Darrow, on próbuje kupić sobie wyjście z opresji. Gdy tylko znajdzie okazję, ucieknie.

– Może – przyznaję. – Ale nie możemy już podkładać bomb.

– Bomb – niepokoi się Żywe Srebro. – O czym wy mówicie?

– Podłożyliśmy ładunki wybuchowe w rafineriach heliu i w dokach – wyjaśniam.

– I to ma być wasz plan? – Żywe Srebro spogląda to na Sevra, to na mnie, jakby ujrzał szaleńców. – Nie możecie tego zrobić. Macie pojęcie, co z tego wyniknie?

– Ekonomia się załamie – odpowiadam. – Akcje i obligacje giełdowe stracą na wartości, komercyjne kredyty bankowe zostaną zamrożone, upadną małe, lokalne banki, zapewne katastrofalnie wzrośnie inflacja, a gospodarka pograży się w stagnacji. No i załamie się porządek społeczny. Okaż trochę szacunku, gdy z nami

rozmawiasz. Nie masz do czynienia ani z dyletantami, ani z dziećmi. I to był nasz plan.

– Był? – Sevro odsuwa się ode mnie. – Tak dla odmiany pozwalasz, żeby teraz ten grubas dyktował, co mamy robić?

– Wszystko się zmieniło. Sevro. Musimy ponownie ocenić sytuację. Mamy nowe atuty.

Przyjaciel patrzy na mnie, jakby ujrzał mnie po raz pierwszy.

– Nowe atuty? Jego?

– Nie tylko. Również Orion – wyjaśniam. – Nigdy nie powiedziałeś, że Mustang się z tobą skontaktowała.

– Ponieważ pozwoliłbyś, żeby tobą manipulowała – odpowiada bez cienia skruchy. – Tak samo jak wcześniej. Tak samo, jak teraz pozwalasz na to jemu.

Zastanawia się, a potem wymierza we mnie palec wskazujący, jakby uznał, że już wszystko rozumie.

– Boisz się, prawda? Boisz się pociągnąć za spust. Boisz się popełnić błąd.

Nareszcie mamy szansę zadać znaczące straty Złotym, a ty mówisz, że trzeba ponownie rozpatrzyć sytuację. Chcesz zyskać na czasie, żeby przyjrzeć się naszym możliwościom.

Sevro wyjmuje z kieszeni detonator.

– To jest wojna. Nie mamy czasu. Możemy zabrać ze sobą tego drania, ale nie możemy zmarnować takiej okazji.

– Przestań myśleć jak terrorysta – warczę. – Stać nas na coś lepszego.

Patrzę na niego z wściekłością. Powinien być po prostu moim najlepszym przyjacielem. Jednak z powodu strat wszystko się między nami pokręciło. Nawet teraz tak wiele w nim cierpienia. Tak wiele lęków i niepewności, na dodatek obaj mamy poczucie winy. Kiedyś nazywano Sevra moim cieniem. Już nim nie jest. I myślę, że właśnie dlatego przez ostatnie parę godzin byłem dla niego surowy i ostry. Stał się samodzielnym człowiekiem, który ma własne pragnienia i cele. I podobnie jak ja, Sevro był dla mnie surowy, ponieważ nie wróciłem jako Kosiarz. Wróciłem jako człowiek, którego nie rozpoznawał. A teraz, gdy próbuję być siłą, której oczekiwali, kiedy staram się podejmować decyzje, Sevro wątpi we mnie, ponieważ wyczuwa słabość, a słabości zawsze się obawiał.

– Oddaj mi detonator, Sevro – rozkazuję zimno.

– Nie. – Odsuwa oslonę, pod którą znajduje się w bezpiecznym wgłębieniu czerwony guzik. Jeżeli Sevro go naciśnie, tysiąc kilogramów ładunków wybuchowych o najwyższej sile rażenia eksploduje na Fobosie. Nie zniszczy to księżyca, ale poważnie uszkodzi i zdemoluje ekonomiczne zaplecze techniczne, jakie się tutaj znajduje. Helium-3 przestanie dopływać do odbiorców na wiele

miesiący. Może lat. I spełni się wszystko to, czego obawia się Żywe Srebro. Elita ucierpi, ale my również.

– Sevro...

– Przez ciebie zginął mój ojciec – warczy Sevro. – A także Pax i Quinn. Oset i Harpia. Lea zginęła, bo myślałeś, że jesteś najsprytniejszy. I dlatego że nie zabiłeś Szakala, gdy miałeś okazję. I dlatego że nie zabiłeś Cassiusa, kiedy mogłeś. Jednak w przeciwnieństwie do ciebie ja się nie cofnę.

Rozdział dwudziesty drugi

BRZEMIĘ ARESA

Kciuk Sevra konwulsyjnie unosi się nad przyciskiem detonatora. Jednak zanim naciśnie guzik, włączam urządzenie zakłócające, które mam u pasa, i blokuję sygnał.

– Ty sukinstwu – warczy Sevro i rusza do drzwi, aby wyjść poza zasięg pola zakłócającego.

Rzucam się za nim. Wykręca się z mojego chwytu. Urządzenie zakłócające nie należy do najsielniejszych, więc wystarczy odejść naprawdę niedaleko. Sevro biegnie na korytarz. Pędzę za nim.

– Stój, Sevro! – wołam. Odbiegł już dziesięć metrów, więc może nadać sygnał z detonatora. Sevro okazuje się szybszy, niż się spodziewałem. Świecznie sobie radzi w tych wąskich korytarzach. Zaraz mi ucieknie. Wyciągam pulsRękawicę, mierzę nad głową przyjaciela i strzelam, ale celność mam słabą i omal go nie trafiam. Irokez węgli się z sykiem. Sevro zamiera, a potem odwraca się z dzikim grymasem.

– Sevro... Nie chciałem...

Z wściekłym wyciem rzuca się na mnie. Nie spodziewałem się ataku. Zataczam się od pchnięcia tego szaleńca. Sevro porusza się szybko. Blokuję jego pięść, ale hakiem dostaję w podbródek, aż dzwonią mi zęby. Sevro odpycha mnie z taką siłą, że przygryzam sobie język. Czuję w ustach smak krwi, z trudem utrzymuję się na nogach. Mickey nie naprawił mi dobrze kości, Sevro mógłby mi złamać szczękę, jednak tylko przeklina i trzyma się za bolącą pięść.

Uderzam go sierpowym, potem poprawiam z lewego kolana. Kopnięcie w żebra jest tak mocne, że rzuca Sevra na metalową ścianę i wygina ją lekko. Atakuję prawym prostym. Przyjaciel robi unik i moja pięść trafia w durostal. Ból przenika mi ramię, cofam je z jękiem. Sevro przemyka mi pod lewym łokciem, gdy próbuję go uderzyć w głowę, zadaje serię ciosów w brzuch, choć mierzy chyba nieco niżej. Wykręcam się, udaje mi się złapać go za ramię i przerzucić z całej siły. Sevro uderza twarzą w ścianę, a potem przetacza się po podłodze.

– Gdzie go masz? – Macam jego ubranie w poszukiwaniu detonatora. – Sevro...

W odpowiedzi podcina mi nogi, a potem je blokuje. Sprowadza mnie do parteru, więc teraz możemy się tylko szarpać, zamiast wyprowadzać ciosy. Sevro jest lepszym zapaśniikiem. Niewiele mogę zrobić, gdy dusi mnie od tyłu, nogi układa w trójkąt, ścisza mi szyję, złożone stopy wbija mi twarz. Unoszę go, ale nie mogę się wyrwać. Zwisa do góry nogami z moich pleców, kręgosłup w kręgosłup, z piętami

wciąż wbitymi w moje policzki, i próbuje sięgnąć dlonią do moich jąder. Nie mogę go dopaść. Tracę dech. Dlatego chwytam Sevra za łydki i robię obrót. Wyjec uderza o metal. Raz. Drugi. Wreszcie mnie puszcza i odtacza się po podłodze. W okamgnieniu przygniatam go i wyprowadzam serię ciosów Kravat z łokcia w twarz. Przypadkowo Sevrowi udaje się uderzyć mnie czołem w podbródek.

– Ty... durny... sukinsynu... – dyszę, cofając się. Sevro trzyma się za bolącą głowę.
– Durny... chudy... dupku...

Wymierza mi kopniaka w podbrzusze. Przyjmuję uderzenie, łapię go za nogę lewą ręką i wymierzam cios, który trafia Sevra prosto w głowę. Atak jest silny, poparty całym ciężarem mojego ciała. Sevro ciężko pada na posadzkę, jak gwóźdź wbijany młotem w deskę. Próbuje wstać, ale przyciskam go do parteru nogą. Leży więc tylko i dyszy. Mnie kręci się w głowie i też z trudem łapię oddech. Moje ciało nienawidzi tego, co z nim wyprawiam.

– Skończyłeś? – pytam. Sevro kiwa głową. Cofam nogę i wyciągam rękę, aby pomóc mu wstać. Unosi się i sięga po wyciągnięte ramię, po czym wyprowadza kopnięcie lewą stopą prosto w moje podbrzusze. Padam obok niego z chrupliwym jękiem. Mdlący ból promienia się od jąder po krzyż i żołądek. Obok Sevro dyszy jak pies. Najpierw wydaje mi się, że się śmieje, ale kiedy podnoszę głowę, z zaskoczeniem widzę łzy. Sevro leży na plecach, klatką piersiową wstrząsa mu szloch. Odwraca się ode mnie, próbuje ukryć i opanować płacz, ale tylko pogarsza sytuację.

– Sevro...

Siadam. Jego widok rozdziera mi serce. Nie obejmuję go, ale kładę rękę na jego głowie. Sevro zaskakuje mnie, ponieważ nie odsuwa się, wręcz przeciwnie, pełnie bliżej i opiera czoło na moim udzie. Drugą ręką dotykam jego ramienia. Po chwili szloch ustaje i Sevro pociąga nosem. Ale się nie odsuwa. To chwila jak po burzy z piorunami. Powietrze iskrzy od wyładowań, niemal wibruje. A potem Sevro wreszcie chrząka, podnosi się do pozycji siedzącej i krzyżuje nogi. Oczy ma podpuścinięte, policzki zarumienione ze wstydu. Zaplata i rozplata palce, tatuaże i przypalone włosy sprawiają, że wygląda jak postać z paskudnej księżeczki dla dzieci.

– Jeżeli powiesz komuś, że płakałem, znajdę martwą rybę, wsadzę ją do skarpety, ukryję w twoim pokoju i będę czekał, aż zacznie się rozkładać i cuchnąć.

– Słusznie.

Detonator leży z boku. Wystarczająco blisko, aby któryś z nas po niego sięgnął. Żaden z nas tego nie robi.

– Nienawidzę tego – szepcze Sevro. – Nienawidzę takich ludzi. – Zerka na mnie. – Nie chcę, żeby on był Synem Aresa. Nie chcę być jak Żywe Srebro.

– Nie jesteś.

Nie wierzy mi.

– W Instytucie budziłem się rano. I myślałem, że wciąż jeszcze śnię. A potem czułem zimno. I powoli przypominałem sobie, gdzie jestem i że to, co mam pod paznokciami, to brud i krew. I marzyłem tylko, żeby znowu zasnąć. Czuć ciepło. Ale wiedziałem, że muszę wstać i stawić czoła światu, który gówno to obchodziło. – Krzywi się. – I właśnie tak się czuję teraz każdego ranka. Boję się cały czas. Nie chcę już nikogo stracić. Nie chcę nikogo opuszczać.

– Nie zrobiłeś tego – zapewniam. – Jeżeli już, to ja opuściłem ciebie.

Próbuje mi przerwać, ale nie pozwalam.

– Miałeś rację. Obaj o tym wiemy. To moja wina, że twój ojciec nie żyje.

Wydarzenia z tamtego wieczoru podczas Triumfu to moja wina.

– I tak nie powiniensem mówić ci tego gówna. – Sevro bębni palcami po podłodze.

– Zawsze mówię takie gówniane rzeczy.

– Cieszę się, że je powiedziałeś.

– Dlaczego?

– Bo obaj zapomnieliśmy, że nie trafiłyśmy tutaj sami. Ty i ja powinniśmy umieć powiedzieć sobie wszystko. Tak to działa. Nie owijamy w bawełnę. Mówimy otwarcie. Nawet jeżeli to coś, czego żaden z nas nie chciałby usłyszeć.

Wiem, jak bardzo samotny czuje się Sevro. I jak ciężkie brzemię dźwigał. Czułem się tak samo w Instytucie, gdy Cassius zranił mnie i zostawił na pewną śmierć. Sevro musi podzielić się tym brzemieniem. Nie wiem, jak mu to powiedzieć. Ten jego upór, ta bezkompromisowość wydają się dziwne, gdy się patrzy z zewnątrz, ale wewnątrz czuł się tak samo jak ja, gdy Roque we mnie wątpił. Albo kiedy miałem jakiś pomysł.

– Wiesz, dlaczego pomogłem ci w Instytucie, kiedy ty i Cassius omal nie utopiliście się w tym jeziorze? – pyta Sevro. – To z powodu tego, jak na ciebie patrzyli. Nie chodziło o to, że uważałem cię za prymusa. Byłeś równie mądry jak balon pierdów. Ale widziałem tamtych. Kamyk, Klauna. Quinn... Roque'a. – Niemal się dławia na tym ostatnim imieniu. – Obserwowałem cię przy ogniskach wśród zasp, kiedy Titus był w zamku. Widziałem, jak uczysz Leę podciąć gardło kozie, chociaż się tego bała. Też chciałem tak robić. Łączyć.

– Dlaczego więc tego nie robiłeś?

Wzrusza ramionami.

– Obawiałem się, że mnie nie zechcesz.

– Ale teraz ludzie właśnie tak na ciebie patrzą – mówię. – Nie zauważłeś? Sevro prycha.

– Nie, wcale nie. Przez cały czas próbowałem być tobą. I ojcem. Nie wychodziło. Czułem, że wszyscy woleliby, żeby Szakal pojmał mnie, nie ciebie.

– Wiesz, że to nieprawda.

– Właśnie że tak. – Pochyla się i spogląda przed siebie. – Jesteś lepszy ode mnie. Widziałem to. Kiedy patrzysz na Tinos... Widziałem twoje oczy. Widziałem w nich miłość. Pragnienie, żeby chronić tych ludzi. Próbowałem też to poczuć. Jednak za każdym razem, gdy spojrzałem na uchodźców, ogarniała mnie tylko nienawiść. Nienawidziłem ich za to, że są słabi. Że krzywdzą się nawzajem. Że są za głupi i nie rozumieją, przez co przechodzimy, żeby im pomóc. – Przełyka i zaciska poznaczone odciskami palce. – Wiem, że to paskudne, ale tak to wychodzi.

Wydaje się taki wrażliwy i wystawiony na ciosy w tym korytarzu. Gniew wygasł w nim podczas walki. Nie oczekuje pouczeń. Przywództwo go zmęczyło, wyobcowało nawet od jego Wyjców. W tej chwili potrzebuje tylko potwierdzenia, że w niczym nie przypomina Żywego Srebra czy Szakala albo któregokolwiek ze Złotych, przeciw którym walczy. Mylnie zakłada, że jestem w jakiś sposób lepszy od niego. I po części to moja wina.

– Ja też ich nienawidzę – przyznaję.

Sevro kręci głową.

– Nie...

– Owszem. A przynajmniej nienawidzę tego, że przypominają mi, kim byłem lub jaki mogłem się stać. Szlag, byłem idiotą. Znienawidziłbyś mnie od pierwszego wejrzenia. Na kolanach było mi wygodnie, jak na samoluba i aroganta przystało. Wolałem pozostać ślepy, bo przecież byłem zakochany. I nie wiedzieć czemu uważałem, że życie dla miłości jest najwspanialsze we wszechświecie. W wyobraźni nawet z Eo zrobiłem kogoś, kim nie była. Uromantycznilem ją i życie, jakie wiedliśmy... Pewnie dlatego, że mój ojciec zginął za sprawę. A ja patrzyłem na wszystko, co po sobie zostawił. Dlatego chyba starałem się czepiać życia, które on porzucił.

Przesuwam palcem po liniach na swojej dłoni.

– Czuję się mały, gdy pomyślę, że zacząłem robić to wszystko dla Eo. Była dla mnie wszystkim, choć dla niej stanowiłem tylko część życia. Kiedy Szakal mnie uwięził, tylko o tym mogłem myśleć. Że jej nie wystarczyłem. Że nasze dziecko jej nie wystarczyło. W głębi duszy trochę jej za to nienawidzę. Eo nie wiedziała o tym, co nastąpi, nie miała nawet pojęcia, że jej świat powstał po terraformowaniu. Wiedziała tylko, że dowodzi swojej racji paru tysiącom mieszkańców Lykos. Ale czy warto było za to oddać życie? Warto było poświęcić za to życie nienarodzonego dziecka?

Machnięciem ręki wskazuję korytarz.

– A teraz wszyscy ci ludzie widzą w Eo boginię albo coś w tym rodzaju. Doskonałą męczenniczkę. A przecież była tylko dziewczyną. Odważną, ale głupią i samolubną, gotową do poświęceń i romantyczną. Zginęła jednak, zanim stała się kimś więcej. Pomyśl, jak wiele mogłaby zrobić ze swoim życiem. Może razem byśmy to zrobili. –

Śmieję się z goryczą i opieram głowę o ścianę. – Wiesz, w starzeniu najbardziej gówniane jest to, że stajemy się na tyle mądrzy, żeby dostrzegać we wszystkim wady.

- Mamy dopiero dwadzieścia trzy lata, durniu.
- Ale ja czuję, jakbym skończył osiemdziesiątkę.
- Wyglądasz na tyle.

Szturcham go w żebro, czym zdobywam uśmiech.

– Czy... – Sevro prawie nie ma śmiałości dokończyć pytania. – Czy myślisz, że Eo na ciebie patrzy? Z Doliny? I twój ojciec?

Już chcę przyznać, że nie wiem, ale podchwytyuję jego spojrzenie. Sevro nie tyle pyta o moją rodzinę, lecz bardziej o swoją, może nawet o Quinn, którą kochał, choć nigdy nie miał odwagi tego wyznać. Trudno pamiętać, że ta jego dzikość kryje wrażliwość. Jest wyobcowany. Odseparowany zarówno od Czerwonych, jak i od Złotych. Nie ma ojczyzny. Nie ma rodziny. I żadnej wizji świata po wojnie. Tu i teraz powiedziałbym mu wszystko, byle tylko poczuł się kochany.

– Tak. Wierzę, że na mnie patrzy – mówię z większym przekonaniem, niż naprawdę czuję. – Ona i mój ojciec. I twój także.

- Więc pewnie w Dolinie piją piwo.
- Nie bluźnij. – Kopię go w stopę. – Tylko whiskey. Płynie strumieniami, gdzie tylko zwróciś oczy.

Jego śmiech leczy moje rany. Kawałek po kawałku składa mnie i czuję, że przyjaciele do mnie powracają. A może to ja wracam do nich. Podejrzewam, że to bez różnicy. Powtarzałem często Victrze, żeby dopuściła do siebie ludzi. Wcześniej nigdy nie mogłem skorzystać z własnej rady, ponieważ wiedziałem, że pewnego dnia zdradzę swoich przyjaciół, a nasza przyjaźń opiera się na kłamstwie. Teraz znalazłem się wśród ludzi, którzy znają o mnie prawdę, a jednak boję się dopuścić ich bliżej, ponieważ nie chcę ich stracić ani rozczarować. Lecz właśnie na tym polega więź, którą dzielimy z Sevrem – sprawia, że jesteśmy silniejsi niż wcześniej. Mamy coś, czego Szakal nigdy nie zaznał.

– Wiesz, co się stanie potem? – pytam Sevra. – Po tym, jak zabijemy Octavię i Szakala? Jeżeli jakoś uda się nam zwyciężyć?

- Nie.
- I właśnie na tym polega problem. Sam też tego nie wiem. Nie będę udawał, że jest inaczej, ale nie dopuszczę, żeby Augustus miał rację. Nie sprowadzę chaosu na ten świat bez planu na lepszą przyszłość. I właśnie do tego potrzebujemy takich sojuszników jak Żywe Srebro. Musimy przestać bawić się w terrorystów. I potrzebujemy prawdziwej armii.

Sevro podnosi detonator i łamie go w pół.

– Jakie są twoje rozkazy, Kosiarzu?

Rozdział dwudziesty trzeci

PRZYPŁYW

Wraz z Sevrem wracamy do pomieszczenia, gdzie czekają Wyjce, spakowane i gotowe do opuszczenia stacji. Rollo i z tuzin jego ludzi obserwują nas w napięciu z drugiej strony pokoju. Wiedzą, że zaraz ich porzucimy. Żywe Srebro truchta za mną bez pęt. Zgodził się na nasz plan, choć po paru poprawkach.

– No proszę... – Victra spogląda na nasze siniaki i zakrwawione kłykcie. – Nareszcie ze sobą porozmawialiście.

A potem zerka na Ragnarą.

– Widzisz?

– Gówno załatwione – mruczy Sevro.

– A CO Z BOGACZEM? – pyta zaciekawiony Ragnar. – NIE JEST NAWET ZWIĄZANY.

– Bo to Syn Aresa, Ragnarze – wyjaśnia łagodnie Sevro. – Nie wiedziałeś?

– Żywe Srebro to Syn Aresa? – Victra parska śmiechem. – A ja tak naprawdę nazywam się Helldiver... – Wbiją wzrok to we mnie, to w Sevra. – Zaraz... mówicie poważnie. Macie dowód?

– Przykro mi z powodu twojej matki, Victro – odzywa się ochryple Żywe Srebro. – Ale cieszę się, że znowu chodzisz. Szczerze. Należę do Synów od dwudziestu lat. Mam setki nagranych rozmów z Fitchnerem na potwierdzenie.

– To Syn Aresa – zapewnia Sevro. – Możemy przejść nad tym do porządku?

– No, niech mnie. – Victra kręci głową z niedowierzaniem. – Matka się co do ciebie nie myliła, Żywe Srebro. Zawsze powtarzała, że masz tajemnice. Myślałam, że chodzi o jakieś zboczenie, że lubisz konie czy coś...

Sevro skrępowany przestępuje z nogi na nogę.

– Znalazłeś sposób, żeby nas wydostać z Fobosa, bogaczu? – pyta Holiday Srebrnego.

– Nie całkiem – wzducha Żywe Srebro. – Darrow...

– Nie odratujemy – ozajmiam. Rollo i jego ludzie zamierają w kącie. Wyjce wymieniają zaskoczone spojrzenia.

– No to może wyjaśnienie, o co chodzi? – krzywi się Śrubokręt. – Zaczniemy od tego, kto dowodzi. Ty?

– Wyjec Jeden. – Sevro uderza mnie pięścią w ramię.

– Wyjec Dwa. – Klepię go w zamian po plecach.

– Przyjęte? – pyta Sevro. Wyjce potakują chóralnie.

– Pierwszy rozkaz to zmiana procedur bezpieczeństwa – mówię dziarsko. – Ma ktoś kombinerki?

Rozglądam się. Wreszcie Holiday wyciąga caążki ze skrzynki z materiałami wybuchowymi i rzuca do mnie. Otwieram usta, chwytam cęgami tylny prawy trzonowiec z implantem zawierającym achlys-9. Z pomrukiem wyrywam sobie ząb i kładę go na stole.

– Byłem już pojmany. I nigdy więcej nie pozwolę się pojmać. Dlatego to zabezpieczenie jest dla mnie bezużyteczne. Nie zamierzam umrzeć, ale jeżeli będę musiał, zginę z przyjaciółmi. Nie w celi. Nie na szafocie. Z wami.

Wręczam kombinerki Sevrowi. Przyjaciel wyrywa sobie ząb i spluwa krvią na stół.

– Zginę ze swoimi przyjaciółmi.

Ragnar nie czeka na kombinerki, wyrywa sobie trzonowiec palcami. Oczy ma szeroko otwarte z radości, gdy kładzie wielki, zakrwawiony ząb na stole.

– ZGINĘ Z PRZYJACIÓŁMI.

Jeden po drugim Wyjce podają sobie kombinerki, wyrywają zęby z trucizną i zostawiają je na stole. Żywe Srebro przygląda się nam jak bandzie szalonych zbirów i bez wątpienia zastanawia się, w jakie tarapaty właśnie się pakuje. Jednak muszę uwolnić ludzi od tego ciężkiego jarzma. Dopóki pamiętają, że mają w zębie truciznę, dopóty będą czuli, że wyrok śmierci został już na nich wydany i czekają tylko, żeby kat zacisnął im pętlę na szyi. Ołać to. Śmierć będzie musiała się postarać, żeby dorwać choć jedno z nas. Chcę, żeby moi ludzie w to wierzyli. I wierzyli w siebie nawzajem. Chcę, żeby uwierzyli, że możemy zwyciężyć i przeżyć.

Bo ja wierzę. Po raz pierwszy.

* * *

Po przekazaniu instrukcji moi ludzie wychodzą wykonać polecenia. Dopiero wtedy wracam z Sevrem do sztabu Synów Aresa i proszę o przygotowanie bezpiecznego połączenia, którego nie da się namierzyć.

– Z Cytadelą w Agei, proszę.

Synowie Aresa spoglądają na mnie, jakby nie zrozumieli.

– Pośpieszcie się, przyjaciele. Nie mamy całego dnia.

Staję przed holokamerą z Sevrem u boku.

– Myślisz, że wiedzą, gdzie jesteśmy?

– Zapewne jeszcze nie – odszeptuję.

– Myślisz, że się posika ze szczęścia?

– Miejmy nadzieję. Pamiętaj, nie wspominaj ani o Cassiusie, ani o Mustang. Tę informację zatrzymamy dla siebie.

Następuje połączenie i na holowyświetlaczu pojawia się obojętna twarz młodej Miedzianej, zapewne administratorki. Dziewczyna patrzy na nas sennie.

– Centrala łączności Cytadeli. Z kim mam połączyć... – Urywa i mruga zaskoczona tym, co widzi na ekranie. Przeciera oczy. I traci zarówno opanowanie, jak i zdolność mówienia.

– Chciałbym rozmawiać z ArcyGubernatorem – oznajmiam.

– A... czy mogę spytać... kto... kogo zaanonsować?

– To cholerny Kosiarz z Marsa – warczy na nią Sevro.

– Chwileczkę.

Twarz Miedzianej znika, zastąpiona piramidą Elity. W tle leci muzyka, jakże przewidywalnie – Vivaldi. Czekamy. Sevro bębni palcami o kolano i nuci cicho pod nosem.

– *Gdy duszę już na ramieniu masz, drżą ci ręce, nie czujesz nóg, to Kosiarz właśnie idzie odebrać dług.*

Po paru minutach blada twarz Szakala wyświetla się przed nami. Szakal nosi białą marynarkę z wysokim kołnierzem, włosy ma zaczesane z przedziałkiem. Nie krzywi się na nasz widok. Jeśli już, wygląda raczej na rozbawionego. I nie przerywa śniadania.

– Kosiarz i Ares – mruczy, jakby chciał zadrwić z własnej uprzejmości. Wyciera usta serwetką. – Ostatnio wyszliście tak szybko, że nie miałem okazji się pożegnać. Muszę przyznać, Darrow, że wygladasz promiennie. Jest z tobą Victra?

– Adriusie – odpowiadam beznamiętnie. – Jak zapewne wiesz, w korporacji Sun była eksplozja, a twój cichy wspólnik, Żywe Srebro, zginął. Wiem, że w organach ścigania panuje bałagan, a dowody będą badane jeszcze przez wiele godzin, może nawet dni. Dlatego uznałem, że zadzwonię i naświetrzę sytuację. My, Synowie Aresa, porwaliśmy Żywe Srebro.

Szakal odkłada łyżeczkę, żeby napić się kawy z białej filiżanki.

– Rozumiem. Co z tego?

– Uwolnimy go, gdy tylko dostaniemy okup. Musisz też uwolnić wszystkich więźniów politycznych, których bezprawnie przetrzymujesz w swoich lochach, oraz wszystkie PodKolory, które zamknąłeś w obozach koncentracyjnych. Na dodatek masz przyznać się do zamordowania swojego ojca. Publicznie.

– I to wszystko? – Szakal nie okazuje śladu emocji, chociaż wiem, że zastanawia się, jak odkryliśmy, że Żywe Srebro to jego sprzymierzeniec.

– Będziesz również musiał pocałować mój pryszczaty tyłek. Publicznie – dodaje Sevro.

– Cudownie. – Szakal odwraca głowę, żeby spojrzeć na kogoś jeszcze w jadalni. – Moi agenci mówią, że zakaz lotów został wydany w dziesięć minut po ataku na

korporację, a jednostka, którą uciekliście, zniknęła na Dnie. Mogę zatem założyć, że nadal przebywacie na Fobosie?

Nie odpowiadam od razu, jakbym chciał opanować zaskoczenie jego słowami.

– Jeżeli nie zastosujesz się do naszych żądań, Żywe Srebro straci życie.

– Na nieszczęście nie negocjuję z terrorystami. Zwłaszcza z takimi, którzy mogliby nagrać tę rozmowę i rozpowszechnić ją dla własnych celów politycznych. – Szakal znowu sięga po filiąnkę. – Wysłuchałem twojej propozycji, więc teraz posłuchaj mojej. Uciekaj. Już. Póki możesz. Ale pamiętaj, że nieważne, gdzie się ukryjesz, nie uda ci się ochronić przyjaciół. Zamierzam zabić wszystkich, a ciebie znowu zamknąć w mroku i zostawić ci do towarzystwa tylko obcięte głowy bliskich. Nie umkniesz, Darrow. Obiecuję.

Po tych słowach się rozłącza.

– Myślisz, że pośle Jeźdźców Kości przed legionami? – pyta Sevro.

– Miejmy nadzieję. Czas ruszać.

* * *

Dno to miasto z klatek. Są tu rzędy klatek. Jedna na drugiej, kolumny przerdzewiałych mieszkań połączonych ze sobą w nieważkości jak okiem sięgnąć. Miasto w samym sercu Fobosa. Każda klatka skrywa życie w miniaturze. Ubrania powiewają na wieszakach. Małe przenośne grille szczękowe skwierczą podczas przygotowywania posiłków z setek różnych regionów Marsa. Papierowe obrazki, przyklejone taśmą do blaszanych ścian, ukazują odległe jeziora, góry albo rodziny. Wszystko tutaj jest smętne i szare. Metal klatek. Stare ubrania. Nawet zmęczone i brudne twarze zamkniętych tu Pomarańczowych i Czerwonych. Ci ludzie znajdują się tysiące kilometrów od domu. Jedyne przebłyski barw tańczą nad unipadami oraz na holowizorach migoczących po całym mieście niczym skrawki snu rozrzucone wśród powyginanych odłamków metalu. Mężczyźni i kobiety siedzą karnie przed małymi wyświetlaczami i oglądają swoje proste programy. Zapominają, gdzie się znajdują, wolą rozmyślać, gdzie chcieliby być. Wielu zakleiło ściany kocami lub papierem, aby zyskać trochę prywatności i oddzielić się od sąsiadów. Jednak nie można uciec od zapachu i hałasu. Nieustanne szczekanie zamkanych drzwi klatek. Zgrzytanie zamków. Śmiech lub kasłanie ludzi. Pomruk generatorów. Publiczne słupy reklamowe piszące i szczekające w psim, męczącym języku. Wszystko to wymieszane w gęstą zupę hałasu i przyćmionych światel.

Rollo mieszkał kiedyś w górnej części miasta, lecz teraz to terytorium Syndykatu. Synowie zostali przepędzeni ponad dwa miesiące temu. Lecę wzdłuż plastikowych lin, przeplatających się w kanionach klatek, mijam dokerów i robotników z wież, którzy wspinają się i zsuwają w drodze do domu lub do pracy. Wszyscy unoszą

głowy na niskie buczenie moich nowych butów grawitacyjnych. Ten odgłos brzmi dla nich obco. Można taki usłyszeć co najwyżej z holowizora lub w eksperymentalnych sesjach rzeczywistości wirtualnej, za które Zieloni liczą sobie jak za zboże. Większość tych ludzi nigdy nie widziała na oczy Niezrównanego Naznaczonego. Tym bardziej takiego w pełnej zbroi. Stanowię dla nich przerzążające widowisko.

Siedem godzin temu zebrałem swoich poruczników wraz z Synami Aresa w starym garażu, a potem wyjaśniłem im i Tancerzowi w Tinos, na czym polega mój plan. Sześć godzin minęło, odkąd dostałem powiadomienie, że Kavax uciekł z celi – ktoś go wypuścił. Pięć godzin temu Victra dostarczyła Żywe Srebro i Mattea z powrotem do ich wieży, gdzie Żywe Srebro pozbył się śladów swojego porwania i nocnych wydarzeń – skontaktował się z własnymi tajnymi komórkami wśród Niebieskich w Ulu. A potem zajął się przygotowaniami do tej właśnie chwili. Cztery godziny temu Żywe Srebro przyłączyło swoje oddziały ochrony do Synów Aresa i dał im dostęp do zbrojowni oraz fabryk broni. Wtedy też przekazał nam wiadomość, że dwa niszczyciele Augustusa wyszły z orbitalnych doków. Trzy godziny temu Ragnar i Rollo zabrali tysiąc Synów Aresa do hangaru śmieciarek na poziomie 43C, żeby przygotować pojazdy. Dwie godziny temu jeden z prywatnych jachtów Żywego Srebra był gotów do odlotu. Godzinę temu niszczyciele Elity wysłały cztery transportowce żołnierzy do Międzyplanetarnego Kosmoportu w Niebniku, a nowa warstwa krwistoczerwonej farby na mojej zbroi wyschła, więc mogłem założyć pancerz i wyruszyć na wojnę.

Wszystko gotowe.

I oto schodzę wśród narastającej ciszy na samo Dno. Na ramieniu mam białe jak kość ostrze. U mojego boku leci Sevro w wielkim, spiczastym hełmie Aresa, który nosi z dumą. Hełm zabrał, ale resztę zbroi musiał pożyczyc od Żywego Srebra. Ten pancerz wspomaga przełomowa technologia, lepsza nawet od tego, co mieliśmy w zbrojach u Augustusa. Za nami leci Holiday na czele setki Synów Aresa.

Synowie wydają się niezdarni w butach grawitacyjnych. Niektórzy noszą ostrza, inni pulsRękawice. Ale – na mój rozkaz – nikt nie skrywa twarzy pod hełmem, gdy przelatujemy przez miasto. Chciałem, żeby te PodKolory w klatkach ujrzały naszą zdradę, zapragnąłem, aby widok Czerwonych, Pomarańczowych i Obsydianów w zbrojach panów dodał im odwagi.

Twarze rozmywają mi się przed oczyma. Setki tysięcy ludzi wychylających się z klatek po każdej stronie. Bladych i oszołomionych, większość w wieku poniżej czterdziestu lat. Czerwonych i Pomarańczowych skusiły fałszywe nadzieje i obietnice, tak samo jak Rolla, i zostawili swoje rodziny na Marsie. Wśród klatek brakuje oznak prawdziwego życia – nie ma tu dzieci ani zwierząt domowych.

Sąsiedzi wskazują na mnie palcami. Dostrzegam, że wymawiają moje imię. Gdzieś tam obserwatorzy z Syndykatu będą już alarmować swoich zwierzchników i przekazywać wieści policji i antyterrorystycznej maszynie Bezpieki, że Kosiarz żyje i przebywa na Fobosie. Szakal przybędzie ze swoimi Jeźdźcami Kości i legionami. I zaraz potem Aja dowie się, że zabójca jej siostry znajduje się gdzieś tutaj, bliżej lub dalej – nieważne.

Zanęcam bestię. Tak jak zanęciłem Szakala.

Gdy zbliżam się do głównego węzła na Dnie, zanoszę cichą modlitwę do Eo, żeby dała mi siłę. Tam, niczym jakiś pulsujący elektroniczny monument otoczony metalowymi zaroślami, migocze holograficzny wyświetlacz Elity z programem rozrywkowym. Jest wysoki na pięćdziesiąt metrów i długi na sto. Rzuca na otaczające go klatki neonowy, wywołujący mdłości blask. Z głośników w stosownych momentach niesie się śmiech. Błękitne światło odbija się od mojej zbroi. Trzaskają zamki, drzwi klatek się otwierają, żeby ich mieszkańców mogli usiąść na progu, gdzie widoku nie przesłaniają im pręty.

Zieloni Żywego Srebra zwracają na mnie kamery swoich hełmów. Synowie Aresa ustawiają się, zerkając na PodKolory. To moja gwardia honorowa. Ich rude włosy falują jak płomienie pochodni. Holiday i Ares ustawiają się obok mnie, po prawej i lewej. Unosimy się dwieście metrów wyżej. Otaczają nas klatki. Cisza ogarnia miasto, zakłócana jedynie mechanicznym śmiechem z programu rozrywkowego. Wydaje się to sztuczne i nienormalne, ten pusty śmiech niosący się z głośników. Skinieniem głowy daję znak Zielonym Żywego Srebra, a oni odcinają dźwięk. W wieży Regulusa ag Suna grupa hakerów, którą zebrał, odcina każdą transmisję na Fobosie i wprowadza komendy do kolejnych węzłów i baz danych na Ziemi, Księzycu i w pasie asteroid, a także na Merkurym oraz na księżycach Jowisza, dzięki czemu moje przesłanie poniesie się przez pustkę kosmosu i trafi na wszystkie strony w sieci łączącej całą ludzkość. Żywe Srebro tą transmisją zaświadczyło o swojej wartości dla Synów Aresa. Wykorzystuje sieć, którą pomógł zbudować Szakalowi. To nie przypomina transmisji ze śmierci Eo. To nie viral, którego trzeba szukać w mrocznych zakamarkach holosieci. To wielki ryk przetaczający się przez wszystkie media Elity, nadawany na dziesięciu miliardach wyświetlaczów holograficznych dla osiemdziesięciu miliardów ludzi.

Złoci zamontowali te ekranы, żeby nas spętać ich łańcuchem. Dzisiaj zmienię je w młoty.

Karnus au Bellona miał swoje wady. Ale w jednym się nie mylił – gdy powiedział, że wszystko, co mamy w tym życiu, to nasz krzyk na wietrze. Zanim jednak rozpętam wojnę, zanim zacznę walkę na śmierć i życie, rzucę na wiatr własny krzyk. I będzie to o wiele więcej niż moje imię i nazwisko. O wiele więcej niż ryk rodowej

dumy. Będzie to marzenie, które nosiłem w sobie i chroniłem, odkąd skończyłem szesnaście lat.

Eo pojawia się pode mną na holograficznym obrazie. Zastępuje wyświetlana komedię.

Ogromny duch dziewczyny, którą znałem. Jej twarz jest blada i bardziej gniewna niż w moich snach. Włosy wyblakłe i tłuste. Ubranie stare i zniszczone. Lecz jej oczy płoną na tle szarości, jasne jak krew na wybatożonych plecach mojej żony. Usta Eo rozchylają się lekko. Ledwie ledwie, jednak pieśń płynie, choć głos ma cichy i kruchy jak wiosenny wiatr.

Synu mój, synu mój,
Pamiętaj niewolę,
Gdy Złoci rządzili żelazną ręką.
Krzyczeliśmy, krzyczeliśmy,
Wołając o swoje,
Wołając o lepsze sny.

Słowa odbijają się echem w metalowym mieście, głośniej niż w tym dalekim, zagubionym mieście z kamienia. Blask Eo migocze na bladych twarzach widzów patrzących z otwartych klatek. Ci Czerwoni i Pomarańczowi nigdy nie poznali tej dziewczyny, gdy żyła, usłyszeli ją dopiero w śmierci. Są ciszi i smutni, gdy oglądają jej drogę na szubienicę. Słyszę swoje bezsilne krzyki. Oglądam swoją szarpaninę z trzymającymi mnie Szarymi. Mam wrażenie, jakbym znowu się tam znalazłem. Czuję zbitą, pylistą ziemię pod kolanami, gdy wali się mój świat. Augustus rozmawia z Pliniuszem i Letem, gdy wokół szyi Eo zaciska się pętla. Z twarzy ludzi zgromadzonych na Błoniach emanuje nienawiść. Nie mogłem powstrzymać śmierci mojej żony, ani wtedy, ani tym bardziej teraz. Jakby miała pozostać tak na zawsze. Eo spada. Szarpie się, gdy słyszę szelest jej ubrania, trzeszczenie liny... Spoglądam w dół na holograficzny obraz, zmuszam się, żeby patrzeć na chłopaka, którym byłem. Tamten Darrow zatacza się i potykając, podchodzi do szubienicy, a potem obejmuje drgające konwulsyjnie nogi Eo. Na rękach odcinają się Czerwone Sigile. Patrzę, jak chłopak całuje Eo w łydkę, a potem z całej swojej niewielkiej siły ciągnie ją w dół. Spada jej haemanthus. Wtedy zaczynam mówić.

– Chciałem żyć w pokoju. Ale moi wrogowie rozpoczęli wojnę. Nazywam się Darrow z Lykos. Znacie moją historię. To tylko odbicie waszej. Oprawcy przyszli do mojego domu i zabili mi żonę. Nie za śpiewanie pieśni, lecz za to, że ośmieliła się kwestionować ich władzę. Za to, że ośmieliła się przemówić. Przez wieki miliony ludzi pod powierzchnią Marsa karmiono kłamstwem od kołyski po grób. Kłamstwo

to wyszło na jaw i poznali prawdę. A teraz wkraczają w świat, który znacie, i cierpią tak samo jak wy.

Nabieram tchu.

– Człowiek rodzi się wolny, lecz od wybrzeży oceanu po miasta w kraterach Merkurego, od lodowych pustkowi Plutona po głębie sztolni Marsa, żyje w niewoli. W niewoli obowiązku, głodu, strachu. Pęta zaciśnęła nam na karku rasa, którą sami wynieśliśmy i daliśmy jej siłę. Nie po to, aby nami rządziła, ale by wyprowadziła nas ze świata rozdartego wojną i chciwością. Lecz zamiast tego Złoci zawiedli nas w mrok. Wykorzystali porządek i bogactwo dla własnych celów. Żądają posłuszeństwa, ignorują wasze poświęcenie. Gromadzą zyski z pracy waszych rąk. Aby utrzymać się przy władzy, zakazują nam marzeń. Powtarzają, że wartość każdego człowieka wyznacza tylko Kolor w jego oczach i jego Sigile.

Zdejmuję swoje rękawice i unoszę wysoko prawą pięść – tak samo, jak Eo przed śmiercią. Jednak w przeciwnieństwie do Eo na moich rękach nie ma Sigili. Mickey je usunął, gdy rzebił mnie po raz drugi w Tinos. Jestem pierwszym człowiekiem od setek lat, który nie ma Sigili. Cisza na Dnie ustępuje zdumionym szeptom i pomrukom.

– Lecz oto staję przed wami bez pęt. Stoję przed wami, bracia i siostry, i proszę, abyście do mnie dołączyli. Rzućcie tę maszynę przemyśłu. Dołączcie do Synów Aresa. Zabierzcie swoje miasta, swoje bogactwo. Miejcie odwagę marzyć o lepszym świecie. Niewola to nie pokój. Pokój to wolność. I dopóki jej nie odzyskamy, naszym obowiązkiem jest o nią walczyć. Oznacza to wojnę. Lecz nie daje ona prawa do barbarzyństwa i ludobójstwa. Jeśli ktoś dopuści się gwałtu, zabijcie go. Jeżeli ktoś zamorduje cywili, niżej czy wyżej urodzonych, zabijcie go. To jest wojna, ale stoicie po stronie dobra i musicie dźwigać to brzemię. Nie walczymy w imię nienawiści, nie walczymy dla zemsty. Chcemy sprawiedliwości. Dla waszych dzieci. Dla ich przyszłości.

Rozglądam się po wpatrzonych we mnie twarzach.

– Zwracam się do Złotych, do Aureatów u władzy. Chodziłem po waszych salach, uczyłem się w waszych szkołach, jadłem przy waszych stołach i znosiłem wasze kary. Próbowałeś mnie zabić. Nie zdołałeś. Znam waszą siłę. Znam waszą dumę. I ujrzałem wasz nadchodzący upadek. Przez siedemset lat rządziliście ludzkością. I tylko tyle nam daliście. To za mało.

Naprężammię.

– Oznajmiam, że wasze rządy dzisiaj dobiegły końca. Wasze miasta już do was nie należą. Wasze okręty nie są już wasze. Ani wasze planety. My je zbudowaliśmy. I należą do nas, do zwykłych ludzi. Dlatego je odbieramy. Nieważne, jaką ciemność będziecie roztaczać, nieważne, na jakie prawa się powołacie, nasz gniew je wymaga. Z wyciem będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu.

Nie tylko w kopalniach Marsa, lecz na wybrzeżach Wenus, na diunach przy siarkowych morzach Io, w lodowych kotlinach Plutona. Będziemy walczyć w wieżach Ganimedesa, w gettach na Księżyku i na wzburzonych oceanach Europy. A kiedy polegniemy, inni podejmą naszą walkę, ponieważ jesteśmy jak przypływ. Podnosimy się jak fala. Powstajemy.

I wtedy Sevro uderza się pięścią w pierś. Raz. Drugi. Rytmiczne uderzenia niosą się echem, gdy to samo robi dwustu Synów Aresa. Pięści uderzają o piersi. Dołączają Wyjce.

A potem w stalowej płataninie niesie się ten sam rytm, gdy kobiety i mężczyźni z Dna zaczynają uderzać w ściany swoich klatek. Niczym bicie serca narastające wśród trzewi tego wampirzego księżyca, rozbrzmiewające w Ulu, gdzie Niebiescy popijają kawę i studiuje matematyczne równania wpływów grawitacyjnych w ciepłym blasku ich intelektualnych komun. Dudni wśród baraków Szarych na każdym posterunku, wśród Srebrnych pochylonych nad wykresami giełdowymi. I dociera do Złotych w ich świecie pałaców i jachtów.

Przez czarną jak atrament próżnię, dzielącą bańki, w których żyjemy, nasz puls niesie się po korytarzach samotnej fortecy w Attyce, gdzie Szakal zasiada na swoim zimowym tronie, otoczony morzem ugiętych karków. Nasze tętno zgrzyta mu w uszach. Tam słyszy bicie serca mojej żony. Szakal nie może go uciszyć, bo ono niesie się w sztolniach i tunelach kopalń Marsa, słuchać je z ekranów na ścianach, gdy Czerwoni wybijają je pięściami na stołach, a Miedziani w magistratach obserwują to z rosnącym lękiem, bo w spojrzeniach górników błyska nienawiść, gdy podnoszą oczy na duroszkło swojego więzienia.

Serce Eo bije monotonnie na zatłoczonych nadmorskich promenadach Wenus, na archipelagach, gdy żaglówki dumnie przybijają do przystani. Torby z zakupami drżą w przeróżonych rękach, a Złoci patrzą z obawą na swoich kierowców, ogrodników i robotników, dzięki którym w ich miastach jest prąd. Puls tętni pod blaszanymi dachami silosów z pszenicą i w latyfundiach, gdzie uprawiana jest soja, wśród pól na Wielkich Preriach Ziemi, gdzie Czerwoni używają maszyn, aby nawozić glebę pod gorącym słońcem i nakarmić ludzi, których nigdy nie spotkają. Serce Eo bije nawet wzdłuż rdzenia Imperium, łomocze wśród iglic na Księżyku, odbija się od szklanych ścian strzelistego schronienia Władczyni, grzmi wzdłuż przewodów elektrycznych i suszącego się na sznurze prania w Zaginionym Mieście, gdzie Różowa przygotowuje śniadanie po długiej, niewdzięcznej pracy w nocy. Brązowy kucharz prostuje się nad kuchnią, a chociaż tłuszcza pryska mu na fartuch, mężczyzna słucha. Szary patrzy przez okno swojego wozu patrolowego, jak młoda Fioletowa rozbija drzwi frontowe urzędu pocztowego, a wtedy z jego unipada nadchodzi wezwanie do stawienia się na komisariacie ze względu na możliwe zamieszki.

Serce Eo bije też we mnie tą straszliwą nadzieję, wiem bowiem, że to właśnie początek końca i wreszcie się przebudziłem.

– Zerwijcie pęta! – krzyczę.

A moi ludzie odpowiadają krzykiem.

– Ragnarze – mówię przez komunikator – twoja kolej.

Zieloni robią cięcie, żeby pokazać coś innego niż uderzające w torsy pięści i łomoczące klatki. W oddali wzbija się w niebo wojskowa iglica Elity na Fobosie. Olbrzymia wśród innych budowli niczym Goliat, kryje we wnętrzu stanowiska broni, hangary i doki. Skuteczna i brzydka jak krab. To stamtąd Szakal żelazną ręką dzierży władzę nad księżycem. Tam Szarzy i Obsydiani zakładają będą pancerze w bladym świetle lamp, biec w karnych szeregach przez metalowe korytarze, zapinać pasy z amunicją i całować zdjęcia ukochanych przed zejściem na Dno, aby zatrzymać nasze bijące serce. Ale tutaj nie dotrą.

Bo kiedy pięść uderza coraz mocniej w klatkach, światła tej wojskowej iglicy gasną. Zasilanie budowli zostało wyłączone przez Rolla i jego ludzi, którym karty dostępu dostarczył Żywe Srebro.

Moglibyśmy zbombardować tę iglicę, ale chcieliśmy triumfu odwagi, osiągnięcia, nie zniszczenia. Potrzebni nam bohaterowie, nie popioły kolejnego miasta.

Dlatego mały oddział tuzina jednostek naprawczych parkuje pod iglicą. Niezdarne, beczkowate pojazdy, zaprojektowane do transportowania Czerwonych i Pomarańczowych takich jak Rollo do miejsc pracy na wieżach. Zniszczone, poobijane, z dospawanymi łatami. Jednak tym razem to nie są łaty. Inna kamera pokazuje zbliżenie na pojazdy pod nowym kątem i dopiero teraz widać, że nie tylko w środku, ale i na maskach znajdują się stłoczeni ludzie. Setki Czerwonych i Pomarańczowych w roboczych skafandrach – niemal połowa Synów Aresa z Fobosa. Butami opierają się o powierzchnię transportowców, uprzejmie przypięli do zewnętrznych haków. Robotnicy mają przy sobie sprzęt spawalniczy, a także dostarczoną przez Żywe Srebro broń przymocowaną do łydekk taśmą magnetyczną.

Nad nimi góruje ich dowódca, Ragnar Volarus, wyższy o dwie stopy od swoich podkomendnych. Ma zbroję pomalowaną niedawno na biało, z czerwonym ostrzem slinga na piersi i na plecach.

Gdy transportowce zbliżają się do wojskowej wieży Elity, rozciągają się w tyralierę i otaczają budowlę. Synowie wystrzelują magnetyczne harpuny, aby przycumować pojazdy do stalowych ścian. A potem przechodzą z wypraktykowaną sprawnością po linach i przelatują nieprawdopodobnie szybko przy pomocy silników odrzutowych na plecach. Zupełnie jak Czerwoni w kopalniach – z gracją i zwinnością, w której nie przeszkadzają niezgrabne stroje robocze.

Ponad tysiąc spawaczy wspina się na wielką wieżę, podobnie jak wcześniej ja z przyjaciółmi na iglicę Żywego Srebra. Tyle że ci ludzie ani myślą się ukrywać. I radzą

sobie w nieważkości o wiele lepiej niż my. Na magnetycznych podeszwach przechodzą przez rozporę konstrukcyjne, ślizgają się po ścianach, przemykają przed wizjerami i z doskonałą precyzją docierają do przejść. Dziesiątki straciło życie rozszarpanych seriami broni maszynowej Szarych, ale spawacze odpowiadają ogniem i napierają do środka. Patrolowiec nadlatuje nad iglicę, po czym z broni maszynowej niszczy dwa zacumowane transportery. Ludzie zmieniają się w krwawą mgłę.

Jeden z Synów Aresa wypuszcza pocisk rakietowy w patrolowiec. Rozkwita kula ognia, a potem jednostka spada rozcięta w pół, ciągnąc wstęgę czarnego dymu i purpurowych płomieni.

Kamera pokazuje Ragnara, który wybija okno, wkracza do sali i od razu atakuje troje Złotych wojowników. Rozpoznaję w jednym kuzyna Priama, tego samego Priama, którego Sevro zabił podczas swojego Chrztu. Matka tego Złotego posiada akty własności Fobosa. Ragnar przechodzi przez młodego rycerza, nawet nie zwolniwszy kroku. Krzyżuje dwa ostrza jak nożyce i z wojenną pieśnią swojego ludu prowadzi grupę ciężkozbrojnych spawaczy i innych robotników. Powiedziałem Ragnarowi, że chcę mieć tę iglicę. Nie powiedziałem mu, jak ją zdobyć. Ragnar odwrócił się, objął ramieniem Rolla i poszedł.

A teraz wszystkie światy Układu Słonecznego patrzą, jak niewolnik staje się bohaterem.

– Ten księżyc należy do was – krzyczy Sevro wśród łomotu klatek w mieście. – Powstańcie i weźcie go! Powstań, ludu Marsa! Powstańcie, wy cholerni dranie! Powstańcie!

Mężczyźni i kobiety wysuwają się ze swoich domów. Zakładają buty i kurtki. Odpychają się w naszą stronę, przez co tysiące tłoczy się w powietrznych arteriach i wspina po ciasno połączonych klatkach.

Wezbrała fala przypływu. I ogarnia mnie zgroza na myśl, co ta fala zmyje.

– Gwałty i mordowanie niewinnych są karane śmiercią. To jest wojna, ale stoicie po stronie dobra! Pamiętajcie o tym, gnojki! Chrońcie swoich braci! Brońcie swoich sióstr! Mieszkańcy sektorów od jeden A do cztery C, możecie pobrać uzbrojenie na poziomie czternastym. Mieszkańcy sektorów pięć C do trzy F, przechodźcie do oczyszczalni wody na...

Sevro przejmuje kontrolę nad bitwą, a Wyjce i Synowie Aresa rozpraszają się, aby zorganizować tłumy. To nie armia, lecz taran. Wielu zginie. A kiedy zginą, jeszcze więcej podejmie walkę. To tylko jedno nędzne miasto na Fobosie. Synowie Aresa zaopatrzą je w broń, ale nie wystarczy jej na długo. Bronią tych ludzi jest przede wszystkim liczebność, napór ciał. Sevro ich poprowadzi, Victra z iglicy Żywego Srebra wskaże im drogę. I wkrótce Fobos znajdzie się w rękach powstańców.

Mnie jednak już tu nie będzie, żeby to zobaczyć.

Rozdział dwudziesty czwarty

HIC SUNT LEONES

Na Fobosie panuje chaos. Księzcem wstrząsają eksplozje, gdy razem z Holiday pędzimy po korytarzach. Złoci i Srebrni ewakuują się z Igieł w swoich olśniewająco luksusowych jachtach, podczas gdy wiele kilometrów niżej w podziemiach roi się od tłumów PodKolorów uzbrojonych w spawarki, przecinaki plazmowe, gazzurki, czarnorynkowe blastery i staromodne miotacze ognia. Tłumy unieruchomiły system pociągów i przejść, aby dotrzeć na śródpoziomy i do Igieł. Garnizon Elity został zaskoczony atakami w koszarach, skąd żołnierze wybiegli, aby powstrzymać ten marsz w górę. Legion ma przewagę wyszkolenia i organizacji. My mamy liczebność i element zaskoczenia.

Nie wspominając o wściekłości.

Nieważne, jak wiele barykad ustawią Szarzy, jak wiele zniszczą pociągi, PodKolory prześlizgną się przez szczeliny w ich obronie, ponieważ to niższe Kolorы zbudowały to miejsce i ponieważ dzięki Żywemu Srebru mają sojuszników wśród średnich Kolorów. Czerwoni i Pomarańczowi otworzą stare tunele transportowe, ukradną ładowarki z przemysłowych dzielnic, wypełnią je ludźmi i poprowadzą do luksusowych hangarów w Igłach lub nawet do Niebnika, do kosmoportu, gdzie trwa ewakuacja.

Jestem podłączony do centrum łączności oddziałów ochrony Żywego Srebra. Patrzę, jak NadKolory w tłumie przepychają się jeden przez drugiego niczym przerażone stado bydła. Ludzie niosą walizki, klejnoty i dzieci. Patrolowce floty marsjańskiej oraz szybkie myśliwce przemykają między wieżami i ostrzeliwują statki rebelii startujące z Dna i unoszące się do Igieł. Wrak pojazdu niższych Kolorów przebija szkło i stalowe sklepienie nad terminaliem Niebnika, zabija cywilów i niszczy wszelkie złudzenia, jakie mógłbym jeszcze żywić, że ta wojna będzie czysta i higieniczna.

Unikając tłumów PodKolorów, Holiday i ja odjeżdżamy do przestarzałego hangaru w dawnym garażu dla frachtowców. Nie używano tego pomieszczenia już za Augustusa. Panuje tu spokój. I pustka. Stare wejście dla pieszych zostało zaspawane. Znaki ostrzegające przed promieniowaniem mają odstraszyć potencjalnych złodziei i złomiarzy. Dla nas dwóch drzwi otwierają się z niskim zgrzytem, gdy nowoczesny skaner siatkówki, ukryty w stalowej płycie, rozpoznaje mój wzór dna oka, tak jak zapewnił Żywe Srebro.

Hangar jest wielki, pokryty warstwą kurzu i pajęczynami. Na środkowym stanowisku stoi srebrzysty, siedemdzięciometrowy jacht o sylwetce lecącej jaskółki. To standardowy model kadłuba ze stoczni na Wenus, ostentacyjny, szybki i idealny dla obrzydliwie bogatego uchodźcy z Fobosa. Żywe Srebro wyciągnął go ze swojej floty, aby pomóc nam się wtopić w konwój uciekających przedstawicieli klasy wyższej. Tylna rampa jest opuszczona, a ładownię wypełniają po brzegi czarne skrzynie, oznakowane logo korporacji Sun – podeszwą buta ze skrzydłami. W skrzyniach znajduje się najnowocześniejsza broń i wyposażenie warte co najmniej kilka miliardów.

Holiday aż gwiździ z wrażenia.

– Zakocham się w tym bogaczu. Paliwo do tego ptaka kosztowało pewnie moją roczną wypłatę. Albo dwuletnią.

Podchodzimy do statku, żeby spotkać się z pilotem Żywego Srebra. Szczupła, młoda Niebieska czeka przy rampie. Nie ma brwi ani włosów na głowie. Kręte linie subdermalnych wszczepów synaptycznych do automatycznego łączenia się ze statkiem pulsują jej pod skórą. Zrywa się na mój widok, szeroko otwiera oczy. Najwyraźniej nie miała pojęcia, kto znajdzie się na pokładzie.

– Sir! Jestem porucznik Virga. Będę pana pilotem. I muszę powiedzieć, że to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Jacht ma trzy poziomy – najwyższy i najniższy dla Złotych, środkowy dla kucharzy, służących i załogi. Jednostka dysponuje czterema kajutami, sauną oraz kabiną pasażerską z fotelami w obiciach z kremowej skóry. Z tyłu pomieszczenia znajduje się stolik z nakrochmalonymi serwetkami oraz misą eleganckich małych czekoladek. Biorę jedną. Po krótkim namyśle wkładam do kieszeni jeszcze kilka.

Gdy Holiday i Virga zajmują się przygotowaniami do startu, zdejmuję w kabinie pancerz i wypakowuję strój zimowy, schowany w jednej ze skrzyń. Zakładam elastyczny kombinezon z nanowłókien, który bardzo przypomina wzmacnione chityną lekkie skafandry bojowe. Przylega jak druga skóra. Nie jest jednak czarny, lecz biały i wydaje się naoliwiony, poza szorstkimi łatami na łokciach, kolanach, pośladkach i dloniach. Został zaprojektowany i wykonany na warunki polarne, nie przepuszcza zimna ani wody. I waży o sto funtów mniej niż pancerz bojowy, a do tego pozostaje całkowicie niezależny od komponentów cyfrowych i jest odporny na ich awarie. Największą jednak zaletę stanowi brak baterii – ten kombinezon nie potrzebuje zasilania. Chociaż lubię używać technologii wartej czterysta milionów, która zmienia mnie w mały, latający czołg, wiem, że czasami większą wartość mają ciepłe spodnie. Zresztą zbroja będzie pod ręką, gdyby okazała się potrzebna, nie zamierzam jej wyrzucić z pokładu.

W ładowni i hangarze panuje zaskakująca cisza, gdy kończę wiązać buty. Wciąż jeszcze pozostał kwadrans do odlotu według stopera na moim unipadzie, więc

przysiadam na skraju rampy, zwieszam nogi i czekam na Ragnara. Z kieszeni wyjmuję czekoladkę, odpakowuję powoli sreberko i odgryzam połowę tabliczki. Czekolada zaczyna się rozpuszczać na języku, jak zawsze. I jak zawsze z niecierpliwością zaczynam ją gryźć, zanim rozpuści się bardziej. Eo potrafiłaby delektować się takim przysmakiem przez kilka dni, gdyby miała szczęście i dostęp do tej słodyczy.

Kładę unipad na podłodze i przyglądam się obrazom z kamer na hełmach moich przyjaciół, którzy prowadzą moją wojnę na Fobosie. Ich rozmowy rozbrzmiewają z głośników urządzenia i odbijają się echem wśród metalowych ścian hangaru. Sevro jest w swoim żywiole – pędzi przez pomieszczenia centralnego węzła wentylacyjnego z setką Synów Aresa, przeciskających się do kanałów powietrznych. Czuję się trochę winny, że nie biorę w tym udziału, tylko oglądam wszystko na holo, ale każdy z nas ma swoje zadanie.

Drzwi, przez które wszedłem z Holiday, otwierają się znowu ze zgrzytem i pojawia się Ragnar oraz dwóch Obsydianowych Wyjców. Wracają prosto z pola bitwy. Biała zbroja Ragnara jest poobijana i poplamiona.

– Obchodziłeś się delikatnie z głupcami, dobry człowiek? – pytam z przesadnym akcentem z półświatka i kołyszę nogami z rampy. W odpowiedzi Ragnar rzuca mi zakręcone berło Złotych, buławę noszoną tylko przez oficerów wojskowych najwyższych szarż. Tę wieńczy głowa wrzeszczącej banshee i plama szkarłatu.

– WIEŻA UPADŁA – oznajmia Ragnar. – ROLLO I SYNOWIE ARESA DOKOŃCZĄ MOJE DZIEŁO. TO KREW SUBGUBERNATOR PRISCILLI AU CAAN.

– Dobra robota, przyjacielu. – Obracam buławę w dłoniach. Są na niej wygrawerowane osiągnięcia rodu Caan, który posiada prawa własności do obu księżyców Marsa i kiedyś wspierał ród Bellona w wojnie. Pomiędzy wielkimi wojownikami i rządami jest też postać młodzieńca, którego rozpoznaję.

– COŚ SIĘ STAŁO? – pyta Ragnar.

– Nic – zapewniałem. – Znałem jej syna, to wszystko. Miał na imię Priam. Wydawał się przyzwoitym człowiekiem.

– PRZYZWOITOŚĆ TO ZA MAŁO – odpowiada w zamyśleniu Ragnar. – ZWŁASZCZA W ICH ŚWIECIE.

Z pomrukiem wyginam buławę na kolanie i odrzucam ją Ragnarowi, aby podkreślić, że się z nim zgadzam.

– Daj to siostrze w prezencie. Czas ruszać.

Ragnar ogląda się przez ramię na hangar i marszczy brwi, po czym sprawdza swój unipad i wbiega do łączowni. Próbuje wytrzeć krew, która kapnęła z buławą, ale na gładkiej tkaninie tylko rozmazuję ślad w czerwoną smugę na udzie. Wchodzę na pokład i zamknam za sobą rampę. Potem pomagam Ragnarowi pozbyć się zbroi.

Gdy Obsydian zakłada biały kombinezon, zaglądam do Holiday i Virgi. Właśnie uruchomiły światła zewnętrzne przed startem.

– Pamiętajcie, jesteśmy uchodźcami. Skierujcie się do jak największej grupy statków, które wystartowały niedaleko i już odlatują, a potem przyłączcie się do konwoju.

Virga potwierdza skinieniem głowy.

Hangar jest stary, co znaczy, że nie chroni go pole siłowe. Od próżni dzielą nas tylko wysokie na pięć pięter wrota. Huczą i łomoczą, gdy poruszane przez systemy napędowe drzwi zaczynają się powoli rozsuwać, jedno skrzydło ma zniknąć w suficie, drugie w podłodze.

– Stop! – rozkazuję. Virga dostrzega, co przyciągnęło moją uwagę, i szybko wyciąga rękę do konsoli sterowania, żeby zatrzymać otwieranie wrót, zanim wedrze się przez nie próżnia.

– Niech mnie... – Holiday mruży oczy, żeby lepiej przyjrzeć się drobnej postaci stojącej na drodze naszego jachtu w przestrzeni. – To Iwica.

* * *

Mustang stoi przed dziobem statku w oślepiającym blasku zewnętrznych reflektorów. W tym świetle jej włosy wydają się zupełnie białe. Mruga, gdy Holiday wyłącza lampy kokpitu. Podchodzę do niej w półmroku hangaru. Jej roziskrzone oczy świdrują mnie, gdy się zbliżam. Przesuwają się po moich rękach bez śladu Sigili i po bliźnie na policzku, którą zachowałem. Co widzi Mustang?

Czy widzi moją przemianę? Mój strach?

Tak wiele w niej dostrzegam. Dziewczyna, w której się zakochałem wśród śniegów, odeszła. W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy zastąpiła ją kobieta. Drobna, poważna przywódczyni o ogromnej i trwałe sile oraz niepokojącym intelekcie. Pod bystymi, ruchliwymi oczyma ciemnieją podkowy znużenia. Twarz zrobiła się blada po dniach spędzanych w pozbawionych słońca metalowych korytarzach i zamkniętych pomieszczeniach. Wszystko, co nosi w sobie Mustang, skrywa się w jej spojrzeniu. Ma intelekt po ojcu. I urodę po matce. Posiada też zdystansowany umysł zdolny do przeczuwania zbliżającego się zła, który może dodać skrzydeł lub strącić człowieka na ziemię.

A na biodrze Mustang ma przypiętą pelerynę Niewidkę z chłodzącym się zasilaczem.

Obserwowała nas, odkąd tu przyszliśmy.

Jak udało jej się dostać do hangaru?

– Hej, Kosiarzu – wita mnie wesoło, gdy się zatrzymuję.

– Hej, Mustang. – Rozglądam się po hangarze. – Jak mnie znalazłaś?

Mustang marszczy brwi.

– Myślałam, że chciałeś, abym przyleciała. Ragnar powiedział Kavaxowi, gdzie mogę cię znaleźć... – Urywa. – Nie wiedziałeś.

– Nie. – Podnoszę wzrok na lustrzane okna kokpitu. Przez jedno z nich zapewne przygląda nam się Ragnar. Ten człowiek przekroczył granicę, nie miał prawa się mieszać. Zwłaszcza że przygotowywałem się do wojny, a on tymczasem knuł za moimi plecami i narażał moją misję. Już wiem, jak czuł się Sevro.

– Gdzie się podziewałaś? – pyta Mustang.

– U twojego brata.

– Więc sfingowana egzekucja miała nas skłonić, żebyśmy przestali cię szukać.

Tyle jeszcze jest do powiedzenia, tyle pytań i oskarżeń, które unoszą się pomiędzy nami. Jednak wolałbym się z nią nie spotkać, ponieważ nie wiem, od czego zacząć. Co powiedzieć. O co zapytać.

– Nie mam czasu na pogawędki, Mustang. Wiem, że przybyłaś na Fobosa, żeby poddać się Władczyni. Dlaczego zatem jesteś tutaj i rozmawiasz ze mną?

– Nie traktuj mnie z góry – napomina mnie ostro. – Nie zamierzałam się poddać. Chciałam osiągnąć pokój. Nie tylko ty chcesz bronić swoich ludzi. Mój ojciec rządził Marsem przez dekady. Tamtejsi ludzie są tak samo częścią mnie, jak i ciebie.

– Zostawiłaś Marsa na łasce swojego brata.

– Zostawiłam Marsa, żeby go ocalić – poprawia Mustang. – Oboje wiemy, że wszystko wymaga kompromisów. I oboje wiemy, że nie ze względu na Marsa jesteś na mnie zły.

– Chcę, żebyś się odsunęła, Mustang. Tu nie chodzi o nas. I nie mam czasu na dyskusje. Odlatuję. Albo się odsuniesz, albo otworzymy hangar i przeleciemy przez twoje zwłoki.

– Przez moje zwłoki? – Parska śmiechem. – Wiesz, że mogłam nie przybyć sama. Mogłam przyprowadzić swoich ochroniarzy. Mogłam zastawić na ciebie pułapkę. Albo donieść o tobie Władczyni, żeby ocalić pokój, który zniszczyłeś. Jednak nic podobnego nie zrobiłam. Mógłbyś znaleźć chwilę i zastanowić się, dlaczego tego nie zrobiłam?

Podchodzi do mnie bliżej.

– W tamtej sztolni powiedziałeś mi, że chcesz lepszego świata. Nie zauważałeś, że słuchałam? I że przyłączyłam się do Władców Księżyców, ponieważ wierzyłam w lepszy los?

– A jednak chciałaś się poddać.

– Ponieważ nie mogłam patrzeć na rządy terroru mojego brata. Nie mogłam pozwolić, aby to nadal trwało. Chciałam pokoju.

– To nie czas na pokój – stwierdzam ponuro.

– Cholera jasna, ale ty jesteś tępym. Wiem o tym. Myślisz, że dlaczego tu jestem? Jak ci się zdaje, dlaczego pracowałam z Orion i utrzymałam twoich żołnierzy na stanowiskach?

Przyglądam się jej uważnie.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

– Jestem tutaj, ponieważ chcę ci wierzyć, Darrow. Chcę wierzyć w to, co powiedziałeś w tamtym tunelu. Uciekłam stamtąd, ponieważ nie chciałam zaakceptować, że jedynym rozwiązaniem jest miecz. Jednak świat, w którym żyję, podstępnie pozbawił mnie wszystkiego, co kochałam. Matki, ojca, braci. Nie pozwolę, żeby odebrał też przyjaciół, którzy jeszcze mi pozostały. Nie pozwolę, żeby odebrał mi ciebie.

– O czym ty mówisz?

– Mówię, że nie spuszczę cię z oka. Lecę z tobą.

Tym razem to ja wybucham śmiechem.

– Nawet nie wiesz, dokąd lecę.

– Nosisz kombinezon polarny. Ragnar jest na pokładzie. Otwarcie wypowiedziałeś bunt. A teraz odlatujesz w środku największej bitwy powstania. Doprawdy, Darrow. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że chcesz wykorzystać ten statek, aby udawać Złotego uchodźcę i wymknąć się do Iglic Walkirii. Chcesz przekonać matkę Ragnara, żeby zapewniła ci armię.

Szlag. Staram się nie okazać zaskoczenia.

Właśnie dlatego nie chcę angażować Mustang. Zaproszenie jej do gry będzie tylko wprowadzeniem kolejnej zmiennej, której nie mogę kontrolować. Mustang mogłaby zepsuć mój gambit, wystarczy, żeby skontaktowała się ze swoim bratem lub Władczynią i powiedziała im, dokąd się wybieram. A wszystko polega właśnie na tym, żeby ich zmylić. Moi wrogowie mają myśleć, że znajduję się na Fobosie.

Mustang wie, co myślę. Nie mogę pozwolić, aby opuściła hangar.

– Telemanusowie także wiedzą – oznajmia. Zbyt dobrze zna mój umysł. – Ale jestem zmęczona zabezpieczaniem się przed tobą. Zmęczyły mnie gierki. Ty i ja odpchnęliśmy się nawzajem z powodu zawiedzionego zaufania. Nie masz już tego dość? Tych tajemnic, które nas dzielą? Poczucia winy?

– Wiesz, że tak. W tunelach Lykos wyjawiłem ci wszystkie swoje tajemnice.

– Więc niech to będzie nasza druga szansa. Dla ciebie. Dla mnie. Dla naszych ludzi. Chcę tego, co ty. A kiedy my dwoje zawieramy sojusz, czy kiedyś przegraliśmy? Razem możemy coś zbudować, Darrow.

– Proponujesz zatem sojusz... – mój głos jest spokojny i cichy. Zdławiony.

– Tak. – Oczy Mustang płoną. – Potężny ród Augustus, a także Telemanusowie i ród Arcos zjednoczone po stronie powstania. Sprzymierzone z Kosiarzem. Z Orion i jej okrętami. Wstrząśniemy Elitą.

– W tej wojnie zginą miliony ludzi. Wiesz o tym. Niezrównani Naznaczeni będą walczyć do ostatniego Złotego. Będziesz mogła to znieść? Patrzeć na to?

– Najpierw trzeba zniszczyć, żeby potem budować – odpowiada spokojnie. – Słuchałam cię.

Mimo to nadal kręczę głową. Zbyt wiele narosło między nami niedomówień, zbyt wiele niechęci między naszymi ludźmi. Gdyby się powiodło, byłoby to zwycięstwo na jej zasadach.

– Jak mogę prosić mój lud, aby zaufał Złotej armii? Jak miałbym zaufać tobie?

– Nie możesz. I właśnie dlatego lecę z tobą. Chcę udowodnić, że wierzę w marzenie twojej żony. Jednak ty musisz udowodnić coś mnie. Musisz w zamian pokazać, że jesteś wart mojego zaufania. Wiem, że umiesz niszczyć. Muszę się jednak przekonać, czy potrafisz też budować. Muszę zobaczyć, co będziesz budował. Czy nie przelewaliśmy krwi na próżno. Dowiedź tego, a zyskasz mój miecz. Zawiedź, a ty i ja rozejdziemy się każde w swoją stronę. – Przekrzywia głowę i spogląda na mnie wyczekującą. – No, i co powiesz, Helldiverze? Chcesz dać nam jeszcze jedną szansę?

Rozdział dwudziesty piąty

EXODUS

W lądowni pomagam Mustang zdjąć zbroję.

- Wyposażenie polarne jest tutaj. – Wskazuję plastikowe pudło. – A buty tutaj.
- Żywe Srebro dał ci klucze do swojej zbrojowni? – Dziewczyna zerka na logo uskrzydlonego buta widoczne na skrzyniach. – Ile palców go to kosztowało?
- Żadnego. To Syn Aresa.
- Co takiego?

Wyszczerzamzęby. Dobrze wiedzieć, że świat nie jest jednak dla Mustang otwartą księgą. Silniki huczą i statek unosi się powoli.

– Przebierz się i dołącz do nas w kabinie pasażerskiej.

Zostawiam ją samą, żeby miała trochę prywatności. Zachowałem się bardziej szorstko, niż zamierzałem, ale w obecności Mustang ogarnia mnie dziwna radość.

Ragnara znajduję w kabinie pasażerskiej. Rozpiera się w fotelu i zajada czekoladkami. Białe buty opiera o fotel przed sobą.

– Bez urazy, ale co ty, do cholery, wyprawiasz? – pyta mnie Holiday. Z rękoma splecionymi na piersi stoi na korytarzu między kokpitem a kajutą pasażerską. – Wodzu.

– Ryzykuję – odpowiadam spokojnie. – Wiem, że może ci się to wydawać niepojęte, Holiday, ale zabieramy Mustang.

– Przecież ona jest uosobieniem Elity. Gorzej niż Victra. Jej ojciec...

– Zabił mi żonę. – Kiwam stanowczo głową. – Ale skoro ja mogę ją znieść, ty również.

Holiday gwiździ pod nosem, po czym odwraca się i idzie do kabiny pilotów, choć nadal nie jest zadowolona z nowej sojuszniczki.

– A ZATEM MUSTANG PRZYŁĄCZYŁA SIĘ DO NASZEJ MAŁEJ WYPRAWY – stwierdza Ragnar.

– Właśnie się przebiera – potwierdzam. – Nie miałeś prawa wypuszczać Kavaxa. Ani tym bardziej ujawniać mu, dokąd się wybieramy. A gdyby nas wydali, Ragnarze? Gdyby zastawili na nas pułapkę? Nigdy już nie zobaczyłbyś swojej ojczyzny. Gdyby Złoci dowiedzieli się, dokąd lecimy, nigdy nie pozwoliliby twojemu ludowi opuścić planety. Zabiliby wszystkich. Pomyślałeś o tym?

Ragnar sięga po następną czekoladkę.

– CZŁOWIEKOWI WYDAJE SIĘ, ŻE UMIE LATAĆ, ALE BOI SIĘ SKOCZYĆ. MARNY PRZYJACIEL POPCHNAŁBY GO W PLECY. – Obsydian podnosi na mnie oczy. – DOBRY PRZYJACIEL

SKOCZY RAZEM Z TOBĄ.

– Czytałeś „Kamienną Skórę”, co?

Ragnar kiwa głową.

– TEODORA MI JĄ DAŁA. LORN AU ARCOS BYŁ WIELKIM CZŁOWIEKIEM.

– Na pewno by się ucieszył, że tak myślisz, ale nie wierz w każde słowo z tej książki. Biograf puścił wodze wyobraźni. Zwłaszcza przy opisywaniu młodości Arcosa.

– LORN POWIEDZIAŁBY CI, ŻE POTRZEBUJEMY MUSTANG. TERAZ, PODCZAS WOJNY. I PÓŹNIEJ, GDY NASTANIE POKÓJ. JEŻELI NIE DOŁĄCZYMY JEJ DO NASZEJ SPRAWY, NIE ZWYCIĘŻYMY, DOPÓKI WSZYSCY ZŁOCI NIE ZOSTANĄ ZABICI. NIE DLATEGO WALCZĘ.

A potem wstaje, żeby powitać Mustang, która właśnie wchodzi do kajuty. Gdy się spotkali poprzednim razem, dziewczyna mierzyła mu w głowę.

– Ragnarze, sporo robiłeś, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Nie ma Złotego, który nie znałby i nie obawiał się twojego imienia. Dziękuję za uwolnienie Kavaxa.

– RODZINA JEST CENNA – przyznaje Ragnar. – ALE OSTRZEGAM CIĘ. ZMIERZAMY DO MOJEJ KRAINY. ZNAJDUJESZ SIĘ POD MOJĄ OCHRONĄ. JEŻELI SPRÓBUJESZ SWOICH GIEREK, JEŻELI ZACZNIESZ GRAĆ NIECZYSTO, STRACISZ TĘ OCHRONĘ. A NAWET TY NIE PRZEŻYJESZ NA LODZIE BEZE MNIE, CÓRKO LWA. ROZUMIESZ?

Mustang pochyla głowę z szacunkiem.

– Rozumiem. I odwdzięczę się za twoją wiarę we mnie, Ragnarze. Przyrzekam.

– Dość gadania. Pora zapiąć pasy – wtrąca gniewnie Holiday ze sterowni. Virga zestroila się już ze statkiem i wyprowadza go z hangaru. Zajmujemy miejsca. W kajucie jest dwadzieścia foteli, ale Mustang wybiera ten obok mnie po lewej stronie przejścia. Jej dłoń przypadkowo muska moje udo, gdy sięga po pas.

Statek wylatuje z hangaru i bezszelestnie zostawia za rufą ciemniejący, przemysłowy pejzaż Fobosa. Rury, doki, ładownie i śmietniska ciągną się jak okiem sięgnąć. Kierujemy się do gwiazd i w oślepiający blask Słońca. Niewiele tak pięknych statków jak ten kiedykolwiek znajdowało się tak głęboko pod powierzchnią Fobosa. Napisy „Podsektor” wymalowano na przemysłowych węzłach przeładunkowych i komunikacyjnych, gdzie ludzie wsiadają do statków, a statki przenoszą ich wyżej z tego pogrążonego w półmroku świata do wrót sektora, w których Synowie Aresa dokonali wyłomu.

Nasz smukły jacht mija lecące powoli śmieciarki i frachtowce. Wewnątrz, w pozbawionych okien, brudnych stalowych ładowniach, tłoczą się w milczeniu mężczyźni i kobiety. Pot spływa im po plecach, palce drżą, gdy zaciskają je na przyrządach, których wcześniej nigdy nie mieli w ręku – na bronie. Ci ludzie modlą się o odwagę, pragną być tak odważni, jak sobie zawsze wyobrażali. Niedługo wylądują w którymś hangarze Złotych. Synowie wydadzą rozkazy. A wrota się otworzą.

Modlę się za nich w duchu, gdy zaciskam dlonie i wyglądám przez okno. Czuję na karku spojrzenie Mustang. Obserwuje mnie. Szacuje, jak silny jest przypływ.

Niedługo potem opuszczamy sektory przemysłowe. Półmrok podziemi zmienia się w migotanie reklam na bulwarach Śródkoświatu. Wokół wznoszą się wykonane ręką człowieka ściany stalowych wąwozów. Przemykają między nimi pociągi i windy. Mijamy mieszkania średnich Kolorów. Każdy wyświetlacz i ekran podłączony do holosieci został przejęty przez hakerów Żywego Srebra i ukazuje teraz Sevra i Synów Aresa zdobywających kolejne grodzie bezpieczeństwa i stanowiska kontroli, a potem malujących na ścianach kosy z ustawionym pionowo ostrzem.

Wokół nas trzydziestomilionowe miasto wrze. Komercyjny transport dalekiego zasięgu wyprzedza małe cywilne transportery przeznaczone do poruszania się między budynkami. Już na całym Fobosie stare frachtowce unoszą się z Dna i przez Śródkoświat zmierzają do Igieł. Eskadra patrolowców przemyka się między ulicami nad nami. Wstrzymuję oddech. Wystarczy muśnięcie spustu i z naszego statku nie zostanie mokra plama. Ale patrolowce nie strzelają do nas. Odbierają nasz sygnał identyfikacyjny, który wskazuje, że ta jednostka należy do NadKoloru, łączącą się z pilotem, witającą i oferującą eskortę ze strefy wojny do strumienia jachtów i transporterów umykających z księżyca.

– Poruszająca przemowa – mruczy Victra, gdy odbieram połączenie z wieży Żywego Srebra. Jej znudzony głos wydaje się nierealny na tle panującego w mieście chaosu. – Klaun i Śrubokręt właśnie przejęli główne terminale w Niebniku. Ludzie Rolla zamknęli zbiorniki wody dla Śródkoświatu. Sieć Żywego Srebra nadaje wszystko nawet na Księżyce. Kosy pojawiają się wszędzie. W Agei, Koryncie i na całym Marsie wybuchają zamieszki. Podobne wieści dochodzą do nas z Ziemi i Księżyca. Placówki i budynki urzędów upadają. Posterunki policji płoną. Obudziłeś motłoch.

– Złoci wkrótce uderzą w odwecie.

– Jak przewidziałaś, skarbie. Zmasakrowaliśmy pierwsze oddziały wysłane przez Szakala. Dopadliśmy kilku Jeźdźców Kości, zgodnie z założeniami. Niestety, nie było wśród nich ani Lilath, ani Chwast.

– Szlag. Ale warto było spróbować.

– Flota marsjańska wyruszyła już z Deimosa. Legiony nadchodzą. Prowadzimy ostatnie przygotowania.

– Świetnie, Victro. Musisz koniecznie przekazać Sevrowi, że do naszej ekspedycji dołączyła jeszcze jedna osoba. Mustang jest z nami.

Victra milczy.

– Jestem na prywatnej linii?

Holiday z kokpitu rzuca mi słuchawki. Zakładam je pośpiesznie.

– Teraz już tak.

Victra nawet nie próbuje ukryć goryczy w głosie.

– Oto, co o tym myślę. Nie możesz jej ufać. Przypomnij sobie jej brata. I ojca. Mustang ma chciwość we krwi. Oczywiście, że się z nami sprzymierzyła. Pasuje to do jej planów. – Przyglądam się Mustang, gdy Victra mówi. – Potrzebuje nas, ponieważ przegrywa swoją walkę. Lecz co się stanie, gdy dostanie od nas to, czego potrzebuje? Co będzie, jeżeli staniemy jej na drodze? Zdołasz ją wtedy odsunąć? Zdołasz pociągnąć za spust?

– Tak.

* * *

Słowa Victry dźwięczą mi w uszach, gdy mijamy ogromne, szklane iglice Fobosa, a nasz statek przelatuje obok okien na wierzchołkach budowli w odległości najwyższej kilkudziesięciu metrów. Wewnątrz wież panuje szaleństwo. W dzielnicy, którą mijamy, powstanie już dotarło do Igieł i PodKolory nieubłaganie przedzierają się przez korytarze. Szarzy i Srebrni barykadują drzwi, Różowi z nożami w dłoniach stoją w sypialni nad krwawiącym Złotym i jego żoną. Troje Srebrnych dzieci ogląda Aresa na sciennym holo, gdy ich rodzice rozmawiają w bibliotece. A na koniec dostrzegam Złotą w błękitnej sukni koktajlowej i w sznurze perel. Złote rozpuszczone włosy opadają jej do talii. Kobieta stoi przy oknie swojego apartamentu, gdy Synowie Aresa rozpraszały się po korytarzach piętro niżej. Złota unosi blaster do skroni. Prostuje się w swoim wyimaginowanym majestacie. Odgrywa swój teatralny dramat. Zaciska palec na spuście.

A my odlatujemy. Pozostawiamy samobójczynię i chaos miasta, aby dołączyć do strumienia jachtów i liniowców uciekających przed bitwą na bezpieczne planety. Większość uchodźców uważa Marsa za swój dom. Ich statki, w przeciwieństwie do naszego, nie są wyposażone do lotu w głęboki kosmos. Rozpraszały się nad atmosferą planety jak zarodniki na wietrze. Większość kieruje się prosto do kosmoportu w Koryncie na środku Morza Ciepła, inne porzucają główne trajektorie i pędzą, aby minąć tworzoną właśnie przez Szakala blokadę i warstwę satelitów – chcą dostać się do swoich siedzib na drugiej półkuli. Ścigają je myśliwce i patrolowce z wojskowych fregat, próbują zatrzymać uciekinierów na wyznaczone trasy. Jednak surowe przepisy i chaos to bardzo złe połączenie. Tych uciekających Złotych ogarnia panika.

– To „Dido” – mówi cicho Mustang, gdy widzi przeszklony jacht w kształcie żaglówki na naszej sterburcie. – Należy do Drusilli au Ran. Nauczyła mnie, jak malować akwarele, gdy byłam mała.

Moją uwagę przyciągają jednak mroczne okręty, które znajdują się o wiele dalej. Nie mają wymyślnych kształtów ani lśniących kadłubów. Kierują się na Fobosa i nabierają szybkości. Chyba ponad połowa Marsjańskiej Floty Obronnej ruszyła na

odsiecz – fregaty, kutry rakietowe, niszczyciele. Nawet dwa krążowniki. Zastanawiam się, czy Szakal stoi na mostku jednego z nich. Mało prawdopodobne. Grupę wsparcia prowadzi zapewne Lilath albo inny, mianowany podczas reżimu Pretor. Niewątpliwie na pokładach tłoczą się doświadczeni żołnierze, równie twardzi jak nasi. Wielu wzięło udział w moim Stalowym Deszczu. Przez tłumy, które zwołałem na Fobosie, przebijają się jak przez papier. Żołnierze będą wściekli i pewni siebie – im więcej wrogów, tym lepiej.

– To pułapka, prawda? – pyta cicho Mustang. – Nigdy nie chciałeś zatrzymać Fobosa.

– Wiesz, jak Eskimosi z Ziemi zabijają wilki? – odpowiadam pytaniem na jej pytanie. Mustang nie wie. – Ponieważ są wolniejsi i słabsi niż wilki, ostrzą noże, potem oblewają je krwią i wbijają w śnieg tak, aby rękojeść zamarzła w lodzie, a ostrze wystawało pionowo w górę. Wkrótce zjawiają się wilki. Zaczynają zlizywać krew. Są wygłodniałe, więc liżą coraz szybciej. I nie zdają sobie sprawy, dopóki nie jest za późno, że krew, którą połykają, to ich własna.

Skinieniem głowy wskazuję okręty floty marsjańskiej.

– Oni nienawidzą mnie za to, że byłem jednym z nich. Jak sądzisz, ilu doświadczonych żołnierzy zejdzie z tych okrętów na Fobosie i spróbuje mnie pojmać? Stanowię przecież największą obiegę dla ich wielkości i chwały. Po raz kolejny pycha stanie się przyczyną upadku twojego Koloru.

– Chcesz zwabić ich na stację. – Mustang zaczyna rozumieć. – Ponieważ wcale nie potrzebujesz Fobosa.

– Jak już się domyśliłaś, lecę do Iglic Walkirii po armię. Orion i ty utrzymujecie resztki mojej floty, ale będzie nam potrzebnych więcej okrętów. Sevro czeka w systemie wentylacyjnym hangarów. Kiedy oddziały wylądują, aby odbić iglicę wojskową i Igły, będą musiały zostawić promy właśnie w tych hangarach. Sevro wyjdzie z kryjówki, zhakuje promy i odeśle je na macierzyste okręty z Synami Aresa, żeby przejąć te jednostki.

– Naprawdę sądzisz, że zdołasz kontrolować Obsydianów? – zmienia temat Mustang.

– Nie ja. On. – Skinieniem głowy wskazuję Ragnara. – Obsydiani żyją w lęku przed swoimi „bogami” z Zarządu Kontroli Jakości, którzy przebywają na stacji Asgard. Złoci w zbrojach udają Odyna i Freyę. Tak samo jak kiedyś ja żyłem w strachu przed Szarymi z Kotła. Są oszukiwani przez Cenzorów zupełnie jak my. Ragnar zamierza pokazać Obsydianom, jak bardzo śmiertelni są ich bogowie.

– W jaki sposób?

– ZABIJEMY ICH – odpowiada Ragnar. – WYSŁAŁEM WCZEŚNIEJ PRZYJACIÓŁ, WIELE MIESIĘCY TEMU, ŻEBY GŁOSILI PRAWDĘ. POWRÓCIMY DO MOJEJ MATKI I SIOSTRY JAKO BOHATEROWIE, A WTEDY POWIEM WSZYSTKIM OSOBIŚCIE, ŻE ICH BOGOWIE SĄ FAŁSYWI.

POKAŻĘ IM, ŻE MOGĄ LATAĆ. DAM IM BROŃ, A POTEM POLECIMY DO ASGARDU I PODBIJEMY GO TAK, JAK DARROW PODBIŁ OLIMP. Wtedy uwolnimy inne plemiona i zabierzemy je z tej krainy lodu na statkach żywego srebra.

- Więc po to masz na pokładzie ten cholerny arsenał – krzywi się Mustang.
- I co myślisz? – pytam ją. – To możliwe?
- Szalone – przyznaje, nie kryjąc podziwu dla bezczelności tego planu. – Możliwe, że się uda. Ale tylko jeżeli Ragnar zdoła kontrolować Obsydianów.
- NIE BĘDĘ KONTROLOWAŁ. BĘDĘ PRZEWODZIŁ – oznajmia Ragnar z absolutnym przekonaniem.

Mustang patrzy na niego z podziwem.

– Wierzę, że tego dokonasz.

Zerkam na Ragnara, gdy patrzy przez okno. Jakie myśli kłębią mu się w głowie? Po raz pierwszy mam wrażenie, że nie powiedział mi wszystkiego. Oszukał mnie, gdy za moimi plecami uwolnił Kavaxa. Co jeszcze planuje?

* * *

Nasłuchujemy w napięciu, jak wśród trzasków na falach radiowych kapitanowie jachtów proszą o pozwolenie na dokowanie w hangarach fregat bojowych, zamiast schodzić do lądowania. Wykorzystywane są koneksje. Oferowane łapówki.

Przywoływane przysługi. Ludzie błagają i płaczą. Ci cywile odkrywają właśnie, że ich świat był mniejsiy, niż sobie wyobrażali. Nie liczą się. Na wojnie ludzie tracą to, co czyni ich wielkimi. Swoją kreatywność. Mądrość. Radość. Pozostaje tylko ich przydatność. Wojna jest potworna, lecz nie tylko dlatego, że pozostawia po sobie śmierć i zniszczenie, lecz przede wszystkim dlatego, że zmienia ludzi w maszyny. I biada tym, którzy nie nadają się do wojny, chyba że mogą karmić maszyny.

Niezrównani Naznaczeni znają tę okrutną prawdę. Przez stulecia szkolili się do tej nowej ery wojny. Zabijali podczas Chrztu. Zmagali się z niebezpieczeństwstwami w Instytucie, aby byli warci tej nowej wojny, gdy nadjdzie. Pora, aby Pixie z pełnymi sakiewkami i drogimi zachciankami docenili prawdziwe życie – nie liczysz się, chyba że potrafisz zabijać.

Rachunek, jak często powtarzał Lorn, wystawiany jest na koniec. I Pixie właśnie go płacą.

Głos Złotej Cenzor niesie się z głośników naszego statku. Rozkazuje jednostkom uchodźców wracać na wyznaczone trajektorie i oddalić się od okrętów wojennych. Jeżeli któryś statek nie posłucha, zostanie ostrzelany i zniszczony. Cenzor nie może sobie pozwolić, aby jakakolwiek niezidentyfikowana jednostka zbliżyła się na pięćdziesiąt kilometrów do jej floty. Na pokładzie takiego nieautoryzowanego jachtu mogą być bomby. Albo Synowie Aresa. Mimo to dwa statki ignorują

ostrzeżenie. Dwa krążowniki otwierają ogień z działek automatycznych i rozrywają kadłuby intruzów. Cenzor powtarza rozkazy. Tym razem wszystkie jachty są posłuszne. Zerkam na Mustang. Ciekawe, co ona o tym myśli. O mnie. Szkoda, że nie możemy odlecieć w jakieś spokojne miejsce, gdzie nic by nas nie rozdzielało. Gdzie wypytywałbym Mustang o nią, nie o wojnę.

- Wydaje się, jakby to był koniec świata – wzducha dziewczyna.
- Nie. – Kręczę głową. – To początek nowego.

Planeta pod nami jest błękitna, z pasmami bieli. Patrzymy na nią, gdy poruszamy się dozwolonym kursem nad wschodnią półkulą wzdłuż równika. Małe zielone wyspy otoczone kremowymi plażami odcinają się na błękitie Morza Ciepła. Tuż pod nami jachty chyboczą się i płoną, gdy uderzają w atmosferę. Jak fosforyczne fajerwerki, którymi bawiliśmy się z Eo w dzieciństwie, podskakują spazmatycznie i rozpalają się na pomarańczowo, a potem na niebiesko, gdy tarcie rozgrzewa tarcze pola siłowego. Nasza Niebieska pilot oddala nas od nich i leci za sznurem innych statków, które oderwały się od głównej grupy i ruszyły do swoich domów.

Zostawiamy Fobosa daleko w tyle. Pod nami przesuwają się kontynenty Marsa. Jeden po drugim inne statki opadają do lądowania, tylko my jeszcze kontynuujemy podróż. Zmierzamy w niecywilizowane obszary bieguna. Mijamy satelity monitorujące ruch nad południową półkulą. Ich systemy zostały zhakowane, przekazują informacje przed trzech lat. Nasz statek jest niewidzialny. Nie tylko dla naszych wrogów, lecz także dla przyjaciół. Mustang wstaje z fotela i zagląda do kokpitu.

– Co to jest? – Wskazuje na wyświetlacz obrazów z czujników. Za nami podąża samotna kropka.

– Jeden ze statków uciekających z Fobosa – wyjaśnia pilot. – Jednostka cywilna. Żadnej broni.

Ale ten statek szybko się zbliża. Znajduje się osiemdziesiąt kilometrów za rufą.

– Jeżeli to jednostka cywilna, dlaczego nieoczekiwane pojawiła się na naszych detektorach? – pyta podejrzliwie Mustang.

– Może miała osłony zakłócające? – odpowiada nerwowo Holiday.

Statek zbliża się do naszego na czterdzieści kilometrów. Coś jest nie tak.

– Cywilne jednostki nie mają takiego przyśpieszenia – zauważa Mustang.

– Nurkuj – rozkazuję Niebieskiej pilot. – Wejdź już teraz w atmosferę. Holiday, przygotuj broń.

Niebieska uruchamia procedury obronne, przyśpiesza i wzmacnia osłony rufowe. Uderzamy w atmosferę. Szczękam zębami. Elektroniczny głos komputera pokładowego doradza pasażerom zajęcie miejsc. Holiday zatacza się, gdy przebiega obok korytarzem na stanowisko przy działku maszynowym. A potem włączają się syreny, gdy na ekranie radaru wystrza się obraz statku, który leci z tyłu. Ze skrytek

w jeszcze niedawno gładkim kadłubie wysuwa się broń. Jednostka zanurza się za nami w atmosferę i zaraz potem zaczyna strzelać.

Nasza pilot porusza szybko dłońmi zanurzonymi w żelowych sterach. Żołądek podchodzi mi do gardła. Naddźwiękowe pociski z ładunkiem zubożonego uranu przecinają chmury i lodowy krajobraz. Rozgrzewają się w locie, gdy nas mijają. Statkiem szarpie i rzuca. Nasza pilot porusza szybko palcami w iskrzącym się żelu, twarz ma beznamiętną, gdy jej umysł przebywa na innym planie, zajęty choreografią ucieczki przed ścigającą statek jednostką. Niebieska niewidzące oczy wbija w dal, kropla potu spływa jej po prawej skroni na policzek. A potem w kokpit wdziela się szara smuga i pilot wybucha w strzępy tkanek, krew bryzga na okno i na moją twarz. Pocisk rozerwał połowę ciała Niebieskiej i przebił podłogę. Drugi, wielkości głowy dziecka, z wizgiem przemyka przez kajutę między mną i Mustang, wybija dziury w podłodze i suficie. Do kabiny wdziela się wiatr. Alarmowe maski tlenowe spadają nam na kolana. Dźwięk syren zniekształca się i wibruje, gdy na statku spada ciśnienie. Przez otwór w podłodze widać granat oceanu, a przez ten w suficie – gwiazdy. Tracimy tlen. Ścigająca nas jednostka strzela nadal, choć nasz statek już stał się bezużyteczny. Kulę się w przeróżeniu, osłaniam głowę ramionami, a wszystko, co we mnie ludzkie, krzyczy.

Śmiech, złowieszczy i nieludzki, grzmi echem wśród ścian. Mam wrażenie, że niesie się na wietrze hulającym na pokładzie. Lecz nie. To Ragnar. Z uniesioną głową śmieje się do swoich bogów.

– ODYN WIE, ŻE PRZBYWAMY I NIESIEMY MU ŚMIERĆ. NAWET FAŁSYWYCH BOGÓW NIE DA SIĘ ŁATWO ZABIĆ!

Wstaje ze swojego fotela, wybiega na korytarz. Śmieje się jak szaleniec i nie słucha, gdy krzyczę za nim, żeby został. Pociski śmigają obok niego.

– NADCHODZĘ, ODYNIE! IDĘ PO CIEBIE!

Mustang zakłada maskę tlenową i uwalnia się z pasów, zanim udaje mi się zebrać myśli. Statek się chwieje, wstrząsy ciskają dziewczyną o sufit i podłogę z siłą, która strzaskałaby czaszkę każdemu oprócz Aureata. Mustang ma ranę na czole, krew spływa jej na oczy. Przyciska się do podłogi i ustawia w odpowiedniej pozycji, czekając na następny przewróć statku, aby wykorzystać grawitację i spaść do sterowni. Ląduje niezdarnie przy fotelu drugiego pilota, udaje się jej jednak przytrzymać podłokietnika i szybko przypiąć pasami. Coraz więcej światel ostrzegawczych pulsuje na zbryzganej krwią konsoli. Wychylam się, aby sprawdzić, czy Ragnar i Holiday jeszcze żyją. Zamiast nich widzę trzy pociski niszczące kajutę za mną. Zęby mi szczekają, wnętrzności wibrują tak samo jak kieliszki do szampana w pokoju po lewej. Nie mogę nic zrobić, tylko czekać, gdy Mustang próbuje powstrzymać nasz bezwładny upadek z orbity. Żelowe wypełnienia fotela ściskają mi ciasno żebra. Przyśpieszenie mnie miażdży. Wydaje się, że czas zwalnia, a świat w

dole coraz bardziej puchnie. Statek przebija chmury. Na detektorach widzę punkt, który mknie od naszego jachtu i zderza się ze ścigającym nas agresorem. A potem za rufą widzę rozbłysk. Śnieg, lód i góry przelatują i kołyszą się wokół nas, tylko to widzę przez pęknięte okno kokpitu. Wiatr wyje, rozdzierająco zimny na mojej twarzy.

– Przygotować się na zderzenie – woła Mustang z fotela pilota. – Za pięć...

Spadamy wprost na płytę lodu, kołyszącą się na morskich falach. Na horyzoncie, pod niebem znaczonym czerwonymi smugami zmierzchu, wznosi się poszarpane pasmo wulkanicznych zboczy. Na jednym ze szczytów stoi olbrzymi mężczyzna. Czarny i potężny w szkarłatnym blasku zachodu. Mrugam zaskoczony. Zaczynam się zastanawiać, czy umysł płata mi figle. Czy przed śmiercią widzę Fitchnera? Usta olbrzyma są otwarte, przypominają mroczną otchłań, w której ginie każdy promień światła.

– Darrow, uważaj! – krzyczy Mustang. Chowam głowę między kolana, osłaniam się ramionami.

– Trzy... dwa... już.

Nasz statek wbija się w lód.

Rozdział dwudziesty szósty

LÓD

Otacza nas mrok i chłód, gdy zanurzamy się w morze. Woda wdziela się przez podziurawioną rufę statku, szumi i bulgocze przez otwory w kokpicie. Znajdujemy się już pod falami, ostatnie przebłyski światła nikną w ciemności. Pasy bezpieczeństwa zaciskały się na moim ciele, aby przeciwdziałać bezwładności przy kolizji i chronić moje kości, ale teraz zmieniają się w śmiertelne pęta, ponieważ ściągają mnie na dno razem ze statkiem. Woda na twarzy jest jak mroźne igły. Polarny kombinezon chroni mnie jednak przed zimnem. Przecinam pasy slingiem. W uszach szumi mi wzrastające ciśnienie, gdy rozglądam się z przeróżeniem za Mustang.

Dziewczyna żyje i już przygotowuje ucieczkę. Światło w jej ręce tnie mrok w zalany kokpicie, ostrze jest naprężone. Mustang przeciąga pasy tak samo jak ja. Przedzieram się do niej przez zalaną kabinę. Ruffy statku nie ma. Trzy poziomy ogona zostały oderwane i odpłynęły w dal z Ragnarem i Holiday. Poprawiam maskę, która zasłania mi nos i usta. Tylko dlatego jeszcze żyję – mam czym oddychać.

Mustang i ja porozumiewamy się przy pomocy znaków i gestów używanych przez oddziały Szarych brytanów. Instynkt podpowiada, żeby jak najszybciej odpłynąć z miejsca katastrofy, ale szkolenie nakazuje liczyć oddechy i myśleć analitycznie. Na pokładzie jest sprzęt, którego możemy potrzebować. Mustang w kokpicie szuka apteczki i pakietu ratunkowego, a ja staram się znaleźć swój plecak. Niestety, zniknął wraz z resztą ładunku, który mieliśmy przekazać Obsydianom do zdobycia Asgardu. Mustang dołącza do mnie. Ciągnie plastikową skrzynkę ratunkową, którą wydobyła zza fotela pilota.

Nabieramy po raz ostatni tchu i porzucamy tlen.

Podpływamy do krawędzi zniszczonego kadłuba, gdzie kończy się statek i zaczyna ocean. Otwarta. Mustang gasi latarkę, a ja zwiążuję nas razem przy pomocy pasa bezpieczeństwa odciętego od mojego fotela. Stworzenia w tym morzu to ludojady – zostały wyrzeźbione w celu uwięzienia Obsydianów na tym lodowym kontynencie. Widziałem zdjęcia tych stworów. Są przejrzyste. I mają wielkie kły. Wypukłe oczy. Bladą skórę poprzecinaną błękitnymi żyłkami. Przyciąga je światło i ciepło. Pływanie w otwartych wodach z włączoną latarką przywabiłoby potwory z największych głębin. Nawet Ragnar by się nie ośmielił.

Nie widzimy dalej niż na wyciągnięcie ręki. Odbijamy się od kadłuba jachtu i ruszamy w mroczne wody. Walczymy o każdy bolesny metr. Nie widzę Mustang, choć jest przede mną. W zimnie poruszamy się w ślimaczym tempie. Ramiona mnie palą przy każdym ruchu, ale umysł mam jasny i pewny. Nie umrzemy w tym oceanie. Nie utopimy się. Powtarzam to raz po raz, gdy z nienawiścią przedzieram się przez wodę.

Mustang kopie mnie w stopę i burzy mój rytm. Próbuje go odzyskać. Gdzie jest powierzchnia? Nie widać słońca, brakuje jakiekolwiek wskazówki, że jesteśmy już blisko. Ciemność w wodzie dezorientuje. Mustang znowu uderza mnie w nogę. Tylko że tym razem wyczuwam poruszenie, jakby coś dużego, szybkiego i lodowatego przepłynęło w głębi pod nami.

Tnę na oślep ostrzem slinga, ale w nic nie trafiam. Walka w panice jest niemożliwa. Przecinam ciemność bezkresnego oceanu i zaczynam rozpaczliwie uderzać nogami. Płynę tak szybko, że uderzam głową w lodową taflę unoszącą się na powierzchni z taką siłą, że prawie tracę przytomność. Mustang doryka moich pleców. Uspokaja mnie. Lód przypomina ciemnoszarą skórę, rozciągającą się nad nami. Wbijam ostrze w chropowatą płaszczyznę, słyszę, że obok Mustang robi to samo. Lód okazuje się zbyt gruby, żeby udało nam się przebić. Łapię dziewczynę za ramię i rysuję palcem krąg, żeby przekazać swój plan. Odwracamy się tak, żeby stykać się plecami. Razem, niemal ślepi i półprzytomni z braku powietrza, zaczynamy wycinać koło. Wreszcie czuję, że lód lekko się poddaje. Jest zbyt ciężki, aby go podnieść bez wspomagania, i zbyt wyporny, żeby go po prostu siłą ramion ściągnąć w dół. Dlatego odpływam w bok, aby wraz Mustang rozdrobnić wycięty walec ostrzami. Najpierw przez otwór udaje nam się przepchnąć skrzynkę ratunkową, potem przedostaje się dziewczyna. Wyciąga ręce, żeby mi pomóc. Tnę na oślep w mrok, a potem ruszam za nią.

Padamy na twardą jak skała powierzchnię lodu.

Nasze ciała drżą na zimnym wietrze.

Znajdujemy się na skraju lodowej tafla między dzikim wybrzeżem i zimnym, czarnym morzem. Niebo spowija ciemny metaliczny błękit – na biegunie południowym trwa właśnie dwumiesięczny zmierzch przed nadejściem zimy. Górska brzeg, mroczny i poszarpany, oddalony najwyżej o trzy kilometry, rozciąga się jak okiem sięgnąć. Tu i ówdzie kołyszą się góry lodowe. Szczątki wraku dymią u stóp skał. Wiatr coraz głośniejszym świszem zwiastuje nadejście sztormu, fale podnoszą się i zaczynają szaleć, przez wycięty przeze mnie i Mustang otwór tryska słona pianę.

Pięćdziesiąt metrów od nas pojawia się gejzer. Ktoś użył pulsRękawicy pod lodem. Odrętwiali i zmarznięci ruszamy na pomoc Holiday, która właśnie wydobywa się spod wody. Mustang ciągnie skrzynkę ratunkową.

– Gdzie Ragnar? – wołam. Holiday podnosi na mnie wzrok, twarz ma bladą i wykrzywioną. Z nogi cieknie jej krew. Z uda wystaje odłamek poszycia jachtu. Kombinezon ocalił ją przed najgorszym, ale nie miała czasu naciągnąć kaptura ani rękawic. Zaciska opaskę nad raną na nodze i zagląda do wybitego pulsRękawicą otworu.

– Nie wiem – wzducha.

– Nie wiesz? – Usztywniam ostrze, pochylam się chwiejnie i ruszam do dziury.

Holiday kuśtyka szybko, żeby zastawić mi drogę.

– Tam w głębi coś jest! Ragnar odciągnął to ode mnie.

– Schodzę tam – oznajmiam.

– Co? – prycha Holiday. – Tam jest ciemno choć oko wykol. Nigdy go nie znajdziesz.

– Skąd wiesz?

– Zginiesz.

– Nie zostawię go.

– Darrow, przestań. – Szara zrzaca pulsRękawicę i wyszarpuje z kabury przy biodrze pistolet Trigga, a potem strzela mi pod stopy. – Przestań.

– Co robisz? – krzyczę na wietrze.

– Prędzej odstrzelę ci nogę, niż pozwolę, żebyś się zabił. A właśnie tak będzie, jeśli jezdzasz do wody.

– Pozwolisz Ragnarowi umrzeć?

– On nie jest moim zadaniem. – Jej spojrzenie jest twardie jak stal. Bez emocji, analityczne. Holiday walczy zupełnie inaczej niż ja. Wiem, że pociągnie za spust, aby ocalić mi życie. Już mam się na nią rzucić, gdy Mustang przemyka obok mnie po lewej. Zbyt szybko, żeby zaprotestować albo żeby Holiday zdążyła jej również zagrozić. Dziewczyna skacze w otwór. Rękczęść ostrza ściska w prawej dloni, w lewej świeci ostro latarka.

Rozdział dwudziesty siódmy

ZATOKA ŚMIECHU

Pędzę do otworu w lodzie. Na krawędzi woda chlupocze spokojnie. Lód jest zbyt gruby, aby dostrzec Mustang, gdy płynie w głębinę, ale w krystalicznej pokrywie widać poświatę latarki, błękitną i kierującą się do brzegu. Ruszam za tym pobłaskiem. Holiday próbuje iść za mną. Krzyczę, żeby została i skorzystała z apteczki.

Idę za poświatą latarki Mustang. Ostrze błyska pod lodem. Wreszcie po paru minutach światło się zatrzymuje. Nie minęło jeszcze dość czasu, aby Mustang zaczęła się dusić, ale nie rusza się przez dziesięć sekund. A potem blask zaczyna znikać. Mustang się zanurza, a woda i lód zaczynają tłumić światło. Muszę ją stamtąd wydostać. Wbijam ostrze i zaczynam wyrzynać otwór. Z rykiem wciskam palce w szczele, unoszę wycięty kawałek nad głowę i odrzucam. Ukazuje się spieniona woda, blade ciała i krew. Mustang wyskakuje ku powierzchni z krzykiem bólu. Ragnar obok niej, siny i sztywny, podtrzymuje ją pod lewym ramieniem. Prawe dziewczyna ma zanurzone, pod wodą dostrzegam blady kształt.

Wbijam ostrze w lód za sobą, przytrzymuję się rękojeści i wyciągam rękę. Mustang chwyta mnie mocno – wyciągam ją szarpnięciem z wody. Potem oboje wywlekamy Ragnara, wyjąć z wysiłku. Mustang pada na lód obok Obsydiana. Nie jest sama. Biały robakowaty stwór rozmiarów ludzkiego karła przysiągnął się do jej pleców. Przypomina giętkiego ślimaka, tyle że na spodzie jest twardszy, na owłosionej przejrzystej skórze otwierają się tuziny małych, piszących paszczy z igiełkowatymi kłami, które wbijają się w Mustang. Ten stwór zjada ją żywcem. Drugi stwór, nie większy od sporego psa, przyczepił się do pleców Ragnara.

– Zabierz to ze mnie! – wrzeszczy Mustang, machając ostrzem na oślep. – Zdejmij to!

Stwór jest silniejszy, niż się wydaje. Ciągnie dziewczynę z powrotem do morza. Strzał z pistoletu odbija się echem wśród mroźnego pustkowia. Holiday trafiła ślimaka w bok. Stwór drga i skrzeczy. Rana spowalnia go na tyle, że udaje mi się dobiec i odciąć stworzenie od Mustang. Kopię umierające truchło, po czym zabieram się za drugiego potwora. Po rozpłataniu go i zdarciu z pleców Ragnara odrzucam stworzenie jak najdalej.

– W wodzie jest ich więcej. I jeszcze coś większego. – Mustang podnosi się chwiejnie. Rysy się jej wystrzają, gdy widzi Ragnara. Pochylam się nad nim. Nie oddycha.

– Pilnuj otworu – nakazuję dziewczynie.

Mój ogromny przyjaciel wygląda tak dzieciinnie, gdy leży bezwładnie na lodzie. Zaczynam sztuczne oddychanie. Ragnar stracił lewy but. Skarpeta jest w połowie zdarta. Stopa uderza o lód, gdy naciskam mu mostek. Holiday, kulejąc, podchodzi do nas powoli. Źrenice ma rozszerzone od środków przeciwbólowych, nogę owija usztywnienie z apteczki. Jednak kiedy leki przestaną działać, Holiday nie zdoła iść, uszkodzenia tkanek są zbyt głębokie. Szara opada na lód obok Ragnara. Poprawia mu skarpetkę, jakby to miało znaczenie.

– Wróć – słyszę własny głos. Ślina zamarza mi na wargach. Na powiekach kruszą się kryształki zlodowaciały łyż, chociaż nawet nie zauważałem, że płaczę. – Wróć. Twoja praca nie dobiegła jeszcze końca.

Tatuaż Wyjca wydaje się ciemniejszy na tle blednącej skóry. Runy ochronne wyglądają jak łyzy na białych policzkach.

– Twój lud cię potrzebuje – dodaję. Holiday ujmuje go za rękę. Nawet obie jej dlonie są mniejsze niż ogromna, sześciopalczasta łapa Obsydiana.

– Chcesz, żeby Złoci wygrali? – rzuca Holiday. – Obudź się, Ragnarze. Obudź się.

Olbrzym wzdryga się pod moimi rękami. Tors zaczyna drżeć od bicia serca. Woda pieni mu się na ustach. Barki uderzają o lód, gdy Obsidian kaszle oszołomiony. Nabiera tchu. Jego wielka klatka piersiowa napina się powoli. Ragnar spogląda w niebo. Jego popękane wargi rozciągają się w drwiącym uśmiechu.

– JESZCZE NIE, WSZECHMATKO. JESZCZE NIE.

* * *

– Mamy przerąbane – oznajmia Holiday, gdy sprawdzamy nędzne wyposażenie, które Mustang zabrała z rozbitego statku. Trzęsieniemy się razem w rozpadlinie – przynajmniej chroni nas przed wiatrem. I niczym więcej. Nędznego ciepła dostarczają nam dwie flary termiczne. Przykleliśmy się tutaj po pokrywie lodowej, a przeszywająco mroźny wicher kąsał nas mrozem. Wieje prawie osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Sztorm ciemnieje nad horyzontem za nami. Ragnar patrzy na nas czujnie, gdy przeglądamy ekwipunek. Mamy nadajniki GPS, kilka batonów proteinowych, dwie latarki, liofilizowaną żywność, piecyk termiczny i koc, którym może się okryć jedna osoba. Owineliśmy nim Holiday, ponieważ jej skafander jest najbardziej zniszczony. Mamy też pistolet sygnalizacyjny, aplikator opatrunków usztywniających i cyfrowy podręcznik przetrwania wielkości paznokcia.

– Ma rację – wzducha Mustang. – Musimy się stąd wydostać albo już po nas.

Dwaj Obsidiani Ragnara zginęli. Nasze skrzynie z bronią przepadły. Nasze zbroje i buty grawitacyjne oraz zapasy utonęły w morzu. Wszystko, co pozwoliłoby Obsidianom zniszczyć ich bogów. Wszystko, co pozwoliłoby skontaktować się z

naszymi przyjaciółmi na orbicie. Satelity są ślepe. Nikt nie patrzy. Nikt oprócz ludzi, którzy nas zestrzelili. Jedyne pocieszenie, że oni również spadli. Widzieliśmy, jak ich wrak płonie w górach, gdy przedzieraliśmy się przez pokrywę lodową. Jeżeli jednak przetrwali, jeżeli mają wyposażenie, zaczną nas szukać, żeby zabić. A nam do obrony zostały tylko ostrza, strzelby i pulsRękawica z opróżnionym magazynkiem. Holiday jest ranna. Kombinezony mamy poszarpane i uszkodzone. Jednak to nie zimno dopadnie nas pierwsze, lecz pragnienie. Czarne skały i lód ciągną się po horyzont. Jeżeli jednak zaczniemy jeść lód, wewnętrzna temperatura zacznie nam spadać, a wtedy mróz nas dobije.

– Musimy znaleźć schronienie. – Mustang chucha w dlonie, osłonięte rękawicami. Drzy. – Kiedy ostatnio widziałam wykres kursu, znajdowaliśmy się dwieście kilometrów od Iglic.

– Równie dobrze mogło być tysiąc kilometrów – prycha Holiday ponuro. Przygryza popękaną wargę i przygląda się naszym zapasom, jakby to miało je rozmnożyć.

Ragnar słucha rozmowy ze znużeniem. Zna swoją krainę. Wie, że nie zdołamy tutaj przeżyć. A chociaż tego nie powie, wie także, że będzie patrzył, jak umieramy po kolej, a on nie będzie mógł nic zrobić, żeby temu zapobiec. Holiday zginie pierwsza. Potem Mustang, bo jej skafander jest rozdartý tam, gdzie ugryzła ją ślimakowata bestia, i wlało się do środka trochę wody. Potem umrę ja, a Ragnar przeżyje. Jakże arogancko musiały brzmieć nasze słowa, gdy myśleliśmy, że zdołamy wylądować i uwolnić Obsydianów w jedną noc.

– Nie ma tu nomadów? – pyta Holiday Ragnar. – Słyszałam opowieści o zagubionych legionistach...

– To NIE OPowieści – odpowiada Ragnar. – KŁANY RZADKO WYPRAWIAJĄ SIĘ NA LÓD, GDY MINIE JESIEŃ. TO SEZON LUDOŻERCÓW.

– Nie wspomniałeś o nich – zauważam.

– SĄDZIĘM, ŻE MINIEMY ICH TERYTORIA. PRZYKRO MI.

– Co to za rasa ci ludożercy? – wtrąca Holiday. – Słabo znam antropologię arktyczną.

– PO PROSTU LUDOŻERCY – wyjaśnia Ragnar. – ZHAŃBIONE WYZRUTKI Z KLANÓW.

– O cholera jasna...

– Darrow, musi być jakiś sposób, żeby skontaktować się z twoimi ludźmi. Niech nas stąd zabiorą... – Mustang rozpaczliwie pragnie uratować jeszcze tę wyprawę.

– Nie ma. Urządzenia zakłócające Asgardu wywołują szum statyczny na całym kontynencie. W promieniu tysiąca kilometrów tylko tam jest technika. Chyba że na tym drugim wraku coś zostało.

– KIM ONI SĄ? – pyta Ragnar.

– Nie wiem. Raczej nie Szakal. – Kręczę głową. – Gdyby wiedział, kim jesteśmy, wysłałby za nami flotę, nie jeden statek do tajnych operacji.

– To Cassius – wyjaśnia Mustang. – Zakładam, że przyleciał zamaskowanym statkiem, tak samo jak ja. Powinien być na Księżycu. Jednym z pozytywnych aspektów moich negocjacji było to, że gdyby mój brat się dowiedział o działaniach Władczyni za jego plecami, skończyłoby się to równie źle dla Cassiusa, jak i dla mnie. A może nawet gorzej dla niego.

– Skąd wiedział, na którym statku jesteśmy? – dziwię się.

Mustang wzrusza ramionami.

– Pewnie przejrzał podstęp. Może śledził nas od Dna. Nie wiem. Cassius nie jest głupi. Przecież podczas Deszczu przyłapał cię, gdy przekradałeś się pod murem.

– Albo ktoś mu powiedział – wtrąca ponuro Holiday.

– Dlaczego miałabym mu mówić? Przecież byłam na pokładzie – krzywi się Mustang.

– Cóż, miejmy nadzieję, że to Cassius. – Uśmiecham się. – Jeżeli to on, nie założy po prostu butów grawitacyjnych i nie poleci do Asgardu prosić o pomoc, bo wtedy będzie musiał się tłumaczyć Szakalowi, dlaczego w ogóle był na Fobosie. A właściwie jak udało się zestrzelić tamten statek? – Spoglądam na swoich towarzyszy. – Wyglądało to na pocisk z rufy naszego jachtu, ale przecież nie było na nim pocisków.

– BYŁY W SKRZYNIACH – wyjaśnia Ragnar. – WYSTRZELIŁEM SARISĘ Z WYZRZUTNI RĘCZNEJ Z ŁADOWNI RUFOWEJ.

– Wystrzeliłeś pocisk, gdy nasz statek spadał? – pyta Mustang z niedowierzaniem.

– TAK. PRÓBOWAŁEM TEŻ ZABRAĆ BUTY GRAWITACYJNE. ZAWIODŁEM.

– Myślę, że spisałeś się świetnie – zapewnia Mustang i wybucha śmiechem, który okazuje się zaraźliwy. Dołączam do niej, a po mnie Holiday. Ragnar nie rozumie, co w tym zabawnego. A moja radość nie trwa długo, ponieważ Holiday zaczyna kasłać i mocniej zaciąga kaptur.

Patrzę na czarne chmury nad morzem.

– Za ile ten sztorm uderzy, Ragnarze?

– PEWNIE ZA DWIE GODZINY. NADCIĄGA SZYBKO.

– Temperatura spadnie – wzducha Mustang. – Nie przeżyjemy. Nie w tak zniszczonych kombinezonach.

Wicher wyje w naszej rozpadlinie i wśród smętnych gór wokół.

– Więc pozostała nam tylko jedna możliwość – stwierdzam. – Musimy się wspiąć i przejść góry, żeby znaleźć zestrzelony statek. Jeżeli natrafimy tam na Cassiusa, na pewno będzie miał oddział do zadań specjalnych z Trzynastego Legionu.

– Niedobry pomysł – odpowiada Mustang czujnie. – Ci Szarzy są lepiej wyszkoleni do walki w zimie niż my.

- Lepiej od ciebie – dodaje Holiday, po czym odsuwa kołnierz swojego kombinezonu, żeby pokazać tatuaż Trzynastki na szyi. – Ale nie ode mnie.
 - Jesteś dragonem? – Mustang nie potrafi ukryć zaskoczenia.
 - Byłam. Najważniejsza jest PPT, procedura przetrwania w terenie, czyli obowiązkowy sprzęt. Oddział na misjach dalekiego zasięgu musi transportować wyposażenie, które zapewni przetrwanie w dowolnych warunkach. A to znaczy wodę, jedzenie, ciepło i buty grawitacyjne.
 - A jeżeli legionisi przetrwali kolizję? – Mustang zerka na ranę Holiday, a potem na nasze marne uzbrojenie.
 - NO TO NIE PRZETRWAJĄ NAS – odpowiada Ragnar.
 - I lepiej, żebyśmy dopadli ich, dopóki jeszcze się nie pozbierali – dodaje. – Ruszajmy od razu, najszybciej jak się da, a może zdołamy dotrzeć tam przed sztormem. To nasza jedyna szansa.
- Ragnar i Holiday dołączają do mnie. Obsydian zbiera wyposażenie, podczas gdy Szara sprawdza zapasy amunicji. Jednak Mustang się wahia. Czegoś jeszcze nam nie powiedziała.
- Jeżeli to Cassius – mówi z namysłem. – Nie wiem tego na pewno. Ale jeżeli nie jest sam? Co będzie, jeżeli przyleciała z nim Aja?

Rozdział dwudziesty ósmy

UCZTA

Sztorm uderza, gdy wspinamy się po skalistym zboczu góry. I zaraz potem prawie nic nie widzimy, ledwie dostrzegamy siebie nawzajem. Stalowoszary śnieg bije nam w twarze, przesłania niebo, lód i góry w głębi lądu. Garbimy się, mrużymy oczy pod kominiarkami skafandrów. Podeszwy chrzeszczą na lodzie. Wicher ryczy głośniej niż wielki wodospad. Przebijam się przez niego, przesuwając nogę za nogą. Z Mustang i Holiday łączy mnie lina związana na sposób Obsydianów, abyśmy nie zgubili się w zamieci. Ragnar skrada się przodem. Nie mam pojęcia, jak odnajduje drogę.

Właśnie wraca. Porusza się z łatwością między skałami. Sygnalizuje, żebyśmy ruszyli za nim.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nasz świat jest mały i wściekły. Góry majaczą w bieli. Ich skulone ramiona to jedyna osłona przed wiatrem. Potykamy się na czarnych kamieniach, które przecinają nam rękawice, a tymczasem wicher próbuje nas zepchnąć w wąwozy i bezdenne przepaści. Wysiłek utrzymuje nas przy życiu. Ani Mustang, ani Holiday nie zwalniają i po więcej niż godzinie przerażającej wędrówki Ragnar prowadzi nas do rozpadliny między skałami. Sztorm tam nieco cichnie. Poniżej, wbity w górski grzbiet, znajduje się statek, który nas zestrzelił.

Trochę mi go żał. Poszarpane linie i lśniące skrawki poszycia wskazują, że jednostka była kiedyś smukłym, długim ścigaczem ze sławnej stoczni na Ganimedesie. Dumna i odważna, została pomalowana szkarłatem i srebrem. A teraz zmieniła się w czerniejący, połamany wrak, wbity w nagie, skalne zbocze. Cassius lub ktoś, kto był w środku, przeżył naprawdę ciężkie chwile. Pęknięta i oderwana rufa leży pół kilometra od reszty zniszczonego kadłuba. Wrak wygląda na opuszczony. Holiday sprawdza go przez celownik swojej broni. Ani śladu życia.

– Coś jest nie tak – ostrzega Mustang, która kuca obok mnie. Wizerunek jej ojca patrzy na mnie z ostrza na jej ramieniu.

– WIATR JEST PRZECIWKO NAM – mówi Ragnar. – NIC NIE CZUJĘ. ŻADNEGO ZAPACHU.

Mruży czarne oczy, gdy przygląda się grzbietom gór wokół nas, przesuwa wzrokiem z głazu na głaz w poszukiwaniu oznak zagrożenia.

– Nie możemy ryzykować, że wystrzelają nas jak kaczki. – Kręczę głową. Wiatr za nami znowu się wzmagają. – Musimy jak najszybciej podejść blisko. Holiday, będziesz nas osłaniać.

Holiday ryje sobie niewielki okop i okrywa się kocem termicznym. Przysypujemy ją śniegiem tak, że wystaje tylko lufa. Potem Ragnar zsuwa się po stoku, aby sprawdzić rufę, a Mustang i ja ruszamy do głównej części wraku.

Prześliszgujemy się zgarbieni za skałami, osłaniani ponownie wzmagającą się burzą. Nie możemy nawet zobaczyć statku, udaje się dopiero, gdy znajdujemy się jakieś piętnaście metrów od niego. Ostatni odcinek pokonujemy, czołgając się, i natrafiamy na dziurę w dziobie po strzale Ragnara. Pocisk zniszczył pół zbiornika paliwa. W głębi duszy spodziewałem się obozowiska Kolorów bojowych i Złotych, którzy zamierzali mnie ścigać. Statek okazuje się jednak pusty, wstrząsany epiletycznymi atakami włączającego się i wyłączającego zasilania. Wewnątrz jest pusto, przestronnie i przez chwilę ciemno. Potem z trzaskiem i sykiem włącza się migoczące, słabe światło. W półmroku słychać kapanie, gdy przedzieramy się z Mustang na środek pokładu. Wyczuwam zapach krwi, jeszcze zanim ją dostrzegam. W przedziale pasażerskim spoczywa dziesięcioro Szarych. Wszyscy zginęli, gdy skała nad nami rozdarła kadłub przy uderzeniu w górskie zbocze. Mustang klęka przy jednym z Szarych, aby przeszukać jego ubranie.

– Darrow. – Odsuwa kołnierz i wskazuje tatuaż. Wirtualny barwnik wciąż się rusza, mimo że tkanka jest martwa. Legio XIII. Zatem to naprawdę eskorta Cassiusa. Przesuwam przycisk ostrza tak, aby nadać mu nowy, pożądany kształt. Klinga zsuwa mi się z ramienia, przestaje przypominać sling, jest krótsza i szersza, dzięki czemu łatwiej mi będzie zadać pchnięcie w tym ciasnym, zagraconym otoczeniu.

Dalej również nie natrafiamy na ślady życia. Zwłaszcza Cassiusa. Tylko wiatr lamentuje. Dziwnie jest iść po suficie i patrzeć na podłogę, gdy się podniesie wzrok – można dostać zawrotów głowy. Fotele i pasy zwisają jak wnętrzności. Statek znowu konwulsyjnie budzi się do życia, zapalone światło wydobywa rumowisko zniszczonych unipadów, naczyń i opakowań gum do żucia. Ścieki wylewają się z pęknięcia w metalowej ścianie. Statek gaśnie. Mustang dotyka mojego ramienia i wskazuje rozbity iluminator, zza którego widać ślady na śniegu. Ktoś kogoś włókł. Smugi krwi wydają się czarne w przyśmionym świetle. Niedźwiedź? – sygnalizuje Mustang. Potwierdzam skinieniem głowy. Ostrogrzbiet zapewne natknął się na wrak i zaczął ucztować na zwłokach. Wzdrygam się na myśl, że szlachetnego Cassiusa spotkał taki los.

Ponury odgłos ssania dochodzi z dalszych części wraku. Ruszamy naprzód, choć ogarnia nas strach przed tym, co zobaczymy w kolejnej kabinie pasażerskiej. W Instytucie nauczyliśmy się rozróżniać odgłos rwania zębami surowego mięsa. Nadal jednak jest to okropny widok nawet dla mnie. Złoci zwisają z sufitu do góry nogami, spętani pasami bezpieczeństwa, z unieruchomionymi stopami. Pod zwłokami czai się pięć stworów jak z koszmaru. Ich sierść jest brudna i skołtuniona. Kiedyś była biała, lecz teraz jest poznaczona zakrzepłą krwią i tłuszczem. Pożerają ciała

zmarłych. Łby wyglądają jak u wielkich niedźwiedzi. Jednak oczy są czarne i błyszczą zimną inteligencją. Stwory poruszają się na dwóch nogach, nie na czterech... A największy ze stada odwraca się do nas. Blade muskularne ramię, wysmarowane tłuszczem do ochrony przed mrozem, czarne od krwi spływającej z martwych Złotych, wyciąga się spod niedźwiedziego futra.

Obsydian jest wyższy ode mnie. Do dloni ma przyszyte żelazne ostrze. Ludzkie kości związane wyschniętymi ścięgnami tworzą napierśnik. Gorący oddech unosi się z nozdrzy pod czaszką niedźwiedzia, którą wielkolud nosi jak hełm. Powolne, niskie tony złowrogiej pieśni wojennej wyrywają się spomiędzy poczerniałych zębów. Obsydiani zobaczyli nasze oczy. Jeden wrzeszczy nieartykułowanie.

Statek trzeszczy, światło znowu gaśnie.

Pierwszy z kanibali rzuca się na nas przez zdemolowaną kabinę, reszta skacze za nim. Cienie w ciemności. Moje ostrze uderza w przód i tnie przez żelazny nóż przyszyty do ręki Obsydiana, przez jego napierśnik i żebra, prosto w serce. Odstępuję, żeby ten wielkolud nie zwalił się na mnie. Impet rzuca nim na Mustang, ale dziewczyna odskakuje i odcina mu głowę. Ciało upada na podłogę. Jeszcze drży.

Z głośnym pomrukiem kolejny kanibal ciska włócznię z żelaznym ostrzem. Robię unik i odpycham drzewce w górę, tuż nad głową Mustang. A wtedy Obsydian z tyłu uderza mnie w plecy, gdy wstawę. Jest równie duży jak ja. Do tego silniejszy. Bardziej zwierzę niż człowiek. Atakuje mnie z wściekłością zagubionego umysłu, przygniata do ściany i klapie poczerniałymi, ostrymi zębami. Światła statku zapalają się – widzę rany wokół ust mojego przeciwnika. Ramiona mam unieruchomione. Obsydian próbuje odgryźć mi nos. W porę odwracam głowę. Zęby zaciskają się gdzieś z boku mojej twarzy. Wrzesczę z bólu. Krew spływa mi po szyi. Obsydian odgryza mi kawałek ciała. Pożera mnie żywcem. Światło gaśnie. Prawą ręką ludojad próbuje wbić mi nóż pod żebra. Tkanina kombinezonu wytrzymuje.

A potem kanibal wiotczeje. Jego ciałem szarpie spazm, upada. Mustang przecieka mu kręgosłup.

Ciemny pocisk przemyka o cal od mojej twarzy i trafia Mustang. Dziewczyna przewraca się, drgająca jeszcze strzała wystaje jej z lewego ramienia. Z jękiem Mustang dźwiga się z kolan. Odsuwam się od niej, muszę dopaść jeszcze trzech Obsydianów. Jeden naciąga kolejną strzałę, drugi macha wielkim toporem, a trzeci ma długi róg, który właśnie unosi do ust ukrytych pod maską niedźwiedzia.

I wtedy przerząjące wycie niesie się zza ścian statku.

Światło gaśnie.

W ciemności porusza się czwarta postać. Cienie rzucają się na siebie. Metal obija się o skórę. A kiedy światło znowu się włącza, Ragnar stoi z odciętą głową jednego z Obsydianów i ciałem drugiego u stóp. Trzecia z napastniczek, zgięta wpół,

wyciąga nóż i próbuje pchnąć Ragnara. Olbrzym wykręca jej rękę, jednak kobieta szarpie się, w szaleństwie nieczuła na ból. Twarz ma pomalowaną na biało, nozdrza rozszerzone – wygląda jak atakująca żmija. Jej oczy podkreśla seria rytualnych, równoległych blizn. Kobieta nie ma więcej niż osiemnaście lat. Bełkocze coś, gdy patrzy na Ragnara, wielkoluda nawet wśród jej ludu. A potem dzikie oczy dostrzegają jego tatuaż.

- Vjrnak – charczy, nie z przerażenia, lecz dzikiej radości. – Tnak ruhr. Ljarfor aesir!
- Dobrze się czujesz? – Podchodzi do Mustang. Już się podniosła. Strzała wystaje jej z obojczyka.
- Co ona powiedziała? – Zerka na ciało Obsydianki. – Twój nagal jest na pewno lepszy niż mój.
- Nie zrozumiałem. – Wymowa była zbyt gardłowa. Ragnar zna odpowiedź.
- SKALANY SYNU, ZABIJ MNIE. ODRODZĘ SIĘ JAKO ZŁOTA – wyjaśnia. – JEDZĄ, CO ZNAJDĄ. ALE ZJEDZENIE CIAŁA ZŁOTEGO OZNACZA ODRODZENIE I NIEŚMIERTELNOŚĆ. PRZYJDZIE ICH WIĘCEJ.
- Nawet podczas sztormu? – dziwię się. – Ich gryfy w ogóle mogą latać w takich warunkach?

Ragnar krzywi się z odrazą.

- TE BESTIE NIE DOSIADAJĄ GRYFÓW. I NIE, BĘDĄ SZUKAĆ SCHRONIENIA.
- Co z drugą częścią wraku? Wyposażenie, ludzie? – Mustang podchodzi bliżej. Obsidian kręci głową.
- CIAŁA. AMUNICJA.

Posyłam Ragnara, żeby sprowadził Holiday. Mustang i ja zostajemy, żeby przeszukać resztę statku. Mimo to nie ruszam się, choć Obsidian już zniknął w śniegu, patrzę na ten spalony grobowiec i ciała kanibali. Złoci może i byli moimi wrogami, ale ten potworny widok sprawia, że czuję się żałosny. Co za okrutna ironia... To przerażające i przewrotne, jednak nie doszłoby do tego, gdyby Złoci nie stworzyli tych ludzi do siania strachu. Stworzyli ich jako narzędzie rządów żelazną ręką. Ci biedni dranie zostaną pożarci przez monstra, które sami ukształtowali.

Mustang wstaje po obejrzeniu jednego z Obsidianów. Krzywi się, bo przeszkadzią jej strzała wciąż tkwiąca w ramieniu.

- Dobrze się czujesz? – pyta, gdy uświadamia sobie mój bezruch. Wskazuję na połamane paznokcie jednego ze Złotych.

- Nie byli martwi, gdy te ludojady zaczęły obdzierać ich ze skóry. Tylko uwieńczeni. Mustang ze smutkiem kiwa głową i wyciąga rękę. Przy ciele Obsydiana znalazła sześć pierścieni z Instytutu. Dwa z cyprysem Plutona, a także po jednym z sową Minerwy, błyskawicą Jupitera, łańcuchem Diany oraz ostatni, który podnoszę z dłoni dziewczyny, z głową wilka, symbolem Domu Mars.

– Powinniśmy go poszukać – wzdycha Mustang.

Zaczynam przyglądać się twarzom Złotych zwisających z sufitu. Mają wyłupione oczy i wyrwane języki, twarze wykrzywia im śmiertelny grymas. Żaden nie należy do moich dawnych przyjaciół. Przeszukujemy resztę przewróconego wraku.

Natrafiamy na kilka niewielkich kajut sypialnych. W jednej Mustang znajduje obitą skórą kasetkę z kilkoma zegarkami i kolczykami sporządzonymi z pereł oprawionych w srebro.

- Cassius tu był – stwierdza.
- To jego zegarki?
- To moje kolczyki.

Pomagam Mustang wyjąć strzałę w kajucie Cassiusa, z dala od koszmaru.

Dziewczyna nie wydaje dźwięku, gdy odłamuję grot, przyciskam ją do ściany i wyszarpuję drzewce za pióra. Dopiero wtedy Mustang kuli się z bólu. Przysiadam na skraju materaca, który spadł przy katastrofie, i tylko patrzę. Ranna Mustang nie lubi być dotykana.

- Dokończ.

Przy pomocy aplikatora opatrunków nakładam lśniącą łatę na otwór pod obojczykiem i za łopatką. Rany przestają krwawić, substancja opatrunku pomoże w gojeniu, ale ból pozostanie jeszcze przez kilka dni i spowolni dziewczynę.

Podciągam jej kombinezon, Mustang zapina zamek. A potem bierze się do opatrywania mi rany na twarzy. Para jej oddechu unosi się w powietrzu. Dziewczyna jest tak blisko, że czuję zapach wilgotnego śniegu topiącego się na jej włosach.

Przyciska aplikator do rany i rozsmarowuje cienką warstwę mikroorganizmów, również na skórze dookoła. Przejdą przez pory i utworzą tkankopodobną, antybakteryjną osłonę. Dłoń Mustang nie cofa się, jakby dziewczyna chciała mi coś powiedzieć, ale nie umie znaleźć słów. I trwa to tak długo, aż pojawia się Holiday z Ragnarem. Gdy Szara woła mnie po imieniu, ściskam zdrowe ramię Mustang i zostawiam ją w kajucie.

Większość wyposażenia statku wyparowała. Kilka kompletów gogli znikło ze schowków. Uzbrojenia nie ma wcale, pewnie zostało rozwleczone po górnach przy rozbiciu łađowni podczas lądowania. Resztę zniszczyli dzicy Obsydiani lub zostało uszkodzone przy uderzeniu o skały. W nadajniku i transponderze słyszać tylko szумy.

Ragnar wnioskuje, że Cassius i reszta jego drużyny, około piętnastu ludzi, odeszli kilka godzin przed naszym dotarciem tutaj. Zabrali wszystkie zapasy i co się dało z wyposażenia. Kanibale zapewne przyszli zaraz po lądowaniu, inaczej Cassius nie zostawiłby tych Złotych na pożarcie. Mustang, która uznała taki rozwój wypadków za bardzo prawdopodobny, przeszukuje ciała ludożerców przy kokpicie. Zapewne Cassius i jego ludzie zostali zaatakowani i musieli uchodzić w pośpiechu. Śnieg już

prawie okrywa ciała. Wyrzucamy zwłoki na zewnątrz – w razie gdyby pojawiły się inne drapieżniki niż kanibale.

Po przeszukaniu wraku zamykamy się w kuchni. Dwie spawarki, które znaleźliśmy w skrzynkach narzędziowych, pozwalają zaspawać dwoje drzwi. Może nie ma tu broni ani wyposażenia polarnego, ale zbiornik z wodą jest pełny i jeszcze nie zamarzł. Na dodatek nie brakuje też jedzenia.

Schronienie robi się nawet przytulne. Izolacja zatrzymuje ciepło naszych ciał. Dwie lampy awaryjne rzucają bursztynowy blask na pomieszczenie. Holiday używa przerywanego zasilania do przygotowania uczty – spaghetti marinara i kiełbasek z elektrycznego piekarnika. Ragnar i ja ustalamy trasę do Iglic, a Mustang sortuje wyciągnięte porcje żywnościove i napełnia nimi plecaki, które znalazła w magazynie.

Parzę się w język, gdy Holiday przynosi mi i Ragnarowi wielkie porcje jedzenia. Nie zdawałem sobie sprawy, jak jestem wygłodzony. Ragnar szturcha mnie i ruchem oczu nakazuje mi obserwować, jak Szara podaje miskę również Mustang i zostawia ją ze skinieniem głowy. Mustang uśmiecha się pod nosem. A potem jemy w milczeniu, słysząc tylko brzęk sztućców o naczynia. Na zewnątrz wyje wiatr. Wrak trzeszczy. Szarostalowy opad piętrzy się na niewielkim bulaju, ale dostrzegamy niewyraźne kształty, przedzierające się przez śnieg i wlokące ciała, które zostawiliśmy na zewnątrz.

– Jak ci się tutaj dorastało? – pyta Mustang Ragnara. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami i opiera się plecami o ścianę. Kładę się obok z plecakiem pod głową na jednym z materacy, które Ragnar przyciągnął z pobliskiej kajuty, gdy kończyłem trzecią porcję makaronu.

– BYŁEM W DOMU. NIE ZNAŁEM NICZEGO INNEGO.

– A teraz, gdy poznałeś?

Ragnar uśmiecha się łagodnie.

– TO BYŁ PLAC ZABAW. ŚWIAT POZA TĄ KRAINĄ JEST OGROMNY, A JEDNAK TAKI MAŁY. LUDZIE ZAMYKAJĄ SIĘ W PUDEŁKACH. SIEDZĄ PRZY BIURKACH. PROWADZĄ SAMOCHODY. STATKI. TUTAJ ŚWIAT JEST MAŁY, A JEDNAK BEZKRESNY.

Opowiada o swoim dzieciństwie. Najpierw niechętnie, ale potem chyba czuje ulgę, gdy widzi, że słuchamy z uwagą. Zależy nam. Opowiada o pływaniu na krze, gdy był chłopcem. I o tym, że w dzieciństwie był niezdarny. Zbyt powolny. Kości rosły mu szybciej niż reszta ciała. Kiedy został pobity przez innego chłopca, matka zabrała Ragnara w niebo na pierwszy lot gryfem. Kazała mu się trzymać swoich pleców. Nauczyła go, że tylko od jego ramion zależy, czy spadnie. I od jego woli.

– LECIAŁA CORAZ WYŻEJ I WYŻEJ, AŻ POWIETRZE STAŁO SIĘ RZADKIE I CZUŁEM MRÓZ W KOŚCIACH. CZEKAŁA, KIEDY SIĘ PUSZCZĘ. KIEDY OSŁABNĘ. ALE NIE WIEDZIAŁA, ŻE

ZWIĄZAŁEM SOBIE NADGARSTKI. WTEDY BYŁEM TAK BLISKO WSZECHMATKI ŚMIERCI, JAK NIGDY W ŻYCIU.

Jego matka, Alia Volarus, Śnieżna Jaskółka, zasłynęła wśród swoich ludzi oddaniem i czcią okazywaną bogom. Z córki włóczęgi zmieniła się w wojowniczkę Iglic i zdobyła bogate łupy w walkach z innymi klanami. I wtedy okazała największą część bogom – gdy doszła do władzy, oddała czworo swoich dzieci na służbę. Zostawiła sobie tylko córkę, Sefi.

– Przypomina mojego ojca – mówi cicho Mustang.
– Biedaki – mruczy Holiday. – Moja mama piekła mi ciasteczka i uczyła, jak rozkładać i składać karabin.
– A twój ojciec? – pytam ciekawie.
– Ojciec był zły. – Szara wzrusza ramionami. – Ale w taki nudny sposób zły. Miał rodzinę w każdym porcie. Typowy legionista. Mam po nim oczy. Trigg był bardziej podobny do mamy.
– NIGDY NIE POZNAŁEM MOJEGO PIERWSZEGO OJCA – wyznaje Ragnar. Chodzi mu o ojca biologicznego. Obsydianki są poligamiczne. Mogą mieć kilkoro dzieci, a każde z innym partnerem. A mężczyzna musi chronić wszystkie dzieci swojej partnerki. – ZOSTAŁ ZABRANY W NIEWOLE, ZANIM PRZYSZEDŁEM NA ŚWIAT. MATKA NIGDY NIE WYMAWIA JEGO IMIENIA. NIE WIEM NAWET, CZY TEN OJCIEC ŻYJE.

– Możemy się dowiedzieć – zauważa Mustang. – Musielibyśmy przeszukać rejestyry Zarządu Kontroli Jakości. Niełatwe, ale na pewno go znajdziemy. Dowiemy się, co się z nim stało. Oczywiście, jeśli chcesz.

Ragnara zaskakuje ten pomysł. Dopiero po chwili z namysłem kiwa głową.
– TAK. CHCIAŁBYM SIĘ DOWIEDZIEĆ.

Holiday patrzy na Mustang zupełnie inaczej niż jeszcze kilka godzin temu, gdy opuszczaliśmy Fobosa, a mnie uderza odczucie, jak naturalne wydaje się spotkanie naszych czterech światów.

– Wszyscy znamy twojego ojca. Ale jaka jest twoja mama? Wydaje się oziębła.
– To moja macocha. Nie obchodzę jej, zależy jej tylko na Adriusie. Moja rodzona matka zmarła, gdy byłam mała. Pamiętam jej życzliwość. Figlarność. I smutek.
– Dlaczego? – naciska Szara.
– Holiday... – rzucam ostrzegawczo. Matka Mustang to temat, którego nigdy nie poruszałem. Mustang woli o tym nie mówić. Zamknęła wspomnienia w maleńkim pudełku na dnie serca i nigdy się nimi nie dzieli. Chyba że dzisiaj.
– W porządku – wzducha. Podciąga kolana, obejmuje je mocno. – Kiedy miałam sześć lat, matka była w ciąży z kolejną dziewczynką. Lekarz powiedział, że mogą nastąpić komplikacje przy porodzie, i zalecał interwencję medyczną. Ale ojciec stwierdził, że jeżeli dziecko nie ma dość sił, żeby przeżyć narodziny, to nie zasługuje

na życie. Możemy latać między planetami, kształtować całe globy, a mój ojciec pozwolił umrzeć córce w macicy.

– Cholera! – szepcze Holiday. – Dlaczego nie kazał zrobić terapii komórkowej? Przecież mieliście pieniądze.

– Czystość produktu – wyjaśnia Mustang.

– To szaleństwo.

– To moja rodzina. Matka potem nigdy już nie była taka sama. Słyszałam, jak płacze w środku dnia. Widziałam, jak patrzy przez okno w dal. Pewnego razu wyszła na spacer. Było to w Caragmore, posiadłości, którą ojciec podarował mamie w prezencie ślubnym. Nie było go w tam, pracował w Agei. Matka nigdy nie wróciła. Jej ciało znaleziono na skałach pod klifem. Ojciec powiedział, że się poślizgnęła i spadła. Gdyby żył, nadal by tak mówił.

– Przykro mi – wzducha Holiday.

– MNIE RÓWNIEŻ.

– I właśnie dlatego tutaj jestem, gdybyście się zastanawiali – dodaje Mustang stanowczo. – Mój ojciec był tytanem. Ale się mylił. Okazał się okrutny. A jeżeli mogę stać się kimś więcej... – jej oczy napotykają moje – to się stanę.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

ŁOWCY

Gdy się budzimy, widzimy, że sztorm minął. Przeciągamy się w cieple izolacji, jakie zapewniają ściany wraku, i przygotowujemy do wyjścia w zmierzch. Ani jedna chmura nie przesłania marmurowo-granatowego nieba. Ruszamy w stronę słońca, które rzuca nad horyzontem zimną poświatę roztopionego żelaza. Jesień minie za parę dni. Kierujemy się do Iglic z planem, aby rozpalać ognie po drodze w nadziei, że zasygnalizujemy zwiodowcom Walkirii aktywność w tym rejonie. Jednak dym zwabi również ludożerców.

Przyglądamy się górom podczas wędrówki, czujnie wypatrując plemion kanibali albo oznak, że gdzieś przed nami przedzierają się przez śnieg Cassius i może Aja z żołnierzami sił specjalnych.

Po paru godzinach znajdujemy ślady ich przejścia. Stopiony śnieg w skalistej niszy, na tyle dużej, że mogłyby pomieścić kilkadziesiąt osób. Obozowali tutaj, aby przeszukać burzę. Kopiec kamieni wznosi się obok ogniska. Na jednym odłamku ostrzem wyryto napis: *Per aspera ad astra*.

– To w stylu Cassiusa – stwierdza Mustang.

Odsuwamy kamienie i znajdująmy pod nimi zwłoki dwóch Niebieskich i Srebrnego. Ich słabe ciała zamarzły w nocy. Nawet tutaj Cassius był na tyle przyzwoity, że ich pogrzebał. Odkładamy kamienie na miejsce, podczas gdy Ragnar rusza naprzód po śladach. Żadne z nas nie mogłyby dotrzymać mu kroku. Ruszamy za nim. Godzinę później słyszmy huk, niosący się echem po pustkowiu, a potem krótki pisk pulsRękawicy. Ragnar wraca zaraz potem, w oczach błyszczy mu podniecenie.

– POSZEDŁEM ZA ŚLADEM – oznajmia.

– I? – pyta Mustang.

– To AJA I CASSIUS Z ODDZIAŁEM SZARYCH I TRZEMA NIEZRÓWNANymi.

– Aja tu jest? – Prostuję się czujnie.

– TAK. UCIEKAJĄ PIESZO ROZPADLINĄ GÓRSKĄ W KIERUNKU ASGARDU. PLEMIE LUDOŻERCÓW ICH NĘKA. CIAŁAZNACZĄ DROGĘ. DZIESIĄTKI. LUDOŻERCY ZROBILI ZASADZKĘ I PRZEGRALI. BĘDZIE WIĘCEJ CIAŁ.

– Jakie mają wyposażenie? – interesuje się Mustang.

– ŻADNYCH BUTÓW GRAWITACYJNYCH, TYLKO WZMOCNIONE KOMBINEZONY BOJOWE. ALE MAJĄ PLECAKI. ZOSTAWILI ZBROJE DWA KILOMETRY NA PÓŁNOC. WYCZERPANE ZASILANIE.

Holiday zerka na horyzont i dotyka pistoletu Trigga przy biodrze.

- Możemy ich złapać.
- Niosą wiele zapasów. Wodę. Jedzenie. I mają teraz rannych. Tak, możemy ich dogonić.
- Dlaczego tu jesteśmy? – przerywa Mustang. – Nie po to, żeby ścigać Aję i Cassiusa. Liczy się tylko to, żeby Ragnar dotarł do Iglic.
- Aja zabiła mi brata – syczy Holiday.

Mustang cofa się, zaskoczona.

- Trigg. Wspomniałaś o nim. Nie wiedziałam. Jednak nie możemy zbaczać tylko dlatego, że pragniemy zemsty. I nie pokonamy dwudziestu ludzi.
- A jeżeli dotrą do Asgardu, zanim nam uda się dojść do Iglic? – pyta podstępnie Holiday. – Będziemy załatwieni.

Mustang nie wygląda na przekonaną.

- Mógłbyś zabić Aję? – Zerkam na Ragnara.
- TAK.
- To okazja – wyjaśniam Mustang. – Kiedy jeszcze będą tak wystawieni na ciosy? Bez swoich legionów? Bez dumy Złotych do osłony? To najlepsi z najlepszych. Jak mawia Sevro: „Kiedy ma się okazję załatwić wroga, należy to zrobić”. Chyba pierwszy raz zgadzam się z tym pomylonym draniem. Jeżeli uda się wyeliminować ich z gry, Władczyni straci drugą Furię w tym samym tygodniu. A Cassius to łącznik Octavii z Marsem, z tamtejszymi bogatymi rodami. Jeżeli ujawnimy negocjacje Władczyni i Cassiusa z tobą, osłabimy ten sojusz. Odetniemy Marsa od Elity.

- Wróg podzielony... – zamyśla się Mustang. – Podoba mi się...
- I MAMY WOBEC NICH DŁUG – dodaje Ragnar. – ZA LORNA, QUINN, TRICCA. PRZYBYLI TU, ABY NA NAS POLOWAĆ. TERAZ MY ZAPOLUJEMY NA NICH.

* * *

Śladu nie da się przeoczyć. Ciała walają się w śniegu. Dziesiątki ludożerców. Zwłoki jeszcze dymią od broni pulsacyjnej, zalegają tuż przy wąskim wąwozie, gdzie Obsydiani zastawili zasadzkę na Złotych. Nie mieli pojęcia, jaką siłą ognia dysponują ich niedoszłe ofiary. Wielkie wyrwy zieją w skalnych zboczach. Głębokie ślady w śniegu zdradzają przejście żubrów – wielkich zwierząt, podobnych trochę do wołów ze zmierzwnią sierścią. Obsydiani na nich jeżdżą.

Wąwoz się rozszerza. Zarasta go niski las, rozciągający się na pobliskie wzgórzewa. Stopniowo kratery są coraz rzadsze, zaczynamy też natykać się na wyrzucone pulsRękawice i karabiny oraz ciała kilku Szarych z wystającymi drzewcami strzał lub toporów. Zwłoki Obsydianów leżą bliżej tropu Złotych. Widać

na nich ślady cięć. Oddziałowi kończy się amunicja, więc Rycerze Olimpijscy muszą walczyć w zwarciu. Jednak wiatr wciąż niesie echo strzałów o kilometry przed nami.

Mijamy jęczących Obsydianowych ludożerców, którzy dogorywają od ran postrzałowych, jednak Ragnar zatrzymuje się dopiero przy Szarym. Mężczyzna jeszcze żyje. Topór ma wbity w brzuch, oddycha ze świstem. Wpatruje się w obce, metaliczne niebo. Ragnar przykłeka przy nim. Szary rozpoznaje nieosłoniętą twarz Skalanego, porusza ustami.

– ZAMKNIJ OCZY. – Ragnar wyjmuje pusty karabin z zaciśniętych rąk rannego. – MYŚL O DOMU.

Mężczyzna zamyka oczy. Obsydian szarpnięciem łamie mu kark, po czym ostrożnie układa głowę zmarłego na ziemi. Wśród szczytów rozlega się przenikliwy jęk rogu.

– Odwołują łowy – wyjaśnia Ragnar. – Nieśmiertelność nie jest warta dzisiaj śmierci.

Ruszamy dalej. O kilometry od nas po prawej ludożercy na żubrach przemykają się skrajem lasu i kierują do obozowisk na szczytach. Nie dostrzegają nas wśród sosnowej tajgi. Holiday obserwuje grupy łowców znikające za wzgórzem przez celownik w swoim karabinie.

– Niosą dwóch Złotych – oznajmia. – Nie rozpoznałam ich. Jeszcze żyją.

Wszyscy czujemy zimny dreszcz na plecach.

Godzinę później dostrzegamy oddział w dole. Las otacza pole śniegu poprzecinane rozpadlinami. Aja i Cassius wybrali drogę przez nieosłonięty teren zamiast przez las, gdzie stracili tak wielu Szarych. W eskorcie zostało tylko czterech ludzi, trzech Szarych i Złoty. Noszą czarne kombinezony, ale owijają się futrami, które zabrali zabitym kanibalom. Pędzą jak na złamanie karku, pewnie chcą się jak najszybciej oddalić od lasu, gdzie został zmasakrowany oddział. Trudno powiedzieć, które z nich to Aja albo Cassius, pod warstwami futer wyglądają tak samo, a twarze zasłaniają im maski.

Początkowo chciałem zaczaić się w zasadzce i przejąć inicjatywę taktyczną, ale przypomniałem sobie, że z bagażu zniknęły gogle. Należało zatem założyć, że Aja i Cassius mogą widzieć w podczerwieni, a to znaczy, że zobaczą nas, nawet gdybyśmy schowali się pod śniegiem. Mogą nas nawet wypatryczyć, gdybyśmy skryli się w brzuchach zabitych żubrów lub fok. Dlatego Ragnar prowadzi mnie ścieżką do miejsca, które na pewno będą musieli pokonać. Tam zastawimy im drogę i przyciągniemy uwagę.

Dyszę za plecami Ragnara, kaszę zimna w obolałych płucach, gdy czwórka wędrowców dociera na wybrane przez nas miejsce. Biegą skrajem rozpadliny w prowizorycznych rakietach śnieżnych, przygarbieni pod ciężarem jedzenia i wyposażenia, które ciągną na równie prowizorycznych saniach. Podręcznikowe

działania zapewniające przetrwanie – rozpoznaję je dzięki szkole wojskowej na Polach Marsa. Cała czwórka nosi gogle z przyciemnionymi soczewkami. Niesamowicie to wygląda, gdy nas zauważają. Nic nie można wyczytać z ich twarzy, bo zasłaniają je maski i okulary, przez co wydaje się, jakby się nas tutaj spodziewali i wiedzieli, że czekamy przy zejściu ze śnieżnej tafli.

Przyglądam się nerwowo całej czwórce. Cassiusa łatwo rozpoznać, jest najwyższy. Ale które z pozostałych to Aja? Jestem rozdarty – dwoje Złotych jest niższych od młodego Bellony. Zaraz jednak dostrzegam ostrze mojego mistrza wiszące u pasa jednego z nich.

– Ajo! – Zdzieram kominiarkę swojego kombinezonu.

Cassius ściąga maskę. Włosy ma zlepione od potu, policzki zarumienione. Tylko on ma jeszcze puls Rękawicę, ale na pewno ładunek broni jest na wyczerpaniu, sądząc po ranach zabitych kanibali. Cassius rozwija ostrze, reszta idzie w jego ślady. Slingi wyglądają jak długie język, czerwone od zakrzepłej na ostrzach krwi.

– Darrow... – Cassius wygląda na zdumionego moim widokiem. – Widziałem, jak toniesz...

– Pływam równie dobrze jak ty, pamiętasz? – Przesuwam wzrok za jego plecy. – Ajo, pozwolisz, żeby Cassius prowadził sam tę rozmowę?

Nareszcie Furia odsuwa się od drugiego Złotego i staje obok wysokiego Rycerza Świtu. Zdejmuje linę od sań, które ciągnęła. Zsuwa maskę kombinezonu, ukazując ciemną twarz i łysą głowę. Para wiruje w powietrzu. Aja rozgląda się po rozpadlinach w śniegu, drzewach i głazach – zastanawia się, gdzie jest moja zasadzka. Pamięta dobrze Europę, ale nie wie, kto przyleciał ze mną i kto przeżył.

– Paskuda i wściekły pies – mruczy. Zatrzymuje wzrok na Ragnarze, zanim znowu spojrzy na mnie. Na jej kombinezonie nie ma śladów walki. Naprawdę nie odniosła żadnej rany podczas starć z Obsydianami? – Widzę, że twój Snycerz poskładał cię do kupy, Rdzewiaku.

– Na tyle dobrze, że zabiłem twoją siostrę. – Uśmiecham się, niezdolny do opanowania złośliwej słodyczy w swoim głosie. – Szkoda, że nie ciebie.

Aja nie odpowiada. Ile razy wracało do mnie wspomnienie, jak zabiła Quinn? Ile razy widziałem, jak odbiera Lornowi jego ostrze, gdy stary mistrz leży martwy po ataku Szakala i Lilath? Wskazuję na broń.

– To nie należy do ciebie.

– Urodziłeś się, by służyć, nie mówić, ohydo. Nie zwracaj się do mnie. – Zerka w niebo. Fobos lśni na wschodzie nad horyzontem, wokół niego migoczą białe i czerwone rozbłyski. Trwa bitwa w kosmosie, co znaczy, że Sevro przejął okręty. Ale ile? Aja marszczy brwi i wymienia zaniepokojone spojrzenia z Cassiusem.

– DŁUGO CZEKAŁEM NA TĘ CHWILĘ, AJO.

– Ach, ulubione zwierzątko mojego ojca. – Aja badawczo przygląda się Ragnarowi. – Skalany przekonał kogoś, że jest oswojony? Ciekawe, czy powiedział, jak bardzo podobała mu się nagroda po walce w Circadzie. Gdy aplauz ucichł, a Skalany wytarł krew z rąk, ojciec posłał mu Różowe, aby zaspokoić tę zwierzęcą żądzę. Obsydian był ich bardzo spragniony. A one bardzo przeróżone.

W głosie Ai nie ma emocji, tylko znudzenie – tym lodem, tą rozmową i nami. Chce tylko tego, co musimy jej dać, czyli wyzwania. Po tylu zwłokach Obsydianów, które zostawiła na swoim tropie, nadal nie ma dość krwi.

– Widziałeś Obsydianów w rui? – mówi dalej. – Zastanowiłbyś się dwa razy, Rdzawy. Nie wyobrażasz sobie, jaki mają apetyt.

Ragnar rusza do niej z ostrzami w obu rękach. Zrzucił białe futro, które zabrał jednemu z zabitych ludożerców, zanim zrobił pierwszy krok. Dziwnie jest przebywać na tej śnieżnej równinie w towarzystwie tylko wiatru i zimna. Nie posiadamy zbroi ani flot. Jedyne, co mamy do obrony własnego życia, to mała metalowa klinga. Antarktyczny ogrom śmieje się z naszych lilipucich rozmiarów i przekonania, jacy jesteśmy ważni – jakże łatwo może zmrozić ciepło w naszych maleńkich piersiach. Jednak nasze istnienie znaczy o wiele więcej niż kruche ciała.

Ruch Ragnara jest sygnałem dla Mustang i Holiday.

Wymierz celnie, Holiday.

– TWÓJ OJCIEC KUPIŁ MNIE, AJO. ZHAŃBIŁ MNIE. UCZYNIŁ ZE MNIE SWOJE MONSTRUM. PRZEDMIOT. DZIECKO WEWNĄTRZ UCIEKŁO. NADZIEJA ZNIKŁA. PRZESTAŁEM BYĆ RAGNAREM. – Dotyka swojego torsu. – ALE JESTEM RAGNAREM DZISIAJ, JUTRO I JUŻ NA ZAWSZE. JESTEM SYNEM IGLIC, BRATEM SEFI MILCZĄCEJ, BRATEM DARROWA Z LYKOS I SEVRA AU BARKI. JESTEM OBROŃCĄ TINOS. IDE ZA GŁOSEM SERCA. A KIEDY TWOJE PRZESTANIE BIĆ, FAŁSZYWA PANI, WYRWĘ JE Z TWOJEJ PIERSI I NAKARMIĘ GRYFA MOJEJ...

Cassius obserwuje poszarpane głyzy i skarłowaciałe drzewa, które osłaniają śnieżną równinę po lewej. Mruży oczy na złamaną sosnę przy skupisku skał. A potem bez ostrzeżenia popcha Aję w przód. Kobieta zatacza się, a tuż za miejscem, gdzie stała, strzał rozrywa głowę jednego z ocalałych Szarych. Krew bryzga na śnieg, a trzask broni Holiday niesie się echem wśród gór. Kolejne pociski wzbijają śnieg wokół Cassiusa i Ai. Furia przesuwa się za trzeciego Złotego, używa go jak żywej tarczy. Dwa razy zostaje trafiony, pociski przebijają wzmacniony polimer kombinezonu. Cassius przetacza się w bok i wykorzystuje ostatnie ładunki w swojej pulsRękawicy. Stok wybucha. Skały się jarzą. Śnieg paruje.

A wśród tego odległego łomotu rozlega się brzęk cięciwy. Aja go słyszy. Porusza się szybko. Obraca się, pocisk mija jej głowę o włos. Mustang chybiała. Cassius strzela z rękawicy w kierunku wzgórza, gdzie ukrywa się łuczniczka. Łamie drzewa i rozgrzewa głyzy.

Nie wiem, czy trafił. Nie mam czasu się przyglądać, ponieważ z Ragnarem mamy wykorzystać zamieszanie do ataku. Mrużymy oczy, nasze slingi wyginają się w gotowości. Z żarzącą się pulsRękawicą Cassius odwraca się w śniegu, gdy już na niego nacieram. Strzela. Ładunek jest słaby – aby go uniknąć, padam i przetaczam się jak kopacz z Lykos. Cassius strzela po raz drugi. Rękawica nie działa, zasilanie wyczerpało się zupełnie przy strzelaniu w stok wzgórza. Ragnar ciska jednym ze swoich ostrzy w Aję niczym wielkim nożem. Klinga obraca się w locie. Aja ani drgnie. Ostrze uderza w nią. Furia obraca się tyłem. Przez chwilę wydaje mi się, że Ragnar ją zabił. Ale wtedy Aja odwraca się do nas. Ostrze trzyma tuż przy piersi prawą ręką za rękojeść.

Złapała rzuconą broń.

Mroczny strach wpełza mi w serce. Przypominam sobie ostrzeżenie Lorna: „Nigdy nie zmagaj się z nurtem rzeki i nigdy nie walcz z Ają”.

Nasza czwórka ściera się w ciasnoci iskrzących biczów i brzęczących kling. Uchylamy się, wyginamy, machamy bronią. Nasze ostrza śmigają tak szybko, że wzrok nie nadąża. Aja tnie ukośnie w moje nogi, Ragnar i Cassius mierzą w swoje szyje w błyskawicznych pchnięciach. Identyczne strategie u wszystkich. Wydaje się to tak niezdarne, że powinniśmy się pozabijać w pierwszej sekundzie starcia. Jednak każdy gambit zawodzi.

Rozdzielimy się. Zataczamy w tył z uśmiechami pozbawionymi radości – ogarnia nas przedziwne poczucie więzi, gdy przypominamy sobie, że mówimy tym samym językiem walki. Należymy do tej znienawidzonej odmiany ludzi, o której przed rzeźbiением opowiadał mi Tancerz i którą Lorn gardził, choć musiał wśród niej żyć.

Pierwszy przełamuję ten nienormalny rozejm. Uderzam krótkimi pchnięciami w prawy bok Cassiusa, żeby odseparować swojego przeciwnika od Ai, dzięki czemu Ragnar dopadnie ją sam. Za plecami Cassiusa Mustang podnosi się ze swojej kryjówki wśród głazów i biegnie przez śnieg z wielkim łukiem Obsydianów. Wciąż jest o pięćdziesiąt metrów od nas. Smagam Cassiusa dwa razy w nogi, zmieniam bicz w miecz, gdy przeciwnik mierzy ukośnie w moją głowę. Paruję cięcie w połowie drogi na krzywiźnie ostrza, aż ramię mi drętwieje. Cassius jest silniejszy ode mnie. I szybszy niż ostatnim razem, gdy walczyliśmy. Na dodatek wyćwiczył się w obronie przed zakrzywionym ostrzem. Bez wątpienia Aja go wyszkoliła. Spycha mnie w tył. Potykam się, upadam, a między nogami Cassiusa widzę nacierających na siebie Furię i Skalanego. Aja przebija mu lewe udo.

Kolejna strzała szemrze w powietrzu. Trafia Cassiusa w plecy. Jego kombinezon wytrzymuje. Wytrąca go jednak z równowagi, gdy rusza do ciasnego układu ośmiu ruchów. Rzucam się w tył, a ostrze przemyka w miejscu, gdzie przed chwilą była moja głowa. Przetaczam się w śniegu, o centymetr od skraju głębokiej rozpadliny. Zrywam się na równe nogi, Cassius znowu naciera. Paruję kolejne niskie cięcie o

włos od upadku. Znowu robię unik, a potem odbijam się w tył jak najmocniej, żeby wylądować po drugiej stronie rozpadliny. Używam swojej zręczności, aby uciec przed kolejnym natarciem Cassiusa. Za jego plecami Aja obraca się pod ostrzem Ragnara i tnie go w ścięgno.

Cassius rusza za mną, przeskakuje przez rozpadlinę i tnie biczem. Paruję ostrze, które mogłoby mnie rozciąć na ukos od obojczyka po biodro. Rzucam w przeciwnika kamieniem. Zrywam się na równe nogi. Cassius uderza klingą w zwodzie, wykręca nadgarstek i tnie, mierząc w kolano. Ledwie udaje mi się zatoczyć w uniku. Cassius zmienia ostrze w bicz, uderza mnie w nogi i podcina. Upadam. Kopie mnie w pierś, tracę dech. Cassius przygniały mi stopą rękę, unieruchamia mi ostrze i unosi swoją broń, by przebić mi serce. Na twarzy maluje mu się determinacja.

– Stój! – krzyczy Mustang. Stoi dwadzieścia metrów od nas z uniesionym łukiem. Dłoń jej drży na napiętej cięciwie. – Zastrzelę cię.

– Nie – prycha Cassius. – Nie zrobisz...

Cięciwa dźwięczy. Cassius szybko unosi ostrze, żeby odbić strzałę. Jest wolniejszy niż Aja, nie trafia. Żelazny grot przebija się z przodu przez jego gardło i wychodzi na karku, pióra zatrzymują się pod podbródkiem. Nie ma rozbryzgu krwi, tylko mokry, mięsisty charkot. Cassius bezwładnie upada na plecy. Dusi się. Szarpie. Stopami uderza w śnieg, łapie się za strzałę. Z sykiem nabiera tchu, jego oczy znajdują się o cal od moich. Mustang podbiega. Dźwigam się z ziemi, jak najdalej od Cassiusa, podnoszę ostrze i wymierzam je w wijącego się przeciwnika.

– Nic mi nie jest. – Odwracam wzrok od dawnego przyjaciela, gdy w kałuży płynącej krwi walczę o życie. – Pomóż Ragnarowi.

Nad leżącym Cassusem widać Skalanego i Aję wirujących wokół siebie na skraju rozpadliny. Krew plami śnieg wokół nich. Tylko krew Ragnara. Mimo to Obsydian naciera, a Złota się cofa, w wojennej pieśni brzmi wściekłość. Ragnar uderza raz po raz – waży ze dwieście pięćdziesiąt kilogramów i ma przewagę. Iskry buchają z ostrzy. Aja uchyla się i cofa, niezdolna do przeciwstawienia się furii wygnanego Księcia Iglic. Obcasy ślizgają się po śniegu. Ramiona drżą z wysiłku. Złota robi kolejne uniki, chyli się jak wierzba przed Ragnarzem. Jego pieśń zmienia się w ryk.

– Nie – szepczę. – Zastrzel ją, Mustang.

– Są za blisko...

– Nieważne!

Mustang wypuszcza strzałę. Pocisk śwista tuż przy głowie Ai. Jednak to bez znaczenia. Ragnar wpadł już w sidła zastawione przez Aję. Mustang jeszcze tego nie widzi. Za chwilę zobaczy. To jedno z wielu posunięć, których nauczył mnie Lorn. Takie, jakiego Ragnar nie zna, ponieważ nigdy nie szkolił go mistrz fechtunku. Skalany ma tylko swój gniew i lata walki z niezmienną bronią, nie ze slingiem.

Mustang naciąga kolejną strzałę. A Ragnar atakuje Aję z góry cięciem znad głowy, niemal jak uderzenie kowalskim młotem. Aja unosi sztywną klingę, aby sparować. Włącza bicz. Jej klinga mięknie. Ragnar, spodziewając się napotkać opór twardego ostrza, całym ciężarem rzuca się na przeciwniczkę. Ma wielką siłę, na tyle dużą, że potrafi spowolnić ostrze, aby nie uderzyło w śnieg. Ze słabszym przeciwnikiem odzyskałby z łatwością przewagę. Ale Aja to najlepsza uczennica Lorna au Arcosa. Już wykonuje obrót w bok, zmienia bicz w klingę i wykorzystuje impet, aby ciąć Ragnara w bok. Atak jest prosty. Lakoniczny. Jak balerina w eleganckim *fouetté*, którą Mustang i Roque zapewne wiele razy oglądali w teatrze w Agei, gdy ja trenowałem z Lornem. Gdybym nie widział świeżej czerwieni na ostrzu Ai ani cienkiego rozbryzgu krwi na śniegu, móglbym sądzić, że chybiała.

Aja nie chybia.

Ragnar próbuje się odwrócić do niej, ale nogi się pod nim uginają. Upada. Na jego białym kombinezonie czerwieni się rana jak szeroki uśmiech. Aja uderzyła na wysokość krzyża, przecięła mu kręgosłup i wnętrzności aż po pępek. Ragnar upada tuż przy rozpadlinie, ostrze ślizga się po lodzie. Z wyciem wściekłości i rozdzierającym niedowierzaniem ruszam do ataku na Aję. Mustang strzela i biegnie ze mną. Aja odsuwa się przed strzałą i wbija Ragnarowi klingę dwa razy w brzuch. Jego ciałem wstrząsają konwulsje przy kolejnych ciosach. Ostrze unosi się i spada. Aja staje pewnie, gotowa do nowego pojedynku, lecz wtedy otwiera szerzej oczy. Cofa się, spogląda ze zdziwieniem w niebo nad moją głową. Mustang strzela szybko dwa razy. Aja potrząsa głową. Odwraca się od nas tuż nad skrajem rozpadliny. Lód pęka pod jej stopami, leci w dół. Aja macha rękami, ale nie może już odzyskać równowagi. Nasze spojrzenia się krzyżują, a potem Furia wraz z odłamkami lodu spada w mrok.

Rozdział trzydziesty

MILCZĄCA

Aja znikła. Rozpadlina jest głęboka, zwęży się w ciemność. Pędzę do Ragnara. Mustang rozgląda się po zboczach i chmurach z napiętym łukiem. Zostały jej tylko trzy strzały.

– Nic nie widzę – mówi niepewnie.
– KOSIARZU – szepcze Ragnar. Jego pierś unosi się ciężko, oddech się rwie. Ciemna krew pulsuje i wylewa się z rozpłatanego brzucha. Aja mogła zakończyć szybko jego życie dwoma pchnięciami, gdy upadł, ale tylko uszkodziła mu wnętrzności, żeby śmierć miał długą i bolesną. Przyciskam pierwszą z ran, ale tyle tu krwi, że nawet nie wiem, co robić. Opatrunek nie wystarczy, aby zatamować taki krwotok. Nawet nie utrzyma takiej rany. Łzy szczypią mnie w oczy. Ledwie widzę. Krew leje się strumieniem. Od jej ciepła czuję mrowienie w swoich zmarzniętych palcach. Ragnar blednie, twarz wykrzywia mu wstyd, gdy szepcze przeprosiny.

– To mogą być kanibale. – Mustang nadal rozgląda się za tym, co rozproszyło uwagę Ai. – Możemy go ruszyć?
– Nie – odpowiadam słabo. Mustang spogląda na Ragnarę ze stoickim spokojem.
– Nie możemy tu zostać.

Ignoruję ją. Widziałem śmierć zbyt wielu przyjaciół, żeby teraz opuścić Ragnarę. Pozwoliłem mu walczyć z Ają. Przekonałem go do powrotu w tę arktyczną krainę, gdzie się urodził. Nie pozwolę mu umierać w samotności. Przynajmniej tyle jestem mu winien. Gdyby to miało być ostatnie, co dla niego zrobię, głupie czy nie, będę go bronił. Znajdę sposób, aby go opatrzyć, zabrać do Żółtego. Nawet jeżeli pojawią się zaraz kanibale. Nawet jeżeli będzie mnie to kosztować życie, nie zostawię Ragnarę. Jednak to tylko zaklinanie rzeczywistości. Nie mam magicznej mocy. Nieważne, jaki wymyślę plan, wszystko sprzyja się przeciwko mnie.

– KOSIARZU – udaje się wydusić Ragnarowi po raz drugi.
– Oszczędzaj siły, przyjacielu. Będziesz ich potrzebował, gdy będziemy cię stąd zabierać.
– BYŁA SZYBKA. TAKA SZYBKA.
– Już jej nie ma – zapewniam, choć nie wiem na pewno.
– MARZYŁEM ZAWSZE O DOBREJ ŚMIERCI. – Drży na myśl, że umiera. – TA NIE WYDAJE SIĘ DOBRA.

Jego słowa wyrywają mi szloch z gardła.

– Jest dobra – zapewniam, choć głos mi się rwie. – Wszystko będzie dobrze. Poskładamy cię. Mickey cię wyleczy. Zabierzemy cię do Iglic. Wezwiemy pomoc i ewakuujemy się stąd.

– Darrow... – wtrąca się Mustang.

Ragnar mruga, próbuje skupić wzrok. Wyciąga rękę w niebo.

– SEFI...

– Nie, to tylko ja, Ragnarze, Darrow...

– Darrow... – odzywa się znowu Mustang z napięciem.

– Co? – warczę.

– SEFI... – Ragnar wskazuje w góre. Podnoszę wzrok. I nic nie widzę. Tylko niewyraźne chmury pchane wiatrem od morza. Słyszę tylko szarpanie się Cassiusa, trzeszczenie łuku Mustang i nierówne kroki Holiday przedzierającej się przez śnieg. Wreszcie jednak dostrzegam, dlaczego Aja uciekła. Trzytonowy, uskrzydlony drapieżca przeszywa obłoki. Ma ciało lwa, ale przednie nogi i głowę orła. Czarny, zakrywiony dziób... Łeb ma chyba większy od dorosłego Czerwonego. Gryf jest ogromny. Na spodzie skrzydeł o rozpiętości ponad dziesięciu metrów wymalowano wykrzywione twarze niebieskich demonów. Bestia ląduje tuż przed mną, aż ziemia drży. Gryf ma oczy jasnobłękitne, glify i zaklęcia wymalowane na dziobie odcinają się bielą na czerni. Na grzbiecie bestii siedzi przerażająca postać, która unosi do ust biały róg. Żałobne tony niosą się po śniegu.

Kolejne rogi odpowiadają z chmur i dwanaście gryfów zniża się nad góry. Niektóre przywierają do skał, inne lądują na równinie. Ten pierwszy gryfi jeździec, ten, który zadął w róg, nosi brudne, białe futra i hełm z kości ozdobiony pasem błękitnych piór ciągnących się na kark. Drugi z przybyszów, którzy zsiedli z gryfa, ma co najmniej dwa metry wzrostu.

– Zrodzony ze słońca – odzywa się w niewyraźnym dialekcie i podbiega do boku milczącego jeźdźca w bieli, po czym zdejmuje hełm. Ukazuje się grubo ciosana twarz poznaczona bliznami i poprzebijana kolczykami. Kobieta, bo to jednak kobieta, sądząc po głosie, opada na kolano i przyciska dłoń w rękawicy do czoła na znak czci. – Dostrzegliśmy płomienie z nieba...

Jej głos cichnie, gdy widzi mój sling.

Inni jeźdźcy również zdejmują hełmy i pośpiesznie zeskakują z siodeł, gdy tylko dostrzegają nasze włosy i oczy. Nie ma wśród nich ani jednego mężczyzny. Na twarzach tych kobiet widnieją niebieskie odciski rąk z wyrysowanym na środku małym okiem. Wiatr szarpie ich białe włosy splecone w długie warkocze. Czarne oczy świdrują nas spod opuszczonych powiek. Nosy Obsydianek są przebite żelazem lub kością, niektóre noszą też kolczyki w kącikach ust lub w uszach. Tylko przywódczyni nie zdjęła hełmu ani nie uklęknęła. Podchodzi do nas jakby w transie.

– SIOSTRO – szepcze Ragnar. – SIOSTRO MOJA.

– Sefi? – Mustang pamięta jej imię. Zerka z obawą na czarne ludzkie języki zwisające u lewego biodra Obsydianki. Przywódczyni nie nosi rękawic. Na grzbietach dłoni ma tatuaże.

– POZNAJESZ MNIE? – charczy Ragnar. Na ustach podchodzącej kobiety pojawia się leciutki, niepewny uśmiech. – NA PEWNO.

Przywódczyni przygląda się uważnie jego bliznom zza swojej maski. Oczy ma mroczne i szeroko otwarte.

– JA CIĘ POZNAJĘ. POZNAŁBYM CIĘ NAWET, GDYBY ŚWIAT POGRĄŻYŁ SIĘ W MROKU, A MY BYŚMY SIĘ ZESTARZELI I POMARSZCZYLI. – Ragnarem wstrząsa spazm bólu. – NAWET GDYBY LÓD SIĘ ROZTOPIŁ, A WIATR UCICHŁ.

Kobieta krok po kroku podchodzi bliżej.

– NAUCZYŁEM CIĘ CZTERDZIESTU DZIEWIĘCIU NAZW LODU... TRZYDZIESTU CZTERECH TCHNIEŃ WIATRU. – Ragnar się uśmiecha. – ALE UMIAŁAŚ ZAPAMIĘTAĆ TYLKO TRZYDZIEŚCI DWA.

Obsydianka nie odpowiada, ale inni jeźdzcy szepczą już imię powalonego olbrzyma i przyglądają się jeszcze uważniej mnie, jakby to, że mu towarzyszę i mam wygięte ostrze, mogło ujawnić, kim jestem. Ragnar mówi dalej, marnuje resztki swojej siły na słowa.

– ZANIOSŁEM CIĘ NA RAMIONACH PIĘĆ RAZY, ŻEBYŚMY MOGLI PATRZEĆ NA PRZEŁAMANIE LODU. POZWALAŁEM CI WPLATAĆ MI W BRODĘ WSTĄŻKI. I BAWIŁEM SIĘ Z TOBĄ LALKAMI ZE SKÓRY FOKI. RZUCALIŚMY RAZEM ŚNIEŻKI I LÓD W STAREGO DUMNOSTOPEGO. JESTEM TWOIM BRATEM. A GDY LUDZIE PŁACZĄCEGO SŁOŃCA ZABRALI MNIE I INNYCH Z NASZEJ RASY DO KRAINY ŁAŃCUCHÓW, PAMIĘTASZ, CO CI POWIEDZIAŁEM?

Pomimo ran z tego mężczyzny emanuje moc. To jego ziemia. To jego dom. I jest tu tak potężny jak ja w kopalni ze swoim wiertłem plazmowym. Siła jego mocy przyciąga bliżej Sefi. Kobieta opada na kolana i zdejmuje kościany hełm.

Sefi Milcząca, sławna córka Alii Śnieżnej Jaskółki, wygląda majestatycznie i dziko. Ma surowe rysy twarzy, ptasie. Zbyt małe oczy osadzone zbyt blisko siebie. Wąskie usta, czerwone na zimnie, wiecznie skrywione w namyśle. Białe włosy są wygolone z lewej, a z prawej spadają długim warkoczem na prawy bok. Na wygolonej czaszce odcina się błękitem tatuaż skrzydeł otoczonych astralnymi runami. Jednak wśród Obsydianów najbardziej wyróżnia ją i budzi podziw brak choć jednej blizny. Jedyną ozdobą Sefi jest żelazny drut przeciągnięty przez nos. A kiedy młoda Obsydianka spuszcza wzrok na rany Ragnara, przesywa mnie spojrzenie błękitnych oczu wytatuowanych na jej powiekach.

Wyciąga dłoń, lecz nie, żeby dotknąć brata, lecz aby poczuć tchnienie z jego ust i nozdrzy. Ragnarowi to nie wystarcza. Ujmuje ją za rękę i przyciska mocno do swojego torsu, aby mogła poczuć słabnące bicie jego serca. Łzy szczęścia wzbierają

w oczach Ragnara. A kiedy zaczynają spływać Sefi po policzkach i żłobić ścieżki w jej błękitnym malunku wojennym, głos Obsydiana się załamuje.

– MÓWIĘ CI, ŻE WRÓCĘ.

Sefi podnosi wzrok na ślad Ai w zapadłej rozpadlinie. Jednym cmoknięciem wysyła cztery Walkirie z linami w mrok, aby poszukały Furii. Reszta strzeże swojej przywódczyni i obserwuje góry, trzymając piękne łuki refleksywne w gotowości do strzału.

– Musimy polecieć z nim do Iglic – mówię do Sefi w jej języku. – Do waszego szamana.

Sefi nie podnosi na mnie wzroku.

– ZA PÓŹNO. – Śnieg zbiera się na białej brodzie Ragnara. – POZWÓŁ MI UMRZEĆ TUTAJ. NA ŁODZIE. POD DZIKIM NIEBEM.

– Nie – mamroczę. – Możemy cię uratować.

Świat wydaje się taki odległy i nieważny. Krew płynie na śnieg, ale u mojego przyjaciela nie dostrzegam już smutku. Sefi przepędziła mrok.

– NIE MA NIC WIELKIEGO W ŚMIERCI – mówi mi Ragnar i wiem, że chciałby zatrzeć w tym głębsze znaczenie. – NIE, KIEDY SIĘ ŻYŁO.

Uśmiecha się i próbuje mnie pocieszyć nawet teraz. Jednak na twarzy nosi wypisaną niesprawiedliwość swojego życia i śmierci.

– JESTEM CI TO WINIEN. ALE... TAK WIELE ZOSTAŁO DO ZROBIENIA. SEFI. – Przełyka, język mu drętwieje i zasycha w ustach. – CZY MOI LUDZIE DOTARLI DO CIEBIE?

Sefi potwierdza skinieniem głowy. Klęczy nad bratem, białe włosy wichrzy zimny wiatr. Ragnar znowu patrzy na mnie.

– DARROW, UWAŻASZ, ŻE SŁOWA WYSTARCZĄ. – Przechodzi na język Aureatów, żeby siostra nie mogła go zrozumieć. – NIE WYSTARCZĄ.

Właśnie tego mi nie powiedział. Dlatego na statku był taki milczący, dlatego brzemię przygarbiło mu ramiona. Wracał do domu, aby zabić swoją matkę. A teraz dawał mi pozwolenie, żebym sam to zrobił. Zerkam na Mustang. Ona także słyszała i twarz zdradza jej złamane serce. Zarówno ze względu na moje zniszczone, głupie marzenie, jak i z powodu umierającego przyjaciela. Ragnarem znowu wstrząsa ból, a Sefi sięga po nóż w cholewie. Nie chce dłużej patrzeć na jego cierpienie. Ragnar kręci głową i wskazuje na mnie. Chce, żebym ja to zrobił. Sefi podnosi na mnie gorejące oczy, jakby prowokowała mnie do sprzeciwu ostatniemu życzeniu jej brata.

– UMRĘ Z MOIMI PRZYJACIÓŁMI – mówi Ragnar.

W odrętwieniu wyciągam ostrze i unoszę nad jego torsem. W zażawionych oczach Ragnara nareszcie widzę spokój. Tylko tyle mogę dla niego zrobić – muszę być silny. Dla niego.

– PRZEKAŻĘ EGO POZDROWIENIA OD CIEBIE. PRZYGOTUJĘ CI MIEJSCE W DOLINIE PRZY TWOIM OJCU. SPOTKAM SIĘ Z WŁASNYM. DOŁĄCZ TAM DO MNIE PO ŚMIERCI. – Uśmiecha się. – ALE NIE JESTEM BUDOWNICZYM. WIĘC SIĘ NIE ŚPIESZ. POCZEKAMY.

Kiwam głową, jakbym nadal wierzył w Dolinę. Jakbym wciąż myślał, że czeka na mnie i na niego po śmierci.

– Twój lud będzie wolny – obiecuje. – Przysięgam na swoje życie. I wkrótce się zobaczymy.

Ragnar uśmiecha się i spogląda w niebo. Sefi pośpiesznie wkłada mu swój topór w dłoń, aby zginął jak wojownik i zasłużył na miejsce w Walhalli.

– NIE, SEFI. – Ragnar wypuszcza topór, nabiera w lewą dłoń śniegu, prawą ściska dłoń siostry. – ŻYJ DLA CZEGOŚ WIĘCEJ.

A potem skinieniem głowy nakazuje mi wypełnić przeznaczenie.

Wicher dmie.

Śnieg pada.

Ragnar patrzy w niebo, na zimną poświąte Fobosa, gdy w milczeniu wbijam mu klingę w serce. Śmierć opada jak noc. Nie dostrzegam, kiedy światło go opuszcza, kiedy serce przestaje bić, a oczy już nie widzą. Ale wiem, że odszedł. Czuję to w chłodzie, który mnie ogarnia, w wyciu osamotnionego, wygładniałego wiatru i w ciszy czarnych oczu Sefi Milczącej.

Mój przyjaciel i obrońca Ragnar Volarus opuścił ten świat.

Rozdział trzydziesty pierwszy

BLADA KRÓLOWA

Jestem odrętwiały ze smutku. Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, co zrobi Sevro, gdy usłyszy wieść o śmierci Ragnara. I o tym, że moi bratankowie i bratanice nigdy już nie zawiążą kokardek na warkoczach brody Przyjaznego Olbrzyma. Wraz z nim umarła część mojej duszy i nigdy już nie wróci. Był moim obrońcą. Dawał mi siłę. A teraz, bez niego, przyciskam się do pleców Walkirii, gdy jej gryf unosi się nad zakrwawionego śniegu. Nawet gdy szybujemy wśród obłoków na wielkich orlich skrzydłach, nawet gdy zza horyzontu wynurzają się Iglice, nie czuję podziwu. Tylko odrętwienie.

Iglice to powyginane ku niebu szczyty gór, tak nienormalne w swoim kształcie, że tylko Złoty szaleniec z dostępem do silnika Lovelocka i do surowców z całego Układu Słonecznego mógł je wypiętrzyć po pięćdziesięciu latach tektonicznych manipulacji. Zapewne zrobił to tylko dlatego, aby udowodnić, że może. Dziesiątki kamiennych Iglic splatają się ze sobą jak zajadli kochankowie. Okrywa je całun mgły. Gryfy zakładają gniazda na tych szczytach, niżej gnieżdżą się orły i kruki. Na pionowej ścianie wiszą siedem szkieletów na łańcuchach. Lód plamią smugi krwi i odchody ptaków. Oto ojczyzna jedynej rasy, która zagroziła Złotym. A my przybywamy zbryzgani krwią wygnanego stąd księcia.

Podwładne Sefi przeszukały rozpadlinę, w którą spadła Aja. Nie znalazły nic oprócz śladów. Nie znalazły ciała. Nie znalazły krwi. Nic, co mogłoby ukoić choć trochę gniew płonący w oczach siostry Ragnara. Zapewne pozostałaby przy ciele brata o wiele dłużej, gdyby nie bębny dudniące w oddali. Ludożercy, którym udało się zebrać większe siły, zamierzają wyzwać Walkirie na pojedynek o ciało upadłych bogów.

Wściekłość wykrzywia twarz Sefi, gdy staje nad Cassiusem z toporem w dłoni. To pierwszy ze Złotych, którego Obsydianka widzi bez zbroi. Oprócz Mustang. Zdaje mi się, że Sefi, z krwią brata na rękach, zaraz zabije Cassiusa. Wiem, że nawet nie spróbuję jej powstrzymać. Mustang również nie. Jednak Sefi powstrzymuje się, cmoka na Walkirie i wsuwa topór za pas, po czym gestem sygnalizuje, że pora lecieć. A Cassius wiszący do siodła Obsydianki po prawej. Strzała chybiała i nie przebiła mu gardła, ale śmierć grozi mu i bez pomocy topora Sefi.

Lądujemy w wysokiej jaskini wykutej w najwyższych partiach Iglicy, przypominającej korkociąg. Niewolnicy z wrogich Obsydianowych klanów, z wypalonemi oczyma, przytrzymują wodze gryfów po lądowaniu. Twarze mają

pomalowane na żółto – piętno tchórzy. Żelazne wrota zamykają się ze zgrzytem, odcinając nas od wiatru. Walkirie zeskoczyły tuż przed lądowaniem, aby pomóc nieść ciało Ragnara w głąb skalnego miasta.

Powstaje zamieszanie, gdy kilku uzbrojonych wojowników przepycha się do stajni gryfów i staje przed Sefi. Wskazują gniewnie na nas. Mówią z mocniejszym akcentem niż w nagalu, którego nauczyłem się z materiałów Mickeya i podczas studiów w Akademii, ale rozumiem dość, aby wiedzieć, że ta grupa wojowników żąda krzykliwie zakucia nas w łańcuchy. Pada też słowo „heretycy”. Kobiety Sefi odkrzykują, że jesteśmy przyjaciółmi Ragnara i wskazują znacząco na Złoto naszych włosów. Nie wiedzą, jak nas traktować, a tym bardziej Cassiusa, którego paru wojowników wyrywa sobie jak psy walczące o ochłapy mięsa. Cassius wciąż ma strzałę w szyci, oczy wytrzeszczone. Ze zgrozą wyciąga do mnie rękę, trzyma przez chwilę moją dłoń, a potem znika wyniesiony w głąb oświetlonego pochodniami korytarza. Tłoczy się tam chyba z pół tuzina olbrzymów. Reszta otacza nas z wielkimi żelaznymi toporami w dloniach lub równie wielkimi łukami. Ciężki odór ich futer przyprawia o mdłości. Cichną i uspokajają się, gdy stara, przygarbiona kobieta z dlonią wytatuowaną na czole przeciska się przez tłum, aby porozmawiać z Sefi. Jedna z doradczyń jej matki. Wskazuje w góre wielką ręką.

– Co ona mówi? – pyta Holiday.

– Opowiada o Fobosie. Wszyscy widzieli światła bitwy. Sądzą, że bogowie walczą. Ta tutaj uważa, że powinniśmy być więźniami, nie gośćmi – przekłada Mustang. – Pozwól im wziąć twoją broń.

– Akurat. – Holiday cofa się. Chwytam za lufę i zmuszam, żeby ją opuściła, a potem podaję Obsydiankom moje ostrze.

– Cholernie spektakularne – warczy Szara. Obsydiani zakuwają nam nogi i ręce w wielkie kajdany z żelaza. Starają się przy tym nie dotknąć naszej skóry ani włosów. Potem straż Iglicy odprowadza nas od Walkirii. Kiedy jednak oddalamy się, podchwytyuję spojrzenie Sefi, która się temu przygląda z wyrazem twarzy zdradzającym sprzeczne uczucia.

* * *

Po przejściu wielu słabo oświetlonych stopni zostajemy wepchnięci do celi wykutej w skale. Nie ma tu okien, a powietrze jest ciężkie od dymu. Zapewne od oliwnych szczap w żelaznych koszach. Potykam się o wystający głaz i upadam na podłogę. Trzaskam kajdanami o kamień. Czuję gniew. I bezradność. Wszystko dzieje się tak szybko, wydarzenia ciskają mną na prawo i lewo, nie mogę znaleźć wyjścia z sytuacji. Wystarcza mi jednak czasu na przemyślenie, jak bezsensowne okazały się

moje działania i plany. Mustang i Holiday przyglądają mi się w ciężkim milczeniu. Po jednym dniu realizowania mojego planu Ragnar stracił życie.

- Dlaczego nie pozwoliłeś jej go zabić? – pyta Holiday. Nie odpowiadam.
- Dobrze się czujesz? – pyta ciszej Mustang.
- A jak myślisz? – odpowiadam z goryczą.

Mustang milknie. Nie jest kruchą osobką, która łatwo się obraża albo jęczy, że chciała tylko pomóc. Dobrze zna ból po stracie.

- Potrzebny nam plan – odzywam się wreszcie mechanicznie, starając się wypchnąć Ragnara ze swoich myśli.
- Ragnar był naszym planem – krzywi się Holiday. – Był całym naszym cholernym planem.

– Możemy jeszcze coś ocalić.
– A jak, do cholery, zamierzasz to zrobić? – prycha Holiday. – Nie mamy już broni. A ci Obsydiani nie wyglądają raczej na uradowanych jak Różowe na nasz widok. Zapewne chcą nas zjeść.

- Ten klan nie należy do kanibali – zapewnia Mustang.
- Dasz głowę, panienko?
- Kluczem jest Alia – mówię cicho. – Wciąż możemy ją przekonać. Bez Ragnara nie będzie łatwo, ale to jedyny sposób. Musimy przekonać ją, że Ragnar zginął, bo próbował ujawnić swoim ludziom prawdę.
- Nie słyszałeś go? Słowa nie wystarczą.
- Może jednak.
- Darrow, zrób sobie chwilę przerwy, dobrze? – nakazuje Mustang łagodnie.
- Chwilę? Moi ludzie giną na orbicie. Sevro prowadzi wojnę i czeka, aż przyprowadzimy mu armię. Nie stać nas na luksus marnowania czasu.
- Darrow... – Mustang próbuje mi przerwać, ale ja mówię, metodycznie katalogując możliwości. Rozważam, jak możemy dopaść Aję, a potem dołączyć do Synów Aresa. Mustang kładzie mi rękę na ramieniu. – Przestań, Darrow.

Garbię się. Urywa mi się wątek, nie pamiętam, o czym mówiłem, wyślijuję się z bezpiecznych objęć logiki i wpadam w wir emocji. Pod paznokciami mam wciąż jeszcze krew Ragnara. Wszystko, czego chciał mój przyjaciel, to wrócić do domu i wyprowadzić swój lud z ciemności tak, jak ja wyprowadziłem swój. Obrabowałem go z tej możliwości, gdy przypuściłem atak na Aję. Nie płaczę. Nie mam na to czasu. Skrywam jednak twarz w dłoniach. Mustang dotyka mojego ramienia.

- Uśmiechał się na koniec – mówi cicho. – Wiesz dlaczego? Ponieważ wiedział, że to, co robił, jest słuszne. Walczył w imię miłości. Z przyjaciół uczyniłeś rodzinę. Jak zawsze. Poznanie ciebie uczyniło Ragnara lepszym człowiekiem. Dlatego nie sprowadziłeś na niego śmierci. Pomogłeś mu żyć. A teraz sam musisz żyć. – Siada przy mnie. – Wiem, że widzisz w ludziach to, co najlepsze. Wierzysz w nich. Ale

przypomnij sobie, ile trwało, zanim udało ci się dotrzeć do Ragnara. Ile czasu zajęło ci nawiązanie więzi ze mną albo Tactusem. Co można zrobić w dzień. W tydzień? Tutaj... to nie jest nasz świat. Obsydianów nie obchodzą nasze zasady ani moralność. Umrzemy tu, jeżeli nie uciekniemy.

– Nie uważasz, że Alia nas wysłucha?

– Dlaczego miałaby to zrobić? Obsydiani cenią tylko siłę. A gdzie jest nasza? Ragnar uznał przecież, że powinien zabić swoją matkę. Alia nie będzie słuchać. Znasz słowo w nagalu na określenie kapitulacji? *Rjoga*. A słowo na poddaństwo? *Rjoga*. Jak mówi się na niewolnictwo? *Rjoga*. Bez Ragnar, który by ich poprowadził, co się stanie, gdy wypuścisz Obsydianów na Elitę? Alia Śnieżna Jaskółka to tyranka o kamiennym sercu. A reszta jej doradczyń na pewno jest nie lepsza. Nawet jeśli zhakowaliśmy systemy monitoringu, Złoci wiedzą, że to matka Ragnar, mogli więc powiedzieć jej, czego powinna się spodziewać. Możliwe nawet, że właśnie donosi Złotym o naszym pojmaniu.

Gdy, będąc jeszcze chłopcem, przyglądałem się ojcu, myślałem, że dorosłość oznacza kontrolę. Władzę nad swoim przeznaczeniem. Skąd mały chłopiec miał wiedzieć, że wszelką wolność straci dokładnie w chwili, gdy stanie się mężczyzną? Sprawy ważne i ważniejsze. Naciski. Mnożą się powoli i nieuchronnie, tworząc klatkę niesprzyjających okoliczności, obowiązków, ostatecznych terminów, nieudanych planów i straconych przyjaciół. Mam dość wątpliwości innych. Mam dość tego, że ludzie wybierają wiarę w to, co wydaje im się możliwe w oparciu o to, co wydarzyło się wcześniej.

– Ucieczka nie będzie łatwa – burczy Holiday.

– Krok pierwszy – odpowiada jej Mustang i wysuwa się z kajdan. Przy pomocy małego kawałka kości otworzyła zamki.

– Gdzie się tego nauczyłaś? – pyta Szara z podziwem.

– Myślisz, że Instytut był moją pierwszą szkołą? – uśmiecha się Mustang. – Twoja kolej.

Pochyla się nad moimi kajdanami.

– Jak widać, możemy im uciec, gdy tylko otworzą się... W czym problem?

Cofam ręce od dziewczyny.

– Nie odejdę stąd.

– Darrow...

– Ragnar był moim przyjacielem. Przyrzekłem mu, że pomogę jego ludziom. Nie ucieknę, żeby się ratować. Nie pozwolę, żeby umarł na próżno. Jedynym wyjściem jest szczerość.

– Obsydiani...

– Są potrzebni. Bez nich nie mogę walczyć z legionami Złotych. Nawet z twoją pomocą.

- No dobrze. – Mustang nie próbuje ze mną dyskutować. – Jak zatem zamierzasz zmienić przekonania Alii?
- Myślę, że właśnie do tego będzie mi potrzebna twoja pomoc.

* * *

Kilka godzin później zostajemy zaprowadzeni na środek jaskini, która pełni rolę sali tronowej dla olbrzymów. Rozświetlają ją lampy naftowe zostawiające czarne smugi dymu na ścianach. Żelazne drzwi zatrzaszują się za nami, plecami. Stoimy samotnie przed tronem, na którym siedzi największa ludzka istota, jaką widziałem w życiu. Przygląda się nam z drugiego końca pomieszczenia. Przypomina raczej posąg niż kobietę. Podchodzimy do niej niezdarnie w łańcuchach. Kroczymy po gładkiej, czarnej posadzce. Podchodzimy do Alii Śnieżnej Jaskółki, królowej Walkirii.

Na jej kolanach spoczywa ciało zmarłego syna.

Alia spogląda na nas groźnie z wysokości tronu. Jest stara i pomarszczona. Przypomina najstarsze drzewo w pierwotnym lesie. Takie, które odbiera dla siebie substancje odżywcze z gleby i zasłania słońce mniejszym drzewom, a potem przygląda się, jak więdną, żółkną i umierają, ale nie robi nic, tylko wyciąga konary wyżej i zapuszcza korzenie głębiej. Wiatr osmagał jej twarz, skórę ma twardą, martwą i poznaczoną odciskami. Włosy, długie i proste, mają barwę brudnego śniegu. Alia siedzi na futrach ułożonych wewnątrz żeber szkieletu chyba największego z wyrzeżbionych gryfów. Jego czaszka bezgłośnie skrzeczy nad głową Alii, kości skrzydeł o rozpiętości ponad dziesięciu metrów wiszą na ścianie. Na głowie królowa Walkirii nosi szklaną czarną koronę. U stóp tronu spoczywa sławna skrzynia, spięta żelaznymi okuciami. Guzowate ręce Alii plami krew.

To pierwotne królestwo, a mnie się wydawało, że wiem, co powiedzieć jego królowej, zasiadającej na tronie. Jednak nie mam cholernego pojęcia, nie znajduję słów, które mógłbym skierować do matki z martwym synem na kolanach. Alia patrzy na mnie, jakbym był robakiem, który wypełzł właśnie z tajgi.

– W naszej krainie pojawiła się wielka herezja przeciw bogom władającym tysiącami gwiazd w Otczłani. – Jej głos huczy.

Kobieta przypomina starego krokodyla. Nie mówi w swoim języku, lecz w naszym, Aureatów. To święty język bogów, znany nielicznym na tej ziemi, głównie szamanom, którzy komunikują się z bogami. Innymi słowy, szpieguję. Płynność i swoboda wymowy Alii zaskakuje Mustang. Mnie nie. Wiem, jak ci z niższej kasty rosną w siłę przy potężnych. Alia tylko potwierdza to, co już wcześniej podejrzewałam. Gammy to nie jedyni faworyzowani niewolnicy na tym świecie.

– Herezja rozpowszechniana przez fałszywych proroków z niedobrymi intencjami. Przez lato i zimę rozpełzała się wśród nas. Zatruwała mój lud, a także

ludy na Zerwisku, Smoczym Grzbiecie, Krwawych Połaciach i Trzeszczących Grotach. Zatruwała ich kłamstwami, które były jak splunięcie w twarz naszego ludu. – Alia pochyla się na tronie. Ma głębokie cienie wzdłuż nosa, zmarszczki otaczają jej czarne oczy.

– Kłamstwo głosiło, że Skalany syn powróci z człowiekiem, który wyprowadzi nas z tej krainy. Zapowiadało gwiazdę wschodząą w ciemności. Odszukałam tych heretyków, aby poznać ich szepty i sprawdzić, czy bogowie przez nich przemawiają. Nie przemawiali. Przemawiało tylko зло. Więc ruszyłam na łowy i wyłapałam wszystkich heretyków. Własnymi rękami połamałam im kości. Odarłam ich ze skóry i wywiesiłam na skałach Iglicy, aby ich ścierwem pożywiły się ścierwojady nad lodową równiną.

Siedem ciał, które wisiały na łańcuchach przy jaskini. Przyjaciele Ragnara.

– Zrobiłam to dla mojego ludu. Ponieważ go kocham. Ponieważ niewiele jest dzieci z mojej macicy, lecz rzesze dzieci mojego serca. I ponieważ wiedziałam, że ta herezja to kłamstwo. Ragnar, krew z mojej krwi, nigdy by nie powrócił. Powrót oznaczałby złamanie przysięgi, którą mi złożył, którą złożył swoim ludziom i bogom patrzącym na nas z wysokości Asgardu.

Patrzy na ciało swojego syna.

– A potem obudziłam się w tym koszmarze. – Alia zamyka oczy. Nabiera głęboko tchu i dopiero wtedy unosi powieki. – Kim jesteście, że przynosicie zwłoki najlepszego z urodzonych wśród nas do mojej Iglicy?

– Nazywam się Darrow z Lykos – odpowiadam. – A to Virginia au Augustus i Holiday ti Nakamura.

Alia ignoruje Szarą i przesuwa wzrokiem po Mustang. Nawet przy prawie dwóch metrach wzrostu dziewczyna wydaje się mała jak dziecko w tej ogromnej sali.

– Przybyliśmy z Ragnarem jako misja dyplomatyczna powstania.

– Powstanie. – Starej Obsydiance nie podoba się nawet brzmienie tego obcego słowa. – A kim jesteś dla mojego syna?

Przygląda się moim włosom z odrazą głębszą niż śmiertelnik może czuć do boga. Rozgrywa się tutaj coś głębszego.

– Jesteś panem Ragnara?

– Jestem jego bratem – poprawiam.

– Jego bratem? – prycha Alia z drwiną.

– Twój syn złożył mi przysięgę wierności, gdy zabrałem go od Złotego. Ofiarował mi piętno, a ja zaofiarowałem mu wolność. Od tamtej pory był mi bratem.

– Ragnar... – Głos Alii się rwie. – Ragnar umarł wolny?

Ton, jakim to mówi, wskazuje na głębsze znaczenie. Mustang to wyczuwa.

– Tak, zginął wolny. Jego ludzie, ci, których powiesiłaś na skałach, powiedzieliby ci, że przewodzę rebelii przeciwko Złotym, którzy władają wami, którzy zabrali ci

Ragnara, jak i inne dzieci. I powiedzieliby tobie i wszystkim twoim ludziom, że Ragnar był największym z moich generałów. Był też dobrym człowiekiem. Był...

– Znam mojego syna – przerywa mi Alia. – Pływałam z nim wśród lodowej kry, gdy był chłopcem. Nauczyłam go nazw śniegu i burz. Zabrałam go na moim gryfie, aby pokazać mu grzbiet świata. Jego dlonie zaciskały się na moich włosach i śpiewał z radości, gdy wznosiliśmy się w chmury. Mój syn nie znał strachu.

Alia pamięta tamten dzień zupełnie inaczej niż Ragnar.

– Znam mojego syna. Żaden obcy nie musi mi mówić o wielkości jego ducha.

– Powinnaś zatem zadać sobie pytanie, królowo, co sprawiło, że tu powrócił – odzywa się Mustang. – Po co przysłał tu swoich ludzi i miał przybyć osobiście, wiedząc, że oznacza to złamanie przysięgi złożonej tobie i swojemu ludowi.

Alia bez słowa przygląda się Mustang głodnymi, ciemnymi oczami.

– Bracia. – Patrzy na mnie i znowu prycha z drwiną. – Ciekawe, do czego wykorzystujecie braci? Może używacie ich tak, jak mojego syna? Sprowadziliście go tutaj. Jakby był kluczem, który otworzy drzwi do olbrzymów z lodu, tak?

Rozgląda się po ścianach ogromnej jaskini, więc ja również patrzę. W skale wyryto czyny Obsydianów. Płaskorzeźby ciągną się pod sklepienie na wysokość piętnastu mężczyzn. Nigdy nie spotkałem Obsydianowych rzemieślników lub artystów. Do reszty świata posyła się tylko wojowników.

– Jakbyś mógł wykorzystać miłość matki przeciw niej. To sposób mężczyzn. Wyczuwam woń twojej ambicji. Twoje plany. Nie znam Otrchlani, och, światowy panie, ale znam lód. Znam gady, które wslizgają się w serca mężczyzn.

Świdruje mnie wzrokiem.

– Sama przepytałam heretyków. Wiem, kim jesteś. Wiem, że pochodzisz ze stworzeń niższych niż my. Czerwony. Widziałam Czerwonych. Są jak dzieci. Małe skrzaty, które żyją we wnętrzu świata. Lecz ty ukradłeś ciało Aesira, zrodzonego ze słońca. Ogłosiłeś, że zerwiesz łańcuchy, ale stałeś się tylko ich twórcą. Chciałbyś przywiązać nas do siebie. Wykorzystać naszą siłę, aby wspiąć się na szczyty. Jak każdy mężczyzna.

Pochyla się nad ciałem mojego przyjaciela i posyła mi pogardliwy grymas. I wtedy dostrzegam, co ta kobieta ceni i dlaczego Ragnar wierzył, że będzie musiał ją zabić i przejąć tron. Rozumiem już, dlaczego Mustang chciała uciec. Alia uważa tylko siłę. I zastanawia się, gdzie podziała się moja.

– Wiele o nim wiesz – odzywa się Mustang. – Ale nic nie wiesz o mnie, a jednak mnie lżysz.

Alia marszczy brwi. Jest oczywiste, że nie ma pojęcia, kim jest Mustang, nie chce też rozgniewać prawdziwej Złotej, o ile oczywiście dziewczyna jest Złotą. Pewność siebie starej kobiety nieco maleje. Nieznacznie.

– Nic nie powiedziałam o tobie, zrodzona ze słońca.

– A jednak. Stwierdziłaś, że Darrow ma niecne intencje wobec twojego ludu, sugerowałaś, że zmówiłam się z nim. I że ja, jego towarzyszka, przybyłam tutaj z równie niecnymi zamiarami.

– Jakie są więc twoje intencje? Dlaczego towarzyszysz temu potworowi?

– Aby sprawdzić, czy warto za nim iść – odpowiada Mustang.

– I warto?

– Jeszcze nie wiem. Ale wiem, że miliony za nim pójdą. Znasz taką liczbę?

Pojmujesz, jak wielu to ludzi, Alio?

– Wiem, ile to milion.

– Zapytałaś o moje zamiary. Ujmę to jak najprościej. Jestem przywódczynią i królową jak ty. Moje włości są większe, niż umiałabyś sobie wyobrazić. Mam metalowe okręty, które mogą przenieść przez Otwarta więcej ludzi, niż widziałaś w życiu. I które mogą rozbić góre na pół. I jestem tutaj, aby powiedzieć, że nie jestem bogiem. Ci ludzie w Asgardzie również nie są bogami. Są z krwi i kości. Jak ty. Jak ja.

Alia powoli wstaje. Niesie swojego syna w ramionach bez wysiłku, a potem kładzie ciało na kamiennym katafalku. Nalewa oliwy z małego dzbanka na szmatkę, którą owija twarz Ragnara. A potem całuje materiał. I patrzy na mnie.

Mustang naciska.

– Na tej ziemi nasienie nie wzrasta. Rządzi tu wiatr, lód i nagie skały. Ale wy przeżyliście. Kanibale czają się wśród wzgórz. Wrogie klany próbują odebrać wam tę ziemię. Ale przeżyliście. Sprzedajecie swoich synów i córki bogom, lecz potraficie tutaj przeżyć. Powiedz mi, Alio. Po co? Po co żyć, skoro jedynym celem tego życia jest służyć? Patrzeć, jak wasze rodziny się rozpadają? Widziałam, jak przepadła moja. Każdy z moich bliskich po kolei został mi odebrany. Mój świat się rozpada. Twój także, Alio. Jeżeli jednak przyłączysz do mnie swoją armię, do Darrowa, jak pragnął Ragnar... możemy stworzyć nowy świat.

Alia odwraca się do nas tyłem, odcina się od nas. A potem idzie w naszą stronę. Jej kroki są powolne, miarowe, aż wreszcie przed nami staje.

– Czego bałabyś się bardziej, Virginio au Augustus? Boga? Czy śmiertelnika z boską mocą? – Pytanie zawisa między nimi, tworzy przepaść, jakiej nie mogą wypełnić słowa. – Bóg nie może umrzeć. Więc nie zna strachu. Ale śmiertelnicy... – Alia cmoka i odsłania pożółkłezęby. – Jakże przeraża ich, że nadjejdzie mrok. Jak straszliwie będą walczyć, aby pozostać w świetle.

Jej ochrypły głos mrozi mi krew w żyłach.

Alia wie.

Mustang i ja uświadamiamy to sobie w tym samym straszliwym momencie. Alia wie, że jej bogowie są śmiertelni. W głębi mojej duszy rodzi się nowy lęk. Jestem takim głupcem. Przebyliśmy tę trudną i daleką drogę, aby zetrzeć bielmo z oczu Alii, a ona znała już prawdę. Poznała ją wcześniej. Czy Złoci jej powiedzieli, bo była

królową? Czy odkryła to sama? Zanim sprzedała Ragnarą czy potem? To nie ma znaczenia. Alia poddała się temu światu. Przyjęła kłamstwo.

– Jest inna droga – próbuję rozpaczliwie ją przekonać, chociaż wiem, że ta kobieta osądziła nas, zanim weszliśmy do tej sali. – Ragnar ją widział. Widział świat, w którym twój lud może opuścić krainę lodu. W którym każdy może wybrać swoje przeznaczenie. Dołącz do mnie, a ten świat stanie się możliwy. Dam ci władzę, dzięki której będziesz mogła podróżować do gwiazd jak nasi przodkowie, chodzić niewidzialna, latać między chmurami dzięki butom. Możesz żyć w krainie, jaką wybierzesz. W krainie, gdzie wiatr jest ciepły jak skóra i wszędzie widać zieleń, nie biel. Wystarczy, że będziesz walczyć wraz ze mną, jak uczynił to twój syn.

– Nie, mały człowieku. Nie możesz pokonać nieba. Nie możesz pokonać rzeki ani morza, ani gór. I nie pokonasz Złotych – mówi Alia. – Dlatego wypełnię swój obowiązek. Będę chronić mój lud. Odeślę was do Asgardu w kajdanach. Niech bogowie zdecydują o waszym losie. Mój lud przeżyje. Sefi odziedziczy tron. A ja pochowam mojego syna wśród lodu, z którego się narodził.

Rozdział trzydziesty drugi

ZIEMIA NICZYJA

Niebo ma barwę krwi, gdy odlatujemy z Iglic. Tym razem jesteśmy związani i przykuci łańcuchami do siodeł z cuchnącego futra, niczym juki. Oczy mi łączawią od wiatru wyjącego w najniższych warstwach troposfery. Gryf łopocze skrzydłami, mieśnie grają w mroźnym powietrzu. Odbijamy w bok i widzę jeźdźców unoszących zamaskowane twarze do nieba, patrzących na poświąte Fobosa. Rozbłyski bieli i żółci znaczą ciemniejące niebo, gdy okręty toczą bitwę. Modlę się o bezpieczeństwo Sevra, o życie Victry i reszty Wyjców.

Słowa zawiodły w przypadku Alii, jak przewidziała Mustang. A teraz lecimy do Asgardu jako dar dla bogów, gwarancja bezpiecznej przyszłości dla ludu z Iglic. A przynajmniej tak matka wyjaśniła to Sefi. A milcząca córka ujęła mój łańcuch i z pomocą osobistych strażników Alii zaciągnęła mnie i Mustang oraz Holiday do jaskini, gdzie czekały Walkirie.

Teraz, po wielu godzinach, przelatujemy nad krainą stworzoną przez gniewnych bogów w ich młodości. Dramatyczna i brutalna Antarktyka została zaprojektowana jako kara i próba dla przodków Obsydianów, którzy ośmielili się powstać przeciwko bogom po dwóch wiekach ich rządów. Tereny te są tak dzikie, że mniej niż sześćdziesiąt procent Obsydianów dożywa okresu dojrzewania – według danych Zarządu Kontroli Jakości.

Ta rozpaczliwa walka o życie ograbia ich z szansy na stworzenie kultury i uniemożliwia społeczny rozwój, tak samo, jak plemiona nomadów zostały ogрабione za pierwszym razem, u zarania średniowiecza. Kulturę tworzą rolnicy. Nomadzi prowadzą wojny.

Drobne ślady życia znaczą nagie pustkowia. Przechodzące stada żubrów. Ognie na zboczach gór, migoczące w szczelinach wrót wiodących do miast Obsydianów wykutych w skałach – tam przechowują zapasy i tłoczą się, gdy nadchodzi ciemność polarnej zimy. Lecimy przez wiele godzin. Zasypiam i budzę się wyczerpany. Nie zmrużyłem oka od tamtego posiłku, gdy Holiday przygotowała spaghetti marinara. W przytulnych trzewiach zniszczonego statku był z nami Ragnar. Zmiana nastąpiła tak szybko...

Budzi mnie zew rogu.

Ragnar nie żyje – to moja pierwsza myśl.

Nie po raz pierwszy budzę się do smutku.

Kolejny róg odpowiada, a Walkirie zwierają szyki. Unosimy się w morzu szarych jak popiół chmur. Sefi pochyla się w uprzęży nad mną i mocniej ujmuję wodze. Zmusza gryfa, by zanurkował w ziejący mrok. Przebijamy się przez powłokę chmur, a przed nami na tle zmierzchu widać Asgard. To góra wydżwignięta z ziemi przez bogów – wznosi się między Otwieraniem a krainą lodu. Siedziba Aesira. Olimp był błyszczącą ucztą dla zmysłów. Ta góra to mroczna groźba dla podbitej rasy.

Kamienne stopnie, niebezpieczne i bez podpory, wznoszą się u podnóża. Droga Skalanych. Szlak, którym muszą wyruszyć wszyscy młodzi Obsydiani, jeżeli chcą zyskać łaskę bogów, przynieść zaszczyt i łupy swoim plemionom przez oddanie się w służbę Wszechmatki Śmierci. Ciała leżą w Kotlinie Upadłych poniżej. Zamarznięte zwłoki mężczyzn i kobiet na ziemi, gdzie nic nie ulega rozkładowi i tylko stada kruków mogą te zwłoki przerobić na szkielety. To samotna ścieżka, ale jeżeli Obsidian chce zbliżyć się do góry, musi przejść właśnie tedy.

Tyle wystarcza, aby wzbudzić w Obsidianach obawy. Wyczuwam ten lęk u Sefi. Nigdy nie miała iść tą drogą. Żaden Skalany nie może zostać pośród ludu Iglic czy w innych klanach. Wszyscy są wybrańcami bogów i ich obowiązkiem jest służba. Matka Sefi nigdy nie pozwoliłaby córce przystąpić do prób. Potrzebowała córki, która odziedziczy władzę.

W przeciwnieństwie do Olimpu Asgard otacza krąg obronny. Elektronicznie renderowane dźwięki wysokiej częstotliwości mogą sprawić, że w promieniu dwóch kilometrów bębenki w uszach gryfów zaczyną krwawić. Ładunki tarcz pulsacyjnych znajdujących się bliżej wywołają oscylację struktury wiązań cząsteczkowych u człowieka lub zwierzęcia, zagotują im wodę w skórze i organach wewnętrznych, co wystarczy do zadania wyjątkowo bolesnej śmierci. Dla Obsidianów to czarna magia. Ale czujniki są martwe, a drony, które monitorują obszar, stały się na nas ślepe i pokazują nagrania sprzed trzech lat, tak samo jak satelity. Istnieje tylko jeden sposób, aby prosić o audiencję u bogów – przejść Drogą Skalanych za Świątynią Krzyczącego Cienia.

Lądujemy na niedostępnym szczycie pod Asgarem, spod którego zaczyna się Droga Skalanych. Czarna bryła świątyni pochyla się przed stopniami jak chciwa starucha, nadgryziona zębem czasu i osmagana wiatrem.

Zostaję ściągnięty z siodła i rzucony na lód. Po długim locie nogi mam odrętwiałe. Walkirie czekają, aż się podniosę z pomocą Mustang.

– Chyba już czas – mówi dziewczyna.

Potwierdzam skinieniem głowy i pozwalam, aby Walkirie poprowadziły mnie za Sefi do świątyni. Wiatr świszcze w otwartych ustach trzystu trzydziestu trzech kamiennych twarzy, które krzyczą z frontu świątyni, uwięzione w czarnej skale, ich dzikie spojrzenia błagają o wolność. Przechodzimy pod czarnym łukiem. Śnieg wiruje na posadzce.

– Sefi – mówię. Kobieta odwraca się powoli i zatrzymuje na mnie wzrok. Nie zmyła krwi brata z warkocza. – Mogę z tobą porozmawiać? Sam na sam?

Walkirie czekają, aż ich milcząca przywódczyni skinie głową, nim odciągają Holiday i Mustang na bok. Sefi wchodzi głębiej do świątyni. Ruszam za nią najszybciej, jak pozwalają mi kajdany. Wychodzimy na niewielki dziedziniec pod otwartym niebem. Drżę z zimna. Sefi przygląda mi się w niesamowitej fioletowej poświacie i cierpliwie czeka, aż zacznę mówić. Dopiero teraz dociera do mnie, że ta Obsydianka jest równie ciekawa mnie, jak ja jej. A to dodaje mi pewności siebie. Te małe ciemne oczy są przenikliwe. Potrafią dostrzec niedoskonałości. W ludziach, w zbrojach, w kłamstwach. Mustang nie myliła się, Alia nas nie wysłuchała. Podejrzewałem, że tak będzie, zanim jeszcze weszczyliśmy do sali tronowej, ale musiałem spróbować. Zresztą gdyby nawet nas wysłuchała, Mustang nigdy nie zaufałaby jej na tyle, by powierzyć dowództwo nad Obsydianami w naszej wojnie. Zyskałbym jedną sojuszniczkę, lecz straciłbym drugą. Jednak Sefi... Sefi jest moją ostatnią nadzieję.

– Dokąd idą? – pytam ją. – Zastanawiałaś się kiedyś? Mężczyźni i kobiety, których twój klan oddał bogom. Nie sądzę, żebyś wierzyła w to, co ci powiedziano. Że zostają wyróżnieni jako wojownicy. Że dostają nieopisane bogactwa w służbie nieśmiertelnych.

Czekam na jej odpowiedź. Oczywiście Sefi milczy. Jeżeli nie uda mi się jej przekonać, możemy już uznać się za martwych. Ale Mustang uważa, że mamy szansę. Ja też tak myślę. Przynajmniej większą niż z Alią.

– Gdybyś wierzyła w bogów, nie złożyłabyś przysięgi milczenia, gdy Rangar wspiął się na te schody. Inni wiwatowali, lecz ty płakałaś. Ponieważ wiesz... Prawda? – Podchodzę bliżej do tej młodej kobiety. Jest tylko trochę wyższa ode mnie. Bardziej umięśniona niż Victra. Blada twarz ma niemal ten sam kolor, co włosy. – Przeczuwałaś ponurą prawdę w sercu. Że wszyscy, którzy opuszczają lód, stają się niewolnikami.

Marszczy brwi. Próbuje nie stracić siły oddziaływania swoich słów.

– Twój brat był Skalanim, Synem Iglic. Był tytanem. Poszedł służyć bogom, ale traktowano go nie lepiej niż dobrego psa. Kazano mu walczyć na arenie, Sefi. Zakładano się o jego życie. Twój brat, który nauczył cię nazw lodu i wiatru, który był najwspanialszym Synem Iglic w swoim pokoleniu, stał się własnością innego człowieka.

Sefi unosi głowę i patrzy w gwiazdy migoczące na czarno-fioletowym nieboskłonie. Jak wiele nocy patrzyła tak i zastanawiała się, co się dzieje z jej starszym bratem? Ile kłamstw sobie wmawiała, byle przespać noc? A teraz, gdy poznala grozę, jaką musiał znieść, wspomnienie tych kłamstw i nieprzespanych nocy boli jeszcze bardziej.

– Twoja matka go sprzedała – dodaję, wykorzystując okazję. – Sprzedała też twoje rodzeństwo i ojca. Każdy, kto stąd odszedł, popadał w niewolę. Jak mój lud. Wiesz, co mówili posłańcy twojego brata. Byłem niewolnikiem, lecz powstałem przeciw swoim panom. Twój brat też się zbuntował wraz ze mną. Ragnar wrócił tutaj, aby zabrać cię do nas. Aby wyzwolić twój lud. I za to zginął. Dla ciebie. Czy ufasz mu na tyle, aby uwierzyć w jego ostatnie słowa? Czy kochasz go na tyle mocno?

Spogląda na mnie, białka jej oczu są przekrwione od gniewu, który chyba długo w sobie dusiła. Jakby wiedziała od lat o oszustwie matki. Ciekawe, co podsłuchała przez dwie i pół dekady. Ciekawe też, czy matka w ogóle ujawniła jej prawdę. Sefi ma być przecież królową. Może to właśnie by było rytuałem przejścia – jak Chrzest. Przekazanie wiedzy o prawdziwych warunkach, w jakich egzystują Obsydiani. Może Sefi słuchała nawet naszej rozmowy z Alią. Jej spojrzenie każe mi w to wierzyć.

– Sefi, jeżeli dostarczysz nas do Złotych, ich rządy będą trwały, a poświęcenie twojego brata pójdzie na marne. Jeżeli podoba ci się ten świat, nie rób nic. Ale jeżeli uważasz, że jest popsuty, niesprawiedliwy, podejmij ryzyko. Pozwól, że zdradzę ci tajemnice, które ukrywała przed tobą matka. Pozwól, że pokażę ci, jak śmiertelni są bogowie. Pomóż mi uczcić twojego brata.

Sefi w zamyśleniu patrzy na śnieg nawiewany na posadzkę. A potem z lekkim skinieniem głowy wyjmuje żelazny klucz spod peleryny i pewnym krokiem podchodzi do mnie.

* * *

Stopnie na Drodze Skalanych są zamarznięte i śliskie, do tego wiją się złowrogo we mgle. Ale to tylko schody. Wspinamy się po nich bez łańcuchów, przebrani za Walkirie – z twarzami skrytymi pod kościanymi maskami pomalowanymi na niebiesko, okryci pelerynami z futer. Mam za duże buty. Przebrania pożyczyły nam trzy kobiety, które zostały przy świętyni na straży z gryfami, Sefi prowadzi nas, osiem pozostałych Walkirii kroczy z tyłu. Nogi mi drżą z wysiłku, gdy docieramy na szczyt szklanego, czarnego kompleksu budowli Złotych, który wieńczy wysoki szczyt. Stoję tu wieże, każda należąca do jednego z bogów. Otaczają centralną budowlę, czarną, szklaną piramidę, z którą łączą je mosty wiszące dwadzieścia metrów nad zaśnieżoną, nierówną powierzchnią. Pomiędzy nami i siedzibą Złotych wznosi się jeszcze jedna świętynia, w kształcie krzyczącej twarzy, lecz o wiele większa niż ta na dole, niemal tak duża jak zamek Marsa. Przed świętynią rozciąga się kwadratowy plac, na środku wyrasta poczerniałe, guzowate drzewo. Ogień osmala jego konary. Wśród płomieni kwitnie biały kwiat, nietknięty gorącem. Walkirie szepczą do siebie, przestraszone tym świadectwem magii.

Sefi ostrożnie zrywa kwiat z drzewa. Płomienie osmalają jej skórzana rękawicę, ale dziewczyna odsuwa się bez szwanku. Mały biały kwiat ma kształt kropli. Pod dotknięciem rozchyla się i otwiera, ciemnieje w barwę krwi, a potem więdnie i zmienia się w popiół. Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Nie żeby mnie choć trochę obchodził ten pokaz. Za zimno na widowiska. Czerwony odcisk stopy pojawia się na śniegu przed nami. Sefi i jej Walkirie zamierają w śmiertelnym przerażeniu. Wyciągają tylko ręce ze zgętymi jak szpony palcami w geście obrony przed złymi duchami.

– To tylko krew ukryta w kamieniu – mówi Mustang uspokajająco. – Nie jest prawdziwa.

Mimo to Walkirie są przestraszone, gdy kolejne ślady wykwitają na śniegu. Trop wiedzie pod usta boga. Patrzą na siebie złeknione. Nawet Sefi pada na kolana, kiedy stajemy przed stopniami u wrót świątyni. Czym przedzej naśladowujemy Obsydianki i przyciskamy nosy do kamiennych płyt, a wtedy usta otwierają się i wychodzi z nich pomarszczony starzec. Biała broda, oczy fioletowe i zamglone wiekiem.

– Jesteście szaleni! – wyje. – Szaleni jak kruki, skoro przebyliście stopnie u zarania zimy!

Uderza laską w każdy stopień, po którym schodzi. Głosem nadrabia brak należytego majestatu, na ile tylko może.

– Kości i zakrzepła krew, tylko to z was zostanie. Przyszliście, aby prosić o próby dla piętna?

– Nie! – grzmię w swoim najlepszym nagalu. Podejście do prób dla Skalanych nic nam teraz nie da. Zobaczmy Złotych dopiero wtedy, gdy otrzymamy tatuaż. A według Ragnara nie byłem gotów, aby przetrwać takie próby. Ale jest inny sposób, aby sprowadzić do mnie bogów.

Przynęta.

– Nie? – powtarza Fioletowy zdumiony.

– Przyszliśmy błagać o posłuchanie u bogów.

W każdej chwili któraś z Walkirii może nas zdradzić. Wystarczy, że się odezwie. Ramiona drętwieją mi z napięcia. Tylko wiedza, że Mustang pomogła stworzyć ten plan i klęczy obok mnie na szczycie tej przeklętej góry, pozwala mi zachować zimną krew i resztki zdrowego rozsądku. Bo to oznacza, że nie jestem tak zupełnie szalony. A przynajmniej taką mam nadzieję.

– Więc jednak jesteście szaleni! – Fioletowy już się nami znudził. – Bogowie przychodzą i odchodzą. Do Otrębskich albo w głębiny morza. Ale nie udzielają audiencji śmiertelnikom. Bo czym jest czas dla istot takich jak oni? Tylko Skalani warci są ich miłości. Tylko nieliczni ze Skalanych mogą znieść widok boga. Dzieci lodu i mrocznych nocy.

To zaczyna być cholernie wkurzające.

– Statek z żelaza i gwiazd spadł z Otchlani – mówię. – Ciągnął za sobą ognisty ogon. I uderzył między szczytami w pobliżu Iglic Walkirii. Krwawym płomieniem przeciął niebo.

– Statek? – powtarza Fioletowy, zainteresowany o wiele bardziej niż wcześniej. Tak jak się spodziewaliśmy.

– Statek z żelaza i gwiazd – potwierdzam.

– Skąd mam wiedzieć, że to nie wizja? – pyta Fioletowy.

– Dotknęliśmy żelaza własnymi rękami.

Fioletowy milczy zamyślony. W głowie kłębią mu się myśli, szalone oczka błyszczą. Założyłbym się, że zdaje sobie sprawę z awarii systemu łączności. I wie, że jego panowie z chęcią posłuchają o statku, który spadł z nieba. Zapewne ostatnim, co oglądał przez holosieć, było moje przemówienie, a potem Żywe Srebro przerwał wszystkie transmisje. I oto ten niski Fioletowy, ten gorliwy aktor, zesłany na pustkowia, aby odgrywała nieustannie tę samą farsę dla barbarzyńskich prostaków, zdobył informację, jakiej nie znają jego władcy. Myśli, że na tym zyska. Mruży oczy z chciwości. Oto nadszedł czas, aby przejąć inicjatywę i wkraść się w łaski panów.

Jakie to smutne, że chciwość czyni z ludzi takich głupców.

– Macie dowody? – pyta pośpiesznie. – Każdy może powiedzieć, że widział upadek statku bogów.

Z wahaniem, w lęku, że podstęp, który wymyśliłem, nie powiedzie się, a zarazem w głębokiej pogardzie dla kapłana, Sefi wyjmuje z torby moje ostrze owinięte w foczą skórę. Rozwija pakunek. Ostrze jest ustawione na formę bicza. Fioletowy uśmiecha się bardzo zadowolony. Chce podnieść broń przez chustkę wyjątą z kieszeni, ale Sefi zawija ją na powrót w skórę.

– To dla bogów – warczę. – Nie dla slug.

Rozdział trzydziesty trzeci

BOGOWIE I LUDZIE

Kapłan wprowadza nas przez usta do świątyni, gdzie mamy czekać. Klęczymy na czarnych kamieniach w komnacie wydrążonej we wnętrzu góry. Za naszymi plecami kamienne usta się zamykają. Płomienie tańczą na środku sali, tworząc słup ognia sięgający onyksowego sufitu.

Akolici wędrują przez jaskinie tworzące świątynię. Noszą czarne habity z kapturami i śpiewają cicho.

– Dzieci lodu – szepcze wreszcie bogini z ciemności. Syntetyzator, identyczny jak te wmontowane w nasze demonie hełmy, zmienia głos tak, aby wydawało się, jakby przemawiało ich wiele. Niewidzialna Złota nie wysila się nawet na poprawny akcent. W języku Obsydianów mówi na pewno równie dobrze jak ja, ale gardzi nim oraz ludźmi, którzy posługują się tą mową. – Przyniosłyście wieści.

– Tak, zrodzona ze słońca.

– Opowiedz o statku, który widziałeś – rozkazuje kolejny głos, tym razem mężczyzny. Mniej wyniosły, bardziej radosny. – Możesz spojrzeć mi w twarz, dziecię.

Pozostaję na kolanaach, ale unoszę głowę, aby spojrzeć na Złotych. Jeden właśnie wyłączył swoją pelerynę Niewidkę. Złoci stoją blisko nas w ciemnej sali. Płomienie świątyni tańczą na metalicznych obliczach bogów. Mężczyzna nosi pelerynę. Kobieta zapewne nie miała czasu założyć swojej, tak bardzo śpieszyła się, aby nas zobaczyć.

Kobieta odgrywa Freyę, a mężczyzna przebrany jest za Lokiego. Jego metalowa maska to pysk wilka. Zwierzęta potrafią wyczuć strach. Ludzie nie. Lecz ci, którzy zabijali wiele razy, potrafią wyczuć vibracje w tej szczególnej ciszy przesyconej lękiem. A ja wyczuwam je od Sefi.

Bogowie są prawdziwi, myśli Obsydianka. Ragnar się mylił. My również.

Ale milczy.

– Pluł ogniem po niebie – mamroczę z pochyloną głową. – Ryczał głośno i rozbił się o zbocze.

– Co ty nie powiesz – szepcze Loki. – A pozostał w całości czy rozpadł się na niewielkie części, dziecię?

Mówienie, że widzieliśmy spadający statek, to spore ryzyko. Ale nie umiałem wymyślić żadnego innego pretekstu, który odciągnąłby bogów od wyświetlaczy holo w środku rebelii, skłoniłby ich do przejścia poza zasięg systemów bezpieczeństwa i garnizonu Szarych, byle się ze mną spotkać. Tych dwoje to

Niezrównani Naznaczeni, uwięzieni na granicy, podczas gdy świat przewraca się do góry nogami za ścianami tej twierdzy. Kiedyś ten posterunek uznawany byłby za awans, ale teraz to tylko forma banicji. Ciekawe, jakie przestępstwa lub błędy popełnili ci dwoje, że zostali zesłani do zajmowania się arktycznym pustkowiem.

– Kości statku rozsypały się po zboczu, zrodzony ze słońca – wyjaśniam, nie podnosząc oczu, żeby żadne z nich nie zażądało zdjęcia maski. Im bardziej się płaszczę, tym mniej jestem interesujący. – Połamali się jak łódki wyrzucone na brzeg przez Lodołamacza. Żelazo rozprysło się w drzazgi, ludzie rozbili się w drzazgi na śniegu.

Uważam, że Obsydiani użyliby takich metafor. U Złotych nie budzę podejrzeń.

– Ludzie w drzazgach? – dopytuje się Loki.

– Tak, ludzie. Ale o miękkich twarzach. Jak skóra foki w blasku ognia. – Zbyt wiele porównań. – Ale oczy jak rozżarzone węgle. – Nie mogę przestać. Jak mówiłby Ragnar? – Włosy jak złoto na twoim obliczu.

Metalowe maski pozostają beznamiętne, Złoci rozmawiają ze sobą przez komunikatory w hełmach.

– Nasz kapłan twierdzi, że macie broń bogów. – Freya zmienia temat. Sefi wyciąga zawiniątko z foczej skóry po raz drugi. Ciało ma napięte, zastanawia się pewnie, kiedy przełamię magię bogów, jak obiecałem. Jej dlonie drżą. Złoci podchodzą bliżej, widać lekkie drżenie powietrza wokół tarcz pulsacyjnych. Jedno dotknięcie i spalę się na popiół. Nie czuję strachu. Nie tutaj, na swojej górze. Bliżej. Bliżej, durnie.

– Dlaczego nie przekazaliście tej broni przywódcy plemienia? – pyta Loki.

– Albo szamanowi – dodaje podejrzliwie Freya. – Droga Skalanych jest długa i trudna. Wspieliście się tutaj tylko po to, aby przynieść nam...

– Jesteśmy wędrowcami – odpowiada Mustang, gdy Freya pochyla się, aby przyjrzeć ostrzu. – Bez plemienia. Bez szamana.

– Doprawdy, dziecię? – Loki stoi nad Sefi, w jego głosie pojawiają się twardze nuty.

– Zatem dlaczego ta tutaj ma błękitny tatuaż Walkirii na kostce?

Dłoń Lokiego odruchowo sięga po rękojeść ostrza, które nosi przy pasie.

– Została wygnana z plemienia – wyjaśniam. – Za złamanie przysięgi.

– Czy na ostrzu jest Sigil rodu? – Loki zwraca się do Frei. Kobieta sięga po broń tuż przed mną, a wtedy Mustang parska śmiechem pełnym goryczy i przyciąga jej uwagę.

– Na rękojeści, pani – dziewczyna odzywa się w czystym języku Aureatów. Chociaż nadal klęczy, jednak zdejmuję maskę i zrzuca ją na podłogę. – Znajdziesz tam pegaza w locie. Sigil rodu Andromedusa.

– Augustus – jąka się Loki, który od razu rozpoznaje twarz Mustang.

Wykorzystuję ich zaskoczenie i przysuwam się bliżej. Gdy Złoci znowu odwracają się do mnie, już chwytam ostrze tuż spod ręki Frei i włączam przycisk, który zmienia bicz w klingę przypominającą kształtem znak zapytania. Ten sam kształt płonął na ścianach miast i był wycinany na czołach, a także zabił tak wielu z ich rasy. Tę samą klingę oboje Złotych widziało na ekranach i w holosieci, gdy przemawiałem z Fobosa.

– Kosiarz... – udaje się wydusić Frei, po czym kobieta unosi pulsRękawicę. Tnę ostrzem przez jej przedramię, potem podbródek, a następnie wbijam z obrotu klingę w pierś Lokiego. Ostrze zwalnia, gdy napotyka tarczę pulsacyjną, zatrzymuje się na ułamek sekundy, gdy tarcza stawia opór. Wreszcie klinga się przebija. Jednak jest spowolniona, a zbroja pod spodem wytrzymuje. Mimo to czubek wbija się w napierśnik. Nieszkodliwie. Dopóki Mustang nie podejdzie i nie dobije rękojeści kopnięciem. Ostrze zanurza się w zbroję i dosięga ciała Lokiego.

Złoci padają. Freya na plecy. Loki na kolana.

– Zdjąć maski – rozkazuje Mustang z warknięciem, gdy Loki zaciska ręce na ostrzu wystającym mu z piersi. Zrywa mu z pasa unipad.

– Żadnych rozmów. – Holiday zabiera Lokiemu ostrze, gdy tylko jego tarcza się wyłącza. Sam zabieram miecz zabitej Frei.

– Zrób to.

Sefi i jej Walkirie wytrzeszczają oczy, gdy krew zaczyna płynąć spod pancerza Frei. Zdejmuję Złotej hełm, ukazuje się skrzywiona twarz Niezrównanej Naznaczonej o ciemnej skórze i oczach w kształcie migdałów.

– Wygląda dla ciebie jak bogini? – pytam Sefi.

Mustang parska ponurem śmiechem, gdy Loki zsuwa maskę.

– Darrow, zobacz, kogo tu mamy. Cenzor Merkurego we własnej osobie.

Pulchny Niezrównany o twarzy cherubina, który usiłował mnie zwerbować do swojego domu w Instytucie, zanim Fitchner mnie zabrał. Ostatni raz widzieliśmy się pięć lat temu – próbował wtedy pojedynkować się ze mną w korytarzach, gdy moje Wyjce szтурmowały Olimp. Strzeliłem mu w serce z pulsRękawicy. Śmiał się tylko. Nie jest mu teraz do śmiechu, gdy patrzy na klingę wystającą z piersi.

– Cenzor Merkurego – powtarzam. – Musisz być najbardziej pechowym Złotym, jakiego w życiu spotkałem. Straciłeś dwie góry i za każdym razem podbił je Czerwony.

– Kosiarz? To jakieś żarty. – Krzywi się z bólu, ale śmieje się ku własnemu zaskoczeniu. – Przecież miałeś być na Fobosie.

– Nic z tego, dobry człowiek. Tam jest mój mały psychotyczny wspólnik.

– Niech to szlag. Szlag. – Zerka znowu na ostrze w swojej piersi, dźwiga się z jękiem i przysiada na piętach, po czym ze świstem nabiera tchu. – Jak... Nie widzieliśmy cię...

- Żywe Srebro zhakowały wam systemy – wyjaśniam.
- Jesteś... tutaj dla... – Głos mu się urywa, Cenzor podnosi wzrok na Walkirie, które wstały i właśnie podchodzą do leżącej bogini. Sefi pochyla się nad Freią. Blada wojowniczka przesuwa palcami po twarzy kobiety, podczas gdy Holiday ściąga z zabitej zbroje.
- Dla nich – potwierdzam. – Jak cholera, właśnie dla nich.
- Och, niech to szlag. Augustus... – Nasz dawny Cenzor spogląda na Mustang z gorzkim śmiechem. – Nie możesz tego zrobić... Oszałeliście. Przecież to potwory! Nie możecie ich wypuścić. Wiecie, co się stanie? Nie otwierajcie puszki Pandory.
- Jeżeli to potwory, powinniśmy się zastanowić, kto ich takimi uczynił – Mustang odpowiada w języku Obsydianów, żeby Sefi zrozumiała. – A teraz podaj mi kody do arsenału Asgardu.
- Loki spluwa.
- Będziesz musiała ładniej o to poprosić, zdrajczyni.
- Mustang spogląda na niego zimno, jej głos mrozi krew żyłach.
- Zdrada to kwestia kierunku informacji, Cenzorze. Muszę pytać po raz drugi czy wolisz, żebym od razu zaczęła ci przycinać uszy?
- Sefi zanurza palec w kałuży krwi Frei i wsuwa do ust.
- To tylko krew. – Przykłekam obok niej. – Nie wyjątkowa jucha. Nie boska posoka. Zwykła ludzka krew.
- Podaję jej ostrze Frei. Sefi cofa się na samą myśl, ale zmusza się do zaciśnięcia palców na rękojeści. Dłoń jej drży, wojowniczka spodziewa się uderzenia pioruna albo spalenia, jak to się stało z mężczyznami, którzy dotknęli tarczy gołymi rękami.
- Ten przycisk cofa bicz. Ten kontroluje kształt klingi.
- Sefi unosi broń z rewerencją, a potem patrzy na mnie, w gniewnych oczach czai się pytanie, jaki kształt powinna wyczarować. Skinieniem głowy pokazuję swoją klingę – staram się zbratać z tą Obsydianką. I udaje mi się, chociaż tylko na wojennej stopie. Powoli ostrze Sefi przyjmuje kształt mojego slinga. Dostaję gęsiej skórki, gdy Walkirie zaczynają się śmiać. Wyczuwam ich wibrujące podniecenie, gdy podnoszą swoje ostrza i długie noże, a potem patrzą wyczekującą na mnie i Mustang.
- Zostało jeszcze pięciu bogów – mówi Mustang. – Życzą sobie panie ich spotkać?

Rozdział trzydziesty czwarty

BOGOBÓJCY

Wleczemy za sobą siedmioro bogów, dwoje martwych i pięcioro pojmanych. Noszę zbroję Odyna. Sefi – pancerz Tyra. Mustang jest Freią. Wszystkie pancerze zabraliśmy z arsenalu Asgardu. Krew plami skalny korytarz. Sefi szarpie jednego z żywych Złotych za włosy, ślizga się i potyka. Jej Walkirie ciągną pozostałych jeńców.

Wracamy do Iglic na pokładzie promu ukradzionego z hangaru w Asgardzie. Dostaliśmy się tam dzięki kodom od Lokiego, dającym dostęp do arsenalu. Wcześniej odzaliśmy się w zbroje i odszukaliśmy pozostałych bogów. Dwóch znaleźliśmy w głównej budowli, dowodzili grupą Zielonych i próbowali oczyścić systemy po włamaniu Żywego Srebra. Sefi zdobytym ostrzem jednemu odcięła ramię, a drugiego kantem dłoni pozbawiła przytomności. Przeraziła Zielonych, ale dwóch uniosło do mnie pięści w milczącym wyznaniu, że sympatyzują z powstaniem. Z ich pomocą zamknęliśmy resztę w magazynie, a nowi sprzymierzeńcy pomogli odzyskać połączenie bezpośrednio z centralą Żywego Srebra.

Samego Żywego Srebra nie udało się złapać, ale Victra była na posterunku i przekazała wieść, że gambit Sevra się powiodł. Trochę więcej niż jedna trzecia Marsjańskiej Floty Obronnej jest w rękach Synów Aresa i Niebieskich Żywego Srebra. A tysiące najlepszych żołnierzy Elity trafiło w pułapkę, zostali uwięzieni na Fobosie. Szakal odpowiedział szybko – właśnie przejął dowództwo nad pozostałymi okrętami floty i wezwał siły z Pasa Kuipera do wzmacnienia własnych.

Resztę Złotych znaleźliśmy dzięki biometrycznym czujnikom na stacji. Ukrywali się na niższych poziomach. Jedna ćwiczyła w swoich pokojach walkę ostrzem. Rozpoznała moją twarz i opuściła broń w geście kapitulacji. Czasami reputacja na coś się przydaje. Pozostali dwaj Złoci siedzieli w centrali monitoringu i przeglądali obrazy z kamer. Właśnie udało im się zrozumieć, że nagrania pochodzą przed trzech lat.

A teraz wszyscy nasi jeńcy z rękami zakutymi w magnetyczne kajdanki, związani razem linami z uprzęży gryfa Sefi i zakneblowani, rozglądają się po Iglicach, jakbyśmy właśnie zaciągnęli ich prosto do wrót piekieł.

Obsydiani z Iglic tłoczą się za nami w korytarzach. Śpieszą z niższych jaskiń, aby zobaczyć, co się dzieje. Większość widywała swoich bogów tylko z daleka, głównie jako błyski złota na wiosennym śniegu, mknące z prędkością trzech machów. Ale oto kroczymy wśród ludu Iglic, nasze tarcze pulsacyjne załamują światło i

wprawiają w drżenie powietrze, działa naszego promu topią wielkie żelazne wrota, które chroniły stajnie gryfów przed mrozem. Wrota topią się tak, jak gródź na „Paxie”, przez którą przeszedł Ragnar i ofiarował mi piętno.

Nie tak miało być. Inaczej zamierzałem wprowadzić Obsydianów do swojego stada. Chciałem użyć słów, przyjść pokornie, tylko w kombinezonie polarnym, nie w zbroi. Zamierzałem zdać się na łaskę Obsydianów, aby pokazać Alii, że doceniam jej lud i szanuję jej osąd. Byłem gotów narazić się na śmierć. Dla nich. Chciałem to zrobić jak kaznodzieja. Jednak nawet Ragnar wiedział, że to głupi plan. I teraz nie mam już czasu na bezkompromisowość i przesądy. Jeżeli Alia nie wyruszy ze mną na wojnę, zaciągnę ją siłą, wrzeszczącą i szarpiącą się, tak jak przed nią Lorn. Ponieważ żeby Obsydiani słuchali, muszę użyć jedynego języka, jaki rozumieją.

Potęgi.

Sefi strzela nad moją głową z pulsRękawicy, trafia w drzwi sanktuarium swojej matki. Stare żelazo poddaje się od razu. Wygięte i połamane zawiasy piszą. Mijamy armię wyprostowanych gigantów, którzy tłoczą się pod ścianą korytarza. Zabobony uczyniły tę potężną siłę kruchą. Kiedyś, gdy byli silniejsi, próbowali przebyć morze. Zbudowali duże knarry, aby uniosły wielu wojowników. Wyrzeźbione potwory, którymi Złoci wypełnili głębiny, zatopiły okręty. Te, którym udało się ujść, Złoci zniszczyli osobiście. Ostatni statek żeglował w tej krainie ponad dwieście lat temu.

Wchodzimy do sali. Alia siedzi na naradzie ze swoimi sławnymi siedmioma i siedemdziesięcioma doradcynami. Wszystkie odwracają się do nas wśród dużych, dymiących koszy z żarem. Ogromne wojowniczki z białymi włosami do talii, z nagimi ramionami, pasami spiętymi żelazem i wielkimi toporami na plecach. Czarne oczy i pierścienie z cennego metalu błyszczą w słabym świetle. Żadna z kobiet nie klęka ani się nie odzywa – są zbyt przerażone lub zaskoczone widokiem trzystuletnich żelaznych wrót stopionych w pomarańczowej poświacie. Wlokę ciała dwóch zabitych Złotych. Mustang i Sefi popychają pojmanych, a potem podcinają im kolana. Złoci padają na kamienną podłogę, ale zaraz zrywają się na równe nogi – próbują mimo wszystko zachować godność wśród tych ogromnych dzikusów w zadymionej jaskini.

– Czy to są bogowie? – grzmię przez hełm.

Nikt nie odpowiada. Alia przechodzi powoli między rozstępującymi się doradcynami.

– A ja? Czy jestem bogiem? – Tym razem chowam hełm. Mustang i Sefi robią to samo. Alia widzi swoją córkę w zbroi jej bogów i cofa się zaskoczona. Jej usta drżą ze strachu. Zatrzymuje się w pobliżu pięciorga sklepionych i zakneblowanych Złotych, którym udało się już wstać. Mają prawie po dwa metry wzrostu. Jednak,

choć przygarbiona i stara, Alia jest od nich wyższa o głowę. Przywódczyni patrzy na mężczyzn i kobiety, którzy byli jej bogami, a potem na swoją ostatnią córkę.

– Dziecko, coś ty zrobiła?

Sefi nie odpowiada. Ale ostrze wysuwa się w jej dloni i przyciąga uwagę wszystkich Obsydianów. Jedna z najsławniejszych córek ich plemienia dzierży broń bogów.

– Królowo Walkirii – zwracam się do Alii, jakbyśmy się nigdy wcześniej nie spotkali – nazywam się Darrow z Lykos. Brat krwi Ragnara Volarusa. Jestem przywódcą powstania, które wybuchło przeciwko fałszywym Złotym bogom. Widzieliście wszyscy ognie wybuchające wokół księżyca. To moja armia. Za tą krainą lodu, w Otrchlani, toczy się wojna między niewolnikami a panami. Przybyłem tutaj z największym Synem Iglic, aby wyjawić prawdę jego ludowi. – Machnięciem ręki wskazuję na Złotych, którzy patrzą na mnie z nienawiścią, jaką odczuwa cała ich rasa. – Zabili go, zanim zdążył powiedzieć, że jesteście niewolnikami. Wcześniej wysłał posłańców, aby głosili tę prawdę. Wasi bogowie są fałszywi.

– Kłamstwo! – krzyczy ktoś. Szaman z pokrywionymi kolanami i kręgosłupem. Próbuje potem paplać, ale Sefi go ucisza.

– Kłamstwo? – szczy Mustang. – Byłam w Asgardzie. Widziałam, gdzie śpią wasi nieśmiertelni. Gdzie jedzą, gdzie się rżną i gdzie srają. – Obraca pulsRękawicę w dłoni. – To nie magia. – A potem włącza buty grawitacyjne i unosi się nad podłogę. Obsydiani patrzą na nią z podziwem. – To nie magia. To narzędzia.

Alia widzi, co zrobiłem. Wie, co pokazałem jej córce i co przyniosłem jej ludziom, wbrew temu, czego chciała władcyni Iglic. Należymy do tego samego okrutnego gatunku. Wmawiałem sobie, że potrafię się wznieść ponad to. Nic z tego, nie udało mi się. Jednak próżność będę leczył kiedy indziej. To jest wojna. I liczy się tylko zwycięstwo. To jedyny honor. Chyba właśnie tego Mustang szukała tutaj, wśród Obsydianów. Bardziej obawiała się, że przez swój idealizm rozpętam coś, czego nie zdołam opanować. Jednak już rozumie kompromis, jaki chcę uzyskać, wpływ, który sklonny jestem wywrzeć. Właśnie tego oczekuje – nie tylko od sojusznika, lecz także od kogoś, kto ma budować nowy porządek. Potrzebny jest ktoś na tyle mądry, aby umiał się przystosować.

A Alia? Widzi, jak jej ludzie patrzą na mnie. I jak patrzą na moje ostrze, wciąż splamione krwią bogów. Widzą jakąś świętą relikвиę. Alia ma także świadomość, że mogłem ujawnić jej udział w boskim spisku. Mógłbym oskarzyć ją przed ludem Iglic, którym włada. Nie uczyniłem tego jednak. Daję jej szansę. Może udać, że nic nie wiedziała wcześniej i jest tak samo zaskoczona obrotem spraw jak wszyscy.

Niestety, matka mojego przyjaciela nie przyjmuje tej propozycji. Podchodzi do Sefi.

– Nosiłam cię w łonie, urodziłam cię, wykarmiłam. I to jest moja nagroda? Ta zdrada? Bluźnierstwo? Nie jesteś Walkirią. – Alia spogląda na swoich ludzi. – To kłamstwo. Uwolnijcie swoich bogów z rąk usurpatorów. Zabijcie bluźnierców. Zabijcie ich wszystkich!

Zanim jednak choć jedna z doradczyń-wojowniczek zdąży sięgnąć po broń, Sefi z wykroku macha ostrzem, które jej dałem. Głowa Alii toczy się w ciszy. Oczy wciąż ma otwarte. Wielkie ciało królowej nadal stoi, powoli jednak wychyla się w tył i z łomotem uderza w kamienną podłogę. Sefi staje nad powaloną matką i słuwa na zwłoki. A potem odwraca się do swoich ludzi i odzywa po raz pierwszy od dwudziestu pięciu lat:

– Ona wiedziała.

Głos ma głęboki i groźny. Choć tylko odrobinę głośniejszy od szeptu, rozbrzmiewa w jaskini głośniej niż ryk. Sefi prostuje się, obraca i przez zbite w gromadę doradczych przechodzi do tronu, pod którym spoczywa sławna skrzynia, nieotwierana od dziesięciu lat. Sefi pochyla się, ujmuje żelazne okucia złączone kłódką. Zaciska na niej palce i szarpie z gardłowym rykiem, niczym dzika bestia. Przerdzewiałe żelazo rani jej palce, ale okowy oddają się i pękają. Sefi cisza zniszczoną kłódkę na ziemię, potem otwiera skrzynię. Wyjmuje stary, czarny kombinezon bojowy, który jej matka wykorzystała podczas podboju Białego Wybrzeża. I czerwoną pelerynę z łusek smoka, którego matka w młodości oskórowała. Z dna skrzyni Sefi unosi wysoko wielki topór bojowy o dwóch ostrzach z durostali. Oksza lśni w migotliwej poświacie. Dziewczyna wstaje, po czym nieśpiesznie rusza z powrotem do Złotych jeńców. Topór matki ciągnie za sobą po podłodze.

Na skinienie córki Alii Mustang zdejmuje więźniom kneble.

– Jesteście bogami? – ton głosu Sefi jest zupełnie inny niż Ragnara, bezpośredni i mroźny jak zimowy sztorm.

– Będziesz się smażyć w ogniu piekielnym, śmiertelniczko – mówi jeden ze Złotych. – Jeżeli zaraz nas nie uwolnisz, Aesir zstąpi z nieba i spuści na twoją krainę deszcz ognia. Wiedz, że zetrzemy twój rodzaj z oblicza świata. Stopimy lód. Jesteśmy potężni. Jesteśmy Niezrównanymi Naznaczonymi. A to milenium należy do...

Sefi ścina go szerokim zamachem wielkiego topora. Krew bryzga mi na twarz. Nie cofam się. Wiedziałem, co się stanie, jeżeli sprowadzę tutaj Złotych. Ale wiem też, że nie mogę ich zatrzymać jako więźniów. Złoci stworzyli tę mitologię dla Obsydianów. I ten mit musi umrzeć. Mustang przysuwa się do mnie bliżej, aby dać mi do zrozumienia, że akceptuje to, co się dzieje. Jednak spojrzenie ma wbite w Złotych. Będzie pamiętała tę rzeźnię do końca swoich dni. Jej i moim obowiązkiem będzie teraz sprawić, aby ten rozlew krwi miało znaczenie.

W głębi duszy opłakuje tych Złotych. Nawet w obliczu śmierci potrafią sprawić, że ci wysocy, wyżsi od nich śmiertelnicy wydają się o wiele mniejsi. Aureaci stoją dumnie wyprostowani. Nie lamentują, że ich ostatnie chwile wypełnią się w tej zadymionej jaskini, tak daleko od posiadłości, w których spędzili dzieciństwo na jeździe konnej i nauce o cudach poezji Keatsa, dzieł Beethovena czy Volmera. Złota w średnim wieku zwraca się do Mustang:

– Pozwolisz na to? Walczyłam dla twojego ojca. Spotkałam cię, gdy byłaś jeszcze małą dziewczynką. I spadłam w jego Stalowym Deszczu. – Rzuca mi nienawistne spojrzenie. A potem zaczyna recytować wersy Ajschylosa, których niegdyś Niezrównani Naznaczeni używali jako pieśni wojennej.

Nu! Nuże! Dłoń w dłoń oplećmy go kołem!
Zacznijmy pieśń zgrozy, jak postanowiono,
I losy śmiertelnych obwieścmy wraz społem,
Co nasze przysędza je grono.
Ha! Radość sprawiają nam słuszne wyroki,
Bo z czystym kto sercem dłoń czystą wynurzy,
Nasz mściwy gniew temu da pokój głęboki,
Ten życie przepędzi bez burzy.
Lecz jeśli kto zgrzeszy, jak człowiek ten oto,
I kryje dłoń zbójczą, my zgasłych świadkowie,
Jawimy się zaraz, mszcząc zbrodnie z ochotą.
Aż końcem swym za krew odpowie!

Po kolejni Złoci padają pod ciosami topora Sefi. Wreszcie zostaje tylko kobieta. Stoi wyniośnie, słowa wymawia czysto i dźwięcznie. Patrzy mi w oczy, tak pewna swoich praw, jak ja swoich.

– Poświęcenie. Posłużzeństwo. Dobrobyt.

Topór Sefi ze świstem tnie powietrze i ostatnia z bogów Asgardu upada na kamienną podłogę. Nad jej ciałem staje zbryzgana krwią księżniczka Walkirii. Wygląda jak erynia, przerząjące i pradawne wcielenie sprawiedliwości. Pochyla się i zakrzywionym nożem wycina język zabitej. Mustang u mojego boku sztywnieje z niepokoju.

Sefi uśmiecha się, gdy dostrzega reakcję Mustang, a potem podchodzi do głowy matki i zdejmuje jej koronę. Z zakrwawionym toporem w jednej dloni i szklaną koroną w drugiej zbliża się do tronu z gryfich kości. Zajmuje okryte futrami siedzisko.

– Dzieci Iglic! Kosiarz wezwał nas, abyśmy przyłączyli się do jego wojny przeciwko fałszywym bogom. Czy Walkirie stawią się na wezwanie?

W odpowiedzi Walkirie unoszą wysoko nad głowy topory ozdobione błękitnymi piórami. Ponura pieśń Obsydianów niesie się po jaskini. Nawet doradczynie Alii przyłączają się do tej pieśni śmierci. Wydaje się, jakby przez skalne korytarze Iglic przetaczał się ocean, a ja czuję w sercu tępno wojny, które mrozi mi krew w żyłach.

– Ruszajcie więc, Hjeldo, Tharul, Veni i Hrogamy! Ruszajcie, Walkirie! Lećcie do Faldir, Wrona i Bolga, do plemion z Białego Wybrzeża, na Blade Równiny, na Złamany Grzbiet i do Wiedźmiej Przełęczy. Idźcie do swoich i do wrogów, ogłosicie wszystkim, że Sefi mówi. Przekażcie wszystkim, że posłańcy Ragnara przekazali prawdę. Asgard upadł. Bogowie nie żyją. Stare przysięgi zostały złamane. Więc kto ma uszy, niechaj słucha: Walkirie idą na wojnę!

Gdy świat wokół nas zaczyna wirować, a ekstaza wojenna wypełnia powietrze, Mustang i ja spoglądamy na siebie coraz bardziej ponuro. Zastanawiamy się, co właśnie rozpetaliśmy.

CZĘŚĆ TRZECIA

CHWAŁA

*Mamy tylko ten krzyk na wietrze.
Jak żyjemy. Jak sobie radzimy.
I jak walczymy, nim zginiemy.*
– Karnus au Bellona

Rozdział trzydziesty piąty

ŚWIATŁO

Przez siedem dni po śmierci Ragnar podróżuję po krainie lodu z Sefi i przemawiam do męskich plemion ze Złamanego Grzbietu, potem do Krwawych Śmiałków z Północnego Wybrzeża i wreszcie do kobiet, które noszą baranie rogi i strzegą Wiedźmiej Przełęczy. Latamy w butach grawitacyjnych i niesiemy nowinę o upadku Asgardu.

Jest... dramatycznie.

Sefi i kilka jej Walkirii rozpoczęły szkolenie z Holiday i ze mną. Musiały nauczyć się używać butów grawitacyjnych i broni pulsacyjnej. Początkowo były niezdarne. Jedna wleciała w zbocze z prędkością dwóch machów. Kiedy jednak trzydzieści Walkirii opada na śnieg, w ich długich warkoczach tańczy wiatr, a na lewym policzku widnieje błękitna dłoń Sefi Milczącej, miejscowi skłonni są mnie słuchać.

Zabieramy lwią część przywódców plemion do podbitej twierdzy na szczytce góry i pozwalamy im chodzić po komnatach, w których bogowie jedli i spali. Pokazujemy im zamrożone, zakonserwowane zwłoki zaszłachtowanych Złotych. Na widok zabitych bogów większość, nawet ci, którzy wiedzieli, że Obsydiani tak naprawdę są niewolnikami, przyłącza się do nas. Ci, którzy nam zaprzeczają i potępiają jak Alia, muszą stawić czoła swoim ludziom. Dwóch wodzów ze wstydu rzuciło się w przepaść. Kolejna przywódczyni otworzyła sobie żyły.

Jedna, szczególnie psychopatyczna, drobna kobieta, spojrzała złowrogo, gdy zabraliśmy ją do centrali łączności i trzech Zielonych pokazało nagrania z ukrytych kamer, które ujawniały spisek w plemieniu Obsydianki. Pożyczyłem jej ostrze, poleciłem z nią do domu, a dwa dni później do mojej sprawy ta kobieta dołączyła dwadzieścia tysięcy wojowników.

Czasami natykam się na legendę o Ragnarze. Legenda ta roznoси się wśród plemion. Ragnar nazywa się w niej Mówcą. Tym, który przyszedł, aby głosić prawdę, zapowiedziany przez proroków, i poświęcił życie dla swojego ludu. Lecz wraz z legendą przyjaciela rośnie i moja. Kształt mojego ostrza, wypalony w zboczach gór, wita mnie i Walkirie, gdy lecimy na spotkanie nowych plemion. Nazywają mnie Gwiazdą Zaranną. Tą gwiazdą, która na śnieżnych pustkowiach prowadzi jeźdźców gryfów i wędrowców podczas mrocznych miesięcy zimy. To ostatnia gwiazda, która znika z nieboskłonu, gdy wraz z wiosną powraca słońce.

I właśnie ta legenda zaczyna wiązać Obsydianów. Nie tworzy poczucia braterstwa – klany przez pokolenia były podzielone. Jednak ja nie posiadam tutaj

historii. W przeciwnieństwie do Sefi czy innych wielkich przywódców klanów stanowię dla Obsydianów śnieżne pole, nietknięte ludzką stopą. Jestem dla nich tabula rasa, na której mogą wyrysować wszystkie swoje marzenia. Jak mówi Mustang, jestem nowością, a to stara kraina przesiąknięta legendami, przodkami i tym, co stało się wcześniej. A to, co nowe, dla Obsydianów znaczy wyjątkowe.

Jednak pomimo naszych postępów ze zwoływaniem klanów trudności się piętrzą. Nie tylko musimy pilnować, aby różne frakcje Obsydianów nie powybijały się nawzajem w honorowych pojedynkach, lecz na dodatek wiele plemion przyjęło moje zaproszenie, żeby się przenieść. Setki tysięcy wojowników i wojowniczek trzeba przetransportować z siedzib na Antarktyce do tuneli Czerwonych, aby byli bezpieczni przed bombardowaniami Złotych. I wszystko to musi pozostać tajemnicą dla Szakala. Z Asgardu Mustang prowadzi działania kontrwywiadu i maskuje nasze manewry z pomocą hakerów Żywego Srebra, podrabia również raporty, jakoby nic się nie zmieniło, dla centrali Zarządu Kontroli Jakości na Agei.

Ponieważ nie ma możliwości, aby przenieść taką armię Obsydianów niepostrzeżenie, Mustang, Złota arystokratka, uknuła najbardziej brawurowy plan w historii Synów Aresa. Relokacja populacji na biegunie, z wykorzystaniem promów i frachtowców najemnej floty Żywego Srebra oraz tej zdobytej przez Synów Aresa, ma zostać wykonana w dwanaście godzin. Tysiące jednostek przyleci nad Morze Południowe, aby osiąść na łodzi w pobliżu miast Obsydianów, opuści rampy i przyjmie setki tysięcy wielkoludów w futrach i żelazie, cuchnących jak dzikie zwierzęta. Potem pod osłoną okrętów Synów Aresa Obsydiani zostaną rozproszeni w podziemiach, a wojownicy trafią na nasze okręty na orbicie. Nie znam chyba nikogo na świecie, kto potrafiłby zorganizować podobną operację w takim tempie jak Mustang.

* * *

Ósmego dnia po upadku Asgardu odlatuję z Mustang, Holiday i Cassiusem na spotkanie z Sevrem, aby nadzorować ostatnie przygotowania do wielkiej migracji. Walkirie zabierają zamarznięte ciało Ragnara spowite w całun. Przysuwają się do niego ze zgrozą, gdy nasz statek mknie niemal z prędkością dźwięku pięć metrów nad powierzchnią morza. Z podziwem spoglądają, jak schodzimy w tunele Marsa do jednego z wielu podziemnych punktów zbornych dla Synów Aresa. Znajduje się w starej górniczej osadzie w południowym paśmie górkim. Synowie czekają w ciężkich kurtkach polarnych i kominiarkach, salutują mi uniesionymi pięściami, gdy schodzimy do sztolni.

Pół dnia później, po kluczeniu w podziemiach, przybywamy do Tinos. Panuje tu ruch i zamieszanie, najróżniejsze jednostki wylatują i przylatują do doków w

stalaktytach. Wydaje się, jakby całe miasto przyglądało się, jak nasz prom manewruje wśród innych i ląduje w jednym z hangarów. Wszyscy wiedzą, że na pokładzie jestem nie tylko ja i nowi Obsydianowi sojusznicy, lecz także ciało Obrońcy Tinos. Zapłakane twarze rozmywają się podczas przelotu. Wśród uchodźców roznoszą się już plotki. Nadchodzą Obsydiani. Nie tylko po to, by walczyć, lecz aby zamieszkać w Tinos. Jeść żywność uchodźców. Dzielić ich załoczone uliczki. Tancerz twierdzi, że Tinos przypomina wrzący kocioł, który lada moment wybuchnie. Nie mogę powiedzieć, że nie ma racji.

Nastroje Synów Aresa są ponure. Ludzie zbierają się w milczeniu pod rampą mojego promu. Schodzę pierwszy. Sevro czeka z Tancerzem i Mickeyem u boku. Porywa mnie w ramiona. Na jego stoickiej, grubo ciosanej twarzy widzę zaczątki koziej bródki. Stara się trzymać ramiona prosto, jakby na tych kościstych barkach sam mógł udźwignąć nadzieję tysięcy Synów Aresa, którzy wypełniają dok, żeby po raz ostatni zobaczyć Obrońcę Tinos po powrocie do jego przybranej ojczyzny.

– Gdzie on jest? – pyta Sevro.

Zerkam przez ramię na prom, a Sefi i jej Walkirie znoszą ciało po rampie. Wyjce witają Ragnara pierwsze. Klaun z szacunkiem składa Sefi kondolencje. Sevro podchodzi do Walkirii.

– Witajcie w Tinos. Jestem Sevro au Barca, brat krwi Ragnara Volarusa. A tam stoi reszta jego braci i sióstr. – Wskazuje na Wyjce. Wszyscy noszą wilcze skóry. Sevro przyniósł niedźwiedzią pelerynę Ragnara. – Nosił to podczas walki. Za waszym pozwoleniem chciałbym mu ją założyć.

– Byłeś bratem Ragnara. Jesteś więc moim bratem – mówi Sefi. Cmoknięciem każe Walkiriom się cofnąć, aby do ciała mógł podejść Sevro. Mustang zerka na mnie. Przychylność Sefi odbieram jako dobry znak. Gdyby była podstępna, zatrzymałaby ciało Ragnara i urządziła mu stos pogrzebowy w oczystych stronach. Sefi powiedziała mi jednak, że wie, gdzie jest ojczyzna Ragnara – wśród tych, którzy walczyli wraz z nim i którzy pomogli mu wrócić do jego ludzi.

Mustang przysuwa się do mnie, gdy Wyjce owijają ciało Ragnara w skórę niedźwiedzia.

– Patrz. – Wskazuje na czarne wstążki, które Synowie Aresa wpletli w swoje brody i włosy.

Jej dłoń dotyka małego palca mojej ręki. Lekki uścisk przywołuje wspomnienia lasu, gdzie mnie ocaliła. Ogarnia mnie ciepło, chociaż Sevro opuszcza właśnie hangar z ciałem Ragnara.

– Idź – nakazuje mi Mustang. – Tancerz i ja mamy umówione spotkanie z Żywym Srebrem i Victrą.

– Potrzebna jej ochrona – mówię Tancerzowi. – Synowie, którym ufasz.

– Nic mi nie będzie. – Mustang przewraca oczami. – Przeżyłam Obsydianów.

- Dostanie Źmije Jaskiniowe – stwierdza Tancerz i mierzy Mustang spojrzeniem pozbawionym życliwości. Śmierć Ragnara odebrała mu dziś ducha. Wydaje się starszy, gdy macha na Narola i skinieniem głowy wskazuje prom. – Bellona jest na pokładzie?
- Holiday zamknęła go w kabinie pasażerskiej. Wciąż ma rozszarpaną szyję, więc będzie mu potrzebna doktor Virany. Postaraj się załatwić to dyskretnie. I daj mu osobny pokój.
- Osobny? Miasto jest przepełnione, Darrow. Nawet kapitanowie nie mają prywatnych pokoi.
- Cassius posiada ważne informacje. Chcesz, żeby został zastrzelony, zanim je nam ujawni?
- Dlatego zachowałeś go przy życiu? – Tancerz zerka na Mustang, jakby ona sama była już świadectwem moich błędnych decyzji. Nie wie, że Mustang odebrałaby Cassiusowi życie o wiele chętniej niż ja. Tancerz wzducha, gdy nie ustępuję. – Będzie bezpieczny. Daję słowo.
- Znajdź mnie później – mówi Mustang na odchodnym.
- Uśmiecham się do niej. Jej obecność sprawia, że czuję się bezpieczniej.
- Dobrze.

* * *

Sevro garbi się nad Ragnarem w laboratorium Mickeya. Co innego usłyszeć o śmierci przyjaciela, a co innego ujrzeć cień, jaki z niego pozostał. Nie mogłem znieść widoku butów roboczych ojca po jego śmierci. Matka była zbyt praktyczna, aby je wyrzucić. Powiedziała, że nas na to nie stać. Dlatego pewnego dnia sam je wyrzuciłem, a matka zmyła mi głowę i zmusiła, abym je przyniósł z powrotem.

Od Ragnar bije coraz silniejsza woń śmierci.

W jego ojczystej krainie zimno zachowało tkanki w nienaruszonym stanie, ale w Tinos generatory pracują pełną parą, zasilają chłodnie, oczyszczalnie wody i systemy wentylacyjne miasta w dole. Wkrótce Mickey zabalsamuje zwłoki i przygotuje je do pogrzebu, jakiego życzył sobie Ragnar.

Siedzę w milczeniu przez pół godziny, czekając, aż Sevro zacznie mówić. Nie chcę tu być. Nie chcę widzieć zwłok Ragnar. Nie chcę dłużej przeżywać smutku. A jednak siedzę ze wzgledu na Sevra.

Cuchnę potem. Czuję znużenie. Jedzenie, które przyniosła mi Dio, stoi nietknięte, przeżułem tylko machinalnie krakersa. Gdy patrzę na Ragnar, myślę, że na stole wygląda komicznie. Jest zbyt wielki, nogi mu zwisają.

Ragnar wydaje się spokojny po śmierci. Krople krwi jak borówki znaczą biel jego brody. Dwa ostrza spoczywają w dłoniach skrzyżowanych na szerokim torsie.

Tatuaże po śmierci wydają się ciemniejsze, pokrywają ramiona, pierś i szyję. Pasujące do siebie czaszki, które zrobił sobie na cześć moją i Sevra wydają się smutne. Opowiadają naszą historię, chociaż Ragnar już nie żyje. Tylko rana wygląda inaczej, cienka jak wąż, który nie opasał go do końca. Jak coś tak małego mogło zabrać z tego świata tak wielką duszę?

Chciałbym, aby był tu żywy.

Ludzie potrzebują go jeszcze bardziej.

Oczy Sevra robią się szkliste, palce przesuwają po tatuażach na skórze przyjaciela.

– Chciał polecieć na Wenus – mówi Sevro cicho i łagodnie jak dziecko. Nigdy wcześniej nie słyszałem w jego głosie takiej łagodności. – Pokazałem mu holonagranie z katamaranem. Gdy tylko założył gogle, zaczął się uśmiechać. Nigdy nie widziałem, aby ktoś tak się uśmiechał. Jakby znalazł raj i odkrył, że nie musi umierać, żeby się tam dostać. Zakradał się do mnie, żeby oglądać to nagranie, więc pewnego dnia po prostu dałem mu ten przeklęty holoodtwarzacz. Wiesz, jak mi odpłacił? – Nie wiedziałem. Sevro unosi prawą rękę, żeby pokazać wytatuowaną czaszkę. – Uczynił mnie swoim bratem.

Czule trąca Ragnarą pięścią w ramię.

– Ale ten durny wielkolud musiał zaatakować Aję, zamiast zwiać gdzie pieprzośnie.

Walkirie nadal próżno szukają śladów Ai na pustkowiach. Jej ślad wiódł w głąb rozpadliny, a potem znikł wśród krwi i resztek jakiegoś morskiego stwora. Mam nadzieję, że jakiś potwór schwytał ją i zabrał do swojej podmorskiej jaskini, gdzie wykańczał ją długo i boleśnie wśród lodu, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Ktoś taki jak Aja nie znika tak bez śladu. Cokolwiek by się stało, jeżeli przeżyła, na pewno znajdzie sposób, aby skontaktować się z Władczynią i Szakalem.

– To moja wina – wzdycham. – Mój główniany plan, aby dorwać Aję.

– Zamordowała Quinn. Pomogła zabić mojego ojca – szepcze Sevro. – Zabiła dziesiątki z nas, gdy byłeś zamknięty. To nie tak. Mnie też byś stracił, gdybym tam był. Nawet Ragnar nie powstrzymałby mnie od ataku.

Sevro przesuwa kłykciami po skraju stołu.

– Zawsze próbował nas chronić.

– Obrońca Tinos.

– Obrońca Tinos. – Głos mu się załamuje. – Uwielbiał ten tytuł.

– Wiem.

– Zdaje się, że zanim nas poznał, uważały się za miecz. To my sprawiliśmy, że stał się tym, kim pragnął. Obrońcą. Tarczą. – Sevro wyciera oczy i cofa się od ciała. – Nieważne. Za to mały książę żyje.

Kiwa głową.

- Zamknęliśmy go na promie.
 - Szkoda. Dwa milimetry. – Pokazuje palcami, jak nieznacznie Mustang spudłowała przy strzale w gardło Cassiusa. Gdy Sefi rozesłała Walkirie do plemion, zabrałem ją i wielu wodzów do Asgardu na pokładzie promu, aby mogli zobaczyć fortecję od wewnętrz. Zabrałem też Cassiusa, a Żółci w Asgardzie opatrzyli go i ocalili życie. – Dlaczego nie dałeś mu umrzeć, Darrow? Jeżeli myślisz, że za to podziękuję, powinieneś stuknąć się w głupi łeb.
 - Nie mogłem tak po prostu pozwolić mu umrzeć.
 - Dlaczego nie?
 - Nie wiem.
 - Nie bredź.
 - Może wydaje mi się, że świat z nim będzie lepszy – przyznaje ostrożnie. – Tylu ludzi go wykorzystało, okłamało, zdradziło. I wszystko to go ukształtowało. Ale to nie fair. Chcę, żeby miał szansę zdecydować samodzielnie, jakim człowiekiem pragnie się stać.
 - Nikt z nas nie stał się tym, kim chciał – prycha Sevro. – A przynajmniej nie na długo.
 - Ale czy nie o to właśnie walczymy? Czy nie to powiedziałeś właśnie o Ragnarze? Miał być mieczem, lecz daliśmy mu szansę, aby stał się tarczą. Cassius zasługuje na taką samą szansę.
 - Gównojad. – Sevro przewraca oczami. – Tylko dlatego, że masz rację, wcale nie znaczy, że masz rację. Zresztą orły są znienawidzone tak samo jak lwy. Ktoś na pewno spróbuje załatwić nasze księiątko. I twoją dziewczynę też.
 - Dostała Żmije do ochrony. I nie jest moją dziewczyną.
 - Skoro tak mówisz. – Sevro siada na jednym ze skórzanych foteli, ukradzionych dla Mickeya, i przesuwa dlonią po szorstkim irokezie. – Szkoda, że nie wzięła ze sobą Telemanusów. Gdyby tam byli, Aja nie wyszłaby z tego bez szwanku.
- Zamyka oczy i odchyla się na oparcie.
- Och, hej! – Prostuje się zaraz, coś sobie przypominając. – Mam dla ciebie kilka okrętów.
 - Wiem. Dziękuję.
 - Nareszcie – parska śmiechem. – Oto znak, że jednak wywołujemy zmiany. Dwanaście kutrów rakietowych, dziesięć fregat, cztery niszczyciele i jeden krążownik. Szkoda, że tego nie widziałeś, Kosiarzu. Flota marsjańska spakowała wszystkich swoich legionistów, a potem wyrzuciła ich na Fobosa i opróżniła okręty. A my ukradliśmy te promy, wystartowaliśmy, wysłaliśmy poprawne kody i bez trudu wylądowaliśmy na okrętach. Mój oddział nawet raz nie wystrzelił. Chłopcy Żywego Srebra przejęli systemy łączności wewnętrznej floty. Wszyscy słyszeli twoje przemówienie. Wywołało bunt, zanim jeszcze dostaliśmy się na pokład. Czerwoni,

Pomarańczowi, Niebiescy, nawet Szarzy. Drugi raz taki numer jak zhakowanie sieci wewnętrznych nie przejdzie. Złoci nauczą się odcinać systemy od sieci, więc nie da rady jeszcze raz przejąć kontroli, ale ten tydzień na pewno dał się im we znaki. Kiedy dołączymy do „Paxa” i okrętów Orion, będziemy mieli prawdziwą siłę, aby załatwić tych Pixie.

Właśnie w takich chwilach wiem, że nie jestem sam. Nieważne, co czeka świat, dopóki mam swojego małego, pokręconego anioła stróża. Gdybym sam równie dobrze strzegł jego, jak on pilnuje mnie... Po raz kolejny Sevro zrobił wszystko, o co prosiłem, i jeszcze więcej. Gdy zajmowałem się Obsydianami, wybił zieżącą dziurę w obronnej flocie Szakala. Okaleczył ją. Zmusił siły Złotych, aby się wycofały na Deimosa i tam czekały na wezwane wcześniej wsparcie z Ceres i Puszki.

Przez godzinę Sevro zyskał przewagę nad południową półkulą Marsa. Król Gnomów. A potem musiał się wycofać i przyczaić blisko Fobosa, gdzie jego ludzie eliminowali uwięzionych w hangarach lojalnych żołnierzy. Oddziały Rolla odcinały legionistom dopływ powietrza albo wyrzucały ich w próżnię. Nie mam złudzeń, że Szakal pozwoli nam zatrzymać Fobosa. Na ludziach mu nie zależy, ale nie może sobie pozwolić na zniszczenie tamtejszych rafinerii helium-3. Dlatego kolejny atak rozpocznie się już wkrótce. Nie przeszkodzi to w naszych planach wojennych – Szakal będzie musiał zetrzeć się ze społeczeństwem, które tam obudziliśmy. Oznacza to, że zwiążemy go walką i zmusimy do tracenia zasobów, a przy tym mnie w niczym to nie zagrozi. Najgorsza możliwa sytuacja dla Szakala.

– O czym myślisz? – pytam Sevra. Spogląda w sufit.

– Zastanawiam się, kiedy znowu ruszymy do walki. I dlaczego to właśnie my musimy być na pierwszej linii. Gdy ogląda się wiadomości, słyszy opowieści, trudno nie pomyśleć o zwykłych ludziach. Tych, którzy żyją na Ganimedesie, na Ziemi albo na Książycu. Zazdrośćczę im.

– Myślisz, że nie miałeś szansy na zwykłe życie?

– Niezbyt dużą – przyznaje.

– A jak w ogóle miałoby wyglądać takie zwyczajne życie?

Sevro splata ramiona na piersi, jakby był dzieckiem, które spogląda na świat ze swojej piaskownicy i zastanawia się, dlaczego tam nie jest tak magicznie, jak w miejscu, gdzie się bawi.

– Nie wiem. Na pewno musiałbym być jak najdalej od Niezrównanych Naznaczonych. Żyłbym jako Pixie albo jakiś szczęśliwy ŚródKolor. Chcę po prostu czegoś, na co mógłbym popatrzeć i powiedzieć: „To jest bezpieczne, to jest moje i nikt nie będzie próbował mi tego odebrać”. Dom. Dzieci.

– Dzieci? – Tym mnie zaskoczył.

– Nie wiem. Nigdy o tym nie myślałem przed śmiercią ojca. I dopóki cię nie pojmano.

– Chcesz powiedzieć, przed Victrą... – Mrugam do niego porozumiewawczo. – Ładna bródka, tak przy okazji.

– Zamknij się – warczy Sevro.

– Czy wy dwoje... – próbuję dopytać, ale przyjaciel szybko zmienia temat.

– Chciałbym tak dla odmiany być po prostu Sevrem. Mieć ojca. Znać matkę. – Śmieje się do siebie z goryczą. – Czasami zastanawiam się, jak by to było, wrócić do początków, i co by się stało, gdyby ojciec wiedział, co planuje Zarząd Kontroli Jakości. Co by było, gdyby uciekł ze mną i z matką.

Kiwam głową.

– Zawsze się zastanawiałem, jak potoczyłoby się moje życie, gdyby Eo nie zginęła. Myślę o dzieciach, jakie by urodziła. Jak bym je nazwał. – Uśmiecham się lekko. – Zestarzałbym się. Zobaczyłbym, jak starzeje się Eo. Kochałbym ją coraz bardziej z każdą przybywającą zmarszczką, z każdym mijającym rokiem, nawet gdyby ona zaczęła nienawidzić tego naszego małego życia. Pochowałbym matkę, może brata i siostrę. I gdybym miał szczęście, pewnego dnia włosy Eo by posiwały, zanim zaczęłyby wypadać i zanim pojawiłby się kaszel. Usłyszałbym łomot skał, walących się na mnie i wiertło. I byłoby po wszystkim. Eo posłałaby moje ciało do krematorium, rozsypałaby moje prochy. A potem nasze dzieci zrobiłyby to samo dla niej. Inni z osady mówiliby, że byliśmy dobrzy i szczęśliwi, cholernie dobrze wychowaliśmy dzieci. A kiedy i te dzieci by umarły, pamięć o nas by zbladła, a po śmierci ich dzieci wspomnienia o nas znikłyby jak pył, którym się staliśmy, wywiany z długiego tunelu. Byłoby to małe, proste życie. – Wzruszam ramionami. – Podobałoby mi się. Każdego dnia zadaję sobie pytanie, czy gdybym mógł zacząć jeszcze raz, czy skorzystałbym z takiej szansy?

– I jaka jest odpowiedź?

– Cały czas myślałem, że robię to dla Eo. Mknę prosto jak strzała, ponieważ noszę w sobie tę prostą, piękną ideę. Eo tego chciała. Kochałem ją, dlatego chcę sprawić, aby jej marzenie się spełniło. Ale to bzdura. Moje cholerne życie było tylko połowiczne. Stworzyłem z kobiety bóstwo, męczennicę, coś, a nie kogoś. Wmawiałem sobie, że była ideałem. – Przeczesuję palcami brudne włosy. – Eo by tego nie chciała. A kiedy rozejrzałem się po Dnie, po prostu zrozumiałem. To znaczy chyba do mnie dotarło wtedy, gdy przemawiałem, że w tej sprawiedliwości nie chodzi o to, aby naprawić przeszłość, lecz żeby naprawić przyszłość. Nie walczymy w imieniu zmarłych. Walczymy dla żywych. Dla tych, którzy jeszcze się nie narodzili. W imię szansy, żeby mieć dzieci. Właśnie to musi przyjść po tej wojnie, inaczej jaki ona ma sens?

Sevro siedzi w milczeniu i zastanawia się nad tym, co właśnie powiedziałem.

– Ty i ja szukamy światła w ciemności, oczekujemy, że w końcu się pojawi. – Dotykam jego ramienia. – Ale ono już świeci. To my nim jesteśmy, chłopaku. Chociaż

złamani, pokręceni i głupi, jesteśmy światłem i świecimy coraz mocniej.

Rozdział trzydziesty szósty

OCZYSZCZENIE

Wpadam na Victrę w korytarzu po tym, jak zostawiłem Sevra z Ragnarem. Robi się późno, już po północy. Victra właśnie przyleciała z Fobosa, aby pomóc w nadzorowaniu ostatnich przygotowań na linii ochrony Żywego Srebra, Synów Aresa i nowej floty, nad którą powierzyłem jej komendę, dopóki nie dołączy do Orion. To kolejna decyzja, która drażni Tancerza. Przeraża go, że tak wiele władzy oddaję Złotym, którzy mogą mieć ukryte motywy. Obecność Mustang zapewne była kroplą, która przelała czarę goryczy.

– Jak to znosi? – pyta mnie Victra, zerkając na Sevra.
– Lepiej, niż przypuszczałem – zapewniam. Nie widzieli się od mojej przemowy na Fobosie. Sevro zajmował się okrętami, podczas gdy Victra koordynowała działania z bezpiecznego centrum łączności w iglicy Żywego Srebra. – Na pewno ucieśnie się na twój widok.

Uśmiecha się na te słowa, trochę wbrew własnej woli. Mam nawet wrażenie, że lekko się rumieni.

– A ty gdzie idziesz? – pyta zbyt surowo.
– Muszę się upewnić, że Tancerz i Mustang nie skoczyli sobie jeszcze do gardeł.
– Szlachetnie. Ale za późno.
– Co się stało? Czy wszystko w porządku?
– To zależy, co przez to rozumieć. Tancerz jest w sali obrad i wyrzeka na kompleks boga u Złotych, arogancję i inne takie. Nigdy nie słyszałam, żeby tyle przeklinał. Nie zostałam długo, a on nie powiedział za wiele. Wiesz, że niezbyt mnie lubi.

– A ty nie bardzo lubisz Mustang.
– Nie mam nic do tej dziewczyny. Przypomina mi o domu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę nowych sojuszników, których nam sprowadziłeś. Wydaje mi się tylko, że to mała, przebiegła damulka. I tyle. Ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, prawda?

Parskam śmiechem.
– Nie jestem pewien, czy rozumiem podtekst i czy w ogóle go szukać.
– Powinieneś.
– Wiesz, gdzie jest Mustang?
Victra uśmiecha się niewinnie.
– Wbrew powszechnemu mniemaniu nie jestem wszechwiedząca, skarbie. – Mija mnie, aby dołączyć do Sevra. Po drodze klepie mnie po głowie. – Ale na twoim

miejscu sprawdziłabym kantynę na poziomie trzecim.

– A gdzie ty będziesz?

Uśmiecha się psotnie.

– Nie twoja sprawa.

* * *

Odnajduję Mustang we wskazanej kantynie, siedzącą nad metalową butelką z wujkiem Narolem, Kavaxem i Daxem. Tuzin członków Źmij Jaskiniowych garbi się przy innych stolikach, paląc i podsłuchując Mustang, która opiera nogi na stole, wykorzystując Daxa jako oparcie, i opowiada o Instytucie. Nie dostrzegam ich od razu, gdy wchodzę, ponieważ Telemanusowie zasłaniają, ale mój brat i matka również siedzą przy tym stole.

– ...i oczywiście zwołałam Paxa.

– To mój syn – przypomina Kavax mojej matce.

– ...a on przyjechał wokół wzgórza. Prowadził kawałkadę członków mojego Domu, a Darrow ze swoimi poczuli, że ziemia drży, i uciekli z krzykiem do obozu, gdzie kryli się przez wiele godzin, drżeli z zimna i sinieli.

– Sinieli! – powtarza Kavax z głośnym, dzieciennym niemal chichotem. Jego śmiech jest tak zaraźliwy, że nadstawiający uszu Synowie przy innych stolikach nie mogą udawać, że wcale nie słuchają, i również parskają śmiechem. Pomimo że jest Złotym, Kavaxa au Telemanusa nie da się nie lubić. – Zsinieli jak sinice, prawda, Sofoklesie? Daj mu jeszcze jednego żelka, Deanno.

Matka podsuwa cukierka przez blat do Sofoklesa. Lis czeka obok butelki z wodą.

– Co tu się dzieje? – pytam. Zerkam na butelkę, z której mój brat napełnia kubki Złotych.

– Dziewczyna opowiada – mruczy Narol zza kłębow dymu. – Ma do tego smykałkę.

Mustang marszczy nos.

– Obrzydliwy nałóg, Narolu – zauważa.

Kieran patrzy znacząco na matkę.

– Powtarzam to obojgu od lat.

– Hej, Darrow. – Daxo podnosi się i ściska mi rękę. – Miło cię widzieć, tym razem bez ostrza w dłoni. – Wbija mi długi palec w ramię.

– Daxo, witaj. Wybacz tamto. Myślę, że chyba mam u ciebie dług wdzięczności za zajęcie się moimi ludźmi.

– Większość roboty umysłowej wykonała Orion – odpowiada, a oczy mu iskrzą. Z gracją wraca na miejsce. Mój brat spogląda w zachwycie na tego mężczyznę i anioły wytatuowane na jego głowie. No, jakże inaczej? Daxo jest od niego dwa razy cięższy

i o wiele większy, nieskazitelny, do tego ma nawet lepsze maniery niż Róża. Jak Matteo, który, jak słyszałem, szybko dochodzi do siebie na jednym ze statków Żywego Srebra i bardzo się cieszy, że żyję.

– Co się stało z Tancerzem? – pytam Mustang.

Policzki ma zarumienione i na pytanie odpowiada śmiechem.

– No cóż, chyba mnie nie polubi. Ale nie martw się, jakoś to przeżyję.

– Jesteś pijana? – Nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Trochę. Musisz mnie dogonić. – Spuszcza nogi ze stołu i posuwa się, żeby zrobić mi miejsce na ławie. – Właśnie miałam przejść do opisu, jak ty i Pax uprawialiście zapasy w błocie.

Matka przygląda mi się w milczeniu, z lekkim uśmiechem, jakby zdawała sobie sprawę z ogarniającej mnie paniki. Jestem wstrząśnięty, gdy widzę, jak dwie połówki mojego życia zderzają się ze sobą, a ja nie mogę tego w żaden sposób kontrolować. Siadam sztywno i słucham, jak Mustang kończy opowieść. W nawale zdarzeń zapomniałem o uroku Mustang, jej otwartości i łatwości zjednywania sobie ludzi. Potrafi przyciągnąć innych, ponieważ umie sprawić, że czują się ważni, zauważeni. Mustang pamięta i wypowiada ich imiona, zwraca na nich uwagę. Zauroczyła mojego wuja i brata, zwłaszcza gdy widzą, z jaką czułością traktują ją Telemanusowie. Staram się nie zarumienić, gdy matka dostrzega, że tak samo patrzę na Mustang.

– Ale dość o Instytucie – kwituje dziewczyna, gdy kończy opisywać z detalami, jak Pax i ja pojedynkowaliśmy się przed jej zamkiem. – Deanno, obiecałaś, że opowiesz mi coś z dzieciństwa Darrowa.

– Może o zapalniczce – proponuje Narol. – Gdyby tylko był tu Loran...

– Nie, nie o tym – protestuje Kieran. – Lepiej o...

– Wiem, o czym opowiedzieć – przerywa im moja matka. Zaczyna opowiadać powoli, słowa z trudem padają jej z ust. – Kiedy Darrow był mały, miał może trzy, cztery lata, ojciec dał mu stary zegarek, który też dostał od ojca. Był z metalu, miał zębatki i wskazówki, nie ekran z cyframi. Pamiętasz go? – Kiwam głową. – Był piękny. Uwielbiałeś ten przedmiot. Wiele lat później, gdy jego ojciec zmarł, Kieran zachorował na szkarlatynę. Lekarstw w kopalniach zawsze brakowało, więc trzeba je było zdobyć od Gamm lub Szarych. To kosztowało. Nie wiedziałam, czym zapłacić, a wtedy Darrow przyszedł do domu z lekarstwami. Nie powiedział, skąd je ma. Kilka tygodni później zobaczyłam Szarego, który sprawdzał godzinę na tym starym zegarku.

Spuszczam wzrok na swoje dłonie. Czuję spojrzenie Mustang.

– No, czas do łóżka – mówi matka.

Narol i Kieran protestują, dopóki nie napomina ich chrząknieniem, wtedy wstają. Matka całuje moje włosy, przytula mnie nieco dłużej niż zwykle. Potem dotyka

ramienia Mustang i powrócząc nogą, wychodzi z kantyny, wsparła na Kieranie i Narolu.

- Twarda kobieta – chwali Kavax. – I bardzo cię kocha.
- Cieszę się, że ją poznaliście – przyznaje, a potem zerkam na Mustang. – Zwłaszcza ty.
- Niby czemu? – dziwi się Mustang.
- Bo rozmawiałyście beze mnie. Nie jak ostatnim razem.
- Och, racja. Zdaje się, że wtedy była to prawdziwa katastrofa – śmieje się Daxo.
- Ale teraz wszystko wydawało się w porządku – zapewniam.
- Owszem – potwierdza Mustang. – Szkoda, że nie mogę ci przedstawić swojej matki. Polubiłbyś ją bardziej niż mojego ojca.

Uśmiecham się i zastanawiam, co właściwie jest między nami, a zarazem przeraża mnie myśl, że mógłbym to zdefiniować. W jej obecności czuję spokój i rozluźnienie, ale boję się zapytać, co myśli. Boję się w ogóle poruszać temat naszej więzi, bo nie chcę zniszczyć tej iluzji spokoju.

- Kavax przerywa milczenie chrząknięciem.
- Spotkanie z Tancerzem nie poszło dobrze? – zmieniam temat.
 - Obawiam się, że nie. Jest głęboko uprzedzony. Teodora okazała się bardziej otwarta, ale Tancerz pozostał... nieprzejędnany. Zamknięty.
 - Jest tajemniczy – wyjaśnia Mustang, po czym nalewa sobie trunku i krzywi się na jego moc. – Nie chce ujawnić nam wszystkich informacji. Nie mówi mi nic, czego już bym nie wiedziała.
 - Założę się, że ty też nie byłaś wobec niego w pełni szczerą.

Dziewczyna marszczy brwi i potwierdza.

- Owszem, ale zwykle staram się to wynagrodzić. Tancerz jest bystry. A to znaczy, że będzie trudno go przekonać, że zależy mi na naszym sojuszu.

- Ale się starasz.
- Dzięki twojej rodzinie, tak. Chcesz stworzyć świat dla nich. Dla twojej matki, dla dzieci Kierana. Rozumiem to. Kiedy... kiedy postanowiłem negocjować z Władczynią, próbowałem osiągnąć to samo. Chronić tych, których kocham. – Przesuwa palcem po wybrzuszeniu na blacie. – Nie potrafiłem wyobrazić sobie świata bez wojny, chyba że skapitulujemy.

Opuszcza wzrok na moje dlonie pozbawione Sigili, przygląda się nagiej skórze, jakby tam kryła się tajemnica przyszłości nas wszystkich. I może tak właśnie jest.

- Ale teraz sobie wyobrażam.
- Naprawdę tak myślisz? – pytam. – Wy wszyscy?
- Tylko rodzina się liczy – potwierdza Kavax. – A ty jesteś rodziną.

Daxo kładzie mi wypielęgnowaną dłoń na ramieniu. Nawet Sofokles zdaje się rozumieć powagę chwili i pod stołem kładzie mi pysk na kolanie.

– Jesteśmy rodziną, prawda?

– Tak. – Z powagą kiwam głową. – Jesteśmy.

Z nieco sztywnym uśmiechem Mustang wyciąga z kieszeni kartkę, kładzie ją na blacie i przesuwa w moją stronę.

– To pasmo Orion. Nie wiem dokładnie, gdzie są jej okręty, zapewne w pasie asteroid. Dałam jej proste polecenie: wywołuj chaos. I z tego, co słyszę z rozmów Złotych, Orion i jej ludzie tak właśnie robią. Będziemy potrzebowali jej floty, jeżeli mamy pokonać Octavię.

– Dziękuję – zwracam się do całej trójki. – Nie przypuszczalam, że będziemy jeszcze mieli drugą szansę.

– Ani my – przyznaje Daxo. – Pozwól jednak, że powiemy coś otwarcie, Darrow. Mamy pewne zastrzeżenia do twojego planu. Przydzieliłeś nam wiertła, aby umożliwić Obsydianom zdobywanie głównych miast Marsa... Uważamy, że to błąd.

– Doprawdy? – Unoszę brwi. – Dlaczego? Musimy przejąć ośrodkи władzy, zyskać dostęp do surowców i do społeczności.

– Ojciec i ja nie pokładamy tak wielkiej wiary w Obsydianach jak ty. – Daxo ostrożnie dobiera słowa. – Twoje intencje nie będą miały znaczenia, jeżeli spuścisz Obsydianów na społeczeństwo Marsa.

– To barbarzyńcy – dodaje Kavax. – Straszni barbarzyńcy.

– Siostra Ragnara...

– To nie Ragnar – oponuje Daxo. – Jest obca. A po tym, co zrobiła z pojmanymi Złotymi... Nie możemy dołączyć do planu, który pozwoli Obsydianom panoszyć się w miastach. Nikt z odrobiną zdrowego rozsądku na to nie pójdzie. W tym żadna z synowych Arcosa.

– Rozumiem.

– Jest też jeszcze jeden powód, dla którego uważamy, że twój plan ma wady – dodaje Mustang. – Nie uwzględnia, jak rozprawić się z moim bratem.

– Moim głównym celem jest Władczyni. Stanowi największe zagrożenie.

– Na razie tak. Ale nie lekceważ mojego brata. Szakal jest sprytniejszy od ciebie. I ode mnie. – Nawet Kavax nie zaprzecza temu stwierdzeniu. – Zobacz, czego dokonał. Gdy Szakal zna zasady gry, gdy rozumie zmienne, będzie siedział w kącie wiele dni i analizował możliwe posunięcia, kontrposunięcia, skutki i konsekwencje. Dla niego to najlepsza zabawa. Przed śmiercią Claudiusa, zanim zostaliśmy rozdzieleni i odesłani do innych posiadłości, Szakal siedział zawsze w domu, słońce czy deszcz, i składał łamigłówki albo rysował na kartkach labirynty, a potem błagał, żebym próbowała je przejść. Kiedy wracałam z przejaźdżek z ojcem albo z wędkowania z Claudiusem i Paxem, Szakal czekał na mnie z labiryntem i prosił, abym się dostała do środka. Gdy mi się udawało, śmiałałam się i powtarzałam, że ma bardzo mądrą siostrę. Nigdy o tym nie myślałam, dopóki nie zobaczyłam go pewnego dnia,

gdy znowu mi się udało. Był w swoim pokoju i pewnie myślał, że nikt nie widzi. Mój brat wściekał się i bił się po twarzy, karał się za to, że ze mną przegrał.

Mustang splata nerwowo palce.

– Następnym razem, gdy poprosił, abym dotarła do środka labiryntu, udałam, że nie potrafię. Nie dał się nabräć. Jakby wiedział, że go wtedy zobaczyłam w pokoju. Nie introwertycznego, miłego, kruchego chłopca, za jakiego wszyscy go uważali, lecz prawdziwego Szakala. – Nabiera tchu, wzdryga się na wspomnienie. – Zmusił mnie, żebym skończyła przejście przez labirynt. A kiedy tak się stało, uśmiechnął się i powiedział, że jestem mądra, po czym odszedł.

Potrząsa głową.

– Następnego dnia narysował labirynt, którego nie umiałam przejść. Nieważne, jak się starałam... – Mustang z niepokojem oblizuje usta. – Patrzył na mnie tylko z podłogi, pośród swoich kredek. Jak stary zły duch ukryty w porcelanowej lalce. Właśnie takiego go zapamiętałam. Takiego widzę go teraz, gdy przypominam sobie, jak zabił naszego ojca.

Telemanusowie słuchają w złowrogim milczeniu. Obawiają się tak samo mnie, jak i Szakala.

– Darrow, Adrius nigdy ci nie wybacz, że pobiłeś go w Instytucie i zmusiłeś do odcięcia ręki. Nigdy nie wybacz też mnie, że nagiego dostarczyłam ci go w pętach. Jesteśmy jego obsesją, tak jak Octavia i jak wcześniej ojciec. Jeżeli wydaje ci się, że Szakal po prostu zapomni, jak Sevro wdarł się do jego fortocy przy pomocy wiertła i wykradł mu cię dosłownie sprzed nosa, sprowadzisz śmierć na bardzo wielu ludzi. Twój plan zdobycia w ten sam sposób miast nie ma szans powodzenia. Szakal na pewno to przewidział. A nawet gdyby nie przewidział, jeżeli zajmiemy Marsa, ta wojna będzie się ciągnąć latami. Musimy rzucić się wrogowi do gardła.

– I nie chodzi tylko o to – dodaje Daxo. – Musimy mieć pewność, że nie zamierzasz zaprowadzić kolejnej dyktatury po zwycięstwie. Albo pełnej demokracji.

– Dyktatury – krzywię się z ironią. – Naprawdę sądzicie, że chciałbym rządzić? Daxo wzrusza ramionami.

– Ktoś musi.

Za naszymi plecami rozlega się chrząknięcie. Odwracamy się. W progu stoi Holiday, kciuki wsunęła za pas.

– Przepraszam, że przeszkladzam, ale Bellona chce się z tobą zobaczyć, Darrow. To chyba coś ważnego.

Rozdział trzydziesty siódmy

OSTATNI Z ORŁÓW

Cassius leży z rękami przykutymi kajdankami do barierek szpitalnego łóżka w szpitalu Synów Aresa. W tym samym miejscu, w którym na własne oczy widziałem, jak moi ludzie umierali i cierpieli od ran, byle ocalić mnie z jego szponów. Wszędzie leżą buntownicy z Fobosa oraz z innych działań na Morzu Ciepła. Wentylatory warkoczą, aparatura piszczy, ludzie kaszlą. Jednak najmocniej odczuwalny jest ciężar spojrzeń. Ręce wyciągają się do mnie, gdy przechodzę między rzędami łóżek, usta szepczą moje imię. Wszyscy chcą dotknąć moich ramion, poczuć dotyk ludzkiej skóry bez Sigili, bez znaczników poddaństwa. Pozwalam im, na ile mogę, ale nie mam czasu odwiedzić zakamarków sali.

Poprosiłem Tancerza, aby przydzielił Cassiusowi osobny pokój. Zamiast tego Tancerz położył go w głównej izbie chorych, między pacjentami po amputacjach, i oddzielił tylko namiotem, jaki rozpinia się nad posłaniem ciężko poparzonych. W ten sposób Cassius widzi wszystko, a wszyscy z niższych Kolorów mogą przyglądać się Cassiusowi. Niech wszyscy tak samo odczują ciężar wojny. Tancerz dał Złotemu równe traktowanie. Żadnego okrucieństwa, żadnego specjalnego traktowania. Cassius dostaje to samo, co wszyscy.

Paru chłopaków od Narola, jeden Szary i dwóch pomarszczonych wiertaczy, garbi się przy stoliku i gra w karty blisko posłania Złotego. Ciężkie blastery zwisają im z pleców. Zrywają się z miejsc i salutują, gdy podchodzę.

– Podobno prosił, żebyem przyszedł?
– Prawie przez całą noc – odpowiada mi niższy z Czerwonych ochryple i zerka na Holiday za moimi plecami. – Nie zawracalibyśmy ci głowy, ale to... cholerny Rycerz Olimpijski. Dlatego pomyśleliśmy, że wspomnimy o tym zwierzchnikowi.

A potem pochyla się do mnie tak blisko, że czuję od niego mentolowy zapach syntetycznego tytoniu.

– Drań mówi, że ma informacje.
– Może mówić?
– Tak – krzywi się żołnierz. – Niewiele się odzywał, ale strzała nie uszkodziła mu strun głosowych.
– Muszę porozmawiać z nim sam na sam.
– Zajmiemy się tym.

* * *

Lekarz i strażnicy przeciągają łóżko do przyległego pokoiku, w którym pod kluczem i strażą trzymane są lekarstwa i opatrunki. Wewnątrz, wśród plastikowych pudeł z medykamentami, Cassius i ja zostajemy sami. Złoty przygląda mi się z posłania, jego szyję spowija biały bandaż, różowawe plamy krwi przebijają się w miejscu rany pomiędzy jabłkiem Adama i gardłem.

– Cud, że jeszcze żyjesz – mówię. Cassius wzrusza ramionami. Nie ma wkłucia w żyłę ani bransolety z morfiną. Marszczy brwi. – Nie dostałeś środków przeciwbólowych?

– Nie za karę. Głosowali. – Mówi powoli, aby nie uszkodzić szwów na szyi. – Nie było dość dla wszystkich. Braki w zapasach. Powiedziano mi, że pacjenci głosowali w zeszłym tygodniu, żeby dać morfinę poparzonym i tym po amputacji. To nawet szlachetne, że nie skamla po nocach jak zagubione szczeniaki. – Urywa. – Zastanawiałem się, czy matki mogą usłyszeć ich nawoływanie.

– Twoja słyszała.

– Nie płakałem. I nie wydaje mi się, żeby moją matkę obchodziło coś oprócz zemsty. Cokolwiek to znaczy w obecnej sytuacji.

– Powiedziałeś, że masz dla mnie informacje – zmieniam temat, bo nie wiem, co jeszcze miałbym powiedzieć. Czuję się związany z tym człowiekiem. Holiday zapytała, dlaczego go uratowałem, ale nie mogłem się odwołać wtedy do honoru i wyższych uczuć. Jednak głęboko skrywana prawda jest taka, że rozpaczliwie pragnę, abyśmy znowu byli przyjaciółmi. Pragnę jego aprobaty. Czy to czyni mnie głupcem? Czy to poczucie winy? A może jego urok osobisty? Może chodzi o tę próżną częstkę we mnie, pragnącą miłości ludzi, których szanuję? Cassiusa szanuję. Za jego honor, nieco splamiony może, ale szczery. Moja walka jest bardziej czysta niż jego.

– To ty czy ona? – pyta ostrożnie.

– Co masz na myśli?

– Kto powstrzymał Obsydianów przed wypaleniem mi oczu i odcięciem języka?

– Oboje.

– Kłamca. Nie sądziłem, że strzeli, mówiąc szczerze. – Unosi ręce, żeby dotknąć szyi, ale kajdanki mu nie pozwalają. Wzdycha. – Pewnie nie możesz mnie rozkuć? To koszmar, że nie mogę się podrapać, gdy mnie swędzi.

– Myślę, że jakoś to przeżyjesz.

Uśmiecha się, jakby chciał powiedzieć, że będzie musiał.

– Przez uratowanie mnie chcesz udowodnić swoją moralną wyższość? Że jesteś bardziej cywilizowany niż Złoci?

– Może po prostu chcę torturami wyciągnąć od ciebie informacje.

– To niezbyt honorowe.

– Pozwolenie, aby Szakal zamknął mnie w pudle na dziesięć miesięcy po trzech miesiącach tortur też raczej nie należało do honorowych uczynków. Zresztą, do cholery, skąd ci przyszło do głowy, że chcę być honorowy?

– Racja. – Cassius z namysłem marszczy brwi. Wygląda zaskakującą pięknie, jak ktoś, kogo mógłby wyrzeźbić Michał Anioł. – Ale jeżeli myślisz, że Władczyni będzie chciała się targować o moje życie, to się mylisz. Nie poświęci nic, aby mnie uratować.

– Więc dlaczego jej służysz?

– Obowiązek – stwierdza, ale zastanawiam się, jak duże jeszcze przywiązuje znaczenie do tego słowa.

W jego oczach dostrzegam poczucie samotności, tesknotę za życiem takim, jakie powinno być, i przebłysk człowieka, jakim Cassius pragnie być, pod maską człowieka, którym być musi.

– Tak czy inaczej myślę, że już dość zła wyrządziliśmy sobie nawzajem – wyznaję. – Nie zamierzam cię torturować. Przekażesz mi informacje, o których wspomniałeś, czy będziemy jeszcze sobie dogadywać przez następne dziesięć minut?

– Zastanawiałeś się, dlaczego Władczyni chciała negocjować pokój, Darrow? Zapewne zadawałeś sobie takie pytania. Władczyni nie sięga po wymierzanie kary, chyba że musi. Dlaczego jednak okazała łaskawość Virginii? Obrzeżom? Jej floty trzykrotnie przewyższają liczebnością siły Władców Księżyców. Światy Wewnętrzne mają większe zaopatrzenie. Romulus au Raa nie dorównuje Roque'owi. Wiesz, jaki jest zdolny. Dlaczego więc Władczyni wysłała mnie na negocjacje? Dlaczego w ogóle zgodziła się na kompromis?

– Wiem już, że chciała odsunąć Szakala od władzy nad Marsem – przyznaję ostrożnie. – I raczej nie uśmiechała się jej wielka rebelia na Obrzeżach, skoro chciała przyciąć skrzydełka Szakalowi i musiała walczyć z Synami Aresa. Władczyni próbowała zatem ograniczyć zagrożenia, żeby skupić się na najważniejszym problemie. To niezbyt skomplikowana strategia.

– A wiesz, dlaczego chciała się pozbyć Szakala?

– Moja ucieczka, obozy koncentracyjne, zakłócenia w przepływie helium... – Mógłbym wymienić setki powodów, dlaczego posadzenie psychopaty na stanowisku ArcyGubernatora tylko namnożyło kłopotów.

– To wiarygodne powody – przerywa mi Cassius. – Przekonujące nawet. I takie właśnie przedstawiliśmy Virginii.

Pochylam się do niego, w jego głosie słyszę ukryte implikacje.

– Czego jej nie powiedziałeś?

Cassius wahy się, jakby zastanawiał się nawet teraz, czy powinien mi powiedzieć prawdę. Wreszcie uznaje, że jednak tak.

– Wcześniej w tym roku agenci naszego wywiadu odkryli niezgodności między kwartalną produkcją heliu zgłaszaną do Wydziału Energii i Departamentu

Zarządzania Górnictwem a raportami od naszych agentów w koloniach wydobywczych. Odkryliśmy co najmniej sto dwadzieścia pięć przypadków fałszowania danych. Szakal zgłaszał utratę heliu przez ataki Synów Aresa. Zamachy, które nigdy się nie zdarzyły. Zgłosił także zniszczenie czternastu kopalń. Również przez Synów Aresa. Żaden z tych zamachów nigdy się nie odbył.

– No to Szakal podkrada heliów. – Wzruszam ramionami. – Nie on pierwszy i nie ostatni, jak podejrzewam. Pewnie wszyscy ArcyGubernatorzy tak robią.

– Ale Szakal *nie sprzedaje* tego skradzionego heliu – podkreśla Cassius. –

Tworzy sztucznie braki, a sam magazynuje towary.

– Magazynuje? Ile już ukradł? – pytam z napięciem.

– Z dodatkowym wydobyciem w czternastu kopalniach i rezerwą marsjańską?

Przy obecnym tempie wydobycia za dwa lata będzie miał więcej niż imperialne rezerwy na Księżyku i Wenus włącznie z zapasami wojennymi na Ceres.

– To może oznaczać wiele rzeczy – mówię cicho, gdy uświadamiam sobie, jak wiele heliu zgromadził Szakal. Trzy czwarte zapasów najcenniejszej substancji w Układzie Słonecznym. I wszystko we władzy jednego człowieka. – Pogrywa z Władczynią. Kupuje Senatorów?

– Jak dotąd czterdziestu – przyznaje Cassius. –Więcej, niż myśleliśmy. Ale wzmieszał się w jeszcze jedną sprawę.

Cassius próbuje usiąść prosto, ale kajdanki mu nie pozwalają. Wzdycha.

– Zamierzam zadać ci pytanie i musisz mi powiedzieć prawdę. – Roześmiałbym się na to żądanie, gdyby Cassius nie był tak śmiertelnie poważny. – Czy Synowie Aresa w marcu, kilka dni po twojej ucieczce, obrabowali magazyny na asteroidzie? Około czterech miesięcy temu?

– Musisz dokładniej określić, co to za asteroida.

– Niewielka, w głównym pasie w rodzinie planetoidy Karin. Oznaczenie S-1988. Składa się głównie z krzemianów i śmieci, zerowy potencjał wydobywczy. Wygląda trochę jak znamien na lewym biodrze Mustang – kończy z błyskiem w oku. – Dość dokładnie dla ciebie?

– Dupek z ciebie.

– Zaiste. – Udaje mu się sprawić, że ta odzywka brzmi czarującą. – Ale wracając do rzeczy...

Przejrzałem opis wszystkich operacji taktycznych przeprowadzonych przez Sevra, gdy dochodziłem do siebie pod okiem Mickeya. Zdarzyło się kilka napadów na bazy militarne legionów w obrębie pasa asteroid, ale nic choć trochę przypominającego opis Cassiusa.

– Nie. O ile wiem, nie przeprowadzono żadnej takiej akcji na S-1988.

– Szlag – przeklina Cassius pod nosem. – Zatem mieliśmy rację.

– Co się znajdowało w tych magazynach? – Cassius milczy. – Cassiusie...

- Pięćset bojowych głowic jądrowych – odpowiada ponuro.
Krew na jego opatrunku rozlewa się w sporą, ciemną plamę.
- Pięćset... – powtarzam pustym, niedowierzającym tonem. – Jaką miały siłę rażenia?
 - Trzydzieści megaton każda.
 - Zabójcy światów... Cassiusie, dlaczego w ogóle te głowice istniały?
 - Na wypadek gdyby Pan Popiółów musiał powtórzyć to, co stało się na Rei.

Magazyn znajdował się między Wnętrzem i Obrzeżem.

– Powtórka z Rei... I takiej Władczyni służysz? – Krzywię się. – Kobiecie, która zgromadziła tak dużo pocisków jądrowych, że można nimi zniszczyć planetę. I po co? Na wszelki wypadek?

Cassius ignoruje mój ton.

– Wszystkie dowody wskazywały na Aresa, ale Władczyni uznała, że przecenia Sevra. Kazała Moirze przeprowadzić osobiście dochodzenie. Moirze udało się wyśledzić statek przemytniczy. Ślad prowadził do nieczynnej stoczni naprawczej, należącej kiedyś do Korporacji Przemysłowej Julii. Jeżeli Synowie Aresa naprawdę nie ukradli tych głowic, to Szakal ma teraz broń. Nie wiemy jednak, co zamierza z nią zrobić.

Stoję jak słup. W myślach składam kolejne części układanki, żeby zrozumieć, jak Szakal może wykorzystać tak wiele pocisków jądrowych. Według postanowień Konwencji marsjańskie siły militarne miały pozwolenie na posiadanie dwudziestu głowic jądrowych do walk w kosmosie, okręt na okręt. Wszystkie poniżej pięciu megaton.

- Jeżeli to prawda, dlaczego mi o tym mówisz? – pytam podejrzliwie.
- Bo Mars jest także moją ojczyzną, Darrow. Moja rodzina żyje tutaj równie dugo jak twoja. Moja matka nadal przebywa w naszej rodowej rezydencji. Nie wiem, jakie plany ma Szakal, ale Władczyni uważa, że skurwiel użyje tej broni tutaj, jeżeli zostanie przyparty do muru.
- Obawiasz się, że możemy wygrać – uświadamiam sobie.
- Kiedy to była wojna Sevra, nie miałem obaw. Synowie Aresa byli skazani na zagładę. Ale teraz? Rozejrzyj się. – Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Straciliśmy broń ostateczną. Octavia nie wie, gdzie jestem. Nie wiadomo też, czy Aja przeżyła. Władczyni nie ma tutaj nawet jednego agenta. Możliwe też, że Szakal wie o jej zdradzie i próbie pozbycia się go, aby osadzić na stanowisku jego siostrę. A Szakal to dziki pies. Sprowokowany będzie gryzły. – Cassius ścisza głos. – Może ty przeżyjesz, Darrow. Ale czy Mars także?

Rozdział trzydziesty ósmy

RACHUNEK

– Pięćset głowic jądrowych? – szepcze Sevro. – Jasna, cholerna kurwa. Powiedz, że żartujesz! No, mów!

Tancerz siedzi w milczeniu przy stole narad i rozmasowuje sobie skronie.

– To bzdury – prycha Holiday spod ściany. – Gdyby je miał, już by ich użył.

– Pozostawmy wnioski osobom, które znają Szakala, dobrze? – wraca Victra. – Adrius nie funkcjonuje jak normalny człowiek.

– To pewne jak cholera – zgadza się Sevro.

– Mimo to pytanie jest uzasadnione – burczy Tancerz, rozdrażniony obecnością tylu Złotych, zwłaszcza Mustang, która stoi obok mnie. – Jeżeli ma głowice, czemu ich nie użył?

– Ponieważ tego rodzaju eskalacja zaszkodzi mu prawie tak samo jak nam – wyjaśniam. – A na dodatek, gdyby użył głowic, Władczyni miałyby wszelkie powody, żeby go usunąć ze stanowiska ArcyGubernatora.

– Ale Szakal ich nie ma – zauważa Żywe Srebro. Jego trójwymiarowy obraz unosi się nad nami, błękitny pobłask holopikseli otacza projekcję. – To podstęp. Bellona wie, na czym ci zależy, Darrow. Próbuje cię przestraszyć groźbą zagłady. To brednie. Moi technicy wykryliby radiację, gdyby przenosił pociski. A ja wiedziałbym o wzbogacaniu plutonu, gdyby Władczyni kazała skonstruować takie głowice.

– Chyba że to stara broń – zwracam mu uwagę. – Wszędzie wala się mnóstwo reliktów.

– A to całkiem duży system słoneczny – dodaje Mustang beznamiętnie.

– Mam długie uszy – odgryza się Żywe Srebro.

– Miałeś – wytyka mu Victra. – Już ci się je przycina, że tak to ujmę metaforycznie.

Przywódcy powstania siedzą w półkolu przed wyświetlaczem holo, na którym widać asteroidę S-1988. To odłamek nagiej skały, część podrodziny Karin w rodzinie planetoidy Koronis w głównym pasie asteroid między Marsem a Jowiszem. Rodzina Koronis stanowi bazę wydobywczą dla energetycznego konsorcjum z Ziemi, znajduje się tam również kilka stacji o szemranej reputacji, siedzib przemytników i piratów. Najbardziej znana jest Lacrimosa 208, gdzie Sevro uzupełniał paliwo podczas drogi powrotnej z Plutona na Marsa. Miejscowi nazywają jaskinię przemytników „Nasza Pani Smutków Wszelakich”. Życie tam jest tańsze niż kilo zamrożonego heliu i gram demoniego pyłu. Przynajmniej tak twierdzi Sevro. Niewiele mówi o tym miejscu i o swoim pobycie na stacji.

Siedzenia w salach spotkań Złotych zwykle ustawione są w okrąg lub w kwadrat, ponieważ ludzie, którzy widzą swoje twarze, zapewne częściej angażują się w dyskusje i spory intelektualne, niż ci, którzy siedzą obok siebie. Zachowanie Złotych to potwierdza. Próbuje innej taktyki – sadzam przyjaciół przed problemem, obrazem holo, jeżeli więc chcą się kłócić, muszą wykręcać szyje.

– Co za szkoda, że nie mamy Wyroczni Władczyni – krzywi się Mustang. – Wystarczyłoby przypiąć jedną do nadgarstka Cassiusa i wiedzielibyśmy, czy naprawdę jest tak podstępny.

– Przykro mi, że nie dysponujemy zasobami, do jakich przywykłaś, *domina* – odgryza się Tancerz.

– Nie o to mi chodziło.

– Możemy go torturować – wtrąca Sevro. Siedzi w środku przy stole i czyści sobie paznokcie nożem. Victra opiera się o ścianę obok niego i krzywi za każdym razem, gdy Sevro coś wydłubuje. Tancerz zajął miejsce po lewej stronie. Hologram metrowej wysokości jaśnieje po jego prawej, między nimi. Po deklaracji, że Fobos stał się wolnym miastem i opowiedział się po stronie powstania, Żywe Srebro pełni funkcje Gubernatora. A teraz właśnie pochyla się nad niewielką stertą sercowatych ostryg, nie większych niż mój kciuk, z nożem do otwierania w kształcie ośmiornicy. Skorupki ułożył w pięć równych słupków. Nawet jeżeli Żywe Srebro denerwuje się lub obawia odwetu Szakala, nie daje tego po sobie poznać. Sefi poci się pod pleśniennymi futrami, gdy spaceruje wzduż stołu jak zwierzę w klatce. Tancerz wzdryga się z nerwów za każdym razem, kiedy za nim przechodzi.

– Chcacie prawdy? – pyta Sevro. – Dajcie mi siedemnaście minut i śrubokręt.

– Powinniśmy o tym rozmawiać w jej obecności? – Victra wskazuje na Mustang.

– Jest po naszej stronie – przypominam.

– Na pewno? – syczy Tancerz.

– Pomogła znacząco przy rekrutacji Obsydianów. Skontaktowała nas z Orion. – Połączylem się z Niebieską po swojej rozmowie z Cassiusem. Orion właśnie odpala silniki „Paxa” i pozostałych okrętów mojej całkiem sporej floty, byle jak najszybciej dotrzeć na Marsa. Wydawało się niemożliwe, że jeszcze kiedyś zobaczę tę bezczelną Niebieską albo okręt, na którym po raz pierwszy po Lykos czułem się jak w domu. – Dzięki Mustang będziemy mieli prawdziwą flotę. Zachowała moich dowódców i załogi. Utrzymała Orion na mostku. Zrobiłaby to, gdyby nie chciała osiągnąć tego samego, co my?

– Czyli czego? – pyta Tancerz.

– Zdobycia Księżyca i pokonania Szakala – odpowiada spokojnie Mustang.

– To tylko czubek góry lodowej, jeśli chodzi o nasze cele – warczy Tancerz.

– Pracuje z nami – podkreślam.

– Na razie – prycha Victra. – To mądra dziewczyna. Może chce nas wykorzystać, żeby pozbyć się swoich wrogów? Zdobyć przewagę. Może nawet zająć Marsa. Może chce jeszcze więcej. – I pomyśleć, że jeszcze wczoraj moja rada dyskutowała, czy Victrze można ufać. Roque wstawał się za nią, gdy nikt inny nie chciał. Ironia sytuacji chyba do Victry nie dociera. A może dziewczyna po prostu pamięta, jak rok temu Mustang głośno podważyła jej intencje, i postanowiła odpłacić siostrze Szakala pięknym za nadobne?

– Niechętnie zgadzam się z Julii, ale w tym ma sporo racji – mówi Tancerz. – Ród Augustus to gracze. Wszyscy bez wyjątku i od zawsze.

Najwyraźniej Tancerz nie był pod wrażeniem Mustang wcześniej, gdy nie chciała udzielić mu informacji za nic. Mustang się tego spodziewała. Chciała nawet zostać w swoim pokoju i nie brać udziału w naradzie, żeby nie przeszkadzać mi w omawianiu planów. Ale żeby to wszystko działało, żeby pojawił się sposób na połączenie różnych części po wojnie, potrzebna jest współpraca.

Wszyscy oczekują, że będą bronili Mustang, co świadczy, jak słabo ją znają.

– Jesteście mało logiczni – oznajmia dziewczyna. – Nie chcę was tym obrazić, ale po prostu stwierdzam fakty. Gdybym chciała wam zaszkodzić, skontaktowałabym się po prostu z Władczynią lub moim bratem albo zamontowała pluskwę na swoim okręcie.

Kręci głową.

– Wiecie, do czego byłaby zdolna Władczyni, gdyby tylko mogła poznać położenie Tinos.

Moi przyjaciele wymieniają niepewne spojrzenia.

– Jednak nic podobnego nie zrobiłem. Wiem, że mi nie zaufacie. Ale darzycie zaufaniem Darrowa, a on mi ufa. A skoro on zna mnie lepiej niż wy, myślę, że to on powinien mnie oskarżać. Przestańcie marudzić jak przeklęte dzieci i zajmijmy się tym, co ważne, dobrze?

– Gdybym miał piłę łańcuchową, załatwiałbym to nawet w trzy minuty... – wraca do tematu Sevro.

– Zamkniesz się wreszcie, do cholery? – warczy Tancerz. Po raz pierwszy widzę, jak naprawdę traci nad sobą panowanie. – Ten człowiek lże w żywe oczy i powie wszystko, co chcemy usłyszeć, gdy tylko zaczniesz mu zrywać paznokcie. Nic z tego nie wyniknie.

Tancerz był torturowany przez Szakala. Podobnie jak Evey i Harmony.

Sevro splata ramiona na piersi.

– To bardzo niesprawiedliwa ocena i ogromna generalizacja, Ponuraku.

– Nie będziemy nikogo tortuować – stwierdza stanowczo Tancerz. – I koniec.

– No tak, racja – krzywi się Sevro. – Jesteśmy ci dobrzy. Ci dobrzy nigdy nie torturują. I zawsze wygrywają. Ale jak wiele głów dobrych ludzi trafiło do pudełek?

Ilu dobrych musiało patrzyć, jak przyjaciołom przecina się kręgosłup?

Tancerz spogląda na mnie z prośbą o pomoc.

– Darrow...

Żywe Srebro otwiera ostrygę.

– Tortury mogą być skuteczne, jeżeli można potwierdzić uzyskane informacje w krótkim czasie – oznajmia po przełknięciu. – I jak każde narzędzie, muszą być używane prawidłowo, to nie panaceum na każdy problem. Osobiście nie sądzę, że możemy sobie pozwolić na luksus wyznaczania moralnych granic. Nie dzisiaj.

Pozwólcie, niech Barca spróbuje. Wyłamie kilka paznokci. Może nawet wyjmie oko, jeśli zajdzie potrzeba.

– Zgadzam się – zaskakuje wszystkich Teodora.

– Co z Matteem? – pytam Żywe Srebro. – Sevro zmiażdżył mu twarz.

Nóż zsuwa się z muszli i kłuje Żywe Srebro w dłoń. Srebrny krzywi się i zlizuje krew.

– Gdyby Matteo nie stracił przytomności, powiedziałby wam od razu, gdzie mnie znaleźć. Z mojego doświadczenia wynika, że ból jest najlepszym negocjatorem.

– Zgadzam się z nimi, Darrow – dodaje Mustang. – Musimy być pewni, że Cassius powiedział prawdę. Inaczej pozwolimy mu ingerować w naszą strategię. To klasyczna kontrwywiadowcza zagrywka z jego strony. Ty też byś tak zrobił.

I właśnie to za wszelką cenę starałem się robić, gdy Szakal zaczął mnie torturować.

Victra, która w tym temacie nie zabrała głosu, wstaje nagle, obchodzi stół i zatrzymuje się w miejscu, gdzie pada obraz z wyświetlacza holograficznego. Czarna przestrzeń i gwiazdy odbijają się teraz na jej jasnej skórze. Nierówno ścięta, jasna grzywka spada na gniewne oczy, gdy Victra zdejmuje swoją szarą koszulę. Jest umięśniona i szczupła, nosi sportowy biustonosz. Pół tuzina szram po ostrzu ciągnie się ukośnie wokół jej pępka na płaskim brzuchu. O wiele więcej dostrzegam na ręce, którą fechtuje. Kilka widać na twarzy, szyi i dekolcie.

– Z niektórych jestem dumna – mówi Victra o bliznach. – Z niektórych nie.

Odwaca się, aby pokazać nam plecy. Na krzyżu kłębi się stopiona jak wosk tkanka, ślad pozostawiony przez Antonię.

– Przyszłam tutaj, bo nie miałam wyboru. Zostałam, gdy go miałam. Postarajcie się, żeby tego nie żałowały.

Zaskakujące jest patrzeć, jak się obnażyła i wystawiła na ataki. Nie wydaje mi się, żeby Mustang pozwoliła sobie na taki pokaz. Sevro wbija wzrok w Victrę, gdy ta zakłada koszulę i odwraca się od holo. Sięga obiema rękami do asteroidy, żeby powiększyć obraz.

– Mamy większą rozdzielcość? – pyta.

– Fotografię zrobił dron z Biura Ewidencji – odpowiadam. – Prawie siedem lat temu. Nie mamy dostępu do aktualnych danych militarnych Elity.

– Moi ludzie się tym zajmują – wtrąca Żywe Srebro. – Ale raczej nie należy liczyć na optymistyczne wieści. Właśnie walczymy z legionem Elity. Cholerne zamieszanie.

– W takich chwilach przydawał się twój ojciec – mówi Sevro do Mustang.

– Nigdy o niczym podobnym przy mnie nie wspomniał – odpowiada mu kwaśno dziewczyna.

– A moja matka chyba raz coś powiedziała – oznajmia Victra z namysłem. – Antonii i mnie. Coś o małych, paskudnych niespodziankach, które Imperatorzy mogą zabrać w locie, gdyby Obrzeża zaczęły się szarpać.

– To pasuje do słów Cassiusa.

Victra spogląda na nas twardo.

– Więc zakładam, że Cassius powiedział prawdę.

– Ja również – zwracam się do grupy. – A torturowanie niczego nie rozwiąże. Będziemy obcinać Cassiusowi palce, jeden po drugim, a on wciąż będzie się upierał, że powiedział prawdę. Co wtedy? Będziemy obcinać następne, dopóki nie przyzna się do kłamstwa? Tak czy inaczej, to ryzyko.

Kilka niechętnych kiwnięć głowami sprawia, że czuję ulgę. Przynajmniej tę bitwę udało mi się wygrać, chociaż niepokoi mnie trochę krwiożercza dzikość moich przyjaciół.

– Cassius zaproponował, co możemy z tym zrobić? – pyta Tancerz. – Z pewnością miał jakąś ofertę.

– Chce, żebym odbył holokonferencję z Władczynią.

– Po co?

– Żeby przedyskutować sojusz przeciwko Szakalowi. Władczyni zapewni nam dane wywiadu, a my zabijemy go, zanim zdąży zdetonować głowice. To plan Cassiusa.

Sevro wybucha śmiechem.

– Wybaczcie, ale to by była świetna komedia – wyjaśnia. Podnosi lewą rękę i zaczyna nią „mówić”. – Dzień dobry, ty stara, pomarszczona suko. Pamiętasz, jak porwałem ci wnuka? – A potem podnosi prawą rękę. – Och, oczywiście, młodzieńcze. Zaraz po tym, jak zniewoliłem cały twój lud.

Sevro kręci głową.

– Nie ma sensu gadać z tą Pixie. Chyba że staniemy w progu i zapukamy do niej z całą flotą. Powinieneś nasłać na naszego dobrego, starego Szakala mnie i Wyjce. Nie da się nacisnąć guzika, gdy się nie ma głowy.

– Walkirie przyłączają się do tej misji Wyjców – oznajmia Sefi.

– Nie. Szakal tylko czeka na podobny atak. – Zerkam na Mustang, która ostrzegła mnie przed taką możliwością. – Zna nas za dobrze i wcale go to nie zaskoczy, bo

uciekaliśmy się do tego typu rozwiązań już wcześniej. Nie zamierzam szafować niczym życiem, zwłaszcza w grze Szakala.

– Masz kogoś w jego najbliższym otoczeniu, Regulusie? – pyta Tancerz.
Zaskakujące, ale on i Żywe Srebro wyraźnie się polubili.

– Miałem. Dopóki twoi Szarzy nie wyrwali stamtąd Darrowa. Adrius kazał szefowi wywiadu sprawdzić wszystkich w fortacy. Moi ludzie albo już nie żyją, albo trafiły do więzienia, albo są śmiertelnie przerażeni.

– Co sądzi przedstawicielka rodu Augustus? – Tancerz zwraca się do Mustang.
Wszyscy na nią patrzą. Mustang bynajmniej nie spieszy się z odpowiedzią.

– Sądzę, że udało wam się tak długo pozostać przy życiu tylko dlatego, że Złoci skupią się głównie na sobie. Ich przerośnięte ego pochłania ich bez reszty, każdy myśli, że może zostać Władcą. Zapomnieli przez to, jak podbili Ziemię. Po powrocie Orion i przy użyciu zdobycznych okrętów Sevra wasza największa przewaga będzie właśnie we flocie i armii Obsydianów. Nie pomagajcie Władczyni. To wciąż najbardziej niebezpieczny wróg. Jeżeli jej pomożecie, skupi się na was. Powinniście się jak najczęściej niezgody i chaosu.

Tancerz z aprobatą kiwa głową.

– Ale jesteś pewna, że Szakal użyje głowic jądrowych na planecie?
– Mój brat od dzieciństwa pragnął tylko aprobaty ojca. Nie otrzymał jej. Więc zabił ojca. Teraz pragnie Marsa. Myślisz, że co zrobi, gdy go nie dostanie?

Złowroga cisza wypełnia salę.

– Mam nowy plan – oznajmiam.
– Mam cholerną nadzieję – mamrocze Sevro do Victry. – Będę musiał się w czymś schować?

– Na pewno coś ci znajdziemy, skarbie – zapewnia Victra.

Potwierdzam skinieniem głowy.

Sevro zapraszająco macha ręką.

– No to opowiadaj, Kosiarzu.

– Założmy hipotetycznie, że zajmiemy połowę miast Marsa. – Wstaję i włączam na stole obraz, który pokazuje czerwony przypływ wzbierający na globie, zalewający miasta i odpierający Złotych. – Założmy, że zniszczymy flotę Szakala na orbicie, gdy dołączy do nas Orion, chociaż wróg ma dwukrotną przewagę liczbenną. Założmy też, że rozbijemy jego armię. Z pomocą Walkirii wywabimy z legionów Obsydianów i przeciągniemy ich na naszą stronę, na dodatek będziemy mieli wsparcie ludności cywilnej. Maszyny przemysłowe Marsa przestaną pracować. Odeprzemy kolejne fale Złotych, powstanie ogarnie ulice. Po latach uda nam się zapędzić Szakala pod mur. To naprawdę potrwa lata. Co się wtedy stanie?

– Maszyny przemysłowe na Marsie nigdy nie przestaną pracować – mówi Victra. – Produkcja będzie trwała. Złoci nie przestaną pompować tutaj środków i ludzi.

- Albo...? – rzucam.
- Albo Szakal używa głowic – odpowiada Tancerz.
- Należy także zakładać, że nie zawaha się ich użyć na Obsydianach i naszych siłach, jeżeli rozpoczęmy operację „Czerwona Fala” – dodaje.
- Przygotowywaliśmy ją od miesięcy – protestuje Tancerz. – Z pomocą Obsydianów może się udać. Chcesz ją odwołać?
- Tak. Przecież właśnie o tę planetę walczymy. Jak wynika z historii, armia powstańca ma większą siłę dlatego, że musi bronić o wiele mniejszego terenu. Może się przemieszczać i rozdzielać, nie da się jej łatwo zlokalizować i otoczyć. Mamy tutaj tak wiele do stracenia i tak wiele do ochrony. Podobnej wojny nie uda się wygrać w parę dni czy tygodni. Potrwa dekadę. Mars będzie krwawił. Zastanówcie się, co odziedziczymy na koniec? Truchło, które kiedyś było naszą ojczystą planetą. Musimy walczyć w tej wojnie i będę walczył, ale nie tutaj. Proponuję opuścić planetę.

Żywe Srebro aż się zakrztusił.

– Opuścić?

Sefi wynurza się z cienia sali i przerywa milczenie:

- Przyrzekłeś, że będziesz chronił mój lud.
- Nasza siła jest tutaj, w tunelach – dodaje Tancerz. – W naszym społeczeństwie. I za nie właśnie ponosimy odpowiedzialność, Darrow. – Zerka na Mustang podejrzliwie. – Nie zapominaj, skąd pochodzisz. I dlaczego to robisz.
- Nie zapomniałem, Tancerzu.
- Na pewno? Ta wojna toczy się o Marsa.
- Nie tylko – przypominam.
- I o niższe Kolory – przyznaje pewnie. – Powstanie zwycięży tutaj, a wtedy rozprzestrzeni się na całe społeczeństwo. Stąd płynie helium. Wokół heliu kręci się cała Elita i wszyscy Czerwoni. Wygramy tutaj, potem się rozprzestrzenimy. Tak zaplanował to Ares.
- To wojna za wszystkich – poprawia Mustang.
- Nie – upiera się Tancerz. – To nasza wojna, *domina*. Walczyłem w niej, gdy ty uczyłaś się jeszcze, jak zniewolić człowieka w swoim...

Sevro zerka na mnie z irytagią i pytaniem w oczach. Kiwam głową. Sevro wyjmuję ostrze i uderza nim w stół. Klinga wbija się do połowy i tak zostaje. Drży jeszcze.

– Kosiarz próbuje mówić, wy gnojki. Zresztą ten Koloryzm zaczyna mnie nudzić. – Rozgląda się, szalenie zadowolony z milczenia, które właśnie zapadło. Uśmiecha się, po czym z teatralną emfazą macha ręką. – Proszę, mów dalej, Kosiarzu. Właśnie miałeś przejść do najciekawszej części.

– Dziękuję, Sevro. – Posyłam mu uśmiech, po czym zwracam się do reszty. – Nie zamierzam wpaść w pułapkę Szakala. Każdą wojnę najłatwiej przegrać wtedy, gdy

pozwoli się, aby wróg dyktował warunki walki. Musimy robić to, czego Szakal i Władczyni najmniej się po nas spodziewają. Stworzyć własny wzorzec tak, aby to oni grali według naszych reguł, nie odwrotnie. Żeby reagowali na nasze posunięcia. Musimy być odważni. W tej chwili roznieciliśmy ogień. Buntują się niemal wszystkie terytoria Elity. Pozostawanie tutaj tylko nas ogranicza. A ja nie zamierzam pozwolić, aby mnie ograniczano.

Przenoszę obraz ze swojego unipada na stół, wyświetla się nad nim holograficzny obraz Jowisza. Sześćdziesiąt trzy małe księżyce krążą po peryferyjnych orbitach, jednak najbardziej widoczne są cztery Księżyce Galileuszowe. Te największe – Ganimedes, Kallisto, Io i Europa – nazywane są razem Ilium. Wokół nich stacjonują dwie z największych flot w Układzie Słonecznym, flota Władców Księżyców i Armada Miecza. Sevro wygląda na tak uradowanego, że chyba zaraz zemdla od emocjonalnego przeciążenia.

Nareszcie daję mu wojnę, jakiej nie tylko sobie nie wyobrażała, ale nawet nie sądził, że pragnie.

– Wojna domowa między rodem Bellona i Augustus ujawniła spory rozłam między Światami Wewnętrznyimi i Obrzeżem. Główna flota Octavii, Armada Miecza, znajduje się setki milionów kilometrów od najbliższych sił, które mogłyby ją wesprzeć. To największa flota w Układzie Słonecznym. Octavia wysłała naszego dobrego przyjaciela, Roque'a au Fabii, aby przywołał Władców Księżyców do porządku. Roque rozbił każdą flotę, którą posłano przeciwko niemu, nawet tę ze wsparciem Mustang, Telemanusów i Arcosów. Podbił Obrzeża. Na pokładach jego armady znajduje się ponad dwa miliony ludzi, w tym ponad dziesięć tysięcy Obsydianów, dwieście tysięcy Szarych i dwa tysiące najlepszych zabójców we wszechświecie, Niezrównanych Naznaczonych, Legatów, Cenzorów, rycerzy oraz dowódców oddziałów. Najlepszych Złotych ze swoich Instytutów. Tę flotę wsparły siły Antonii au Severus-Julii. I stanowi ona narzędzie strachu, przy pomocy którego Władczyni panuje nad światami Układu Słonecznego. Flota ta, podobnie jak jej dowódca, nigdy nie została pokonana.

Robię pauzę, żeby wszyscy mieli czas przetrawić informacje i zrozumieli powagę mojej propozycji.

– W ciągu trzydziestu sześciu dni zniszczymy Armadę Miecza i wbijemy preć w tryby wojennej maszyny Elity. Wyrwiemy jej serce. – Szarpnięciem wyciągam ostrze Sevra i rzucam je przyjacielowi. – A teraz czekam na wasze cholerne pytania.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

SERCE

Tancerz znajduje mnie podczas ostatnich przygotowań przed wejściem na prom z Mustang i Sevrem. Mamy lecieć na orbitę do naszej floty. W Tinos trwa gorączkowa krzątanina. Setki promów i transportowców zebranych przez Tancerza i Synów Aresa pod jego dowództwem odlatują przez największe tunele na biegun południowy, skąd będą przenosić starych i młodych Obsydianów do bezpiecznych schronień w podziemiach. Tylko wojsownicy zostaną dostarczeni na orbitę i dołączą do mojej floty. W ciągu dwudziestu czterech godzin osiemset tysięcy ludzkich istot zostanie przetransportowanych w największym przedsięwzięciu, jakiego podjęli się Synowie Aresa. Uśmiecham się na myśl, jak szczęśliwy byłby Fitchner, gdyby wiedział, że dzięki niemu możliwe stało się ocalenie tak wielu ludzi.

Po zorganizowaniu ewakuacji ruszymy jak najszybciej na Jowisza. Tancerz i Żywe Srebro zostaną, aby prowadzić dalej to, co zaczęli, ale przede wszystkim, aby zatrzymać Szakala na Marsie, dopóki nie rozpocznie się następny etap planu.

– Porywające, prawda? – Tancerz przygląda się morzu błękitnej poświaty pracujących silników, które przelatują obok naszego stalaktytu do wielkiego tunelu w sklepieniu Tinos. Victra stoi blisko Sevra na skraju otwartego hangaru. Dwie czarne postacie przyglądające się, jak nadzieja ludzi znika w ciemności.

– Czerwona Armada rusza na wojnę – wzdycha Tancerz. – Nigdy nie myślałem, że dożyję tego dnia.

– Fitchner powinien to zobaczyć – odpowiadam.

– Tak. Szkoda – krzywi się Tancerz. – Chyba najbardziej żałuję, że nie ma go dzisiaj z nami i nie może zobaczyć, jak jego syn nosi hełm Aresa, a ty stajesz się tym, kim, jak zawsze wierzył, powinieneś się stać.

– Czyli kim? – pytam. Przyglądam się, jak Czerwony w butach grawitacyjnych podskakuje dwa razy, zanim oderwie się od podłogi hangaru i pofrunie do otwartej ładowni przelatującego promu bojowego.

– Kimś, kto wierzy w ludzi – odpowiada cicho Tancerz.

Odwracam się do niego. Cieszę się, że znalazłem mnie w tych ostatnich chwilach, które spędżam w Tinos, pomiędzy swoimi. Nie wiem, czy powróczę. A jeżeli wróczę, obawiam się, że Tancerz ujrzy we mnie innego człowieka. Kogoś, kto go zdradził, kto zdradził naszych ludzi i marzenie Eo. Już to przerabiałem. Żegnałem się już z nim w innym hangarze. Wtedy obok Tancerza stali Harmony i Mickey, zanim pożegnali się z nim w iglicy w Yorkton. I oto Tancerz znowu żegna się ze mną, nim

wyruszę na wojnę. Jak mogę odczuwać tęsknotę za tak koszmarną przeszłością? Może leży w naszej naturze, aby nieustannie bardziej pragnąć tego, co było lub być mogło, niż tego, co będzie.

Wymaga to raczej nadziei niż pamięci.

– Myślisz, że Władcy Księżyków naprawdę nam pomogą? – pyta Tancerz.

– Nie. Sztuczka polega na tym, żeby im wmówić, że pomagają sobie. A potem wynieść się, zanim zwrócią się przeciwko nam.

– Duże ryzyko, chłopcze, ale ty to lubisz, co?

Wzruszam ramionami.

– To również jedyna szansa, jaką mamy.

Za plecami słyszę ciężkie kroki. Holiday i kilkoro nowych Wyjców przechodzą obok ku rampie, niosąc skrzynię z wyposażeniem. Życie toczy się dalej, zabiera mnie ze sobą. Minęło już siedem lat od mojego spotkania z Tancerzem, a wydaje się, jakby przeszło ich trzydzieści. Przez ile dziesiątek lat Tancerz oglądał wojnę? Ilu pożegnał przyjaciół, o których nawet nie wiem, bo nigdy o nich nie wspomniał? Na pewno kochał tych ludzi tak samo jak ja Sevra i Ragnara. Kiedyś miał rodzinę, ale bardzo rzadko o niej mówi.

Wszyscy mieliśmy kiedyś coś cennego. I każdy z nas został obrabowany i załamał się, choć każdy inaczej. Właśnie dlatego Fitchner stworzył tę armię. Nie po to, żeby nas pozbierać, lecz żeby ocalić się przed otchłanią, która otworzyła się przed nim po śmierci żony. Potrzebowały światła. Więc je stworzył. Miłość była jego krzykiem na wietrze. Tak samo jak dla mojej żony.

– Lorn powiedział mi kiedyś, że gdyby był moim ojcem, wychowałby mnie na porządnego człowieka. Wielcy ludzie nigdy nie mają spokoju. – Uśmiecham się na to wspomnienie. – Powinienem go wtedy zapytać, kto jego zdaniem tworzy ten spokój dla wszystkich porządnego ludzi.

– Ale ty jesteś porządnym człowiekiem – zapewnia mnie Tancerz.

Moje ręce są pobliżnione i brutalne. Kiedy je zaciskam, kłykcie stają się tak znajomo białe.

– Tak? – Szczerzę zęby. – To dlaczego chcę czynić зло i pcham się na wojnę?

Wybucha na to śmiechem, a wtedy zaskakuję go i mocno ściskam. Zdrowym ramieniem Tancerz obejmuje mi biodro. Głową ledwie sięga mi do torsu.

– Sevro może sobie nosić hełm Aresa, ale to ty jesteś tutaj sercem – mówię mu. – I zawsze byłeś. Przez swoją skromność tego nie dostrzegasz, ale jesteś równie wielkim człowiekiem jak Ares. I jakoś udaje ci się pozostać przy tym porządnym gościem. W przeciwnieństwie do tego lubieżnego drania.

Cofam się i dotykam jego piersi na wysokość serca.

– I kocham cię. Tak na wypadek, gdybyś jeszcze nie wiedział.

– Och, jasna cholera – mamrocze Tancerz z oczyma pełnymi łez. – Myślałem, że masz być zabójcą. Nie traktujesz mnie jak mięczaka, prawda, chłopcze?

– Nigdy – zapewniałam go z porozumiewawczym mrugnięciem.

Popycha mnie w głąb hangaru.

– No to pożegnaj się z matką, zanim odlecisz.

Zostawiam go, gdy zaczyna pokrzykiwać na grupę żołnierzy Synów Aresa, i przeciskam się przez krzątaninę. Po drodze witam się uderzeniem pięści w pięść z Kamyk, którą Śrubokręt wiezie na wózku do rampy załadunkowej, salutuję Synom, których rozpoznaję, rzucam kilka żartów do Klauna, prowadzącego oddział Wyjców. Moja matka i Mustang przerywają rozmowę na mój widok. Obie wyglądają na poruszone.

– Co się dzieje? – pytam.

– Tylko się żegnamy – odpowiada szybko Mustang.

Matka podchodzi do mnie bliżej.

– Dio przyniosła to z Lykos. – Otwiera małe plastikowe pudełko i pokazuje mi ziemię w środku. Uśmiecha się do mnie. Jest taka mała. – Lecisz w noc, a kiedy wszystko ogarnie ciemność, pamiętaj, kim jesteś. I pamiętaj, że nigdy nie zostaniesz sam. Nadzieje i marzenia naszego ludu lecą z tobą. Pamiętaj o domu.

Przyciąga mnie w dół, żeby mogła dosiągnąć mojego czoła i pocałować mnie.

– Pamiętaj, że jesteś kochany.

Obejmuję ją mocno, a kiedy się cofam, widzę łzy w jej surowych oczach.

– Nic mi nie będzie, mamo.

– Wiem. Wydaje ci się, że nie zasługujesz, aby być szczęśliwy – wzducha matka. – Ale zasługujesz, dziecko. Zasługujesz na szczęście bardziej niż ktokolwiek, kogo znam. Więc zrób, co musisz, a potem wróć do domu. Wróć do mnie.

Potem ujmuje za rękę mnie i Mustang.

– Oboje wróćcie do domu. A potem zacznijcie żyć.

Zostawiam ją, zmieszany i wzruszony.

– O co chodziło? – pytam Mustang. Dziewczyna patrzy na mnie, jakby to było oczywiste.

– Twoja matka się boi.

– Dlaczego?

– Bo jest twoją matką.

Podchodzę do stanowiska, gdzie czeka mój prom. Do Mustang dołączają Victra i Sevro.

– Helldiverze... – woła za mną Tancerz, gdy już mam wejść na rampę. Odwracam się i oto widzę, jak ten przygarbiony mężczyzna unosi zaciśniętą pięść. A za jego plecami wszyscy w tym stalaktytowym hangarze patrzą tylko na mnie. Setki operatorów ładowarek, pilotów, Niebieskich, Zielonych i Czerwonych, stojących

przy rampach swoich promów albo przy drabinkach do kokpitów z hełmami pod pachą, plutony Szarych, Czerwonych i Obsydianów z wyposażeniem bojowym i uzbrojeniem – i z kosą wyszytą na rękawie lub namalowaną na twarzy – którzy dołączają do mojej floty. Kobiety i mężczyźni z Marsa. Walczą o coś więcej niż własne życie. Walczą o naszą planetę, o swoich bliskich. Czuje ciężar ich miłości. Czuje nadzieję tych wszystkich ludzi, którzy wcześniej patrzyli, jak Synowie Aresa powstają, aby przejąć Fobosa. Obiecaliśmy im coś, a teraz musimy tego dotrzymać. Jeden po drugim żołnierz mojej armii unoszą pięści. Jak Eo, która trzymała haemanthus, nim Augustus wydał na nią wyrok śmierci.

Ogarnia mnie chłód, gdy Sevro, Victra, Mustang i nawet moja matka unoszą razem pięści.

– Zerwij pęta – woła Tancerz.

Unoszę własną, pobliżnioną pięść, a potem w milczeniu wchodzę na pokład promu. Wkrótce dołączę do Czerwonej Armady i wyruszę na wojnę.

Rozdział czterdziesty

MORZE ŻÓŁTE

Morze Żółte na Io liże moje czarne buty. Wysokie siarkowe diuny i krzemowe góry o ostrych jak brzytwy grzbietach wznoszą się jak okiem sięgnąć. Na stalowobłękitnym niebie mający marmurowy dysk Jowisza, sto trzydzieści razy większy niż tarcza Księżyca widzianego z Ziemi. Wydaje się, że to oblicze ogromnego i złego boga. Wojna ogarnęła jego sześćdziesiąt siedem satelitów. Miasta kryją się pod osłonami tarcz pulsacyjnych. Z poczerniałych kadłubów wysypują się na księżyce żołnierze, oddziały ścierają się i ścigają nawzajem, zaopatrzenie przemyka między ledwie widocznymi lodowymi pierścieniami gazowego giganta.

Co za widok!

Stoję pod diuną z Sefi i pięcioma Walkiriami u boku, w świeżo malowanej, czarnej zbroi pulsacyjnej, i czekam na prom Władcy Księżyca. Transporter opancerzony za naszymi plecami nawet nie wyłączył silników. Przypomina trochę rekina młota i jest ciemnoszary. Walkirie i Czerwoni dokerzy pomalowali jego dziób podczas lotu na Obrzeża, dodali tam dwoje wypukłych ślepi i rozwartą paszczę z zakrwawionymi kłami. Między ślepiami leży na brzuchu Holiday z karabinkiem snajperskim i obserwuje przez celownik formację skał na południu.

– Widać coś? – pytam. Głos mi trzeszczy nieprzyjemnie pod maską do oddychania.

– Nic – odpowiada Sevro przez komunikator. On i Klaun w butach grawitacyjnych polecieli na zwiad, sprawdzają małą osadę dwa kilometry stąd. Gołym okiem nie mogę ich dostrzec. Bawię się rękojeścią slinga.

– Przyjdą – mówię. – Mustang ustaliła miejsce i czas.

Io to dziwny glob. Najmniejszy z czterech Księżycom Galileuszowych, niewiele większy od ziemsiego Księżyca. Jego przeznaczeniem nigdy nie była pełna przemiana po przejściu terraformacyjnych maszyn Złotych. Io to piekło, z którego Dante byłby dumny. Jest najbardziej suchym obiektem w Układzie Słonecznym, aktywnym wulkanicznie, z wielkimi złożami siarki i pływami gorąca pod powierzchnią. Powierzchnia tego księżyca to mozaika żółtych i pomarańczowych równin poprzecinanych pęknięciami i ogólnymi wyrzutami spod zmiennej powierzchni. Dramatycznie strzeliste klify wznoszą się z siarkowych diun.

Duże kręgi zieleni znaczą obszary równikowe Io. Ponieważ Korpus Inżynieryjny uznał, że uprawa zbóż i hodowla zwierząt będą tutaj zbyt trudne, pokrył miliony akrów powierzchni tarczami pulsacyjnymi. Potem na kosmicznych barkach

dotransportowano glebę i wodę na dwa stulecia, zagęszczono atmosferę, aby powstrzymywała silne promieniowanie Jowisza, i wykorzystano gorące pływy pod powierzchnią do zasilania wielkich generatorów. Wszystko po to, aby hodować artykuły spożywcze dla całej orbity Jowisza i ekspedycji ze Światów Wewnętrznych, a co ważniejsze, Obranezy. Io to farma z największą produkcją żywności między Marsem i Uranem, z niewielką grawitacją i tanią ziemią.

A kto wykonuje tu całą robotę?

Za Bąblami od bieguna do bieguna rozciąga się Morze Siarki, usiane jeziorami magmy i wulkanami.

Io może mi się nie podobać, ale szanuję ludzi z tego świata. Nawet mieszkańcy Bąbli nie przypominają pobratymców z Ziemi, Księżyca, Merkurego czy Wenus. Ci tutaj są twardsi, szczuplejsi, oczy mają większe, aby absorbować stłumione światło sześćset milionów kilometrów od Słońca. Ich skóra jest bledsza, są wyżsi i potrafią wytrzymać większe dawki promieniowania. Mieszkańcy Io wierzą, że są najbardziej podobni do Żelaznych Złotych, którzy podbili Ziemię i zaprowadzili wielowiekowy pokój po raz pierwszy w historii ludzkości.

Nie powiniensem zakładać czerni na dzisiaj – rękawic, płaszczu, bluzy pod spodem. Myślałem, że udamy się na stronę odwróconą od Jowisza, gdzie śnieżne pola dwutlenku siarki pokrywają powierzchnię Io. Jednak siły operacyjne Władcy Księżyca w ostatnim momencie zażądały nowego miejsca spotkania – na skraju Morza Siarki, w temperaturze stu dwudziestu stopni Celsjusza.

Sefi zbliża się do mnie i swoimi nowymi goglami skanuje żółty horyzont. Ona i jej Walkirie szybko nauczyły się posługiwać wyposażeniem bojowym, dużo trenowały z Holiday podczas naszej podróży na Jowisza. Poznały walkę na okrętach i taktykę oraz sygnały migowe Szarych.

– Jak się czujesz w upale? – pytam ją.

– Dziwnie – przyznaje. Gorąco czuje tylko na twarzy, resztę ciała chłodzą systemy zbroi. – Dlaczego ludzie tutaj mieszkają?

– Osiedlamy się wszędzie, gdzie możemy.

– Ale Złoci wybierają, tak?

– Tak.

– Byłabym ostrożna wobec ludzi, którzy wybrali sobie taki dom. Duchy tutaj są okrutne.

Kopie butem piasek, który unosi się na wietrze w niskiej grawitacji i opada w wirujących tumanach. Mustang uważa, że powiniensem być ostrożny właśnie wobec Sefi. Podczas podróży siostra Ragnara obejrzała setki godzin nagrani, uczyła się naszej ludzkiej historii. Sprawdzam regularnie jej unipad. Jednak Mustang nie niepokoi, że Sefi lubi filmy o lasach deszczowych i eksperymentach naukowych.

Niepokoi ją za to fakt, że Obsydianka obejrzała też holonagrania z naszych wojen, zwłaszcza nuklearną zagładę Rei. Ciekawe, co z tego wyniknie.

– Mądre słowa, Sefi – przyznaje. – Bardzo mądre.

Sevro ląduje przed nami teatralnie. Przez całą drogę był nieznośny. Śmiały się, psociły i wymykały do kajuty Victry, gdy tylko myślał, że nikt nie widzi. Brzydki, zakochany malec. I – na ile można ocenić – zakochany z wzajemnością.

– Co myślisz? – pytam.

– Cały ten księżyc cuchnie jak pierd.

– To twoja profesjonalna ocena? – odzywa się Holiday przez komunikator.

– Jasne. Nad zboczem jest osada Waygar. – Wilcze futro łopocze na wietrze, łańcuszki, które je mocują do zbroi, dzwonią cicho. – Grupa Czerwonych przywiózła aparaturę destylacyjną.

– Przeskanowałaś piasek?

– To nie mój pierwszy zwiad, wodzu. Nie lubię tych bredni o spotkaniach twarzą w twarz, ale wydaje się, że jest czysto. – Zerka na swój unipad. – Chociaż księżycowcy powinni być punktualni. Gnojki spóźniają się już pół godziny.

– Zapewne z ostrożności. Może myślą, że mamy ukryte wsparcie z powietrza.

– Jasne. Bo przecież jesteśmy idiotami i zabraliśmy je z wrodzonej głupoty.

– Potwierdzam – zgadza się Holiday przez komunikator.

– Po co mi wsparcie powietrzne, skoro mam ciebie? – Wskazuję buty grawitacyjne Sevra. Obok na piasku spoczywa walizka z wyrzutnią saris w piankowej wyściółce. Przy pomocy takiej samej broni Ragnar strącił statek Cassiusa. Gdybym potrzebował lotnictwa, mam do dyspozycji psychotyczny odrzutowiec bojowy w osobie Goblina.

– Zresztą Mustang powiedziała, że na pewno przyjdą.

– Mustang powiedziała, że na pewno przyjdą – przedrzeźnia mnie Sevro piskliwie.

– Oby. Flota nie może się tutaj za długo ukrywać, w końcu ktoś ją znajdzie.

Moja flota czeka na orbicie, a Mustang wzięła prom i poleciła do Ilionu, stolicy Io. Pięćdziesiąt kutrów rakietowych i niszczycieli zaczął się z opuszczonymi osłonami i wyłączonymi silnikami na nagim księżycu Sinope, gdy większa flota Złotych przelatywała w pobliżu Księżyce Galileuszowych. Odrobinę bliżej, a czujniki Złotych wychwyciłyby ich obecność. Zwłaszcza że w ukryciu moja flota jest wystawiona na atak. Jeden przelot myśliwców mógłby ją zniszczyć.

– Księżycowcy przyjdą – powtarzam, choć wcale nie jestem pewien.

Złoci z Jowisza to ludzie zimni, dumni i zamknęci w sobie. Około osiem tysięcy Niezrównanych Naznaczonych nazywa Księżyce Galileuszowe domem. Ich Instytuty też są na księżycach. A wyprawy do Wnętrza podejmują wyłącznie bogacze, którzy chcą tam spędzić wakacje, albo ci, którzy muszą wypełnić służbę wobec Elity. Księżyc może być kolebką ich przodków, ale większość zupełnie go nie zna. Centrum tutejszego świata to Metropolia na Ganimedesie.

Władczyni zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie niesie niepodległość Obrzeży. Mówiła mi o trudnościach sprawowania władzy w imperium rozciągającym się na miliardy kilometrów. Octavia nie przejmowała się, że Bellona i Augustus mogą się wzajemnie zniszczyć. Obawiała się za to, że Obrzeże jest w stanie się zbuntować i rozedrzeć Elitę na pół. Sześćdziesiąt lat temu, gdy zaczynała sprawować rządy, miała Pana Popiołów, który zbombardował głowicami jądrowymi księżyc Saturna, Reę, gdy jej władcą chciał uzyskać niezależność. Przykład Rei wystarczył na sześćdziesiąt lat.

Jednak dziewięć dni po moim Triumfie dzieci Władców Księżyków, które trzymano na dworze Władczyni jako zakładników, uciekły. Tylko dzięki tym zakładnikom Octavia au Lune mogła liczyć na polityczną współpracę ich rodziców. Dzieciom pomogli szpiedzy Mustang, których wprowadziła do Cytadeli podczas swojego pobytu na dworze. Dwa dni później potomkowie zabitego podczas Triumfu ArcyGubernatora Revusa au Raa wykradli lub zniszczyli cały garnizon Floty Elity na Kallisto. Pomogli im Kurdybani z Ganimedesu. Raa ogłosili deklarację niepodległości Io i zaczęli naciskać inne, bardziej zaludnione i potężniejsze satelity Jowisza, żeby przyłączyły się do walki.

Niedługo potem niesławny, charyzmatyczny Romulus au Raa został wybrany Suwerenem Obrzeży. Wtedy dołączyły do niego Saturn i Uran. Drugi bunt księżycowy oficjalnie rozpoczął się sześćdziesiąt lat i dwieście jedenaście dni po pierwszym.

Władcy Księżyków spodziewali się, że Władczyni ugrzęźnie na Marsie przynajmniej na dekadę, może nawet dłużej. Jeżeli dodać do tego powstanie PodKolorów na Światach Wewnętrznych, łatwo się domyślić, skąd założenie, że Octavia nie zdoła zebrać dość potrzebnych zasobów, aby wysłać odpowiednio dużą flotę do zdławienia w zarodku buntu, który wybuchł sześćset milionów kilometrów od Marsa. Władcy Księżyków bardzo się przeliczyli.

– Mamy odczyt – melduje Kamyk ze stanowiska detekcji na promie. – Trzy jednostki. Dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów od nas.

– Nareszcie – mamrocze Sevro. – Oto nadchodzą księżycowcy.

Trzy jednostki bojowe wynurzają się z mirażu na horyzoncie. Dwa myśliwce klasy Sarpedon z wymalowanym na burcie czterogłowym, białym smokiem rodu Raa, trzymającym w szponach błyskawicę Jowisza, eskortują pękaty prom klasy Priam z herbem, który znam aż za dobrze. Wielobarwny, śpiący lis. Prom ląduje przed nami. W tumanach pyłu opada rampa. Siedem szczupłych postaci, wyższych ode mnie i szczuplejszych, schodzi na piasek. Wszyscy Złoci. Nosy i usta zasłaniają im kryle, organiczne maski do oddychania wyrzeźbione przez Snycerzy. Maski przywodzą na myśl chrząszcze bez pancerzy, z długimi odnóżami, sięgającymi uszu. Tutejsze beżowe zbroje są lżejsze niż te używane we Wnętrzu. Zdobią je kolorowe szarfy.

Długolufowe działa przenośne, spersonalizowane dla użytkownika, zwisają z pleców wojowników, ostrza kołyszą się przy biodrach. Pomarańczowe gogle zasłaniają oczy przybyszów. I nie używają butów grawitacyjnych, lecz pneumatycznych, dużo lżejszych i wykorzystujących do latania silniki ze sprężonym powietrzem. Dzięki nim skacze się po powierzchni jak kamień odbijający się od wody. Takie buty nie mają dużego udźwigu, ale za to pozwalają się rozpędzić do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie dość, że są o jedną czwartą lżejsze od moich, to jeszcze mają zasilanie, które wystarcza na co najmniej rok, i nie widać ich w podczerwieni.

To asasyni, nie rycerze. Holiday od razu dostrzega w nich nowe zagrożenie.

– Nie ma jej z nimi – mówi przez komunikator. – Wezwać któregoś z Telemanusów?

– Nie, czekaj – nakazuję. – Widzę ją.

Mustang schodzi z promu i dochodzi do wysokich Ionów. Ubrana jest tak samo jak oni, tyle że nie ma działa. Potem pojawia się jeszcze jedna kobieta z ramionami długimi jak u szympansa. Mustang wspina się na naszą diunę. Reszta mieszkańców Io pozostaje przy rampie – nie są zagrożeniem, lecz tylko eskortą.

– Darrow – wita mnie Mustang. – Wybacz spóźnienie.

– Gdzie Romulus? – pytam z niepokojem.

– Nie pojawi się.

– Cholera jasna – syczy Sevro. – A nie mówiłem, Kosiarzu?

– W porządku, Sevro. To siostra Romulusa, Vela.

Wysoka kobieta zadziera płaski nos, gdy patrzy na nas. Cerę ma bladą, ciało dostosowane do słabej grawitacji. Przez maskę i gogle nie widać rysów twarzy, ale wydaje się, że ma około pięćdziesięciu lat. Jej głos brzmi beznamiętnie i płasko.

– Darrow z Marsa. Przekazuję ci pozwolenia od mojego brata i witam cię w jego imieniu. Jestem Legat Vela au Raa.

Sefi zaczyna krążyć wokół nas, przyglądając się obcej Złotej i jej dziwnemu uzbrojeniu. Lubię, gdy Sefi krąży, kiedy ludzie zaczynają mówić. Wydają się wtedy trochę bardziej szczerzy.

– Miło poznać, Legat au Raa. – Kiwam głową z szacunkiem. – Będziesz mówić w imieniu brata? Chciałbym przedstawić moją sprawę osobiście.

Skóra przy goglach Veli marszczy się lekko.

– Nikt nie przemawia w imieniu mojego brata. Nawet ja. Chciałby się spotkać w swoim prywatnym domu na Pustkowiach Karrack.

– Żebyście mogli zwabić nas w zasadzkę? – prycha Sevro. – Mam lepszy pomysł. Może przekażesz swojemu wrednemu bratu, żeby dotrzymywał cholernych umów, zanim wsadzę ci to twoje działa głęboko w tyłek i zrobię z ciebie pierdzący Pixie-kebab?

– Uspokój się, Sevro – napomina go Mustang. – Nie tutaj. Nie przy tych ludziach.

Vela obserwuje krążącą Sefi. Zauważa ostrze przy pasie wielkiej Obsydianki.

– Gówno mnie obchodzi, kim ona jest. Wie, kim my jesteśmy. I jeśli nie przechodzi jej zimny dreszcz, gdy stoi twarzą w twarz z Kosiarzem z Marsa, to chyba jest głupsza, niż ustawa przewiduje.

– Mój brat nie może przybyć – wyjaśnia Vela.

– To zrozumiałe – zapewniam.

Sevro groteskowo macha rękami.

– A to co? – Vela skinieniem głowy wskazuje Sefi.

– To królowa Walkirii – przedstawiam. – Siostra Volarusa.

Vela czujnie zerka na Sefi i tak właśnie być powinno. Imię Ragnara stało się sławne.

– Ona też nie może z nami pójść. Ale chodziło mi o ten wrak, którym tu przylecieliście. To ma być statek? – Kobieta prycha i krzywi się pod maską. – Najwyraźniej zbudowany na Wenus.

– Pożyczony. – Wzruszam ramionami. – Ale jeżeli chcesz się zamienić...

Vela zaskakuje mnie wybuchem śmiechu, ale zaraz poważnieje.

– Jeżeli życzycie sobie uchodzić za misję dyplomatyczną przed Władcami Księżyków, musicie okazać szacunek mojemu bratu. I zaufać jego honorowi i gościnności.

– Spotkałem wielu ludzi, którzy odstawiali honor, gdy było to dla nich wygodne – zauważam prowokująco.

– To nie Wnętrze, lecz Obrzeża – odpowiada mi Vela. – Pamiętamy naszych przodków. Pamiętamy, jaki powinien być Żelazny Złoty. Nie mordujemy gości jak ta suka na Księżycu. Albo jak Szakal na Marsie.

– Mimo to. – Uśmiecham się lekko.

Tym razem to Vela wzrusza ramionami.

– Musisz zdecydować, Kosiarzu. Masz sześćdziesiąt sekund. – Cofa się, żebym mógł naradzić się z Mustangiem i Sevrem. Przywołuję też Sefi.

– Opinie?

– Romulus raczej umrze, niż zabije gościa – mówi Mustang. – Wiem, że nie masz powodu, aby ufać tym ludziom, ale honor dla nich jednak coś znaczy. Nie są jak Bellona, którzy po prostu dużo tym mówią. Tutaj słowo Złotego znaczy tyle, co jego krew.

– Wiesz, gdzie jest ta rezydencja? – pytam.

Mustang kręci głową.

– Gdybym wiedziała, zabrałabym cię tam bez zwłoki. Ioni na pokładzie mają wyposażenie do pomiaru promieniowania i elektroniczne urządzenia śledzące. Przyjrzelci się uważnie. Będziemy zdani na siebie, jeżeli z nimi wyruszymy.

– Cudownie. – Ale nie chodzi o taktykę. Nie w tej tutaj krótkoterminowej grze. Moja wielka rozgrywka polega na tym, że przybyłem na Obrzeża świadomy, że mam przewagę, jakiej Władczyni nie posiada. I ta przewaga utrzyma mi głowę na karku lepiej niż czyjkolwiek honor. Jednak myliłem się już wcześniej, więc teraz wolę każde posunięcie przemyśleć dwa razy i skonsultować.

– Czy zasady traktowania gości dotyczą także Czerwonych? – pyta Sevro. – Czy tylko Złotych? Musimy to wiedzieć.

Zerkam na Velę.

– Słuszna uwaga.

– Jeżeli Romulus cię zabije, zabije też mnie – stwierdza Mustang. – Nie zostawię cię. A jeżeli nas zabije, moi ludzie go zaatakują. Telemanusowie zwrócią się przeciw niemu. Nawet synowe Lorna będą przeciwko niemu. To siły równe niemal jednej trzeciej jego floty. Na taką jatkę nie może sobie pozwolić.

– Sefi, a co ty sądzisz?

Sefi zamyka powieki, dzięki czemu jej błękitne wytatuowane oczy mogą zobaczyć duchy tego pustkowia.

– Idź.

– Daj nam sześć godzin, Sevro. Jeśli do tego czasu nie wrócimy...

– Wyleźć z ukrycia?

– Przyczaj się.

– Da się załatwić. – Uderza pięcią w moją pięść i mruga. – No to miłej dyplomacji, dzieci. – A potem wyciąga pięść do Mustang. – Ty też, kucyku. Razem siedzimy w tym gównie, nie?

Mustang radośnie uderza pięcią w pięść Sevra.

– Cholerna racja.

Rozdział czterdziesty pierwszy

WŁADCA KSIĘŻYCA

Siedziba najpotężniejszego człowieka na Księżycach Galileuszowych jest prosta i przestronna, z małymi ogrodami i cichymi zakątkami. Wzniesiono ją pod uśpionym wulkanem, nad żółtą równiną rozciągającą się po horyzont, gdzie widać kolejne stożki wulkaniczne i wylewy magmy. Lądujemy w małym, ukrytym hangarze pod skalnym nawisem. Oprócz naszego stoi tu tylko jeszcze jeden okręt – smukły, czarny ścigacz. Orion dałaby się żywcem posiekać, byle tylko na nim polecieć. Pod ścianą dostrzegam też kilka zakurzonych motocykli odrzutowych. Nikt nie podchodzi, aby zająć się naszym promem, gdy wysiadamy. Potem ruszamy ścieżką wyłożoną białymi kamikami do rezydencji. Jej teren otacza dyskretnie bańska pola siłowego.

Nasza eskorta czuje się tutaj swobodnie. Wchodzi pierwsza przez kute żelazną bramę na trawnik dziedzińca i do domu. W progu zdejmuję zakurzone buty i stawiają je tuż przy drzwiach obok czarnych butów wojskowych. Mustang i ja wymieniamy spojrzenia, po czym również zdejmujemy buty. Pozbycie się pękatego obuwia grawitacyjnego trwa nieco dłużej – każdy waży prawie dziewięć kilogramów i ma trzy zapinane obejmy, aby dobrze trzymał się nogi. Przyjemnie jest poczuć trawę pod nogami. Mam świadomość, że stopy mi cuchną. Dziwnie jest patrzeć na buty tuzina wrogów ustawione pod drzwiami. Ma się wrażenie, że trafiło się na bardzo prywatne spotkanie.

– Poczekaj tutaj, proszę – zwraca się do mnie Vela. – Virginio, Romulus pragnie porozmawiać najpierw z tobą. Sam na sam.

– Będę krzyczał, jeżeli znajdę się w niebezpieczeństwie. – Uśmiecham się, gdy Mustang się waham. Wtedy mruga do mnie porozumiewawczo i idzie za Velą, która na pewno zauważyła tę wymianę znaków. Podejrzewam, że niewiele umyka uwadze starszej kobiety, a jeszcze mniej pozostaje bez oceny. Zostaję sam w ogrodzie, za towarzystwo mam tylko wiatr dźwięczący w powieszonych na drzewie dzwonkach. Ogród na dziedzińcu ma kształt prostokąta szerokiego na najwyższej trzydziestki kroków. Kute bramę od wejścia do domu dzieli nie więcej niż dziesięć kroków. Białe, tynkowane ściany wydają się nieskazitelnie gładkie, ale wspina się po nich pnącze, które niemal wdziera się do środka budynku. Wśród drobnych liści kwitną pomarańczowe kwiaty pachnące jakalone drewno.

Pokoje, dziedzińce i ogrody nie są zadaszone, przeplatają się między ścianami. Ale też dachy tutaj nie są potrzebne. Bańska pola siłowego oddziela posiadłość od

kaprysów zewnętrznej aury, a urządzenia wytwarzają deszcz na życzenie. Korzenie drzewa cytrynowego przebijają dno kamiennego zbiornika białej fontanny na środku ogrodu. Jedno spojrzenie na miejsce podobne do tego doprowadziło moją żonę na szubienicę.

Jakże obco wygląda taki dom na Io.

Ale również pod wieloma względami jakże wspaniale.

– Możesz zjeść mandarynkę, jeśli chcesz – rozlega się cichy głosik za moimi plecami. – Ojciec się nie pogniewa.

Odwracam się i napotykam dziecko przy bramce obok głównego dziedzińca, prowadzącej do części domu po lewej. Dziewczynka ma najwyżej sześć lat. Trzyma niewielką łopatkę, a na kolanach spodni widać smugi ziemi. Ma krótkie włosy, bladą skórę i oczy o wiele większe niż jakakolwiek dziewczyna z Marsa. Wyraźnie widać jej delikatne kości, jak u nowo narodzonego pisklęcia. Nie spotkałem wielu Złotych dzieci. Rodziny Naznaczonych z Wnętrza często ukrywają swoich potomków w obawie przed zabójstwem, trzymają ich w szkołach lub prywatnych posiadłościach. Słyszałem, że na Obrzeżach jest inaczej. Podobno tutaj nie zabija się dzieci. Ale przecież wszyscy lubią udawać, że nie zabijają dzieci.

– Cześć – witam się łagodnie. To kruchy, niezdarny ton, którego nie używam prawie nigdy, chyba że przy spotkaniach z moimi bratankami. Kocham dzieci, ale czuję się przy nich tak obco...

– Jesteś Marsjaninem, prawda? – pyta dziecko z podziwem.

– Mam na imię Darrow. – Kiwam głową. – A ty jak się nazywasz?

– Jestem Gaja au Raa – odpowiada z dumą, naśladowując dorosłych, ale tylko w chwili, gdy się przedstawia, jak się okazuje. – Naprawdę jesteś Czerwony?

Słyszałem, jakojecie tak powiedział – wyjaśnia. – Myślą, że jeżeli nie mam tego... – przesuwa palcem po policzku, gdzie Naznaczeni noszą swoją bliznę – to uszu też mi brakuje.

A potem wskazuje na pnącze opłatające ściany i uśmiecha się psotnie.

– Czasami się wspinam.

– Jestem Czerwony – potwierdzam. – Tego nie da się wymazać.

– Och. Nie wyglądasz jak Czerwony.

Chyba nie widziała nagrani, skoro nie wie, kim jestem.

– Może nie chodzi o to, jak wyglądam – sugeruję. – Może chodzi o to, co robię.

Czy to za mądre dla sześciolatki? Cholera, nie mam pojęcia. Dziewczynka krzywi się z odrazą i zaczynam się obawiać, że popełniłem błąd.

– Widziałaś wielu Czerwonych, Gajo?

Mała kręci głową.

– Widziałam ich tylko podczas nauki. Ojciec mówi, że mieszanie się jest niestosowne.

- Nie masz służących?
Chichocze, ale zaraz uświadamia sobie, że pytałem poważnie.
– Służących? Jeszcze nie zasłużyłam na służących. – Ponownie pokazuje wyimaginowaną bliznę. – Jeszcze nie.
- Nastrój nieco mi psuje myśl, że ta dziewczynka będzie kiedyś uciekała po lasach Instytutu, aby ocalić życie. A może będzie tą, która ściga uciekinierów?
- I nie zasłużysz sobie, jeżeli nie zostawisz naszego gościa w spokoju – niski, ochrypły głos rozlega się z głównej części budynku. Romulus au Raa opiera się o drzwi frontowe swojego domu.
- To surowy i brutalny człowiek. Mojego wzrostu, jednak chudszy i z połamanym nosem. Prawe oko, o jedną trzecią większe niż moje, osadzone jest w wąskiej, gniewnej twarzy. Lewą powiekę przecina blizna. Gładka kula błękitno-czarnego marmuru zajmuje miejsce drugiej gałki ocznej. Pełne usta krzywią się, na górnej wardze widać jeszcze trzy blizny. Ciemnożółte, długie włosy spięte ma w kucyk. Pomijając szramy po dawnych ranach, skóra tego mężczyzny przypomina porcelanę. Jednak to sposób, w jaki się zachowuje, określa go chyba najbardziej. Czuję jego wewnętrzny spokój i pewność siebie, jakby stał przy drzwiach przez całą moją rozmowę z dziewczynką. I jakby znał mnie od dawna. Zdumiewające, że polubiłem go, gdy tylko mrugnął porozumiewawczo do córki. A co jeszcze bardziej zaskakujące, bardzo chciałbym, aby on polubił mnie, chociaż to tyran i mam tego świadomość.
- No i czego się dowiedziałaś o naszym Marsjaninie? – pyta Romulus.
- Jest gruby – stwierdza Gaja. – Większy niż ty, ojrze.
- Ale nie tak wielki jak Telemanus – zapewniam.
- Dziewczynka składa ramiona na piersi.
- Nikt nie jest tak wielki jak Telemanus.
- Parskam śmiechem.
- Gdyby to była prawda... Znałem człowieka, który był niemal tak wielki dla mnie, jak ja dla ciebie.
- Nie... – Gaja wytrzeszcza oczy. – Obsydiana?
- Potwierdzam skinieniem głowy.
- Nazywał się Ragnar Volarus. Był Skalanim. Księciem plemienia Obsydianów z południowego bieguna Marsa. Tym plemieniem rządzą kobiety, które latają na gryfach. – Zerkam na Romulusa. – Jego siostra przyleciała ze mną.
- A on też latał na gryfach? – Wzmianka urzekła dziewczynkę. O tym się najwyraźniej jeszcze nie uczyła. – Gdzie jest teraz?
- Umarł. Wystrzeliliśmy go w stronę Słońca, gdy lecieliśmy z wizytą do twojego ojca.

– Och, bardzo mi przykro... – mówi Gaja z głębokim i szczerym współczuciem, do jakiego chyba tylko dzieci są zdolne. – Dlatego jesteś taki smutny?

Wzdragam się, bo nie sądziłem, że tak bardzo to widać. Romulus zauważa moje skrępowanie i oszczędza mi odpowiedzi.

– Gajo, stryj cię szukał. Pomidory nie posadzą się same, jak wiesz.

Gaja spuszcza głowę, macha mi na pożegnanie i odchodzi krętą ścieżką w stronę domu. Gdy patrzę, jak znika, uświadamiam sobie, że moje dziecko byłoby teraz w jej wieku.

– Zaaranżowałeś to? – pytam Romulusa.

Złoty wchodzi do ogrodu.

– Uwierzyłbyś, gdybym zaprzeczył?

– Wiara w słowa innych przychodzi mi ostatnio z trudem.

– Dzięki temu wciąż oddychasz, choć na pewno nie czujesz się szczęśliwy – przyznaje Romulus z powagą. Wymawia słowa w rytmicznym staccato, typowym dla ludzi wychowanych w gladiatorskich akademiach. Nie ma tym uczucia mrukliwej obelgi czy innej gierki, tylko odświeżająca, choć równie odpychająca bezpośredniąłość. – Ten dom był schronieniem mojego ojca, a wcześniej jego ojca, zanim stał się i dla mnie azylem. – Gestem zaprasza mnie, abym usiadł na kamiennej ławce. – Uznałem, że to odpowiednie miejsce na dyskusję o przyszłości mojej rodziny. – Zrywa mandarynkę z drzewa i siada na ławce naprzeciw mnie. – I twojej.

– Wygląda na to, że ten dom wymagał wiele wysiłku, aby go postawić. –

Rozglądam się po ogrodzie.

– To znaczy?

– Drzewa, gleba, trawa, woda. Nic nie jest z tego świata.

– Człowiek nie miał nigdy opanować ognia. W tym właśnie kryje się piękno – odpowiada Romulus wyzywająco. – Ten książyc jest małym, nienawiistnym koszmarem. Ale dzięki pomysłowości uczyniliśmy go swoim. I dzięki sile woli.

– A może tylko tedy przechodzimy?

Grozi mi palcem.

– Nigdy nie słynąłeś z mądrości.

– Z mądrości nie – przyznaję. – To tylko pokora. Bardzo otrzeźwiająca.

– Kamienna cela to prawda? – pyta Romulus. – Słyszeliśmy plotki w zeszłym miesiącu.

– Mówili prawdę.

– Co za niestosowność. – Krzywi się z pogardą. – Ale sporo mówi o jakości twojego wroga.

Córka Romulusa zostawiła na ścieżce ślady ubłoconych stóp.

– Gaja nie wiedziała, kim jestem.

Jej ojciec skupia się na obieraniu mandarynki. Jest zadowolony, że to zauważałem.

– Żadne dziecko w mojej rodzinie nie ogląda holo, dopóki nie skończy dwunastu lat. Wszyscy mamy naturę i tradycję, które nas kształtują. Gaja będzie mogła poznawać opinie innych ludzi, gdy sama będzie miała własne zdanie, nie wcześniej. Nie jesteśmy stworzeniami wirtualnymi, lecz zbudowanymi z krwi i kości. I lepiej, żeby się tego nauczyła, zanim dopadnie ją świat.

– Dlatego nie ma tutaj służących?

– Są, ale uznałem, że nie powinni cię dzisiaj zobaczyć. I nie są służącymi Gai. Co za rodzic pozwoliłby, aby jego dziecko miało służących? – Taki pomysł budzi w nim odrazę. Gdy dziecku wydaje się, że zasługuje na wszystko, zaczyna myśleć, że wszystko mu się należy. Myślisz, że dlaczego Wnętrze to taki Babilon? Ponieważ nigdy nie powiedziano mu nie.

Delikatnie odrzuca małe kawałki skórki mandarynki.

– Weźmy choćby Instytut, do którego uczęszczasz. Seksualne niewolnictwo, morderstwa, kanibalizm. I wszystko to robią Złoci. – Kręci głową. – Barbarzyństwo. Nie tego życzyli sobie przodkowie. Ale ludzie ze Światów Wewnętrznych są znieczuleni na przemoc i zapominają, że musi mieć cel. Przemoc to narzędzie. Ma za zadanie wstrząsać. Zmieniać. Tymczasem we Wnętrzu się ją celebuje i normalizuje. W ten sposób tworzą eksploatacyjną kulturę, w której są tak przywiązani do seksu i władzy, że kiedy spotykają się z odmową, sięgają po miecz i robią, co im się podoba.

– Jak to zrobili z twoimi ludźmi – potwierdzam.

– Jak to zrobili z moimi ludźmi – powtarza. – I jak to robimy z twoimi.

Romulus kończy obierać mandarynkę, tyle że teraz bardziej przypomina to skalpowanie. Rozdziera owoc na dwie części i połówkę rzuca mnie.

– Nie będę uromantyczniał tego, kim jestem. Ani usprawiedliwiąż zniewolenia twoich ludzi. To, co im zrobiliśmy, było okrutne, lecz konieczne.

Podczas lotu na Obrzeża Mustang opowiedziała mi o tym mężczyźnie. Podobno używa kamienia z Forum Romanum zamiast poduszki. Nie jest miłym człowiekiem. Przynajmniej nie dla swoich wrogów, a ja się do nich zaliczam, niezależnie od udzielonej mi gościny.

– Ciężko mi z tobą rozmawiać, zupełnie jakbyś nie był tyranem – przyznaję. – Siedzisz tutaj i uważasz, że jesteś bardziej cywilizowany niż Książyc, ponieważ kierujesz się waszym kodeksem honoru i ponieważ stosujesz się do ograniczeń. – Wskazuję na prosty dom. – Ale nie jesteś bardziej cywilizowany. Jedynie bardziej zdyscyplinowany.

– Czy nie na tym właśnie opiera się cywilizacja? Na porządku? Na opanowaniu zwierzęcych impulsów w imię stabilności? – Romulus je swoją połówkę owocu, żując powoli. Swoją odkładam na ławkę.

- Nie, nie na tym. Ale nie przyleciałem tutaj debatować o filozofii lub polityce.
- Jupiterowi niech będą dzięki. Wątpię, czy w czymkolwiek byśmy się zgodzili. – Przygląda mi się uważnie.
- Przybyłem tutaj, aby podyskutować o tym, na czym znamy się najlepiej. O wojnie.
- O naszej brzydkiej przyjaciółce. – Zerka na drzwi domu, aby się upewnić, że jesteśmy sami. – Zanim jednak przejdziemy do tego tematu, mogę ci zadać osobiste pytanie?
- Skoro musisz.
- Wiesz na pewno, że mój ojciec i córka zginęli podczas twojego Triumfu na Marsie?
- Tak.
- W pewnym sensie od tego wszystko się tutaj zaczęło. Widziałeś, co się stało?
- Owszem.
- Było tak, jak mówią?
- Nie zamierzam się domyślać, kim są „oni” ani co mówią.
- Podobno Antonia au Severus-Julii przygniotła nogą głowę mojej córki i zmiażdżyła. Moja żona i ja chcielibyśmy wiedzieć, czy to prawda. Opowiedziała nam o tym jedna z niewielu osób, którym udało się uciec.
- Tak – przyznaję. – To prawda.
- Mandarynka wypada mu z palców, zapomniana.
- Czy moja córka cierpiała?
- Ledwie zapamiętałem wtedy tamtą dziewczynkę, ale w mroku celi Szakala śniłem o tym, co stało się w ogrodach podczas Triumfu, tysiące razy. Żałowałem, że mam tak dobrą pamięć. Niewyróżniające się niczym dziecko w szarej sukience z broszką w kształcie smoka z błyskawicą próbowało uciec i schować się za fontanną. Jednak Vixus przeciął jej ścięgna, gdy przechodził obok. Dziewczynka czołgała się i płakała, dopóki Antonia nie zakończyła jej życia.
- Cierpiała przez kilka minut.
- Płakała?
- Tak. Ale nie błagała o litość.
- Romulus patrzy na żelazną bramę, za którą na nagiej równinie tańczą na wietrze tumany siarkowego pyłu, jakże obce jego spokojnemu domostwu. Znam jego ból, przerażający, załamujący smutek, gdy kochało się delikatną, kruchą istotę, którą okrutny świat wyrwał z serca. Jego dziewczynka dorastała tutaj, kochana i chroniona, a potem ruszyła na przygodę i poznała strach.
- Prawda może być okrutna – mówi cicho Romulus. – Lecz tylko ona ma znaczenie. Dziękuję ci za nią. Mam też prawdę dla ciebie. Taką, która, jak sądzę, może ci się nie spodobać.

– Masz innego gościa – stwierdzam. Zaskakuję tym swojego gospodarza. – Przy drzwiach stoją buty. Wypolerowane, widać, że chodzono w nich po pokładzie okrętu, nie po planecie. Pył się do nich strasznie lepi. Nie jestem obrażony. Chyba nawet się tego spodziewałem, gdy nie spotkałeś się ze mną na pustyni.

– Rozumiesz, że nie mogę podjąć decyzji na ślepo ani pośpiesznie.

– Rozumiem.

– Dwa miesiące temu nie zgodziłem się na plan Virginii, żeby negocjować pokój. Odleciała i chciała przeprowadzić go na własną rękę z poparciem tych, których przeraziły nasze straty. Wierzę w wojnę, dopóki stanowi skuteczne narzędzie do utrzymania bezpieczeństwa. I nie wierzę, że znajdowaliśmy się na pozycji siły, aby uzyskać coś w naszej wojnie, chyba że odnieślibyśmy przynajmniej jedno lub dwa zwycięstwa. Pokój był tylko innym określeniem zniewolenia. Moja logika się sprawdziła, nasze armie nie. Nie odnieśliśmy ani jednego zwycięstwa. Imperator Fabii jest... skuteczny. A Wnętrze, chociaż gardzę jego kulturą, wychowuje bardzo dobrych zabójców z bardzo dobrym zapleczem logistycznym i wsparciem. Walczymy pod góre z gigantem. A teraz jesteś tutaj jeszcze ty. I mogę osiągnąć pokojowo coś, czego nie zdołałem wygrać na wojnie. Dlatego muszę bardzo ostrożnie rozważyć swoje możliwości.

Romulusowi chodzi o to, że może wykorzystać moją obecność do własnych celów. Władczyni będzie skłonna do większych ustępstw, jeśli chce zakończyć wojnę. Bezcenzualnie samolubne stanowisko. Wiedziałem, że ryzykuję, gdy zmieniłem plany, miałem jednak nadzieję, że w Romulusie po roku wojny będzie wrzała krew i zechce odpłacić Władczyni pięknym za nadobne. Najwyraźniej jednak w żyłach Romulusa au Raa płynie wyjątkowo zimna krew.

– Kogo przysłała Władczyni?

Uśmiecha się lekko.

– A jak myślisz?

Rozdział czterdziesty drugi

POETA

Roque au Fabii siedzi przy kamiennym stole w sadzie, umiejscowionym z boku domu. Kończy deser – sernik z czarnym bzem i kawę. Dym z ponurego, karłowatego wulkanu wiruje w zmierzchu nad horyzontem z taką samą obojętnością jak para nad porcelanową filiżanką. Złoty odwraca się, gdy słyszy nasze kroki. Jest uderzająco przystojny w swoim czarno-złotym mundurze, smukły jak źdźbło pszenicy latem. Wysokie kości policzkowe i ciepłe spojrzenie nie zmieniły się z czasem, ale wyraz twarzy stał się bardziej nieobecny i nieprzystępny. Roque mógłby już sobie przypiąć na piersi tuzin medali za kolejne zwycięstwa, jednak w swojej głębokiej próżności uważa afektację za oznakę dekadencji. Nosi tylko symbol piramidy społecznej – imperatorskie skrzydła na pagonach i złotą czaszkę z koroną na piersi, znak upoważnienia Pana Popiołów. Z gracją odstawia filiżankę na spodek, wyciera kąciki ust serwetką i wstaje. Stopy ma bose, jak my wszyscy.

– Darrow, nie widzieliśmy się od wieków – mówi z tak uprzejmym wdziękiem, że mógłbym niemal pomyśleć, iż nadal jesteśmy przyjaciółmi, którzy spotykają się po długiej rozłące. Nie pozwolę sobie jednak na żadne uczucia wobec tego Złotego. Nie mogę mu wybaczyć. Przez niego Victra omal nie umarła. A Fitchner zginął. I Lorn. I jak wielu jeszcze ludzi straciłoby życie, gdybym nie zgodził się, aby Sevro opuścił przyjęcie i poszukał ojca?

– Imperatorze Fabii – odpowiadam beznamiętnie.

Jednak pod tym dystansem w powitaniu kryje się ból w sercu. Na twarzy Roque'a nie ma ani śladu żalu. A chciałbym, żeby był chociaż cień. I choćby dlatego wiem, że wciąż czuję coś do tego człowieka. Jest żołnierzem swojego ludu. Ja jestem żołnierzem mojego. Roque to nie czarny charakter w tej historii. To bohater, który zdemaskował Kosiarza. I pokonał floty Telemanusów i Mustang w bitwie pod Deimosem w noc po moim pojmaniu. Nie robi tego dla siebie. Żyje dla wartości równie szlachetnych jak moje. Dla swoich ludzi. Jedynym grzechem Roque'a jest kochanie ich za mocno, ale taką właśnie ma naturę.

Mustang obserwuje mnie z troską. Wie, co muszę czuć. Pytała mnie o Roque'a podczas lotu z Marsa. Powiedziałem, że ten człowiek nic dla mnie nie znaczy, ale oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że to nieprawda. Lecz Mustang jest teraz przy mnie. Wspiera mnie wśród tych drapieżników. Bez niej mógłbym stawić czoła swoim wrogom, ale nie wytrzymałbym tego długo. Byłbym bardziej ponury.

Bardziej gniewny. Tacy towarzysze jak Mustang, wprawdzie nieliczni, potrafią jednak podnieść mnie na duchu.

– Nie mogę powiedzieć, że spotkać cię znowu to przyjemność, Roque – Mustang zręcznie odwraca uwagę ode mnie. – Chociaż jestem zaskoczona, że Władczyni nie wysłała Polityka, aby z nami paktować.

– Wysłała – zapewnia cicho Roque. – A ty odesłałaś Moirę w trumnie. Władczynię to bardzo zraniło. Ale pokłada nadzieję w mojej bronie i ocenie sytuacji. Podobnie jak ja wierzę w gościnę Romulusa. Dziękuję za posiłek, tak przy okazji. – Kiwa głową naszemu gospodarzowi. – Nasza kantyna jest żałosnie wojskowa, jak zapewne możesz sobie wyobrazić.

– Korzyści z posiadania spichlerzy – odpowiada Romulus. – Oblężenie nigdy nie oznacza tutaj głodu.

Gestem zaprasza, abyśmy zajęli miejsca. Mustang i ja siadamy naprzeciw Roque'a, Romulus u szczytu stołu. Miejsca po lewej i prawej gospodarza zajmują ArcyGubernator Trytona i stara, pomarszczona kobieta, której nie znam. Nosi skrzydła Imperatora.

Roque przygląda mi się uważnie.

– Naprawdę cieszy mnie, że nareszcie bierzesz udział w wojnie, którą rozpętałeś, Darrow.

– Za tę wojnę Darrow nie jest odpowiedzialny – oponuje Mustang. – Tylko twoja Władczyni.

– Za wprowadzenie porządku? – dziwi się Roque. – Za podporządkowanie się postanowieniom Konwencji?

– Och, doprawdy. Znam tę babę trochę lepiej niż ty, Poeto. Starucha jest wredna i podstępna. Myślisz, że zabicie Quinn było pomysłem Ai? – Mustang czeka na odpowiedź, ale żadnej nie dostaje. – To był rozkaz Octavii. Przekazała go Ai przez komunikator.

– Quinn zginęła przez Darrowa – stwierdza Roque. – Tylko przez niego.

– Szakal chwalił się, że to on zabił Quinn – wtrącam. – Wiedziałeś?

Na Roque'u nie robi to wrażenia.

– Gdyby ją zostawił, mogła przeżyć – kontynuuję. – Zabił ją na rufie promu, gdy reszta z nas walczyła o życie.

– Kłamiesz.

Kręczę głową.

– Wybacz, ale przemawia przez ciebie poczucie winy. Taka była prawda i nie da się tego zmienić.

– Zrobiłeś ze mnie masowego mordercę i nastawiłeś przeciwko własnym ludziom – krzywi się Roque. – Mój dług wobec Władczyni i Elity za udział w wojnie Augustus – Bellona nie został jeszcze spłacony. Miliony straciły życie w oblężeniu Marsa.

Miliony, które nie musiałyby zginąć, gdybym przejrzał twoje oszustwo i wypełnił obowiązek wobec moich ludzi. – Głos mu drży. Znam zagubione spojrzenie, jakie widzę w jego oczach. Widziałem je we własnych, gdy patrzyłem w lustro, gdy budziłem się z koszmaru na Księżyku. Miliony istnień krzyczą do Roque'a w ciemności i pytają: dlaczego?

– Nie rozumiem jednak, dlaczego ty, Virginio, porzuciłaś rozmowy na Fobosie – podejmuje Roque. – Rozmowy, które mogłyby zagoić rany i pozbyć się podziałów między Złotymi. A wtedy moglibyśmy się skupić na naszym prawdziwym wrogu. – Spogląda na mnie miażdżąco. – Ten człowiek pragnął śmierci twojego ojca. I twój ojciec zginął przez jego knowania. Darrow pragnie tylko zniszczenia naszych ludzi. Pax umarł za to kłamstwo. Twój ojciec zginął przez te oszustwa. Darrow wykorzystuje twoje serce przeciwko tobie.

– Daruj sobie – prycha Mustang z pogardą.

– Próbuję tylko...

– Nie mów do mnie takim wyniosłym tonem, Poeto. Z nas dwojga to ty roniszą żły, nie ja. Nie chodzi o miłość. Chodzi o to, co słuszne. I nie ma to nic wspólnego z emocjami. Chodzi o sprawiedliwość, a ta opiera się na faktach.

Władcy Księżyków na wzmiankę o sprawiedliwości sztywnieją. Mustang wskazuje na nich skinieniem głowy.

– Oni wiedzą, że wierzę w niepodległość Obrzeży. Wiedzą, że jestem Reformatorką. I wiedzą, że jestem na tyle inteligentna, aby nie mieszać jednego z drugim ani nie mylić uczuć z przekonaniami. W przeciwnieństwie do ciebie. Skoro zatem twoje retoryczne sztuczki nie odniosą skutku, możemy oszczęścić sobie niegodnych werbalnych przepychanek i przejść do naszych propozycji, żebyśmy mogli zakończyć tę wojnę w ten czy inny sposób?

Roque posyła jej wściekłe spojrzenie.

Romulus uśmiecha się lekko.

– Masz coś do dodania, Darrow?

– Sądzę, że Mustang wyraziła się wystarczająco jasno.

– Doskonale. – Romulus znowu się uśmiecha. – Zatem zacznijmy. Ja powiem, jakiego chcę pokoju, potem wy przedstawicie mi swoje propozycje. Obaj jesteście moimi wrogami. Jeden dręczy mnie strajkami robotników. Antyrządową propagandą. Powstaniem. Drugi wojną i oblężeniem. Jednak tutaj, na skraju kosmosu, daleko od waszych zasobów i władz, obaj potrzebujecie mnie i moich okrętów oraz legionów. Co za ironia, nieprawdaż? Dlatego mam tylko jedno pytanie: który z was da mi więcej w zamian? – Spogląda na Roque'a. – Zacznij, proszę, Imperatorze.

– Szlachetni państwo, moją Władczynię smuci ogromnie konflikt między naszymi ludami. Mnie również. Rozprzestrzenił się z ziaren niezgody zasianych we

wcześniejszych dyskusjach, ale można go zakończyć tu i teraz. Obrzeża i Wnętrze pamiętają przecież, że istnieje зло o wiele bardziej zgubne niż polityczne spory i debaty nad podatkami i przedstawicielstwami. Tym złem jest demokracja. To szlachetne kłamstwo, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równi. Widzieliście, jak to kłamstwo rozdziera Marsa. Adrius au Augustus szlachetnie walczy z tym w imieniu Elity.

– Szlachetnie? – Romulus unosi brew.

– Skutecznie. Niemniej zaraza się rozszerza. Teraz jednak mamy doskonałą okazję, aby ją zniszczyć, zanim ogłosí zwycięstwo, po którym możemy się nigdy nie dźwignąć. Pomimo dzielących nas różnic nasi przodkowie razem zstąpili na Ziemię podczas Podboju. Pamiętając o tym, Władczyni skłonna jest zapomnieć o wszelkiej wrogości. Prosi w zamian o wsparcie waszej floty i legionów w zniszczeniu Czerwonej zarazy, która może doprowadzić do zagłady zarówno Światy Wewnętrzne, jak i Obrzeża. – Roque nabiera tchu. – W zamian po wojnie Władczyni usunie garnizon Elity z Jowisza, ale nie z Saturna ani z Urana.

ArcyGubernator Tytana prycha z oburzeniem.

– Rozpocznie również w dobrej wierze rozmowy o zmniejszeniu podatków i taryf eksportowych dla Obrzeży. Zagwarantuje wam te same licencje na wydobycie surowców w pasie asteroid, jakie mają firmy ze Światów Wewnętrznych. I przyjmie waszą propozycję równej reprezentacji w Senacie.

– A co z reformami procedur elekcyjnych przy wyborze Władcy? – pyta Romulus.

– Władczyni nigdy nie miała władać Imperium. Jest przecież tylko wybieralną urzędniczką.

– Władczyni dokona rewizji procedur elekcyjnych po wyborze nowego Senatu. Dodatkowo Rycerze Olimpijscy będą wybierani głosami ArcyGubernatorów, a nie z mianowania Władczyni, zgodnie z waszą propozycją.

Mustang przekrzywia głowę i wybucha gardłowym śmiechem.

– Wybaczcie. Uznajcie mnie za sceptyczną, ale z tego, co mówisz, Roque, wynika, że Władczyni zgadza się na wszystko, czego chciałby Romulus, do chwili, aż znowu znajdzie się na pozycji, aby odmówić. – Z rozbawieniem wypuszcza powietrze przez nos. – Wierzę mi, przyjaciele, moja rodzina doskonale zna krwawe skutki obietnic Władczyni.

– A co z Antonią au Julii? – pyta Romulus, choć pamięta o zgłoszonych wątpliwościach Mustang. – Doprowadzisz ją przed nasz wymiar sprawiedliwości, aby poniosła karę za zamordowanie mojej córki i ojca?

– Tak.

Romulus jest zadowolony z warunków i poruszony przemową Roque'a o Czerwonej zarazie. Nie pomaga też, że obietnice są bardzo atrakcyjne. Praktyczne. Roque nie obiecuje ani za wiele, ani za mało. Aby przeważyć szalę na swoją stronę,

mogę tylko wyjaśnić, że oferuję im fantazję, i to bardzo niebezpieczną. Romulus patrzy na mnie wyczekującą.

– Pomijając Kolor, ciebie i mnie łączy ta sama więź. Władczyni to Polityk, ja jestem człowiekiem miecza. Zajmuję się ostrzem i oceną sytuacji. To moje życie. Jedyny powód istnienia. Spójrz, jak awansowałem w szeregach Złotych, choć nie urodziłem się wśród was. Przypomnij sobie, jak zdobyłem Marsa. Najbardziej skuteczny Stalowy Deszcz od stuleci. – Pochylam się nieco. – Szlachetni, dam wam niepodległość, na jaką zasługujecie. Żadnych półśrodków. Żadnych ograniczeń. Całkowitą niezależność od Księżyca. Żadnych podatków. Żadnego obowiązku dwudziestoletniej służby dla Światów Wewnętrznych dla waszych Szarych i Obsydianów. Żadnych rozkazów od Babilonu, w jaki zmieniło się Wnętrze.

– Odważna propozycja – przyznaje Romulus. Daje tym świadectwo swojej siły charakteru, ponieważ znosi upokorzenie, jakie na pewno czuje, skoro to Czerwony proponuje mu niepodległość.

– Dziwaczna propozycja – prycha Roque. – Darrow jest tutaj tylko dzięki tym, którzy go otaczają.

– Zgadza się – przyznaje Mustang wesoło.

– I wciąż wszyscy są wokół mnie, Roque. Kogo ty masz?

– Nikogo – krzywi się Mustang. – Tylko drogą Antonię, która została kolaborantką mojego brata.

Słowa uderzają boleśnie w słaby punkt Roque'a i Romulusa. Zwracam się znowu do wszystkich Władców Księżyków.

– Macie największe stoczenie w Układzie Słonecznym. Jednak zaczeliście wojnę za wcześnie. Mieliście za mało okrętów. I za mało paliwa. Sądziście, że Władczyni nie zdoła wysłać floty tak szybko. To była wasza pomyłka. Ale Władczyni również popełniła błąd. Jej pozostałe floty są we Wnętrzu Układu Słonecznego, bronią księżyków i planet przed Orion. Tyle że Orion tam nie ma. Jest ze mną. Jej siły dołączyły do okrętów, które ukradłem Szakalowi, aby stworzyć własną armadę. I przy pomocy tej siły strączę Armadę Miecza z nieba.

– Nie masz na to dość okrętów – prycha pogardliwie Roque.

– Nie wiesz, co mam – odgryzam się. – I nie wiesz, gdzie to ukrywam.

– Ile ma okrętów? – pyta Romulus Mustang.

– Wystarczająco.

– Roque chce was przekonać, że jestem jak dzika bestia. Wyglądam na dzikiego? Romulusie, nie interesuje cię Wnętrze, podobnie jak mnie nie interesują Obrzeża. To nie jest mój dom. Nie jesteśmy wrogami. Moja wojna nie toczy się przeciwko waszej rasie, lecz przeciwko rządzącym moją ojczyzną. Pomóż nam rozbić Armadę Miecza, a zdobędziesz swoją niepodległość. Dwie pieczęcie przy jednym ogniu. Nawet jeżeli nie pokonam Władczyni we Wnętrzu po tym, jak tutaj pokonamy Poetę, nawet

jeżeli przegram, to w ciągu roku wyrządzimy tyle szkód, że przez całe życie ta starucha nie zdoła już zebrać więcej okrętów, ludzi, dowódców czy zasobów, aby po raz drugi wysłać wielką flotę miliard kilometrów od domu.

Władcy Księzców przychylają się do moich słów. Mogę jeszcze ich przekonać.

Roque parska z odrazą.

– Myślicie, że ten samozwańczy wyzwoliciel porzuci PodKolory na Obrzeżach? Tylko na Księzcach Galileuszowych żyje ponad sto pięćdziesiąt milionów „zniewolonych”.

– Gdybym mógł ich wyzwolić, uczyniłbym to bez wahania – przyznaję. – Ale nie mogę. Mam tego świadomość i łamie mi ona serce, ponieważ to moi ludzie. Jednak każdy przywódca musi ponosić ofiary.

Tym uzyskuję potwierdzające skinienia głów Złotych. Nawet jeżeli jestem ich wrogiem, potrafią uszanować moją lojalność wobec ludzi, a także cierpienie, jakie czuję. Dziwnie jest ujrzeć tak głęboki szacunek w oczach wrogów. Nie przywykłem do tego.

Roque także dostrzega te skinienia.

– Znam tego człowieka lepiej niż każdy z was – naciska. – Znam go jak brata. To kłamca. Powie wszystko, byle tylko zerwać więź między nami.

– W przeciwnieństwie do Władczyni, która nigdy nie kłamie – rzucam lekko, czym wywołuję ciche śmiechy.

– Władczyni dotrzyma naszych porozumień – upiera się Roque.

– Jak dotrzymała tych, które złożyła mojemu ojcu? – pyta ostro Mustang. – Kiedy zaplanowała, że zabije go na gali w zeszłym roku? Służyłam na jej dworze, a ona zaplanowała to tuż pod moim nosem. I dlaczego? Ponieważ nie zgadzał się z jej polityką. Wyobraźmy sobie, co Władczyni robi z tymi, którzy pójdą z nią na wojnę.

– Otóż to – zgadza się ArcyGubernator Trytona, bębniąc palcami w blat.

– Zatem lepiej zaufać terroryście i oszustowi? – pyta Roque. – Darrow spiskował przez sześć lat, aby zniszczyć naszą Elitę. Jego istnienie to oszustwo. Jak możecie mu ufać? Jak możecie sądzić, że Czerwony troszczy się o was bardziej niż Złoty? – Roque smętnie potrząsa głową. – Jesteśmy Aureatami, bracia i siostry. Stanowimy porządek, który chroni ludzkość. Przed nami ludzkość chciała zniszczyć jedyny dom, który posiadała. Wtedy jednak wprowadziliśmy pokój. Nie pozwólcie, aby Darrow wami manipulował i przywrócił średniowiecze, które panowało wcześniej. Czerwoni zniszczą wszystkie stworzone przez nas cuda, byle napełnić sobie brzuchy i zaspokoić żądze. Mamy okazję powstrzymać go tu i teraz. Mamy okazję zjednoczyć się raz jeszcze, jak powinniśmy od początku. Dla naszych dzieci. Bo inaczej jaki świat odziedziczą?

Roque przykłada dłoń do serca.

– Jestem człowiekiem z Marsa. Nie wielbię Wnętrza, nie bardziej niż wy. Apetyty Księżyca wyniszczyły moją planetę na długo przed moimi narodzinami. To musi się zmienić. I na pewno się zmieni. Lecz nie dzięki ostrzu jego miecza. Darrow spali dom, aby naprawić stłuczone okno. Nie, przyjaciele, to nie jest dobry sposób. Aby wprowadzić zmiany na lepsze, musimy pominąć dzisiejszą politykę i przypomnieć sobie ducha Złotego Wieku. Aureatów zjednoczonych.

Im dłużej gra na tej strunie patriotyzmu, tym bardziej staje się prawdopodobne, że przekona tym Romulusa i resztę Władców Księżyków. I ja, i Mustang zdajemy sobie z tego sprawę. Podobnie jak zdawałem sobie sprawę, że będę musiał ponieść ofiary, gdy tu zmierzałem. Miałem nadzieję, że uda się uniknąć tego, co zamierzam zaproponować, ale sądząc po wyrazach twarzy zgromadzonych, Roque zyskał przewagę. Władcy Księżyków boją się powstania. Boją się mnie.

Właśnie tego najbardziej bali się Synowie Aresa. Sevro popełnił ogromny błąd, że ujawnił nagrania z mojego rzeźbienia i pchnął Synów do otwartej wojny. Gdybyśmy nadal kryli się w cieniu, moglibyśmy pozwolić, aby ci Złoci wyrżnęli się nawzajem. Byliśmy tylko ideą. Jednak Roque przywołał u nich myśl, która jednoczy wszystkich panów w dziejach: a jeżeli niewolnicy zabiorą moją własność?

Kiedy dostałem slinga, powiedziano mi, że to ostrze ocali mi życie, ale za cenę kończyny. Każdy górnik, który schodzi do sztolni pierwszego dnia, wie o tym i rozumie, że poświęcenie ma wartość. I właśnie teraz muszę też złożyć ofiarę, mimo że zapewne nie zostanie mi to wybaczone.

– Dam wam Synów Aresa – mówię cicho. Nikt mnie nie słyszy, ponieważ Roque wciąż przemawia. Tylko Mustang. – Dam wam Synów Aresa – powtarzam głośniej.

Przy stole zapada cisza.

Krzesło Romulusa trzeszczy, gdy władca lo pochyla się do mnie.

– Co masz na myśli?

– Powiedziałem, że nie interesuje mnie Obrzeże. Mogę to udowodnić. Na waszych terytoriach znajduje się około trzystu pięćdziesięciu komórek Synów Aresa – wyjaśniam. – Stoimy za strajkami w stoczniach. Sabotujemy systemy sanitarne i właśnie dlatego ulice Illionu wypełniają ścieki. Nawet jeżeli wydadacie mnie dzisiaj Władczyni, Synowie będą was wykrwawiać przez tysiąc lat. Ale wydam wam wszystkie komórki na Obrzeżach. Porzucę PodKolory tutaj i przeniosę się z moją krucją na Świąty Wewnętrzne. Do końca życia nie przekroczę pasa asteroid, jeżeli pomożecie mi pokonać tę cholerną flotę.

Wbijam palec w pierś Roque'a, który patrzy na mnie przerażony.

– To szaleństwo – mówi, bo dostrzega efekt, jaki wywarły moje słowa. – On kłamie.

Ale nie kłamię. Wydałem rozkazy Synom Aresa, żeby się ukryli i ewakuowali z Obrzeży. Niewielu się to uda. Tysiące zostanie pojmanych, torturowanych i zabitych.

To jest wojna, a przywództwo wiąże się z brzemieniem.

– Imperator, szlachetni, pragnie, abyście schylili kark. Nie jesteście już tym zmęczeni? Nie macie dość żądań tronu, który znajduje się sześćset milionów kilometrów od waszych domów? – Władcy Księżyków kiwają głowami. – Władczyni twierdzi, że jestem dla was zagrożeniem. Ale kto zbombardował wasze miasta? Kto zabił miliony waszych ludzi? Kto trzyma wasze dzieci jako zakładników na Księżyku? Kto zamordował twoją córkę i ojca, Romulusie? Kto spalił cały księżyk? Czy to ja? Czy to moi ludzie? Nie. Waszym największym wrogiem jest chciwość Światów Wewnętrznych.

– To były inne czasy – protestuje Roque.

– To była ta sama kobieta – warczę, a potem spoglądam na Złotego Saturnijczyka, który nagle zaczyna przysłuchiwać się z napięciem. – Kto spalił Reę? Władczyni zapomniała o tym, ponieważ jej tron stoi tyłem do Obrzeży. Jednak wy codziennie oglądacie ten zeszkloną świat na swoim niebie.

– Rea była błędem – mówi Roque i wpada w pułapkę, którą Mustang pomogła mi przygotować. – Błędem, który nigdy się nie powtórzy.

– Nigdy się nie powtórzy? – Mustang zamyka pułapkę. Odwraca się do Veli, która obserwuje rozmowy ze stopni domu wraz z kilkoma Złotymi Ionami. – Velo, droga przyjaciółko, mogę dostać swój unipad?

– Nie daj się wciągnąć w jej gierki – ostrzega Roque.

– Moje gierki? – prycha Mustang. – W moich gierkach posługuję się faktami, Imperatorze. Czy fakty są tutaj zabronione i mamy ograniczać się tylko do pustej retoryki? Osobiście nie ufam ludziom, którzy obawiają się faktów. – Zerka na Velę rozbawiona swoją prowokacją. – Możesz sama to sprawdzić, Velo. Hasło dostępu to L17L6363.

Uśmiecha się szeroko, gdy dostrzega moje zaskoczenie.

Vela zerka na brata.

– Może wysłać wiadomość swoim, Barca tylko na to czeka.

– Zablokuj moje połączenia – doradza Mustang. Romulus skinieniem głowy wyraża zgodę. Vela blokuje połączenia. – Otwórz katalog danych, plik numer trzy.

Vela wykonuje polecenia. Początkowo starsza Złota mruży oczy, nie do końca pojmuje, co widzi. A potem, gdy czyta, zaciska coraz mocniej usta, a na przedramionach występuje jej gęsia skórka. Reszta zgromadzonych przygląda się jej reakcji z rosnącym zaniepokojeniem.

– Teraz wszystko widać w innym świetle, prawda, Velo?

– Co to jest? – pyta Romulus. – Pokaż nam.

Vela spogląda z nienawiścią na Roque'a, który jest równie zmieszany jak wszyscy, po czym podaje urządzenie bratu. Twarz Romulusa pozostaje kamienna, gdy mężczyzna odczytuje dane, palcami przesuwa informacje. Użyłem tego, co

powiedział mi Cassius, przeciwko jego pani, zmieniłem jego dar w strzałę wymierzoną w serce Władczyni. Mustang i ja uznaliśmy, że będzie jednak lepiej, jeżeli wieść pochodzić będzie od jej agentów. Doda to kłamstwu wiarygodności, wzmacnionej przyjaźnią między Mustang i panem Io.

– Pokaż to. – Romulus rzuca unipad Veli.

– Co to jest? – pyta gniewnie Roque. – Romulusie...

Jego głos cichnie, gdy w powietrzu pojawia się obraz asteroidy S-1988 w podrodzinie Karin z rodziny asteroidy Koronis w Pasie Kuipera, między Marsem a Jowiszem. S-1988 obraca się powoli nad stołem. Zielone strumienie danych poniżej zwiastują zgubę Władczyni. Głównie to seria sfałszowanych transmisji Elity, dotycząca szczegółów dostarczenia zapasów na asteroidę, na której nie ma bazy. Strumień z danymi płynie, pojawiają się polecenia wysokiej rangi Złotych „ponownego zatankowania” na asteroidzie. A potem pojawia się nagranie okrętu, który wysłałem, aby sprawdził asteroidę po drodze na Jowisza. Czerwoni wuja Narola przelatują nad pustym magazynem. Niewielkie silniczki w ich skafandrach w próżni nie wydają żadnego dźwięku. Jednak ich liczniki Geigera, zsynchronizowane z czytnikami we wnętrzu hełmów, trzeszczą od wysokiego poziomu promieniowania w tym miejscu. O wiele wyższego, niż występuje w przypadku legalnych, pięciomegatonowych głowic, używanych w kosmicznych bitwach.

Romulus wbija ciężkie spojrzenie w Roque'a.

– Jeżeli Rea ma się nie powtórzyć, to dlaczego twoja flota opróżniła magazyn z bronią jądrową, zanim przyleciała na naszą orbitę?

– Nie zaglądaliśmy do magazynu – zapewnia Roque stanowczo. Wciąż stara się zrozumieć to, co widzi, i odgadnąć, co z tego wyniknie. Dowody są niepodważalne. Kłamstwa zawsze sprawdzają się lepiej przy wydatnym wsparciu prawdą. – Synowie Aresa splądrowali go wiele miesięcy temu. Informacje są sfałszowane.

Roque próbuje się bronić w oparciu o błędne informacje. Co znaczy, że Władczyni zatrzymała dla siebie wiedzę o kradzieży, jakiej dopuścił się Szakal. I teraz zapłaci za ten brak zaufania. Roque nie jest przygotowany do dyskusji na ten temat i wyraźnie to widać.

– A zatem ten magazyn istnieje? – pyta Romulus.

Do Roque'a właśnie dociera, jak porażające okazały się jego słowa.

Romulus marszczy brwi.

– Imperatorze Fabii, dlaczego pomiędzy nami a Księżycem znajduje się tajny magazyn z bronią jądrową?

– To tajne.

– Z pewnością żartujesz.

– Flota Elity jest odpowiedzialna za bezpieczeństwo...

– Skoro miał służyć bezpieczeństwu, dlaczego nie znajdował się bliżej Księżyca? – pyta Romulus twardo. – Dlaczego został ukryty na skraju pasa asteroid i na szlaku, którego flota lecąca z Księżyca używa, gdy Jowisz znajduje się w pozycji najbliższej Słońca? Wygląda to tak, jakby ten skład ulokowano celowo w miejscu łatwo dostępnym dla Imperatora po drodze do mojego domu...

– Romulusie, zdaję sobie sprawę, jak to wygląda...

– Doprawdy, młody Fabii? Ponieważ dla mnie wygląda to tak, jakbyś uważałeś, że zagłada ludzi, których nazwałeś braćmi i siostrami, stanowi jednak dopuszczalną możliwość.

– Te informacje są na pewno sfabrykowane...

– Oprócz faktu, że taki skład broni istnieje...

– Tak. Magazyn istnieje – przyznaje Roque.

– I głowice nuklearne. O tak wysokiej radiacji?

– Są przeznaczone do ochrony.

– A reszta to kłamstwo?

– Tak.

– Zatem nie przyleciałeś do mojej ojczyzny z taką ilością broni jądrowej, że mógłbyś stopić nasze księżyce na szkło?

– Nie. W lądowniach mam tylko głowice do walk okrętu na okręt. Każda o sile rażenia do pięciu megaton. Romulusie, na mój honor...

– Ten sam honor, który pozwolił ci sprzedać przyjaciół... – Romulus wskazuje na mnie. – Zdradzić szlachetnego Lorna. I mojego sojusznika, Augustusa. Mojego ojca, Revusa. Ten sam honor, który pozwolił ci patrzeć, jak głowa mojej córki została zmiażdżona stopą psychopatycznej zabójczyny, przyjmującej rozkazy od socjopatycznego ojcobójcy?

– Romulusie...

– Nie, Imperatorze Fabii. Nie wydaje mi się, żebyś nadal zasługiwał na używanie mojego imienia. Nazywasz Darrowa dzikusem i kłamcą. Ale on przybył tutaj z sercem na dloni. A ty przybyłeś z kłamstwami. Ukrywasz się za manierami i pochodzeniem...

– ArcyGubernatorze Raa, musisz mnie wysłuchać. Istnieje wytłumaczenie, jeżeli tylko...

– Dość! – Romulus zrywa się na równe nogi i uderza potężną pięścią w stół. – Dość hipokryzji. Dość podstępów. Dość kłamstw, ty żałosny pochlebco Wnętrza.

Trzęsie się. Nareszcie. Z gniewu.

– Gdybyś nie był moim gościem, rzuciłbym ci w twarz rękawicę i odciąłbym ci męskość na Placu Krwi. Twoje stracone pokolenie zapomniało, co znaczy być Złotym. Zapomniałeś o swoim dziedzictwie. Zbierasz tylko ochłapy władz. I po co? Po co? Dla tych skrzydełek na twoich ramionach, Imperatorze? – prycha na tytuł. –

Ty draniu! Żał mi świata, w którym tacy jak ty decydują o życiu i śmierci ludzi tak szlachetnych jak Lorn au Arcos. Czy twoi rodzice niczego cię nie nauczyli?

Nie nauczyli. Roque wychował się wśród pedagogów i książek.

– Czym jest duma bez honoru? Czym jest honor bez prawdy? Honor nie przejawia się w tym, co mówisz. Ani w tym, co czytasz. – Romulus uderza się w pierś. – Honor przejawia się w tym, co czynisz.

– Zatem nie czyni tego... – zaczyna Roque.

– Twoja pani to uczyniła – odpowiada obojętnym tonem Romulus. – Jeśli nie zmusi nas do ugięcia karku, spali nas. Znowu.

Mustang próbuje ukryć uśmiech, ale jej się nie udaje, gdy patrzy na Roque'a, któremu porozumienie z Władcami Księżyków wyślizguje się z rąk. W jego kulturalnym głosie brzmią mroczne tony. Ranią mi serce. I pomyśleć, że ten głos kiedyś mnie bronił. Teraz wstawia się za czymś o wiele mniej godnym miłości. Za Elitą, której Roque nie obchodzi ani trochę.

Zawsze zastanawiałem się, dlaczego Fitchner wybrał Roque'a do Domu Mars. Przed zdradą uważałem go za najbardziej delikatną i życzliwą duszę spośród znanych mi ludzi.

Ale oto Imperator Fabii ujawnia swój gniew.

– ArcyGubernatorze Raa, proszę posłuchać mnie uważnie. Mylisz się, jeżeli wierzysz, że przybyłem tutaj z zamiarem, by cię zniszczyć. Przybyłem, aby zachować społeczeństwo i Elitę. Nie ulegaj manipulacjom Darrowa. Jesteś ponad to. Przymij warunki Władczyni, a może uda się nam utrzymać pokój przez następne tysiąc lat. Jeżeli jednak wybierzesz tę ścieżkę, jeżeli zbuntujesz się przeciwko Władczyni, nie będzie litości. Masz słabą flotę. Darrow zapewne ukrywa co najwyżej bandę deserterów na pożyczonych jednostkach.

Prostuje się z dumą.

– Ale ja mam Armatę Mieczu. Mam żelazne ramię legionu i furię Elity. Moje okręty przesłonią światło na niebie twojego świata. Wiesz, co potrafię. Nie masz dowódcy, który mi dorówna. A kiedy twoje okręty spłoną, rycerze Światów Wewnętrznych przyjdą do twoich miast na czele kolumn zbrojnych i wypełnią powietrze tak gęstym popiołem, że twoje dzieci się uduszą.

Roque spogląda w oczy Romulusa.

– Jeżeli zdradzisz swój Kolor, Konwencję i Elitę – a tym właśnie będzie twoje postępowanie – Ilium spłonie. Pokażę ci, czym są ruiny. Znajdę każdą osobę, którą znałeś, i wymażę jej ród z oblicza wszechświata. Uczynię to z ciężkim sercem. Lecz jestem człowiekiem Marsa, człowiekiem wojny. Wiedz zatem, że mój gniew nie będzie znał granic. – Wyciąga drobną dłoń. Z rozwartej paszczy wilka dobywa się głodne wycie. – Uściśnij mi dłoń na zgodę przez wzrok na swój lud i przez wzrok na Złotych. Albo użyję jej do stworzenia pokoju na zgłoszach twojego domu.

Romulus obchodzi stół i staje przed Rokiem twarzą w twarz. Młodszy Złoty trzyma wyciągniętą dłoń. Romulus wyjmuje ostrze, które miał zwinięte na biodrze. Z sykiem broń prostuje się w twardą klingę. Są na niej wygrawerowane obrazy Ziemi i Podboju. Ród Raa jest równie stary, jak rodzina Mustang czy Octavii. Romulus rozcina sobie dłoń i wysysa krew z rany, aż ma jej wystarczająco dużo, aby splunąć Roque'owi w twarz.

– To waśń rodowa. Jeżeli spotkamy się ponownie, ty będziesz mój albo ja twój, Fabii. Jeżeli jeszcze raz nabierzemy tchu w tym samym pomieszczeniu, jeden z nas straci dech na zawsze.

To oficjalna, chłodna deklaracja, na którą Roque może odpowiedzieć w tylko jeden sposób. Kiwa głową.

– Velo, odprowadź Imperatora do promu. Musi przygotować swoją flotę do bitwy.

– Nie możesz pozwolić mu odejść, Romulusie – wtrąca Mustang. – Jest zbyt niebezpieczny.

– To prawda – popieram ją, jednak z zupełnie innych powodów. Wolę oszczędzić Roque'owi udziału w tej bitwie. Nie chcę mieć jego krwi na rękach. – Zatrzymaj go jako więźnia, dopóki nie zakończy się bitwa, wtedy uwolnisz go bez czynienia mu krzywdy.

– To mój dom – odpowiada Romulus. – Takie mamy zwyczaje. Przyrzekłem Imperatorowi Fabii bezpieczne odejście. I tak się stanie.

Roque ociera z twarzy krew tą samą serwetką, której użył wcześniej przy jedzeniu sernika, a potem rusza za Velą na schody do frontowych drzwi. W progu zatrzymuje się i odwraca do nas. Nie wiem, czy zwraca się do mnie, czy do Złotych, ale kiedy recytuje swoje ostatnie słowa, wiem, że robi to, aby tak zapisać się na kartach historii.

*Bracia i siostry, o biada mi,
Że to się skończy krwi przelewem.
Nad waszym grobem uronię łzę,
Bom ja sprowadził na was ten sen.*

Roque kłania się nieznacznie.

– Dziękuję za gościnę, ArcyGubernatorze. Zobaczymy się wkrótce.
– Zwołaj moich Imperatorów i Pretorów – rozkazuje Romulus jednemu ze swoich Lansjerów po wyjściu Roque'a. – Chcę ich na holokonferencji za dwadzieścia minut. Mamy bitwę do zaplanowania. Darrow, jeżeli chcesz, możesz dołączyć ze swoimi Pretorami...

Jednak myślami jestem przy Roque'u. Może już nigdy go nie zobaczę. A przecież mam mu tyle do powiedzenia, tyle myśli kłębi mi się w głowie. Wiem też jednak, co będzie znaczyło dla moich ludzi, jeśli pozwolę mu odejść.

– Idź. – Mustang jakby czytała mi w myślach. Zrywam się z krzesła, przepraszam i wybiegam. Udaje mi się złapać Roque'a, gdy kończy zakładać buty na progu domu Romulusa. Vela i paru Złotych ma odprowadzić go do bramy posiadłości.

– Roque. – Waha się. Coś w moim głosie sprawia jednak, że odwraca się i czeka, aż podejdę. – Kiedy cię straciłem?

– Kiedy zginęła Quinn.

– Zamierzałeś mnie zabić, nawet gdy uważałeś mnie jeszcze za Złotego?

– Złoty. Czerwony. To bez znaczenia. Twoja dusza jest czarna. Quinn była dobra. Lea była dobra. A ty je wykorzystałeś. Wszystko rujnajesz, Darrow. Wysysasz życie ze swoich przyjaciół i zostawiasz za sobą tylko szczątki. Wmawiasz sobie przy tym, że ich śmierć była tego warta. Każda śmierć przybliża cię do sprawiedliwości. Historia pełna jest ludzi takich jak ty. Elita ma wady, ale hierarchia... ten świat to najlepsze, na co człowiek może się zdobyć.

– A ty masz prawo o tym wyrokować?

– Tak. Mam. Ale pobij mnie w kosmosie, a będzie twoje.

Rozdział czterdziesty trzeci

ZNOWU TUTAJ

Krew kapie z dloni Mustang.

Głosy dzieci niosą się w powietrzu.

– Synu mój, córko, teraz, gdy krwawicie, nie zaznacie strachu. – Młoda dziewczyna o białych włosach boso przechodzi wzdłuż szeregu klęczących olbrzymów. Niesie żelazny sztylet, z którego kapie krew Aureata. – Nie ma porażki.

Na zbroi Złotego wyryte są zwycięstwa przodków. Peleryna chłopca lśni bielą niewinności.

– Tylko zwycięstwo.

Przecina zranioną dłoń Romulusa au Raa. Mężczyzna ma zamknięte oczy, jego zbroja ze smokiem jest gładka i jasna jak kość słoniowa. Drugą dłoń Romulus trzyma na ramieniu starszego syna. Chłopak ma dopiero siedemnaście lat, właśnie zakończył naukę w Instytucie na Ganimedesie. Oczy błyszczą mu dziko. Gdyby tylko wiedział, co go czeka już za parę godzin... Jego starsza kuzynka klęczy obok, dotyka ręką jego kolana. Obok jest jej brat. Rodzina tworzy łańcuch na mostku.

– Strach z was wypływa.

Za dziewczynką z białymi włosami nadchodzą inne dzieci. Niosą uroczystie cztery atrybuty Złotych – berło, miecz, zwój i wieniec laurowy.

– Gniew płonie jasno.

Dziewczynka unosi zakrwawiony sztylet przed Kavaxem au Telemanusem i jego najmłodszą córką, Thraxą, piegowatą i kudłatą, która ma śmiech swojego ojca i otwartą życzliwość Paxą.

– Powstańcie, dzieci Ilium, Złoci wojownicy, i przyjmijcie moc swojego Koloru.

Dwustu Złotych Cenzorów i Legatów wstaje. Mustang i Romulus na czele, dalej Telemanusowie i ród Arcos. Mustang unosi rękę i rozsmarowuje sobie na twarzy krew. Dwustu zabójców idzie w jej ślady. Nie ja. Wraz z Sefi przyglądam się z kąta, jak moi Złoci sojusznicy oddają część swoim przodkom – Marsjańscy Reformatorzy, tyrani z Obrzeży, starzy przyjaciele i dawni wrogowie tłoczą się na mostku okrętu flagowego Mustang, dwustuletniego pancernika „Dejah Thoris”.

– Dzisiejsza bitwa ma zadecydować o przyszłości naszej Elity. Czy nadal będziemy żyć pod butem tyranki, czy staniemy się kowalami swojego losu.

Mustang wymienia wrogów, z którymi będziemy walczyć.

– Roque au Fabii, Scipia au Falthe, Antonia au Severus-Julii, Cariana au Tanus. – Chwast. – Tych musimy pojmać, nie zabić.

Widziałem już takie ceremonie, byłem świadkiem błogosławieństwa i wymieniania imion wrogów, i nie mogę się uwolnić od przeczucia, że znowu będę to widział. Wojnie brakuje blasku tej ceremonii. Brakuje tego splendoru, który tak cenią ci wspaniali ludzie. Idą na śmierć nie za Dolinę, nie dla miłości, lecz dla chwały. Nigdy wcześniej nie znaliśmy rasy podobnej do tej i nigdy już nie zobaczymy. Po miesiącach przebywania wśród Synów Aresa patrzę na tych Złotych nie jak na demony, a raczej jak na upadające anioły. Piękne, rozbłyskujące w swojej drodze w dół i znikające za horyzontem.

Ale na ile takich dni będą mogli sobie jeszcze pozwolić?

W salach swojego okrętu Roque będzie recytował moje imię i imiona moich przyjaciół. Ten, kto zabije Kosiarza, zyska nieprzemijającą sławę i chwałę, nagrody i zaszczyty. Młode bestie o szerokich barkach i gniewnych oczach prosto ze szkół na Światach Wewnętrznych będą na mnie polować, aby rozsławić swoje imiona.

Polować też będą starzy Szarzy legioniści. Ci, którzy mój bunt postrzegają jako zagrożenie dla matki Elity. Zagrożenie dla przymierza, które kochali i o które walczyli przez całe życie. Na łowy ruszą też Obsydiani, którym ich panowie obiecali Różowe za moją głowę. Będą ścigać również moich przyjaciół. Będą wykrzykiwać imiona Mustang, Sevra i Ragnara, ponieważ nie wiedzą, że tego ostatniego nie ma już między nami. Będą polować na Telemanusów i Victré, na Orion i moje Wyjce. Ale ich nie dostaną. Nie dzisiaj.

Dzisiaj ja biorę wszystko.

Przyglądam się moim Złotym sprzymierzeńcom. Stoję w zamkniętym militarnym pancerzu. Dwa metry wzrostu i sto sześćdziesiąt kilogramów śmierci w zbroi pulsacyjnej o barwie krwi. Wokół prawego przedramienia mam owinięte ostrze, lewą rękę osłania pulsRękawica. Uzbrojenie niezapewniające szybkości, lecz sprawdzające się w walkach na korytarzach. Sefi w zbroi swojego brata wygląda również potężnie jak ja. W jej oczach widzę nienawiść.

Moi sojusznicy mają ją zobaczyć. I mnie. Aby wiedzieli bez cienia wątpliwości, że Kosiarz jest żywy jak nigdy wcześniej. Wielu z Marsjan spadło ze mną w Deszczu. Niektórzy spoglądają na mnie z nienawiścią, inni z ciekawością, a niektórzy – bardzo nieliczni – salutują. Ale większość czuje odrazę, która nigdy nie przeminie. Dlatego przyprowadziłem Sefi. Przy braku miłości przydaje się strach.

Gdy tylko usłyszeliśmy, że flota Roque'a ruszyła z Europy, pożegnałem się z Romulusem i jego kompanią Pretorów, którzy pomogli opracować nasz plan bitwy. Uścisk dłoni Romulusa jest mocny. Czujemy do siebie szacunek, choć nie ma między nami sympatii. Podłoga wibruje, gdy setki promów z Naznaczonymi wracają na swoje okręty.

– Wygląda na to, że zawsze tylko się żegnamy – mówię do Kavaxa. Wielkolud wcześniej podniósł Mustang bez wysiłku jak lalkę i pocałował w czoło na

pożegnanie.

– Żegnamy się? To nie pożegnanie – grzmi Kavax, szczerząc zęby. – Wygraj dziś, a będzie to tylko długie powitanie.Więcej życia zostanie dla nas obu, jak myślę.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Za co? – dziwi się Kavax.

– Za życzliwość... – Nie wiem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. – Za opiekę nad moją rodziną, choć nie jestem nawet jednym z was.

– Jednym z nas? – Jego grubo ciosana twarz poważnieje. – Głupiec. Mówisz jak głupiec. Mój chłopak uczynił cię jednym z nas. – Podnosi wzrok na Mustang rozmawiającą przy promie z synową Lorną. – Ona czyni cię jednym z nas. – Z trudem powstrzymuję łzy napływające mi do oczu. – I do diabła z tym wszystkim. Mówię, że jesteś jednym z nas, więc jesteś jednym z nas.

Pozwala Sofoklesowi zeskoczyć na podłogę. Lis kręci się, a potem doskakuje do mojej nogi i wydrapuje coś ze złącza stawu w mojej zbroi. Żelka. Thraxa kładzie palec na ustach za plecami ojca. Oczy wielkoluda rozbłyskują.

– Co to za smakołyk, Sofoklesie? O, twój ulubiony? Arbuzowy?

Lis wskakuje w ramiona swojego pana.

– Widzisz? Jego błogosławieństwo też masz.

– Dziękuję, Sofoklesie. – Wyciągam rękę i drapię zwierzę za uszami.

Kavax przyciąga mnie i ściska mocno.

– Uważaj na siebie, Kosiarzu. – I rusza po rampie do promu. Zatrzymuje się jednak w połowie drogi. – Wędkowanie?

– Co?

– Czy Czerwoni wędkują?

– Nigdy tego nie robiłem.

– Przez moje włości na Marsie płynie rzeka. Pójdziemy tam, ty i ja, kiedy to wszystko się skończy, usiądziemy na brzegu i będziemy zarzucać przynętę. I nauczę cię piec pstrągi na ognisku.

– Przyniosę whiskey – obiecuję.

Kavax wymierza we mnie palec.

– Tak! I napijemy się razem. Tak! – A potem obejmuje Thraxę i mówi innym swoim córkom, jaki cud właśnie widział.

– Myślę, że on może mieć najwięcej szczęścia z nas wszystkich – mówi Mustang, która właśnie podeszła i stanęła za moimi plecami, żeby popatrzeć, jak prom Telemanusów odlatuje. – Czy to będzie absurdalne, jeżeli poproszę, żebyś na siebie uważył?

– Obiecuję, że nie zrobię nic nieprzemyślanego. – Mrugam do niej porozumiewawczo. – Będę miał przy sobie Walkirię. Wątpię, czy ktoś będzie chciał z nami zadzierać.

Mustang zerka przez ramię na Sefi, podziwiającą odlatujące promy. Złota wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie bardzo wie jak.

– Nie jesteś niepokonany. – Dotyka zbroi na mojej piersi. – Ktoś tutaj chciałby, żebyś był żywy, gdy to wszystko się skończy.

– Chociaż nie ma żadnych „nas”? – pytam przekornie.

– Przeżyj, a może zmienię zdanie – odpowiada Mustang twardo. – Zresztą, jaki to by miało sens, jeśli zginiesz i odejdziesz ode mnie? Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Na pewno? – Patrzy mi w oczy. – Nie chcę zostać znowu sama. Więc wróć.

Uderza pięścią w moją zbroję, a potem odwraca się, żeby odejść na swój prom.

– Mustang. – Chwytam ją za ramię, przyciągam do siebie. Zanim dziewczyna zdąży coś powiedzieć, całuję ją mocno wśród tego pancernego metalu i ryku silników. Nie jest to delikatny, słodki całus, lecz namiętny pocałunek. Obejmuję Mustang mocno. Widzę kobietę pod pancerzem obowiązku. I czuję dreszcz lęku, że to może być ostatni raz. Nasze usta rozdzielają się, ale trzymam ją jeszcze, wdycham zapach jej włosów, a serce mam ścisnięte.

– Zobaczmy się wkrótce.

Rozdział czterdziesty czwarty

SZCZĘŚCIARZ

Chodzę po mostku jak wilk w klatce, gdy posiłek czeka za kratami. To, co we mnie dobre, okrywa dzikie oblicze maski Kosiarza.

– Virsa, czy Wyjce są na pozycjach? – pytam. Za mną i obok mnie szkieletowa załoga Niebieskich rozmawia w sterylnym kokpicie. Twarze rozświetla tylko blask z holowyświetlaczy. Podskórne implanty pulsują w rytmie zsynchronizowanym z okretem. Kapitan Pelus, chudy mężczyzna, który był porucznikiem na pokładzie „Paxa”, czeka na moje rozkazy.

– Tak jest, sir – potwierdza Virsa ze swojego stanowiska. – Pierwsze szeregi floty wroga znajdą się w zasięgu naszych działa dalekiego zasięgu za cztery minuty.

Arogancja Złotych rozciąga się również na czerń kosmosu. Bezkresne morze białych drzazg. Oddałbym wszystko, gdybym tylko mógł je rozgnieść. Moje główne okręty poruszają się w ciasnym szyku, podzielone na trzy grupy wokół potężnych pancerników nad północnym biegunem Io. Mustang i Romulus ustawiają swoje floty wokół bieguna południowego. I razem, choć rozdzieleni ośmioma tysiącami kilometrów, obserwujemy, jak flota Pana Popiołów przecina pustkę między Europą a Io, aby wydać nam bitwę.

– Wrogi krążownik o dziesięć tysięcy kilometrów – melduje beznamiętnie Niebieska.

Nie ma żadnych przedbitewnych ceremonii w mojej flocie. Żadnych błogosławieństw czy rytuałów, jak to się odbywa u Złotych. W porównaniu z nimi wydajemy się prości i mało spektakularni. Jednak na moich okrętach panuje więź. Ta, którą widziałem w maszynowni, na stanowiskach broni, na mostku. Marzenie, które nas łączy i czyni odważnymi.

– Połącz mnie z Orion – rozkazuję.

Wizerunek bezczelnej Niebieskiej wyświetla się przede mną. Orion znajduje się prawie sto kilometrów dalej, na „Lamencie Persefony”, jednym z moich trzech pancerników. Siedzi na fotelu dowódcy, zsynchronizowana ze wszystkimi kapitanami mojej floty, oprócz tych w siłach uderzeniowych. Losy dzisiejszej bitwy zależą od niej i floty pirackiej, którą zebrała podczas wielu miesięcy od naszego ostatniego spotkania. Orion najeżdżała szlaki zaopatrzeniowe Światów Wewnętrznych. Ściągała Niebieskich do naszej sprawy. Pozyskała wystarczająco wielu, abym z ich pomocą zdołał obsadzić okręty zdobyte na Szakalu. Lojalni ludzie.

– Duża flota – mówi Orion pod wrażeniem liczebności naszych wrogów. – Wiedziałam, że nie powinnam odpowiadać na twoje wezwanie. Podobało mi się życie pirata.

– Widzę. – Uśmiecham się. – Twoja kajuta jest tak luksusowa, że każdy Srebrny by się zarumienił.

„Pax” był jej domem przez ostatnie półtora roku. Orion zajęła moje dawne kwatery i wypełniła je po sufit łupami ze swoich pirackich wypraw. Dywanami z Wenus. Obrazami z prywatnych kolekcji Złotych. Za regałem z książkami dostrzegam wciśniętego Tycjana.

– Co mam powiedzieć? Lubię ładne rzeczy.

– No to wyciągnij nas z tego, a znajdę ci papugę na ramię. Co ty na to?

– Ach! Pelus powiedział ci, że szukam takiego ptaka. Dobry z niego człowiek. – Tuż obok mnie chudy Niebieski skłania szarmantko głowę. – Cholernie trudno jest znaleźć papugę, gdy nie można zejść na powierzchnię żadnego świata. Znaleźliśmy sokoła, gołębia i sowę. Ale ani jednej papugi. Jeżeli ta od ciebie będzie czerwona, osobiście wystrzelam ci dziurę na mostek Antonii Severus-Julii.

– Czyli ustalone, dla ciebie czerwona papuga.

– Doskonale, doskonale. Powinnam zatem przygotować się do bitwy. – Orion parska śmiechem, bierze filiżankę herbaty od stewarda. – Chciałabym jednak wcześniej podziękować, Darrow. Za to, że we mnie uwierzyłeś. I za to, że dałeś mi to wszystko. Po dzisiejszym dniu Niebiescy nie będą mieli żadnego pana. Niech cię Bóg prowadzi, chłopcze.

– I ciebie, admirał Orion.

Orion znika. Zerkam przez ramię na główny obraz z detektorów. Odczyty taktyczne przelatują przed oknem wyskalowanym tak, aby nie zasłaniało układu Jowisza. Cztery małe księżyce krążą bliżej gazowego giganta niż jego wielkie Księżyce Galileuszowe. Skupiam wzrok na Tebe, najbliższej Io. Ma małą masę, nieznacznie przewyższającą Fobosa. Dawno temu wydobyto z niej wszystkie cenne surowce, potem służyła za bazę wojskową, zniszczoną jednak w pierwszych dniach wojny.

– Sześćdziesiąt minut do zerwania łączności z Wyjcami – intonuje Virsa, a na mostek wkracza Victra w mocnej, złotej zbroi z wymalowanym na piersi i na plecach czerwonym slingiem.

– Co tu robisz, do cholery? – pytam zaskoczony.

– Ty tu jesteś – odpowiada z miną niewiniątką.

– Powinnaś być na „Gorgonie”.

– A to nie jest „Gorgona”? – Przygryza usta. – Cóż, chyba się zgubiłam. No to będę szła za tobą, żeby to się więcej nie powtórzyło. Zgoda?

– Sevro cię przysiąał, prawda?

– Sevro ma czarne, wredne serduszko. Niestety, to serduszko może się złamać. Jestem tu, żeby do tego nie dopuścić, czyli zatroszczyć się o twoje dobre samopoczucie. Och, i chcę się przywitać z Rokiem.

– A co z twoją siostrą?

– Najpierw Roque. Potem ona. – Victra daje mi kuksańca w bok. – Umiem grać zespołowo, naprawdę.

Odwracam się do Niebieskich.

– Virsa, połącz mnie z komunikatorami w hełmach Wyjców.

– Tak jest, sir.

Komunikator w moim hełmie trzeszczy od zakłóceń. Na przezroczystym wyświetlaczu pojawiają się tagi mojej załogi – szarże, nazwiska, wszystko, co zostało zapisane w głównym rejestrze pamięci okrętu. Włączam funkcję holo w komunikatorze i pokazuje się na wpół przejrzysty kolaż twarzy moich przyjaciół na tle mostka.

– Co tam, wodzu? – Sevro ma twarz pomalowaną na czerwono, lecz skąpaną w błękitnej poświacie HUD-a jego mecha. – Potrzebny ci buziak na pożegnanie czy co?

– Tylko sprawdzam, czy wszyscy się porządnie ubrali.

– Twoi mogli zorganizować dla nas trochę bardziej przestronny kącik – krzywi się Sevro. – Cholernie ciasno w tym cuchnącym pudle.

– Chcesz powiedzieć, że Tactusowi by się tutaj spodobało? – pyta Victra.

Podłączyła się do panelu, więc słyszę jej głos przez połączenie.

– A czego on nie lubił? – Parskam śmiechem.

– Głównie ubrań – odpowiada Mustang ze swojego mostka. Również się z nami połączyła. Czyste Złoto z czerwonym ryczącym lwem na piersi.

– I wytrzeźwień – dodaje Victra.

– Ten księżyca cuchnie jak gówno – mamrocze Klaun ze swojego pancernego mecha. – Gorzej niż padły koń.

– Siedzisz w hermetycznym mechu, wokół panuje próżnia – cedzi Holiday. Słyszę brzęk i pokrykiwania ludzi za jej plecami w hangarze promów na moim okręcie. Na twarzy Szarej widnieje duży niebieski odcisk dłoni. Na pewno dostała to od którejś ze swoich Obsydianek. – Prawdopodobnie zatem to nie księżyca.

– Och, to znaczy, że ja tak cuchnę – krzywi się Klaun. Pociąga nosem. – Och nie. To ja.

– Mówiłam ci, weź prysznic – mamrocze Kamyk.

– Zasada Wyjców numer siedemnaście. Tylko Pixie myję się przed bitwą – poucza Sevro. – Lubię, gdy moi żołnierze są dzicy, seksowni i śmierdzą. Jestem z ciebie dumny, Klaun.

– Dzięki, szefie.

- Threka! Nie zwalniaj bezpiecznika – krzyczy Holiday. – Jeszcze nie! Wybaczenie.
 - Cholerni Obsydiani łażą wszędzie z paluchami na spustach. Przerażające gówno.
 - Dlaczego śmiejecie się i gadacie jak dzieci? – Głos Sefi wybucha w komunikatorze tak głośno, że dzwoni mi w uszach.
 - Cholerne gówno w spiżarni – jęczy Sevro. Towarzyszy mu chór przekleństw na głośność u Sefi.
 - Ściszę wzmacniacz głosu! – syczy Klaun na królową Walkirii.
 - Nie rozumiem...
 - Głośność...
 - Jaką głośność...?
 - Milcząca to chyba niezbyt dopasowany przydomek, co? – rzuca Victra. Mustang parska śmiechem.
 - Sefi, pochyl się – warczy Holiday. – Nie mogę dosięgnąć. Pochyl się.
 - Holiday odszukuje Sefi w hangarze i pomaga jej ścisnąć wzmacnienie głosu. Obsydianka każdej nocy śpi ze swoją nową pulsRękawicą, ale z resztą technicznego wyposażenia jeszcze nie radzi sobie zbyt dobrze.
 - Ale, jak zapytała nasza duża dziewczynka, jest jakiś powód tych pogaduszek? – pyta po chwili Holiday.
 - Tradycja, Holi – wyjaśnia Sevro niefrasobliwie. – Kosiarz jest trochę sentymentalny. Pewnie zamierza wygłosić przemówienie.
 - Żadnych przemówień – zapewniam.
 - Moja dziwna mała rodzina pojękuje i chichocze.
 - Nie zamierzasz dać nam kazania o gniewie, gniewie na umierające światło? – pyta Sevro. Ale żart brzmi obco, bo właśnie Roque coś takiego zapewne powie. Czuję znowu ucisk w piersi. Tak bardzo kocham tę bandę niedopasowanych wyrzutków. Tak bardzo się o nich boję. Szkoda, że nie mogę ich ochronić przed tą bitwą. Znaleźć sposobu, aby oszczęścić im piekła, które zaraz się rozpęta.
 - Cokolwiek się stanie, pamiętacie, że to wy jesteście szczęściorząmi – mówię. – Dzisiaj mamy zmienić świat. Ale jesteście moją rodziną. Więc bądźcie odważni. Osłaniajcie się nawzajem. I wróćcie do domu.
 - Ty też, wodzu – odpowiada Sevro.
 - Zerwijcie pęta – dodaje Mustang.
 - Zerwijcie pęta – odpowiadają moi przyjaciele.
- A potem Sevro krzyczy z bojowym grymasem:
- Wyjce, wyć...!
 - U-aaaaao! – Wszyscy wyją jak potępieni, niektórzy zanoszą się śmiechem. Jeden po drugim ich obrazy znikają z mojego wyświetlacza i pozostaję sam we własnej zbroi. Oddycham głęboko i zanoszę bezgłośną modlitwę do kogokolwiek, kto mógłby ją usłyszeć. Niech będą bezpieczni.

Chowam hełm w kryzę zbroi. Moi Niebiescy zerkają na mnie znad swoich ekranów. Mała grupka Czerwonych i Szarych żołnierzy czeka przy drzwiach, mają mnie odprowadzić do hangaru. Nici życia tak wielu ludzi z tak wielu różnych światów splatają się tu i teraz wokół mnie. Jak wielu umrze jeszcze dziś? Victra uśmiecha się do mnie i mam wrażenie, że już jestem szczęściarzem, bo ten dzień zakończy się radością. Ta dziewczyna nie powinna tu być. Powinna znajdować się po drugiej stronie pustki, u sterów krążownika wroga. A jednak jest z nami, żeby znaleźć odkupienie, którego, jak myślała, nigdy nie dostąpi.

– Raz jeszcze do wyłomu. – Uśmiecha się.
– Raz jeszcze – odpowiadam, a potem zwracam się do załogi: – Jak się czujecie? Niezręczna cisza. Wymiana niepewnych spojrzeń. Nikt nie wie, co odpowiedzieć. A potem młoda Niebieska prostuje się nad swoją konsolą.

– Jesteśmy gotowi załatwić paru cholernych Złotych... wodzu.
Reszta na mostku parska śmiechem, napięcie opada.
– Ktoś jeszcze? – krzyczy Victra. Odpowiada jej chóralny ryk załogi. Żołnierze, najwyżej osiemnastoletni i tacy w wieku mojego wuja, trzaskają metalicznymi obcasami.
– Podłącz mnie do całej floty – rozkazuję. – Nadaj na otwartym paśmie do Żywego Srebra. Upewnij się, że Złoci mogą mnie słyszeć, żeby wiedzieli, gdzie mnie znaleźć.
Virsa szybko wykonuje polecenia.

– Ludzie z Elity, mówi Kosiarz.
Mój głos niesie się echem przez główne łącze do wszystkich stu dwunastu głównych okrętów mojej floty, do tysiąca myśliwców i promów bojowych, rozchodzi się po maszynowniach i lazaretach, gdzie lekarze i niedawno przeszkolone pielęgniarki przechodzą między pustymi łóżkami z wykrochmaloną pościelą i czekają na rannych. Za trzydzieści osiem minut Żywe Srebro i Synowie Aresa na Marsie usłyszą to przemówienie i prześlą wzmacniony sygnał do Światów Wewnętrznych. To, czy do tego czasu przeżyjemy, będzie zależało od mojej rozgrywki z Rokiem.

– W podziemiach, w kosmosie, w miastach i pod niebem żyliśmy w strachu. W strachu przed śmiercią. W strachu przed cierpieniem. Dziś bójcie się tylko porażki. Bo nie możemy sobie na nią pozwolić. Stojmy na skraju ciemności i niesiemy jedyny płomień, który pozostał ludzkości. Ten ogień nie zgaśnie. Nie zgaśnie, dopóki oddycham. Nie zgaśnie, dopóki bije serce. Dopóki nasze okręty sieją grozę. Niech inni marzą. Niech inni śpiewają. My, garstka wybrańców, jesteśmy ogniem. – Uderzam się pięścią w tors. – Nie jesteśmy Czerwoni, Niebiescy, Złoci, Szarzy czy Obsydianowi. Jesteśmy ludzkością. Jesteśmy przypływem. A dzisiaj odbierzemy życie, jakie nam ukradziono. Zbudujemy przyszłość, jaką nam przyczekono.

Nabieram tchu.

– Strzeżcie swoich serc. Strzeżcie swoich przyjaciół. Idźcie za mną przez tę złą, mroczną noc, a obiecuję, że czeka was ranek po drugiej stronie. Do tego czasu zerwijcie pęta!

Ściągam sling z przedramienia i utrwalam go w zakrzywione ostrze.

– Wszystkie okręty przygotować się do walki.

Rozdział czterdziesty piąty

BITWA O ILIUM

Czerwone plemienne bębny dudnią w brzuchu moich okrętów. „Wieczorny Przypływ” niesie się przez głośniki w wojskowej przeróbce Zakazanej Pieśni. Równy rytm wyzwania, gdy ruszamy na Armatę Miecza. Nigdy nie widziałem tak wielkiej floty. Nawet wtedy, gdy szturmowaliśmy Marsa. Ale w szтурmie ścierały się tylko dwa rody i ich sprzymierzeńcy. Teraz to bitwa ludzi. Dlatego jest odpowiednio ogromna.

Niestety, Roque i ja czerpalismy wiedzę od tych samych nauczycieli. Roque zna bitwy Aleksandra, armii dynastii Han czy starcie pod Azincourt. Wie, że największym zagrożeniem dla tak oszałamiająco wielkich sił jest brak łączności i chaos. Dlatego nie przecenia swojej potęgi. Podzielił siły na dwanaście mniejszych, bardziej mobilnych części i każdemu z Pretorów dał sporo autonomii, aby mogli być szybcy i zwinni. Staniemy nie przed wielkim młotem, lecz rojem ostrzy.

– To koszmar – mruczy Victra.

Przewidywałem, że Roque może tak zrobić, lecz i tak przeklinam, gdy widzę, że miałem rację. W każdym starciu kosmicznym trzeba się zdecydować, czy zamiarem jest zniszczenie wrogich jednostek, czy też ich przejęcie. Zdaje się, że Roque planuje raczej abordaż. Nie możemy zatem tylko się zbliżyć i liczyć, że wszystko pójdzie dobrze. Nie możemy też od razu wciągnąć całej wrogiej floty w moją pułapkę. Przebiją się przez nią i zamordują Wyjce. Wszystko zależy od jedynej przewagi, jaką posiadamy. I nie są to nasze okręty. Ani też sto tysięcy Obsydianów zapakowanych na promy bojowe. Jednak Roque myśli, że mnie zna, więc jego strategia będzie się opierała na pewnych założeniach dotyczących mojego zachowania.

Dlatego postanowiłem pokazać mu, że jego przewidywania w kwestii mojego szaleństwa są niedoszacowane i jak niewiele wie o psychologii Czerwonych. Dlatego prowadzę „Paxa” na samobójczą misję w środek floty Roque'a. Ale to nie ja rozpocznę bitwę, lecz Orion, która ruszyła przede mną na „Lamencie Persefony” z trzema czwartymi mojej floty. Lecą szykiem sferycznym. Najmniejsze jednostki mają po czterysta metrów, większość to okręty długie na pół kilometra, kilka niszczycieli i dwa wielkie pancerniki. Złoci i my wypuszczamy pociski dalekiego zasięgu. Miniaturowe, sterowane komputerowo ładunki wybuchają. A wtedy flota Roque'a mknie naprzód, czarną próżnię między jego siłami i moimi wypełniają pociski i bomby. Amunicja warta miliardy zostaje zużyta w ciągu kilkunastu sekund.

Orion zmniejsza dystans do Roque'a, podczas gdy floty Mustang i Romulusa ruszają na górną część wrogiej formacji – przez biegun Io spróbowią uderzyć w jedyny słaby punkt okrętu flagowego, silniki. Flota Roque'a jest giętka, dziesięć eskadr oddziela się od reszty i ustawia tak, aby ich szeroki front znalazł się przed dziobami nadlatującej od południowego bieguna floty Władów Księżyców. Otwierają ogień. Sto tysięcy dział pluje równocześnie seriami pocisków.

Metal uderza w metal. Okręty wymiotują tlenem i ludźmi.

Lecz skonstruowano je po to, aby umożliwić im przetrwanie. Wielkie kadłuby podzielone są grodziami na tysiące połączonych klitek i przedziałów, które mają za zadanie utrzymać powietrze przy ostrzale z działa maszynowych. Z tych zamczysk wylatują tysiące małych, jednoosobowych odrzutowców. Przedzierają się przez przestrzeń niczyją między flotami. Na niektórych znajdują się niewielkie głowice jądrowe, przystosowane do niszczenia dużych jednostek. Helldiverzy i operatorzy wierteł, którzy szkolili się dzień i noc na symulatorach Synów Aresa, lecą z eskadrami zsynchronizowanych Niebieskich. Docierają do pilotów weteranów z Elity.

Siły Romulusa odrywają się od floty Mustang, aby połączyć się z flotą Orion, podczas gdy Mustang wciąż zbliża się do środka wrogiej formacji i przeciera drogę dla mojego natarcia.

Zbliżamy się na trzysta kilometrów, zaczyna się ostrzał z działa średniego zasięgu. Wielkie salwy dwudziestokilogramowych ładunków pędzą przez próżnię z prędkością dziesięciu machów. Artyleria osłania całą Złotą flotę. Blizej kadłubów migoczą błękitem tarcze pól siłowych – pociski odbijają się od nich.

Moje siły uderzeniowe czają się na tyłach wielkiej bitwy. Wkrótce wymiana ognia zmieni się w abordaże i walki na pokładach. Wystrzelono już promy bojowe. Agresywni Pretorzy opróżniają swoje jednostki z żołnierzy i Obsydianów, aby przejąć okręty wroga, które po bitwie według prawa będą mogli zatrzymać. Konserwatywni Pretorzy zatrzymują swoje siły na pokładzie, aby broniły okrętu przed naszym abordażem – ich najpotężniejszą bronią będzie ich jednostka.

– Orion dała sygnał – melduje mi kapitan.

– Kurs na „Colossusa”. Pełna moc. – Okręt zaczyna drzeć. – Spust jest twój, Pelus. Ignoruj kutry rakietowe, skup się na niszczycielach lub jeszcze większych jednostkach.

Okręt trzeszczy, gdy mknimy naprzód z tyłów formacji Orion.

– Eskorta, trzymać się blisko. Stała prędkość.

Mijamy jednostki artyleryjskie, a potem czterokilometrowy „Lament Persefony” i wysuwamy się ze środka szyku Orion na czoło formacji jak ukryta włócznia, która teraz mknie w serce wroga przez pięćdziesiąt kilometrów pustki dzielącej floty. Okręty Orion wystrzeliwują maskowanie i przynęty, aby osłonić nasz szalony przelot. Roque na pewno rozumie, co zamierzam zrobić, więc jego okręt flagowy

zaczyna się cofać przed moim, jakby zapraszał mnie do środka ogromnej formacji, a potem otwiera ogień.

Nasze tarcze jarzą się błękitem. Pociski wroga przebijają się przez maskowanie i uderzają w osłony. Promy bojowe wroga ruszają, aby przedostać się przez zakłóczenia i dotrzeć do okrętów Orion, ale moja eskorta szybko eliminuje malutkie jednostki. Poruszamy się w ogniu dwunastu okrętów. Na tarczach pól siłowych zaczyna się pojawiać czerwona poświata. Osłony stopniowo słabną, wyczerpuje się energia generatorów na sterburcie. Sieć grodzi włącza się i odcina zdalnie uszkodzone poziomy mojego okrętu. Tracę kuter. Pół kilometra od dziobu salwa z dział automatycznych rozdziera go od burty do burty. Ostrzał szedł z „Pandory”, pancernika Antonii.

– Zdaje się, że moja siostra świetnie się bawi na moim okręcie – stwierdza Victra.

Ciała wylatują z mostka rozbitego okrętu, ale Antonia nie przestaje strzelać, dopóki nie implodują rdzenie jądrowe napędu. Rozbłyskują oślepiająco dwa razy, zanim wokół zniszczonej jednostki nie zamknie się czerń.

Coś dużego uderza w dziesięciometrowej grubości gródź nad mostkiem. Po prawej ściana wygina się do środka pod impetem pocisków. Nasi strzelcy rozrywają z działań półtorakilometrowy niszczyciel – trafiają prosto w mostek. Dwustu ludzi traci życie. Na tym etapie nie bierzemy jeńców. Sprawdzamy tylko, ile przemocy może znieść „Pax”. Antonia likwiduje kolejną jednostkę z mojej grupy uderzeniowej.

– „Nadzieja Tinos” odpadła – mówi cicho Niebieska przy konsoli detekcji. – „Krzyk Teb” zaraz eksploduje.

– Niech sternicy „Tinos” i „Teb” zrobią zwrot o czterdzieści cztery stopnie na bakburdę, a potem się ewakuują – rzucam. Okręty wykonują rozkazy i zmieniają kurs, aby staranować okręt flagowy Antonii. Jednak „Pandora” cofa się i obie moje jednostki znikają w przestrzeni. Jedna eksploduje.

Wróg ma nad nami przewagę liczebną i potężniejsze uzbrojenie, a my znajdujemy się w centrum jego formacji. W pułapce. Nie mamy dokąd uciec. Wokół nas tworzy się sfera wrogich jednostek. Zostały mi tylko cztery kutry rakietowe. Właściwie to trzy.

- Pożary na pokładzie – melduje jedna z Niebieskich.
- Przebiecie kadłuba na siedemnastym.
- Silniki od jeden do sześć nie działają. Siedem i osiem mają tylko czterdzieści procent mocy.

„Pax” umiera wokół mnie.

Niszczyciel światów znajduje się przed naszym dziobem. Okręt Roque'a jest dwukrotnie dłuższy od mojego i ma trzykrotnie większą masę. Właściwie to ośmiokilometrowa mobilna baza militarna z wielkim, półkulistym dziobem

przypominającym rozwartą paszczę rekina. Cofa się z tą samą prędkością, z jaką próbuję się zbliżyć – w ten sposób nie możemy staranować tego molocha, za to on może nas miażdżyć swoim potężniejszym uzbrojeniem. Roque domyślił się, że biorę przykład z Karnusa i chcę uderzyć w okrąg flagowy armady swoim. Teraz to już niemożliwe. Wysiadły nam niemal wszystkie silniki. Kadłub stracił szczelność.

– Działa dziobowe i wyrzutnie, wymierzyć w górny pokład okrętu wroga.

Włączam holo okrętu i zaznaczam palcem obszar, gdzie ma być skierowany ostrzał, a Victra wydaje polecenia grupom bojowym, które trzymaliśmy w odwodzie. Myśliwce mkną w przestrzeń. „Pax” obraca się, aby wymierzyć w „Colossusa” z bocznych działań.

Na tym etapie nie ma znaczenia, co zrobimy. Jesteśmy jak wilk przygnieciony przez niedźwiedzia, który po kolei wyrywa nam kończyny, wydłużuje oczy, wyszarpuje uszy izęby, ale brzucha na razie nam nie rozdziera. Okręt wokół mnie drży. Niebiescy wypchnięci z zamierających połączeń z kolejnymi sekcjami wymiotują na podłogę. Mój sternik, Arnus, dostał ataku padaczki, gdy silniki zgasły.

– „Tancerz Faranu” zniszczony – mówi kapitan Pelus. – Żadnych kapsuł ratunkowych.

Na pokładzie była tylko podstawowa załoga, czyli zginęło czterdzieści osób. Lepsze to niż tysiące. Z szesnastu kutrów rakietowych zostały mi tylko dwa. Krążą wokół „Pandory” Antonii za nami, ale ten okręt to prawdziwe mroczne monstrum. Strzela do zwinnych jednostek, dopóki nie rozerwie ich na strzępy. A kiedy wystrzelone zostają kapsuły ratunkowe, strzela również do nich. Victra obserwuje to morderstwo w milczeniu. Dodaje je do długów, które Antonia będzie musiała spłacić.

Roque zaprasza nas niemal do abordażu, przybliża „Colossusa” do mojego umierającego okrętu. Znajduje się już o kilometr od nas. Korzystam z zaproszenia.

– Wszystkie promy bojowe, start na kadłub niszczyciela światów – rozkazuję. – Wystrzelić kapsuły. Już.

Setki pustych kapsuł bojowych wylatują z wyrzutni. Mkną jak Stalowy Deszcz. Dwadzieścia promów startuje z czterech hangarów „Pax”. Każdy niesie pięćdziesięciu ludzi. Wszyscy mają dostać się na wrogą jednostkę. Zdalnie sterowane przez Niebieskich z „Lamentu Persefony”, starają się jak najszybciej pokonać przestrzeń. Zostają zniszczone, zanim pokonają połowę drogi – Roque wypuszcza kilka głowic jądrowych o niewielkiej sile rażenia.

Przewidział mój ruch.

I oto moja grupa uderzeniowa zmieniła się w obłok szczątków polatujących między dwoma okrętami. Z głośników na suficie mojego mostka rozlegają się syreny. Detektory dalekiego zasięgu przestały działać. Działka zniszczone. Kadłub podziurawiony w wielu miejscach.

– Wytrzymaj – szepczę. – Wytrzymaj jeszcze trochę, „Pax”.

– Transmisja – melduje Virsa.

Przede mną pojawia się holoobraz Roque'a.

– Darrow – wita się, a gdy zauważa moją towarzyszkę, kiwa głową. – Victro. To koniec. Wasz okręt nie nadaje się do walki. Rozkażcie swojej flocie, żeby się poddała, a daruję wam życie.

Wydaje mu się, że może zakończyć ten bunt i nie posłać nas do grobu? Taka bezczelność budzi we mnie gniew. Obaj przecież wiemy, że Roque musi pokazać moje ciało na wszystkich światach. Jeżeli tylko zniszczy mój okręt, nie uda się odszukać zwłok w szczątkach wraku. Zerkam na Victrę. Dziewczyna spluwa wyzywająco na podłogę.

– Twoja odpowiedź, Darrow?

Grubiańsko podnoszę środkowy palec.

– Pieprz się.

Roque odwraca głowę.

– Legacie Drususie, wysłać wszystkie promy bojowe. Przekaż Rycerzowi Chmur, żeby przyniósł mi Kosiarza. Żywego lub martwego, bez różnicy. Byle można go było rozpoznać bez większego trudu.

Rozdział czterdziesty szósty

HELLDIVER

Patrzę na Niebieskich przy stanowiskach. Większość była tutaj, gdy zdobyłem ten okręt. I gdy nadałem mu nowe imię. Stali się piratami z Orion i buntownikami przy mnie.

– Słyszeliście go – mówię. – Dobra robota. Dzięki wam „Pax” był dumnym okrętem. A teraz pożegnajcie się, wsiadajcie do promów i znikajcie. Nie ma powodów do wstydu.

Salutuję, kapitan Pelus otwiera właz w podłodze. Niebiescy zaczynają ześlizgiwać się do hali, gdzie normalnie znajdują się kapsuły, ale zastąpiliśmy je opancerzonymi promami. Moja została wbudowana w ścianę mostka. Jednak Victra i ja nie zamierzamy uciekać. Nie dziś.

– Czas ruszać, chłopaku – rzuca Victra. – I to już.

Klepię ścianę okrętu.

– Dziękuję, „Pax” – mówię cicho. Jeszcze jeden przyjaciel stracony dla sprawy. A potem idę za Victrą i żołnierzami do pustej sali. Pulsują światła alarmowe. Wyją syreny. Kadłub drży, gdy biegniemy. Promy bojowe Roque'a pewnie już lecą do „Paxa”. Zaraz zaczną wytapiać dziury w jego poszyciu i wypuszczają grupy abordażowe Szarych i Obsydianów, prowadzonych przez Złotych rycerzy. Zamiast mnie zastaną opuszczony wrak. Topiący się krąg nabrzmiwa na ścianie korytarza obok windy, do której wbiegamy. Przyglądam się rozżarzonej powierzchni, aż z pomarańczowej stanie się oślepiająco jasna. Bębny wciąż dudnią z głośników. Tam-tam-ta-dam.

Victra zostawia minę w prezencie dla grupy abordażowej.

Słyszymy wybuch dziesięć poziomów nad nami, a winda zatrzymuje się na poziomie minus trzy w hangarze pomocniczym. Tutaj czekają moje prawdziwe siły uderzeniowe – trzy ciężkie, pancerne promy z opuszczonymi rampami. Niebiescy w kokpitach sprawdzają po raz ostatni trajektorie lotu. Pomarańczowi mechanicy przygotowują już silniki i upewniają się, że zbiorniki są zatankowane. Na każdym promie są już setki Walkirii w zbrojach oraz tyle samo Czerwonych i Szarych do obsługi specjalnego uzbrojenia. Obsydianki włączają topory pulsacyjne i ostrza. Gdy mijam grupy uderzeniowe, z ich ust wyrywa się skandowane grzmiąco moje imię. Na środku hangaru zastaję Holiday z Sefi i grupą Walkirii – moim oddziałem. Wraz z nimi stoją Helldiverzy, o których poprosiłem Tancerza. Są o połowę mniejsi od Obsydianek.

- Abordaż już trwa – oznajmiam. Holiday ruchem głowy wydaje nieme polecenie Czerwonym, a ci śpieszą na tyły. – Odległość mniej niż kilometr.
- Nie... – Holiday uśmiecha się z niedowierzaniem. – Tak blisko?
- Wiem. – Sam nie kryję ekscytacji. – Roque myśli, że wypakowaliśmy się bronią jądrową. Chciał, żebyśmy mieli zniszczone silniki, wtedy mógł podejść blisko, żebyśmy byli w zasięgu uderzenia, gdybyśmy chcieli jej użyć.
- No to teraz może nas cmoknąć – uśmiecha się Victra. – Nawet z językkiem. Holiday kiwa głową.
- Więc lepiej się nie obijajmy.
- Sefi wyciąga garść suszonych grzybów.
- Boskiej rośliny? – pyta. – Zobaczysz smoki.
- Wojna jest wystarczająco straszna, kochanie – odpowiada jej Victra, a potem wyjaśnia mi na stronie: – Spróbowałam raz tego gówna z Cassiusem podczas tygodnia nad Morzem Ciepła. – Zauważa moją minę. – No, to było, zanim cię spotkałam. Widziałeś Cassiusa bez koszuli? Tylko nie mów Sevrowi.
- Holiday i ja również dziękujemy za grzybki. Za ścianą hangaru rozlega się terkot broni automatycznej.
- Już czas! – wołam do tysiąca Obsydianów czekających w promach. – Przygotujcie broń! Pamiętajcie o szkoleniu! *Hyrg la, Ragnar!*
- *Hyrg la, Ragnar!* – odpowiada mi Obsydianowy ryk. To znaczy: „Ragnar żyje”. Królowa Walkirii salutuje mi ostrzem i rozpoczyna pieśń wojenną. Pieśń niesie się po czarnym, pancernym promie. Straszliwa, ale tym razem brzmi po mojej stronie. Przywiódłem Walkirie do raju i teraz spuszczam je z łaćucha.
- Dobrze się czujesz, Victro? – pytam z troską. Martwię się, że tak bliska obecność siostry może ją rozpraszać.
- Czuję się świetnie jak cholera, chłopczyku – zapewnia mnie przyjaciółka. – Pilnuj lepiej swojego ślicznego tyłeczka.
- Klepie mnie w pośladek i szybko się cofa. Na pożegnanie posyła mi jeszcze bezczelnego całusa, a potem biegnie do swojego promu.
- Zaraz ruszamy.
- Zostaję sam na sam z Helldiverami. Palą papery, ich Czerwone oczy błyszczą złowrogo.
- Pierwszy, który się przebije, dostanie cholerny Laur – mówię im. – Zamknąć hełmy.
- Niewiele więcej trzeba mówić tym ludziom. Kiwają mi głowami, uśmiechają się szeroko. Wyruszamy. Wzlatuję trzydziestu metrów wyżej, na jedno z czterech wiertel plazmowych, które skonfiskowaliśmy w kopalni platyny w wewnętrznym pasie asteroid. Wiertła stoją rzędem, w odstępach pięćdziesięciu metrów. Przypominają rozcapierzoną rękę – kokpit to łokieć, tuzin ostrzy opiera się o hangar

jak palce. Każda z tych maszyn została przerobiona przez Rolla i jego ludzi, dodali silnik i pancerne płyty wokół burt. Wsuwam się do kokpitu, powiększonego specjalnie do moich rozmiarów, wkładam ręce w pryzmat sterów.

– Odpalać – rozkazuję. Znajome wibracje energii przebiegają przez wiertło i szkło wokół mnie. Szczerzę się jak wariat. Może nim jestem. Wiem jednak, że nie mogę wygrać tej bitwy, o ile nie zmienię standardów działania. I wiem, że Roque nie da się wciągnąć w pułapkę ani zwabić w pas asteroid, bojąc się narazić swoją ogromną flotę na atak z zasadzki. Dlatego mam tylko jedno wyjście – zamaskować sidła jako wady mojego charakteru i błędy myślenia. Roque zawsze powtarzał mi, żebym się cofnął i odnalazł spokój. Oczywiście jest przekonany, że wie, jak mnie pokonać. Lecz dzisiaj nie walczę jak człowiek, którego poznał wcześniej, nie walczę jak Złoty.

Jestem cholernym Helldiverem z armią olbrzymów, psychotycznymi kobietami u boku i flotą krążowników prowadzoną przez załogi wkurzonych piratów, inżynierów, techników i wyzwolonych niewolników. Roque'owi wydaje się, że wie, jak mnie pokonać? Parskam śmiechem, gdy wibracje wiertła wstrząsają moim fotelem. Wypełnia mnie uśpione wcześniej poczucie szaleńczej siły. Grupa abordażowa wroga wybiega z windy, którą przyjechałem. Patrzę z zaskoczeniem na wiertła, a potem znikają, gdy Victra strzela w nich z działa promu.

– Pamiętajcie słowa naszego Złotego przywódcy – mówię Helldiverom. – Poświęcenie. Posłuszeństwo. Dobrobyt. To te lepsze aspekty człowieczeństwa.

– Przeklęte brednie – odzywa się któryś przez komunikator. – Chętnie pokażę lepsze aspekty mojego człowieczeństwa.

– Rozgrzać wiertła – rozkazuję. Potwierdzają po kolei. – Rozpalmy wroga.

Włączam rotację mojego wiertła w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Poniżej ostrza zaczynają wirować. Poruszam dłońmi w przymacie sterowniczym. Maszyna się trzęsie, żeby mi szczekają. Pode mną metalowy pokład się kołysze. Roztopiony metal piętrzy się jak magma na kraterze. Przebijam poszycie dziesięciometrowej grubości w pięć sekund. Potem kolejną gródź. Opadam znowu na podłogę hangaru. Przeżarty metal piętrzy się wokół kokpitu. Przebijam kolejny pokład. I jeszcze jeden. Wokół wiertła rośnie temperatura, gdy pokonuję kolejne poziomy swojego okrętu i pozostawiam Walkirie z tyłu. Jeśli zwolnię, wiertło utknie. Zwolnię i już nie żyję. Ta prędkość to tępko mojego ludu. Coraz większy pęd.

Wiertło coraz szybciej przebija pokłady, pozostawia stopiony metal na poszarpanych zębach węglika wolframu. Dostrzegam inne wiertła przebijające się przez okrąg, gdy przedostaję się przez słabo oświetlone ładownie. Wspaniały, przerażający widok. Wiertła jaśnieją od gorąca i znikają w grodziach. Przechodzą przez zniszczone hale, przez zbiorniki z wodą, przez korytarz, w którym oddział abordażowy cofa się zaskoczony i tylko patrzy na ogromne ostrza przewiercające się przez okrąg jak ogromne ręce metalowego boga.

– Nie zwalniać! – ryczę, trzęsąc się na fotelu. Nie mam już nad tym kontroli, posuwam się za szybko, wiertło jest zbyt rozgrzane. A potem... nic. Przebijam się przez kadłub „Paxa”. Ogarnia mnie cisza kosmosu. Nieważkość.

Mknę jak oszczep prosto w ogromnego „Colossusa”. Mijają mnie promy wysłane do abordażu mojego okrętu. W jednym z nich widzę wytrzeszczone oczy pilota. Inny wpada prosto na wiertło. W sekundę z kadłuba zostają tylko strzępy. Ciała i resztki promu odlatują w bok. Kolejne wiertła opuszczają „Paxa” i pędzą na niszczyciela światów. Wokół nas toczy się kosmiczna bitwa. Błękitne eksplozie, wielkie pociski artylerii. Flota Mustang leci na skraju formacji Roque'a, trwa wymiana ognia. Sevro nadal czeka w ukryciu.

Wyczuwam zmieszanie strzelców wroga. Znajduję się w środku roju ich promów bojowych. Nie mogą strzelać. Ich komputery nawet nie rejestrują mojej jednostki jako wrogiej. Wygląda jak złom zespawany w kształt ogromnej ręki. Wątpliwe, czy na mostku wiedzą, co to za maszyna. Może ktoś rozpozna, jeżeli zobaczy ją na własne oczy.

– Odpalić silniki – mówię. Napęd domontowany przez ekipę Rolla włącza się za moimi plecami i pcha wiertło ku czarnej powierzchni „Colossusa”. Jeden z myśliwców rozpoznaje we mnie zagrożenie i strzela z małokalibrowego działa. Pociski wielkości kciuka uderzają w wiertło. Pancerz wytrzymuje. Ale Helldiver niedaleko mnie nie ma tyle szczęścia. Seria wystrzelona z pięciometrowego działa na górnej krzywiźnie niszczyciela światów przebija kokpit i rozrywa maszynę. Jedno z ostrzy wiertrzniczych wbija się w mój kokpit. Tuzin kolejnych – w promy obok mnie. Roque może nie wiedzieć, co to za pociski, które wystrzelił mój dogorywający okręt flagowy, ale chętnie zabija swoich ludzi, byle powstrzymać nieznane zagrożenie.

Szary metal mknie prosto na mnie. Pocisk wystrzelony z działa na „Colossusie” przebija się przez trzy promy i dociera do „nadgarstka” mojej maszyny. Przelatuje wzduż „ramienia”, przecina podłogę mojego kokpitu, przemyka o włos od moich jąder, muska mi tors i omal nie trafia w podbródek. Odchylam się i pocisk uderza w górną osłonę, rozbija szybę i wygina na zewnątrz wspornik. Zachłyсьuję się na wpół przytomny po takim ładunku energii kinetycznej.

Przed oczyma latają mi oslepiające plamy.

Próbuję się opanować. Wziąć się w garść.

Wypadłem z kursu. Ta maszyna nie była stworzona do manewrów lotniczych. Jak nic uderzę w pokład niszczyciela światów. Instynkt mnie nie ocali. Ale moi przyjaciele mogą to zrobić. Napędem wiertła mogą zdalnie sterować Niebiescy z okrętu Orion. Hamowanie wbija mnie w fotel, gdy wiertło zwalnia, dzięki czemu mogą uniknąć kolizji. Opadam łagodnie na kadłub „Colossusa”. Ze strachu wybucham śmiechem.

– Jasna cholera! – Gratuluję temu, który mnie ocalił. – Dziękuję!

Jednak samo wiertło wymaga obsługi manualnej. Niebiescy nie potrafią manipulować ostrzami, podobnie jak ja nie potrafiłbym obliczyć kursu wokół planety. Palce zaczynają mi tańczyć nad sterami, wpadają w odruchowy rytm pracy. Włączam ponownie wiertło, używam napędu, żeby ustawić się przodem do poszycia okrętu, jak gwóźdź przed wbiciem. Metal jeczy. Trzaskają iskry. I zaczynam przegryzać się przez zewnętrzną warstwę pancerza, której podobno nie przebije żaden pocisk.

Ciśnienie syczy wokół wiertła. Zwiększa obroty, palce tańczą nad sterami, gdy zmieniam ustawienia ostrzy i włączam lub wyłączam chłodzenie. Przestrzeń kosmiczna znika, zanurzam się w pancerzu okrętu. Nie przebijam się po prostej, ale wygryzam tunel na dziób. Jeden pokład. Dwa. Przebijam się przez halę, hangary, generatory i przewody wentylacyjne. Przerażające i niesamowite, nigdy wcześniej tego nie robiłem. Modlę się tylko, żeby nie trafić na skład amunicji. Przez wywiercony otwór wylatuje tlen i ludzie jak liście niesione wichrem. Grodzie odetną otwory, ale ci pomiędzy nimi już nie żyją.

Na trzystu metrach w głębi okrętu moje wiertło się psuje. Ostrza są stępione, napęd przegrzany. Pochylam się, żeby odzepić osłonę kabiny, ale ręka zsuwa się z dźwigni. Jest cała we krwi. Nerwowo oglądam swoje ciało. Zbroja pozostała nietknięta. To nie moja krew. Oblepiała nabój, który przebił się przez ściany kokpitu, a wcześniej przez trzy promy bojowe wroga, rozgrzała się w pobliżu wiertła.

Opuszczam wiertło. Wychodzę w próżnię tunelu, który wydrążyłem. Powietrze już nie wydostaje się z okrętu, wokół panuje spokój. Grodzie się zamknęły, aby odciąć zagrożone obszary kadłuba. Generator grawitacji w tej części okrętu chyba uległ uszkodzeniu, bo unoszę się w nieważkości.

Podnoszę wzrok. Na końcu tunelu przebijającego się przez poszycie kadłuba widać niewielki otwór i gwiazdy. Zwłoki mężczyzny przelatują tuż obok. Pada na nie cień okrętu Antonii, który mija „Colossusa” i odcina światło Słońca odbite od powierzchni Jowisza. Spowija mnie ciemność. Jestem sam w brzuchu kolosa. W komunikatorze słyszę bitewne rozmowy i meldunki. Victra startuje z hangaru. Orion i Władcy Księżyków nadlatują – odbili się od bieguna Io i kierują się na Jowisza. Okręt flagowy Mustang pozostaje pod ostrzałem „Colossusa”, podczas gdy Antonia prowadzi resztę formacji za wycofującymi się Telemanusami i Raa.

Sevro nadal czeka.

Trzydzieści metrów ode mnie dostrzegam ruch – z niższych poziomów, przez które wybiłem tunel dwudziestometrowej średnicy. W hełmie wyświetla mi się ostrzeżenie o aktywowanej broni. Lecę tam z włączoną tarczą, ale natykam się tylko na młodego Szarego, spoglądającego na mnie zza plastikowej osłony awaryjnej maski tlenowej. Młodzieniec przytrzymuje się poszarpanej ściany tunelu, wokół niego wiruje krew. Nie jego, towarzysza, który unosi się z tyłu. Szary się

trzęsie. Wiertło pewnie przeszło przez jego platon, a potem próżnia wessała zwłoki. Został sam. Przerażenie odbija się w jego oczach. Unosi blaster, a ja reaguję odruchowo. Wbijam ostrze w jego serce. Umiera z wytrzeszczonymi oczami i unosi się nad mną bezwładnie. Opieram nogę o jego tors, żeby wyszarpnąć klingę. Odlatujemy od siebie. Małe krople krwi tańczą wokół mojej broni.

A potem generator grawitacji włącza się i spadam na pokład. Krew rozpryskuje się pod podeszwami. Ciała Szarych uderzają w podłogę blisko mnie. Odsuwam się od zakrwawionego pomieszczenia i zaglądam znowu do tunelu. Z przestrzeni kosmicznej właśnie wlatuje do niego prom bojowy. Potem następne. Cała grupa prowadzona jest przez Victrę. Ścigają ją myśliwce wroga, ale na razie udaje się je odeprzeć ostrzałem z działa rufowych. Rozpędzone pociski wielkości pięści rozbijają jeden z myśliwców. Ale przyleci ich więcej. Cała chmara. Musimy się śpieszyć. Szybkość i agresja to nasza jedyna przewaga.

Promy Victry zwalniają dramatycznie w tunelu tuż nad moim wiertłem. Walkirie wysiadają, aby do mnie dołączyć. Więcej wysiada z promów nieco niżej. Holiday i kilku Czerwonych w zbrojach idzie z Obsydianami, niosą sprzęt, aby przebić się przez pozbawione powietrza pomieszczenie do grodzi, która oddziela nas od reszty okrętu. Przyciskają wiertło termiczne do metalu. Maszyna rozjarza się na czerwono. Otaczają gródź bańką pola siłowego, żeby nie włączyć kolejnych grodzi, gdy się przebiją.

– Wyłom za piętnaście sekund – oznajmia Holiday.

Victra stoi obok, podsłuchując rozmowy przeciwników.

– Wypuszczono oddziały wsparcia. Ponad dwa tysiące różnych jednostek.

Jest także podłączona do działu strategii na mostku Orion, więc może ściągać dane taktyczne z ogromnego zestawu detektorów na okręcie flagowym. Wygląda na to, że Roque wysłał ponad piętnaście tysięcy ludzi w promach bojowych.

Większość pewnie już znalazła się na „Paxie”. Przeszukuję korytarze i kajuty, żeby mnie odnaleźć. Głupi dranie. Roque postawił wysoko i przegrał. A ja właśnie przyprowadziłem tysiąc ośmiuset rozszalałych Obsydianów na prawie opróżniony okręt.

Poeta będzie wściekły.

– Dziesięć – odlicza Holiday.

– Walkirie, do mnie! – grzmię i unoszę ręce złożone w trójkąt.

Pięćdziesiąt siedem Obsydianek podchodzi przez zrujnowaną kantynę i staje za mną tak, jak to przećwiczyliśmy podczas lotu z Io. Sefi po mojej prawej, Victra po lewej, a Holiday z tyłu. Rozgrzana do białości gródź ustępuje. Czerwoni i Szarzy cofają się. Wszystkie grupy podobne do tej, na dziesięciu kondygnacjach, przez które się przewierciłem, działają w ten sam sposób. Dwa inne wiertła plazmowe dotarły do okrętu Roque'a. Dwa tysiące Obsydianów przedzierają się również

tamtedy. Szarzy, Czerwoni i nieliczni Złoci w naszych szeregach poprowadzą swoje grupy przeciwko siłom ochrony, które przyjadą windami lub wagonikami, aby rozpocząć walkę na nowym polu bitwy – na pokładach flagowego kolosa wroga.

Zanosi się na dziki pożar. Walkę w zwarciu. Dym. Krzyki. Najgorsze aspekty wojny.

– Tarcze na pełną moc – mówię do Walkirii w nagalu. Kolorowe, przejrzyste błyski przemykają po ich zbrojach. – Zabijcie wszystkich, którzy mają broń. Nie krzywdźcie nieuzbrojonych. Kolor nie ma znaczenia. Pamiętajcie, jaki mamy cel. Przetrzeć mi drogę. *Hyrg la, Ragnar!*

– *Hyrg la, Ragnar!* – odpowiada mi chóralny ryk. Walkirie uderzają się pięściami w napierśniki, ogarnia je szaleństwo wojny. Większość już na promie zażyła grzybki, wprowadzające w berserkerski trans. Nie poczuję bólu. Ruszaję równym krokiem, nie mogą się doczekać starcia. Victra niemal wibruje obok mnie. Pamiętam, że gdy leżeliśmy jeszcze w łóżkach pod opieką Mickeya, wyznała, że uwielbia zapach bitwy. Stary pot w rękawicach. Smar broni. Naciągnięte mięśnie i trzęsące się ręce po walce. Zawarła w tym szczery opis rzeczywistości. Tak właśnie kocha Victra. A w walce jest sama prawda.

– Victro, pozostań u mojego boku – nakazuję. – Walczmy w parze, gdy napotkamy Złotych.

– *Njar la tagag...* – odzywa się z drugiej strony Sefi.

– *Syn tjr rjyka!*

– Nie ma bólu. Tylko radość – śpiewają Obsydianki w objęciach boskich grzybków. Sefi rozpoczyna wojenny rytm. Skrzydłowe za jej plecami włączają się do śpiewu, potem ich skrzydłowe, aż pieśń wypełnia łącze. Ogarnia mnie poczucie wielkości, pragnę wzlecieć. Właśnie dlatego śpiewają Obsydiani. Nie po to, aby siać strach. Wzrasta w nich odwaga, gdy mają poczucie wspólnoty zamiast samotności, izolacji i lęku.

Po plecach spływa mi pot.

Strach nie jest prawdziwy.

Holiday zwalnia bezpiecznik.

– *Njar la tagag...*

Moje ostrze usztywnia się w klingę.

Włączona broń pulsacyjna trzeszczy w gotowości.

Czuję drżenie. W ustach mam popiół. Opuszczam maskę. Ukrywam pod nią człowieka. Nic nie czuję. Widzę wszystko. Ruszać naprzód. Zabić. Ruszać naprzód. Zabić. Nie jestem człowiekiem. One też nie są ludźmi.

Pieśń narasta.

– *Syn tjr rjyka!*

Strach nie jest rzeczywisty.

Jeżeli patrzysz na mnie, Eo, nadeszła pora, abyś zamknęła oczy.

Kosiarz przybył. I sprowadził piekło.

Rozdział czterdziesty siódmy

PIEKŁO

– Wyłom! – wrzeszczy Holiday. Gródź się poddaje. Śpieszę do bańki pola silowego, która otacza wytopiony otwór. Wszystko się zagęszcza – dźwięki, widoki, ruchy mojego ciała. Wszystko się miesza. Granat rozbłyskowy Holiday wpada przez dwumetrowy otwór w grodzi i wypala nerwy wzrokowe systemów, które nie mają osłon. Potem wybucha drugi granat, tym razem dymny.

Skaczę w dym i odsuwam się w prawo. Victra dołącza do mnie, Sefi przechodzi na lewo. Ostrzał wroga uderza w nas natychmiast. Tarcza iskrzy, pociski bębnią po niej jak deszcz na blaszanym dachu. Na końcu korytarza panuje chaos, błyskają strzały z broni pulsacyjnej, kłęby dymu przecinają rozżarzone pociski.

Strzelam z rękawicy, odrzut wstrząsa moim ramieniem. Robię zwód i ruszam naprzód, aby nie tarasować przejścia innym. Zderzam się z kimś. Zataczam się na ścianę z lewej, strzelam z rękawicy na oślep. Tarcza trzeszczy, gdy seria pocisków z karabinu zwalnia na niej. Kule odbijają się od zbroi i spadają spłaszczone u moich stóp. Coraz więcej Obsydianek wypełnia korytarz za moimi plecami. Poruszają się niesamowicie szybko. Wokół narasta kakofonia odgłosów walki. Rozglądam się, oceniam sytuację taktyczną. Jesteśmy przyszpilieni. Ludzie giną tuż za wyłomem. Trzeba ruszać naprzód.

Tuż obok mojej głowy słyszę wizg. Przy wyłomie wybucha granat. Kończyny i zbroje lecą na wszystkie strony. Hełm automatycznie wycisza potężny łomot, dzięki czemu nie pękają mi bębenki w uszach. Zataczam się, gdy próbuję opuścić epicentrum. Wśród nas spada kolejny granat. Wybucha. Kolejne szczątki metalu i tkanki spadają na podłogę. Muszę podejść bliżej do przeciwnika. Nic przed sobą nie widzę w gęstym dymie.

Ogień.

Do diabła z tym.

Z rykiem wściekłości włączam buty grawitacyjne i lecę przez wąski korytarz z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę na naszych przeciwników. Unoszę się metr nad podłogą i strzelam. Victra rusza za mną. Przeciw nam walczy oddział dwudziestu Szarych pod komendą Złotego Legata w srebrzystej, błyszczącej zbroi. Zderzam się z Legatem, wyciągnięte naprzód ostrze przebiją tarczę i mózg. Upadamy razem, Złoty przyciśnięty moim ciężarem. Szarzy rozpraszają się i okrążają mnie, gdy gramolę się z ziemi. Jeden strzela mi w plecy ładunkiem jonowym. Błękitne błyskawice przemykają po tarczach, wyładowanie je

wyłącza. Przebijam szyję jednemu z napastników, dwaj kolejni strzelają mi w pierś. Pancerz wygina się pod naporem pocisków. Zataczam się. Zza rogu wysuwa się i mierzy w moją głowę ciężki karabin maszynowy. Robię unik przed kolejną serią pocisków. Ślizgam się na krwi, przewracam znowu. Seria z karabinu wybija w podłodze dziurę wielkości ludzkiej głowy.

Wtedy Victra rzuca się na Szarych. Odbija się z boku na bok między ścianami jak wściekła piłka. Miażdży kości przeciwników złapanych między jej ciężką zbroję a ścianę. A potem między Szarych wkraczają Obsydiani i szatkują oddział toporami. Szarzy wrzeszczą, odskakują za róg, skąd mają wsparcie ogniowe. Sefi odcina strzelcowi nogę, a gdy Szary próbuje się odczołgać, Walkiria machnięciem topora pozbawia go głowy.

To koszmar.

Dym. Konwulsyjne wyginające się ciała. Strumienie krwi wylewające się z głębokich ran. Kałuża moczu jakiegoś umierającego rozlewa się przy mojej zbroi. Ciecz syczy przy zetknięciu z rozgrzanym metalem pulsRękawicy. Victra pomaga mi wstać.

– Dziękuje.

Beznamiętnie kiwa głową w swoim przerażającym hełmie w kształcie głowy ptaka. Nie widzę jej twarzy.

Gdy reszta mojej grupy przechodzi przez wyłom, ruszam za róg, gdzie umknęło paru Szarych. Kolejny wrogi oddział pośpiesznie ustawia ciężkie działo na platformie antygrawitacyjnej około trzydziestu metrów dalej przy windzie. Kiedy Szarzy strzelają, sufit nade mną zaczyna się topić. Rozkazuję Holiday, aby zajęła pozycję tuż za rogiem z uniwersalnym karabinem.

– Cztery Blaszaki, jeden Złoty – mówię. – Mają przenośne QR-13. Załatw ich.

Holiday dostosowuje wielofunkcyjne lufy swojej broni.

– Tajest.

Przy naszym wyłomie sześć Walkirii już padło. Jedna z olbrzymek cofnęła hełm w kryzę. Wymiotuje krwią. Połowa torsu dymi, stopiona zbroja wciąż wżera się w ciało. Kobieta próbuje wstać, śmieje się z bólu, bo wciąż działają boskie grzybki. Jednak to nowy rodzaj walki dla tych Obsydianek i nowe rany. Kobieta nie może się podnieść, opada na drugą, która wzywa Sefi. Młoda królowa Walkirii zerka na ranę, potem na Victrę. Złota kręci głową. Sefi, która wojny uczy się szybciej niż jej podwładne, od początku dobrze wiedziała, ile ta walka będzie kosztować Obsydianów. Ale co innego wiedzieć, a co innego zobaczyć to własne oczy. Sefi pochyla się, mówi coś o domu, o niebie i piórach w letnim zmierzchu. Ostrza, które wbija w podstawę czaszki umierającej, widzę dopiero, gdy je wyciąga.

Z boku mojego wewnętrznego ekranu wyświetla się holopopiersie Mustang. Otwieram łączę.

- Darrow, przebiłeś się?
- Jesteśmy na pokładzie. Moje oddziały też. Przemy na mostek. Co się dzieje?
- Pośpiesz się. Mój okręt jest pod ciężkim ostrzałem.
- Jesteśmy w środku. Miałaś się wycofać. Skierować na Tebe.
- Roque użył impulsu elektromagnetycznego – w głosie Mustang słyszać napięcie.
- Tarcze wytrzymały, ale połowa silników mojej floty nawala. Siedzimy jak na strzelnicę i czekamy, aż wróg nas rozwali. Gdy tylko twoje wiertła uderzyły, „Colossus” zaczął strzelać, aby niszczyć. Rozdziera mi flotę na strzępy. Ma o wiele większą siłę ognia, a nasze baterie działają tylko połowicznie.

W brzuchu czuję narastające ssanie. Roque na pewno widzi nas na monitoringu wewnętrznym. Zna zatem siłę mojej grupy uderzeniowej. Dotarcie na mostek to dla mnie tylko kwestia czasu. Wkrótce przezewnętrzne głośniki powie mi, abym się poddał albo zabije Mustang.

- Przejmij ten cholerny mostek i załatw go. Jasne?
- Jasne – odpowiadam, a potem odwracam się do moich ludzi. – Musimy ruszać. Victro, przejmij dowodzenie. Przechodzę na łącze wirtualne. Sefi, trzymaj się blisko.
- Holiday, rusz tyłek – mówi Victra, spacerując w tej i z powrotem przez szerokość korytarza. – Mała Iwica potrzebuje naszej pomocy. Ruszaj! No już!

– Wstrzymaj konie – mamrocze Holiday, która reguluje swój multikarabin i namierza działko za rogiem. Lufy obracają się, celownik zmienia optykę, żeby Szara mogła patrzeć zza ściany, obraz przesyłany jest prosto na wyświetlacz wewnętrz hełmu. Cztery szybkie strzały padają z różnych luf broni. Trzydzieści pocisków odłamkowych pobranych z zasobnika na plecach zbroi. – Pędź.

Victra i ja wypadamy zza rogu i ślizgamy się na butach grawitacyjnych, podczas gdy Szary próbuje zająć miejsce zabitego towarzysza i wymierzyć działko. Zdejmuję ich strzałem z pulsRękawicy, podczas gdy Victra wymienia ze Złotym cztery ruchy ze sztuki walki Kravat, po czym przebija jego pierś ostrzem. Wykańczam go cięciem w szyję. Holiday rozkazuje swoim komandosom obsadzić zdobyczne działa QR-13 i ruszać za nami. Dotrzymuje tempa mnie i Victrze tylko dzięki serwomechanicznemu wspomaganiu w zbroi.

Gdy pędzimy na mostek, ludzie z moich sił inwazyjnych ruszają do pozostałych ważnych części okrętu z porównywalnym pośpiechem. To blitzkrieg. Szarzy nie mogą wytrzymać takiego tempa, ponieważ polegają na taktyce, zaplanowanych manewrach, strzałach z ukrycia i wspomaganiu technicznym. Obsydiani przypominają proste tarany. Kuszące jest po prostu przeć z ich pełnymi siłami i skupić się wyłącznie na mostku. Ale nie mogę porzucić swojego planu. Oddziały potrzebują przewodnika przy wykorzystaniu mapy sytuacyjnej z mojego HUD-a. Rozmawiam z dowódcami oddziałów Czerwonych i Szarych, koordynuję działania, podczas gdy Victra prowadzi nas przez labirynt metalowych korytarzy i kolejne

zasadzki. Gdy zespół natyka się na przeważające siły ochrony, wykorzystuję mapę, aby przekierować swoich ludzi do wind i przejść pozwalających ominąć zasadzki. To wymyślny taniec. Nie tylko ścigamy się z czasem i musimy uprzedzić zniszczenie okrętu Mustang, lecz także zdążyć przed powrotem grup abordażowych.

Roque doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Po mniej niż trzech minutach od naszej inwazji jego okręt zostaje zamknięty zgodnie z protokołem. Wszystkie grodzie opadają, główne windy i wagony zostają unieruchomione. Powstaje szereg zapór na pokładzie. Możemy przechodzić po pięćdziesiąt metrów. To przebiegły system, który spowalnia i więzi siły atakujących, podczas gdy oddziały ochrony z wirtualnymi kodami dostępu bez trudu przemieszczają się po okręcie, przygotowując pułapki lub ustawiają się tak, aby dopaść agresorów w krzyżowy ostrzał. Mogą nawet zatrzymać takie siły jak moje. Nie można tego po prostu przebić – to walka pozycyjna. Nieważne, jak się zmieniła technika, wszystko sprowadza się do tego samego – gdy człowiek czai się za węglem, a jego towarzysz broni leży po drugiej stronie przejścia w gotowości do strzału, myślą się tylko o tym, aby technologia otaczająca ciało nie nawaliła podczas podchodzenia do celu. To nie odwaga, lecz strach przed ośmieszeniem się w oczach przyjaciół zmusza do posuwania się naprzód.

Gdy przetapiamy kolejne grodzie, Walkirie Sefi padają w walce. Jesteśmy otoczeni. Najlepsze wojowniczki na świecie umierają z dymiącymi dziurami w pancerzach od strzałów Szarych, topią się od broni pulsacyjnej. Padają pod ostrzami Złotego z eskortą siedmiu Obsydianów, nim wreszcie Victra, Sefi i ja zabijamy ich przy pomocy ostrzy.

Wszystko tylko po to, aby dotrzeć na mostek. Aby dopaść człowieka, którego mogłem chwycić i zabić dzień wcześniej. Jeżeli właśnie taka jest cena honoru, to wolę bezwstydne morderstwo. Gdybym wczoraj przebił Roque'a nożem, dzisiaj Walkirie nie waliłyby się jak ścinane drzewa.

– Kobiety i mężczyźni z Floty Elity, mówi Kosiarz. Synowie Aresa dokonali abordażu na wasz okręt... – słyszę swój głos płynący z głośników na korytarzu. Jeden z moich oddziałów dotarł do węzła łączności bliżej rufy „Colossusa”. Każda grupa abordażowa ma nagrane przemówienie, które przygotowaliśmy z Mustang, aby je odtworzyć na zdobytych jednostkach. Ma przeciągnąć PodKolory do moich sił, skłonić do dezaktywacji procedury zamknięcia okrętu, jeżeli tylko mogą tego dokonać, otworzyć grodzie ręcznie, jeżeli nie mogą inaczej, oraz dotrzeć do zbrojowni. Większość załogi to weterani. Nie mogę oczekiwac, że uda mi się odbyć podobną rozmowę z załogą jak wtedy, na „Paxie”, ale każda pomoc może się przydać.

Przemówienie tylko częściowo odnosi skutek na „Colossusie”, ale dzięki temu i tak zyskujemy trochę czasu, gdyż udaje się minąć kilka grodzi w parę sekund,

zamiast czekać długie minuty, nim stalowe drzwi się stopią. Roque za to wyłącza sztuczną grawitację, gdy po obserwacji taktyki Obsydianów orientuje się, że nie mają doświadczenia w nieważkości.

Szarzy Elity przedzierają się jak foki pod wodą i biorą odwet na moich Obsydianach, teraz pozbawionych swojej przerażającej szybkości. W końcu jedna z moich grup przywraca grawitację. Każę zmniejszyć ciążenie do jednej szóstej ziemskiego, żeby Obsydianów nie spowalniały ciężkie skafandry bojowe. Dla naszych płuc i mięśni to wielka ulga.

Po przedarciu się przez kolejną grupę ochrony Szarych, skąpani we krwi, wreszcie docieramy do mostka. Przykłekam, dyszę ciężko, pot spływa ze mnie strumieniami. Włączam medpakiet, aplikuję sobie środek przeciwbólowy pod ciśnieniem, żeby nie czuć rany na bicepsie po ostrzu Złotego. Wstrzykuję też środek wzmacniający. Czuję ukłucie zastrzyku w udo. Inne grupy abordażowe meldują, że straciły wroga z oczu, co znaczy, że Roque zapewne wezwał ochronę do siebie, czyli na mostek.

Przeglądam się grodzi na mostek w jasno oświetlonym, kolistym przedionku i przypominam sobie, jak nauczyciel w Akademii demonstrował geometrię śmierci w tak zaprojektowanej przestrzeni, udaremniającej natarcie na mostek. Z trzech stron korytarze wiodą do okrągłej sali, włącznie z windą na jej środku. Nie da się tutaj ukryć i bronić, a żołnierze Roque'a już nadchodzą.

– Roque, skarbie – woła Victra do kamery w suficie, podczas gdy Holiday i jej grupa ustawiają na drzwiach wiertło termiczne. – Tęskniłem za tobą po spotkaniu w ogrodzie. Jesteś tam? – Wzdycha teatralnie. – Zakładam, że tak. Słuchaj, rozumiem. Myślisz, że musimy być na ciebie wściekli po zamordowaniu mojej matki, egzekucji przyjaciół, kulach w kręgosłupie, truciźnie i po roku tortur, ale nie o to chodzi. Myślisz, że chcemy zamknąć cię w pudełku? Może w kilku. Spodobałoby ci się. To przecież takie poetyckie.

Trzech żołnierzy Holiday przyciska magnetyczne klamry do drzwi i mocuje wiertło. Szara wbija kilka komend i wiertło zaczyna wirować.

Sefi wraca ze zwiadu. Hełm znika w kryzie pancerna.

– Wielu wrogów nadchodzi przez tunel. – Wskazuje na środkowy korytarz. – Zabiłem Złotego dowódcę, ale wielu innych Złotych idzie za nim.

Nie tylko zabiła dowódcę, przyniosła też jego głowę. Ale Sefi kuleje, a jej lewe ramię krwawi.

– O cholera, to Flagilus. – Victra ogląda głowę. – Chodziliśmy razem do szkoły. Bardzo miły chłopak. Wspaniały kucharz.

– Ilu nadchodzi, Sefi?

– Wystarczy, aby zapewnili nam dobrą śmierć.

– Szlag, szlag, szlag! – Holiday wali pięścią w drzwi.

– Są za grube, prawda? – wzdycham.

– Tak. – Szara zdejmuje hełm. Jej zaczesane na irokeza włosy oklapły na bok. Z napiętej twarzy spływa pot. To nie jest standardowa gródź jak na innych okrętach. Tę wyprodukowano na Ganimedesie, i to na zamówienie. Jest przynajmniej dwa razy grubsza niż normalnie.

– Ile potrwa jej stopienie? – pytam.

– Na pełnej mocy? Czternaście minut? – zgaduje Holiday z grymasem.

– Czternaście? – powtarza Victra z niedowierzeniem.

– Może dłużej.

Odwracam się, sycząc z gniewu. Obie kobiety wiedzą, że nie mamy nawet pięciu minut. Wywołuję Mustang. Żadnej odpowiedzi. Jej okręt pewnie dogorywa. Szlag jasny! Utrzymaj się przy życiu, dziewczyno! Po prostu zostań przy życiu! Dlaczego w ogóle spuściłem ją z oka?

– Będziemy z nimi walczyć – stwierdza Victra. – W korytarzu. Zwieją jak lisy przed ogarami.

– Tak. – Sefi znajduje w Victrze bratnią duszę po wspólnym przelewie krwi. Kto by pomyślał, że to możliwe, gdy obserwował je wcześniej? – Pójdę za tobą, córko słońca. Dla chwały.

– Olać chwałę – warczy Holiday. – Niech tylko wiertło wykona robotę.

– A co? Mamy tu siedzieć jak Pixie? – oburza się Victra.

Już chcę się odezwać, myślę nawet, co zrobić, ale wtedy rozlega się metaliczny zgrzyt, gdy z wizgiem ruszają hydrauliczne tłoki w ścianie i gródź na mostek się otwiera.

Rozdział czterdziesty ósmy

IMPERATOR

Wbiegamy na mostek, spodziewając się zasadzki. Ale wokół panuje spokój. Czyste, przyciemnione światła – jak lubi Roque. Beethoven płynie z ukrytych głośników. Wszyscy są przy swoich stanowiskach. Beznamiętne twarze rozjaśnione bladym światłem. Dwóch Złotych idzie po szerokiej metalowej kładce, wiodącej nad stanowiskami Niebieskich na szczyt mostka, gdzie stoi Roque i prowadzi bitwę przed trzydziestometrowym obrazem z wyświetlaczami holograficznymi. Okręty tańczą wśród detektorów. Otoczony ogniem Roque przechodzi przez obrazy i wydaje komendy jak dyrygent z pasją prowadzący orkiestrę. Jego umysł to piękna, przerzążająca broń. Niszczy nasze floty. Na „Dejah Thoris” płoną zbiorniki tlenu, a mimo to „Colossus” i trzy niszczyciele jego eskorty wciąż strzelają do okrętu Mustang. Ludzie i wyposażenie wylatują w przestrzeń niczym krew z rany. A to tylko drobna część wielkiego starcia. Spora część tej ogromnej floty ściga Romulusa, Oriona i Telemanusów, uciekających w stronę Jowisza.

Po lewej, dwadzieścia metrów dalej, bliżej zbrojowni podręcznej, oddział taktyczny Obsydianów i Szarych pilnuje ciężkiej broni i słucha poleceń swoich Złotych dowódców, którzy przygotowują się do obrony mostka przed moimi siłami.

A po prawej, tuż przy panelu sterowania, którym otwiera się pancerną gródź, niezauważona przez nikogo innego na mostku, drży drobna Różowa w białym uniformie stewarda. Kod otwarcia na wyświetlaczu przepustki lśni zielonkawo pod jej smukłymi palcami. Jej postać wydaje się mała i krucha na tle obrazów wojny. Ale kobieta spogląda wyzywająco, jej palec wciąż dorywa przycisku, którym otworzyła drzwi, a na twarzy ma najwspanialszy, pełen satysfakcji uśmiech, gdy zamyka je za nami.

Wszystko to trwa najwyżej trzy sekundy. Złoty dowódca oddziału ochrony dostrzega nas w tym momencie.

Wilki, choć są piękne, gdy wyją, zabijają w milczeniu. Dlatego wskazuję tylko w lewo. Obsydianki ruszają na żołnierzy prowadzonych przez Złotego. Dowódca krzyczy, ale zanim zdążą się odwrócić, już spada na nich Sefi. Nie mają nawet czasu podnieść broni. Sefi tańczy wśród nich z ostrzami, tnie przez twarze i kolana. Jej Walkirie nacierają na pozostałych. Tylko dwóm udaje się podnieść karabiny, ale wtedy ciało Złotego osuwa się z ostrza Sefi i upada bezwładnie na posadzkę.

Szarzy strzelają do nas z drugiej strony. Holiday i jej komandosi szybko się nimi zajmują. Chowam hełm w kryzę zbroi.

– Roque! – warczę, a moi ludzie kończą dobijać oddziały ochrony.

Odwraça się od bitwy. Patrzy na mnie. Wyniosła szlachetność i maska komendanta, który prowadzi floty z zimną krvią do zwycięstwa, opada. Pozostaje tylko zamarły ze zdumienia mężczyzna. Victra i ja ruszamy do niego po kładce. Niebiescy, przy stanowiskach po obu stronach mostka, patrzą na nas bez zrozumienia, ale z obawą, chociaż ich okrąg wciąż bierze udział w walce. W milczeniu dwoje Pretorianów staje nam na drodze. Oboje noszą czarno-purpurowe zbroje zdobione srebrnym półksiężycem rodu Lune. Ruszamy do równoległych pojedynków, Victra atakuje tego po prawej, ja kobietę po lewej. Pretorianka jest ode mnie niższa. Hełm ma schowany, włosy związane w ciasny kok, gotowa jest zdobyć laur sławy dla swojego rodu.

– Nazywam się Felicia au... – Udaję, że chcę uderzyć ją biczem ostrza w twarz, a kiedy unosi swoją klingę, Victra tnie od siebie przez brzuch kobiety. Kończę walkę elegancką dekapitacją.

– Żegnaj, Felicio. – Victra spluwa i odwraca się do drugiego Pretorianina. – Żadnego kręgosłupa u tej młodzieży. Jesteś z tej samej gliny?

Mężczyzna upuszcza ostrze i opada na kolana. Mamrocze, że się poddaje. Victra ma zamiar i tak go ściąć, ale podchwytuje wyraz mojej twarzy. Niechętnie przyjmuje kapitulację, kopie nieszczęśnika w twarz i przekazuje go Obsydiankom, które rozstawiają się taktycznie na mostku.

– Lubisz wiertła plazmowe? – pyta Victra, podchodząc do Roque'a z lewej. Pragnie zaspokoić swoją żądzę krwi. – To wręcz poetycka sprawiedliwość, że tak cię dopadliśmy, ty mały, sztywny gnojku.

Niebiescy wciąż obserwują, co się dzieje. Nie wiedzą, co robić. Grupy ochrony, które po nas przyszły, właśnie gromadzą się na korytarzu pod grodzią mostka, gdzie jeszcze niedawno sami staliśmy. Zostawiliśmy wiertło termiczne, ale przebiecie się potrwa jeszcze co najmniej dziesięć minut.

Komunikator przy uchu Roque'a szemrze od prośb o dalsze rozmowy. Eskadry wysłane do ataku dryfują teraz wystawione na strzał. Ich dowódcy, przyzwyczajeni do ciągłego prowadzenia, walczą na oślep. To największa wada strategii Roque'a. Indywidualna inicjatywa tworzy teraz chaos, ponieważ centralna inteligencja właśnie zamilkła.

– Roque, rozkaż swojej flocie zaprzestać wszelkich działań – żądam. Spływanie potem. Ściegna mam nadwyręzione. Ramiona drżą z wysiłku. Podchodzę ciężko krok bliżej. Buty tupią na stali. – W tej chwili.

Roque nie patrzy na mnie, lecz na Różową, która wpuściła nas na mostek. Głos Złotego rwie się jak u zdradzonego kochanka, nie pana.

– Amatheo... nawet ty?

Młoda kobieta nie jest ani trochę zawstydzona jego smutkiem. Prostuje się dumnie, a potem ściąga odznakę Róży z obroży, która znakuje dziewczynę jako własność rodu Fabii. Następnie odpina samą obrożę i upuszcza ją na podłogę.

Mój przyjaciel wzdraga się i nawet tego nie ukrywa.

– Ty romantyczny durniu – śmieje się Victra.

Podchodzę jeszcze bliżej. Moje buty zostawiają krwawe ślady na nieskazitelnie szarej podłodze. Wskazuję na wielki trójwymiarowy obraz za plecami Roque'a, w miejsce, gdzie gaśnie okrąg Mustang. Przez wybite dziury w kadłubie widać gwiazdy, a jednak niszczyciele nie przerywają ostrzału. Ustawiły się obok dziobu „Paxa”, trzydzieści kilometrów bliżej mojego zniszczonego okrętu niż Mustang.

– Każ im przerwać ogień! – Wymierzam w niego ostrze. Jego wciąż pozostaje przy biodrze. Roque wie, że nic nie zyska, jeśli spróbuje je wyciągnąć przeciwko mnie. – Już.

– Nie.

– To Mustang!

– Wybrała swój los.

– Ilu ludzi tam wysłałeś? – pytam zimno. – Ilu wysłałeś na „Paxę”, aby mnie tutaj sprowadzili? Dwadzieścia tysięcy? Ilu jest na tych niszczycielach?

Zsuwam osłonę z mojego unipada przyczepionego na lewym przedramieniu i wyświetlam diagnostykę reaktora na „Paxie”. Wszystkie wskaźniki pulsują na czerwono. Odcięliśmy chłodzenie, gdy opuszczaliśmy pokład, żeby reaktor zaczął się przegrzewać. Nieco podwyższona moc i temperatura zaczęła szybko rosnąć.

– Każ im przerwać ogień albo stracą życie.

Roque unosi drobny podbródek.

– Nie mogę z czystym sumieniem wydać takiego rozkazu.

Wie, co to oznacza.

– Zatem ta krew spadnie na nas obu.

Mój dawny przyjaciel unosi głowę.

– Cyrusie, przekaż niszczycielom, żeby wykonały manewr uniku.

– Za późno – prycha Victra, gdy podnoszę moc reaktora. Na wyświetlaczu mojego unipada obraz zaczyna drżeć gwałtownie, a jego poświata pada na nasze twarze. A na holo za plecami Roque'a z „Paxą” strzelają oślepiająco błękitne snopy płomieni. Niszczyciele pośpiesznie próbują wykonać rozkaz Imperatora. Przerywają ostrzał i przystępują do wykonania zwrotu, ale „Pax” wybucha w oślepiającym rozbłysku, który ogarnia pokłady i rozrywa okrąg, gdy energia się uwalnia. Fala uderzeniowa rzuca niszczycieli na siebie, miażdży ich kadłuby. „Colossus” drży, gdy zostaje pchnięty w kosmos, ale jego osłony wytrzymują. „Dejah Thoris” dryfuje bez światła na pokładzie. Mogę się tylko modlić, aby Mustang jeszcze żyła. Przygryzam sobie wewnętrzną stronę policzka – muszę się skupić.

– Dlaczego nie użyłeś naszej broni? – pyta Roque wstrząśnięty stratą ludzi i okrętów. Nie przewidział takiego podstępu. – Mogłeś je po prostu uszkodzić...

– Zachowuję tę broń na później – odpowiadam spokojnie.

– Na nic ci się nie przyda. – Roque odwraca się do mnie plecami. – Moja flota zniszczy twoją. Zdziesiątkuje ją, a potem wróci po „Colossusa”. I wtedy zobaczymy, czy uda ci się utrzymać mostek.

– Głupi Poeta – uśmiecha się Victra. – Nie zastanawiałeś się, gdzie jest Sevro? Tylko mi nie mów, że straciłeś go z oczu w tym zamieszaniu.

Skinieniem głowy wskazuje na holo, na którym Flota Elity ściga siły Władców Księżyków i Orion na tle ogromnej tarczy Jowisza.

– Zaraz się pojawi.

Kiedy bitwa się rozpoczęła, zewnętrzny satelita z czterech najbliższych Jowisza, Tebe, znajdował się daleko na orbicie. Ale gdy starcie się rozwijało, księżyc zbliżała się coraz bardziej. Wkrótce przetnie kurs moich wycofujących się okrętów, mniej niż dwadzieścia tysięcy kilometrów od Io. Prowadzone przez okręt flagowy Antonii siły ścigają, tak jak powinny, moją flotę, aby dokończyć dzieła zniszczenia. Nie spodziewają się jednak, że moje okręty od początku planowały ściągnąć pościg do Tebe, przysłowiowego czarnego konia.

Podczas gdy negocjowałem z Romulusem, drużyny Helldiverów drążyły jaskinie w nagiej skorupie księżyca. Teraz, gdy jednostki Roque'a mijają księżyc, Sevro i sześć tysięcy żołnierzy w kapsułach bojowych wylatuje z tych jaskiń. A z drugiej strony księżyca startuje dwa tysiące promów bojowych z pięćdziesięcioma tysiącami Obsydianów i czterdziestoma tysiącami wrzeszczących Czerwonych. Działka automatyczne strzelają seriami. Artyleria włącza się w ostatniej chwili. Lecz moje siły otaczają już wroga, przywierają do kadłubów okrętów jak chmary komarów z Księżyca, a potem wpuszczają na pokłady żołnierzy, którzy mają zdobyć je od środka.

Jednak nawet to zwycięstwo oparte jest na zdradzie. Romulus miał przygotowane promy abordażowe ze Złotymi – zaplanował, że wystartują z księżyca, więc będzie mógł przejąć okręty wroga, aby zrównoważyć moje łupy. Lecz mnie te okręty potrzebne są bardziej niż jemu. Ale Czerwoni i oddziały Sevra przy starcie zawalili otwory tuneli. Do czasu, gdy Romulus zorientuje się, że padł ofiarą sabotażu, moja flota będzie miała nad jego siłami przewagę liczebną.

– Nie mogłem ściągnąć cię do pasa asteroid, więc sprowadziłem dla ciebie jedną – wyjaśniam, gdy oglądamy rozwój bitwy.

– Dobrze rozegrane – szepcze Roque. Jednak obaj doskonale wiemy, że to przedsięwzięcie udaje się tylko dlatego, że mam pięćdziesiąt tysięcy Obsydianów. W całej Armadzie Mieczu nie ma ich więcej niż dziesięć tysięcy. A nawet mniej, może tylko siedem tysięcy. Co gorsza, skąd Roque miałby wiedzieć, że zebrałem aż tylu

olbrzymich wojowników, skoro wszystkie dotychczasowe ataki Synów Aresa prowadzili Czerwoni? Bitwy wygrywa się na wiele miesięcy przed starciem. Nigdy nie miałem dość okrętów, aby go pokonać. Jednak teraz moje okręty uciekają przed ostrzałem, a moi ludzie dokonują kolejnych abordaży na krążownikach. Powoli kolejne okręty Roque'a stają się moimi i zaczynają strzelać do jednostek własnych formacji. Nie można się przed tym obronić. Roque mógłby rozhermetyzować okręty, ale moi ludzie są na to przygotowani, mają maski tlenowe i buty magnetyczne. Roque zabije tylko swoich.

– Dzień jest stracony – mówię do Imperatora armady. – Ale wciąż możesz ocalić ludzi. Rozkaż swojej flocie zaprzestać działań.

Roque kręci głową.

– Zostałeś zapędzony do kąta, Poeto – dodaje Victra. – Nie ma wyjścia. Pora postąpić słusznie. Wiem, że dawno nie miałeś okazji.

– Miałbym zdeptać resztki swojego honoru? – szepcze Roque, gdy grupa dwudziestu żołnierzy w kapsułach bojowych przebija się do rufowego hangaru pobliskiego niszczyciela. – Nie sądzę.

– Honor? – syczy Victra. – Myślisz, że masz jeszcze jakiś honor? Byliśmy twoimi przyjaciółmi, a ty nas wydałeś. Nie na śmierć. Pozwoliłeś pozamykać nas w pudłach. Znosić elektrownstrząsy. Przypalanie. Tortury dzień i noc. Przez rok.

Trudno sobie wyobrazić, że ta jasnowłosa wojowniczka w twardej zbroi była jeszcze niedawno ofiarą. Jednak w oczach Victry przebija ten głęboki smutek, który pozostaje, gdy się spoglądało w otchłań i miało się poczucie odcięcia od reszty ludzkości. Głos dziewczyny rwie się od emocji.

– Byliśmy twoimi przyjaciółmi.

– Przysięgałem bronić Elity, Victro. Tę samą przysięgę złożyłaś i ty, gdy staliśmy przed swoimi zwierzchnikami i przyjęliśmy bliznę na twarzy. Przyrzekliśmy wtedy bronić cywilizacji, dzięki której społeczeństwo ludzkie zachowuje porządek. A spóźrz, co właśnie zrobiłaś. – Roque z odrazą zerka na Walkirie w sali mostka.

– Nie żyjemy w bajce, ty żałosny gnojku – prycha Victra. – Myślisz, że ty je obchodzisz? Albo Antonia? Szakal? Władczyni?

– Nie – przyznaje cicho Roque. – Nie mam takich złudzeń. Ale nie chodzi o Obsydianki. Nie chodzi o mnie. Nie każdy ma żyć w cieple i wygodzie. Czasami życie jest zimne, bo musimy spełnić swój obowiązek. Nawet jeżeli to rozdziela nas od tych, których kochamy. – Spogląda na nią ze współczuciem. – Nigdy nie będziesz kimś, kogo Darrow pragnie. Musisz o tym wiedzieć.

– Wydaje ci się, że jestem tu dla niego? – Victra unosi brwi.

Roque marszczy brwi.

– Więc chodzi o zemstę?

– Nie – krzywi się gniewnie. – Chodzi o coś więcej niż zemsta.

– Kogo próbujesz oszukać? – Roque wskazuje na mnie skinieniem głowy. – Jego czy siebie?

Victra nie jest przygotowana na to pytanie, wyraźnie czuje się zmieszana.

– Pomyśl o swoich ludziach – zmieniam temat. – Ilu jeszcze musi zginąć?

– Skoro tak bardzo troszczysz się o ich życie, rozkaż swoim, aby przerwali ogień – odgryza się Roque. – Niech wróćą na swoje miejsca i zaczną pojmować, że w życiu nie ma wolności. I wymaga ono poświęceń. Jeżeli każdy będzie brał wszystko, czego zapragnie, ile minie czasu, zanim nic nie zostanie?

Słuchanie tych słów z jego ust rani mi serce.

Mój przyjaciel zawsze chadzał własnymi drogami. Popływały go własne wewnętrzne przypływy i odpływy. W jego naturze nie leży nienawiść. W mojej również jej nie było. Nasze światy ukształtowały nas takimi, jakimi dzisiaj jesteśmy, a nasze cierpienie zrodziło się z pragnienia, aby naprawić szaleństwo tych, którzy byli tutaj przed nami i stworzyli świat według swoich wyobrażeń, a nas zostawili na ruinach swoich dzieł. Błyski eksplodujących okrętów odbijają się w źrenicach Roque'a, oblewając jego bladą twarz dziką luną.

– Wszystko to... – szepcze, gdy przeczuwa, że koniec jest bliski. – Czy była tak piękna?

– Tak. Była taka jak ty – przyznaje. – Marzycielka.

Roque jest zbyt młody, aby wyglądać tak staro. Gdyby nie bruzdy na jego twarzy i świat pomiędzy nami, mogłoby się wydawać, że zaledwie wczoraj ten chłopak klęczał przy mnie, gdy drżałem na posadzce zamku Marsa po zabiciu Juliana, i mówił mi, że gdy się zostanie rzuconym na głębinę, pozostaje tylko jeden wybór – pływać lub utonąć. Gdybym tylko wiedział, przez co przeszedł, kochałbym go jeszcze mocniej. Zrobiłbym wszystko, żeby utrzymać go u swojego boku i okazać miłość, na jaką zasługiwał.

Lecz życie to teraźniejszość i przyszłość, nie przeszłość.

Patrzymy na siebie, jakbyśmy stali na odległych brzegach, między nami spieniona rzeka burzyła się i ciemniała, a nasze twarze stawały się bladé jak odłamki księżyca wśród zapadającej nocy. Byliśmy bardziej wyobrażeniami chłopców niż mężczyznami, jakimi się staliśmy. Dostrzegam w jego twarzy, że podjął decyzję. Determinacja odcina go od tego życia.

– Nie musisz umierać.

– Straciłem największą flotę w historii. – Roque cofa się, dłoń zaciska na rękojeści ostrza. Za jego plecami na obrazie holo widać, jak pułapka Sevra pozwala przejąć główne siły Armady Mieczu. – Jak mogę żyć dalej? Jak mam znieść to upokorzenie?

– Znam upokorzenie. Patrzyłem na śmierć swojej żony. A potem sam zabijałem. Chciałem, żeby mnie powieszono, byle to zakończyć. Uciec od bólu. Od tamtej pory noszę w sobie poczucie winy. Nie ma od tego ucieczki.

– Serce mi krwawi za tym, kim byłeś – wzdycha Roque. – Za chłopcem, który patrzył, jak jego żona umiera. Serce mi krwawiło w tamtym ogrodzie podczas Triumfu. I krwawi teraz, gdy wiem, ile wszyscy wycierpieliście. Jednym ukojeniem było wypełnianie obowiązku, a teraz i to zostało mi odebrane. Wszystko, czemu starałem się zadośćuczynić, zdołałem tylko... stracić. Kocham Elitę. Kocham mój lud. – Głos mu łagodnieje. – Potrafisz to zrozumieć?

– Tak.

– Bo kochasz swój lud. – To nie osąd ani wybaczenie. To tylko uśmiech. – Nie mogę patrzeć na upadek mojego. Nie mogę patrzeć, jak spłonie.

– Tak się nie stanie.

– Owszem. Nasza epoka przemija. Czuję, że dni stają się krótsze. Blask gaśnie nad domeną człowieka.

– Roque...

– Pozwól mu – mówi Victra za moimi plecami. – Wybrał swój los.

Nienawidzę nawet teraz, gdy staje się taka zimna. Jak Victra może nie dostrzegać, że pomimo swoich uczynków to dobry człowiek? Wciąż jest naszym przyjacielem, choć tyle złego nam uczynił.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało, Victro. Wspominaj mnie życzliwie.

– Nic z tego.

Roque uśmiecha się do niej smutno, a potem zrywa odznakę Imperatora z lewego ramienia. Ścisła w dłoni ten symbol, z którego czerpał siłę, a potem ciska na ziemię. W oczach wzbierają mu łzy, gdy zrywa symbol z drugiego ramienia.

– Nie zasługuję na te skrzydła. Ale zyskam nieśmiertelną sławę za to, że poniosłem dziś klęskę. Sławę, jakiej ty nie osiągniesz dzięki temu wstremnemu zwycięstwu.

– Roque, wysłuchaj mnie. To nie koniec, lecz początek. Możemy naprawić to, co zepsuliśmy. Światy potrzebują Roque'a au Fabii. – Waham się. – Ja cię potrzebuję.

– Nie ma dla mnie miejsca w twoim świecie. Byliśmy braćmi, ale zabiłbym cię, gdybym tylko miał dość siły.

Śnię. Nie mogę zmienić układu sił, które działają wokół mnie. Nie mogę powstrzymać piasku, który przesypuje mi się między palcami. Wprowadził ten kołowy wydarzeń w ruch, ale nie miałem serca, siły, sprytu czy czegokolwiek, co by się przydało, aby to powstrzymać. Nieważne, co powiem lub zrobię, Roque był dla mnie stracony, gdy tylko dowiedział się, kim naprawdę jestem.

Podchodzę do niego z myślą, że przecież go nie zabiję, chcę tylko wytrącić ostrze, ale Roque zna moje zamiary i błagalnie wyciąga rękę. Jakby chciał mnie pocieszyć i prosić o łaskę, abym pozwolił mu umrzeć tak, jak żył.

– Zostań. Ciemność już na mnie opada. – Podnosi oczy pełne łez.

– Płyń, przyjacielu – mówię cicho.

Z lekkim skinieniem głowy przysuwa sobie ostrze do szyi i prostuje się dumnie.

– Jestem Roque au Fabii z rodu Fabii. Moi przodkowie zstąpili na czerwone piaski Marsa. Podbili Starą Ziemię. Przegrałem bitwę, ale nie siebie. Nie będę jeńcem. – Zamyka oczy. Dlonie mu drżą. – Jestem gwiazdą na nocnym niebie. Jestem ostrzem o zmierzchu. Jestem bogiem w chwale. – Z drżeniem nabiera tchu. Boi się. – Jestem Złotym.

I tam, na mostku swojego niepokonanego okrętu, gdy jego flota przegrywa w tle, Poeta Deimosa odbiera sobie życie. W oddali wyje wiatr, a ciemność szepcze, że tracę przyjaciół, tracę światło. Krew z ciała Roque'a spływa mi pod buty. Moja twarz odbija się w szkarłacie przy jego bezwładnych palcach.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

„COLOSSUS”

Victra nie jest wstrząśnięta. Przejmuje dowodzenie, gdy stoję nad ciałem. Roque patrzy w podługę martwym wzrokiem. Mnie krew łomocze w skroniach. Lecz wojna nie przestała się toczyć. Victra staje nad Niebieskimi przy stanowiskach w dole, rysy jej twarzy wyostrza determinacja.

– Czy ktoś zaprzeczy, że ten okręt należy teraz do powstania? – Nikt nawet nie piśnie. – Dobrze. Wykonujcie rozkazy, a zachowacie swoje stanowiska. Kto nie może wykonywać rozkazów, niech wystąpi teraz, a zostanie uznany za jeńca wojennego. Kto zostanie i przyrzeknie wykonywać rozkazy, a potem tego nie zrobi, straci żeb. Decydujcie.

Siedmioro Niebieskich odchodzi od konsoli. Holiday odprowadza ich z mostka.

– Witajcie w powstaniu – mówi Victra do pozostałych. – Bitwa nie została jeszcze wygrana. Dajcie mi bezpośrednie połączenie z „Lamentem Persefony” i „Tytanem”. Na główny ekran.

– Wstrzymuję ten rozkaz – przerywam szybko. – Victro, połącz się przez unipad. Nie chcę jeszcze rozmawiać, że przejąłem okręt flagowy. Jeszcze nie.

Victra kiwa głową i sięga po unipad. Orion i Daxo pojawiają się na holo. Niebieska odzywa się pierwsza.

– Victro, gdzie Darrow?

– Tutaj – zapewnia Victra. – Co z wami? Wiesz, co z Virginią?

– Jedna trzecia wrogiej floty została przejęta abordażem. Virginia znajduje się w kapsule ratunkowej, niedługo zabierze ją „Echo Ismeny”. Sevro walczy w korytarzach drugiego okrętu flagowego wroga. Melduje się od czasu do czasu. Posuwa się naprzód. Telemanusowie i Raa uderzają...

– Wyrównana walka – wtrąca się Daxo. – Przyda nam się „Colossus”, żeby zmienić układ sił. Ojciec i siostry dokonali abordażu „Pandory”. Szukają Antonii...

Ich rozmowy wydają się jak z innego świata.

Podchodzi do mnie Sefi. Klęka przy Roque'u.

– Ten człowiek był twoim przyjacielem.

Odrętwiały kiwam głową.

– Nie odszedł. Jest tutaj. – Sefi kładzie sobie rękę na sercu. – I tam. – Wskazuje na gwiazdy z obrazu holo.

Podnoszę na nią wzrok zaskoczony głębią, jaką właśnie ujawniła. Respekt, który okazuje Roque'owi, nie koi mojego bólu, ale sprawia, że rany wydają się mniej

bezsensowne.

– Pozwól mu zobaczyć. – Spogląda w otwarte oczy zmarłego. Czyste Złoto, martwo wbite w podłogę. Zdejmuję rękawicę i zamykam przyjacielowi powieki. Sefi uśmiecha się. Wstaję. Prostuję się przy niej.

– „*Pandora*” przemieszcza się ukośnie do sektora D-6. – Orion mówi o okręcie Antonii. Na holo jednostki Severus-Julii oddalają się od armady. Strzelają do siebie nawzajem, próbując się pozbyć promów i pokonać grupy abordażowe. „*Pandora*” zmienia ciąg silników, przesuwa tarcze i oddala się od formacji. – Teraz do D-7.

– Porzuca resztę. – Victra patrzy z niedowierzeniem. – Ta mała suka chce ratować własny tyłek.

Pretorzy Elity pewnie nie wierzą w to, co widzą. Nawet gdybym dołączył przeciw nim z „*Colossusem*”, siły pozostałyby wyrównane. Bitwa potrwałaby jeszcze ze dwanaście godzin i wykończyła obie formacje. Teraz jednak wszystko idzie w rozsypkę.

Nie wiem, czy to tchórzostwo, czy zdrada, ale Antonia właśnie podała nam zwycięstwo na tacy.

– Zostawiła nam wyrwę – mówi Orion. Jej spojrzenie staje się nieobecne, gdy Niebieska synchronizuje się z kapitanem i jej wielki okręt zajmuje miejsce w środku wrogiej formacji.

– Nie pozwólcie jej uciec! – warczy Victra.

Jednak ani Daxo, ani Orion nie mają wolnej jednostki, która mogłaby wyruszyć w pogoń za Antonią. Zresztą są zajęci wykorzystywaniem przewagi, jaką dała im jej nieobecność.

– Możemy ją złapać – mamrocze Victra do siebie. – Maszynownia, przygotować się na sześćdziesiąt procent ciągu, potem przyśpieszać o dziesięć procent co pięć minut. Nawigator, oblicz kurs za „*Pandorą*”...

Szybko oceniam sytuację. Od naszego małego starcia po krańce strefy wojny. Tylko „*Colossus*” pozostał w pełnej gotowości bojowej. Reszta dryfuje uszkodzona mniej lub bardziej. Jednak jak dotąd z okrętu flagowego nie padła jeszcze deklaracja, że mostek został przejęty przez powstanie. Nie podjęto też żadnych akcji. Co znaczy, że mamy okazję, której wcześniej nie brałem nawet pod uwagę.

– Wstrzymać się – rozkazuję.

– Nie! – Victra odwraca się do mnie gniewnie. – Darrow, możemy ją dopaść.

– Jest coś jeszcze, co musimy zrobić.

– Ale ona ucieknie!

– Dogonimy ją.

– Nie uda się, jeżeli odleci wystarczająco daleko. Będziemy tutaj zajęci przez wiele godzin. Obiecałeś mi Antonię.

– I dotrzymam obietnicy. Ale przestań myśleć tylko o sobie – syczę. – Mostek, podnieś osłonę.

Ignoruję wściekłe spojrzenie kobiety i przechodzę nad ciałem Roque'a, aby przyjrzeć się czerni kosmosu. Metalowa płyta chroniąca szyby iluminatorów wsuwa się pod kadłub. W oddali okręty migoczą i błyskają na tle marmurowej tarczy Jowisza. Io płynie pod nami, a daleko po lewej świeci księżyc-miasto Ganimedes, nie większy niż śliwka.

– Holiday, wezwij wszystkie grupy do ochrony mostka i zabezpiecz jednostkę. Sefi, upewnij się, że nikt nie przejdzie przez gródź. Sternik, kurs na Ganimedesa. Nie przekazywać żadnej jednostce, że mostek został przejęty. Niech to będzie jasne. Żadnych transmisji.

Niebiescy wykonują moje rozkazy.

– Na Ganimedesa? – Victra zerka na okręt swojej siostry. – Ale Antonia i bitwa...

– Bitwa jest wygrana. Twoja siostra o to zadbała.

– Więc co będziemy tam robić?

Silniki okrętu wibrują, gdy oddalamy się od rozproszonych szczątków „Paxa” i wraków grupy uderzeniowej Mustang.

– Wygrywać kolejną wojnę. Wybacz.

Ścieram krew z kolana i rozsmarowuję ją sobie po twarzy, potem wysuwam hełm, aby otoczył mi głowę. Włącza się HUD. Czekam. I, jak się spodziewałem, pojawia się wywołanie od Romulusa. Pozwalam, aby twarz Pana Io zamigotała po lewej stronie ekranu, udaję, że oddycham ciężko, jakbym biegł. Przyjmuję połączenie. Twarz Romulusa przesłania część wyświetlacza. Złoty walczy pod ostrzałem, ale niewiele więcej widać. Obraz ode mnie jest równie ograniczony. Widzimy tylko swoje twarze w hełmach.

– Darrow, gdzie jesteś?

– W korytarzach. – Dyszę i przykłękam, jakbym starał się nabrać tchu i trochę odsapnąć. – Przebijamy się na mostek „Colossusa”.

– Jeszcze tam nie dotarliście?

– Roque włączył procedurę zamknięcia. Bardzo utrudnia nam przejście.

– Darrow, słuchaj uważnie. „Colossus” zmienił kurs i kieruje się na Ganimedesa.

– Stocznie – szepczę z przerażeniem. – Ruszył na stocznie. Czy któryś z okrętów może przeciąć mu drogę?

– Nie! Żaden nie jest na pozycji. Octavia, skoro nie może wygrać, chce nas zrujnować. Te stocznie to przyszłość mojego ludu. Musisz przejąć mostek „Colossusa” za wszelką cenę!

– Tak zrobię... Ale, Romulusie, Roque ma głowice jądrowe w lądowniach. A jeżeli nie chodzi tylko o stocznie?

Romulus blednie.

- Powstrzymaj go. Twoi ludzie też tam są.
- Wiem. Zrobię, co będę mógł.
- Dziękuję, Darrow. I powodzenia. Pierwsza kohorta, do mnie...

Romulus się rozłącza. Chowam hełm. Ludzie patrzą na mnie uważnie. Nie słyszeli rozmowy, ale domyślają się już, co zamierzam zrobić.

- Zamierzasz zniszczyć stocznie wokół Ganimedesa – stwierdza Victra.
- O jasna kurwa – szepcze Holiday. – Jasna kurwa.
- Niczego nie zamierzam niszczyć – odpowiadam beznamiętnie. – Walczę i przebijam się przez grodzie w korytarzach. Próbuję dotrzeć na mostek. Roque wydał ten rozkaz, jako swój ostatni akt przemocy, zanim odebrałem mu dowodzenie.

Victrze oczy goreją, ale nawet ona ma pewne obawy.

– Jeżeli Romulus się o tym dowie, jeżeli zacznie choć podejrzewać, zacznie strzelać do naszych sił i wszystko, co dzisiaj zdobyliśmy, obróci się w popiół.

– A kto mu powie? – Rozglądam się po mostku. – Kto mu powie?

Spoglądam twardo na Holiday.

– Jeżeli ktoś spróbuje wysłać sygnał poza okręt, zastrzel go bez wahania.

Jeżeli zniszę stocznie Ganimedesa, Obrzeże nie będzie w stanie zagrozić nam przez pięćdziesiąt lat. Dzisiaj Romulus jest sojusznikiem, ale wiem, że jeżeli powstanie zwycięży, Władca Io spróbuje podbić Świąty Wewnętrzne. Skoro musiałem za zwycięstwo w tej bitwie stracić Roque'a i wydać Synów Aresa na Książycach Galileuszowych, wezmę coś w zamian. Spuszczam wzrok. Czerwone ślady ciągną się przez mostek. Nawet nie zauważylem, że wszedłem w kałużę krwi Roque'a.

Odbijamy od Jowisza w kierunku Ganimedesa. Wyczuwam pulsującą rozpacz, gdy Władcy Księżyków wysyłają do „Colossusa” najszybsze ze swoich promów abordażowych, żeby powstrzymać ten lot. Zestrzelujemy je bez trudu. Duma i nadzieję ludzi Romulusa kryją się w tym metalowym pierścieniu otaczającym Ganimedesa, w każdym nicie, każdym przewodzie, w każdym module. Wszystkie sny o potędze i przyszła niepodległość zależą ode mnie.

Kiedy zbliżam się do błyszczącego klejnotu, jakim jest ten księżyc, prowadzę „Colossusa” równolegle do zakładów przemysłowych, które zbudowano wokół orbity nad równikiem. Walkirie gromadzą się za nami przy panoramicznym oknie. Sefi przygląda się w niemym podziwie majestatowi i triumfowi woli Złotych. Dwieście kilometrów doków konstrukcyjnych. Setki holowników i frachtowców. Miejsce powstania najwspanialszych okrętów w Układzie Słonecznym, w tym również „Colossusa”. Jak każdy porządky potwór z mitu, dziecko musi najpierw pożreć matkę, żeby zyskać wolność i wyruszyć na spotkanie ze swoim prawdziwym przeznaczeniem. Tym przeznaczeniem jest prowadzenie ataku na Wnętrze.

– Zbudowali to ludzie? – pyta Sefi z cichym uwielbieniem. Wiele z jej Walkirii opadło na kolana i patrzą z podziwem na ten cud myśli technicznej.

– Mój lud to zbudował – podkreślam. – Czerwoni.

– Zajęło to dwieście pięćdziesiąt lat... Tyle ma najstarszy dok – dodaje Victra, która stoi obok mnie. Setki kapsuł ratunkowych wylatują z metalowego pancerza stoczni. Wszyscy wiedzą, dlaczego tutaj jesteśmy. Pracownicy administracji, starsi zarządcy i tym podobny personel właśnie się ewakuuje. Nie mam złudzeń. Wiem, kto zginie, gdy otworzę ogień.

– Na pewno jest tam tysiące Czerwonych – mówi do mnie cicho Holiday. – Pomarańczowych, Niebieskich... Szarych.

– Darrow o tym wie – odpowiada jej niewzruszenie Victra.

Holiday jednak nie odsuwa się ode mnie.

– Na pewno chcesz to zrobić, szefie?

– Czy chcę? – Mój głos wydaje się pusty. – Od kiedy to, czego chcemy, ma jakiekolwiek znaczenie dla biegu wydarzeń?

Odwracam się do sternika, żeby wydać rozkaz, ale Victra kładzie mi rękę na ramieniu.

– Podziel się, skarbie. To brzemię poniosę ja – mruczy.

A potem jej głos Aureatki dźwięczy czysto i głośno.

– Sternik, otworzyć ogień ze wszystkich działań oraz z wyrzutni od dwudziestej pierwszej do pięćdziesiątej. Cel: główny pierścień stoczni.

Stoimy ramię w ramię i przyglądamy się, jak ogromny okręt niszczy bezbronne doki. Sefi otwiera szeroko oczy w głębokiej czci. Oglądała nagrania z walk okrętów, ale do tej pory jej wojna ograniczała się do ciasnych, metalowych korytarzy i sal, do walk z ludźmi uzbrojonymi w karabiny i broń pulsacyjną. Ale oto po raz pierwszy Walkiria widzi na własne oczy, jakich zniszczeń może dokonać okręt wojenny. I po raz pierwszy dostrzegam w jej oczach strach.

To zbrodnia, że to wspaniałe dzieło ludzkich rąk musi zostać tak brutalnie zniszczone. Bez pieśni. W absolutnej ciszy pod niewzruszonymi gwiazdami. Zagłada ta zwiastuje koniec Złotego Wieku. I z zakamarków umysłu wypływa stara prawda, którą szepcze mi ciemność.

Śmierć przynosi śmierć, która przynosi śmierć...

Ogarnia nas smutek, którego nie chcę. Dlatego odwracam się do Sefi, kiedy za moimi plecami rozpadają się kolejne doki. Szczątki spadają na powierzchnię Ganimedesa, gdzie utoną w morzu lub uderzą w miasta.

– Ten okręt musi otrzymać nowe imię. – Patrzę w czarne oczy Walkirii. – Chciałbym, abyś ty je wybrała.

Na twarz Sefi pada oślepiające światło.

– „*Tyr Morga*” – mówi Walkiria bez wahania.

– Co to znaczy? – pyta Holiday.

Zerkam przez ramię w panoramiczne okno, za którym kolejna eksplozja rozrywa doki, a kapsuły ratunkowe zaczynają jarzyć się w atmosferze Ganimedesa.

– To znaczy Gwiazda Zaranna.

CZĘŚĆ CZWARTA

GWIAZDY

*Synu mój, synu mój,
Pamiętaj niewolę,
Gdy Złoci rządzili żelazną ręką.
Krzyczeliśmy, krzyczeliśmy,
Wołając o swoje,
Wołając o lepsze sny...
– Eo z Lykos*

Rozdział pięćdziesiąty

GRZMOT I BŁYSKAWICA

Armada Mieczu jest rozbita. Ponad połowa jej okrętów zniszczona. Jedna czwarta uległa abordażowi z moich okrętów. Niedobitki uciekły z Antonią lub w małych, poranionych grupkach i próbują pod dowództwem Pretorów, którzy przeżyli, wrócić jak najszybciej do Światów Wewnętrznych Układu Słonecznego. W pościg za Antonią wysłałem szybką korwetę pod dowództwem Victry oraz z Thraxą i jej siostrami na pokładzie. Mają nie tylko dorwać Antonię, lecz także oswobodzić Kavaxa, który został złapany podczas próby abordażu na „Pandorę”. Poprosiłem także Sevra, aby polecał z Victrą – myślałem, że miło im będzie razem. Sevro poszedł na okręt, jednak po półgodzinie wrócił, cichy i wściekły. Nie chciał powiedzieć, co się stało. Victra poleciała sama.

Mustang umiera z niepokoju o Kavaxa, choć stara się robić dobrą minę do złej gry. Najchętniej sama poprowadziłaby misję ratunkową, gdyby nie była potrzebna w głównych siłach naszej floty. Staramy się dokonać napraw, gdy tylko jest to możliwe, aby przygotować okręty do podróży powrotnej. Niszczymy wraki, których nie da się naprawić, i przeszukujemy rumowiska, aby sprawdzić, czy ktoś jeszcze ocalał. Wiadomo, że niepewny sojusz między powstaniem i Władcami Księzców nie potrwa już długo.

Nie spałem od bitwy – od dwóch dni. Romulus chyba też nie. Oczy ma pociemniałe od gniewu i wyczerpania. Jedenego dnia stracił ramię i syna, a na dodatek o wiele więcej. Żaden z nas nie zaryzykuje spotkania twarzą w twarz. Jedyne, co nam pozostało, to ta rozmowa przez holowizyjny system łączności.

– Zgodnie z obietnicą masz swoją niepodległość – mówię.
– A ty swoje okręty – odpowiada. Marmurowe kolumny ciągną się za plecami Romulusa, rzeźbione w postacie ptolemejskich wojowników. Znajduje się na Ganimedesie, w Wissącym Pałacu. Sercu jego cywilizacji. – Ale to nie wystarczy, aby pokonać Wnętrze. Pan Popiołów będzie na ciebie czekał.

– Oby. Mam plany wobec jego pani.

– Polecisz na Marsa?

– Wkrótce się dowiesz, gdzie poleczę.

Romulus zamysla się na chwilę.

– Niepokoi mnie jedna kwestia dotycząca bitwy.

Kiwam głową, aby zachęcić go do mówienia.

– Na żadnym z okrętów, które przejęli moi ludzie, nie znaleziono ani jednej głowicy jądrowej o sile rażenia większej niż pięć megaton. Pomimo twoich słów... i dowodów.

– Za to moi ludzie znaleźli ich całkiem sporo – kłamię. – Wejdź na pokład, jeśli wątpisz w moje słowo. Nie dziwi mnie, że załadowano je na „Colossusa”. Roque chciał je mieć przy sobie. Mamy szczęście, że zdołałem w końcu przejąć mostek. Stocznia można odbudować. Życia nie da się przywrócić.

– Czy one w ogóle istniały?

– Ryzykowałem przyszłość moich ludzi i opierał ją na kłamstwie? – Uśmiecham się bez radości. – Twoje księżyce są bezpieczne. Możesz być kowalem swego losu, Romulusie. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– W rzeczy samej – przyznaje, choć widzę, że przejrzał właśnie moje kłamstwo.

Wie, że został oszukany. Zmanipulowany. Jednak jest to kłamstwo, które będzie musiał ogłosić swoim ludziom, jeżeli pragnie pokoju. Romulus nie może sobie pozwolić na wojnę ze mną, nie w tej chwili. Gdyby wiedział na pewno, co zrobiłem, honor nakazywałby wyzwać mnie do walki. A gdyby jego ludzie wyruszyli na wojnę, prawdopodobnie poniesliby klęskę. Mam teraz więcej okrętów. Jednak siły Romulusa wyrządziły mi poważne szkody, a to by zrujnowało plany realnej wojny ze Światami Wewnętrznyimi. Dlatego Romulus przyjmuje moje kłamstwo. A ja przełykam wyrzuty sumienia i poczucie winy, że zostawiłem setki milionów ludzi w niewoli i osobiście podpisałem wyrok śmierci na tysiące Synów Aresa, których wydałem siłom porządkowym Romulusa.

– Chciałbym, aby twoja flota odleciała stąd przed końcem dnia.

– Przeszukanie wrakowisk zajmie trzy dni. Chcemy uratować tych, którzy ocaleli – wyjaśniam. – Potem odlecimy.

– Dobrze. Moje okręty będą eskortowały twoją flotę do granic, na które przystałeś. Kiedy twój okręt flagowy wejdzie w pas asteroid, nie będzie ci wolno nigdy wrócić. Jeżeli choć jeden okręt pod twoim dowództwem przekroczy tę granicę, oznaczać to będzie wojnę między nami.

– Pamiętam warunki porozumienia.

– Oby tak było. Przekaż moje pozdrowienia Światom Wewnętrznyim. Ja z pewnością przekażę twoje Synom Aresa, których tutaj pozostawiasz. – I Romulus zrywa połączenie.

* * *

Odlatujemy trzy dni po mojej rozmowie z Romulusem. Drobne naprawy przeprowadzamy już w trakcie podróży. Spawacze i mechanicy przeglądają z uwagą każdy centymetr kadłubów. Chociaż straciliśmy dwadzieścia pięć dużych

okrętów, zdobyliśmy ponad siedemdziesiąt. Odniosłem największe militarne zwycięstwo we współczesnej historii, jednak zwycięstwa okazują się mniej romantyczne, gdy podnosi się ciało przyjaciela z podłogi.

Łatwo być odważnym przez chwilę, ponieważ wystarczy tylko reagować na to, co się dzieje tu i teraz – na to, co się widzi, czuje, smakuje... A to bardzo niewiele. Jednak potem wracają wspomnienia, coraz wyraźniejsze i bardziej szczegółowe, i wtedy uderza prawdziwa groza tego, co się zrobiło i co się wydarzyło. To przytaczające. W tym właśnie kryje się przekleństwo kosmicznej wojny. Walczy się, a potem spędza miesiące na czekaniu i wykonuje wyłącznie nudne, rutynowe obowiązki. A potem znowu się walczy.

Nie powiedziałem jeszcze moim ludziom, dokąd lecimy. Sami mnie nie pytają, ale robią to ich oficerowie. Wszystkim odpowiadam to samo:

– Tam, gdzie musimy.

Trzonem mojej armii są Synowie Aresa, którzy doświadczyli już trudnych warunków i wysiłków. Organizują tańce i zebrania, zmuszają się do radości po wojennym trudzie. Wydaje się, że to działa. Kobiety i mężczyźni pogwizdują na korytarzach, gdy oddalamy się od Jowisza. Wyszywają symbole jednostek na swoich uniformach i malują kapsuły bojowe w dzikie, psychodeliczne barwy. Wśród ludzi wyczuwa się ożywienie, tak różne od zimnej precyzji we Flocie Elity. Mimo to wszyscy trzymają się ze swoimi Kolorami, a mieszają się tylko wtedy, gdy dostaną takie polecenie. Nie panuje tu harmonia, jakiej oczekiwaliem, ale zawsze to jakiś początek. Czuję się oderwany od tego, chociaż uśmiecham się i przewodzę najlepiej, jak potrafię.

Zabiłem dziesięciu ludzi w korytarzach. Kolejne trzynaście tysięcy, gdy zniszczyłem stocznie. Twarze zabitych nie nawiedzają mnie ani na jenie, ani w snach, lecz trudno mi się pozbyć zgrozy.

Nie zdołaliśmy jak dotąd skontaktować się z Synami Aresa. Na wszystkich pasmach panuje cisza. Co znaczy, że Żywemu Srebru udało się zniszczyć przekaźniki. Złoci i Czerwoni są teraz tak samo ślepi.

Sprawiam Roque'owi pochówek, jakiego by pragnął. Nie w ziemi jakiegoś zapomnianego księcyca, ale w Słońcu. Trumna jest metalowa – to torpeda, w której ja i Mustang złożyliśmy mojego przyjaciela. Wyjce przemyciły jego ciało z przepakowanej kostnicy. Wszystko w tajemnicy. Tak wielu naszych zginęło, że nie wypadało ujawniać, że tak bardzo troszczę się o wroga.

Niewielu opłakuje śmierć mojego przyjaciela. Jeśli już Elita zapamięta Roque'a, to tylko jako tego, który stracił największą flotę w historii. Współczesnego Gaiusa Terentiusa Varro, głupca, który pozwolił, aby Hannibal otoczył go w bitwie pod Kannami. Dla moich ludzi Roque jest po prostu kolejnym Złotym, który uważa się za nieśmiertelnego dopóty, dopóki Kosiarz nie udowodnił mu, że jest inaczej.

Człowiek się czuje bardzo samotny, gdy niesie ciało kogoś kochanego i zmarłego. Jak wazon, do którego już nigdy nie włoży się bukietu kwiatów. Chciałbym, żeby Roque wierzył w życie pozagrobowe tak mocno, jak Ragnar i kiedyś ja. Nie jestem pewien, kiedy straciłem tę wiarę. Może opadała ze mnie kawałek po kawałku, a ja wciąż udawałem, że wierzę w Dolinę, ponieważ było to łatwiejsze niż alternatywa? Chciałbym, aby Roque myślał, że po śmierci trafi do lepszego świata. Lecz mój przyjaciel wierzył tylko w Złoto, a nic, co wierzy tylko w siebie, nie może kroczyć szczęśliwie w mrok.

Kiedy nadchodzi moja kolej, aby się pożegnać, patrzę w twarz Roque'a i nie dostrzegam nic, tylko wspomnienia. Oczyma duszy widzę go na łóżku, jak czyta przed galą, zanim nafaszerowałem go środkiem usypiającym. Widzę go w garniturze, gdy błaga mnie i Mustang, abyśmy poszli z nim do opery w Agei, i zapewnia, że opowieść o Orfeuszu na pewno mi się spodoba. Widzę go, gdy się śmieje przy kominku w posiadłości Augustusów po bitwie o Marsa. Pamiętam, jak obejmował mnie i płakał, gdy wróciłem do Domu Mars – byliśmy wtedy ledwie niedorostkami.

A teraz jest zimny. Oczy ma podkrązone. Wszystkie obietnice młodości znikły. Nie ma już możliwości założyć rodziny i doczekać się dzieci. Nie pozna już radości, nie zestarzeje się z ukochaną, nie zmądrzeje. A wszystko to przeze mnie. Przypomina mi się Tactus i w oczach wzbierają mi łzy.

Moim przyjaciołom, zwłaszcza Wyjcom, niezbyt się podoba, że pozwoliłem przyjść na pogrzeb Cassiusowi. Ale nie mógłbym znieść myśli, że wysyłam Roque'a w Słońce bez pocałunku Bellony na pożegnanie. Cassius ma spętane łańcuchem nogi, a ręce unieruchomione z tyłu magnetycznymi kajdankami. Uwalniam mu dlonie, żeby mógł się pożegnać jak należy. I Cassius tak właśnie czyni. Pochyla się i całuje Roque'a w czoło.

Sevro, nawet teraz pozbawiony współczucia, zatrzaszczy metalową pokrywę, gdy tylko Cassius się cofa. Podobnie jak Mustang, Sevro przyszedł na pogrzeb tylko dla mnie – na wypadek gdybym go potrzebował. Ten mały Złoty nie ma współczucia ani żadnych ciepłych uczuć dla kogoś, kto zdradził mnie i Victrę. Dla Sevra liczy się tylko lojalność. A w jego przekonaniu Roque nie miał jej ani trochę. Mustang czuje podobnie jak Sevro. Roque zdradził ją równie chętnie jak mnie. Przez niego straciła ojca. A chociaż dziewczyna potrafi zrozumieć, że Augustus nie był najlepszym z ludzi, jednak pozostał jej ojcem.

Przyjaciele oczekują, że coś powiem. Jednak cokolwiek bym powiedział, na pewno ich rozgniewa. Dlatego za radą Mustang oszczędzam im zniewagi, jaką byłoby wysłuchiwanie mowy pochwalnej dla człowieka, który podpisał na nich wyrok śmierci. Recytuję jedynie fragment starego wiersza, jednego z ulubionych Roque'a.

Już cię nie strwożę pożogi słońca
Ni zimy ostre podmuchy;
Wziąłeś zapłatę u prac twych końca,
Poszedłeś spocząć w dom głuchy.
Jasna dziewczyna, kominiarz czarny,
Wszystko się w popiół obróci marny.

– *Per aspera ad astra* – szepczą moi Złoci przyjaciele, nawet Sevro. I po naciśnięciu guzika Roque znika z naszego życia, aby rozpocząć ostatnią podróż, w której dołączy do Ragnara i pokoleń wojowników spadających na Słońce. Potem wszyscy wychodzą. Tylko Mustang zostaje ze mną. Patrzy jednak na Cassiusa odprowadzanego przez uzbrojonych strażników.

- Co zamierzasz z nim zrobić? – pyta, gdy jesteśmy już sami.
- Nie wiem. – Denerwuje mnie, że zapytała o to właśnie teraz.
- Darrow, dobrze się czujesz?
- Świeetnie. Wolałbym jednak zostać sam.
- Dobrze. – Ale nie odchodzi, staje blisko mnie. – To nie twoja wina.
- Powiedziałem, że chcę być sam.
- To nie twoja wina.

Patrzę na nią ze złością, że nie odeszła, ale kiedy napotykam łagodne, szczerze spojrzenie, czuję, że ucisk w sercu puszcza. Łzy zaczynają mi płynąć po policzkach. Nie mogę ich powstrzymać.

– To nie twoja wina. – Mustang przyciąga mnie blisko, gdy wstrząsa mną pierwszy szloch. Obejmuje mnie w pasie i opiera mi głowę na piersi. – To nie twoja wina.

* * *

Później wieczorem przyjaciele i ja spotykamy się na kolacji w jadalni, którą odziedziczyłem po Roque'u. To dość ciche spotkanie. Nawet Sevro nie ma wiele do powiedzenia. Jest milczący od odlotu Victry, coś wyraźnie go gryzie. Trauma ostatnich kilku dni daje się we znaki nam wszystkim. Jednak tylko tych kilkoro ludzi wie, dokąd zmierzamy, i jest to wiedza, która stanowi o wiele większe brzmię niż to dźwigane przez zwykłych żołnierzy.

Mustang chce ze mną zostać, ale to niepotrzebne. Muszę mieć trochę czasu dla siebie, żeby pomyśleć. Dlatego zamykam za nią cicho drzwi i zostaję sam. Nie tylko przy stole w moich nowych kwaterach, lecz ze swoją żałobą. Przyjaciele przyszli na pogrzeb Roque'a ze względu na mnie, nie na niego. Tylko Sefi szczerze przeżywała jego odejście, ponieważ podczas naszej podróży na Jowisza poznała mestwo

Roque'a w walce i po prostu szanowała go tak, jak nikt inny chybicie nie umiał. Jednak tylko ja kochałem Roque'a tak mocno, jak na to zasługiwał.

Kwatery Imperatora wciąż nim pachną. Przesuwam dlonią po grzbietach starych książek na półkach. Osmalony kawałek metalu z okrętu polatuje w szklanej gablocie. Kilka innych trofeów wisie na ścianie. Podarunki od Władczyni „Za heroizm w bitwie o Deimosa” i od ArcyGubernatora Marsa „Za obronę Elity Aureatów”. „Tragedie tebańskie” Sofoklesa leżą otwarte przy łóżku. Nie obróciłem nawet strony. Niczego nie ruszałem. Jakbym przez pozostawienie tego miejsca w nienaruszonym stanie mógł zachować Roque'a przy życiu.

Kładę się spać, ale sen nie przychodzi. Długo patrzę w sufit. Wreszcie wstaję, nalewam sobie trzy palce szkockiej z barku i próbuję oglądać filmy z kolekcji. Holosieć nie działa dzięki wojnie hakerów. Wywołuje to uczucie odseparowania od reszty ludzkości.

Dlatego przeszukuję komputer pokładowy – znajduję stare programy, seriale o kosmicznych piratach, holofilmy o szlachetnych Złotych rycerzach, Obsydianowych łowcach nagród czy perypetiach Fioletowego muzyka na Wenus. A potem natrafiam na menu z ostatnio odtwarzanymi holonagraniami. Większość otwierano w nocy przed bitwą.

Serce mi bije ciężko, gdy przeglądam zestaw tytułów. Mam wrażenie, jakbym miał przed sobą cudzy pamiętnik. Znajduję tutaj różne wykonania ulubionej opery Roque'a, „Tristan i Izolda”, ale większość to nagrania z naszego pobytu w Instytucie. Siedzę przed komputerem z uniesioną dlonią. Już mam kliknąć, żeby włączyć listę odtwarzania, ale coś mnie powstrzymuje. Wreszcie przez komunikator wywołuję Holiday.

- Śpisz?
- Już nie.
- Wyświadcz mi przysługę.
- Jak zwykle, co?

* * *

Dwadzieścia minut później Cassius w kajdankach na rękach i kostkach, powłócząc nogami, wchodzi do pokoju. Eskortuje go Holiday i trzech Synów Aresa. Przepraszam ich za kłopot. Skinieniem głowy dziękuję Holiday.

- Resztą mogę się zająć sam.
- Wybacz, wodzu, ale to niezupełnie prawda.
- Holiday.
- Będziemy tuż za drzwiami.
- Możecie wracać do łóżek.

- Po prostu zwołaj, gdybyś czegoś potrzebował, szefie.
- Masz tu żelazną dyscyplinę, jak widzę – mówi Cassius sztywno po wyjściu Holiday. Stoi w okrągłym marmurowym atrium i zerka na rzeźby. – Roque zawsze lubił ozdabiać swoje kwatery. Niestety, miał gust dziewięćdziesięcioletniej wielbicielki klasyki.
- Urodził się o trzy tysiące lat za późno, co? – wzdycham.
- Zawsze uważałem, że nie podobałyby mu się rzymskie toggi. Paskudna moda, szczerze mówiąc. Za czasów mojego ojca próbowało ją przywrócić. Zwłaszcza podczas zakrapianych imprez i śniadań w popularnych wtedy klubach. Widziałem zdjęcia. – Cassius wzdryga się. – Okropność.
- Pewnego dnia ktoś tak powie o wysokich kołnierzach. – Dotykam swojego. Cassius zerka na szklankę w mojej dłoni.
- To spotkanie towarzyskie?
- Niezupełnie.
Prowadzę go do salonu. Porusza się powoli i niezdarnie w czterdziestokilogramowych butach więziennych, ale i tak pasuje bardziej do tego pokoju niż ja. Nalewam mu szkockiej, a on siada na sofie. Unosi brwi, gdy podaję mu szklankę. Nadal spodziewa się, że to pułapka.
- Doprawdy, Darrow? Trucizna? To nie w twoim stylu.
- To Lagavulin. Lorn podarował ją Roque'owi po obronie Marsa.
- Nigdy nie lubiłem ironii – mruczy Cassius. – Za to whiskey... – Unosi szklaneczkę.
- Porządną.
- Przypomina mi ojca. – Przymykam oczy, wsłuchując się w kojący szum wentylacji pod sufitem. – Chociaż to, co pił, nadawało się tylko do czyszczenia metalu i mordowania neuronów.
- Ile miałeś lat, gdy umarł?
- Chyba sześć.
- Sześć... – Cassius przechyla w zamyśleniu szklankę. – Mój ojciec nie pił w samotności. Czasami jednak znajdował go na ulubionej ławce. Blisko takiej krętej ścieżki na zboczu Mons. Pił właśnie taką whiskey. – Przygryza wewnętrzną stronę policzka. – To były moje ulubione chwile z ojcem. Opowiadał mi o drzewach, które rosły na stoku. Kochał drzewa. Wyjaśniał mi, co gdzie rośnie i dlaczego właśnie tam, jakie gatunki ptaków najczęściej gniazdują na określonych gatunkach drzew. Zwłaszcza w zimie. Chodziło o to, jak wyglądają na zimnie... Nigdy w zasadzie go nie słuchałem. A szkoda.
- Dopija trunek. Na pewno rozróżnia odcienie smaku – torf, grejpfrutową nutę na języku, kamień ze Szkocji. Sam nie czułem nic poza dymem.
- Czy to zamek Marsa? – Cassius skinieniem głowy wskazuje holograficzny obraz nad konsolą Roque'a. – Na Jowisza. Wydaje się taki malutki.

- Nie dorównuje nawet rozmiarom silników niszczyciela – przyznaję.
- Zdumiewające, jak zmienia się perspektywa, gdy rosną oczekiwania wobec życia.

Śmieję się.

- Mnie się zawsze wydawało, że Szarzy są wysocy.
- No cóż... – Cassius uśmiecha się złośliwie. – Jeżeli miarą byłby Sevro... Zaraz jednak poważnie.
- Chciałem ci podziękować... za sprowadzenie mnie na pogrzeb. To było... zaskakująco przyzwoite z twojej strony.

- Zrobiłeś to samo.
- Hm... – Wcale nie jest taki pewny. – To konsola Roque'a?
- Tak. Przeglądałem katalog jego nagrań. Wiele razy oglądał te filmy. Nie strategie ani bitwy z innymi rodami, lecz coś o wiele spokojniejszego. No wiesz.
- Oglądałeś to?
- Wolałem poczekać na ciebie.

Zaskakuję go, moja gościnność wzbudza podejrzliwość Cassiusa.

Dlatego naciskam guzik odtwarzania i przenoszę nas do czasów, gdy byliśmy chłopcami w Instytucie. Początkowo trochę nas to krępuje, ale whiskey szybko nas rozluźnia – śmiech przychodzi łatwiej, cisza staje się głębsza. Oglądamy noce, gdy nasze plemię piekło jagnię w północnych zaspach. Kiedy przemierzaliśmy wyżyny i słuchaliśmy opowieści Quinn przy ognisku.

- Poçałowaliśmy się tamtej nocy – wyznaje Cassius, gdy Quinn na ekranie kończy opowieść o swojej babce i jej czwartej próbie zbudowania domu bez pomocy architekta, w skalnej dolinie, czterysta kilometrów od cywilizacji. – Właśnie wsuwała się do śpiwora, gdy powiedziałem, że usłyszałem jakiś hałas. Poszliśmy sprawdzić. Kiedy odkryła, że rzucałem kamyki, abyśmy oddalili się od reszty i byli sami, wiedziała, czego chciałem. Tego uśmiechu. – Parska z wesołości. – I tych nóg. Takich, którymi można kogoś mocno objąć. Wiesz, o co mi chodzi? – Śmieje się dalej.
- Ale mama zaprotestowała. Spoliczkowała mnie i odepchnęła.

- Nie była łatwa – mówię, także pogrążony we wspomnieniach.
- Nie. Ale obudziła mnie tuż przed świtem i poçałowała mnie. Raz czy dwa. Na jej warunkach, oczywiście.

- I to byłby pierwszy raz, gdy rzucanie kamieni w ciemność podziałało na kobietę.
- Nie masz pojęcia, jak skutecznie.

Nie miałem pojęcia, że to w ogóle się zdarzyło. Na ekranie Roque i Cassius próbują złapać razem rybę, tyle że Quinn popycha Cassiusa od tyłu. Cassius obok mnie pociąga duży łyk trunku, gdy jego młodsza wersja rozchlapuje wodę i próbuje wciągnąć do kąpieli Quinn. Oglądamy osobiste wspomnienia z czasów, gdy Roque zakochał się w Lei i gdy razem przekradali się w ciemności na równiny. Ich dlonie

muskały się niewinnie, gdy zatrzymali się, aby nabrać wody. Fitchner obserwował ich zza kępy drzew i notował w unipadzie swoje wnioski. Przyglądamy się, jak po raz pierwszy Roque i Lea śpią razem pod jednym pledem i jak zabrał dziewczynę na wyżyny, gdzie skradł jej pocałunek, a zaraz potem usłyszał buty Antonii i Vixusa, którzy wynurzyli się z mgły z noktowizorami na twarzach.

Zabrali Leę, a kiedy Roque walczył, zrzucili go ze zbocza. Złamał sobie ramię i wpadł do rzeki. Gdy wrócił po trzech dniach pieszej wędrówki, dowiedział się, że zginąłem z ręki Szakala. Roque opłakiwał mnie i poszedł nawet odwiedzić grób Lei, który sam jej wykopałem. Znalazł jednak tylko rozwalony kopiec – wilki wywlokły ciało spod kamieni. Rozplakał się wtedy. Cassius staje się coraz bardziej ponury, gdy to ogląda. Wyraz jego twarzy przypomina mi tamten, kiedy wrócił z Sevrem i odkrył, co zrobiono Lei i Roque'owi. Może nawet ma poczucie winy, że sprzymierzył się z Antonią.

Jest więcej nagrań, więcej drobnych spraw, o których dowiaduję się dopiero teraz. Jednak według zapisów w pamięci holoprojektora najczęściej oglądany był film, na którym Cassius powiedział, że znalazł dwóch nowych braci i zaproponował nam stanowiska Lansjerów rodu Bellona. Wyglądał wtedy na ogromnie szczęśliwego i pełnego wiary w przyszłość. Tak się cieszył, że żyje. Jak my wszyscy zresztą. Nawet ja, chociaż wypełniałem tylko swoją misję. Moja zdrada, jeśli przyjrzeć się jej z dystansu, wydaje się jeszcze potworniejsza.

Napełniam Cassiusowi szklankę. Zamilkł w poświatie obrazów z filmów. Roque właśnie odjeżdża od nas na swojej nakrapianej szarej klaczy i w zamyśleniu spogląda na wodze.

– Zabiiliśmy go – mówi cicho Cassius. – To była nasza wojna.
– Doprawdy? – krzywię się. – Nie stworzyliśmy tego świata. I nawet nie walczymy we własnym imieniu. Roque też nie walczył za siebie. Walczył za Octavię i za Elitę, która nawet nie zauważa jego poświęcenia. Jego śmierć zostanie wykorzystana politycznie. Elita będzie go winić. Roque umarł dla niej, a stanie się tylko chłopcem do bicia. – Cassius wyczuwa pogardę. Wcale jej nie kryzę. Znam jego największy lęk. Cassius boi się, że nikogo nie obejdzie, jak żył. I że ta szlachetna idea honoru i dobrej śmierci... to się liczyło w starym świecie. Nie w tym.

– Ile to potrwa? – pyta w zamyśleniu. – Ta wojna?
– Między nami czy ze wszystkimi?
– Między nami.
– Dopóki serce jednego z nas nie przestanie bić. Czy nie tak powiedziałeś?
– Zapamiętałeś – mruczy. – A ze wszystkimi?
– Aż nie będzie już Kolorów.
Parska śmiechem.
– No, świetnie. Uderzyłeś poniżej pasa.

Patrzę, jak kręci trunkiem w szklance.

– Gdyby Augustus nie postawił mnie na Chrzcie z Julianem, jak myślisz, co by się stało?

– To bez znaczenia.

– Mimo to powiedz.

– Nie wiem – odpowiada ostro. Dopija whiskey i nalewa sobie kolejną porcję, zaskakując zręcznie pomimo kajdanków. Przygląda się szklance z irytagią. – Ty i ja nie jesteśmy tacy jak Roque albo Virginia. Nie znamy się na niuansach. Wszystko, co masz, to grzmot. Wszystko, co mam ja, to błyskawica. Pamiętasz to gówno, które powtarzaliśmy, gdy malowaliśmy sobie twarze i jeździliśmy dookoła jak idioci? To absolutna prawda. Możemy być posłuszni tylko temu, co jest w nas. Bez burzy? Ty i ja? Jesteśmy tylko ludźmi. Ale wystarczy choćby najmniejszy sztorm... Najmniejszy konflikt... wtedy zaczynamy grzmieć i błyskać. – Drwi z górnolotności swoich słów, mroczny, autoironiczny uśmiech wykrzywia mu wargi.

– Naprawdę tak uważasz? – pytam cicho. – Wierzysz, że jesteśmy skazani na ten brak wyboru i możemy być tylko jednym albo drugim?

– Ty nie?

– Victra też tak o sobie powiedziała. – Wzruszam ramionami. – Założyłbym się o każdą stawkę, że taka nie jest. Że nikt z nas nie jest.

Cassius sięga po butelkę i napełnia moją szklankę.

– Wiesz, Lorn zawsze mówił, że znalazł się w pułapce przez wybory, których dokonał, aż w końcu miał wrażenie, że nie żyje własnym życiem. Jakby za plecami coś spychało go z wymarzonej ścieżki, zmuszało, żeby zboczył. W końcowym rozrachunku cała jego miłość, życzliwość, rodzina... nic nie miało znaczenia. Zginał tak, jak żył.

Cassius widzi więcej niż tylko wątpliwość w mojej teorii. Wie, że mógłbym porozmawiać o tym z Mustang albo z Sevrem, nawet ze zmienną Victrą. Chociaż jednak się różnimy, Cassius dostrzega głębsze znaczenie w moich słowach, ponieważ pod wieloma względami jego nić życia jest bardzo podobna do mojej.

– Sądzisz, że idziesz na śmierć – stwierdza.

– Jak zwykły mówić Lorn, na koniec trzeba zapłacić rachunek. A koniec jest bliski.

Cassius spogląda na mnie łagodnie, zapomniawszy o whiskey. Ta intymna bliskość jest głębsza, niż chciałem. Dotknąłem jego umysłu. Może on także czuł, że zmierza na swój własny pogrzeb.

– Nigdy nie myślałem, jaki musiałeś dźwigać ciężar – odzywa się ostrożnie. – Przez ten cały czas, kiedy żyłeś między nami. Lata. Nie mogłeś z nikim porozmawiać, prawda?

– Zbyt duże ryzyko. Taka rozmowa byłaby zresztą zabójcza. Hej, jestem szpiegiem Czerwonych.

Cassius się nie śmieje.

– Wciąż nie możesz. I właśnie to cię zabija. Jesteś wśród swoich, a czujesz się jak obcy.

– Niestety, tak się stało – przyznaję i unoszę szklankę. Waham się, ile jeszcze mu wyznać, ale trunek mnie otwiera. – Trudno mi z kimkolwiek rozmawiać. Każdy jest w jakiś sposób kruchy. Sevro przez śmierć ojca i konieczność troski o ludzi, których ledwie zna. Victra uważa się za przebiegłą i udaje, że chodzi jej tylko o zemstę. Jakby była przesiąknięta trucizną. Myślą, że znam drogę. Że miałem wizję przyszłości ze względu na moją żonę. Lecz już nie czuję tego tak, jak kiedyś. A Mustang... – urywam sklepiony.

– Mów. Co z nią? No mów, człowieku. Zabiłeś mojego brata. Ja zabiłem Fitchnera. Sytuacja już jest niezręczna.

Krzywię się, bo ta sytuacja naprawdę jest nienormalna.

– Mustang stale mnie obserwuje. Jakby chciała sprawdzić, ile jestem wart. I czy pasuję.

– Do czego?

– Do niej. Do tego. Nie wiem. Mam wrażenie, że sprawdziłem się na biegunie, ale nic się nie zmieniło. – Wzruszam ramionami. – Ty masz tak samo, prawda? Służysz Władczyni, dla jej przyjemności, chociaż Aja zabiła Quinn. Spełniasz... oczekiwania matki. A teraz siedzisz tutaj z kimś, kto odebrał ci dwóch braci.

– Karnusa mogę ci darować.

– W domu musiał być prawdziwym zagrożeniem.

– Nawet mnie lubił, gdy byłem dzieckiem – przyznaje Cassius. – Wiem, trudno w to uwierzyć, ale był moim bohaterem. Pozwalał mi czasami ćwiczyć razem z nim. Zabierał na wycieczki. Na swój sposób uczył mnie o dziewczynach. Ale dla Julianego nie był taki miły.

– Mam starszego brata, Kieranę.

– Masz. Czyli żyje?

– Jest mechanikiem u Synów Aresa. I urodziło mu się czworo dzieci.

– Zaraz, jesteś wujkiem? – Cassius nie kryje zaskoczenia.

– Nawet podwójnie. Kieran poślubił siostrę Eo.

– No proszę. Raz byłem wujkiem. Nieźle mi to wychodziło. – Spojrzenie Cassiusa wędruje w dal, uśmiech znika. Znam podejrzenia, które go dręczą. – Jestem zmęczony tą wojną, Darrow.

– Ja też. I gdybym mógł oddać ci Julianę, nie wahałbym się ani przez chwilę. Ale ta wojna toczy się za niego i jemu podobnych. Tych porządkowych. Za ludzi cichych i łagodnych, którzy wiedzą, jaki powinien być świat, ale nie potrafią krzyczeć tak głośno, jak dranie.

– Nie obawiasz się, że wszystko popsujesz i nie zdołasz tego potem naprawić? – pyta szczerze Cassius.

– Tak – przyznaję. Od dawna nie rozumiałem siebie lepiej niż w tej chwili. – Właśnie po to mam Mustang.

Cassius spogląda na mnie długo, uważnie, niepewnie, a potem kręci głową i śmieje się pod nosem z siebie i ze mnie.

– Szkoda, że tak trudno mi cię nienawidzić.

– Niech to będzie toast. – Unoszę szklankę, Cassius robi to samo. Pijemy w milczeniu. Zanim się rozstaniemy, wręczam mu holokostkę, aby mógł obejrzeć materiały w celi. Przepraszam z wyprzedzeniem za jej zawartość, ale to coś, co Cassius powinien zobaczyć. Nie umknęła mu ironia tej sytuacji. Obejrzy to w swojej celi i zapłacze. Będzie się czuł jeszcze bardziej samotny. Jednak prawda nigdy nie jest łatwa.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

„PANDORA”

Kilka godzin po odejściu Cassiusa z niespokojnego snu budzi mnie Sevro. Przesłał na mój unipad pilną wiadomość. Victra wdała się w bitwę z Antonią w pasie asteroid. Prosi o wsparcie, więc Sevro już założył zbroję i posłał Holiday, aby zebrała grupę uderzeniową.

Mustang, Wyjce i ja ruszamy na pozostałych kutrach rakietowych Telemanusów, najszybszych jednostkach, jakie mi zostały we flocie. Sefi próbowała dołączyć i wziąć udział w kolejnej bitwie, ale nawet po zwycięstwie pod Io w załodze nie brakuje napięć. Sefi musi zostać, aby pilnować Obsydianów. Jest rozjemcą, a dla Sevra bohaterką nowego ulubionego dowcipu: Co się mówi, gdy wysoka na siedem i pół stopy kobieta z toporem wojennym pociągnie kogoś za język? Absolutnie nic.

Osobiście bardziej martwi mnie to, że tylko ta garstka silnych osobowości spaja przymierze. Jeżeli stracę choć jedną z tych osób, wszystko może się rozsypać.

Gnamy na pełnej mocy silników, nadwyrężając systemy okrętu, byle dotrzeć do Victry, jednak na godzinę przed zbliżeniem się dostajemy współrzędne na gęstą gromadę asteroid, która mocno zakłóca łączność. Wiadomość jest zakodowana i typowo dla Julii krótka:

„Suka złapana. Kavax wolny. Zwycięstwo moje”.

Przenosimy się promem ze smukłego kutra Telemanusów do oczekującej flotylli Victry. Sevro nerwowo skubie nogawki. Victra odniosła naprawdę wielkie zwycięstwo. Wyruszyła w pogon z zaledwie dwudziestoma małymi jednostkami. Teraz posiada prawie pięćdziesiąt czarnych okrętów – szybkich, zwinnych i drogich. Właśnie takich, jakich należy się spodziewać po rodzie, który zajmuje się handlem. To nie pękate monstra, które tak cenią sobie rody Augustus i Bellona. Na czarnych brygach widnieje przebite włócznią słońce rodu Julii.

Victra oczekuje nas na pokładzie starego okrętu flagowego swojej matki, „Pandory”. Wygląda wspaniale i dumnie w czarnym uniformie z herbem Julii na prawej piersi, z błyszczącymi, złotymi guzikami i pomarańczowym lampasem na spodniach. Znalazła nawet swoje stare kolczyki – nefryt lśni w jej uszach. Victra uśmiecha się szeroko i tajemniczo.

– Witajcie na „Pandorze”, moi drodzy.

Obok niej stoi Kavax, znowu ranny – z prawicą na temblaku i opatrunkiem piankowym zasłaniającym prawą połowę twarzy. Córki podbiegają do niego, otaczają go i obejmują, gdy Kavax ryczy powitanie do Mustang. Dziewczyna

próbuje zachować się oficjalnie, jak należy, ale szybko się oddaje i po prostu podbiega do wielkoluda, żeby objąć go za szyję. Całuje go w łysą głowę.

– Mustang – cieszy się Kavax. Odsuwa się nieco i kłania nisko. – Przebacz.

Szczerze przepraszam. Nie udało mi się uniknąć pojmania.

– Ot, dama w tarapatach – uśmiecha się Sevro.

– Na to wygląda – zgadza się Kavax.

– Obiecaj mi, że to ostatni raz, Kavaxie – mówi Mustang z udawaną surowością.

Kavax obiecuje. – Znowu jesteś ranny!

– Tylko draźnienia! To tylko draźnienia, pani moja. Wiesz, że mam magię we krwi?

– A ja mam kogoś, kto umierał z tępnoty za tobą. – Mustang odwraca się do rampy, gwiździe cicho, a wtedy z promu schodzi Kamyk i wypuszcza z ramion Sofoklesa. Pazury zgrzytają za moimi plecami, a potem pod nogami. Lis gna dalej, mija Sevra, którego omal nie przewraca, i skacze na pierś Kavaxa. Wielkolud całuje zwierzę. Victra się krzywi.

– Myśleliśmy, że masz kłopoty – burczy Sevro.

– Powiedziałam ci, że sobie poradzę – odpowiada Victra z opanowaniem. – Jak daleko stąd jest reszta floty, Darrow?

– Dwa dni.

Mustang rozgląda się uważniej.

– Gdzie Daxo?

– Załatwia szczury na górnym pokładach. Zostało paru upartych Niezrównanych. Trudno ich było wyciągnąć – uspokaja ją Victra.

– Prawie nie ma zniszczeń... – dziwię się. – Jak to zrobiłaś?

– Jak? Jestem jedyną prawowitą dziedziczką rodu Julii. – Victra uśmiecha się z dumą. – Zgodnie z testamentem matki i z urodzenia. Okręty Antonii... legalnie moje okręty... były prowadzone przez opłaconych sojuszników. Skontaktowali się ze mną, choć za moją małą grupą pościgową leciała cała wielka flota. Błagali, żebym ocaliła ich przed wielkim, złym Kosiarzem...

– A gdzie teraz są ludzie twojej siostry?

– Ścięłam trzech, a ich jednostki zniszczyłam jako przykład dla reszty. Nielojalni Pretorzy, których udało mi się złapać, gniją w celach. Moi lojalni sprzymierzeńcy i przyjaciele matki przejęli dowództwo.

– Pójdą za nami? – pyta Sevro ponuro.

– Idą za mną – odpowiada twardo Victra.

– To nie to samo – zauważam.

– Oczywiście. To moje okręty.

Victra znalazła się o krok bliżej przejęcia imperium swojej matki. Ale pozostałe posunięcia należy wykonać na drodze pokojowej. Mimo to zyskała niesamowitą niezależność. Tak samo jak Roque, gdy zdobył okręty w Deszczu Lwa. A to będzie

próbą jej lojalności, czymś, co chyba bardzo niepokoi Sevra. Mustang i ja wymieniamy spojrzenia i marszczymy brwi.

– Własność to zabawna sprawa w obecnych czasach – rzuca Sevro. – Zdarza się, że wyraża własne opinie.

Victra jeży się na to wyzwanie.

Mustang szybko staje między nimi.

– Sevro chyba chciał zapytać, czy teraz, gdy już dokonałaś zemsty, nadal zamierzasz lecieć z nami do Wnętrza?

– Nie dokonałam zemsty – odpowiada sztywno Victra. – Antonia wciąż oddycha.

– A kiedy już przestanie? – nie odpuszcza Mustang.

Victra wzrusza ramionami.

– Związki niezbyt dobrze mi wychodzą.

Ponury nastrój Sevra tylko się pogłębia.

* * *

Dziesiątki więźniów siedzą w areszcie okrętu. Większość to Złoci, paru Niebieskich i Szarych. Wszyscy mają wysokie szarże i są lojalni wobec Antonii. Szeregi wrogów, którzy przyglądają mi się złowrogo zza krat. Idę sam przejściem między celami i napawam się satysfakcją na widok tak wielu pojmanych Złotych, którzy wiedzą, że to przeze mnie wylądowali w klatkach.

Antonię zastaję w przedostatniej celi. Siedzi przy kratach, które oddzielają ją od kolejnej. Poza siniakiem na policzku siostra Victry jest piękna jak zawsze. Zmysłowe usta, oczy przysłonięte gęstymi rzęsami. Z ponurym namysłem przygląda mi się w bladym oświetleniu. Podciągnęła długie nogi, pomalowanymi na czarno paznokciami rozrywa pęcherz na dużym palcu stopy.

– Tak myślałam, że słyszę kroki Kosiarza – mówi z uwodzicielskim półuśmiechem. Jej spojrzenie przesuwa się po mnie powoli, bada każdy centymetr. – Zacząłeś jeść proteiny, skarbie, prawda? Znowu jesteś duży i silny. Nie denerwuj się. Na zawsze zapamiętam cię jako szlochającego, małego robaka.

– Z Jeźdźców Kości we flocie tylko ty pozostałaś żywa – oznajmiam, a potem zerkam na sąsienną klatkę. – Chcę wiedzieć, co planuje Szakal. Chcę znać pozycje jego oddziałów, jego szlaki zaopatrzeniowe, silne i słabe strony jego garnizonów. Chcę wiedzieć, jakie informacje zdobył o Synach Aresa. I co planuje razem z Władczynią. Czy się spierają? Czy panuje między nimi napięcie? Czy zamierza zrobić coś przeciwko niej. Chcę wiedzieć, jak go pobić. A przede wszystkim chcę wiedzieć, gdzie są cholerne głowice jądrowe. Jeżeli mi to powiesz, zachowasz życie. Jeżeli nie, umrzesz. Czy to jasne?

Nawet nie drgnęła, gdy wspomniałem o głowicach. Ani też kobieta w celi obok.

- Jak słońce – odpowiada Antonia. – Bardzo chętnie będę współpracować.
- Ocalałaś, Antonio, ale nie mówiłem tylko do ciebie. – Uderzam dlonią w prety celi obok, gdzie siedzi niższa, ciemnoskóra Złota. Kobieta podnosi na mnie przekrwione oczy. Rysy twarzy ma równie ostre jak język. Włosy kręcone i bardziej złote niż poprzednio, gdy ją widziałem, sztucznie rozjaśnione, podobnie jak oczy. – Mówię też do ciebie. Chwast. Ta z was, która przekaże nam więcej informacji, pozostanie przy życiu.
- Diabelskie ultimatum – chwali Antonia. – I ty uważasz się za Czerwonego? Myślę, że czułeś się lepiej wśród nas niż z nimi. Czy nie mam racji? – Parska śmiechem. – Prawda, że mam rację?
- Masz godzinę, żeby to przemyśleć.
- Odwracam się, żeby dać im czas. Niech się naprawdę dobrze zastanowią.
- Darrow! – woła za mną Chwast. – Powiedz Sevrowi, że mi przykro! Proszę!
- Odwracam się powoli.
- Rozjaśniłaś włosy – mówię.
- Mała Brązowiutka chciała się po prostu dopasować – mruczy Antonia i prostuje długie nogi. Jest o ponad półtorej głowy wyższa od Chwast. – Nie wiń karlicy za nierealistyczne oczekiwania.
- Chwast patrzy na mnie, dlonie zaciska z całej siły na prettach swojego więzienia.
- Przepraszam, Darrow. Nie wiedziałam, że to zajdzie tak daleko. Nie mogłabym...
- Tak, wiedziałaś. Nie jesteś głupia. Więc teraz nie udawaj takiej, bo to żałosne.
- Rozumiem, że mogłaś to zrobić mnie. Ale Sevro też miał tam być. I Wyjce. – Chwast nie potrafi spojrzeć mi w oczy. – Jak mogłaś zrobić to jemu? I im?
- Nie umie odpowiedzieć. Dotykam jej włosów.
- Podobałaś nam się taka, jaka byłaś.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

ZĘBY

Dołączam do Sevra, Mustang i Victry w pomieszczeniu monitoringu. Dwóch techników siedzi na ergonomicznych fotelach, wokół nich unosi się kilkadziesiąt obrazów holo.

- Powiedziały już coś? – pytam.
- Jeszcze nie – odpowiada Victra. – Ale robi się gorąco, a ja dolałam oliwy do ognia.

Sevro obserwuje cele na wyświetlaczu.

- Chcesz porozmawiać z Chwast? – pytam.
- Z kim? – Unosi brew. – Nigdy o niej nie słyszałem.

Na ile mogę się zorientować, jej widok go rani. Rani mocno, bo Sevro na dodatek wmawia sobie, że musi być twardy, ale ta zdrada, zdrada jednej z jego Wyjców, jest jak nóż wbity w serce. Mimo to Sevro gra dalej. Nie wiem, czy to ze względu na Victrę, na mnie czy dla siebie. Zapewne wszystko naraz.

Po kilku minutach Antonia i Chwast zaczynają się pocić. Zasugerowałem, żeby podnieść temperaturę w celach do czterdziestu stopni Celsjusza. Będą bardziej poirytowane. Grawitacja też jest odrobinę większa. Jak dotąd Chwast nie robi nic, tylko szlocha, a Antonia doryka siniaka na policzku, aby upewnić się, czy na jej twarzy nie pozostanie trwały ślad.

- Musisz wymyślić plan – mówi Antonia cicho przez kraty.
- Jaki plan? – pyta Chwast z kąta swojej celi. – Przecież zabiją nas, nawet jeżeli wszystko powiemy.

– Ty mała rycząca krowo. Wyprostuj się. Hańbisz swoją bliznę. Jesteś z Domu Mars, nie?

– Wiedzą, że podsłuchujemy – stwierdza Sevro. – A przynajmniej Antonia wie.
– Czasami to bez znaczenia – odpowiada Mustang. – Bardzo inteligentni więźniowie często wciążają strażników w rozgrywkę. Pewność siebie sprawia, że strażnicy są nawet bardziej podatni na psychologiczne manipulacje, ponieważ wydaje im się, że to oni kontrolują sytuację.

- A wiesz o tym ze swojego bogatego doświadczenia w znoszeniu tortur? – prycha Victra. – Opowiedz mi o tym koniecznie.
- Cisza – syczę i wzmacniam głośność pod obrazem.
- Zamierzam powiedzieć im wszystko – mówi właśnie Chwast do Antonii. – Gówno mnie to obchodzi.

- Wszystko? – Antonia unosi brew. – Przecież nie wiesz wszystkiego.
 - Ale wystarczająco dużo.
 - Ja wiem więcej.
 - A kto ci zaufa? – prycha Chwast. – Psychopatka, która zamordowała własną matkę! Gdybyś wiedziała, co ludzie o tobie myślą...
 - Och, skarbie, doprawdy, nie możesz być aż tak głupia – wzdycha Antonia ze współczuciem. – A jednak. Co za smutny widok.
 - O co ci chodzi?
 - Użyj mózgu, ty mała prostaczko. Spróbuj choć raz, proszę.
 - Wal się, suko.
 - Wybacz, Chwast. – Antonia wygina plecy przy prętach. – To pewnie cieczka.
 - Albo szaleństwo od kiły – mamrocze Chwast, spacerując po celi i obejmując się ramionami.
 - Jakie to... niskie. To pewnie przez pochodzenie.
- Rozważam, czy nie zabrać stamtąd Chwast i nie wysłuchać, czym chce się podzielić.
- To może być podstęp – ostrzega Mustang. – Coś, co nakazała jej Antonia na wypadek uwięzienia. A może gierka mojego brata. Rozpowszechnianie fałszywych informacji... To do niego podobne. Zwłaszcza że Antonia po prostu dała się złapać.
 - Dała się złapać? – oburza się Victra. – W kostnicy tego okrętu leży ponad pięćdziesiąt ciał Złotych, którzy na pewno by się nie zgodzili z tym stwierdzeniem.
 - Racja – mówi Sevro. – Zagrajmy. Może Antonia trochę się otworzy, gdy będziemy udawać, że dajemy się wciągnąć w jej gierkę.
- Antonia zamyka oczy i opiera głowę o prety. Wie, że Chwast zapyta, o co chodziło z tym „użyciem mózgu”. I oczywiście Chwast pyta.
- O co ci chodziło, gdy powiedziałaś, że jak wszystko wygadam, nie będę już potrzebna?
- Antonia patrzy na nią zza krat.
- Skarbie. Doprawdy, zupełnie tego nie przemyślałaś. Ja już nie żyję, sama tak powiedziałaś. Nie mogę zaprzeczyć, ale... moja siostra przedstawi mnie w jak najgorszym świetle. Strzeliłam jej w kręgosłup, a potem wylewałam kwas na plecy przez prawie rok. Victra będzie darła ze mnie pasy, to pewne.
 - Darrow jej nie pozwoli.
 - To Czerwony, jesteśmy dla niego tylko kolejnym złem.
 - Mimo to.
 - Znam Goblina, który się nie zawaha.
 - Ma na imię Sevro.
 - Doprawdy? – Antonię niewiele to obchodzi. – Tak czy inaczej, jestem już martwa. Ale ty masz jeszcze szansę. Do wyznania wszystkiego, co wiemy, wystarczy

tylko jedna z nas. Pozostaje pytanie, które musisz sobie zadać: czy kiedy powiesz już wszystko, pozwolę ci żyć? Musisz opracować strategię. Coś, co cię utrzyma przy życiu. Coś, co będziesz mogła stopniowo wymieniać na przetrwanie.

Chwast podchodzi do pretów, które dzielą cele.

– Nie dam ci się oszukać – jej głos brzmi odważnie. – Ale wiesz co? Naprawdę już po tobie. Darrow zwycięży i może powinien. I zamierzam mu w tym pomóc.

Chwast odwraca wzrok od Antonii i spogląda w kamerę znajdująca się w rogu sufitu.

– Powiem ci wszystko, co wiem, Darrow. Tylko pozwól...

– Zabrać ją stamtąd – rozkazuje Mustang. – Wyprowadzić Chwast.

– Nie... – szepcze Victra obok mnie, gdy widzi to samo, co Mustang. Sevro i ja patrzymy na kobiety, zdziwieni, ale wtedy Victra już rzuca się do drzwi.

– Otworzyć celę trzydzieści jeden! – krzyczy do techników, zanim znika w korytarzu.

Dopiero wtedy dociera do mnie, co się dzieje. Ruszam za nią, Sevro również. W pośpiechu przewracamy Zielonego, który dopasowuje obraz na jednym z holowyświetlaczy. Mustang pędzi za nami. Wybiegamy na korytarz i do pancernych drzwi. Victra wali w nie pięcią, krzyczy, żeby ją wpuścić. Drzwi brzęczą, wpadamy za nią, mijając zaskoczonych strażników, i pędzimy przejściem między celami.

Więźniowie krzyczą. Ale pomimo tego hałasu słyszę wilgotne łup-łup-łup. Zanim dobiegamy do celi trzydzieści jeden, widzimy Antonię. Zakrwawione ręce ma za pretami dzielącymi pomieszczenie, trzyma Chwast za kręcone włosy. Strzaskane resztki czoła dziewczyny leżą wokół. Antonia raz jeszcze uderza głową Chwast o preć. Victra otwiera magnetycznie zamknięte drzwi celi.

Antonia wstaje – krwawe dzieło skończone. Z miną niewiniątką unosi zakrwawione dlonie i uśmiecha się do starszej siostry.

– Ostrożnie – ostrzega. – Ostrożnie, Vicky. Jestem ci potrzebna. Tylko ja mam informacje, na których ci zależy. Jeżeli nie chcesz wpaść w łapy Szakala, gdy...

Victra uderza siostrę w twarz. Rozlega się chrupnięcie, odłamek kości odbija się od ściany. Antonia cofa się, próbuje uciec. Victra przyszpila ją do ściany i zaczyna bić. Jak maszyna, cicho i równo. Łokieć cofa się ukośnie w dół, potem unosi – tak, jak nas uczyono. Palce Antonii zaciskają się na muskularnych ramionach siostry, a potem opadają, gdy odgłosy uderzania zaczynają przypominać plaśniecia w błoto. Victra nie przestaje. A ja jej nie powstrzymuję, ponieważ nienawidzę Antonii i w głębi duszy pragnę, żeby ta kobieta czuła ból.

Sevro przepycha się obok mnie i rzuca na Victrę. Prawą ręką blokuje jej ramię, lewą dusi. Podstawia jej nogę i odciąga, kładzie na podłodze. Obejmuje dziewczynę nogami w biodrach, żeby ją unieruchomić. Uwolniona od Victry Antonia opada na bok. Mustang szybko podtrzymuje jej głowę, aby zapobiec uderzeniu o krawędź

metalowej pryczy. Przykłękam i sięgam przez pręty, aby sprawdzić puls Chwast, chociaż nie wiem, po co w ogóle się fatyguję. Dziewczyna ma rozłupaną czaszkę. Patrzę na tę rzeźnię. Zastanawiam się, dlaczego nie ogarnia mnie przeróżenie.

Częstka mojej duszy obumarła. Ale kiedy? Dlaczego nic nie zauważylem?

Mustang krzyczy, żeby sprowadzić Żółtego. Strażnicy zagładają do celi.

Otrząsam się.

Sevro puszczają Victrę. Dziewczyna odkasływa po przyduszeniu, a potem gniewnie odpycha chłopaka. Mustang pochyla się nad Antonią, która charczy przez zmiażdżony nos. Twarz ma zniszczoną. Kawałki zębów wystają z rozbitych ust. Gdyby nie włosy i Sigile, nie dałoby się rozpoznać, że to Złota. Victra wychodzi z celi. Nawet się nie ogląda. Przeciska się przez tłumek Szarych strażników z takim impetem, że przewraca dwóch.

– Victro!... – wołam za nią, jakby zostało jeszcze coś do powiedzenia.

Odwracam się do mnie. Oczy ma czerwone, przekrwione nie z wściekłości, ale z bezdennego smutku. Unosi poranione kłykcie.

– Kiedyś zapłatałam jej warkoczyki – odzywa się przez ścisnięte gardło. – Nie wiem, dlaczego jest taka. I dlaczego ja jestem taka.

Kawałek połamanego zęba siostry wystaje z kłykcia. Victra wyjmuję go, unosi do światła jak dziecko, które na plaży nadepnęło na szkło, i najpierw patrzy z niedowierzaniem, a potem zaczyna drżeć z przeróżenia. Żąb upada na podłogę. Victra przenosi spojrzenie ze mnie na Sevra.

– A nie mówiłam?

* * *

Później, gdy lekarze zajmują się Antonią, Synowie Aresa przeszukują rzeczy osobiste Chwast w jej kajucie na „Tyfonie”. W ukrytym za biurkiem schowku znajdują cuchnącą wilczą skórę. Sevro dlawi się, gdy Śrubokręt mu ją pokazuje.

– Chwast ją odcięła – mówi Klaun, gdy niedobitki pierwszych Wyjców stoją nad trumną Chwast w pomieszczeniu z wyrzutnią. Mustang trzyma się z tyłu pod ścianą, nie chce przeszkadzać. Kamyczek, Śrubokręt i Sevro stoją przy mnie. – Kiedy Antonia została Ukrzyżowana przez Szakala, Chwast ją odcięła.

– Zapomniałem o tym – przyznaję.

– Co za świat – prycha Sevro.

– Pamiętasz, jak się z nią kłóciłeś, gdy Lea nie mogła się zdobyć na oskórowanie jagnięcia? Chwast starała się ją zahartować – śmieje się Kamyczek. Sevro też się śmieje.

– Co w tym śmieszego? – oburza się Klaun. – Wciąż byliście otumanieni grzybami i wyliście wtedy do księżyca.

- Obserwowałem – zapewnia Sevro. – Zawsze obserwuję.
- To koszmar, szefie – krzywi się Śrubokręt. – I co robiłeś, gdy obserwowałeś?
- Zapewne walił konia w krzakach – odpowiadam.
- Tylko gdy wszyscy spali – burczy Sevro.
- Pięknie. – Kamyk marszczy brwi i przykrywa Chwast wilczą skórą. – Zawyj głośno, mała Chwast.

Łagodność i życzliwość w jej oczach staje się niemal nie do zniesienia. Nie ma w tym oskarżenia, nie ma gniewu, jest tylko poczucie straty przyjaciółki, która zginęła. Przypominam sobie, dlaczego tak kocham tych ludzi. Każdy z nas żegna zmarłą, a potem wystrzelujemy ją w Słońce, aby dołączyła do Ragnara i Roque'a w ostatniej podróży. Klaun i Kamyczek wychodzą ręka w rękę, Śrubokręt drażni ich i zaczepia. Jak zwykle. Uśmiecham się na ten widok. Wraz z Sevrem jeszcze zostajemy. Mustang też nie ruszyła się spod ściany.

- O co chodziło Victrze z tym „a nie mówiłam”? – pytam.

Sevro zerka na Mustang.

- Ech, to już nieważne. – Zachowuje się, jakby miał wyjść, jednak zatrzymuje się z wahaniem. – Skończyła wszystko.

- Z tobą?

- Z nami.

- Och.

- Przykro mi, Sevro – wzducha Mustang. – Victra ma teraz sporo na głowie.

- Jasne. – Sevro opiera się o ścianę. – Jasne. W sumie to moja wina. Powiedziałem jej... – Krzywi się. – Powiedziałem jej, że ją kocham. Przed bitwą. Wiecie, co odpowiedziała?

- Dziękuję? – zgaduje Mustang.

Sevro garbi się bardziej.

- Nie. Powiedziała, że jestem głupcem. Może ma rację. Może zbyt wiele oczekiwałem. Trochę mnie to podniecało, no wiecie.

W zamyśleniu wbija wzrok w podłogę. Mustang kiwa na mnie głową, żebym się odezwał.

- Sevro, można o tobie wiele złego powiedzieć. Śmierdzisz. Jesteś mały. Masz kontrowersyjny gust, gdy chodzi o tatuaże. Twoje zamiłowania pornograficzne są... uch, ekscentryczne. I masz naprawdę dziwaczne paznokcie u nóg.

Unosi głowę, żeby na mnie popatrzeć.

- Dziwaczne?

- Są naprawdę długie, kumplu. Może... powinieneś je przyciąć.

- Nie. Przydają się do przyczepiania.

Mrużę oczy niepewny, czy Sevro żartuje, ale zaraz się opanowuję i staram się jak najlepiej wyrazić, o co mi chodzi.

- Cóż... Można wiele o tobie powiedzieć, chłopaku, ale nie to, że jesteś głupi. Nie wygląda, żeby mnie słyszał.
- Victra myśli, że ma w żyłach truciznę. Właśnie o to jej chodziło tam przy celach. Przed odlotem powiedziała mi, że wszystko zniszczy. Więc lepiej zerwać od razu.
- Bała się po prostu... – mówi Mustang łagodnie. – Zwłaszcza po tym, co się stało.
- Chcesz raczej powiedzieć: po tym, co się dzieje. – Sevro osuwa się i siada na podłodze, głowę opiera o ścianę. – Zaczyna to wyglądać jak proroctwo. Śmierć pociąga za sobą śmierć, która pociąga za sobą śmierć...
- Zwyciężyliśmy przy Jowiszu – zauważam.
- Możemy wygrać każdą bitwę, ale przegrać wojnę – krzywi się Sevro. – Szakal chowa asa w rękawie, a Octavia jest tylko poraniona. Wielka Armada jest większa niż Armada Miecza, a Władczyni na pewno ściągnie floty z Wenus i Merkurego. Będzie miała nad nami trzykrotną przewagę. Ludzie zginą. Zapewne większość z tych, których znamy.
- Mustang uśmiecha się lekko.
- Chyba że zmienimy zasady.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

ROZMOWY NOCĄ

Mustang opisuje reszcie plan w najdrobniejszych szczegółach. Gdy kończymy się śmiać, analizować i dyskutować jego wady, zostawia nas, żebyśmy wszystko dobrze przemyśleli, a sama odlatuje z Telemanusami. Zostaję z Victrą i Wyjcami, żeby przesłuchać Antonię i pomóc w nadzorowaniu napraw okrętu.

Piękna Antonia to już przeszłość. Urazy, jakich doznała, są katastrofalne. Lewa kość jarzmowa strzaskana, nos spłaszczony, zmiażdżony tak brutalnie, że trzeba go było wyciągać z jamy nosowej. Z napuchniętych warg powietrze wydostaje się z sykiem między połamanyimi przednimi zębami. Głębokie rany i ciężki wstrząs mózgu. Lekarze okrętowi sądzili najpierw, że Antonia jest ofiarą kolizji na okręcie, dopóki nie znaleźli na jej twarzy kilku odciskniętych błyskawic Domu Jupiter.

– Naznaczona sprawiedliwością – komentuję. Sevro przewraca oczami. – No co? To nawet zabawne.

– Ćwicz dalej, Kosiarzu.

Kiedy przesłuchuję Antonię, łypie na mnie z wściekłością prawym okiem, ale współpracuje. Lewego oka nie widać pod czarną opuchlizną. Może Antonia myśli, że dzięki pobiciu wzbuźni trochę litości, zwłaszcza gdy Victra tylko czeka, aby ją wykończyć.

Według zeznań Antonii w ostatnim komunikacie Szakal stwierdził, że przygotowuje się do naszego ataku na Marsa. Zbiera swoją flotę wokół odzyskanego Fobosa, ściąga okręty Elity z Puszki i innych posterunków. Równocześnie trwa exodus Złotych, Srebrnych i Miedzianych z Marsa na Księżyce lub Wenus. Uchodźcy, którymi się stali, mieszkają w ośrodkach dla patrycjuszy pozbawionych praw obywatelskich. Jak w Londynie podczas pierwszej rewolucji francuskiej albo w Nowej Zelandii po trzeciej wojnie światowej, gdy na kontynentach rósł poziom promieniowania.

Problem z informacjami od Antonii polega na tym, że nie można ich zweryfikować. Łączność dalekiego zasięgu i międzyplanetarna praktycznie cofnęła się do epoki kamienia łupanego. Wiemy tylko, że Szakal musiał przygotować dla Antonii jakieś informacje, które ma nam zdradzić w przypadku pojmania lub trudności. Jeżeli dostajemy właśnie takie informacje i posłużymy się nimi w naszych planach, zapewne wpadniemy prosto w pułapkę. Chwast stanowiłaby kluczowe źródło sprawdzające to, co mówi Antonia. Jej morderstwo było straszne, ale taktycznie bardzo skuteczne.

Holiday dołącza do mnie na mostku „Pandory”, gdy próbuję uzyskać kontakt. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na wysuniętym stanowisku obserwacyjnym i staram się zalogować do wirtualnej bazy danych Żywego Srebra. Znowu bez efektu. Jest późna noc czasu pokładowego. Światła przygasły. Podstawowa załoga Niebieskich w dole mostka prowadzi nas do głównych sił floty. W oddali wirują majestatycznie mroczne asteroidy. Holiday siada obok mnie.

- Wzmocnij się. – Podaje mi kubek kawy.
 - Miło z twojej strony. – Zaskoczyła mnie. – Też nie możesz spać?
 - Właściwie nienawidzę okrętów. Nie śmieję się.
 - Legionistce musi to bardzo utrudniać życie.
 - Nawet mi nie mów. Dla żołnierza zdolność spania w dowolnym miejscu to podstawa przetrwania.
 - A reszta?
 - Reszta to zdolność srania gdziekolwiek i cierpliwego czekania. Trzeba też umieć słuchać głupich rozkazów i jeszcze po tym nie zwariować. – Klepie podłogę. – To pomruk silników. Przypomina mi brzęczenie os. – Wierci się. – Przeszkadzam ci?
 - Nie. – Siegam po kawę. – To whiskey.
 - Szybko łapiesz. – Mruga do mnie psotnie. – Ludzie wciąż się zastanawiają, dokąd lecimy. Powiedz im prawdę, a trochę ich to uspokoi. Ale ty trzymasz to w tajemnicy, więc nie mogą spać.
 - Wśród nas są setki szpiegów – przypominam jej. – I to jest oczywiste. Nie zamierzam ogłaszać, gdzie uderzę.
 - Całkiem słusznie. – Holiday wskazuje unipad w mojej dłoni. – Wciąż nic?
 - W asteroidach łączność zawsze była trudna, ale Elita dodatkowo zakłóca, co się da.
 - No, Żywe Srebro ich załatwi.
- Milknimy i tylko siedzimy. Obecność Holiday nie przynosi odruchowego ukojenia, ale przynajmniej nie drażni. Ta kobieta wychowała się w rolniczej osadzie, gdzie ma się jedynie reputację zależną od dotrzymywania słowa i psy myśliwskie. Różnimy się pod wieloma względami, ale potrafimy znaleźć wspólny język.
- Przykro mi, że straciłeś przyjaciółkę. Długo ją знаłeś?
 - Od czasów szkoły. Była trochę wredna. Ale lojalna...
 - Aż przestała – krzywi się Holiday. Wzruszam ramionami. – Victra jest nieźle wstrząśnięta.
 - Rozmawiała z tobą? – pytam.
- Szara parska śmiechem.
- Nie ma szans.
- Wyjmuje z kieszeni skręta, wsuwa do ust i zapala. Kręczę odmownie głową, gdy chce mnie poczęstować. Klimatyzacja buczy.

– Cisza to suka, nie? – wzducha po chwili Holiday. – Ale po pudle dobrze o tym wiesz.

Kiwam głową.

– Nikt mnie o to nie pytał – wyznaję. – O pudło.

– Mniesz nikt nie pytał o Trigga.

– A chciałabyś?

– Nie.

– Nigdy do tego nie przywykłem. Do ciszy.

– Gdy będziesz starszy, wypełnisz ją szybko.

– W Lykos niewiele było do roboty po pracy. Można było tylko siedzieć i patrzeć w ciemność.

– Patrzeć w ciemność. To brzmi jak kwestia jakiegoś drania. – Holiday wypuszcza dym nosem. – My dorastaliśmy przy polach kukurydzy. Trochę mniej dramatycznie. To gówno rośnie jak okiem sięgnąć. Czasami stawałam na polu sama w nocy i udawałam, że to ocean. Można usłyszeć, jak szepcze. Wcale nie jest to tak kojące, jak się wydaje. To złowrogi szum. Zawsze jednak chciałam się znaleźć gdzie indziej. Trigg nie, kochał Goodhope. Chciał pracować w miejscowym komisariacie i zajmować się pilnowaniem porządku albo zostać wykidażą. Byłby szczerszy, gdyby wyrzucał pijaczków z knajpy aż do późnej starości, pił z kumplami i wychodził na polowania bladym świtem. To ja chciałam „usłyszeć ocean i ujrzeć gwiazdy”. Dwadzieścia lat służby w Legionie. Tanio się sprzedałam.

Drwi z siebie, ale mnie ciekawi, że otworzyła się właśnie teraz. Znalazła mnie tutaj. Początkowo sądziłem, że przyszła mnie pocieszyć, ale wyczuwam w jej oddechu alkohol. Nie chciała być sama. A tylko ja trochę znałem Trigga. Odstawiam unipad.

– Powiedziałam mu, że nie musi iść ze mną, ale wiedziałam, że go pociągnę za sobą. Obiecałam matce, że się nim zaopiekuję. Nie udało mi się nawet powiadomić jej o śmierci syna. Może myśli, że straciła nas oboje.

– A udało ci się powiadomić jego narzeczonego? Ephraima?

– Pamiętałeś.

– Oczywiście. Był z Księżyca.

Holiday przygląda mi się uważnie.

– No, Eph to dobry człowiek. Służył w ochronie prywatnej firmy w mieście Imbrium. Specjalizowała się w przechowywaniu cennej własności prywatnej... No wiesz, rzeźb, obrazów, klejnotów. Naprawdę śliczny chłopak. Spotkali się w jednym z tych barów tematycznych, gdy byliśmy na przepustce z Trzynastki. Wystrój jak na wenusjańskiej plaży. Eph nie wiedział, że Trigg i ja należymy do Synów Aresa i w ogóle. Ale dostałam od niego wiadomość, gdy byliśmy na Księżycu i potem, gdy

leciałam tam po zapasy. Wtedy przysłał mi wiadomość, że będzie nieosiągalny, bo przyłącza się do Synów na Księżycu. Od tamtej pory nie miałam od niego wieści.

– Na pewno nic mu nie jest – zapewniam.

– Dzięki. Ale oboje wiemy, że na Księżycu jest teraz kupa gówna. – Holiday wzrusza ramionami. Pociera odciski na dloniach, a po chwili trąca mnie ramieniem.

– Chcę, żebyś wiedział, że robisz dobrze. Wiem, że o to nie prosiłeś. A ja jestem tylko prostym żołnierzem. Ale robisz dobrze.

– Trigg by się zgodził?

– Jasne. I posikałby się w spodnie, gdyby wiedział, że lecimy na...

Przerywa jej holo nad nami. Piszczy cicho, gdy jeden z Niebieskich operatorów łączności wywołuje mnie pilnie. Wstaję i sięgam po swój unipad. Przez pas asteroid nadawana jest krótka wiadomość na wszystkich pasmach. Nasz pierwszy kontakt od tak dawna.

– Odtwórz! – rozkazuje Holiday.

Włączam i pojawia się obraz. Przedstawia salę przesłuchań pograżoną w półmroku. Zakrwawiony mężczyzna siedzi przypięty kajdankami do krzesła. Szakal wchodzi w pole widzenia i staje obok niego.

– Czy to... – szepcze Holiday obok mnie.

– Tak. – Więzień to wujek Narol.

Szakal unosi pistolet.

– Darrow, długo się nie widzieliśmy. Zbyt długo. A naprawdę musimy porozmawiać. Moi Jeźdźcy Kości znalezli tego sabotażystę, jak próbował uszkodzić przekaźnik dalekiego zasięgu. Naprawdę jest twardszy, niż na to wygląda. Myślałem, że wie, co zamierzasz. Ale wolałby odgryźć sobie język, niż ze mną pomówić. Co za ironia. – Staje za plecami mojego wuja. – Nie chcę okupu. Nic od ciebie nie chcę. Chcę tylko, żebyś patrzył.

Wymierza pistolet, smukłą metalową broń wielkości mojej dłoni. Niebiescy na mostku wstrzymują oddech. Sevro zrywa się, aby do mnie podbiec, gdy Szakal przyciska lufę do głowy Narola. Ten unosi oczy do kamery.

– Wybacz, Darrow. Ale pozdrowię twojego ojca i...

Szakal pociąga za spust, a ja czuję, jak kolejna cząstka mojej duszy znika w mroku, gdy wuj osuwa się bezwładnie na krześle.

– Wyłącz to – mówię chrapliwie. Z pamięci wypływają falą wspomnienia – Narol zakładający mi swój kask, gdy byłem małym chłopcem, mocujący się ze mną na Święcie Lauru, spoglądający z bezgranicznym smutkiem, gdy siedzimy pod szubienicą po powieszeniu Eo, śmiejący się...

– Datownik wskazuje, że nagrano to trzy tygodnie temu, sir – melduje Niebieski ze stanowiska łączności. – Nie odebraliśmy tego wcześniej z powodu zakłóceń.

– Czy reszta floty też to odebrała? – pytam cicho.

– Nie wiem. Zakłócenia są w tej chwili niewielkie, a przekaz nadawany jest na częstotliwościach impulsowych. Zapewne wszyscy już to mają.

A ja kazałem Orion, żeby wszystkie okręty prowadziły intensywny nasłuch w nadziei, że połączę się z Żywym Srebrem. Na pewno wszystko wycieknie.

– O szlag – mamrocze Sevro.

– O co chodzi? – pyta Holiday zaniepokojona.

– Właśnie podłożyliśmy ogień pod własną flotę – odpowiadam automatycznie. Kruche przymierze między NadKolorami i resztą po tym nagraniu rozpadnie się w proch. Narol był niemal tak kochany jak Ragnar. A teraz nie żyje. Wzdrygam się. Tak naprawdę jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Co zrobimy? – pyta Sevro. – Darrow?

– Holiday, zbudź Wyjce – rozkazuję. – Sterownia, pełna moc silników. Chcę być z główną flotą za cztery godziny. Połączyć mnie z Mustang i Orion. I z Telemanusami też.

Holiday wypreżąda się odruchowo.

– Tak jest.

Pomimo zakłóceń w końcu udaje mi się połączyć z Orion i powiedzieć jej, aby zamknęła się na mostku oraz udaremniła dostęp do broni na wypadek, gdyby ktoś postanowił załatwić naszych Złotych sprzymierzeńców. Niemal pół godziny trwa uzyskanie połączenia z Mustang przez okręt Orion. Sevro i Victra są już ze mną, Daxo również. Reszta rodziny wróciła na swoje jednostki. Sygnał jest bardzo słaby, zakłócenia sprawiają, że twarz Mustang faluje i migocze. Idzie przez korytarz, towarzyszy jej dwóch Złotych i kilka Walkirii.

– Odebrałeś, Darrow? – pyta. Dostrzega innych obok mnie.

– Pół godziny temu.

– Tak mi przykro...

– Co się dzieje?

– Odebraliśmy przekaz. Jakiś durny technik wrzucił to na główne przekaźniki. Poszło na całą flotę. Darrow... Już zaczynają się zamieszki przeciwko NadKolorom z paru okrętów. Trzech Złotych na „Persefonie” zostało zabitych kwadrans temu przez Czerwonych. A jedna z moich adiutantek musiała stoczyć walkę z dwoma Obsydianami, którzy próbowali ją zabić. Nie żyją.

– Gówno wpadło w wentylator – krzywi się Sevro.

– Ewakuuję swój personel z powrotem na swoje okręty. – Za plecami Mustang słyszać strzały.

– Gdzie jesteś? – pytam.

– Na „Gwieździe Zarannej”.

– Co tam robisz, do cholery? Musisz odlecieć.

– Wciąż są tutaj moi ludzie. Siedmiu Złotych w maszynowni, wsparcie logistyczne. Nie zostawię ich tak po prostu.

– Posyłam strażników mojego ojca – warczy Daxo ze swojego okrętu. – Wydostaną cię.

– To głupie – wtrąca się Sevro.

– Nie – zakazuje Mustang. – Jeżeli wyślesz Złotych, będzie rzeźnia, której nie da się cofnąć. Darrow, musisz tu wrócić. Tylko ty możesz to powstrzymać.

– Od floty dzieli nas parę godzin lotu.

– Postaraj się. I jest coś jeszcze. Czerwoni szтурmują więzienie. Chyba zamierzają zamordować Cassiusa.

Sevro i ja wymieniamy zaniepokojone spojrzenia.

– Musisz znaleźć Sefi i zostać z nią – nakazuję. – Dotrzemy jak najszybciej się da.

– Znaleźć Sefi? Darrow... To ona ich prowadzi.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

GOBLIN I ZŁOTY

Mój prom bojowy ląduje w doku naprawczym na „Gwieździe Zarannej”, gdzie powinna czekać Mustang. Nie ma jej tam. Ani Złotych, których miała ratować. Za to wita nas grupa Synów Aresa pod komendą Teodory. Różowa jest bez broni i wydaje się nie na miejscu wśród uzbrojonych mężczyzn, ale wyraźnie jej słuchają. Teodora opisuje mi, co się stało. Śmierć mojego wuja wywołała kilka drobnych starć, które zaczęły eskalować i zmieniły się w strzelaniny po obu stronach. A teraz na kilku okrętach trwają regularne walki, włącznie z naszym flagowym.

– Mustang została pojmana przez Sefi i jej ludzi. Zabrali też Cassiusa i innych więźniów z wyższych Kolorów, Darrow – opowiada Teodora. Przygląda się moim porucznikom.

– Cholerne dzikusy – mamrocze Victra. – Jeżeli zabiją Mustang, będzie po sprawie.

- Nie zabiją jej – zaprzeczam. – Sefi wie, że Mustang jest po naszej stronie.
- Dlaczego to zrobiła? – dziwi się Holiday.
- Sprawiedliwość – odpowiada Victra. Sevro podnosi na nią uważne spojrzenie.
- Nie – szepczę. – Nie, myślę, że to coś innego.
- Cudnie jak cholera. – Victra skinieniem głowy wskazuje przestrzeń. – Zdaje się, że Telemanusowie zamierzają jednak zabrać się za ten okręt.

Kolejny prom ląduje w hangarze tuż za nami. Napinamy się, gdy tylko zaczyna opuszczać się rampa. Jeszcze nie dotyka ziemi, a już pędzi po niej cały klan wielkoludów – Daxo, Kavax, Thraxa i jeszcze dwie siostry, których nie miałem okazji poznać. Wszyscy uzbrojeni po zęby, chociaż Kavax wciąż ma rękę na temblaku. Za nimi schodzi jeszcze trzydziestu Złotych służących rodowi. Cholerna armia.

- Zabiją nas przez nich – oburza się Holiday. Przy moim boku Sevro mruga z niedowierzeniem na widok odsieczy.
- Śmierć pociąga śmierć, która pociąga śmierć... – mamrocze w panującej ciszy.
- Kavaxie, co robisz, do cholery? – pytam, gdy jego rodzina rusza przez hangar.
- Virginia potrzebuje naszej pomocy – grzmi Telemanus, nie zwalniając kroku, dopóki nie staję mu na drodze i nie pozwalam iść dalej. Przez chwilę mam wrażenie, że wielkolud przejdzie po mnie. – Nie zostawimy jej na pastwę dzikusów.
- Kazałem ci zostać na okręcie.
- Niestety, przyjmujemy rozkazy od Virginii, nie od ciebie – wtrąca Daxo. – Znamy konsekwencje wkroczenia na ten okręt. Ale zrobimy wszystko, co musimy, aby

chronić rodzinę.

- Nawet Mustang kazała nie przychodzić tutaj ze Złotymi.
- Sytuacja się zmieniła – grzmi Kavax.
- Chcecie obrócić to w wojnę? Chcecie zniszczyć tę flotę? Najlepszym sposobem, żeby to osiągnąć, będzie wkroczenie i manifestacja Złotej siły.
- Nie pozwolimy jej zabić – upiera się Kavax.
- A jeżeli zginie przez ciebie? – pytam. Tylko to go powstrzymuje od dalszego marszu. – Co będzie, jeżeli podetną jej gardło, gdy tylko wkroczycie?

Podchodzę bliżej, żeby wielkolud mógł wyraźnie ujrzeć strach również w moich oczach. Mówię na tyle głośno, aby słyszał mnie też Daxo.

– Posłuchaj, Kavaxie. Problem polega na tym, że nie dasz Obsydianom wyboru i będą musieli walczyć. A wiesz, że potrafią. Pozwól, że sam się tym zajmę, a będziemy mogli ją uwolnić. Jeśli nie posłuchasz, jutro będziemy stać nad jej trumną.

Kavax zerka na swojego smukłego syna, zawsze potrafiącego uspokoić nastroje. Chce zobaczyć, co myśli. I ku mojej uldze Daxo kiwa głową.

– Dobrze – mówi Kavax trochę spokojniej. – Ale pójdę z tobą, Kosiarzu. Dzieci, czekajcie na moje wezwanie. Jeżeli polegnę, niech świat pozna wasz gniew.

– Tak, ojcze – odpowiadają Telemanusowie.

Oddyham z ulgą, ale zaraz rozglądam się po swoich ludziach.

– Gdzie jest Sevro?

* * *

Sevro wymknął się podczas sporu, choć nie wiem, w jakim celu. Pędzimy jego śladem, Victra za nami. Holiday prowadzi dzięki informacjom przekazywanym przez innych Synów Aresa do odbiornika optycznego wszczepionego w oko Szarej. Jej ludzie dostrzegli zamieszanie w głównym hangarze. Prowadzony jest tam proces Cassiusa za morderstwo kilkudziesięciu Synów Aresa i oczywiście samego Aresa. Żadnego śladu Mustang. Gdzie się podziała?

Gdy docieram na korytarz wiodący do hangaru, jest tam taki tłum, że z trudem możemy się przecisnąć. Muszę odpychać Czerwonych i Obsydianów z drogi.

Wszyscy krzyczą i prą do przodu. Nad ich głowami, prawie na środku hangaru, dostrzegam kilkudziesięciu Obsydianów i Czerwonych na kładce wiszącej ponad dwadzieścia metrów nad podłogą. Sefi jest wśród nich. Siedmiu Złotych zwisa już martwych z pomostu na pętlach z kabli w gumowej izolacji, ich stopy kołyszą się bezwładnie pięć metrów nad głowami tłumu. Zostali oskalpowani. Kręgosłupy Aureatów są twardsze niż u przeciętnego człowieka. Każdy z tych powieszonych umierał długo i w strasznych męczarniach, co najmniej kilka minut, zanim do mózgu przestał napływać tlen. Przez te ciągnące się jak wieczność minuty patrzyli na tłum

pod nogami, który przeklinał i pluł, rzucał w nich drobnymi przedmiotami lub wymachiwał butelkami. Krew znaczy podbródki i piersi zabitych. Sefi Milcząca wyciągała im języki. Cassius i kilku innych więźniów czeka na swoją egzekcję na kładce, klęcząc u stóp swoich oprawców, zakrwawieni i pobici. Mustang nie ma wśród nich, na szczęście. Obsydiani zdarli Cassiusowi ubranie do pasa i wycięli na jego szerokim torsie krwawy symbol slinga.

– Sefi! – krzyczę, ale mój głos tonie w ogólnym hałasie. Nigdzie nie widzę Sevra. W pomieszczeniu przeznaczonym na najwyżej dziesięć tysięcy osób stłoczyło się ponad dwa razy tyle. Wielu ma broń. Niektórzy tydzień temu odnieśli rany w bitwie. Wszyscy jednak chcą się dostać jak najbliżej miejsca kaźni. Obsydiani górują nad tłumem jak tytani – ogromne głazy w morzu PodKolorów. Nigdy nie powiniennem był skupić większości rannych i uratowanych załóg na tym okręcie żalu i gniewu.

Zgromadzeni dostrzegają mnie i zaczynają się rozsuwać, żeby mnie przepuścić. Zaczynają skandować moje imię, jakby myśleli, że przybyłem, aby popatrzeć, jak sprawiedliwości staje się zadość. Barbarzyństwo tego tłumu mrozi mi krew w żyłach. Jednym ze strażników Cassiusa jest Zielony, który przyniósł mi kawę na Fobosie. Reszty nie rozpoznaję.

Jeden po drugim Synowie Aresa zauważają moją obecność. Wreszcie zaczynają się uciszać, wokół mnie niesie się szemrząca fala, niczym kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Sefi na pomoście wreszcie również mnie dostrzega.

– Sefi? – warczę, gdy już może mnie usłyszeć. – Sefi! Co ty robisz?

– To, czego ty nie zrobisz – odpowiada mi we własnym języku, nie z gniewem, lecz ze zrozumieniem, że sama musi zająć się nieprzyjemną, lecz konieczną sprawą. Jakby duch zemsty wyrwał się z Hel. Białe włosy opadają jej na plecy, nóż jest zbryzgany krwią po językach, które odcięła. I pomyśleć, że ręczyłem za nią. Pozwoliłem jej nazwać ten okrąg. Jednak to, że lew pozwoli się pogłaskać, nie oznacza, że jest oswojony. Kavax patrzy z przerażeniem. Byłby gotów wezwać swoje dzieci, gdyby Victra nie chwyciła go za ramię i nie odwiodła od tego zamiaru. W jej oczach też widzę strach. Nie tylko na widok egzekucji, ale też na myśl, że sama mogła się znaleźć na tym pomoście i zawisnąć. Nie powiniennem sprowadzać ze sobą Złotych.

W życiu zdarzają się takie chwile, gdy człowiek jest tak zajęty zmierzaniem do celu i tak głęboko pochłonięty własnymi myślami, że zapomina spojrzeć pod nogi, dopóki nie zapadnie się po kolana w ruchome piaski. I właśnie znalazłem się w takiej sytuacji. Stoję wśród nieprzewidywalnego, wściekłego tłumu i patrzę na kobietę z krwi Alii Śnieżnej Jaskółki. Holiday wyciąga blaster, ostrze Victry drży pod rękawem. Zbyt pośpiesznie się tutaj wdarłem. W każdej chwili może się wydarzyć coś naprawdę złego.

– Gdzie jest Mustang? – pytam. – Zabiłaś ją?

– Zabiłam? Nie! Córka Iwa sprowadziła nas z lodu. Ale stanęła na drodze sprawiedliwości, więc została uwięziona.

Zatem Mustang żyje i jest bezpieczna. Jupiterowi niech będą dzięki.

– Co to ma znaczyć? – wołam do Sefi. – Sprawiedliwość? Czy właśnie to otrzymali przyjaciele Ragnara, których twoja matka powiesiła w łańcuchach na Iglicach?

– Taki jest obyczaj na łodzie.

– Nie jesteśmy już na łodzie, Sefi, lecz na moim okręcie.

– Na twoim? – Niezbyt dobrze to brzmi dla PodKolorów w tłumie. – Przelaliśmy tutaj swoją krew.

– Jak my wszyscy – potwierdzam z naciskiem. – Czy na łodzie było dobrze?

Zostawiłaś tę krainę, ponieważ poczułaś, że tak nie jest. Zrozumiałaś, że twoje życie zostało ukształtowane przez waszych panów. Powiedziałaś, że pójdziesz za mną. Skłamałaś?

– A ty? Obiecałeś, że mój lud będzie bezpieczny! – Sefi wychyla się do mnie, wymierza w dół topór wojenny. Poczucie straty ciąży jej mocno. – Widziałam dzieła Złotych. Wojnę, którą prowadzą. Okręty, którymi latają. Słowa nie wystarczą. Ci Złoci mówią tylko jednym językiem. Językiem krwi. Jak długo żyją, jak długo mogą mówić, mój lud nie będzie bezpieczny. Ich potęga jest zbyt wielka.

– I myślisz, że tego chciał Ragnar?

– Tak.

– Ragnar pragnął, żebyś była lepsza niż oni. Niż to. Chciał, abyś dawała przykład. Może jednak Złoci mają rację. Może twój lud to tylko zabójcy. Wściekłe psy, jakimi was uczynili.

– Nigdy nie osiągniemy więcej, dopóki nie znikną – jej głos niesie się echem po hangarze. – Po co ich bronić? – Przyciąga Cassiusa. – Po co bronić tego, który przyczynił się do śmierci mojego brata?

– Myślisz, że dlaczego Ragnar chwycił cię za rękę i odsunął miecz, gdy już umierał? Nie chciał, abyś żyła zemstą. To pusty koniec. Pragnął dla ciebie więcej. Pragnął przyszłości.

– Widziałam niebo, widziałam piekło. Już wiem, że naszą przyszłością jest wojna – woła Sefi. – Wojna, dopóki Złoci nie rozpływą się w mrokach nocy.

Przyciąga Cassiusa jeszcze bliżej i unosi nóż, aby wyciąć mu język. Zanim jednak jej się to udaje, rozlega się strzał z pulsRękawicy. Sefi prostuje się odruchowo, a Ares, pan tej rebelii, wkracza na kładkę w swoim spiczastym hełmie bojowym. Obsydiani rozstępują się przed nim, gdy się prostuje i strzepuje pył z epoletów. Podchodzi bliżej, chowa hełm w kryzie zbroi.

– Co on robi? – pyta mnie Victra. Kręczę głową.

– Durne gnojki – szczy Sevro. – Łapy precz od mojej własności.

Rusza po kładce do Sefi. Kilka Walkirii zastawia mu przejście.

– Och, z drogi. – Ani drgną. Sevro stoi z jedną nos w pierś. – Z drogi, zasrana albinosko.

Obsydianka cofa się dopiero wtedy, gdy Sefi wydaje jej rozkaz. Sevro miją związanych Złotych. Każdego żartobliwie klepie po głowie. Wreszcie wskazuje na Cassiusa.

– Ten jest mój, panienko. Zabieraj łapy.

Sefi jednak się nie rusza.

– Ściął mojego ojca i wsadził jego głowę do pudełka. I jeżeli nie chcesz, żebym zrobił ci to samo, zechciej łaskawie nie dotykać mojej własności.

Sefi cofa się, ale nie chowa noża.

– To twój dług krwi. Jego życie należy do ciebie.

– Oczywiście. – Sevro odpycha ją na bok, a potem pochyla się do Cassiusa. – Wstawaj, ty mały Pixie. – Kopie go i szarpie kabel na szyi więźnia, aby zmusić go do wstania. – Okaż trochę godności. Wstawaj.

Cassius dźwiga się niezdarnie. Ręce ma związane z tyłu, twarz opuchniętą i posiniaczoną. Sling odcina się czerwienią od jasnej skóry.

– Zabiłeś mojego ojca? – Sevro uderza go w pierś. – Zabiłeś mi ojca?

Cassius spogląda na niego z góry. Nie ma w tym ani kryty rozbawienia, tylko duma – duma bez prężności, jakiej nie widziałem u niego od lat. Wojna i życie wyssały z niego resztki wigoru. Cassius ma twarz człowieka, który chce tylko umrzeć, zachowując chociaż odrobinę godności.

– Tak – oznajmia głośno. – Zabiłem go.

– Cieszę się, że to wyjaśniliśmy. Oto morderca! – Sevro krzyczy do tłumu. – A co robimy z mordercami?

Tłum rykiem domaga się śmierci Cassiusa. A Sevro, po teatralnym wychylaniu się z ręką przy uchu, daje ludziom to, czego żądają. Spycha Cassiusa z pomostu. Ten spada, aż kabel na jego szyi napręża się, a wtedy Złoty z szarpnięciem zawisa nad głowami tłumu. Dusi się. Macha nogami. Twarz mu czerwienieje. Tłum ryczy, skanduje imię Aresa.

Tłum nie ma duszy, karmi się strachem, impetem i uprzedzeniami. Ci ludzie nie znają Cassiusa, jego ducha i szlachetności. Nie wiedzą, że ten mężczyzna oddałby życie za najbliższych, ale jego przekleństwem było przeżyć, podczas gdy cała rodzina zginęła. Tłum widzi tylko potwora. Wysokiego na siedem stóp boga, teraz prawie nagiego, upokorzonego i zwisającego z pętli.

A ja widzę człowieka, który starał się najlepiej jak umiał w obojętnym świecie. I ten widok łamie mi serce.

Jednak nie ruszam się, ponieważ wiem, że to coś więcej niż śmierć jednego przyjaciela. To także ponowne narodziny drugiego. Moi towarzysze nie rozumieją. Twarz Kavaxa wykrzywia zgroza. Victry również. Chociaż ani trochę nie współczuła

Cassiusowi, podejrzewam, że płacze nad dzikością, którą widzi w Sevrze. Każdemu człowiekowi byłoby trudno to znieść. Holiday wyciąga broń i zerka na najbliższych Czerwonych, którzy wskazują na Kavaxa. Ale tamci nie chcą stracić przedstawienia.

Patrzę z podziwem, jak Sevro staje na poręczy kładki i rozkłada ramiona, jakby chciał objąć całą swoją armię. Poniżej Cassius kołysze się w agonii nad głowami tłumu, a ludzie najbliżej zabawiają się w zakłady, kto wyskoczy na tyle wysoko, aby dotknąć stopy wisielca. Nikomu się nie udaje.

– Nazywam się Sevro au Barca – woła z góry mój przyjaciel. – Jestem Aresem! – Uderza się w pierś. – Zabiłem dziewięćdziesięciu czterech Złotych. Czterdziestu Obsydianów. Stu trzydziestu Szarych tylko ostrzem!

Tłum ryczy z aprobatą, nawet Obsydiani.

– Jupiter wie, ilu jeszcze przy pomocy okrętów, bronii maszynowej czy pulsacyjnej. A także przy użyciu głowic jądrowych, noży, ostrych szpikulców... – Sevro teatralnie zawiesza głos.

Tłum tupie głośno.

Sevro znowu uderza się w pierś.

– Jestem Aresem! Jestem też mordercą! – Ujmuję się pod boki. – A co robimy z mordercami?

Tym razem nie dostaje żadnej odpowiedzi.

I wcale jej nie oczekiwał.

Pochyla się, ściąga pętlę jednemu z klęczących Złotych, zakłada sobie na szyję i patrzy w oczy Sefi z obłykanym, krzywym uśmiechem. A potem przechyla się w tył i spada z kładki.

Tłum krzyczy, ale wydaje się, że najgłośniejszy jest wstrzymany oddech Victry. Kabel się napręża, Sevro zawisa obok Cassiusa. Stopy mu drżą. Zapada przerzążąca cisza. Twarz mu czerwienieje, a zaraz zsinieje jak Cassiusowi. Kołyszą się razem, Goblin i Złoty, nad kłębiącym się tłumem, który teraz próbuje znaleźć drabinę albo dostać się na kładkę, aby odciąć Sevra. W swoim szaleństwie jednak ludzie przeciążają drabinę – pod ich naporem pęka przy ścianie. Victra już ma włączyć buty grawitacyjne, aby polecieć przyjacielowi na ratunek, ale ją powstrzymuję.

– Czekaj.

– On umiera! – wyrywa jej się nerwowo.

– O to właśnie chodzi.

To nie chłopak wisi na linie. Nie sierota ze złamanym sercem, który potrzebuje mojego wsparcia. To mężczyzna, który przeszedł piekło, ale nadal wierzy w marzenie swojego ojca, marzenie mojej żony. To człowiek, za którego oddałbym życie, nawet gdy umiera, aby chronić ducha powstania.

Kavax jak zahipnotyzowany patrzy na Sefi, która z góry przygląda się z ciekawością temu, co właśnie się rozgrywa. Jej Walkirie są równie zmieszane i

zaciekawione. Zerkają na swoją przywódczynię w oczekiwaniu wyjaśnienia. Ragnar wierzył w swoją siostrę. Wierzył w jej zdolność wzniesienia się nad ten świat, który został im dany, ten, w którym nie istnieje coś takiego jak miłosierdzie ani wybaczenie. I Sefi uderza to dopiero teraz tak mocno. W milczeniu unosi topór i przecina kabel, na którym wisi Sevro, a potem – choć z wyraźnym wahaniem – także linę Cassiusa. Gdzieś tam w przestworzach Ragnar się uśmiecha.

Obaj wisielcy spadają prosto w wyciągnięte ramiona tłumu.

Od chwili, gdy Sevro skoczył, Kavax się nie poruszył. Przyglądał się tylko z dołu Sefi z nieskrywanym niepokojem. Wciąż ma komunikator, żeby wezwać swoją rodzinę, ale zostawiam go w tłumie. Synowie Aresa i Wyjce ustawiły się w krąg wokół swojego przywódcy i nie pozwalają nikomu podejść bliżej. Sevro na czworaka próbuje nabrąć tchu. Przypadam do niego, podczas gdy Holiday pomaga wstać Cassiusowi, który ze świdrem dyszy po lewej obok mnie. Kamyczek otula go wilczą skórą.

– Możesz mówić? – pytam Sevra. Kiwa głową, choć usta ma sine i wykrzywione bólem. Jednak oczy mu płoną. Podaję mu ramię i pomagam wstać. Unoszę pięść, żądając ciszy. Synowie pokrzykują na wszystkich, dopóki dwadzieścia pięć tysięcy istnień nie zacznie oddychać w rytmie uderzeń serca mojego małego przyjaciela. Sevro rozgląda się po otaczających go twarzach, zaskoczony miłością, jaką widzi, szacunkiem i żzami.

– Żona Darrowa... – chrypi przez naruszoną krtań. Odchrząkuje i zaczyna pewniej: – Jego żona i mój ojciec nigdy się nie spotkali. Ale mieli to samo marzenie. O wolnym świecie. Zbudowanym nie na trupach, lecz nadziei. Na miłość, która nas łączy, nie na nienawiści, która dzieli. Tak wielu straciliśmy. Ale się nie załamaliśmy. Nie daliśmy się pokonać. Walczymy dalej. Nie walczymy jednak, aby się zemścić za tych, którzy zginęli. Walczymy za siebie nawzajem. Walczymy za tych, którzy żyją. I za tych, którzy się jeszcze nie narodzili.

Bierze głęboki oddech w napiętej ciszy.

– Cassius zabił mi ojca... – Sevro podchodzi i staje nad niedoszłym wisielcem, przełyka i podnosi wzrok na tłum. – Ale mu wybaczam. Dlaczego? Ponieważ bronił jedynego świata, który zna. I ponieważ się boi.

Victra przepycha się przez krąg do pierwszego szeregu. Sevro dostrzega ją i mówi tak, jakby kierował słowa tylko do niej.

– My niesiemy nowy wiek. I jeżeli mamy wskazać drogę, postarajmy się przynajmniej, aby świat, który tworzymy, był lepszy niż ten. Jestem Sevro au Barca. I już się nie boję.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

NIESŁAWNY RÓD BARCA

– Jesteś wariatem – mówię Sevrowi, gdy już znajdujemy się w lazarecie u doktor Virany. Sevro rozciera sobie szyję i śmieje się jak zawsze. Całuję go w czoło. – Jesteś cholernym szaleńcem, wiesz?

– No, wiem, ukradłem ci chwilę chwały i nie dałem okazji do łzawych przemówień. I jak to świadczy o tobie?

– Że jest równie szalony jak ty – odzywa się Mickey z kąta pokoju. Pali skręta, siwy dym wypuszcza nosem.

– Szlag, boli jak cholera. Nie mogę nawet spojrzeć w bok.

– Nadwyrężyłeś sobie kark, masz popękane chrząstki i uszkodzoną krtań – odzywa się doktor Virany nad skanerów biometrycznych. Jest szczupłą, opaloną kobietą, emanującą tym wyjątkowym spokojem i wyciszeniem, charakterystycznym dla ludzi, którzy poznali trudy życia.

– To samo mówiłem, gdy weszłaś, Virany. I na co ci tyle narzędzi? Gdzie się podziała prawdziwa sztuka?

Virany przewraca oczyma.

– Gdybyś ważył dziesięć kilo więcej, Sevro, złamałbyś sobie kark. Uznaj się za szczęścia.

– Dobrze, że się wcześniej wysrałem – mamrocze Sevro.

– Szyja Darrowa wytrzymałaby w takiej sytuacji pięćdziesiąt kilogramów więcej – chwali się Mickey. – Szacowane naprężenie jego odcinka szyjnego...

– Doprawdy? – wzducha doktor Virany ze znużeniem. – Nie możesz się pochwalić później, Mickey?

– Przyglądam się tylko swojemu majstersztynkowi. – Mickey mruga do mnie porozumiewawczo. Lubi drażnić łagodną Virany. Odkąd zatrudnił ją przy swoim projekcie, spędzały prawie cały czas w laboratorium, co bardzo martwi lekarkę.

– Au! – jęczy Sevro, gdy Virany dżga go w kręgosłup. – To moje ciało.

– Wybacz.

– Pixie – prycham na niego.

– Prawie złamałem sobie kark – oburza się Sevro.

– Miałem okazję poznać tę przyjemność. Tobie przynajmniej nie wymierzono wcześniej chłosty.

– Wolałbym zostać wychłostany. – Krzywi się, a potem jęczy, gdy próbuje obrócić głowę. – Wszystko by było od tego lepsze.

- Nie chłosta od Paxa – zapewniam.
- Oglądałem nagrania, wcale nie uderzał z całej siły.
- Byłeś kiedyś chłostany? Widziałeś moje plecy?
- A widziałeś moje cholerne oko w Instytucie? Szakal wydłubał mi je nożem.

Nawet nie mrugnąłam.

– A moje cholerne ciało zostało rozcięte i wyrzeźbione. – Pręczę się, gdy drzwi rozsuwają się z sykiem i wchodzi Mustang. – Dwa razy.

– Och, zawsze wracamy do tego zasranego rzeźbienia – mamrocze Sevro, a potem przebiera palcami w powietrzu. – Jestem tak cholernie wyjątkowy, bo miałem przepiólowane kości. Posplatało mi się DNA.

– Oni tak zawsze? – pyta Virany Mustang.

– Na to wygląda – uśmiecha się Mustang krzywo. – Mogłabym cię przekupić, żebyś zszyła im usta? Przynajmniej do czasu, aż nauczą się mniejszej przeklinać...

Mickey nadstawa uszu.

– Interesujące, że wspomniałaś...

– Jak trzyma się Złoty? – przerywa mu Sevro i zwraca się do Mustang. – Wiesz coś?

– Cieszy się, że zachował język. W szpitalu zszyto mu pierś. Miał też wewnętrzne krwotoki od bicia, ale przeżyje.

– Wreszcie poszłaś się z nim spotkać? – pytam.

– Owszem. – Dziewczyna w zamyśleniu kiwa głową. – Był... uczuciowy. Chciał, żeby mi podziękowała, Sevro. Powiedział, że na to nie zasłużył.

– Cholerna racja, nie zasłużył – mamrocze Sevro.

– Sefi zapewnia, że Obsydiani zostawią go w spokoju – dodaje.

– Obsydiani? – Mustang marszczy brwi, moja informacja wyrwała ją z zamyślenia.

– Wszyscy?

Parskam śmiechem.

– Nawet się nad tym nie zastanawiałem.

– No i co z tego? – interesuje się Sevro.

– A to, że Sefi decyduje teraz w imieniu wszystkich Obsydianów, a nie tylko Walkirii. To nie było przejęzczenie. Przed zamieszkami nie było mowy o jednoczeniu się plemion – wyjaśniam mu. – Sefi wykorzystała zajście, żeby zjednoczyć wodzów pod swoim przewodnictwem.

– Więc... dokonała zamachu? – dziwi się Sevro.

Śmieję się bez opamiętania.

– Na to wygląda.

– Zobaczmy, czy ten sojusz przetrwa. Ale... jestem pod wrażeniem – przyznaje Mustang. – Zawsze nas uczyono, aby porządnego kryzys nigdy nie poszedł na marne.

Mickey wzdryga się dramatycznie.

– Obsydiani bawiący się w politykę...

– No, ale czy to wszystko, co się stało w hangarze, było strategicznym posunięciem, czy naprawdę? – pyta Mustang Sevra.

– Pojęcia nie mam. – Sevro wzrusza ramionami. – To znaczy musiałem jakoś powstrzymać ten cykl. Boli, że tato zginął. Nie ma jednak sensu palić świata na popiół, to go nie przywróci do życia. I wiesz? Cassius nie zabił mojego ojca z nienawiści. Obaj byli żołnierzami i robili to, co powinni robić żołnierze. Wiesz?

Mustang potrząsa głową, bo nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Dlatego kładzie tylko rękę na ramieniu Sevra. A Sevro wie, że naprawdę zaimponował Mustang. Milcząca pochwała jest najszczerszą, na jaką dziewczyna potrafi się zdobyć. Mój mały przyjaciel posyła jej rzadki prawdziwy uśmiech, pozbawiony ironii. Zaraz jednak uśmiech ten znika, gdy w drzwiach staje Victra. Oczy ma przekrwione i jest zdenerwowana.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzuca do Sevra bez wstępów.

– Wynocha – mówi Sevro, ale żadne z nas się nie rusza. – Wszyscy.

* * *

Czekamy po drugiej stronie drzwi, podczas gdy Sevro i Victra rozmawiają.

– Jak myślisz, ile jeszcze potrwa podróż? – pyta mnie Mustang.

– Czterdzieści dziewięć dni – odpowiadam, po czym odciągam Mickeya, który próbuje podsłuchiwać z uchem przycięniętym do drzwi. – Najważniejsze, żeby Niebiescy się nie wygadali.

– Czterdzieści dziewięć dni to długo. Mój brat zdąży przygotować plany działania. Żadne sztuczki nie zadziałają.

– Wystarczy, żebyśmy utrzymali prędkość lotu. Tylko to się liczy.

Mustang wie, że ten czas mnie dręczy. Poza kadłubem okrętu świata nadal się kręią, a Czerwoni są uciskani. A chociaż obudziliśmy ducha w PodKolorach i zapewniliśmy powstaniu kolejne zwycięstwo, każdego dnia, który tracimy podczas powrotnego lotu do Światów Wewnętrznych, Szakal poluje na naszych przyjaciół, a Władczyni dlawi zagrażającą jej rebelię.

– Tak nie da się wszystkiego naprawić – ostrzega Mustang. – Obsydiani zabili siedmiu jeńców. Moi ludzie są zmęczeni wojną. I konsekwencjami. Zwłaszcza jeżeli Sefi zjednoczy plemiona. Stanie się wtedy bardziej niebezpieczna.

– I bardziej użyteczna – zapewniaam.

– Dopóki znowu ci się sprzeciwi. Wszystko może się rozpaść w każdej chwili.

Prostuje się, gdy Mickey cofa się szybko i drzwi do izby chorych otwierają się z sykiem. Sevro i Victra stoją w progu szeroko uśmiechnięci.

– I z czego się tak cieszycie? – pytam.

– A z tego – Sevro wyciąga pięć z pierścieniem Domu Jupiter na serdecznym palcu. Pierścień jest dla niego trochę za luźny. Mrużę oczy, bo nie od razu dociera do mnie, co to znaczy. Pierścienia Sevra brakuje, dopiero po chwili dostrzegam znak Domu Mars na małym palcu Victry.

– Oświadczyła mi się! – oznajmia radośnie Sevro.

– Co? – dławię się.

Mustang unosi brwi.

– Oświadczyła... znaczy w sensie...

– Tak, kochani! – szczerzy się Sevro. – Bierzemy ślub.

* * *

Ślub Sevra i Victry odbywa się siedem nocy później. Jest to mała uroczystość w hangarze naprawczym „Gwiazdy Zarannej”. Kiedy Victra poprosiła, abym poprowadził ją do ślubu, gdy oznajmili mi szczęśliwą nowinę, zaniemówiłem. Objąłem ją potem mocno, tak jak teraz. Wreszcie biorę ją pod rękę i idziemy przez krótki szpaler wyszorowanych i wymuskanych Wyjców oraz górujących nad nimi Telemanusów. Sevro chyba w życiu nie był tak czysty. Jego niedbały irokez zostało zaczesany na bok, ubranie odprasowane. Mój przyjaciel stoi przed Mickeyem. Zwyczajowo to Biały powinien udzielać błogosławieństwa, ale Victra wyśmiała tradycję i poprosiła Mickeya.

Twarz Fioletowego jaśnieje. Za dużo makijażu, zwłaszcza że to dzień, ale i tak świetnie się prezentuje. Był Snycerzem, potem niewolnikiem, a teraz prowadzi ceremonię ślubną. Niełatwka droga, ale bardzo ją ceni. Był zachwycony, gdy Klaun i Śrubokręt zaprosili go na wieczór kawalerski i zeszłej nocy wył razem ze wszystkimi, gdy porwaliśmy Sevra z jego kajuty do mesy, gdzie Wyjce już czekały z drinkami.

Animozje, które doprowadziły do zamieszek, nie zniknęły całkowicie, ale ślub przynosi nostalgiczne przypomnienie o normalności. W panującym wokół szaleństwie wojny kiełkuje wyjątkowa nadzieja, gdy się wie, że życie może jednak toczyć się dalej. Chociaż niektórzy Synowie Aresa krzywią się, że przywódca Czerwonych żeni się ze Złotą, jednak Victra zasłużyła sobie na respekt wśród dowódców. A odwaga, jaką okazała przy szтурmowaniu „Gwiazdy Zarannej” z Sefi i ze mną, tylko ten szacunek pogłębiła. Przelewała krew dla nich i z nimi, więc w mojej flote panuje spokój. Przynajmniej na razie.

Nigdy nie widziałem Sevra tak szczęśliwego. Ani tak zdenerwowanego jak godzinę temu, przed ceremonią, gdy czesał się w mojej łazience. Chociaż z irokezem niewiele można było zrobić.

– Czy to szaleństwo? Wczoraj wydawało się to świetnym pomysłem – zapytał, patrząc w lustro.

- Dzisiaj to też świetny pomysł – zapewniłem go.
- Tylko tak mówisz. Powiedz mi prawdę. Niedobrze mi.
- Przed Ślubem z Eo zwymiotowałem.
- Bredzisz.
- Na buty wuja. – Czuję ukłucie bólu, bo przecież Narol nie żyje. – Nie bałem się, że źle wybrałem. Bałem się, że Eo się rozmyśli. I bałem się, że nie spełnię jej oczekiwania... Ale mój wujek powiedział, że kobiety mają o nas lepsze zdanie niż my o sobie. Widzą nas lepszymi. Właśnie dlatego kochasz Victrę. Dlatego dla niej walczysz. I dlatego na to zasługujesz.

Sevro zmrużył na mnie oczy w lustrze.

- Jasne, ale twój wujek był szalony. Wszyscy to wiedzą.
- No to znalazłeś się w dobrym towarzystwie. Wszyscy jesteśmy trochę pokręceni. Zwłaszcza Victra. Przecież zgodziła się wyjść za ciebie, nie?

Sevro wyszczerzył się od ucha do ucha.

– Cholerna racja.

A ja zmierwiłem mu włosy, bo miałem nadzieję wbrew nadziei, że on i Victra znajdą teraz trochę szczęścia i może więcej, gdy ta wojna się skończy. Tak naprawdę to najlepsze, o co można prosić.

– Szkoda, że ojca tu nie ma.

– Myślę, że pęka gdzieś ze śmiechu, bo będziesz musiał stanąć na palcach, żeby pocałować pannę młodą – zapewniłem przyjaciela.

– Zawsze był dupkiem.

A teraz Sevro przestępuje z nogi na nogę, gdy podprowadziłam do niego Victrę, a potem spogląda jej w oczy. Mogłoby mnie tu nie być. Właściwie nikogo z nas, nie dla tych dwóch. Łagodność, jaką dostrzegam w oczach gniewnej Victry, wystarcza, aby zrozumieć, jak bardzo kocha Sevra. Nie jest to dla niej temat do rozmów, ale ostra klinga, którą ma dla wszystkich i na wszystko, na dzisiejszą noc ulegnie stępieniu. Victra wydaje się w Sevrze widzieć azyl, miejsce, gdzie może czuć się bezpieczna.

Dołączam do Mustang, gdy Mickey zaczyna kwiecistą przemowę. Nie jest nawet w połowie tak wzniósła, jak się spodziewałam. Mustang kiwa głową przy niektórych zdaniach, więc domyślam się, że pomogła mu przygotować tę ceremonię. Jakby czytała mi w myślach, przysuwa się i szepcze:

– Szkoda, że nie widziałeś pierwszej wersji. Była... spektakularna. – Pociąga nosem, gdy mnie wącha. – Piłeś?

A potem rozgląda się po zarumienionych twarzach Wyjców oraz kiwających się Telemanusów.

– Wszyscy pili?

– Cii... – Podaję jej butelkę. – Jesteś zbyt trzeźwa.

Mickey kończy ceremonię.

– ...związek, który przerwać może tylko śmierć. Ogłaszam was mężem i żoną. Oto Sevro i Victra au Barca.

– Julii – poprawia szybko Sevro. – Jej ród jest starszy.

Victra kręci głową i spogląda na niego z góry.

– Właśnie że dobrze ogłosił.

– Ale przecież jesteś Julii – dziwi się Sevro zmieszany.

– Wczoraj byłam. Dzisiaj wolę być Barca. Zakładając, że nie masz nic przeciwko temu. I że nie będę musiała się proporcjonalnie pomniejszyć.

– Byłoby cudownie – rumieni się Sevro. Mickey chrząka i para obraca się do przyjaciół.

– Mam przyjemność przedstawić was waszym przyjaciołom i znajomym oraz wszystkim światom jako Sevra i Victrę z marsjańskiego rodu Barca.

* * *

Uroczystość zaślubin mogła być mała, ale wesele to zupełnie co innego. Roznosi się na całą flotę. Mój lud najlepiej wie, jak przetrwać trudy życia dzięki świętowaniu. Życie to nie tylko kwestia oddychania, w życiu chodzi też o to, żeby być. Przemowa Sevra i opowieść o tym, jak się powiesił, rozniosła się po okrętach i zaczęła leczyć rany.

Jednak dzisiaj liczy się tylko jedno. Liczy się tylko afirmacja życia i radości, która rozchodzi się po całej flocie. Tańce odbywają się nawet na najmniejszych kutrach, korwetach, a także na brygach i niszczycielach. Oraz na „Gwieździe Zarannej”. Przeloty myśliwców w defiladowych formacjach wprawiają hangary w vibracje. Trunki Elity leżą się strumieniami wśród załóg, które zbierają się w hangarach i salach, aby tańczyć i śpiewać wśród wojennego uzbrojenia. Nawet Kavax, tak uparty w swoim lęku przed chaosem i w uprzedzeniach do Obsydianów, tańczy z Mustang. Pijacko obejmuje potem Victrę i Sevra, a następnie stara się zapomnieć o salach balowych Elity i uczy się tańców mojego ludu od pulchnej, roześmianej Czerwonej mechanik ze smarem pod paznokciami. Dołączają do nich także Cyther, niezdarny Pomarańczowy, który półtora roku temu zrobił na mnie ogromne wrażenie w hangarach „Paxa”. Rano właśnie skończył specjalny projekt Mustang. A teraz jest pijany i obraca swoje niezdarne cielsko na parkiecie przy akompaniamencie ryków Kavaxa.

Daxo kiwa głową nad wybrykami ojca. Sam zachowuje dystans i siedzi pod ścianą, jak zwykle. Przynoszę mu drinka.

– To wino – zapewniam.

– Jupiterowi niech będą dzięki. – Ostrożnie bierze ode mnie szklankę. – Twoi ludzie nieustannie próbują mnie poić jakimś odrzewiaczem do czyszczenia silników.

Zerka czujnie na swój unipad.

– Holiday pilnuje porządku – uspokajam Telemanusa. – To nie zabawa Złotych.

Daxo parska śmiechem.

– Za to również niech będą dzięki Jupiterowi. – Wreszcie podnosi szklankę do ust.

– Wenusjański Atol. Bardzo smaczne.

– Twój ojciec wygląda wspaniale. – Z uśmiechem wskazuję na parkiet, gdzie wielkolud wygina się z dwiema Czerwonymi.

– Nie tylko on. – Daxo krzywi się, a potem podąża za moim spojrzeniem w stronę Mustang płaszącej z Sevrem. Twarz dziewczyny jaśnieje pełnią życia. A może to tylko alkohol. Włosy przylepiają się jej do spoconego czoła.

– Ona cię kocha, wiesz? – rzuca Daxo. – Tylko boi się, że cię straci, więc trzyma się na dystans. Zabawni jesteśmy, prawda?

– Daxo, dlaczego nie tańczysz? – Victra podchodzi do wielkoluda. – Cały czas taki porządny. Wstawaj, no już! Już!

Zmusza go, żeby wstał, i popycha do tańczących, a potem opada na jego miejsce.

– Moje stopy! Przejrzałam garderobę Antonii. Zapomniałam, że ma stopy jak krasnal.

Parskam śmiechem. Zaraz potem zatacza się na nas Klaun. Jest pijany w sztok.

– Victro, Darrow. Mam pytanie. Myślisz, że Kamyk interesuje się tym facetem? – Opiera się o stolik i wychyla kolejną szklankę wina. Zęby ma już fioletowe.

– Tym wysokim? – pyta Victra. Kamyczek tańczy z Szarym kapitanem z Gargulców.

– Chyba jej się podoba.

– Jest strasznie przystojny – przyznaje Klaun. – Ładne zęby.

– Przypuszczam, że możesz ją odbić – pocieszam go.

– No... Ale nie chcę wyjść na desperata.

– Niech Jupiter bronii – zgadza się Victra.

– Myślę, że zrobię odbijanego.

– Myślę, że to świetny pomysł – zachęca Victra. – Ale najpierw się ukłoń.

Uprzemość przede wszystkim.

– Och. No to postanowione. Już idę. – Nalewa sobie wina. – Tylko się napiję.

Zabieram mu wino i popycham na parkiet. Holiday pojawia się w drzwiach.

Obserwuje niezdarną próbę odbijania Kamyczek. Klaun kłania się jej nisko i macha rozpaczliwie rękami.

– O cholera. Naprawdę to zrobił. – Victra parska szampanem przez nos. –

Powinieneś odbić Mustang. Bo pomyśl, że chce mi ukraść męża. Mąż. Dziwnie to brzmi.

- Bo to dziwne słowo.
- Znam dziwniejsze. Żona. Kto by pomyślał, co? Mierzę ją spojrzeniem od stóp do głów.
- Do ciebie wydaje się pasować. – Obejmuję ją ramieniem. – Pasuje idealnie. Victra uśmiecha się promiennie.
- Wodzu. – Holiday podchodzi do nas z wahaniem.
- Holiday, wpadłaś na drinka? – Uśmiecham się do niej, ale ten uśmiech zamiera mi na ustach, gdy widzę wyraz jej twarzy. Coś się stało. – O co chodzi?
- Szara odciąga mnie od Victry.
- Szakal – wyjaśnia cicho, żeby nie zepsuć nikomu zabawy. – Wywołuje cię. Na bezpośredniim łączu.
- Jakie ma opóźnienie?
- Sześć sekund.

Na parkiecie Sevro wiruje niezdarnie z Mustang. Śmieją się oboje, ponieważ żadne nie ma pojęcia o tańcu, który wykonują Czerwoni wokół nich. Włosy Mustang są na skroniach ciemne od potu, oczy błyszczące z radości. Żadne z nich nie wyczuwa we mnie ponurych obaw i zgrozy, która czai się w świecie poza naszą flotą. I dobrze, nie chcę, żeby coś wyczuli. Nie dzisiaj.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

MROCZNE SŁOWA

Szakal siedzi na prostym krześle na środku mojej okrągłej sali treningowej. Nosi białą pelerynę ze złotym lwem na wysokim kołnierzu. Gwiazdy nad jego głową lśnią zimno przez kopułę z duroszkła. Pomieszczenie to zostało zaprojektowane do ćwiczeń w sztukach wojennych, dlatego właśnie tutaj udzielam audiencji mojemu wrogowi. Nie pozwolę mu skazić swoją obecnością okrętu, na którym mieszkał Roque i na którym moi przyjaciele właśnie świętują wesele.

Chociaż Szakal znajduje się o miliony kilometrów ode mnie, prawie czuję jego zapach – wody po goleniu i ołówków. Cisza, którą ten człowiek wypełnia wielką salę, jest niemal namacalna. Staję przed jego wirtualnym obrazem. Wydaje się tak żywy, że gdyby nie poświata holo, mógłbym przysiąc, że Szakal pojawił się osobiście na pokładzie. Tło za jego plecami jest rozmyte. Szakal obserwuje mnie przenikliwie. Nie uśmiecha się. Nie okazuje fałszywej uprzejmości. Ale mam wrażenie, że jest rozbawiony. Srebrzyste pióro przemyka między jego palcami, jedyna oznaka silnych emocji.

– Hej, Kosiarzu. Jak tam wesele?

Staram się nie okazać niepokoju. Oczywiście, że wie o weselu. Przecież ma szpiegów w naszej flocie. Nie umiem tylko powiedzieć, jak blisko mnie dotarli. Ale nie pozwalam, aby ta obawa zatruwała mi myśli. Gdyby Szakal mógł nas dosiągnąć i zranić, już by to zrobił.

– Czego chcesz? – pytam.

– Wzywałeś mnie ostatnio. Pomyślałem, że powiniensem się odwzajemnić, zwłaszcza biorąc pod uwagę wiadomość, którą przesłałem ci wcześniej. O wuju. Dostałeś ją? – Nie odpowiadam. – Tym bardziej że gdy przylecisz na Marsa, będą mówić tylko działa. Możemy już nigdy się nie zobaczyć. Dziwne, prawda? Widziałeś Roque'a, zanim umarł?

– Tak.

– Szlochał i błagał cię o wybaczenie?

– Nie.

Szakal marszczy brwi.

– Myślałem, że będzie. Romantyka łatwo zwieść. I pomyśleć, że był tuż obok, gdy załatwiłem jego dziewczynę. Wpadł i przebiegłeś przez salę, wrzeszcząc imię Tactusa, a on podniósł głowę zmieszany. Wtedy wbiłem głębiej w czaszkę skalpel. Zastanawiałem się, czy nie pozwolić Quinn żyć z uszkodzeniami mózgu, ale myśl, że

nieustannie by się śliniła, wywoływała mdłości. Sądzisz, że wciąż by ją kochał, gdyby się śliniła?

Poza zasięgiem kamery słyszę syk drzwi. Mustang przyszła za mną. Patrzy na to, co się dzieje, w milczeniu. Powinienem odwrócić się od wizerunku Szakala. Zostawić tego potwora samemu sobie. Nie mogę się jednak od niego oderwać. Ta sama ciekawość, która mnie tutaj przywiodła, teraz trzyma mnie w miejscu.

– Roque nie był doskonały, ale zależało mu na Złotych. Zależało mu na ludzkości. Miał coś, za co mógł umrzeć. A to czyni go lepszym człowiekiem niż większość innych – mówię spokojnie.

– Łatwo przebaczać umarłym – krzywi się Szakal. – Wiem coś o tym.

Nieznaczny spazm człowieczeństwa drży mu na wargach. Szakal pewnie nigdy tego nie powie, ale ton jego głosu zdradza, że czasami żałuje. Wiem, że pragnął aprobaty ojca. Czy to jednak możliwe, że za nim tęskni? Że wybaczył swojemu ojcu po śmierci i wreszcie go opłakuje? Czy właśnie o to chodzi?

Szakal podnosi z kolan złoty preł. Po naciśnięciu guzika zmienia się on w buławę z czaszką szakala na szczycie piramidy społecznej. Zamówiłem ją dla niego ponad rok temu.

– Nie rozstawałem się z twoim prezentem – oznajmia. Przesuwa palcami po szakalu. – Całe życie dawano mi lwy. Nic dla mnie. Jak to świadczy o mnie, że największy wróg zna mnie lepiej niż przyjaciele?

– Ty berło, ja miecz. – Ignoruję jego pytanie. – Taki był plan.

Dałem mu je, bo chciałem, aby poczuł się kochany. Żeby czuł, że jestem jego przyjacielem. I wtedy byłbym. Pomogłbym mu się zmienić, jak Mustang. Jak może Cassiusowi.

– Czy jest takie, jak myślałeś? – pytam.

– Co?

– Miejsce twojego ojca.

Marszczy brwi, zastanawia się, dlaczego zmieniłem temat.

– Nie – odpowiada wreszcie. – Nie tego się spodziewałem.

– Chcesz być znienawidzony, prawda? Właśnie dlatego zabiłeś mojego wuja, choć wcale nie musiałeś. Dzięki temu masz cel. I dlatego chciałeś ze mną rozmawiać.

Żeby poczuć się ważny. Ale ja nie czuję do ciebie nienawiści.

– Kłamiesz.

– Naprawdę.

– Zabiłem Paxę, twojego wuja i Lorna...

– Żal mi cię.

Szakal prostuje się oburzony.

– Żal?

– ArcyGubernator Marsa, jeden z najpotężniejszych ludzi w Układzie Słonecznym. Tak potężny, że może robić, co chce. Ale to nie wystarcza. Bo tobie nic nie wystarcza ani nie będzie wystarczało. Adriusie, wcale nie próbujesz dowieść swojej wartości ojcu, mnie, Virginii czy Władczyni. Próbujesz udowodnić coś sobie. Ponieważ wewnątrz jesteś zepsuty. I nienawidzisz tego, jaki jesteś. Żałujesz, że nie urodziłeś się taki jak Claudius. Jak Virginia. Żałujesz, że nie jesteś taki jak ja.

– Jak ty? – krzywi się. – Brudny Czerwony?

– Nie jestem Czerwony. – Pokazuję mu dlonie bez Sigili. Widok budzi w nim odrazę.

– Nie osiągnąłeś nawet takiego poziomu ewolucji, żeby mieć Kolor, Darrow? Jesteś tylko homo sapiens, który igra z domeną bogów.

– Bogów? – Kręczę głową. – Nie jesteś bogiem. Nie jesteś nawet Złotym. Tylko człowiekiem, któremu się wydaje, że tytuł uczyni go wielkim. Człowiekiem, który pragnie być kimś więcej, niż jest. Lecz jedyne, czego naprawdę pragniesz, to miłość. Czyż nie tak?

Szakal prycha z pogardą.

– Miłość jest dla słabych. Jedyne, co nas do siebie upodabnia, to nasze pragnienie. Myślisz, że nigdy nie będę zadowolony i zawsze będę pragnął więcej. Ale popatrz w lustro, a zobaczysz tam takiego samego człowieka. Powiedz swoim małym Czerwonym przyjaciołom, jaki jesteś. Bo wiem, że zatraciłeś się wśród nas. Pragnąłeś być Złotym. Widziałem to w twoich oczach, gdy uczyłeś się w Instytucie. Widziałem tę gorączkę na Księżycu, gdy zaproponowałem, abyśmy to my rządzili. I widziałem to, gdy jechałeś w tym triumfalnym rydwaniu do schodów pod Cytadelą. Właśnie to pragnienie sprawia, że na zawsze będziemy samotni.

Trafił w samo sedno. W ten bezdenny strach, że moją rzeczywistość tworzy ciemność. Strach przed samotnością. Strach, że nigdy nie znajdę znowu miłości. Ale wtedy podchodzi Mustang i staje u mojego boku.

– Mylisz się, bracie – mówi.

Szakal prostuje się na widok siostry.

– Darrow miał żonę. Rodzinę, którą kochał. Miał tak niewiele i był szczęśliwy. Ty masz wszystko, a jesteś beznadziejnie nieszczęśliwy. I zawsze tak będzie, ponieważ pożądasz za wiele. – Opanowanie Szakala z wolna znika. – Właśnie dlatego zabiłeś ojca i Quinn. Dlatego zabiłeś Paxę. Ale to nie gra, bracie. To nie jeden z twoich labiryntów...

– Nie nazywaj mnie bratem, dziwko. Nie jesteś moją siostrą. Rozłożyłaś nogi dla kundla. Dla bestii. Następni będą Obsydiani? Założę się, że już ustawiają się w kolejce. Hańbisz swój Kolor i swój ród.

Ruszam gniewnie na holo, ale Mustang kładzie mi rękę na piersi, a potem odwraca się do Szakala.

- Myślisz, że nigdy nie byłeś kochany, bracie. Ale matka cię kochała.
- Jeżeli mnie kochała, dlaczego nigdy tego nie powiedziała? – pyta ostro Szakal. – Dlaczego odeszła?
- Nie wiem – przyznaje Mustang. – Ale i ja cię kochałam, a ty odrzuciłeś tę miłość. Byłeś moim bliźniakiem. Byliśmy związani na całe życie.

Do oczu napływają jej łzy.

- Broniłam cię przez lata. A potem odkryłam, że to ty doprowadziłeś do śmierci Claudiusa. – Mruga, aby pozbyć się łez, potrząsa głową, zanim znowu może mówić.
- Tego nie mogę wybaczyć. Nie mogę. Kochałam cię, ale zniszczyłeś tę miłość, bracie. To twoje przekleństwo.

Podchodzę i staję obok Mustang.

- Adriusie, idziemy po ciebie. Zniszczymy twoje okręty. Podbijemy Marsa. Przekopiemy się do twojego bunkra. Znajdziemy cię i sprawiedliwie osądzymy. A kiedy zawiśniesz na szubienicy, kiedy otworzy się pod tobą klapa i twoje stopy zaczną wykonywać Taniec Diabła, wtedy dopiero zrozumiesz, że wszystko to było na próżno, bo nie ma nikogo, kto pociągnąłby cię za nogi.

Blada poświata znika, gdy przerywamy połączenie. Pozostają tylko gwiazdy nad szklaną kopułą.

- Dobrze się czujesz? – pytam Mustang. Kiwa głową i wyciera oczy.
- Nie sądziłam, że tak się rozplaczę, wybacz.
- Szczerze mówiąc, sam chyba płaczę częściej. Ale... wybaczam.

Próbuje się uśmiechnąć.

- Myślisz, że możemy tego dokonać, Darrow?

Oczy Mustang są zaczerwienione, tusz, którego użyła na wesele, rozmazał się we łzach, a nos zaróżowił. Nigdy jednak nie widziałem piękniejszej kobiety. Emanuje od niej surowość życia. Wszystkie smutki, porażki i radości, które uczyniły ją taką, jaka jest teraz, widać jak na dłoni. Jest tak niedoskonała i twarda, że chcę objąć ją i kochać, jak tylko mogę. I choć raz Mustang mi na to pozwala.

- Musimy. Ty i ja mamy przed sobą całe życie. – Biorę ją w ramiona. Wydaje się niemożliwe, że taka kobieta kiedykolwiek chciałaby, abym ją obejmował, ale opiera mi głowę na piersi, gdy zamykam ją w uścisku. Przypominam sobie, że tak dobrze do siebie pasowaliśmy, gdy mieliśmy tylko siebie, gwiazdy i czas płynący gdzieś w oddali.

- Powinniśmy wracać na wesele. – Mustang w końcu przerywa ciszę.
- Po co? Mam tu wszystko, czego mi trzeba.

Patrzę na jej złote włosy i dostrzegam ciemność wśród nich. Wdycham jej zapach. Nieważne, czy wszystko skończy się jutro czy za osiemdziesiąt lat, mógłbym tak oddychać do końca życia. Ale chcę więcej. Potrzebuję więcej. Unoszę jej głowę, żeby na mnie spojrzała. Zamierzałem powiedzieć coś ważnego, godnego

zapamiętania. Ale zapominam, gdy napotykam jej oczy. Ta przepaść, która nas dzieli, wciąż tam jest, wypełniona pytaniami, wątpliwościami i poczuciem winy. Jednak kryje się w tym miłość. I człowieczeństwo. Wszystko jest popękanie i splamione, oprócz tych krystalicznie czystych chwil, które zatrzymują się w czasie i sprawiają, że warto żyć.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

KSIĘŻYC

Boje Rubikonu to sfera w kosmosie wyznaczana przez przekaźniki, każdy wielki jak dwóch Obsydianów. Ustawione zostały w odległości miliona kilometrów od Ziemi i znaczą granice domeny Władczyni. Przez pięćset lat żadna obca flota nie przeszła przez nie niezauważona. A teraz, dwa miesiące i trzy tygodnie po otrzymaniu przez Światy Wewnętrzne wieści o zniszczeniu niepokonanej Armady Miecza, osiem tygodni po ogłoszeniu przeze mnie, że lecimy na Marsa, siedemnaście dni po ogłoszeniu przez Władczynię stanu wojennego we wszystkich miastach, Czerwona Armada przekracza Boje Rubikonu bez jednego strzału.

Kutry rakietowe Tele manusów pędzą w awangardzie, aby usunąć miny i wyszukać pułapki zastawione przez siły Elity. Za lekkimi jednostkami lecą ciężkie niszczyciele wypełnione Obsydianami, na burtach mają wymalowane wszystkowidzące oczy duchów lodu. Następne są okręty Julii, znakowane płaczącym słońcem, wśród nich ciężki krążownik „Pandora”. Potem siły Reformatorów – synowych Lorna au Arcosa – które szukają sprawiedliwości, a za nimi czarno-złote okręty z symbolem lwa Augustusów, prowadzone przez pobliżnoną w bitwie „Dejah Thoris”. I na końcu moje jednostki z największym okrętem zbudowanym i skradzionym przez człowieka – białą „Gwiazdą Zaranną”, z wymalowaną prawie siedmiokilometrową kosą na burtach. Wywiercone podczas desantu dziury nie zostały naprawione i dalej przebijają się przez pokłady, tylko kadłub został uszczelniony. Zniszczyliśmy „Paxa”, żeby zdobyć „Gwiazdę Zaranną”. I było warto. Jednak przy malowaniu kosy zabrakło nam farby, więc nasz symbol wbija się w herb rodu Lune. Ludzie uważają, że to dobry znak – przypadkowo wyszło nam, że grozimy Octavii.

Do Światów Wewnętrznych wkracza wojna.

Po trzech dniach już wiadomo, że nadlatuję. Nie udało się całkowicie zmylić czujników. Ale chaos, który panuje na planetach, ujawnia, jak słabo Elita jest przygotowana na nasz powrót. Oto cywilizacja w rozsypce. Pan Popiołów zebrał wokół Księżyca Armatę Berła, dumę Wnętrza. Ustawił się w obronną formację. Karawany jednostek handlowych przemierzają Via Appia z Obrzeży na północną półkulę Księżyca, białe statki pasażerskie tłoczą się na Via Flaminia – czekają na inspekcję w ogromnych Astrodokach Flaminius, zanim ruszą w atmosferę Ziemi. Ale kiedy mijamy Boje Rubikonu i kierujemy się w przestrzeń lunarną, wśród cywilnych jednostek powstaje zamieszanie. Wiele wyrywa się z ustalonej kolejki i pędzi na

Wenus, inne próbują przebić się przez Astrodoki bez czekania na zezwolenie i uciec na Ziemię. Rozpraszały się mimo niesprawnych napędów lub uszkodzonych kadłubów – wiele przyleciało do doków na naprawy.

Armada Berła wokół Księżyca przewyższa nas pod względem liczebności i uzbrojenia, ale inicjatywa jest po naszej stronie, podobnie jak strach, że cywilizacja zostanie zniszczona przez inwazję barbarzyńców.

Stawiamy pierwsze kroki w bitwie o Księżyce.

– Uwaga, do niezidentyfikowanej floty... – ostry głos Miedzianej niesie się na otwartych częstotliwościach. – Tu Dowództwo Obrony Lunarnej. Jesteście w posiadaniu skradzionej własności i naruszyliście granice przestrzenne wyznaczone przez prawo Elity. Kim jesteście i jakie macie zamiary?

– Wystrzelić pociski dalekiego zasięgu w Cytadelę – rozkazuję.

– To odległość ponad miliona kilometrów... – oponuje Niebieski przy panelu sterowania bronią. – Na pewno nie trafimy.

– Doskonale o tym wiemy, dzięki – cedzi Sevro. – Wykonuj rozkazy.

Ukrywanie celu naszego lotu wymagało nie tylko odcięcia transmisji zewnętrznych floty, lecz także pracy wywiadu i dowódców. Dzięki temu Szakal będzie czekał na Marsie i nie zdoła pomóc Władczyni. Podobnie jak Classis Venetum, Czwarta Flota Wenusjańska. Czy też Classis Libertas, Piąta Flota z pasa asteroid, wysłana przez Octavię na Marsa, aby pomogła Szakalowi. Na pełnej mocy wszystkie trzy formacje leciałyby na Księżyce około trzech tygodni. Kłamstwo zadziałało. Szpiedzy na pokładach moich okrętów rozsiewali fałszywe pogłoski, a Sevro wykrzykiwał je po powieszeniu się dość często.

Na tym polega bezpieczeństwo wielkiego imperium – ogromne siły wszystkich światów nic nie znaczą, gdy znajdują się w złym miejscu i czasie.

Dwadzieścia minut później pociski dalekiego zasięgu trafiają w platformy obrony orbitalnej.

– Nowe bezpośrednie połączenie – melduje Niebieski operator łączności. – Ma znacznik Pretorianów.

– Na główny holowyświetlacz.

Złoty Pretorianin o szlachetnych rysach twarzy i siwizną na skroniach ukazuje się przed mną. Obraz pojawia się również na mostkach innych okrętów mojej floty oraz głównych ekranach.

– Darrow z Lykos – wita się Pretorianin z tym nienagannym akcentem, nabytym na Księżyku. – Czy zdobyłeś imperatorstwo nad tą flotą wojenną?

– A co mi po waszych tradycjach? – pytam.

– Doskonale. – Złoty nawet teraz zachowuje nienaganne maniery. – Jestem ArcyLegat Lucjusz au Sejanus z pierwszej kohorty Gwardii Pretoriańskiej.

Znam Sejanusa, to niesamowity, skuteczny człowiek.

– Przybywam z misją dyplomatyczną do twojej floty – mówi oschle. – Proszę, abyś powstrzymał się od dalszych aktów agresji i dał moim promom dostęp na twój okręt flagowy, abyśmy mogli przekazać Władczyni i Senatowi twoje intencje w...

– Odmawiam.

– Przepraszam, co?

– Każdy okręt Elity, który zbliży się do mojej floty, zostanie ostrzelany. Jeżeli Władczyni życzy sobie rozmawiać ze mną, niech zrobi to osobiście, nie ustami swoich giermków. Przekaż starej wiedźmie, że przylecieliśmy tu walczyć, nie rozmawiać.

Na moim okręcie trwa gorączkowa krzątanina. Zaledwie trzy dni temu załogi dowiedziały się o prawdziwym celu naszej podróży, ale ludzie już są szaleńczo podnieceni. W ataku na Księżyc kryje się nieśmiertelność. Porażka czy zwycięstwo nie ma znaczenia, znajdziemy się w historii Złotych. Na dodatek załogi uważają, na podstawie przechwyconych rozmów między księżycami i planetami Wnętrza, że wroga opanowuje strach. Złoci po raz pierwszy okazali się słabí. Rozbicie Armady Miecza, o czym wieść niesie się jak pożar, rozpalíło powstanie bardziej niż jakakolwiek moja przemowa.

Żołnierze salutują, gdy mijają mnie w korytarzach, gdy przygotowuję się do przejścia na promy bojowe i transportowce. Oddziały składały się początkowo z Czerwonych robotników i deserterów Szarych, ale teraz dostrzegam też Zielonych, Czerwonych mechaników i Obsydianów w zwiadzie oraz ciężkiej piechocie.

Osobiście przesłałem na „Gwiazdę Zaranną” kod i zezwolenie na start promu. Zwykle ufam, że rozkazy będą wykonywane, ale dzisiaj wolę wszystkiego osobiście dopilnować. Czerwony dowódca oddziału ochrony mostka wydaje rozkaz „bacźność”, gdy wchodzę. Ponad pięćdziesięciu uzbrojonych żołnierzy, Czerwonych, Szarych i Obsydianów, salutuje mi na powitanie. Niebiescy przy swoich stanowiskach nie przerywają pracy. Orion stoi na wysuniętym pomoście obserwacyjnym – na miejscu Roque'a. Umięśnione ręce złożyła za plecami, skórę ma niemal tak ciemną jak jej czarny mundur. Odwraca się i wbija we mnie jasne, wielkie oczy, szczerzy śnieżnobiałezęby w złośliwym uśmiechu.

– Kosiarzu, flota jest prawie gotowa.

Witam ją ciepło i staję obok, aby popatrzeć przez panoramiczny iluminator na gwiazdy.

– Jak wygląda sytuacja?

– Pan Popiołów uruchomił systemy obrony powierzchni. Chyba myśli, że zamierzamy przeprowadzić kolejny Stalowy Deszcz, zanim odeprzemy go nad Księżycem. Ostre założenie. Na razie nie ma powodów, żeby nas atakować. Reszta okrętów już tutaj leci. Gdy się pojawią, będziemy jak karaluch między podłogą i

podeszwą buta. Pan Popiołów zakłada, że będziemy dążyć jak najszybciej do stercia, nie ma innej możliwości.

– Pan Popiołów zna się na wojnie – zapewniam.

– To prawda. – Orion zerka na swój unipad. – Co to za zezwolenie na start dla promu klasy Sarpedon z eskadry Delta?

Wiedziałem, że nie umknie to jej uwadze. Ale nie chcę się teraz tłumaczyć. Nie każdy okazałby tyle współczucia Cassiusowi, co ja, chociaż nawet Sevro go oszczędził.

– Wysyłam emisariusza na spotkanie z grupą Senatorów – próbuję kłamać.

– Oboje wiemy, że nie – prycha Orion. – Co się dzieje?

Podchodzę do niej bliżej, żeby nikt nie usłyszał.

– Jeżeli Cassius pozostanie we flocie, gdy idziemy na wojnę, ktoś spróbuje przedrzeć się przez straże i poderżnie mu gardło. Bellona to zbyt znienawidzony ród, aby zostawić jego przedstawiciela na pokładzie.

– Dlaczego nie ukryjesz go w innej celi? Nie musisz go uwalniać – oponuje Niebieska. – Przecież on wróci do Władczyni. Przyłączy się do wojny.

– Nie zrobi tego.

Orion rozgląda się, żeby mieć pewność, że nikt jej nie usłyszy.

– Jeżeli Obsydiani się dowiedzą...

– Właśnie dlatego nikomu nie powiedziałem. Chcę go uwolnić. Przepuść ten prom. Obiecaj, że go przepuścisz.

Orion zaciiska wargi.

– Obiecaj.

Wreszcie kiwa głową i wbija wzrok w Księżyc. Jak zwykle mam wrażenie, że nie mówi mi wszystkiego.

– Obiecuję. Ale bądź ostrożny, chłopcze.

Spotykam się z Sevrem w korytarzu przy drzwiach do sektora z celami dla szczególnie ważnych więźniów. Mój przyjaciel siedzi na pomarańczowej skrzyni ładunkowej unoszącej się na palecie antygrawitacyjnej i popija z piersówka. Nie zdejmuje ręki z blastera w kaburze przy biodrzu. Korytarz jest bardziej cichy, niż powinien, zwłaszcza biorąc pod uwagę naszą obecność, ale największa aktywność panuje w tej chwili w głównych sektorach uzbrojenia, maszynowni i arsenałów, nie tutaj, na pokładzie więziennym.

– Co tak długo? – pyta Sevro. Nosi nowe czarne spodnie i kamizelkę, w której chyba nie czuje się swobodnie. Buty obijają się z cichym trzaskiem, gdy macha nogami.

– Orion zadawała pytania o pozwolenie na lot.

– Szlag. Domyśliła się, że wypuszczamy orła?

– Obiecała, że go przepuści.

- Lepiej, żeby dotrzymała słowa. I niech trzyma swoją Niebieską buzię na kłódkę, bo jak Sefi się dowie...
 - Wiem. Orion też. Nie powie Sefi.
 - Skoro tak twierdzisz. – Sevro marszczy się, dopija resztki z piersówka i zerka w głęb korytarza. Nadchodzi Mustang.
 - Strażnicy odwołani. Patrole odesłane z korytarza 13C. Możemy przenieść Cassiusa do hangaru.
 - Dobrze. Jesteś pewna? – Dotykam jej ręki. Kiwa głową.
 - Nie całkiem, ale takie jest życie.
 - Sevro? Ty też nie masz nic przeciwko?
- Sevro zeskakuje ze skrzyni.
- Najwyraźniej. Przecież tu jestem, nie?
- Przyjaciel pomaga mi przesunąć antygrawitacyjną paletę przez drzwi. W stróżówce nikogo nie ma. Po Synach Aresa, którzy pilnowali więźnia, pozostały opakowania po burgerach i niedopałki. Sevro podchodzi za mną do dziesięciokątnego pomieszczenia, w którym znajdują się drzwi do cel z duroszkła, pogwizdując pod nosem melodię, którą śpiewał Pliniuszowi.
- *Gdy ci serce wali jak szalony młot, a po udach spływają moczu strugi...* – zaczyna podśpiewywać, gdy stajemy pod celą Cassiusa. Antonia jest zamknięta w drugiej, naprzeciwko. Twarz ma zapuchniętą po ciosach i spogląda na nas z nienawiścią, ale nie rusza się z pryczy. Sevro puka w duroszkło, dzielące nas od Cassiusa.
 - Pobudka, panie Bellona.
- Cassius przeciera oczy, siada na pryczy. Przygląda się mnie i Sevrowi, ale z pytaniem zwraca się do Mustang.
- Co się dzieje?
 - Dolecieliśmy na Księżyc – wyjaśniam.
 - Nie na Marsa? – dziwi się Cassius. Antonia unosi się na pryczy, również zaskoczona wieścią.
 - Nie na Marsa.
 - Chcesz zaatakować Księżyc? – mruczy Cassius pod nosem. – Jesteś szalony. Nie masz okrętów. Jak planujesz choćby przebić się przez tarcze?
 - Nie martw się tym, skarbie – prycha Sevro. – Mamy swoje sposoby. Ale niedługo przez ten okręt będzie się przebiąło sporo rozgrzanego metalu, a do ciebie może wpaść jakiś gość i przebić ci serce. Ta myśl wprawiała Darrowa w głęboki smutek. A ja nie lubię, gdy Darrow jest smutny.
- Cassius patrzy na nas, jakbyśmy byli obłąkani.
- Wciąż nie pojmuję – wzdycha Sevro.
 - Kiedy powiedziałeś, że jesteś zmęczony tą wojną, mówiłeś szczerze? – pytam.
 - Po prostu nie rozumiem...

- To cholernie proste, Cassiusie. Tak czy nie?
- Tak – przyznaje Cassius ze swojej pryczy. Antonia siada, żeby dokładniej obserwować, co się dzieje. – Mówię szczerze. Jak miałbym nie być zmęczony? Ta wojna odebrała mi wszystko. W imię ludzi, którzy troszczą się tylko o siebie.
- No? – Zerkam na Sevra.
- Och, błagam – krzywi się. – Myślisz, że to mnie zadowoli?
- W co pogrywacie? – denerwuje się Cassius.
- W nic nie pogrywam, chłopaku. To Darrow chce, żebyem cię wypuścił. Cassius wytrzeszcza oczy.
- Ale muszę wiedzieć, czy nie wrócisz, żeby nas zabić. Ciągle gadasz o honorze i długach krwi, więc chcę, abyś złożył przysięgę. Będę mógł wtedy spać spokojnie.
- Zabiłem twojego ojca...
- Lepiej przestań mi o tym ciągle przypominać.
- Jeżeli tu zostaniesz, nie będziemy mogli cię chronić – wyjaśniam. – Wierzę, że słowo Cassiusa au Bellony wciąż coś znaczy. Ale nie ma tu dla ciebie miejsca. Przy Władczyni również. Jeżeli dasz mi słowo, przysięgniesz na swój honor, że zostawisz tę wojnę, dam ci wolność.

Za naszymi plecami Antonia wybucha śmiechem.

- To żałosne, Cassi. Pogrywają z tobą jak z dzieckiem!
 - Cicho, ty jadowita, mała żmijo – warczy Mustang.
- Cassius zerka na Mustang, rozważając naszą propozycję.
- Zgodziłaś się na to?
 - Sama to zaproponowałam. W niczym nie zawiniłeś, Cassiusie. Byłam dla ciebie okrutna i za to przepraszam. Wiem, że pragnąłeś zemsty. Chcesz krwi Darrowa. I mojej...
 - Nie. Nigdy twojej.

Dziewczyna cofa się nieco.

- ...ale widziałeś, do czego prowadzi zemsta. I wiem, że widziałeś, jaka naprawdę jest Octavia. I jaki jest mój brat. A ty chciałeś tylko bronić swojej rodziny, oto cała twoja wina. Nie zasługujesz, aby zginąć tutaj...

- Naprawdę chcesz mnie puścić?
- Chcę, żebyś przeżył – mówi stanowczo Mustang. – Chcę, żebyś odszedł i nigdy nie wrócił.

- Ale... dokąd? – pyta Cassius.
 - Dokąd zechcesz, byle jak najdalej stąd.
- Cassius przełyka, bierze się w garść. Próbuje nie tylko zrozumieć, czemu zawiódzie ten zaszczyt czy też obowiązek, ale też stara się wyobrazić sobie świat bez Mustang. Znam tę straszną samotność, która go właśnie ogarnia, choć przecież

otrzymuje wolność. Życie bez miłości to najgorsze więzienie. Jednak Cassius oblizuje wargi, kiwa głową. Nie mnie, lecz Mustang.

– Na mojego ojca i na Juliana obiecuję, że nie podniosę ręki na żadne z was. Jeśli pozwolicie mi odejść, uczynię to. I nigdy nie wróćę.

– Ty tchórzu! – Antonia uderza pięścią w szkło swojej celi. – Ty przeklęty, zasmarkany, mały wymoczku...

Szturcham Sevra.

– Wszystko w twoich rękach.

Sevro szarpie się za kozią bródkę.

– Och, cholera, obyście mieli rację, dranie. – Siega do kieszeni i wyjmuje kartę magnetyczną, po czym otwiera drzwi celi Cassiusa. Słychać metaliczny, głęboki trzask, gdy zamki puszczażą.

– W jednym z hangarów naprawczych na tym poziomie czeka na ciebie prom – mówi beznamiętnie Mustang. – Masz pozwolenie na start. Ale musisz się pośpieszyć.

– Znaczy już zasuwanie, gnojku – dodaje Sevro.

– A wtedy strzelą ci w plecy? – prycha Antonia. – Ty zdrajco.

Cassius kładzie ostrożnie dłoń na drzwiach, jakby się bał, że nadal są zamknięte, a gdy spróbuje je pchnąć, wybuchniemy śmiechem i odbierzemy mu rozbudzoną nadzieję. Jednak ma wiarę, więc opanowuje się i otwiera drzwi. A potem wychodzi i staje przed nami. Wyciąga ręce, abyśmy go skrępowali.

– Jesteś wolny, człowieku – przypomina mu Sevro, a potem bębni głośno palcami w pomarańczową skrzynię. – Ale musisz wejść do tego pudła, żebyśmy mogli przetransportować cię niepostrzeżenie.

– Oczywiście. – Odwraca się i wyciąga do mnie rękę. Wymieniamy uścisk. Czuję, że wzbiera we mnie dziwne poczucie braterstwa z tym człowiekiem. – Żegnaj, Darrow.

– Powodzenia, Cassiusie.

Przed Mustangiem się waham. Chciałbym ją objąć, ale dziewczyna tylko wyciąga rękę. Nawet teraz okazuje mu wyłącznie chłód. Cassius spogląda na jej dłoń i kręci głową, odrzucając gest.

– Zawsze będziemy mieć Księżyca – mówi cicho.

– Żegnaj, Cassiusie.

– Żegnaj.

Podchodzi do skrzyni, której wieko Sevro właśnie podniósł, i zagląda do środka. Waha się, chciałbym coś powiedzieć Sevrowi, może jeszcze raz mu podziękować.

– Nie wiem, czy twój ojciec miał rację. Ale był odważny. – Wyciąga rękę, tak jak wcześniej do mnie i Mustanga. – Wybacz, że go tu nie ma.

Sevro mruga, nie jest mu łatwo. Chciałbym nienawidzić Cassiusa. Wybaczenie przyszło z trudem. Nigdy nie należała do ludzi łagodnych. Ale stara się i ujmuję

wyciągniętą dłoń. Wymieniają uścisk. I jednak nie wszystko jest w porządku. Cassius nie puszcza. Jego twarz staje się zimna. Ciało się obraca. Jest tak szybki, że nie mam szans powstrzymać go przed szarpnięciem Sevra za rękę, przyciągnięciem o wiele mniejszego przeciwnika i przerzuceniem go sobie przez biodro, a potem założeniem chwytu duszącego pod prawym ramieniem. Z taneczną gracją Cassius wyjmuje blaster z olstra na biodrze Sevra. Sevro bezradnie próbuje wymacać broń – na próżno. Cassius odpycha go i prostuje się z bronią przytkniętą do jego kręgosłupa. Sevro wytrzeszcza oczy ze strachu.

- Darrow...
- Cassiusie, nie! – wołam.
- To mój obowiązek.
- Cassiusie... – Mustang robi krok naprzód. Wyciągnięta dłoń drży. – Ocalił ci życie... Proszę.
- Na kolana! – rozkazuje Cassius. – Na kolana, cholera.

Czuję się jak na skraju przepaści, ciemność przesłania mi oczy. Szepcze, że już mnie dopadła. Nie mogę znaleźć swojego ostrza. Cassius z łatwością mógłby mnie zastrzelić, zanim zdążybym je wyciągnąć. Mustang opada na kolana i gestem nakazuje, żebym zrobił to samo. W odrętwieniu wykonuję jej polecenie.

- Zabij go! – krzyczy Antonia. – Zabij drania!
- Cassiusie, posłuchaj... – zaczynam błagalnie.
- Powiedziałem, na kolana! – warczy Cassius na Sevra.
- Na moje? – Sevro uśmiecha się złośliwie, oczy błyszczą mu szaleństwem. – Głupi Złoty. Zapomniałeś o Pierwszej Zasadzie Wyjców. Nigdy nie ulegać.

Zsuwa ostrze z prawego przedramienia i próbuje się obrócić. Jest za wolny. Cassius strzela mu w ramię, wstrząs odrzuca Sevra w bok. Kamizelka bojowa trzeszczy. Krew tryska na metalową ścianę. Sevro zatacza się, oczy mu goreją dziko.

- Za Złoto – szepcze Cassius, a potem sześciokrotnie strzela mu prosto w pierś.

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

GASNĄCE ŚWIATŁO

Z piersi Sevra bryzga krew. Tryska mi na twarz. Sevro zatacza się, puszcza ostrze. Opada na kolana, próbuje nabracić tchu. Podbiegam do niego, nie zważając na broń w ręku Cassiusa. Sevro zaskoczony przyciska dlonie do rany. Z ust wypływa mu strużka krwi. Krew bucha też spod kamizelki i plami mi ręce. Sevro kaszcze nią na mnie. Rozpaczliwie próbuje się podnieść. Zadrwić. Ale nie może. Ramiona mu drżą. Oddech się rwie. W szeroko otwartych oczach czai się strach – dziki i pierwotny.

– Nie umieraj – dławię się słowami. – Nie umieraj, Sevro.

Trzęsie się w moich ramionach.

– Sevro. Proszę. Proszę. Żyj. Proszę, Sevro...

Bez słowa, bez błagania czy żartu Sevro nieruchomieje. Tylko krew wciąż spływa. Puls zanika, gdy łzy żlobią mi policzki, a Antonia wybucha śmiechem.

Krzyczę ze zgrozy.

Na obojętne зло, jakie czuję na tym świecie.

Kołyszę się na kolanach z najlepszym przyjacielem w ramionach.

Przytłacza mnie ciemność, nienawiść i poczucie beznadziei.

Cassius spogląda na mnie bez współczucia.

– Koś, co posiałeś – mówi tylko.

Podnoszę się z rwanym szlochem. Cassius uderza mnie w skronь blasterem. Nie upadam. Przyjmuję cios i sięgam po ostrze. Obrywam jeszcze dwa razy, upadam. Cassius odbiera mi ostrze, wymierza je w gardło Mustang, gdy dziewczyna próbuje ruszyć do walki. Kieruje lufę w moje czoło, a kiedy podnoszę na niego oczy, jest gotów pociągnąć za spust.

– Władczyni chce go żywego – ostrzega Mustang.

– Tak. – Cassius opanowuje gniew. – Masz rację. Żeby mogła obdzierać go ze skóry, dopóki nie zdradzisz jego planów ataku.

– Cassiusie, wypuść mnie z tej cholernej celi! – syczy Antonia.

Cassius obraca ciało Sevra kopnięciem i wyjmuje kartę magnetyczną. Antonia opuszcza celę jak królowa. Więzienne kapcie pozostawiają nieduże ślady w świeżej krwi. Kopie Mustang w twarz. Mustang upada. Zaczynam tracić przytomność, mam mdłości od wstrząśnienia mózgu. Ciepło krwi Sevra przesącza się przez koszulę na brzuchu. Antonia wzdycha nade mną.

– Uch, Goblin zawsze zostawia brudne ślady.

– Pilnuj ich i zabierz unipady – rozkazuje Cassius. – Potrzebna nam mapa.

– Dokąd idziesz?
– Po kajdany. – Rzuca jej blaster.
Gdy znika za rogiem, Antonia kuca nad mną w zamyśleniu. Przyciska mi lufę do ust.

– Otwieraj. – Kopie mnie w jądra.

Oczy mi się wywracają z bólu. Otwieram usta. Wbiją mi lufę, żeby zgrzytały po czarnej stali. Dławię się. Czuję, że zaraz zwymiotuję. Antonia wbija we mnie nienawistne spojrzenie i przyciska lufę mocniej, gdy moim ciałem wstrząsają konwulsje. Cofa się dopiero wtedy, gdy zaczynam wymiotować.

– Robak.

Spluwa na mnie, potem zabiera unipady i ostrza. Rzuca to wszystko Cassiusowi, gdy ten wraca z posterunku straży. Zakładają mi uprząż więzienną, metalowy kaganiec i kamizelkę, w której mam skrzyżowane ramiona, a potem wrzucają mnie do skrzyni, którą przygotowaliśmy dla Cassiusa. Muszę mocno podkulić kolana, żeby się zmieścić. Nie mogę powstrzymać upadku rękami, tyłem głowy uderzam w plastik na dnie. Wtedy Antonia i Cassius rzucają na mnie Mustang i Sevra. Jak śmieci. Zamkają wieko z trzaskiem. Krew Sevra kapie mi na twarz. Moja również płynie z rozcięcia na skroni. Za bardzo kręci mi się w głowie, żeby szlochać lub się ruszyć.

– Darrow... – szepcze Mustang. – Żyjesz?

Nie odpowiadam.

– Znalazłaś mapę? – słyszę głos Cassiusa przez ściany skrzyni.

– I program zakłócający kamery ochrony – odpowiada Antonia. – Ja pcham. Ty osłaniasz, jeśli zdołasz.

– Zdołam. Ruszajmy.

Zakłócanie włącza się z cichym kliknięciem, a potem paleta antygrawitacyjna zaczyna się poruszać. Gdyby nie leżały na mnie ciała Mustang i Sevra, mógłbym obrócić się i plecami naprzeciwko wieku, ale ich waga przyciska mnie do dna skrzyni. Robi się gorąco. Cuchnie potem. Trudno oddychać. Jestem tutaj bezradny. Nie mogę przeszkodzić Antonii i Cassiusowi w przejściu korytarzem, który dla nich opróżniłem. Nie mogę ich również powstrzymać, gdy przechodzą przez pusty hangar i po rampie dostają się na prom. Zaraz potem zaczynają przegląd przed startem.

– Prom S-129, może lecieć, poczekajcie na wyłączenie tarczy – mówi kontroler lotu przez komunikator z odległego mostka, gdy silniki zaczynają pracować. – Macie pozwolenie na start.

Spod brzucha okrętu wojennego wrogowie przemycają mnie przed nosem moich przyjaciół. Oddalam się od nich, od bezpieczeństwa zapewnianego przez moich ludzi i siły mojej armii, która przygotowuje się do walki. Wstrzymuję oddech, oczekuję, że w komunikatorze zabrzmi głos Orion. Rozkaz, aby zatrzymać prom.

Rozkaz dla myśliwców, żeby strzelały w silniki promu. Nic z tego. Moja matka będzie robić herbatę i zastanawiać się, gdzie się podziałem i czy jestem bezpieczny. Modlę się, żeby nie poczuła tego bólu, który tworzy pustka, i tego strachu, który żżera mnie pomimo udowanej siły i głupiej brawury. Boję się wbrew temu, co wiem. Nie o siebie, lecz o Mustang.

Przez plastikowe ściany słyszę rozmowę Antonii i Cassiusa. Cassius nadał sygnał alarmowy z promu. Niedługo potem z głośników przez trzaski słyszać głos.

– Prom klasy Sarpedon, tu ścigacz „Kronos”, nadaliście sygnał Olimpijczyka w niebezpieczeństwie. Zidentyfikuj się, proszę.

– „Kronos”, tu Rycerz Świtu, kod identyfikacyjny siedem-osiem-siedem-Echo-Alfa-dziewięć-jeden-dwa-dwa-siedem. Uciekłem z okrętu flagowego i żądam eskorty oraz pozwolenia na lądowanie. Jest ze mną Antonia au Severus-Julii. Mamy cenny ładunek. Jesteśmy ścigani.

Na chwilę zapada cisza.

– Kod identyfikacyjny potwierdzony. Proszę pozostać na tym paśmie. Zaraz odezwie się Pani Przemian.

I rzeczywiście na promie odbija się echem głos Ai. Przechodzi mnie dreszcz przerażenia. Aja nie tylko przetrwała na lodowym pustkowiu, lecz na dodatek zdołała odnaleźć drogę do domu.

– Cassiusie? Żyjesz.

– Na razie.

– Jaki masz ładunek?

– Kosiarz, Virginia i ciało Aresa.

– Ciało... Chcę ich zobaczyć.

Do skrzyni zbliżają się ciężkie kroki. Wieko się otwiera i Cassius wyciąga Mustang. A potem wyciąga też mnie i rzuca przed obraz holo. Aja, mała i ciemna na projekcji holograficznej, przygląda mi się z nieziemskim spokojem. Antonia trzyma broń wymierzoną we mnie, gdy Cassius wywleka ciało Sevra i unosi jego głowę za włosy.

– Niech to szlag, Bellona. – W głosie Ai słyszać nieskrywane podniecenie. – A niech mnie. Naprawdę ci się udało. Władczyni na pewno zechce się z tobą zobaczyć w Cytadeli.

– Zanim tam dotrę, chcę mieć pewność, że nic nie stanie się Virginii.

– O czym ty mówisz? – pyta Antonia czujnie, bo Cassius stoi bardzo blisko niej z ostrzem w gotowości. – To zdrajczyni.

– I trafi do więzienia – przyznaje Cassius. – Ale nie zostanie skazana na śmierć. Ani torturowana. Chcę mieć na to twoje słowo, Ajo. Albo zawróczę ten prom. Darrow zabił twoją siostrę. Chcesz zemsty czy nie?

– Masz moje słowo – zgadza się Aja. – Nie spotka jej żadna krzywda. Na pewno Octavia również się zgodzi. Virginia jest nam potrzebna, aby uspokoić sprawy na

Obrzeżu. Wysyłamy eskadrę, żeby osłoniła waszą ucieczkę. Zmieńcie kurs na 41°13'25, okrążcie Księżyc i czekajcie na kontakt z „Lwem Marsa”, który przekaże wam instrukcje dotyczące dokowania. Nie możemy pozwolić, aby ten prom wylądował na Księżycu, ale ArcyGubernator Augustus za godzinę leci do Cytadeli. Nie przypuszczam, żeby miał coś przeciwko zabaniu was ze sobą.

– ArcyGubernator tu jest? – dziwi się Cassius. – Nie widzę jego okrętów.
– Oczywiście, że tu jest – odpowiada Aja. – Wiedział, że Darrow nie leci na Marsa. Jego flota czeka na dalekiej orbicie lunarnej, aż flota Czerwonych zaatakuje siły mojego ojca. To pułapka Adriusa.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

LEW MARSA

Skrzynia, w której jestem zamknięty z Mustang, zostaje wyciągnięta po rampie z ładowni przez Obsydianów w czarnych zbrojach. Są niemal tak wielcy jak Ragnar i noszą symbol lwa. Próbuję ich kopnąć, ale wbijają mi dwumetrowe piki jonowe w brzuch. Elektrownie mnie paraliżują –mięśnie się kurczą, elektryczne ładunki wędrują po ciele. Potem wyciągają mnie ze skrzyni za włosy i rzucają na kolana przy ciele Sevra. Na szczęście jego oczy są zamknięte. Usta ma różowe od rozmazanej krwi. Mustang próbuje wstać. Słyszę tylko stłumiony odgłos, gdy Obsidian uderza ją w brzuch. Dziewczyna opada na kolana, walczy o oddech. Cassius również został pchnięty na kolana.

Antonia dołącza do Lilath, która staje przed nami w czarnej zbroi ozdobionej symbolem wrzeszczącej czaszki na naramiennikach i na piersi. Na pancerzu wytłoczone zostały ludzkie żebra. Pierwsza z Jeźdźców Kości w pełnej, barbarzyńskiej krasie. Jest dla Szakala tym, kim dla mnie był Sevro. Główę ma ogoloną, beznamiętne oczy spoglądają z małej, skrywionej twarzy. Lilath niewiele się podoba z tego, co widzi wokół siebie. Za jej plecami pręży się dziesięciu Niezrównanych Naznaczonych, również ogolonych na wojnę.

- Przeskanować ich – rozkazuje Lilath.
- Co to ma znaczyć, do cholery? – denerwuje się Cassius.
- Rozkazy Szakala. – Lilath obserwuje uważnie, jak Złoci mnie skanują. Cassius, który jest następny, znosi tę obiegę z opanowaniem. – Szef nie życzy sobie żadnych sztuczek.
- Mam gwarancje Władczyni – oburza się Bellona. – Mamy zabrać Kosiarza i Virginię do Cytadeli.
- Oczywiście. Dostaliśmy te same rozkazy. Odlatujemy niedługo. – Lilath nakazuje Cassiusowi wstać, gdy jej ludzie potwierdzają, że jest czysty. Żadnych pluskiew ani urządzeń do namierzania. Cassius otrzepuje kolana.

Klęczę nieruchomo, gdy Lilath przygląda się Sevrowi. Złota sprawdza puls i uśmiecha się szeroko.

- Wspaniałe trofeum, Bellono.
- Jeden z Jeźdźców Kości, wysoki, przystojny mężczyzna o błyszczących oczach, cmoka z podziwem. W zamyśleniu unosi wytatuowane palce z pomalowanymi paznokciami do ust.
- Ile za jego kości? – pyta.

– Nie na sprzedaż – odpowiada Cassius krótko.

Mężczyzna posyła mu arogancki uśmiech.

– Wszystko jest na sprzedaż, dobry człowiek. Dziesięć milionów za żebro.

– Nie.

– Sto milionów. No, Bellona...

– Przypominam ci, Legacie Valii-Rath, że noszę tytuł Rycerza Świtu. Możesz się do mnie zwracać per „panie” lub wcale. Ciało Aresa to własność stanu. Nie do mnie należy zatem sprzedaż. Jeżeli jednak jeszcze raz to zaproponujesz, odpowiem ci nie tylko słowami.

– Chcesz sobie zaryczeć? – pyta brat Tactusa. – O to ci chodzi?

Nigdy nie spotkałem tego irytującego arystokraty i bardzo się z tego cieszę. Tactus chyba był ulepiony z lepszej gliny.

– Przeklęty dzikus – szczy Mustang przez zakrwawione zęby.

– Dzikus? – Brat Tactusa unosi brwi. – Cóż za brzydkie słowa w tak pięknych ustach. Z pewnością nie do tego nadają się te śliczne wargi...

Cassius podchodzi do niego z groźną miną. Jeźdżcy Kości chwytają za ostrza.

– Zamknij się, Tharsusie. – Lilath przekrzywia głowę, gdy słucha rozkazów przez komunikator w uchu. Tharsus wyzywająco unosi podbródek, ale posłusznie wraca do jej boku.

– Tak, panie mój – mówi Lilath do swojego niewidocznego rozmówcy. – Barca nie żyje. Sprawdziłam.

Antonia prostuje się władczo.

– Czy to Adrius? Chcę z nim rozmawiać. – Wyciąga rękę do wyższej kobiety.

– Antonia chce porozmawiać. – Lilath słucha. – Szakal mówi, że to może poczekać. Tharsusie, Novasie, rozkujcie Kosiarza i rozkrzyżujcie mu ramiona.

– Co z Virginią? – pyta Tharsus.

– Dotknij jej, a zginiesz – szczy Cassius. – Więcej nie musisz wiedzieć.

W oczach Rycerza Świtu kryje się strach, którego stara się nie okazać. Nie przyprowadziłby tutaj Mustang, gdyby tylko miał coś w tej kwestii do powiedzenia. W przeciwnieństwie do ludzi Władczyni Szakal jest nieprzewidywalny i robi, co chce. Zapewnienie Ai o bezpieczeństwie nagle wydaje się bardzo kruche. Dlaczego Władczyni wysłała nas właśnie tutaj?

– Nikt nie tknie twoich trofeów – zapewnia Lilath beznamiętnym tonem. – Z wyjątkiem Kosiarza.

– Mam go dostarczyć...

– Wiemy. Ale mój pan zażądał rekompensaty za swoje straty. Władczyni na to zezwoliła, gdy dokowaliście. Środki ostrożności. – Wyciąga do Cassiusa włączony unipad. Bellona czyta rozkaz i nieco blednie, a potem zerka na mnie. – Możemy wykonać polecenia czy zamierzasz nam dalej przeszkadzać?

Cassius nie ma wyboru. Naciska guzik. Metalowe okowy, które unieruchamiały moje ręce, otwierają się z trzaskiem. Tharsus i Novas chwytają mnie od razu za ramiona i rozkładają je na boki tak mocno, że trzeszczą stawy, potem obwiązuje mi nadgarstki biczami ze swoich ostrzy.

– Zamierzasz na to pozwolić? – warczy Mustang na Cassiusa. – Co się stało z twoim honorem? To jeszcze jedno twoje kłamstwo?

Cassius chce coś powiedzieć, ale Mustang spluwa mu pod stopy.

Antonia uśmiecha się odrażająco na widok mojego bólu. Lilath zabiera moje ostrze od Cassiusa i idzie do myśliwca, który eskortował nasz prom podczas lotu do hangaru. Tam osmala je pod stygnaćymi wyziewami silnika.

– Powiedz mi, Kosiarzu, nasikałeś na mojego młodszego brata? Czy dlatego tak mu się spodobałeś? – pyta Tharsus, gdy czekamy. Perfumowane loki spadają mu na czoło. Tylko on nie ogolił sobie głowy. – Nie ty pierwszy tak go załatwiałeś, szczerze mówiąc.

Patrzę przed siebie i udaję, że go nie słyszę.

– Kosiarz jest prawo – czy leworeczny? – woła Lilath.

– Praworeczny – odpowiada Cassius.

– Polloxie, opaska uciskowa – rozkazuje Lilath.

Domyślam się, co chcą zrobić, i krew ścina mi się w żyłach. Mam wrażenie, jakbym obserwował to, co się dzieje, z bardzo daleka. Nawet kiedy elastyczna opaska zaciska się wokół mojego prawego przedramienia i na końcach palców czuję kłużące mrowienie.

I wtedy słyszę kroki mojego wroga.

Widzę czarne buty.

Wyczuwam nieznaczne napięcie w postawie ludzi obecnych w hangarze.

Strach.

Jeźdzy Kości rozstępują się, gdy ich pan wchodzi głównymi drzwiami, otoczony tuzinem Złotych ochroniarzy z ogolonymi głowami. Każdy wzrostem dorównuje Victrze. Na kołnierzach przybyłych błyszczącą wyszczerzone symbole czaszki, podobne można dostrzec na rękojeściach ostrzy. Na ramionach klekoczą im prawdziwe kości ludzkich palców, obciętych wrogom. Kości palców Lorna, Fitchnera albo moich Wyjców. Zabójcy moich czasów. Emanują arogancją. A kiedy patrzę na mnie, w ich oczach nie dostrzegam nienawiści, lecz jedynie fundamentalny brak empatii.

Powiedziałem Szakalowi, że nie czuję do niego nienawiści. Skłamałem. Czuję tylko nienawiść, gdy patrzę, jak idzie przez pokład. Przy udzie w magnetycznej kaburze nosi pistolet, którym zabił mojego wuja. Szakal nosi złotą zbroję z symbolami ryczących lwów. Ludzkie żebra wstawiono w pancerz napierśnika i wygrawerowano, ale nie widzę szczegółów. Srebrne pióro w jego dłoni wiruje i

wiruje. Antonia chce do niego podejść, ale zaraz się cofa – Szakal nie idzie w jej stronę, lecz do Sevra.

– Świeśnie. Kości są nietknięte – mruczy Szakal po obmacaniu ciała. Potem staje nad swoją siostrą. – Hej, Virginio. Nie masz mi nic do powiedzenia?

– A co można powiedzieć? – cedzi Mustang przez zaciśnięte zęby. – Jakie słowa są stosowne dla potwora?

– Hm... – Szakal ujmuje ją za podbródek, a wtedy dłoń Cassiusa odruchowo cofa się do rękojeści ostrza. Lilath i Jeźdzy Kości rozsiekaliby go na plasterki, zanim zdążyłby wyciągnąć broń. – Tylko my przeciw światu – mówi cicho Szakal. – Pamiętasz, jak mi to powiedziałaś?

– Nie.

– Byliśmy młodzi. Matka właśnie umarła. Nie mogłem przestać płakać. I wtedy obiecałaś, że nigdy mnie nie opuścisz. Ale potem Claudius gdzieś cię zaprosił i zapomniałaś o mnie. Zostałem sam w wielkim, starym domu. Płakałem, bo nawet wtedy wiedziałem, że jestem sam. – Pstryka ją lekko w nos. – Następne godziny pokażą, jaką jesteś osobą, siostro. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co kryje się pod tą pozłotą.

Potem podchodzi do mnie, luzuje mój kaganiec. Nawet na kolanaach jestem fizycznie potężniejszy od niego. Cięższy o dobre pięćdziesiąt kilogramów. Jednak jego obecność wydaje się jak morze – obca, ogromna i mroczna, z ukrytą głębią i nieskrywaną potęgą. Jego milczenie wydaje się rykiem. Dopiero teraz dostrzegam w Szakalu podobieństwo do jego ojca. Podszedł mnie podstępem i boję się, że wszystko, co uczyniłem, pójdzie na marne.

– I znowu to samo – mówi Szakal. Nie odpowiadam. – Rozpoznajesz to?

Przesuwa piórem po żebach w swojej zbroi i przysuwa się bliżej, żeby mógł się przyjrzeć szczegółom.

– Mój drogi ojciec uważał, że o mężczyźnie świadczą czyny. Myślę, że raczej wrogowie. Podoba ci się? – Robi jeszcze krok. Na jednym z żeber wyrzeźbiono spiczasty hełm. Na kolejnym głowę w pudełku.

Ten drań nosi żebra z klatki piersiowej Fitchnera.

Wzbiera we mnie gniew, próbuję ugryźć Szakala w twarz, wyję przy tym jak ranne zwierzę. Mustang patrzy na mnie zaskoczona. Głos mam ochrypły, niemal nie brzmi jak mój. Tego demona z najgłębszych zakamarków mojej duszy potrafi przywołać tylko Szakal.

– Obedrę cię ze skóry – charczę.

Szakal, znudzony tym przedstawieniem, odwraca oczy i pstryka palcami.

– Założyć mu knebel. – Tharsus wykonuje polecenie.

Dopiero wtedy Szakal odwraca się i otwiera ramiona, jakby witał dawno niewidzianych przyjaciół.

– Cassiusie! Antonio! Bohaterowie dnia. Moja droga... co się stało? – Jego wzrok zatrzymuje się na pokiereszowanej twarzy Antonii. Byli kochankami, gdy znajdowałem się w celi. Czasami wyczuwałem jej zapach na jego skórze, gdy Szakal zaglądał do mnie, zanim zamknął mnie w kamiennym pudle. Albo Antonia przesuwała palcem po jego szyi, gdy przechodził obok. Teraz Szakal podchodzi do niej blisko, ujmuję jej twarz w dłonie i przekrywia głowę, żeby przyjrzeć się zniszczeniom. – Czy to dzieło Darrowa?

– Mojej siostry – wyznaje Antonia. Nie podoba się jej to badanie. Opłakiwała swoją twarz podczas uwięzienia na „Gwieździe Zarannej” bardziej niż dziecko śmierć matki. – Suka za to zapłaci. I nie martw się, wszystko można naprawić.

Cofa się od Szakala.

– Przestań – mówi ostro Adrius. – Dlaczego chcesz to naprawiać?

– Wyglądam obrzydliwie.

– Obrzydliwie? Moja droga, blizny czynią cię taką, jaką jesteś. Opowiadają twoją historię.

– To historia Victry, nie moja.

– Wciąż jesteś piękna. – Przyciąga ją w dół i całuje lekko w usta. Antonia go nie obchodzi. Jak powiedziała Mustang, jesteśmy dla Szakala tylko workami mięsa. Antonia, choć jest zła do szpiku kości, pragnie przynajmniej być kochana. Ceniona. A Szakal wie, jak to wykorzystać.

– To należało do Wyjca. – Antonia wręcza mu pistolet. Szakal przesuwa kciukiem po wilkach wygrawerowanych na kolbie.

– Porządną robota – stwierdza. Wyciąga własną broń z magnetycznej kabury, rzuca najbliższemu ze strażników, a potem na jej miejsce wkłada pistolet Sevra. Oczywiście, musiał zabrać broń mojego przyjaciela, to przecież trofeum.

Jego unipad błyska i Szakal unosi rękę, aby nakazać ciszę.

– Tak, Imperatorze?

Głowa Pana Popiołów pojawia się przed Szakalem. Cierniokrągły Złoty Łypie spod krzaczastych brwi. Podbródek zwisa mu nad czarnym kołnierzem munduru.

– Augustusie, wróg nadciąga. Rakietowce na czele.

– Lecą po niego. – Cassius wskazuje na mnie.

– Ille? – pyta Szakal.

– Ponad sześćdziesiąt. Połowa ze znakiem czerwonego lisa.

– Mam zamknąć pułapkę?

– Jeszcze nie. Przejmę dowództwo nad twoimi okrętami.

– Znasz ustalenia.

Szerokie, wydatne usta Pana Popiołów zaciskają się ponuro.

– Znam. Dołączasz do Władczyni zgodnie z planem. Odeskortujesz Rycerza Świtu i jego ładunek do Cytadeli. Moje córki zajmą się więźniami. Musimy dowiedzieć się, co

zaplanował ten Czerwony. Wyrocznie na pewno zdołają to z niego wycisnąć. Ruszaj. Za Złotych.

– Za Złotych.

Głowa znika.

Szakal zerka na Obsydianów, którzy przyciągnęli mnie z ładowni po rampie.

– Niewolnicy, wróćcie do Pretora Licenusza na mostek. Nie jesteście już potrzebni.

Obsydiani odchodzą bez zwłoki. Kiedy już ich nie ma w hangarze, Szakal zerka na trzydziestu Jeźdźców Kości.

– Rycerz Świtu dał nam dzisiaj okazję do zwycięstwa. Telemanusowie przybędą po moją siostrę. Wyjce i Synowie Aresa przyjdą po Kosiarza. Nie dostaną ich. Na naszych barkach spoczywa obowiązek, aby dostarczyć tych dwoje do naszej Władczyni i jej strategów w Cytadeli.

Zerka na Antonię i Cassiusa.

– Zapomnijcie o swoich małych smutkach. Dzisiaj jesteśmy Złotymi. Będziemy się kłócić, gdy powstanie obróci się w pył. Przeżyliście ciemność, podobnie jak ja. Patrzyliście u mojego boku, jak ta... kreatura kradła to, co należy do nas. Czerwoni zabiorą nam wszystko. Nasze domy. Naszych niewolników. Nasze prawa do władzy. Dzisiaj walczymy, aby obronić naszą własność. Dzisiaj walczymy ze śmiercią Złotego Wieku.

Jeździecy Kości spiają mu słowa z ust i z niecierpliwością czekają rozkazów. Widok kultu, jaki wokół siebie stworzył, jest przerzążający. Podejrzał trochę u mnie, wykorzystuje moje wzorce przemówień, ale przystosował je do swojego zachowania. Szakal wciąż się rozwija.

Odwraca się od swoich ludzi, gdy Lilath wraca z moim ostrzem, rozżarzonym w gorącym silniku. Wręcza mu broń.

– Lilath, zostaniesz z moją flotą.

– Jesteś pewien?

– Będziesz moim ubezpieczeniem.

– Tak, panie mój.

Antonia nie rozumie, o czym rozmawiają, ale ani trochę się jej to nie podoba.

Szakal obraca moje ostrze w dłoni. A potem patrzy między mnie i Mustang uderzony jakąś myślą.

– Ile czasu więził cię Darrow, Cassiusie?

– Cztery miesiące.

– Cztery miesiące... Zatem ten zaszczyst powinien przypaść tobie. – Rzuca rozżarzone ostrze do Cassiusa, a ten chwyta je zręcznie. – Odetnij mu rękę.

– Władczyni chce go...

– Żywego, wiem. I będzie żył. Ale Władczyni nie chciałaby, aby pojawił się w jej bunkrze z ramieniem od miecza nadal przyłączonym do ciała, prawda? Odbieramy

mu tylko ostatnią broń. Unieszkodliwimy bestię i ruszamy. Chyba że... masz z tym problem?

– Żadnego – zapewnia Cassius. A potem podchodzi bliżej i unosi drżące od gorąca ostrze.

– Taki się stałeś? – krzywi się Mustang. Cassius wytrzymuje jej spojrzenie, choć na jego twarzy widnieje wstyd.

– Patrz na mnie, Darrow – mówi do mnie Mustang. – Patrz na mnie.

Zmuszam się, aby zapomnieć o ostrzu. Zmuszam się, żeby patrzeć jej w oczy, czerpać siłę z siły tej kobiety. Kiedy jednak rozżarzona klinga przecina mi skórę i kości prawego nadgarstka, zapominam o Mustang. Krzyczę z bólu i patrzę na swoją rękę, a raczej na jej kikut. Z przypalonych naczyń krwionośnych leniwie kapie krew. W powietrzu unosi się odór spalonej tkanki. I niczym przez mgłę widzę, jak Szakal podnosi z podłogi moją odciętą dłoń. Unosi nad głowę swoje najnowsze trofeum.

– *Hic sunt leones* – mówi.

– *Hic sunt leones* – powtarzają jego ludzie.

Rozdział sześćdziesiąty

PASZCZA SMOKA

Myślę o wuju, gdy tulę przypalony kikut prawej ręki i trzęszę się z bólu. Czy Narol jest teraz z moim ojcem? Czy siedzi z Eo przy ognisku i słucha świergotu ptaków? Czy na mnie patrzą? Krew sączy się spomiędzy czerniejącej, przypalonej tkanki na nadgarstku. Ból mnie oślepia. Paraliżuje.

Siedzę przywiązaný obok Mustang w jednym z dwóch równoległych rzędów foteli w wojskowym promie opancerzonym. Wokół pozajmowali miejsca Jeźdzy Kości. Światło nad naszymi głowami pulsuje zimną zielenią. Promem wstrząsają turbulencje. Na Księzycu trwa burza. Wielkie pioruny uderzają w miasta. Wierzchołki czarnych wież toną w szarych chmurach. Dachy skrzą się w poświatie lamp nad stanowiskami, gdzie Pomarańczowi i NadCzerwoni oraz moi pobratymcy pod jarzmem dowódców wojskowych przygotowują broń, która zniszczy moją flotę. Rzędy lamp oświetlają także pasy startowe. Między wieżami przemykają czarne, złowrogie myśliwce, które patrolują niebo, a Złoci w butach grawitacyjnych przeskakują między wieżami oddalonymi o parę kilometrów – sprawdzają stanowiska obrony, przygotowują się do szturmu, który ma nadzieję z kosmosu, żegnają się z przyjaciółmi, znajomymi ze szkół, kochankami.

Gdy prom mija budynek Opery Eloryjskiej, dostrzegam Złotych przyczajonych na najwyższym krenelażu. Patrzą w niebo, a ich hełmy zdobione są rogami, przez co grupa przypomina gargulce czekające wśród błyskawic na ulewę.

Zbliżamy się do kotła chmur kłębiących się poniżej dachów najwyższych wieżowców. Miasto wokół wydaje się spokojne. Ogłoszono zaciemnienie w oczekiwaniu na bombardowania z orbity. Tylko na horyzoncie ciągną się płomienie – w Zaginionym Mieście wybuchły zamieszki. Błyskające pojazdy strażackie pędzą do pożarów. Napięcie wzbierało od wielu godzin i dni, wreszcie miasto jest gotowe uwolnić nagromadzoną frustrację.

Zatrzymujemy się na okrągłym lądowisku na szczycie iglicy Władczyni. Już czeka tam na nas Aja z kohortą Pretorianów. Jeźdzy Kości w butach grawitacyjnych wyskakują przed lądowaniem i osłaniają prom. Cassius wysiada, ciągnie mnie za związane z przodu ramiona, drugą ręką wleče ciało Sevra jak zabitą łanię. Antonia popycha przed sobą Mustang. Zimowy deszcz spływa po ciemnej twarzy Ai. Z kryzy zbroi unosi się para, a w ciemności nocy rozbłyskuje śnieżnobiały uśmiech Furii.

– Witaj w domu, Rycerzu Świtu. Władczyni cię oczekuje.

* * *

Kilometr pod powierzchnią Księżyca wielka winda zatrzymuje się powoli. O tej windzie krążą pogłoski tylko wśród wojskowych – to legendarna Paszcza Smoka. Drzwi otwierają się z sykiem, ukazuje się betonowe pomieszczenie z kolejnymi rozsuwanymi drzwiami, ozdobionymi symbolem społecznej piramidy. Błękitne światło skanera sprawdza siatkówkę oka Ai, a potem piramida rozdziela się na pół przy głośnych zgrzytach wielkich zawiasów. Technologia jest tutaj stara, starsza niż Cytadela nad nami, wręcz starożytna – z czasów, gdy Ziemia była jedynym znanym wrogiem Księżyca, a wielkie amerykańskie działa sialiły postrach wśród mieszkańców lunarnych kolonii. Ta podziemna budowla stanowi świadectwo doskonałej architektury i dyscypliny Pretorianów, którzy zadali, aby Władczyni nie musiała po siedmiuset latach budować kolejnego wielkiego bunkra.

Zastanawiam się, czy Fitchner wiedział o tej kryjówce. Wątpliwe. Aja umiała dochować tajemnicy. Ciekawe jednak, czy ona poznała wszystkie sekrety tej budowli. Tuneli, które mijamy po prawej i po lewej wąskiego korytarza głównego, dawno zostały wyłączone z użytkowania. Zastanawiam się, kto kiedyś tamtego chodził, kto je zasypał i dlaczego.

Mijamy silnie strzeżone pomieszczenia, rozświetlone tylko obrazami holo. Na fotelach leżą zsynchronizowani Niebiescy i Zieloni. Do ramion mają podłączone kroplówki, podczas gdy przez ich mózgi przepływają dane pobierane przez gniazdo i łącza wszczepione w czaszki. Ich nieobecne oczy wbite są w dal. Tworzą system nerwowy Elity. Octavia może stąd prowadzić wojnę, nawet jeśli Księżyca wokół niej się zapadnie.

Obsydiani noszą tutaj czarne hełmy z czaszkami, które wyglądają jak smocze, oraz ciemnofioletowe symbole na pancerzach. Złoty napis na ich krótkich mieczach głosi: Legio Nihil. Legion Zero. Nigdy o nim nie słyszałem, ale wiem, czego strzegą – ostatnich wrót z gładkiego metalu, najgłębszego schronienia Elity. Drzwi otwierają się ze zgrzytem i po półtora roku od mojego skoku z promu znowu widzę Władczynię, Octavię au Lune.

Jej wyniosły głos niesie się echem po korytarzu.

– ...kogo obchodzą ofiary wśród cywilów, Janusie? Czy w morzu może zabraknąć soli? Jeżeli spróbuje Stalowego Deszczu, zestrzel ich bez względu na okoliczności. Brakuje nam tylko, żeby wylądowała tu horda Obsydianów i dołączyła do zamieszek w Zaginionym Mieście...

Władczyni wszystkiego, z czym walczył, stoi w okrągłym zagłębieniu w wielkiej, szaro-czarnej sali, skąpana w błękitnej poświacie holowizerunków Pana Popiołów i Pretorów. Jest ich tutaj ponad czterdziestu, to weterani wojen prowadzonych przez Octavię. Spoglądają na mnie bez współczucia, z mrocznym

zadowoleniem kościelnych rzeźb – jakby zawsze wiedzieli, że moja walka właśnie tak się skończy. I jakby zasłużyli na przyglądarkę się mojej śmierci, jakby nie zależało to od szczęścia, które mieli przy narodzinach.

Ci ludzie wiedzą, co oznacza pojmanie mnie. Zapewne już nadali to na wszystkich pasmach do mojej floty. Nagłośnili to na Ziemi, aby stłumić tam powstanie, posłali też wiadomość na Obrzeżę, aby powstrzymać jakiekolwiek cywilne zamieszki. Tak samo postąpię przy mojej egzekucji. I wykorzystają ciało Sevra. Może również Mustang pomimo obietnicy złożonej Cassiusowi. Niech wszyscy się dowiedzą, czym grozi sprzeciwianie się prawowitej władzy. Niech wszyscy zobaczą, jak ja, potężna bestia, uginam się pod potęgą Złotych. Kto wtedy odważy się powstać przeciwko nim? Nikt.

Ich ucisk się zwiększy.

Ich władza urośnie w siłę.

Jeżeli dzisiaj przegramy, następne pokolenie Złotych urodzi się z wigorem, jakiego wszechświat nie widział od Podboju Ziemi. Zapamiętają zagrożenie dla swojej rasy i zaczną hodować potwory takie jak Aja lub Szakal. Nie pojedynczo, lecz tysiącami. Zbudują nowe Instytuty, wzmacniają swoją militarną potęgę i zdławią mój lud. Taka przyszłość jest możliwa. Taka, której najbardziej obawiał się Fitchner. I której sam się lękam, gdy patrzę, jak Szakal wchodzi do sali.

– Jego Obsydiani nie są wyszkoleni w obsłudze uzbrojenia okrętów – mówi jeden z Pretorów.

– Powiedz to Fabii – prycha Władczyni. – Albo jego matce. Jest z resztą Senatorów, których musiałam zamknąć w Sali Obrad, bo inaczej uciekliby i zabrali swoje okręty.

– Polityczne apetyty... – mruczy ktoś.

Oprócz holowizerunków w pomieszczeniu znajduje się grupa Złotych z Marsa. Większa, niż się spodziewałem. Troje Rycerzy Olimpijskich, dziesięciu Pretorianów i Lysander. Teraz chłopak ma już dziesięć lat i urósł o pół stopy, odkąd go ostatnio widziałem. Trzyma unipad, aby robić notatki z rozmów swojej babki, a na widok Cassiusa w drzwiach uśmiecha się serdecznie. Na mnie patrzy z czujną ciekawością, jak na tygrysa przez szybę z duroszkła. Jego krystalicznie czyste Złote oczy zatrzymują się na moich pętach, odciętej ręce. W wyobraźni bębnię palcami w to duroszkło, które nas dzieli, żeby sprawdzić, jak jest grube.

Gdy wchodzimy, Rycerze Olimpijscy witają Cassiusa cicho, żeby nie przeszkadzać Władczyni w odprawie. Choć Octavia zauważała moją obecność, jej twarz pozostała beznamiętna. Rycerze mają ciężkie zbroje i są gotowi bronić swojej pani.

Pod kopułą sufitu unosi się wielka kula Księżyca odwzorowanego w najdrobniejszych szczegółach. Flota Pana Popiołów rozpościera się nad ciemną stroną, gdzie wznosi się Cytadela, jak wielowarstwowa tarcza. Niedługo rozpocznie

się bitwa. Ale moi dowódcy nie wiedzą, że Szakal tylko czeka, aby wkroczyć do akcji i jak młot rozbić moją armadę na kowadle floty Pana Popiołów. Gdybym tylko mógł się skontaktować z Orion, może znalazłyby wyjście z sytuacji...

Szakal w milczeniu zajmuje miejsce obok tronu Władczyni i cierpliwie czeka, aż Pan Popiołów wyda rozkazy korwetom.

– Cassiusie, ty przeklęty psie. – Głęboki baryton Rycerza Prawdy zakłóca spokój. Mężczyzna ma wąskie, skośne oczy Azjaty. Pochodzi z Ziemi, jest bardziej krępy i szerszy w ramionach niż większość z nas, Marsjan. – To naprawdę on?

– We własnej osobie. Zabrany z własnego okrętu flagowego. – Cassius rzuca mnie na kolana i za włosy unosi mi głowę, żeby wszyscy mogli zobaczyć moją twarz. Potem dorzuca Sevra, a zgromadzeni sprawdzają, czy Ares naprawdę nie żyje. Rycerz Radości potrząsa głową. Jest szczuplejszy niż Cassius i dwa razy bardziej arystokratyczny. Pochodzi ze starego wenusjańskiego rodu. Pojedynkowaliśmy się raz na Marsie.

– On też? Miałeś niesamowite szczęście. A Aja posłała Obsydianów. Rycerz Strachu i Rycerz Miłości dopadną Victrę i tę Białą Wiedźmę...

– Zabiłbym, żeby złapać Victrę – mówi Rycerz Prawdy, krążąc wokół mnie. – Cóż by to były za miłosne zapasy. Ale ty chyba już ją miałeś, Cassiusie?

– Nie pora na przechwałki. – Cassius ruchem głowy wskazuje na holo Księżyca i rozpoczętą bitwę. – Jak sobie radzimy?

– Lepiej niż Fabii. Są wytrwali. Trudni do namierzenia, próbują się zbliżyć i przerzucić Obsydianów, ale Pan Popiołów trzyma ich na dystans. Zwyciężymy dzięki flocie Szakala. Zaraz zaatakuje wrogów z flanki. Widzisz?

Rycerz Prawdy wskazuje na holo z tępnotą. Cassius widzi.

– Możesz się przyłączyć – mówi. – Wystarczy wziąć prom.

– To zajmie wiele godzin – wzducha Rycerz Prawdy. – Zresztą już czterech Rycerzy bierze udział w walce. Ktoś musi ochraniać Octavię. A moje okręty czekają w rezerwie i osłaniają jasną stronę. Jeżeli buntownikom uda się przedrzeć albo przeprowadzić Stalowy Deszcz, co bardzo wątpliwe, na powierzchni będą potrzebni żołnierze. Musimy umyć mu twarz.

– Co?

– Chodziło mi o Barcję. Jest zbyt zakrwawiony. Wkrótce będziemy nadawać, o ile hakerzy znowu nie zerwą łączności. Niełatwo dorwać sabotażystów. To wciąż chłopcy Żywego Srebra. Technologiczni specjaliści, megalomani, bredzący o demokracji. Ale wczoraj udało nam się dorwać całkiem sporą grupę w ich norze. Posłaliśmy na nich Szarych brytanów.

– Najlepszy sposób na powstrzymanie hakera? Kulka w łeb – dodaje Rycerz Radości.

– Muszę przyznać, że wróg jest odważny – mówi Pan Popiołów na środku sali. Jego holowizerunek jest dwa razy większy niż obrazy jego adiutantów. – Odciąłem im drogę ucieczki, ale nadal walczą twardo. Mamy straty, ale po przeciwej stronie są większe.

Pan Popiołów przebywa na korwecie na tyłach swojej floty, jego przekaz został przetransmitowany przez dziesiątki innych okrętów. Jego flota porusza się z piękną precyzją, żadna jednostka nie pozwala podejść mojemu okrętowi na choćby pięćdziesiąt kilometrów.

Roque'owi zależało, aby ofiar było jak najmniej. Nie chciał też niszczyć pięknych, trzystuletnich okrętów, które przejęłem. Pana Popiołów to nie obchodzi. Niezmordowanie rozbija kolejne jednostki w pył. Nieważne dziedzictwo, nieważne życie załóg, nieważne koszty. Pan Popiołów to niszczyciel. I pragnie zwyciężyć za wszelką cenę, zwłaszcza gdy został postawiony pod ścianą. A mnie boli, gdy widzę, jak już ucierpiała moja flota.

– Zamelduj, gdy będziesz miał nowe wieści – mówi Władczyni. – Jeżeli to możliwe, chcę, aby Daxa au Telemanusa pojmać żywego. Reszta może zginąć, włącznie z jego ojcem i Julii.

– Tak, pani moja. – Stary zabójca salutuje i znika. Ze znużonym westchnieniem Władczyni odwraca się do swojego Rycerza Świtu i wyciąga ręce, jakby witała zaginione dziecko.

– Cassiusie. – Obejmuje go mocno, gdy tylko Cassius prostuje się z ukłonu, całuje w czoło z tą samą serdecznością, którą kiedyś okazywała Mustang. – Kiedy dowiedziałam się o wydarzeniach na biegunie, myślałam, że mi serce pęknie. Myślałam, że zostałeś zabity.

– Nic dziwnego, że Aja tak myślała. Mało brakowało. I bardzo mi przykro, że powrót z krainy zmarłych zajął mi tak dużo czasu, pani moja. Mam niezałatwione sprawy na tym świecie.

– Widzę. – Władczyni nawet na mnie nie patrzy. Ale zerka na Mustang. – Jestem przekonana, że dzięki tobie wygraliśmy już tę wojnę, Cassiusie. Dzięki wam obu. – Kiwa głową Szakalowi. – Twoje okręty sprawią, że ta bitwa będzie bardzo krótka.

– Służba Władczyni to dla nas zaszczyt – odpowiada Szakal z domyslnym uśmiechem.

– Tak – w głosie Octavii brzmią nuty niemal nostalgii. Jej palce przesuwają się po karku Cassiusa i bliznach na jego szyi. – Powiesili cię?

– Och, próbowali. Niezbyt się udało – szczerzy się Cassius.

– Przypominasz mi Lorna, gdy był młody. – Wiem, że kiedyś Octavia powiedziała, iż Mustang przypomina ją z czasów młodości. Sympatia Władczyni jest bardziej prawdziwa niż ta, jaką Szakal obdarza swoich ludzi, ale to raczej zadowolenie

kolekcjonerki niż ludzkie przywiązanie. Władczyni wykorzystuje miłość i lojalność, aby chronić siebie.

Marszczy nos, gdy patrzy na mój knebel.

– Wiesz, co on planuje? – pyta Cassiusa. – Jeżeli coś zepsuje naszą końcową rozgrywkę...

– Na ile mogłem podsłuchać, chce zaatakować Cytadelę.

– Cassiusie, ani słowa... – warczy Mustang. – Wcale jej na tobie nie zależy.

– A tobie? – pyta ją Władczyni. – Wiemy, na czym tobie zależy, Virginio. I do czego się posuniesz, żeby to zdobyć.

– Z powietrza czy z ziemi? – wtrąca Szakal. – Ten atak.

– Chyba z ziemi.

– Dlaczego nie wspominałeś o tym podczas lotu?

– Byłeś bardziej zainteresowany obcięciem Darrowowi ręki.

Szakal ignoruje zaczepkę.

– Ille wierteł plazmowych znajduje się na Księżyku?

– Żadne nie działa, nawet te w porzuconych kopalniach – zapewnia Władczyni. – Zadbano o to.

– Jeżeli ma grupę uderzeniową, na pewno będą w niej Julii i Volarus – stwierdza Szakal w zamyśleniu. – To jego najlepsza broń. Pomogły mu przejąć niszczyciela światów.

– Volarus to Obsydianka – pyta Władczyni. – Czy tak?

– Królowa Obsydianów – odpowiada Mustang. – Powinnyście się poznać.

Przypominałabyś Sefi jej matkę.

– Królowa Obsydianów... zjednoczyli się? – Octavia czujnie spogląda na Cassiusa.

– Mam rację? Moi Politycy twierdzili, że zjednoczenie plemion nie jest możliwe.

– Mylili się. – Cassius wzrusza ramionami.

Antonia chyba uznała, że ma okazję zabłysnąć przed Octavią.

– Dotyczy to tylko Obsydianów w hordzie Darrowa, pani moja. To sojusz plemion z południa.

Władczyni ją ignoruje.

– Nie podoba mi się ta sytuacja. Tylko w Cytadeli mamy setki Obsydianów...

– Są lojalni – zapewnia Aja.

– Skąd wiesz? – krzywi się Cassius. – Ilu jest z Marsa?

Octavia zerka na Aję, a Furia potwierdza.

– Większość. Nawet w Legionie Zero. Marsjańscy Obsydiani są najlepsi.

– Niech opuszcza bunkier – decyduje Octavia. – Już.

Jeden z Pretorianów wychodzi pospiesznie, aby wypełnić jej polecenia.

– Czy ta Obsydianka jest tak straszliwa jak jej brat? – pyta Aja Cassiusa.

– O wiele bardziej. – Mustang, choć na kolanach, wybucha śmiechem. – O wiele gorsza i o wiele bystrzejsza. Walczy z grupą wojoyniczek. Złożyła przysięgę, że znajdzie cię, Ajo. A potem wypije twoją krew, a w Walhalli będzie używać twojej czaszki jako kielicha. Sefi nadchodzi. I nie zdołasz jej powstrzymać.

Aja i Octavia wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

– Będzie musiała najpierw wylądować, zanim rozpocznie szturm na Cytadelę – stwierdza wreszcie Aja. – To niemożliwe.

– Jak mają przybyć? – pyta mnie Cassius. Kręczę głową i śmieję się przez knebel. Aja kopie mnie w świeży kikut. Z bólu niemal tracę przytomność. Kulę się, tuląc okaleczone ramię do piersi. – Jak tutaj się dostaną?

Nie odpowiadam. Cassius skinieniem ręki przywołuje Rycerza Radości.

– Przytrzymaj mu lewe ramię.

Rycerz Radości wykonuje polecenie.

– Jak się tutaj dostaną? – pyta nie mnie, lecz Mustang. – Obetnę mu drugą dłoń, jeżeli nie powiesz. A potem pozbawię go stóp, nosa i oczu. Jak dotrze tutaj Volarus?

– I tak go zabijecie – syczy Mustang. – Więc pieprz się.

– Od ciebie zależy, jak długa będzie jego śmierć – odpowiada Cassius.

– Kto mówi, że Sefi już nie wylądowała? – prycha Mustang.

– Co?

– Nasi ludzie wylądowali na frachtowcach zbożowych z Ziemi. Dostaliśmy je w prezencie od Żywego Srebra. Wylądowały wiele godzin temu. A żołnierze już idą na Cytadelę. Armia dziesięciu tysięcy Obsydianów. Nie wiedzieliście?

– Dziesięć tysięcy? – szepcze Lysander ze swojego fotela niedaleko wyświetlaczy holograficznych. Na stole przed nim leży należące do jego babki Berło Świtu, długie na metr, ze złota i żelaza, zwieńczone piramidą i tarczą słońca. – Legiony zostały wysłane, aby powstrzymać inwazję. Nie zdążą wrócić. Obsydiani Darrowa przedą się przez nasze siły obronne.

– Każę się przygotować Pretorianom i wezwę dwa legiony. – Aja rusza do drzwi.

– Nie. – Octavia stoi zamyślona. – Nie, Ajo, zostaniesz ze mną.

A potem odwraca się do kapitana Pretorianów.

– Legatusie, pójdziesz wesprzeć siły na powierzchni. Zabierz swój pluton. Nie jest tutaj potrzebny, skoro mam na miejscu swoich Rycerzy. Każda jednostka, która choć zbliży się do Cytadeli, ma być zestrzelona. Nie obchodzi mnie, kto będzie na pokładzie, nawet gdyby to był sam Pan Popiółów. Zrozumiałeś?

– Jak rozkazałaś, pani. – Legatus i pozostali Pretorianie śpieszą do wyjścia. W opustoszałej sali zostali tylko Cassius, troje Rycerzy Olimpijskich, Antonia, Szakal, Władcyni, trzej Pretorianie ze straży i my, jeńcy. Aja przyciska dłoń do panelu przy drzwiach. Za Pretorianami zamkają się pancerne drzwi schronienia. Ze ściany wysuwają się kolejne drzwi i powoli odcinają nas od reszty świata.

– Wybacz, Ajo – wzdycha Octavia, gdy wysoka Furia wraca do jej boku. – Straciłam już Moirę. Nie mogę stracić również ciebie.

– Wiem. – Głos Ai jest spokojny, ale jej rozczarowanie wyczuwalne. – Pretorianie poradzą sobie z hordą Obsydianów. Nie powinnyśmy zająć się kolejną sprawą?

Octavia zerka na Szakala, a on odpowiada lekkim, niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy.

– Severus-Julii, podejdź – rozkazuje Władczyni.

Antonia podchodzi zaskoczona, że nareszcie jąauważono. Na jej ustach pojawia się uśmiech nadziei. Z pewnością spodziewa się pochwały za swoje dzisiejsze wysiłki. Prostuje się i z rękami na plecach patrzy wyczekującą na Octavię.

– Powiedz mi, Pretor Julii, zostałaś wcielona do Armady Miecza, która została pokonana przez Władców Księżyców w czerwcu tego roku, czy tak?

Antonia marszczy brwi.

– Pani moja, nie rozumiem...

– To dość proste pytanie. Odpowiedz najlepiej jak potrafisz.

– Tak było. Prowadziłam moje rodowe okręty oraz Piąty i Szósty Legion.

– Pod komendą Roque'a au Fabii?

– Tak, pani.

– Wyjaśnij mi zatem, dlaczego wciąż żyjesz, chociaż twój Imperator zginął?

– Ledwie udało mi się wymknąć z bitwy. – Antonia wygląda na zaniepokojoną, dostrzega zagrożenie, jakie kryje się w tych pytaniach. Starannie dobiera słowa i stosownie moduluje głos. – Panowało... koszmarne zamieszanie, pani. Wyjce ukryły się na Tebe, a Roque... Imperator Fabii wpadł w pułapkę, znalazł się między flotą Darrowa i grupami abordażowymi. To nie była jego wina. Każdy postąpiłby tak samo. Starałam się ratować jego okręt flagowy, ale Darrow przejął już mostek. A rakietowce atakowały ze wszystkich stron, wzniecały ogień... Nie umieliśmy odróżnić swoich od nieprzyjaciół. Dręczą mnie koszmary o Obsydianach wdzierających się hordą na okręt flagowy...

– Kłamiesz – prycha Mustang z pogardą.

– I dlatego wykonałaś odwrót.

– Z ciężkimi stratami, pani moja. Ocaliłam dla Elity tyle okrętów, ile zdołałam. Starałam się zachować swoich ludzi, bo wiedziałam, że będą potrzebni w bitwie, która się szykowała. Tylko tyle mogłam zrobić.

– Szlachetnie z twojej strony, że ocaliłaś tak wielu. – Władczyni patrzy na nią z kamienną twarzą.

– Dziękuję...

– Oczywiście, gdyby to była prawdziwa wersja wydarzeń.

– Prosze?

– Nie wydaje mi się, żebym się jąkała, dziewczyno. Wierzę tylko w to, że uciekłaś, opuściłaś pozycję i wydałaś swojego Imperatora na pastwę wroga.

– Oskarżasz mnie o kłamstwo, pani?

– Na to wygląda – wtrąca Mustang.

– Mój honor nie zniesie takich obieg – warczy Antonia, a Mustang prostuje się z drwiną. – To poniżej wszelkiej...

– Och, bądź cicho, dziewczyno – przerywa jej Octavia. – Stąpasz po cienkim lodzie, a w głębinie czai się większa bestia. Nie tylko ty uciekłaś z bitwy. Inni, którym też się udało, przesłali do naszej analizy swoje zapisy bitwy, żebyśmy wiedzieli, co się stało. Łatwo zatem można ocenić panujące wtedy zamieszanie. Można też zobaczyć, jak Antonia au Severus-Julii hańbi swoje imię i oddaje bitwę, bo zamiast ruszyć na pomoc wzywającemu ją Pretorowi, ucieka ze swoimi siłami w pas asteroid, aby ocalić własną skórę. Co gorsza, potem traci w pasie wszystkie swoje okręty.

– To Fabii przegrał bitwę – krzywi się mściwie Antonia. – Nie ja.

– Przegrał, ponieważ opuścili go sprzymierzeńcy – mruczy Aja. – Mógłby utrzymać okręt flagowy i główne siły, gdybyś nie rozbiła jego formacji.

– Fabii popełnił błąd – przyznaje Władczyni. – Ale był człowiekiem honoru i wiernie służył swojemu Kolorowi. Miał nawet na tyle honoru, że odebrał sobie życie, ponieważ rozumiał, że przegrał i musi ponieść za to sprawiedliwą karę. Upewnił się przy tym, że nie będzie pojmany dla okupu ani przesłuchiwany. Jego ostatni uczynek, zniszczenie stoczni buntowników, był bohaterstwem. Jak przystało na prawdziwego Żelaznego Złotego. Jednak ty... Ty uciekłaś jak tchórz, jak mała przestraszona dziewczynka, która zsiusiała się w majtki. Porzuciłaś Fabii, aby ratować siebie. A teraz rzucasz na niego oszczerstwa. W obecności jego przyjaciół.

Troskliwie dotyka ramienia Cassiusa.

– Twoi ludzie, Antonio au Severus-Julii, zrozumieli, że jesteś podłączoną żmiją. Właśnie dlatego ujawnili to, co zrobiłaś. I dlatego straciłaś okręty na rzecz swojej lepszej siostry.

– Chętnie spotkam się na Placu Krwi z tymi, którzy rozpowiadają o mnie te oszczerstwa. – Antonia trzęsie się ze złości. – Nie pozwolę, aby jacyś anonimowi, zazdrośni kłamcy rzucali na mnie pomówienia. Możliwe, że sfabrykowano nawet dowody, byle zszarpać moje dobre imię. Bez wątpienia ci ludzie mają ukryte motyw. Może zamierzają przejąć moje firmy albo majątek, a może tylko chodzi o sianie niezgody wśród Złotych. Adriusie, powiedz Władczyni, że takie oskarżenia są śmieszne...

Ale on milczy.

– Adriusie?

– Przedkładam lojalność psa nad tchórza – odpowiada wreszcie Szakal. – Lilath miała rację, jesteś słaba. A to niebezpieczne.

Antonia rozgląda się jak tonąca, nad którą zamykają się fale, wciąga ją głębia, i nie ma nawet brzytwy, której mogłaby się chwycić. Aja podchodzi do niej od tyłu jak czarna fala, a Octavia oznajmia oficjalnym tonem:

– Antonio au Severus-Julii z rodu Julii, Pretorze Pierwszej Klasy Piątego i Szóstego Legionu, na mocy władzy nadanej mi przez Konwencję Elity uznaję cię za winną zdrady i zaniedbania obowiązku podczas wojny i skazuję cię na śmierć.

– Ty suko! – syczy na nią Antonia, a potem przenosi spojrzenie na Szakala. – Nie możesz sobie pozwolić na moją śmierć. Adriusie... proszę.

Ale Antonia nie ma już ani jednego okrętu. Nie ma nawet twarzy. Łzy płyną jej z opuchniętych oczu, gdy rozgląda się z nadzieją w poszukiwaniu drogi ucieczki. Ale z tej sali nie ma ucieczki. A kiedy napotyka moje spojrzenie, wie, o czym myślę.

Koś, co posiałaś. To za Victré, za Leę i za Chwast, i za wszystkich tych, którzy musieli umrzeć, żeby Antonia mogła żyć.

– Proszę... – szlocha.

Ale tutaj nie ma litości.

Aja chwyta ją od tyłu za szyję. Antonia drży z przerażenia, opada na kolana. Nawet nie próbuje walczyć, gdy ciemnoskóra Furia powoli zaciska dlonie i dusi ją na śmierć. Antonia charczy, szarpie się i po długiej minucie umiera. Kiedy ciało zawisa bezwładnie, Aja kończy egzekucję. Mocnym szarpięciem łamie dziewczynie kark, a potem jej ciało rzuca obok zwłok Sevra.

– Co za odrażające stworzenie – krzywi się lekko Władczyni i odwraca od zabitej.

– Jej matka miała przynajmniej charakter.

Spogląda po pozostałych zgromadzonych w pomieszczeniu i ponownie się krzywi.

– Cassiusie, pobrudziłeś sobie buty. – Krew plami gumowe kapcie i nogawki zielonego więziennego stroju. – Z tyłu są kwatery, kuchnia i prysznice. Umyj się. Mój lokaj próbował przygotować coś do jedzenia, więc każę ci podać posiłek. Nie przepuścisz bitwy, Pan Popiółów zapewnił mnie, że potrwa jeszcze co najmniej kilka godzin. Lysandrze, pokażesz mu drogę?

– Nie opuszczę twojego boku, pani moja – odpowiada Cassius wzniośle. – Dopóki to się nie skończy i nie pokonamy tych potworów.

Rycerz Prawdy przewraca oczami na ten teatralny pokaz.

– Dobry z ciebie chłopak – mówi Octavia, a potem wreszcie kieruje wzrok na mnie. – Nadeszła pora, aby zająć się Czerwonym.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

CZERWONY

Aja rzuca mnie na środek sali, pod stopy Władcyni. Na bladej jak marmur twarzy Octavii zastygły zimny, wyniosły grymas. A jednak ta kobieta garbi się pod ciężarem władzy nad międzyplanetarnym imperium, w jej znużonych oczach odbijają się tysiące nieprzespanych nocy, zmora wszystkich tyranów od zarania dziejów. Włosy spięte w ciasny kok znaczą nitki siwizny. W kącikach oczu widać sine, nitkowate ślady po terapiach odmładzających. Przez mnie Władcyni ostatnio nie zaznała spokoju. Chociaż klęczę i krwawię, w głębi duszy cieszy mnie, że przynajmniej dręczyłem ją w snach.

– Usuń mu knebel – mówi Octavia do Ai. Furia stoi za moimi plecami, gotowa do wykonania egzekucji, aby sprawiedliwości Elity stało się zadość. Rycerz Prawdy i Rycerz Radości stają po bokach Władcyni, a Cassius przesuwa się bliżej Mustang. Jego zielony strój więzienny odcina się na tle czarnych pancerzy. Szakal nie rusza się z fotela obok Lysandra, ze spokojem popija kawę przyniesioną przez lokaja. Biorę głęboki oddech, bez knebla jest to o wiele łatwiejsze.

– Wyobraź sobie świat bez arrogancji młodych... – Octavia patrzy na swoją Furię.
– Wyobraź sobie świat bez chciwości starych – odgryzam się ochryple. Aja uderza mnie pięścią w skroń. Przed oczyma wybuchają mi gwiazdy, z trudem udaje mi się nie zemdleć.

– Po co ściągnęłaś mu kaganiec, skoro chcesz, żeby milczał? – pyta zjadliwie Mustang.

Szakal parska śmiechem.

– Dobre pytanie, Octavio!

Władcyni rzuca mu niechętne spojrzenie.

– Ponieważ poprzednio uśmierciliśmy kukłę i wszystkie światy już o tym wiedzą. A ten tutaj jest z krwi i kości. Czerwony, który się zbuntował. Chcę zatem, aby wszyscy mieli pewność, że to ten buntownik. I żeby ujrzel i jego upadek. Niech zapamiętają raz na zawsze, że nawet najlepsi z nich są nieważni.

– Jeśli pozwolisz mu mówić, wymyśli kolejny slogan – ostrzega Szakal.

– Naprawdę myślisz, Octavio, że mój brat cię nie zabije? – wtrąca się Mustang. – Nie spocznie, dopóki będziesz żyła. Szakal pragnie tylko twojego berła i tronu...
– Oczywiście, że Adrius tego pragnie, bo który by nie pragnął? – uśmiecha się lekko Władcyni. – Przypomnij moje obowiązki, Lysandrze, dobrze?

– Bronić swojego tronu. Stworzyć sojusz, w którym bezpieczniej jest pozostać podwładnym i wypełniać rozkazy, niż z tobą walczyć. Taka jest rola Władczyni, którą kochają nieliczni, a wielu się lęka. I która zawsze zna siebie.

– Bardzo dobrze, Lysandrze.

– Rolą Władczyni nie jest tyrania. Władca powinien być przewodnikiem i przywódcą – wtrącam.

Octavia nie raczy mnie słuchać. Odwraca się do Rycerza Radości, który stoi już przy konsoli sterowania wyświetlaczem holo. Będzie nadawał to, co się zaraz wydarzy, na cały Układ Słoneczny.

– Jesteś gotów? – pyta go Octavia.

– Tak, pani moja. Zieloni odzyskali łączność. Wszystko pójdzie na żywo do Światów Wewnętrznych.

– Pożegnaj się ze swoim Czerwonym... *Mustang* – mruczy Aja i klepie dziewczynę po głowie.

– Nie zabijesz mnie sam? – pytam Szakala. – Wolisz nie brudzić sobie rąk? Co z ciebie za mężczyzna?

– Pozwól, że się tym zajmę, Octavio. – Szakal zrywa się z fotela i wchodzi w zasięg kamer holo.

– Egzekucje wykonują Rycerze Olimpijscy – sprzeciwia się Aja. – To nie twoje zadanie, ArcyGubernatorze.

– Nie przypominam sobie, żebym to ciebie prosił o pozwolenie.

Aja odsłaniazę zęby na tę obiegę, ale Władczyni kładzie jej rękę na ramieniu i ucisza dalszy spór.

– Niech to zrobi – szepcze do Furii. Zadziwiające, że tak łatwo ustępuje Szakalowi, to do niej niepodobne. A może po prostu ten dzień wydaje mi się dziwny?...

Zastanawiam się, dlaczego Szakal w ogóle jest tutaj. Dlaczego zgodził się znaleźć w miejscu, gdzie Octavia ma nad nim władzę absolutną? Może go zabić w każdej chwili. Adrius musi mieć na nią coś, co zapewnia mu nietkalność. Jaką grę prowadzi Szakal w bunkrze Władczyni? Wyczuwam, że *Mustang* również się nad tym głowi.

Aja cofa się ode mnie, a Rycerz Radości proponuje Szakalowi swoje ostrze. Jednak Adrius wyjmuje broń Sevra i zaczyna nią kręcić na palcu.

– Darrow to nie Złoty – wyjaśnia. – Nie zasługuję na ostrze. Odejdzie jak jego wuj. Zresztą chciałbym zacząć zmiany w wymiarze sprawiedliwości. Na dodatek zabicie Darrowa z broni Sevra będzie... bardziej poetyckie, nie sądzisz, Octavio?

– Jak uważasz. Coś jeszcze? – odpowiada Octavia ze znużeniem.

– Nie, dziękuję, bardzo mi pomogłaś. – Szakal zajmuje miejsce Ai, a Władczyni zmienia się na naszych oczach. Zmęczenie znika z jej twarzy, pojawia się wyraz poważnej, macierzyńskiej troski, który przypomina mi słowa: „Posłuszeństwo.

Poświęcenie. Dobrobyt” i życie w Lykos, gdy oblicze Władczyni widziałem tylko na ekranie. Wtedy Octavia wydawała mi się boginią stojącą tak wysoko ponad światem śmiertelników, że bez wahania oddałbym za nią życie, byle była ze mnie dumna. Dzisiaj chętnie oddałbym życie, aby zakończyć jej egzystencję.

Rycerz Radości skinieniem głowy daje znak Władczyni. Nad jej głową zapala się miękkie światło, które spowija kobietę w słoneczny blask. To tylko reflektor. Przystaje trzeszczeć, gdy się rozgrzewa. Szakal poprawia kosmyk starannie zaczesanych włosów i uśmiecha się do mnie niemal z czułością.

Rozpoczyna się transmisja.

– Od zarania ludzkości nasza historia jako gatunku sprowadzała się do nieustannych walk plemiennych. Było w tym doskonalenie się, poświęcenie, wyzwanie przeciwko ograniczającym nas prawom natury. Jednak po latach grzebania się w ziemi wznieśliśmy się do gwiazd. Dojrzałyśmy do obowiązku. Odłożyłyśmy nasze osobiste pragnienia i przyjęłyśmy Hierarchię Koloru. Nie po to, aby odsunąć wielu od chwały nielicznych, jak twierdził Ares i jego... terroryści, lecz aby zapewnić nieśmiertelność ludzkiej rasie w oparciu o pryncypia porządku i dobrobytu. Troszczyłyśmy się o nieśmiertelność ludzkiego gatunku, zanim ten człowiek spróbował ją ukraść.

Długim, wypielęgnowanym palcem wskazuje na mnie.

– Człowiek ten, kiedyś szlachetny sługa społeczeństwa, powinien był stać się najwspanialszym synem swojego Koloru. Za młodu został wywyższony. Zdobył honor i przywileje. Lecz wybrał próżność. Zapragnął rozciągnąć swoje ego na gwiazdy. Stać się zdobywcą. Zapomniał o obowiązku. Zapomniał, dlaczego potrzebny jest porządek. Właśnie dlatego wkroczył w mrok i pociągnął światy do upadku.

Octavia robi dramatyczną pauzę.

– Jednak my nie pozwolimy, aby ogarnął nas ten mrok. Nie ugniemy karku przed siłami zła. – Kładzie rękę na sercu. – My... my stanowimy społeczeństwo. Jesteśmy Złoci, Srebrni, Miedziani, Niebiescy, Biali, Pomarańczowi, Zieloni, Fioletowi, Szarzy, Brązowi, Różowi, Obsydianowi i Czerwoni. Więzi, które nas łączą, są silniejsze niż siły, które próbują nas rozdzielić. Przez siedemset lat Złoci troszczyli się o ludzkość, nieśli światło tam, gdzie panowała ciemność. Zapewnialiśmy bujny plon tam, gdzie wcześniej panował głód. A dzisiaj sprowadzimy pokój tam, gdzie szaleje wojna. Jednak w imię pokoju musimy zniszczyć tego mordercę, który rozpętał wojnę w naszej dziedzinie, w naszych domach...

Władczyni spogląda na mnie z obojętną wyniosłością. Tak samo patrzyła, gdy pojedynkowałem się z Cassiusem. Pozwoliłaby mi wtedy zginąć i nawet na chwilę nie przestałaby sączyć wina. Jestem dla niej nieważnym pyłkiem, nawet teraz. Myśli

już o tym, co będzie później. Co nastąpi, gdy moja krew zakrzepnie na podłodze, a moje ciało znajdzie się na stole sekcyjnym.

– Na mocy władzy nadanej mi przez Konwencję uznaję Darrowa z Lykos winnym spisku i działań terrorystycznych.

Patrzę prosto w obiektyw holokamery i wiem, że po drugiej stronie ogląda mnie niezliczone mrowie ludzi. A jeszcze więcej będzie mi się przyglądało, gdy już umrę.

– Uznaję cię za winnego masowych mordów na obywatelach Marsa.

Ledwie jej słucham. Serce wali mi w piersi, palce lewej ręki drżą. Gardło mi się ściska. Tak, to koniec.

– Uznaję cię za winnego morderstwa.

Ta chwila stanowi podsumowanie całego mojego życia. To mój krzyk na wietrze.

– I uznaję cię za winnego zdrady swojego społeczeństwa...

Ale nie chcę krzyczeć.

Niech to zostanie dla Roque'a. I dla Złotych. Pragnę czegoś więcej. Czegoś, czego Złoci nie potrafią zrozumieć. Pragnę gniewu swojego ludu. Wściekłości wszystkich ludzi w pętach. Władczyni recytuje swój wyrok, a Szakal cierpliwie czeka, aby wykonać egzekucję. Mustang klęczy, Cassius tylko patrzy ze swojego miejsca między Rycerzami Olimpijskimi. Aja podąża za jego spojrzeniem, z niepokojem, ponieważ podejrzewa, że coś jest nie tak. I nabieram tchu, podnoszę głowę i zaczynam wyć.

Wyję za swoją żonę i ojca. Wyję dla matki. Dla Ragnar. Dla Quinn, dla Paxa i Narola. Wyję w imię wszystkich, których straciłem. I wszystkich, których pojmano.

Wyję, ponieważ jestem Helldiverem z Lykos. I Kosiarzem z Marsa. I oddałem swoją prawicę za możliwość dostania się do tego bunkra, zatem mógłbym stanąć przed Octavią i umrzeć z przyjaciółmi albo popatrzeć, jak moich wrogów dosiąga sprawiedliwość.

Władczyni skinieniem nakazuje Szakalowi wykonać wyrok. Adrius przyciska mi lufę do głowy i pociąga za spust. Broń podskakuje mu w dłoni. Wystrzał przypala mi włosy. Od ogłuszającego huku dzwoni mi w uszach. Ale nie upadam. Kula nie przebiła mi głowy. Z lufy unosi się smużka dymu. Szakal spogląda na broń w swojej dloni i dopiero wtedy zaczyna rozumieć.

– Nie... – Cofa się ode mnie, upuszcza pistolet i chce sięgnąć po ostrze.

– Octavio! – Aja rzuca się do Władczyni.

Ale właśnie wtedy Władczyni słyszy coś niepokojącego poza zasięgiem kamery i odwraca głowę. Pretorianin z odchyloną głową wypuszcza z rąk karabin pulsacyjny. Czerwony język wystaje z ust mężczyznny. Tyle że to nie język. To czubek zakrwawionego ostrza, które Cassius wbił Pretorianinowi w tył głowy tak mocno, że wyszło ustami. Trzej Pretorianie upadają, zanim Władczyni zdąży wydusić choć

słowo. Cassius stoi nad nimi z opuszczoną głową, z ostrza ścieka krew. W lewej dłoni ściska pilota, którym można rozpiąć kajdany pętające mnie i Mustang.

– Bellona? – Władczyni nie udaje się powiedzieć nic więcej. Cassius naciska guzik.

Kamizelka, która unieruchamia ręce Mustang, spada. Zaraz potem moja również. Dziewczyna od razu chwyta za karabin najbliższego z zabitych. Gdy tylko mam wolną rękę, wyszarpuję nóż ukryty po wewnętrznej stronie metalowej kamizelki.

W okamgnieniu rzucam się na Władczynię. Wbijam ostrze przez czarny żakiet prosto w jej brzuch. Octavia zaskoczona gwałtownie nabiera tchu. Oczy ma ogromne, są o cal od moich. Czuję kawę w jej oddechu. Rzęsy Władczyni drżą na moim policzku w rytm kolejnych pchnięć noża. Ostatni cios zmienia się w cięcie. Gorąca krew bryzga mi na dłoń i piers.

– Octavio!

Aja skacze na mnie. Mustang, choć jeszcze nie podniosła się z kolan, strzela w biodro Furii z karabina pulsacyjnego. Siła uderzenia zwala Aję z nóg i rzuca ją na drewniany stół konferencyjny. Kobieta upada przy ciałach Antonii i Sevra. Na widok swojej Władczyni z rozprutym brzuchem Rycerz Prawdy i Rycerz Radości wyciągają ostrze i włączają tarcze, po czym ruszają na Cassiusa. Ten, chociaż bez zbroi, jedynie w zielonym kombinezonie splamionym krwią, rzuca się do ataku. Z wyskoku wbija ostrze w oko zaskoczonego Rycerza Prawdy.

Szakal wyciąga moje ostrze i tnie prawie na oślep. Uchylam się, ale nie uciekam – idę na niego. Z okrzykiem wściekłości Szakal zadaje kolejny cios, ale łapię go za rękę i uderzam głową w twarz, a potem podcinam mu nogi. Adrius upada ciężko. Podnoszę swoje ostrze, przydeptuję mu lewą rękę i krępuję biczem do podłogi, żeby nie mógł znowu zaatakować. Szakal krzyczy. Pluje mi w twarz. Próbuje kopnąć. Opuszczam kolano na jego czoło. Nieprzytomnego zostawiam na podłodze.

– Darrow! – woła Cassius, pojedynkując się z Rycerzem Radości. – Za tobą!

A za mną Aja podnosi się ze szczątków rozbitego stołu. Oczy ma wytrzeszczone z wściekłości. Uciekam od niej, żeby pomóc Mustang i Cassiusowi. Wiem, że Aja zabije mnie w kilka sekund, nie zdołam nawet podjąć walki bez prawej ręki. Cassius broczy krwią, Rycerz Radości rozciął mu głęboko lewą łydkę i właśnie napiera z włączoną tarczą na pozbawionego zbroi przeciwnika. Mustang zabiera dwa ostrza martwym Pretorianom, rzuca mi jedno. Łapię rękojeść lewą ręką, włączam klingę. Cassius, który ma już kolejne cięcie na nodze, potyka się o zwłoki i przewraca. Paruje cios Rycerza Radości pulsRękawicą, czym niszczy broń. Rycerz Radości stoi odwrócony plecami do mnie. Wyczuwa, że się zbliżam... za późno. Wyskakuję wysoko i tnę z długim zamachem. Ramię mi drży, gdy napotykam opór tarczy tuż przy zbroi, ale ostrze zaraz przenika dalej. Przecinam Rycerza Radości ukośnie od lewego obojczyka po prawe biodro. Jego ciało osuwa się na podłogę.

W sali zapada cisza.

Potem Mustang zrywa się i biegnie do mnie. Odgarnia złote włosy, uśmiecha się dziko. Pomagam podnieść się Cassiusowi.

– Jak moje aktorstwo? – krzywi się z bólu od ran.

– Fechtunek wychodzi ci lepiej. – Patrzę na leżące wokół niego ciała. Cassius uśmiecha się szeroko, tylko w walce czuje, że żyje. Serce mi się ściska, bo właśnie tak miało być. Tęsknię za dniami, gdy razem galopowaliśmy przez wyżyny i udawaliśmy, że świat należy do nas. Odpowiadam mu uśmiechem, równie jak on poraniony, zakrwawiony, lecz po raz pierwszy, odkąd pamiętam, pewien, że wszystko się ułoży.

– To jeszcze nie koniec – ostrzega Mustang.

Ramię w ramię odwracamy się do najbardziej śmiercionośnej istoty ludzkiej w Układzie Słonecznym. Klęczy przy Octavii, która zdołała się doczołgać do skraju zasięgu holokamer. Władczyni oddycha ciężko i przyciska obie dłonie do rany na brzuchu, drży i robi się coraz bledsza. Po policzkach Ai i Lysandra płyną łzy. Chłopiec podbiegły do babki, gdy tylko się wycofałem.

– Aja! – wrzeszczy Szakal z podłogi. – Zabij ich! Otwórz drzwi albo ich zabij!

Stracił rozum. Szarpie się, próbuje dosiągnąć rękojeści i wyłączyć bicz kikutem ręki. Niestety, przycisk znajduje się trzy i pół stopy za jego głową. Tuż poza zasięgiem.

– Otwórz! – mamrocze przez wybitezęby.

Niestety, żeby otworzyć drzwi, Aja musiałaby do nich podejść. I przedrzeć się przeze mnie, Mustang i Cassiusa, a potem odwrócić się do nas plecami, gdy będzie wpisywała kod. Znalazła się w pułapce, z której wyjść można będzie dopiero wtedy, gdy albo Octavia, albo my przestaniemy oddychać.

– Odstęp od Władczyni, Ajo. Sprawiedliwości musi stać się zadość – mówię, choć wiem, jaka będzie odpowiedź Furii. Jednak holokamery i nadajniki wciąż są włączone. Transmisja trwa, a krew Złotych krzepnie na podłodze. Aja nie odwraca się od razu. Jej wielkie dlonie gładzą twarz Octavii. Furia obejmuje Władczynię z czułością niczym matka małe dziecko.

– Wydostanę cię stąd. Przyrzekam. Tylko wytrzymaj, Octavio, nie umieraj.

Octavia słabo kiwa głową. Lysander kładzie dłoń na ramieniu potężnej Furii.

– Proszę, pośpiesz się.

– Zmęczę ją – szepcze do mnie Mustang. – Niech Octavia krwawi. Aja musi się śpieszyć, my mamy czas.

– Nie pozwól, aby zapędziła cię pod ścianę – odpowiadam. – Ruszaj się dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy. Cassiusie, dasz radę?

– Spróbuj mnie powstrzymać – odpowiada cicho Cassius.

Aja podnosi się powoli, ponura masa mięśni i zbroi, najlepsza uczennica największego fechmistrza Elity. Twarz ma mroczną, beznamietną. Granatowa zbroja Pani Przemian z morskimi smokami na piersi lśni matowo. Aja ma ramiona niemal tak szerokie jak Ragnar. Szkoda, że nie mogłem zabrać tutaj Sefi. Aja wysuwa srebrzystą klingę i przyjmuje zimową pozycję Drogiego Wierzby, z ostrzem uniesionym z boku jak pochodnia, lewą stopą wysuniętą, cofniętymi biodrami i ugiętymi lekko kolanami. Mustang i ja rozdzielimy się i przesuwamy na prawo i lewo. Cassius, który teraz jest najlepszym z nas szermierzem, staje na środku. Aja obserwuje nas uważnie, zapamiętuje nasze słabości. Niepewny krok Cassiusa, moją obciętą prawą dłoń, drobne rozmiary Mustang. Rejestruje też układ przeskódu w pomieszczeniu – ciała na podłodze, sprzęty. Zapamiętuje. I atakuje.

W walce z wieloma przeciwnikami stosować można dwie różne strategie. Pierwsza to wykorzystanie przeciwników tak, aby szkodzili sobie nawzajem. Lecz Cassius i ja doskonale współpracujemy w walce, a Mustang umie się dostosować. Dlatego Aja wybiera drugą strategię – i atakuje mnie, zanim Cassius i Mustang zdążą ruszyć mi na odsiecz. Uznała mnie za najsłabszego ze swoich przeciwników. Nie pomyliła się. Jej bicz trzaska mnie w twarz szybciej, niż unoszę ostrze. Omal nie tracę oka. Chwieję się, wytrącony z równowagi. Aja skacze na mnie z klingą gotową do pchnięcia w poetyckiej furii doskonale wykonanych ruchów. Chce wytrącić mi ostrze z pozycji na ukos przed moim torsem i przejść do kombinacji, którą Lorn nazwał Zacinającym Wiatrem. Próbuje zepchnąć moją klingę w dół, gdy jej ostrze znajduje się nad moim, aby czubkiem dosiągnąć mojego ramienia i zadać wzdłużne cięcie, które rozedrze mi mięśnie i ścięgna. Robię taneczny unik poza zasięg klingi, lawiruję między trupami na podłodze, a Cassius i Mustang zbliżają się do mojej przeciwniczki. Cassius wysuwa się za szybko i omal nie spotyka go los, którego mnie się udało uniknąć.

Jednak Aja już nie używa klingi. Włącza buty grawitacyjne, wyskakuje i poluje na Cassiusa – dwieście kilogramów zbroi i Niezrównanej Naznaczonej zderza się z nieosłoniętym ciałem. Niemal słyszać trzask łamanych kości. Cassius zderza się z rozpoczęzoną Ają, po czym osuwa się na podłogę. Zanim przyszpili go tam klinga Furii, Mustang rusza z odsieczą. Aja jednak właśnie na to czeka, użyła Cassiusa jako przynęty. Tnie płasko i omal nie rozcina podbrzusza Mustang.

Robię zamach na Aję od tyłu, lecz ta przeklęta Furia wyczuła, że się zbliżam. Uchyla się przed klingą, a ja z rozpędu wbijam ostrze w ścianę, pod którą stoi aparatura nagrywająco-transmisyjna. Aja błyskawicznie wyprowadza kopniak w kolano Mustang. Nie wiem, czy je złamała, ale dziewczyna się zatacza i odwodzi klingę, a Furia odwraca się do mnie, ponieważ nie mam broni.

– Szlag, szlag, szlag, szlag – syczę, cofając się w pośpiechu do powalonych Pretorianów, aby zabrać któremuś ostrze. Udaje mi się złapać za karabin

pulsacyjny, więc strzelam na oślep za siebie. Tarcza Ai absorbuje strzał wśród czerwonych iskier i zanim jeszcze zgasną, kobieta rzuca się na mnie i ścina broń z mojej ręki. Znowu muszę uciekać, przetaczam się w tył, bicz Ai tnie mnie po ścięgnach kostek, ale udaje mi się złapać jakieś ostrze i wyskoczyć poza krąg objęty zasięgiem holokamer, i za fotele. Aja łapie pulsRękawicę i strzela. Nurkuje, aby mnie nie trafiła. Stalowy sufit nad mną wybruzsa się w bąble, metal zaczyna kapać. Przetaczam się w bok.

Ostrza ponownie uderzają o siebie w kręgu objętym holokamerami. Zrywam się na równe nogi i wracam do walki. Aja szatkuje nas na plasterki, wykorzystuje buty grawitacyjne do ponownego ataku na Mustang i Cassiusa. Naciera na niego tak, aby wykorzystać jego słabość – poranione nogi nie utrzymują szermierza zbyt pewnie, a doszła do tego jeszcze głęboka rana na ramieniu. Mustang naciera od tyłu, gdy Cassius się zasłania, ale Aja uchyla się przed cięciem dziewczyny. Porusza się tak, jakby tę walkę przestudiowała ze szczegółami, zanim jeszcze ruszyliśmy do ataku.

Uświadadam sobie, że nie zdołamy pokonać Ai. Właśnie tego najbardziej się obawialiśmy. Utraty ręki też nie miałem w planie. A Aja zabije nas jedno po drugim.

Na okamgnienie rodzi się we mnie nadzieję, gdy Mustang i Cassius wreszcie atakują Aję z obu stron. Skaczę, aby pomóc w natarciu. Furia wiruje i uchyla się jak wierzba między trzema tornado. Wie, że jej zbroja wytrzyma nasze uderzenia, a nasza skóra nie ma osłony. Skupia się na płytkich cięciach, aby metodycznie nas wykrwawić, mierzy w nasze ścięgna, kolana, ramiona – tak Lorn nauczył i ją, i mnie. Podkopuje nasze korzenie.

Ostrze Ai tnie mnie płasko po ręce, rani kłykcie, ścina mi opuszkę małego palca. Ryczę z gniewu, ale gniew nie wystarczy na Furię. Odruchy to także za mało. Jesteśmy zbyt zmęczeni, zbyt oszołomieni jej potwornością. Lorn wyszkolił ją zbyt dobrze. Z obrotu zadaje mi oburącz cios z boku w żebra. Świat umyka mi spod stóp. Aja podnosi mnie z przerażającym rykiem. Nogi zawisają mi pół metra nad podłogą. Cassius naciera, więc Aja ciska mnie i tnie końcem ostrza, po czym paruje atak Cassiusa. Upadam bezwładnie, mam wrażenie, jakby tors mi się zapadł. Nie mogę nabrać tchu. Cassius i Mustang stają między mną i Furią.

– Ani się waż go tknąć – syczy Mustang.

Ostrze nie dosięgło żadnego z moich witalnych organów, utknęło na wzmacnionych żebrach, które podarował mi Mickey, ale mocno krwawię. Próbuję wstać, zataczam się niezdarnie. Szakal patrzy na mnie z podłogi, wycieńczony szarpaniną i daremnymi próbami uwolnienia się. Pomimo grozy i rozrzuconych wokół ciał uśmiecha się szeroko – wie, że Aja zamierza mnie zabić. Władczyni, blada i półprzytomna, również patrzy, wsparta o ściankę zagłębienia. Lysander obejmuje ją z troską. Aja zerka na Octavię ze strachem. Wie, że Władczyni nie zostało już wiele życia.

– Jak mogliście wybrać jego zamiast nas? – krzyczy Furia do Mustang i Cassiusa.
– Bez trudu – odpowiada jej Mustang przez zaciśniętezęby.
Cassius wyjmuje z kieszeni strzykawkę i rzuca mi ją przez salę.
– Zrób to, zanim Furia nas zabije, człowiek.

Dźwigam się niezdarnie. Aja z wściekłością rusza do ataku, ale Cassius i Mustang mają dość siły, aby ją powstrzymać. Furia krzyczy nieludzko. Wszyscy troje krwawią, ale moi przyjaciele nie zagrzeją miejsca na tym świecie, jeżeli ta walka będzie trwała dłużej. Udaże mi się dowlec do skraju kręgu, z trudem wychodzę z zagłębienia i ruszam przez salę.

– Nie zdołasz uciec! – krzyczy Aja. – Wydłubię ci oczy. Nie masz dokąd uciec, Czerwony tchórzu!

Ale ja wcale nie uciekam. Opadam na kolana przy ciele Sevra. Jego pierś wygląda okropnie w zakrzepłej sztucznej krwi, świadectwie egzekucji dokonanej przez Cassiusa. Rozcinam koszulę Sevra ostrzem. W piersi zabitego zieje sześć fałszywych dziur – odrobina wyrzeźbionego przez Snycerza ciała wygląda tak prawdziwie. Twarz Sevra jest nieruchoma i spokojna. Jednak spokój nie leży w jego naturze. I jeszcze na niego nie zasłużył. Z cichym trzaskiem ściągam oslonę strzykawki wypełnionej Ukąszeniem Węża od Holiday. Jedna dawka wystarczy, aby podnieść umarłego z grobu. Zwłaszcza takiego, który tak naprawdę nie umarł, lecz tylko udaje wieczny sen dzięki wrednej mieszance Narola na wyciągu z haemanthusa.

– Pobudka, Goblinie – szepczę, a potem unoszę strzykawkę, modlę się w duchu, żeby serce Sevra wytrzymało, i wbijam igłę w pierś najlepszego przyjaciela.

Sevro otwiera oczy.

– Kuuurwa!

Rozdział sześćdziesiąty drugi

OMNIS VIR LUPUS

Sevro zrywa się z komy wywołanej olejkiem z haemanthusa – zażył specyfik wuja Narola, zanim uwolniliśmy Cassiusa. Z szaleństwem w oczach mój przyjaciel rozgląda się i pośpiesznie wstaje. Przyciska dłoń do serca, dyszy z bólu. Wiem, jak się czuje, pamiętam przecież, co się ze mną działo, gdy Trigg i Holiday uwolnili mnie z fortecy Szakala.

Ostatnie, co widział Sevro, to moja twarz i pokład więzienny „Gwiazdy Zarannej”, a teraz przed oczami ma krajobraz po bitwie – bryzgi krwi, rozrzucone ciała, zniszczone sprzęty. Podnosi na mnie przekrwione, szalone spojrzenie i celuje palcem w mój brzuch.

– Darrow! Ty krwawisz! Krwawisz, Darrow!

– Wiem.

– Gdzie twoja ręka? Kurwa, nie masz ręki!

– Wiem!

– Jasna cholera... – Dopiero teraz dostrzega Szakala przywiązanego do podłogi i półprzytomną Octavię oraz Aję walczącą z Mustang i Cassiusem. – Zadziałało, kurwa, udało się! Musimy pomóc Złotemu dupkowi i twojej dziewczynie, wstawaj! No już! Wstawaj!

Pomaga mi się podnieść i wciska w dłoń ostrze, po czym rusza do okrągłego zagłębienia z holokamerami, wyjąc jak wtedy, gdy jako dzieci biegaliśmy wśród oszronionych sosen.

– Zabiję cię, Ajo! Zabiję cię na śmierć!

– To Barca! – wrzeszczy Szakal z podłogi. – Barca żyje!

W biegu Sevro podnosi pulsRękawicę martwego Pretorianina, następuje młodemu ArcyGubernatorowi na twarz, po czym schyla się po rękęjeść broni, którą go unieruchomiłem. Mój zmartwychwstały przyjaciel nawet się nie zatrzymuje, tylko od razu strzela. Mieszanka farmaceutyków i żądza zwycięstwa potęgują jego obłęd.

Strzał z pulsRękawicy rozchodzi się po tarczy Ai w deszczu szkarłatnych iskier. Na chwilę oślepia Furię i Cassiusowi nareszcie udaje się przebić ostrzem jej osłony. Aja jednak w porę się obraca, przyjmuje tylko cięcie w ramię, lecz wtedy do walki włącza się Sevro, który dwukrotnie wbija jej klingę w krzyż. Z jękiem bólu Aja się cofa. Dobiegam do przyjaciół. Aja zatacza się, nogi jej słabną. A za sobą zostawia

ślad, jaki niewielu ludzi widziało – smugę własnej krwi. Krew kapie też z ostrza Sevra. Mój przyjaciel dotyka zbroczonej klingi.

– Cha-cha-cha! No, proszę. Jednak krwawisz. Sprawdźmy, ile jeszcze można ci utoczyć.

Przypada do podłogi jak dzikie zwierzę i podkrada się, podczas gdy Mustang, Cassius i ja otaczamy najwspanialszą z Rycerzy Olimpijskich. Przypominamy watahę atakującą pumę – cofamy się, gdy atakuje, kąsamy w nogi i w boki, gdy się odsłoni. Wykrwawiamy ją między sobą. Sevro macha ostrzem, wyjąc jak szaleniec.

– Zamknij się! – Aja rzuca się na niego, ale Sevro wykonuje taneczny unik, a ja i Cassius z jednoczesnego wykroku zadajemy pchnięcia. Furia paruje atak Cassiusa na szyję oraz jego dwa udane podejścia, ale nie ma czasu odeprzeć mnie. Markuję pchnięcie w brzuch i uderzam udo przeciągniętym cięciem przez pancerz. Na moją klingę tryskają iskry i krew. Mustang wbija ostrze w łydkę wroga. Odskakuję, gdy Aja obraca się do mnie. Wystawia się w ten sposób na atak Sevra. Mój mały przyjaciel z wściekłością podcina przeciwniczce ścięgno Achillesa na prawej kostce. Aja traci równowagę, gdy próbuje się znowu obrócić. Sevro odskakuje.

– Zginiesz – syczy z gniewem. – Zginiesz...

– Zamknij się!

– To za Quinn – dodaje przywódca Wyjców, gdy Cassius tnie jej po lewym ścięgnie Achillesa.

– To za Ragnara. – Z dołu wyprowadzam pchnięcie w udo Ai.

– A to za Marsa. – Mustang z rozmachem odcina jej ramię w łokciu.

Aja patrzy na odciętą rękę tak, jakby się zastanawiała, czy należy do niej.

Nie dajemy jej czasu na złapanie oddechu. Sevro odrzuca pulsRękawicę, podnosi z podłogi ostrze Rycerza Prawdy, a potem wyskakuje wysoko i wbija oba ostrza w pierś Ai. Zawisa na nich stopę nad podłogą. Twarz jego i Furii znajdują się na jednym poziomie, niemal stykają się nosami. Aja osuwa się na kolana, stopy Sevra dotykają podłogi.

– *Omnis vir lupus.*

Po czym mój przyjaciel całuje pokonaną kobietę w nos, szarpnięciem wyrywa ostrza i cofa się, pozwalając, aby broń owinęła mu się wokół przedramion. W bezruchu wszyscy patrzmy na śmierć Pani Przemian, największej z Rycerzy swojego pokolenia. Krew bucha na zimną podłogę. Wciąż na kolanach, Aja z rezygnacją odwraca twarz w stronę Władczyni, kobiety, która pełniła rolę matki dla tych sióstr, wychowała je i kochała na tyle prawdziwie, na ile może kochać ktoś, kto włada Układem Słonecznym.

– Wybacz... pani moja – głos Ai rwie się w świszczącym oddechu.

– Nie mam czego – szepcze Octavia ledwie dosłyszalnie. – Płonełaś jasno, moja Furio. Sam czas... będzie cię pamiętał.

– Nie, doprawdy nie – syczy Sevro bezlitośnie. – Spoczywaj w mroku, Ajo au Grimmus.

Przeskakuje nad nią jak sztukmistrz, a potem kopie kobietę w pierś. Gdy upada na plecy, Sevro skacze na nią na czworaka i zaczyna wyć. Z ust Władcyni wyrywa się głęboki jęk na ten widok. Octavia zaciska powieki, spływają spod nich łzy. Podchodzimy do niej. Pomagam Cassiusowi, który zawisa mi na ramieniu. Obaj kulejemy. Mustang idzie za nami. Sevro pilnuje Szakala, a właściwie siedzi mu na piersi i macha ostrzem przed nosem.

Zbryzgany krwią babki Lysander unosi jej ostrze i zastawia nam drogę.

– Nie pozwolę jej zabić.

– Lysandrze... nie – szepcze Octavia. – Już za późno.

Chłopiec ma oczy zapuchnięte od płaczu. Ostrze drży w jego dloniach. Cassius robi krok i wyciąga rękę.

– Rzuć broń, Lysandrze. Nie zrobię ci krzywdy.

Mustang i ja zerkamy na siebie. Octavia na pewno to widzi i jej ciałem wstrząsa dreszcz strachu. Lysander wie, że nie zdoła nas pokonać. Pomimo smutku pamięta o zdrowym rozsądku, więc odrzuca ostrze i patrzy na nas ponuro.

Spojrzenie Octavii staje się odległe i mroczne. Władcyni jest już jedną nogą w krainie, z której nie będzie mogła tutaj władać. Sądziłem, że splunie, będzie nas lżyć albo błagać, jak Vixus czy Antonia, jednak Octavia do końca nie okazuje słabości. Na jej twarzy maluje się tylko smutek i żal za utraconym. Nie stworzyła tego świata i jego hierarchii, ale stała na straży tego porządku przez długi czas. I za to musi wziąć odpowiedzialność.

– Dlaczego? – pyta cicho Cassiusa. – Dlaczego?

– Ponieważ skłamałaś – odpowiada ochryple Bellona.

A potem z pojemnika przy pasie wyciąga holościan, pryzmat nie większy od paznokcia, i rzuca Octavii w zakrwawione dlonie. Na powierzchni kryształu tańczą obrazy, które po chwili wyświetlają się w powietrzu nad rękami Władcyni. Przed naszymi oczami pojawiają się sceny ze śmierci rodziny Cassiusa – podobne do cieni sylwetki ludzi w kombinezonach bojowych przekradają się korytarzem. Zabijają ciotkę Cassiusa, a potem wywlekają dzieci i mordują je przy użyciu noży lub tylko pięści i nóg. Coraz więcej ciał piętrzy się na stercie. Wreszcie zabójcy podkładają ogień, aby mieć pewność, że nikt nie przeżył. Ponad czterdzieści osób dzieci oraz dorosłych bez blizny Niezrównanych Naznaczonych z rodu Bellona zginęło tamtej nocy. Zaplanowano, aby winę za to zrzucić na upadłego buntownika. Jednak była to robota Szakala. Zakończył wojnę między rodami Bellona i Augustus, a Władcyni mu w tym pomogła. Ceną za mój Triumf było jego milczenie.

– Pytasz dlaczego? – głos Cassiusa jest ledwie słyszalnym szeptem. – Bo nie masz honoru. Jako Rycerz Olimpijski przysiągłem honorować Konwencję i strzec

sprawiedliwości. Przysięgałaś to samo, Octavio. Ale zapomniałaś, co to znaczy. Wszyscy zapomnieli. Właśnie dlatego nasz świat upada. Może następny będzie trochę lepszy.

- Ten jest najlepszy, jaki zdołaliśmy zbudować – szepcze Octavia.
- Naprawdę w to wierzysz? – pyta Mustang.
- Z całego serca.
- Zatem ci współczuję. – Mustang kręci głową.
- A ja z całego serca kochałem brata – odzywa się Cassius. – I już nie wierzę w świat, w którym mój brat był zbyt słaby, aby zasłużyć na życie. On też uwierzyłby w lepsze jutro. W nadzieję, że nowe przyniesie zmianę na lepsze. – Cassius podnosi na mnie wzrok. – W imieniu Juliana też mogę w to uwierzyć.

Podaje mi dwie inne kostki holo z futerału przy pasie. Pierwsza to nagranie pokazujące śmierć moich przyjaciół podczas Triumfu. Druga przeznaczona jest dla Obrzeży – kiedy Romulus i jego ludzie zobaczą to nagranie, będą wiedzieli, że sprawiedliwości stało się zadość. Polityka nigdy się nie kończy. Wkładam oba kryształy w dłoń Władczyni. Rea jaśnieje przed oczami Octavii. Niebiesko-biały księżyc ogólnego Saturna wygląda wspaniale przy swoich braciach – Hyperionie i Tytanie. A potem nad Reą przemyka kilka srebrzystych igieł, ledwie widocznych nad biegunem północnym. Po paru niewinnych przelotach na powierzchni biało-niebieskiego świata wyrastają atomowe grzyby.

Nuklearne eksplozje odbijają się w oczach Władczyni. Mustang odsuwa się, abym mógł przykłknąć przy umierającej. Odzywam się cicho i łagodnie, żeby wiedziała, że dosiągnęła ją nie zemsta, lecz sprawiedliwość. Octavia przygląda się holobrazowi Księzycy pod sklepieniem – widać tam, jak moja armada frachtowców zbożowych ląduje pomimo nieustanego ostrzału z powierzchni.

– Mój lud wierzy, że na drodze do zaświatów spotkamy tego, który osądza złych i dobrych. Nosi imię Kosiarz. Nie jestem nim. Jestem tylko człowiekiem. Lecz wkrótce ty spotkasz Kosiarza. I zostaniesz osądzoną za wszystkie swoje grzechy.

– Grzechy? – Octavia kręci głową, a potem patrzy na trzy holoprojekcje unoszące się nad jej dłońmi, trzy krople w oceanie popełnionych przez nią grzechów. – To ofiary. Cena władzy. – Zamknięta dlonie na kryształach. – Należą do mnie tak samo, jak moje triumfy. Zobaczysz. Staniesz się taki sam, Zdobywco.

- Nie.
- Gdy nie ma słońca, jest tylko ciemność. – Władczyni drży, ogarnia ją chłód. Tłumię odruch, aby czymś ją przykryć. Niech wie, co po sobie zostawia. Kiedy umrze, zacznie się walka o władzę. Rozerwie i skłóci Złotych. – Ktoś... Ktoś musi rządzić... albo za tysiąc lat dzieci zapytają: „Kto rozdzielił światy? Kto zdławił światło?”. A wtedy rodzice powiedzą, że to byłeś ty.

Wiem o tym od dawna. Wiedziałem, gdy pytałem Sevra, jaki powinien być koniec. Nie zamierzam zastąpić tyranii chaosem. Jednak nie mówię tego Octavii. Władczyni przełyka z bólem, walczy o każdy oddech.

– Musisz go powstrzymać. Musisz... powstrzymać... Adriusa.

Tak brzmią ostatnie słowa Octavii au Lune. A gdy cichną, ognie Rei gasną w jej oczach, życie opuszcza zimne źrenice otoczone złotą tęczówką. Władczyni patrzy już w wieczną, bezkresną ciemność. Zamykam jej oczy. W piersi pozostaje mi tylko chłód po jej odejściu, jej słowach, jej strachu.

Władczyni Elity, która rządziła przez sześćdziesiąt lat, umarła.

A ja nie czuję nic oprócz zgrozy, ponieważ Szakal właśnie zaczyna się śmiać.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

CISZA

Śmiech odbija się echem od ścian sali. Twarz Szakala wydaje się sina w poświatie holomapy Księżyca z flotami ścierającymi się w ciemności. Mustang wyłączyla nadawanie transmisji i analizuje bazę danych Władczyni, podczas gdy Cassius przysuwa się do Lysandra, a ja podnoszę się znad ciała Octavii. Wszystko mnie boli.

- O co jej chodziło? – pyta Cassius. – Od czego mamy go powstrzymać?
- Nie wiem.
- Lysandrze?

Ale chłopiec jest zbyt roztrzęsiony grozą tego, co się stało, nawet nie próbuje mówić.

– Transmisja poszła na okręty i planety – oznajmia Mustang. – Ludzie już oglądają śmierć Octavii. Łącza są przeciążone. Nikt nie wie, kto rządzi. Musimy ruszać, zanim ktoś siegnie po władzę.

Cassius i ja podchodzimy do Szakala.

- Co zrobiłeś? – pyta Sevro. Potrząsa leżącym. – O czym mówiła Octavia?
- Zabierz ze mnie swojego kundla – syczy Szakal przygnieciony kolanami Sevra. Odciągam przyjaciela. Od razu zaczyna krążyć wokół Szakala. Wibrue od adrenaliny.
- Co zrobiłeś? – pytam.
- Nie ma sensu z nim rozmawiać – wtrąca Mustang.
- Nie ma sensu? – oburza się Szakal z podłogi. Podnosi się na kolana, przyciskając do piersi kikut ręki. – Myślisz, że dlaczego Władczyni nie obawiała się broni, którą tu wniosłem? Wiedziała o większym zagrożeniu.

Podnosi na mnie wzrok. Rozczochrane włosy spadają mu na czoło. Jest zupełnie spokojny, chociaż dokonaliśmy potwornej rzezi. Nie obchodzi go, że sam nas tutaj przyprowadził, ani nie przejmuję się, że zaraz znowu może się znaleźć na podłodze.

– Pamiętam, jak to jest kryć się pod ziemią, Darrow – mówi powoli Szakal. – Zimną skałę pod palcami. Pamiętam członków mojego Domu, którzy czaili się w mroku. Parę ich oddechów, gdy na mnie patrzyli. Pamiętam, jak bardzo się bałem, że zawiodę. I jak długo się przygotowywałem. Ale ojciec tego nie doceniał. Całe moje życie zależało od tych chwil. I wszystko wymknęło mi się spod kontroli. Mieliśmy uciec z naszej warowni, wymknąć się do Wulkana. Ale wrogowie zjawili się za wcześnie. Zamierzali wziąć nas w niewolę. Ostatni moi ludzie wciąż biegli przez tunel, gdy detonowałem bomby. Słyszałem głos ojca. Mówił, że wcale go nie

zaskoczyło, że poniosłem tak szybko porażkę. Nie słyszałem nic przez tydzień po eksplozji, która zwaliła tunel. Minął kolejny tydzień, nim zabiliśmy dziewczynę i zjedliśmy jej nogi, żeby przeżyć. Błagała, żebyśmy ją oszczędzili. Prosiła, żeby wybrać kogoś innego. Nauczyłem się jednak wtedy, że jeżeli nikt się nie poświęci, wtedy też nikt nie przeżyje.

Zimny strach pełnił mi do gardła. Wnętrzności ciążą jak bryła lodu.

– Mustang...

– Są tutaj – domyśla się Mustang z przerążeniem.

– Co się dzieje? Co tu jest? – syczy Sevro.

– Darrow... – szepcze ostrzegawczo Cassius.

– Główic nie ma na Marsie – wyjaśniam. – Są na Księżyku.

Szakal uśmiecha się szerzej. Powoli podnosi się i prostuje, a żadne z nas nie śmie go tknąć. Wszystko staje się jasne. Napięcie między Szakalem i Władczynią, subtelne groźby, odwaga, z jaką wkroczył do schronienia Octavii, gdzie wydawał się pozornie bezbronny, drwienie z Ai bez żadnych konsekwencji.

– Och, szlag. Szlag. SZLAG! – Sevro szarpie swojego irokeza.

– Nigdy nie zamierzałem spuścić główic na Marsa – stwierdza Szakal. – Urodziłem się tam. To moje dziedzictwo i miejsce, skąd płynie heli-3 do wszystkich innych światów w Układzie Słonecznym. A heli-um to krew Imperium. Ale ten Księżyk to relikt przeszłości, jak Octavia, ta zdradziecka starucha, która wysysała szpik z Elity, będąc nad tym, co jest, zamiast myśleć o tym, co może być. Octavia miała zapłacić mi okup. Ale zdaje się, że to wy będziecie go płacić, bo jesteście słabí i nie nauczyliście się w Instytucie tego, co należy. Zwycięstwo wymaga poświęceń.

– Mustang, umiałabyś znaleźć te bomby? – pytam. – Mustang?

Dziewczyna stoi jak słup soli.

– Nie – zaprzecza wreszcie. – Nie. Na pewno promieniowanie zostało zamaskowane. Nawet gdyby nam się udało, nie zdołamy zapobiec detonacji...

Potrząsa głową i sięga po komunikator, żeby skontaktować się z naszą flotą.

– Jeżeli się połączysz, zdetonuję jedną głowicę co minutę – grozi Szakal. Dotyka ucha, w którym ma wszczepiony własny komunikator. Lilath na pewno słucha. To ona ma detonator. Właśnie to miał na myśli Szakal, gdy powiedział, że Lilath będzie jego ubezpieczeniem. – Myślisz, że ujawniłem swoje zamiary, gdybym nie miał pewności, że nie możecie mi przeszkodzić?

Szakal prostuje się, ściera krew z napierśnika.

– Bomby zostały podłożone wiele tygodni temu. Syndykat przemycił je dla mnie na Księżyk. Wystarczająco dużo główic, aby wywołać zimę atomową. Albo drugą Reę, jak wolicie. Gdy głowice zostały ustawione, powiedziałem Octavii, co zrobiłem, i podałem jej swoje warunki. Miała pozostać Władczynią do stłumienia powstania... co przyjęło nieoczekiwany obrót... jak widać. A potem, w dniu zwycięstwa, miała

zebrać Senat, abdykować z Tronu Poranka i mianować mnie swoim sukcesorem. W zamian za oszczędzenie Księżyca.

– To dlatego Octavia zebrała Senat – krzywi się Mustang z odrazą. – Żebyś został Władcą!

– Suwerenem. Owszem.

Cofam się od niego. Na barkach czuję ciężar walki, słabość ciała po wysiłku i od utraty krwi, a teraz jeszcze... od tego zła. Szakal jest tak samolubny, że robi mi się niedobrze.

– Jasna cholera, oszalałeś! – prycha Sevro.

– Nie oszalał – oponuje Mustang. – Gdyby to było szaleństwo, mogłabym mu wybaczyć. Adriusie, na Księżyco żyje trzy miliardy ludzi. Nie chcesz tego zrobić.

– Nic tych ludzi nie obchodzę, czemu oni mieliby obchodzić mnie? – pyta wyniośle Szakal. – To tylko gra. A ja wygrałem.

– Gdzie są te bomby? – Mustang rusza na niego groźnie.

– Ach, ach! – Szakal unosi dłoń. – Jeśli spadnie mi choć włos z głowy, Lilath detonuje bombę.

Mustang cofa się wściekła.

– To ludzie – mówi. – Masz władzę, aby oszczęścić życie trzech miliardów ludzi, Adriusie. Taka władza przewyższa każdą, jakiej można by pragnąć. Masz okazję udowodnić, że jesteś lepszy niż ojciec. Lepszy niż Octavia...

– Ty mała dziwko. – Szakal parska śmiechem pełnym niedowierzania. – Traktujesz mnie protekcyjonalnie? Wciąż ci się wydaje, że możesz mną manipulować? No, to odpowiedzialność za tę eksplozję spada na ciebie. Lilath, zdetonuj bombę na południu Mare Serenitatis.

Patrzymy na holomapę Księżyca nad głowami i mamy nadzieję wbrew nadziei, że Szakal blefuje. Albo że transmisja nie przedostała się spod powierzchni do Lilath. Jednak na srebrzystej powierzchni hologramu pojawia się czerwona kropka, która rośnie. Na modelu wydaje się mała, wręcz nieistotna, ale w rzeczywistości obejmuje obszar miasta o promieniu dziesięciu kilometrów.

Mustang podbiega do konsoli komputera.

– Wybuch jądrowy – szepcze. – W tych dzielnicach mieszka ponad pięć milionów ludzi...

– Mieszkało – poprawia ją Szakal.

– Ty gnojku... – Sevro rzuca się do ataku z ochrypłym okrzykiem, ale Cassius w porę zachodzi mu drogę i odpycha. – Z drogi!

– Sevro, uspokój się.

– Ostrożnie, Goblinie! Mam jeszcze kilkaset takich zabawek – ostrzega Szakal.

Sevro jest oszołomiony, chwyta się za serce, które rozpoczęte medykamentami próbuje wyrwać się z piersi.

- Darrow, co mamy robić?
 - Okazać posłuszeństwo – mówi Szakal.
- Zmuszam się, żeby zadać to pytanie:
- Czego chcesz?
 - Czego chcę? – Szakal owija sobie ramię chustką, pomagając sobie zębami. – Chcę, żebyś stał się tym, kim zawsze pragnąłeś, Darrow. Chcę, żebyś był jak twoja żona. Męczennikiem. Zabij się. Tutaj. Na oczach mojej siostry. W ten sposób ocalisz trzy miliardy ludzi. Czy nie tego zawsze pragnąłeś? Zostać bohaterem? Umrzesz, a ja zostanę koronowany na Suwerena. I wtedy nastanie pokój.
 - Nie – sprzeciwia się stanowczo Mustang.
 - Lilath, zdetonuj następną bombę. Tym razem nad Mare Anguis.
- Kolejna czerwona kropka zakwitła na holomapie.
- Przestań! – wzdraga się Mustang. – Adriusie, proszę...
 - Właśnie zamordowałeś sześć milionów ludzi – szepcze Cassius z niedowierzaniem.

– Pomyśl, że to my – syczy Sevro.

Szakal przytakuje.

– Każda eksplozja wygląda, jakby to był element działań inwazyjnych. Oto twoje dziedzictwo, Darrow. Pomyśl o dzieciach, które właśnie spłonęły. Pomyśl o krzyku ich matek. A tyle istnień możesz ocalić. Wystarczy, że pociągniesz za spust.

Przyjaciele patrzą na mnie wyczekując, ale ja przebywam już w innym miejscu. Słucham jęków wiatru w sztolniach Lykos, wdycham rosę na pancerzach maszyn wczesnym rankiem. Wiem, że Eo będzie na mnie czekać, gdy wrócę do domu... Tak jak czeka teraz na końcu brukowanej drogi, razem z Narolem, Paxem, Ragnarem, Quinn i – mam nadzieję – są tam Roque, Lorn, Tactus oraz reszta z tych, których utraciłem. Śmierć nie będzie przecież końcem, lecz początkiem czegoś nowego. Muszę w to wierzyć. Tyle tylko, że Szakal pozostanie tutaj, na tym świecie.

Pozostanie i będzie miał władzę nad tymi, których kocham, i nad tymi, dla których walczyłem. Zawsze sądziłem, że umrę przed końcem. Pocieszałem się nawet myślą, że jestem skazany na zagładę. Jednak przyjaciele tchnęli we mnie miłość, tchnęli we mnie z powrotem wiare. Sprawili, że pragnę żyć. Sprawili, że pragnę budować na gruzach tego, co niszczyłem. Mustang patrzy na mnie, w oczach wzbierają jej łzy. Wiem, że chciałaby, abym wybrał życie, ale nie zadecyduje za mnie.

– Twoja odpowiedź, Darrow?

– Nie. – I uderzam Szakala pięścią w gardło. Dławi się. Nie może nabrać tchu. Powalam go na podłogę i przyciskam mu ramiona kolanami, wbijam pięść w usta. Adrius wytrzeszcza oczy. Szarpie się, kopie. Jego zęby przebijają mi kłykcie do krwi.

Gdy powaliłem go poprzednim razem, odebrałem mu nie tę broń, którą powiniensem. Co znaczą ręce dla takiego potwora? Całe jego зло i wszystkie

kłamstwa spływały mu z języka. Dlatego chwytam jego język w zręczne palce Helldivera, ściskam między kciukiem i palcem wskazującym jak małą żmiję jaskiniową, od której niczym się prawie nie różni.

– Koniec zawsze jest taki sam, Adriusie – mówię mu. – Nie ma krzyku. Nie ma gniewu. Jest tylko cisza.

I mocnym szarpnięciem wyrywam Szakalowi język.

Adrius wrzeszczy. Krew bucha mu z ust. Szarpie się dziko. Odpycham się od niego, wstaję i unoszę strzep ciała. Wypełnia mnie mroczny gniew, gdy patrzę, jak mój wróg jęczy i czuje nienawiść, jaka we mnie wzbiera. Zostawiam Szakalowi komunikator, żeby Lilath mogła słyszeć lamenty swojego pana. Przyjaciele przyglądają mi się z oszołomionym niedowierzaniem. Odwracam się i podchodzę do panelu sterowania łącznością. Wywołuję okrąg Victry. Jej twarz wyświetla się nad kręgiem holo. Na mój widok Victra wytrzeszcza oczy.

– Darrow... Żyjesz... – udaje jej się wydusić. – Sevro... Główice...

– Nasza flota musi zniszczyć „Lwa Marsa” – mówię jej. – Lilath detonuje bomby na powierzchni Księżyca. W miastach ukryte jest setki głowic. Zniszcz ten okrąg!

– „Lew” znajduje się w środku formacji – protestuje Victra. – Jeżeli spróbujemy do niego dotrzeć, zniszczymy naszą flotę. A nawet jeżeli się uda, potrwa to wiele godzin.

– Możemy zakłócić sygnał z „Lwa”? – pyta Mustang.

– Jak? Wokół nas krzyżuje się mnóstwo sygnałów.

– Generator impulsów elektromagnetycznych? – proponuje Sevro, który staje za moimi plecami. Victra uśmiecha się do męża, ale kręci głową.

– „Lew” ma tarcze.

– Użyjmy generatorów EMP na bombach, żeby uszkodzić ich odbiorniki radiowe – mówię. – Wypuść Stalowy Deszcz i zrzuć na każde miasto jak najwięcej EMP, aż wszystkie będą bezpieczne.

– I trzy miliardy ludzi znajdzie się znowu w epoce średniowiecza? – Cassius studzi mój zapał.

– Flota Szakala rozniesie nas w pył – mówi Victra. – Nie możemy spuścić Deszczu. Stracimy armię. A Złoci po prostu zaczekają nad Księżycem.

Wybuchła kolejna bomba. Tym razem blisko bieguna południowego. A potem następna na równiku. Znamy konsekwencje każdej eksplozji.

– Lilath nie wie, co właściwie się stało Adriusowi – mówi pośpiesznie Cassius. – Na ile jest lojalna? Zamierza zdetonować wszystkie głowice?

– Nie wtedy, gdy Szakal jeszcze wciąż jęczy... – wzdycham. Przynajmniej mam nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego.

– Przepraszam – słyszę cichy, dziecięcy głos. Odwracam się zaskoczeni. Lysander patrzy na nas śmiało. W zamieszaniu zupełnie o nim zapomnieliśmy. Nadal

ma oczy zapuchnięte od płaczu. Sevro unosi pulsRękawicę, aby zastrzelić dziedzica rodu Lune. Cassius chwyta go za nadgarstek i zmusza do opuszczenia broni.

– Wezwijcie mojego ojca chrzestnego – mówi odważnie Lysander. – Wezwijcie Pana Popiołów.

– No, jak cholera... – mamrocze Sevro.

– Właśnie zabiliśmy Władczynię i jego córkę – mówi do Lysandra. – Pan Popiołów...

– ...zniszczyl Reę – wchodzi mi w słowo dzieciak. – Tak. I bardzo go to dręczy. Wezwijcie go, a pomoże. Moja babka chciałaby, żeby zapobiegł temu, co się dzieje. Księżyc to nasz dom.

– Ma rację. – Mustang odpycha mnie od konsoli. – No, rusz się.

Jest tak skupiona, że nawet nie patrzy, czy wykonałem polecenie. Nic nie widzi poza tym, co ważne. Już ustawia pasmo transmisji do Złotych Pretorów we flocie. Ich holowizerunki pojawiają się wokół nas jak srebrzyste duchy unoszące się nad ciał zabitych. Pretorzy widzieli, jak zabiliśmy ludzi w sali. Ostatni pojawia się Pan Popiołów. Twarz ma wykrzywioną gniewem. Jego pani i córka – obie zginęły z naszej ręki.

– Bellona, Augustus – warczy. – Nie dość...

– Ojcie chrzestny, nie mamy czasu na obrzucanie się oskarżeniami i obelgami – przerywa mu Lysander.

– Lysander... żyjesz.

– Proszę, wysłuchaj ich. Od tego zależą losy naszego świata.

Mustang podchodzi bliżej i zaczyna mówić.

– Pretorzy floty, Panie Popiołów. Władczyni nie żyje. Ale wybuchy jądrowe, które niszczą wasz dom, nie pochodzą z uzbrojenia Czerwonych. Zostały wykradzione z waszego arsenału przez mojego brata. Jego Pretor, Lilath, nadzoruje detonacje ponad czterystu głowic jądrowych z mostka „Lwa Marsa”. To nie ustanie, dopóki Lilath żyje. Bracia moi, Aureaci, przyjmijcie zmiany lub pogódźcie się ze śmiercią. Wybór należy do was.

– Jesteś zdrajcynią... – syczy jeden z Pretorów Floty Lunarnej.

Lysander opuszcza krąg kamer i podchodzi do stołu, przy którym wcześniej siedziała Władczyni. Podnosi berło babki i wraca, podczas gdy Pretorzy zaczynają już nie tylko rzucać na Mustang obelgi, lecz także groźby.

– Ona nie jest zdrajcynią – oznajmia Lysander, po czym wręcza dziewczynie berło. – Podbiła nas.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

WIWAT

„Lew Marsa” zostaje zniszczony w niesławie, zestrzelony przez obie strony konfliktu, i lojalistów, i rebeliantów. Patrzenie, jak nuklearne wybuchy żlobią powierzchnię Księżyca, zdusiło żądę krwi w obu flotach szybciej niż jakikolwiek rozejm czy nawet pokój. Niewielu ludzi lubi patrzeć, jak niszczone jest piękno. Niestety, tak właśnie się stało. Zanim udało się zniszczyć „Lwa”, zdetonowanych zostało ponad dwanaście bomb jądrowych, które obróciły część miast w popiół i ruinę. Księżyc ogarnia chaos.

Podobnie jak Złotą Armatę. Wiadomość o śmierci Władczyni i wybuchach bomb atomowych wstrząsnęła Elitą do głębi. Bogaci Pretorzy zabierają swoje okręty i łamią szyk, uciekając na Wenus, Merkurego albo na Marsa. Nie walczą już razem, ponieważ nie wiedzą, w czym imieniu mają walczyć.

Octavia rządziła przez sześćdziesiąt lat. Dla większości żyjących to jedyna Władczyni, jaką znali. Nasza cywilizacja chwieje się na skraju przepaści. Na Księżyco wyłączono elektrownie. Zamieszki i panika rozprzestrzeniają się jak pożary, gdy przygotowujemy się do opuszczenia bunkra. Co prawda Władczyni ukryła tam również statek, na wypadek gdyby musiała się ewakuować, ale wiemy, że od tego, co uczyniliśmy, nie ma ucieczki. Wyrwaliśmy serce Elicie. I jeżeli teraz znikniemy, co zajmie jego miejsce?

Od początku wiedzieliśmy, że nie zdołamy podbić Księżyca przy pomocy armii i floty. Nigdy też nie było to naszym celem. Tak samo, jak Ragnar nie pragnął walczyć aż do wybicia wszystkich Złotych. Wiedział, że Mustang jest kluczem. Zawsze była. Dlatego ryzykował i uwolnił Kavaxa. A teraz Mustang stoi pod holomapą Księżyca i słyszy równie wyraźnie jak ja milczący krzyk zniszczonych miast.

Podchodzę do niej.

– Gotowa?

– Co? – Mustang potrząsa głową. – Jak on mógł to zrobić?

– Nie wiem – wzducham. – Ale możemy to naprawić.

– Jak? Na Księżyco rozpoczęło się już pandemonium. Dziesiątki milionów ofiar.

Zniszczenia...

– Razem możemy to odbudować.

Słowa przynoszą jej nadzieję, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, gdzie jesteśmy. I co zrobiliśmy. I że jesteśmy razem. Mruga, aby powstrzymać łzy, a potem

się do mnie uśmiecha. Poważnieje jednak, gdy patrzy na moje ramię i kikut po prawej dłoni. Dotyka z wahaniem mojego łokcia.

– Jak to możliwe, że jeszcze stoisz?

– Bo jeszcze nie skończyliśmy.

Poobijani i zakrwawieni dołączamy do Cassiusa, Lysandra i Sevra przed wyjściem z wewnętrznego sanktuarium Władcyni. Cassius wbija kod Rycerza Olimpijskiego, aby otworzyć drzwi. Zaraz potem nieruchomieje i węszy podejrzliwie.

– Co to za smród?

– Jakby z kanalizacji? – zastanawiam się na głos.

Sevro wbija wzrok w ostrza, które zabrał Ai, jedno z nich należało do Lorna.

– Myślę, że to zapach zwycięstwa.

– Narobiłeś w spodnie? – Cassius mruży oczy. – Narobiłeś.

– Sevro... – rzuca ostrzegawczo Mustang.

– To odruchowa reakcja mięśni, gdy się udaje śmierć po wypiciu sporej dawki wyciągu z haemanthusa – warczy Sevro. – Myślicie, że zrobiłem to celowo?

Cassius i ja wymieniamy znaczące spojrzenia.

Wzruszam ramionami.

– No, może...

– No, tak.

Sevro krzywi się na nas, a potem zaciska usta. Wygląda, jakby zaraz miał wybuchnąć.

– Co się dzieje? – pytam. – Czy... ty...

– Nie! – Rzuca we mnie swoją manierką. – Wbiłeś mi strzykawkę z końską dawką adrenaliny, durniu. Mam atak serca.

Odpycha nasze ręce, gdy próbujmy mu pomóc.

– Wszystko dobrze, wszystko dobrze. – Oddycha świsząco, ale po chwili prostuje się z grymasem.

– Na pewno dobrze się czujesz? – niepokoi się Mustang.

– Drętwieje mi lewa ręka. Chyba potrzebny mi lekarz.

Parskamy śmiechem. Wyglądamy jak chodzące trupy. Mnie trzymają w pionie tylko dopalacze, które znalazłem przy martwych Pretorianach. Cassius powłóczy nogami jak starzec, ale prowadzi u boku Lysandra. Sprzeciwiał się, gdy mój przyjaciel zaproponował, że pozbędzie się dziedzica rodu Lune tu i teraz, jednym cięciem klingi.

– Chłopak jest pod moją opieką – wycedił wtedy Cassius. A teraz idzie z nami na znak prawowitości tego, co uczyniliśmy.

– Kocham was wszystkich – mówię, gdy drzwi ze zgrzytem zaczynają się otwierać. Poprawiam nieprzytomnego Szakala na ramieniu. Niosę go jak zdobycz. – Nieważne, co się stanie.

- Nawet Cassiusa? – oburza się Sevro.
- Dzisiaj zwłaszcza mnie – odpowiada mu Cassius złośliwie.
- Trzymajcie się blisko – nakazuje nam Mustang.

Pierwsza para wielkich drzwi rozsuwa się powoli. Mustang ściska mi rękę. Sevro emanuje wibrującym strachem. A wtedy otwierają się z łomotem kolejne drzwi i ukazuje się korytarz wypełniony Pretorianami i Obsydianami z bronią w gotowości. Mustang występuje przed nas, niosąc dwa symbole władzy.

- Pretorianie, służycie Władczyni. Władczyni nie żyje.

Nie zwalnia kroku, gdy zbliża się do szeregu najeżonego klingami i lufami karabinów pulsacyjnych. Zdaje się, że młody Złoty z pałającym spojrzeniem gotów jest pociągnąć za spust. Ale starszy od niego dowódca kładzie młokosowi dłoń na ręce i zmusza do opuszczenia broni.

A potem Pretorianie i Obsydiani rozstępują się, aby zrobić Mustang przejście. Po kolei opuszczają broń. Ich hełmy znikają w kryzach zbroi. Nigdy nie widziałem kobiety wspanialszej i tak władczej, jak Mustang w tej chwili. Jest spokojna jak oko cyklonu. Idziemy za nią czujnie. W milczeniu wsiadamy do ogromnej Paszcy Smoka. Razem z nami jedzie na góre ponad pięćdziesięciu zbrojnych.

W Cytadeli panuje chaos. Służby plądrują pomieszczenia, strażnicy wymykają się ze swoich posterunków dwójkami lub trójkami, bardziej pochłonięci troską o rodziny i przyjaciół niż o dobra materialne. Nasi Obsydiani nadlatują, ale wciąż jeszcze są na orbicie. Sefi przybywa z flotą. Powiedzieliśmy, że wylądowali, ale był to tylko podstęp, żeby wywabić Pretorianów z bunkra. Jednak wieść roznosi się szybko. Władczyni nie żyje. Nachodzą Obsydiani.

Wśród tego chaosu jest tylko jedna ostoja porządku. I kiedy idziemy przez wyłożone czarnym marmurem korytarze Cytadeli i mijamy pomniki Złotych Przodków oraz gabinety urzędników stanu, żołnierze dołączają do nas, a ich kroki odbijają się równym echem od ścian. Gromadzą się wokół Mustang, jedynej osoby, która niesie symbole władzy. Dziewczyna trzyma je wysoko nad głową. Wszyscy, którzy początkowo unoszą broń, cofają się na widok regaliów. A potem dostrzegają także mnie i Cassiusa oraz coraz większą masę żołnierzy za nami. Wtedy uświadamiają sobie, że zbliża się fala, z którą nie mogą walczyć. Mogą tylko przyłączyć się albo uciec. Niektórzy strzelają albo nacierają w niewielkich grupkach, żeby zatrzymać nasz pochód, ale zostają odępnieni, zanim zbliżą się do Mustang na dziesięć metrów.

Wreszcie docieramy do wielkich, śnieżnobiałych wrót prowadzących do Sali Obrad. Wewnątrz zostali zamknęci Senatorowie, a drzwi strzegą Pretorianie. Jednak za nami kroczy armia setek zbrojnych, a Senatorów pilnuje zaledwie garstka. Najwyżej dwudziestu.

Rycerz Złota występuje z szeregu strażników. Szacuje zgromadzone siły – Pretorianów, Obsydianów, Szarych, mnie. I podejmuje szybką decyzję. Wypreżą się przed Mustang i salutuje.

– Mój brat ma trzydziestu ludzi w Cytadeli – mówi mu Mustang. – To Jeźdzy Kości. Znajdź ich i aresztuj, kapitanie. Jeżeli będą stawiali opór, zabij.

– Tak, pani moja. – Kapitan pstryka palcami i odchodzi z grupą podwładnych. Dwaj Obsydiani otwierają dla nas drzwi i Mustang wkracza do Sali Obrad.

Pomieszczenie jest ogromne, przypomina wielopiętrowy lej z białego marmuru. Na dnie stoi podium, z którego Władczyni przewodniczy obradom Senatorów siedzących na dziesięciopoziomowej widowni. Wchodzimy od strony północnej. Wbijają się w nas setki par wytrzeszczonych oczu Polityków. Cała uwaga skupia się na Mustang i na nas. Wszyscy oglądali transmisję z bunkra. Widzieli śmierć Octavii. Widzieli bomby niszczące Księżyce. Gdzieś w tej sali matka Roque'a zaraz wstanie z poduszek na marmurowej ławie i wyciągnie szyję, żeby obserwować zejście naszej zbryzganej krwią kompanii po białych schodach do podium. Po prawej i lewej mijamy Senatorów. Nie wzbudzamy krzyków ani protestów, towarzyszy nam tylko cisza. Lysander drepce blisko za Cassiem.

Jest tak cicho, że słyszać przerażony, chrapliwy oddech przewodniczącego, gdy Różowy służący pomaga mu zejść z podwyższenia, z którego nadzorował obrady, z pewnością wielkiej wagi. Senatorowie przeprowadzili wybory. Tutaj i teraz, w ogniu walki. A teraz wyglądają jak dzieci przyłapane z ręką w słoju z ciasteczkami.

Oczywiście, do głowy im nie przyszło, że Pretorianie, którzy ich uwięzili, staną po stronie rebelii. Ani też nie przypuszczali, że uda nam się wyjść z bunkra Władczyni i przeżyć. Są produktem społeczeńства opartego na strachu, w którym każdy musiał dołączyć do kogoś potężniejszego, aby przetrwać. Zawsze tak jest. To prosty, ludzki odruch, dzięki czemu hierarchia działa.

Mustang staje na podium, reszta ją otacza. Rzucam Szakala na podłogę, żeby Senat zobaczył, co z nim zrobiliśmy. Jest nieprzytomny i blady po utracie krwi. Mustang patrzy na mnie. Nigdy tego nie chciała. Ale przyjmuje brzemię tak, jak ja wziąłem swoje jako Kosiarz. Wiem, jak ją to dręczy. I wiem, że będzie mnie potrzebowała, jak wcześniej ja potrzebowałem jej. Nigdy jednak nie mógłbym stanąć tam, gdzie ona, ani utrzymać tego, co ona. Chyba że zniszczyłbym wszystkich w tej sali. Senatorowie by mnie nie zaakceptowali. Jestem łącznikiem z PodKolorami, a Mustang – z NadKolorami. Tylko razem możemy zjednoczyć ludzi. Tylko razem możemy stworzyć pokój.

– Senatorowie Elity – zaczyna Mustang. – Oto stoję przed wami. Jestem Virginia au Augustus, córka Nero au Augustusa z marsjańskiego rodu Iwa. Może mnie znacie. Sześćdziesiąt lat temu Octavia au Lune stanęła przed wami z głową tyraną, swojego ojca, i ogłosiła, że przejmuje jego pozycję jako Władczyni Elity.

Bacznie spogląda na zgromadzonych.

– Stoję dzisiaj przed wami z głową tyranki. – Unosi głowę Octavii au Lune. Ta głowa i berło zapewniły jej przejście do tego miejsca. Złoci respektują tylko jedno. Żeby to zmienić, trzeba ich opanować przy pomocy tego samego. – Stara Epoka przyniosła tylko zagładę atomową do stolicy Elity. Miliony zginęły z powodu chciwości Octavii. Miliony giną z powodu mojego brata. Musimy bronić się przed sobą, zanim dziedzictwo ludzkości obróci się w proch. Dzisiaj ogłaszam początek nowej ery. – Patrzy na mnie. – Z nowymi sprzymierzeńcami. Nowymi zwyczajami. Powstanie stoi za mną. Flota zbudowana przez największe Złote rody czeka na orbicie z hordą Obsydianów. Przed wami trudny wybór.

Mustang rzuca głowę Octavii na podłogę i unosi Berło Świtu – ten, kto je dzierży, ma prawo rządzić społeczeństwem.

– Podporządkujcie się. Albo gińcie.

Salę wypełnia cisza. Wydaje się tak przygniatająca, że mogłaby zmiażdżyć nas wszystkich i na nowo rozpocząć wojnę. Żaden Złoty nie ugnie się pierwszy. Mógłbym ich zmusić. Ale lepiej po prostu dać im przykład. Opadam na kolano przed Mustang. Patrzę jej w oczy, przyciskam okaleczoną rękę do piersi i czuję nieopisaną radość tej chwili.

– Wiwat Władczyni!

A wtedy Cassius opada na kolano. I Sevro. Potem Lysander au Lune oraz Pretorianie. I wreszcie jeden po drugim Senatorowie. W ciszę wdziela się chóralny, choć nierówny okrzyk:

– Wiwat Władczyni!

* * *

Tydzień po wyniesieniu Mustang na tron oglądam egzekucję jej brata. Oprócz Valii-Ratha i jakichś dziesięciu innych odnaleziono i skazano na śmierć wszystkich Jeźdźców Kości. A dzisiaj ich przywódca miję mnie w swoim przejściu przez plac egzekucji na Księżycu. Włosy ma obcięte i uczesane. Strój czysty – jasnozielony kombinezon więzienny. Podkolory wokół nas obserwują wydarzenie w milczeniu. Z cienkiej warstwy szarych chmur pada drobny śnieg. Niedobrze mi od lekarstw na chorobę popromienną. Przyszedłem jednak. Nie ze względu na siebie, lecz na Mustang. Tak jak ona przyszła na pogrzeb Roque'a. Stoi teraz w zamyśleniu, spojrzenie ma pełne powagi, a policzki blade jak śnieżnobiałego marmuru pod naszymi stopami. Towarzyszą jej Telemanusowie, którzy przyglądają się beznamiętnie, jak Szakal wspina się po stopniach na metalową szubienicę. Czeka tam na niego kat – wyprostowana Biała.

Kobieta czyta wyrok. Z tłumu padają okrzyki i obelgi. Przy podwyższeniu szubienicy roztrzaskuje się butelka. Kamień rozbija Szakalowi czoło. Ale Złoty ani drgnie. Stoi dumnie wyprostowany, gdy na jego szyję zostaje założona pętla. Szkoda, że nie przywróci to do życia Paxa. Ani Quinn, Roque'a, ani nawet Eo. Zostaną zapomniani. Tylko Szakal z Marsa wyrył się już w ludzkiej pamięci i zapisał na zawsze na kartach historii.

Biała podchodzi do dźwigni. Na włosach Adriusa zbiera się śnieg. Mustang przełyka nerwowo. A klapa opada. Na Marsie grawitacja jest niewielka, żeby wisielec umarł, trzeba go pociągnąć za nogi. Na Księżyku ciążenie jest jeszcze mniejsze. Jednak nikt nie podchodzi, gdy Biała prosi. Nikt nie ruszy palcem, choć Szakal szarpie się, kopie, a twarz mu czerwienieje. Mnie również ogarnia odrętwienie, gdy patrzę na jego męczarnie. Mam wrażenie, jakbym znajdował się o milion kilometrów stąd. Nie potrafię mu współczuć. Jeszcze nie. Nie po tym, co zrobił. Ale wiem, że Mustang mu współczuje. I rozdziera jej to serce. Dlatego lekko ściskam jej dłoń i prowadzę pod szubienicę. Mustang jak w transie idzie po śniegu i zatrzymuje się pod stopami brata bliźniaka. Patrzy na niego, jakby to był tylko sen. Szepcze coś, a potem opuszcza głowę i pociąga Szakala za stopy. Pokazuje mu, że do końca był kochany.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

DOLINA

Parę tygodni po zbombardowaniu Księżyca i intronizacji Mustang świat się zmienił. Miliony ludzi straciło życie, ale po raz pierwszy budzi się też nadzieja. Po przemowie Mustang dziesiątki Złotych zwróciło swoje okręty i przyłączyło się do floty Orion i Victry. Pan Popiołów uczynił wszystko, aby utrzymać swoją flotę, ale na widok płonących dzielnic Księżyca jego siły się rozproszyły. Niewiele mógł zrobić, gdy Mustang została ogłoszona Władczynią. Aby jego okręty nie wpadły w ręce wroga, Pan Popiołów wycofał się na Merkurego.

Pod jego nieobecność Mustang zapewniła sobie wsparcie i współpracę większości sił militarnych, zwłaszcza Szarych z legionów i niewolnych wojskowników Obsydianów. Wykorzystała polityczny chaos i zamieszanie, aby zdelegalizować Hierarchię Kolorów, pozbawiła też Złotych zwierzchnictwa nad siłami wojskowymi. Senat został rozwiązany, Zarząd Kontroli Jakości – zlikwidowany. Tysiące ludzi zostało oskarżonych o zbrodnie przeciw ludzkości. Sprawiedliwość nie będzie wymierzona im tak szybko, jak to się stało w przypadku Szakala, ani tak czysto, ale uczynimy, co w naszej mocy.

Po śmierci Octavii pomyślałem, że nareszcie będę mógł odpocząć, ale nadal wokół czają się wrogowie. Romulus i Władcy Księżyków dźwigają się po porażce na Obrzeżach. Pan Popiołów przygotowuje się do najazdu na Merkurego i Wenus. Złoci generałowie podważają prawa Mustang do władzy. A Księżyc jest w ruinie. Trwają tam zamieszki, brakuje jedzenia, rośnie promieniowanie. Księżyc przetrwa, ale nigdy już nie będzie taki sam, nieważne, że Żywe Srebro obiecuje odbudowę, po której miasta będą jeszcze wyższe i piękniejsze.

Sam powoli dochodzę do siebie. Mickey i Virany przyszły mi rękę. Odnalazłem ją na promie Szakala, który wylądował na iglicy Władczyni. Minie jeszcze wiele miesięcy, zanim będę mógł pisać czy używać ostrza, choć mam szczerą nadzieję, że w najbliższej przeszłości nie będę się musiał tym martwić.

W młodości sądziłem, że zniszczę Elitę. Rozwiążę ją, zdegraduję jej tradycje. Zerwę pęta, a wtedy z popiółów i ruin wyrośnie po prostu coś nowego i pięknego. Jednak tak to nie działa. Kompromisowe zwycięstwo, które udało nam się odnieść, stanowi najlepsze rozwiązanie, jakiego można się spodziewać. Zmiany nadzieją, chociaż wolniej, niż życzyłby sobie Tancerz albo Synowie Aresa. Ale obejdzie się bez okresu anarchii.

Przynajmniej taką mamy nadzieję.

Pod nadzorem Holiday Sefi odleciała na Marsa, aby rozpocząć powolną drogę wyzwalania reszty Obsydianów. Odwiedza bieguny z lekarstwami, nie z bronią. Pamiętam, jak mroczne wydawały mi się jej oczy, gdy patrzyła na kratery po wybuchach głowic jądrowych. Poszła na własne oczy zobaczyć dzieło Szakala. A teraz przejęła misję swojego brata i planuje osiąść na cieplejszych terenach, przeznaczonych dla Obsydianów z Marsa. Chociaż Sefi wolałaby zapewne trzymać ich z dala od obcych miast, jednak w głębi duszy chyba zdaje sobie sprawę, że musi ustąpić. Obsydiani opuszczą swoje więzienie. Staną się ciekawi, rozejdu się i zasymilują. Nigdy nie będą tacy sami. Moi ludzie także. Wkrótce powrócę na Marsa, aby pomóc Tancerzowi przeprowadzić migrację Czerwonych na powierzchnię. Wielu zostanie i będzie wiodło życie, jakie znają. Ale dla innych będzie to szansa, aby spędzić resztę dni pod otwartym niebem.

Dzień wcześniej pożegnałem się z Cassiusem. Postanowił odlecieć z Księżyca. Mustang chciała, żeby został i pomógł ustanowić lepszy, bardziej uczciwy i sprawiedliwy ustrój. Cassius miał jednak serdecznie dość polityki.

– Nie musisz odchodzić – powiedziałem mu, gdy staliśmy na lądowisku.
– Nie ma tu dla mnie nic oprócz złych wspomnień – westchnął. – Zbyt długo żyłem dla innych. Chcę zobaczyć, co czeka za horyzontem. Nie możesz mnie za to winić.
– A co z chłopcem? – Skinieniem głowy wskazałem na Lysandra, który właśnie wchodził z walizką na statek. – Sevro uważa, że pozostawienie go przy życiu to błąd. Jak to ujął? „To jak zostawić jajo żmii jaskiniowej pod poduszką. Wczesniej czy później wykluje się gad”.

– A co ty sądzisz?
– Myślę, że to nowy, inny świat. Dlatego powinniśmy postępować odpowiednio do nowych okoliczności. Lysander ma w żyłach krew nie tylko Octavii, lecz także Lorna. Zresztą krew nie ma już żadnego znaczenia.

Mój wysoki przyjaciel uśmiechnął się wtedy serdecznie.
– Lysander przypomina mi Juliana. Ma dobre serce pomimo pochodzenia. Wychowam go jak należy. – Wyciągnął do mnie rękę. Nie po to, abym ją uścisnął. Trzymał pierścionek, który zdjął mi z palca tamtej nocy, gdy Lorn i Fitchner zginęli. Zamknąłem na pierścieniu jego palce.

– To należało do Juliana – zauważyłem.
– Dziękuję... bracie.
I tam, na kosmodromie Cytadeli, która jeszcze niedawno stanowiła centrum potęgi Złotych, Cassius au Bellona i ja objęliśmy się na pożegnanie. Niemal po sześciu latach od naszego pierwszego spotkania.

* * *

Wiele tygodni później patrzę na fale liżące brzeg. Mewa krąży nad moją głową. Morze rozbija się o skały w rozbryzgach białej piany. Mustang i ja przylecieliśmy tutaj wzdłuż południowo-wschodniego wybrzeża Pacyfiku, skrajem lasów rozciągających się na wielkim półwyspie. Głazy i pnie drzew porasta mech. Powietrze jest chłodne, nasze oddechy zmieniają się w obłoczki pary. Po raz pierwszy jestem na Ziemi, ale czuję się, jakby moja dusza wróciła do domu.

– Eo pokochałaby tę okolicę, prawda? – pyta Mustang. Nosi czarny płaszcz z podniesionym kołnierzem, aby osłonić się od wiatru. Jej nowi pretoriańscy strażnicy siedzą na skałach pół kilometra dalej.

– Tak – przyznaję. – Pokochałaby to miejsce.

Ten krajobraz skrywał się zawsze w naszych pieśniach. Nie słoneczne plaże w tropikalnym raju, lecz ta dzika ziemia pełna tajemnic, skrytych za mgłą i przesłonami sosnowych gałęzi. Na poznanie jej sekretów i przyjemności trzeba sobie zasłużyć. W mojej wyobraźni tak właśnie mogłaby wyglądać Dolina. Dym z ogniska, które rozpaliliśmy z wyrzuconego na piasek drewna, unosi się ukośnie nad horyzont.

– Myślisz, że to przetrwa? – pyta Mustang, patrząc w fale. – Ten pokój?

– Byłby to pierwszy raz w historii ludzkości – przyznaję.

Mustang krzywi się i opiera o mnie z zamkniętymi oczami.

– Przynajmniej mamy to.

Uśmiecham się, zapatrzony w morze. Orzeł, który przypomina mi Cassiusa, muska fale, a potem unosi się nad mgłą i znika za drzewami rosnącymi na zboczach gór.

– Zdałem twój test?

– Mój test?

– Od chwili, gdy zatrzymałaś mój statek na Fobosie, sprawdzałaś mnie. Myślałem, że zdałem na biegunie, ale testowanie wcale się potem nie skończyło.

– Zauważłeś. – Mustang uśmiecha się psotnie. Zaraz jednak poważnieje i odgarnia włosy z czoła. – Wybacz, ale nie mogłam po prostu iść za tobą na oślep. Musiałam sprawdzić, czy potrafisz nie tylko niszczyć, lecz także budować. Musiałam się upewnić, że dla mojego ludu znajdzie się miejsce w twoim świecie.

– Rozumiem to – zapewniam. – Ale chodzi o coś więcej. Coś się zmieniło w momencie, gdy spotkałaś się z moją matką. I z bratem. Otworzyłaś się.

Mustang kiwa głową, wciąż wpatrzona w morze.

– Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

Podnoszę na nią wzrok.

– Okłamywałeś mnie przez prawie pięć lat. Od naszego pierwszego spotkania. W tunelach Lykos zniszczyłeś to, co mieliśmy. Zaufanie. Poczucie bliskości, jakie

między nami powstało. Poskładanie tego wymaga czasu. Musiałam przekonać się, czy potrafimy odnaleźć to, co zgubiliśmy. Musiałam sprawdzić, czy mogę ci zaufać.

– Wiesz, że tak.

– Teraz już wiem – mówi Mustang w zamyśleniu. – Ale...

Marszcę brwi.

– Drżysz.

– Pozwól mi skończyć. Nie chciałam cię okłamywać. Ale nie wiedziałam, jak zareagujesz. I co zrobisz. Chciałam, abyś dokonał wyboru i stał się kimś więcej, nie tylko zabójcą. Chciałam, abyś tego dokonał nie tylko ze względu na mnie, lecz także dla kogoś jeszcze. – Podnosi głowę i wpatruje się w niebo. Wreszcie pojawia się statek i leniwie zniża lot. Przesłaniam oczy przed jesiennym słońcem, żeby przyjrzeć się lepiej.

– Spodziewamy się towarzystwa? – pytam czujnie.

– W pewnym sensie. – Mustang wstaje. Przyłączam się do niej. Staje na palcach, żeby mnie pocałować. Czule, nieśpiesznie... Zapominam od razu o piasku pod nogami, zapachu żywicy i soli na wietrze. Nos Mustang jest zimny, policzki zaczernione. Smutek i rany z przeszłości sprawiają, że ten pocałunek wydaje się jeszcze słodszy. Jeżeli ból to brzemię istnienia, miłość nadaje mu sens.

– Chcę, żebyś wiedział, że cię kocham. Najbardziej na świecie. – Mustang cofa się i pociąga mnie za sobą. – Niemal.

Statek prześlizguje się nad wiecznie zielonymi drzewami i ląduje na plaży, po czym składa skrzydła jak odpoczywający gołąb. Piasek i morska piana rozpryskują się na obudowie silników. Mustang ujmuje mnie za rękę i rusza przez piasek. Opada rampa. Na brzeg wybiega Sofokles i rzuca się w pogon za stadkiem mew. Za nim niesie się tubalny głos Kavaxa i słodki śmiech dziecka. Zwalniam. Spoglądam niepewnie na Mustang. Pośpiesza mnie z nieśmiały uśmiechem. Ze statku wysiada Kavax z Tancerzem. Zaraz potem schodzi Victra z Sevrem, który macha mi na powitanie, a potem ogląda się wyczekując na szczyt rampy.

Wydawało mi się, że nici losu płaczą się wokół mnie, ponieważ moje pasmo jest zbyt mocne. Uświadamiam sobie jednak, że nasze nici życia splotły się i powstała lina, której nie da się rozerwać. Coś, co będzie trwać długo po tym, jak to życie się zakończy. Moi przyjaciele wypełnili pustkę, którą pozostawiła śmierć Eo. Sprawili, że znowu poczułem się spełniony.

Po rampie schodzi moja matka i Kieran, oboje po raz pierwszy postawią stopę na Ziemi. Matka uśmiecha się, gdy wyczuwa sól. Wiatr igra z jej siwymi włosami. Oczy jej błyszczą radością, o jakiej mój ojciec mógłby tylko pomarzyć. A w ramionach matka trzyma śmiejące się dziecko ze złotymi włosami.

– Mustang? – Głos mi drży. – Kto to?

– Darrow... – Mustang uśmiecha się do mnie czule. – To nasz syn. Ma na imię Pax.

EPILOG

Pax urodził się dziewięć miesięcy po Deszczu Lwa, gdy byłem uwięziony w podstawie kamiennego stołu u Szakala. W obawie, że nasi wrogowie szukaliby chłopca, gdyby dowiedzieli się o jego istnieniu, Mustang trzymała ciążę w tajemnicy i nie schodziła z pokładu „Dejah Thoris”, dopóki nie urodziła. A potem zostawiła dziecko w pasie asteroid pod opieką żony Kavaxa i wróciła na wojnę.

Gdy chciała zawrzeć pokój z Władczynią, nie robiła tego tylko dla siebie i swoich ludzi, lecz przede wszystkim dla syna. Chciała, aby Pax nie dorastał na wojnie. Nie mogę jej za to winić. Ani za trzymanie w sekrecie tego, że zostałem ojcem. Mustang się bała. Obawiała się nie tylko tego, że nie może mi zaufać, lecz także tego, że nie jestem przygotowany do wypełnienia roli ojca i nie będę rodzicem, na jakiego mój syn zasługuje. I o to jej chodziło cały czas, gdy mnie obserwowała. Omal nie wyznała mi prawdy w Tinos, ale po rozmowie z moją matką postanowiła jeszcze poczekać. Matka rozumiała, że jeśli się dowiem, będę skupiał się na swoim ojcostwie i nie zdołam zrobić tego, co konieczne.

Mój lud potrzebował wtedy miecza, nie ojca.

Jednak teraz, po raz pierwszy w życiu, mogę pełnić obie role.

Wojna się jeszcze nie skończyła. Ofiary, jakie ponieśliśmy, aby zdobyć Księżyce, będą nawiedzać nasz nowy świat. Wiem o tym. Lecz już nie jestem sam w ciemności. Kiedy przekroczyłem bramy Instytutu, na moich barkach spoczywał ciężar całego świata. I to brzemię mnie przygniotło. Złamało mnie. Jednak przyjaciele pomogli mi się pozbierać. I teraz każde z nich nosi w sobie marzenie Eo. Razem możemy uczynić świat dobrym miejscem dla mojego syna. I dla przyszłych pokoleń.

Nie jestem już tylko niszczycielem, mogę stać się także budowniczym. Eo i Fitchner dostrzegli to, gdy sam nie potrafiłem. Uwierzyli we mnie. Dlatego nieważne, czy czekają na mnie w Dolinie, czy też nie – czuję ich w sercu i słyszę bicie ich serc odbijające się echem na wszystkich ludzkich światach. Widzę ich w moim synu, a kiedy Pax dorośnie, opowiem mu wraz z Mustang o gniewie Aresa, sile Ragnara, honorze Cassiusa, miłości Sevra, lojalności Victry i marzeniu Eo, dziewczyny, która była dla mnie natchnieniem do życia dla wyższych celów.

W powieści wykorzystano fragmenty „Antygony” Sofoklesa w przekładzie Kazimierza Morawskiego, „Eumenid” Ajschylosa w przekładzie Stefana Srebrnego oraz „Cymbelina” Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Leona Urlicha.

Podziękowania

Obawiałem się pisać „Gwiazdę Zaranną”.

Przez wiele miesięcy zwlekałem z napisaniem pierwszego zdania. Rysowałem schematy okrętów, pisałem pieśni dla Czerwonych i Złotych, historie rodów, planet oraz księżyców, żeby ubarwić dziki świat, który wymyśliłem prawie pięć lat temu w niewielkim pokoju nad garażem rodziców.

Nie obawiałem się tego, że nie wiedziałem, dokąd zmierza moja opowieść. Obawiałem się, ponieważ znałem jej zakończenie, nie byłem jednak pewien, czy wystarczy mi umiejętności, aby Was tam doprowadzić. Brzmi znajomo?

Dlatego postanowiłem się odizolować. Spakowałem plecak i buty do wędrówek, a potem opuściłem mieszkanie w Los Angeles i pojechałem na północny zachód, do rodzinnej chaty na wietrznym wybrzeżu Pacyfiku.

Sądziłem, że izolacja pomoże mi w pisaniu, że odnajdę natchnienie na cichej, zamglonej plaży. Mógłbym tam pisać od rana do wieczora, spacerować wśród wiecznie zielonych drzew i wczuć się w ducha opowieści mitycznych aojdów. Sprawdziło się to przy „Złotej krwi”. Sprawdziło się przy „Złotym synu”. Ale nie przy „Gwieździe Zarannej”.

W osamotnieniu czułem się osaczony przez Darrowa i tysiące ścieżek, którymi mógł podążyć. Czułem się uwięziony we własnych myślach.

I z takim nastawieniem napisałem pierwsze rozdziały. Przypuszczam, że bardzo to pomogło przy tworzeniu nastroju – Darrow zyskał szaleństwo i smutek. Jednak nie potrafiłem wyjść poza jego ucieczkę z Attyki.

Dopiero gdy wróciłem do Los Angeles, opowieść zaczęła się toczyć dalej. Zrozumiałem, że Darrow nie jest już ośrodkiem zdarzeń i do głosu doszli ludzie wokół niego – rodzina i przyjaciele, ludzie, których kocha. Wszyscy, których serca biły w jego rytmie.

Jak mogłem oczekiwać, że zdołam napisać to w izolacji? Bez pogaduszek przy kawie z Tamarą Fernandez, najmądrzejszą znaną mi osobą, która nie ma jeszcze siwych włosów, bez wczesnych śniadań z Joshem Crookiem, z którym spiskowaliśmy, jak zdobyć świat, bez koncertów podczas Hollywood Bowl, bez wielogodzinnych dyskusji o uzbrojeniu żołnierzy rzymskich z Maxem Carverem, bez wypraw na lody z Jarrettem Llewelynem i bez rozmów o „Battlestar” z Callie Young oraz o szaleńczej konspiracji z Dennisem „Zmorą” Strattonem?

Przyjaciele nadają życiu rytm. Moi są dzicy, różnorodni, pełni marzeń i absurdów. Bez nich stałbym się tylko cieniem, a ta powieść okazałaby się jedynie pustką

między okładkami. Chcę podziękować im wszystkim, wymienionym z nazwisk lub nie, za dzielenie ze mną tego cudownego życia.

Każdy poczatkujący potrzebuje czarodzieja, który wskaże właściwą drogę i wyjaśni jej ograniczenia. Uważam się za szczęścia, ponieważ moim mentorem został pisarz, którego już za młodu podziwiałem i ceniłem – Terry Brooks. Pragnę podziękować za słowa zachęty i dobre rady. Jesteś wspaniały!

Wyrazy wdzięczności przekazuję także mojej agentce, Hannah Bowman, która wyciągnęła „Red Rising” na światło dzienne. Havisowi Dawsonowi dziękuję za rozpowszechnienie trylogii, którą przetłumaczono już na ponad dwadzieścia osiem języków. Timowi Gerardowi Reynoldsowi chcę podziękować za czytanie audiobooka – jego głos sprawił, że przechodziły mnie dreszcze. Pragnę też podziękować moim zagranicznym wydawcom za wysiłki przy tłumaczeniu, zwłaszcza przekleństw, klas okrątów czy wypowiedzi Sevra.

Dziękuję także niezrównanej ekipie z Del Rey za to, że od początku wierzyli w „Red Rising”. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego wydawnictwa. Scottowi Shannonowi, Tricii Narwani, Keithowi Claytonowi, Joemu Scalarmu, Davidowi Moenchowi – mieli dla mnie serca Puchonów i odwagę Gryfonów.

Podziękowania należą się także mojej rodzinie za to, że uważa moją dziwaczność za zaletę, nie za wadę. I za to, że zmuszała mnie do wędrówek po polach i lasach, zamiast oglądania wszystkiego na monitorze komputera. Dziękuję ojcu, że nauczył mnie o wielkości siły, której się nie wykorzystało, a matce za pokazanie mi radości z siły wykorzystanej jak należy. Mojej siostrze wdzięczny jestem za niestrudzone zajmowanie się stroną Synów Aresa i za rozumienie mnie jak nikt inny na świecie.

Największe podziękowania należą się mojemu redaktorowi – Mike’owi „au Telemanusowi” Braffowi. Gdyby wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jakim jestem neurotykiem, na pewno teraz już się o tym przekonał. Niewielu pisarzy miało szczęście pracować z redaktorem takim jak Mike. Jest skromny, cierpliwy i uważny o wiele bardziej niż ja. Właśnie dzięki niemu mogliście przeczytać „Gwiazdę Zaranną” zaledwie po roku od wydania „Złotego syna”. Mike dokonał tego cudu. Chyle czoła, dobry panie.

Chcę też podziękować każdemu z moich czytelników. Wasze zainteresowanie i pasja pozwoliły mi żyć na własnych warunkach. Choćby za to zawsze będę Wam wdzięczny. W wiadomościach, tweetach i komentarzach pokazywaliście mi swoje wsparcie, poczucie humoru i wyobraźnię. Spotkania z Wami, rozmowy i słuchanie śpiewu to dla pisarza zaszczyt i przyjemność. Dziękuję Wam, Wyjce, za wszystko, co robicie. Mam nadzieję, że będziemy mieli wkrótce okazję do wspólnego wycia.

Kiedyś myślałem, że napisanie tej książki będzie niemożliwe. Wydawała się drapaczem chmur, wielkim i nieopisanie odległym, wznoszącym się na horyzoncie, który jakby ze mnie drwił. Ale czy patrząc na takie budowle, uznajemy, że powstały

w okamgnieniu? Oczywiście, że nie. Dostrzegamy ciężarówki z materiałami budowlanymi, rusztowania i fundamenty, rzesze budowniczych i zgrzytające żurawie...

Wszystko, co wielkie, powstaje z chwili na chwilę, w sekwencji drobnych, brzydkich zdarzeń. Wszystko, co godne uwagi, rodzi się przez godziny zwątpienia w swoje siły i przez dni mordęgi. Wszystkie podziwiane przez nas dzieła ludzkich rąk wznoszą się na fundamentach porażki.

Dlatego jeżeli nad czymś pracujecie, męczycie się i marzycie, nie ustawajcie w trudzie, ponieważ świat potrzebuje Waszych drapaczy chmur.

Per aspera ad astra!